# PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO". *Ps 143.*

ROK XLII. Tom 165.

STYCZEŃ — LUTY — MARZEC

1925

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO"

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

# Duchy w Brodach.

W wirze spirytystyczno-metapsychicznego opętania, zataczającego coraz to szersze kręgi, przeszły bez zwrócenia jakoś na siebie uwagi polskich miarodajnych czynników tajemnicze wydarzenia w Brodach z końca 1922 roku. Rzecz tem dziwniejsza, że wydarzenia te są nadzwyczaj charakterystyczne i pouczające — szeroko były omawianie w prasie ukraińskiej, w której wywołały nader ożywioną dyskusję. Z powodu zaś duchownego, że tak powiemy, terenu, na jakim się odbywały, zainteresowały nawet władze kościelne obrządku grecko-katolickiego do tego stopnia, że konsystorz metropolitalny we Lwowie wyznaczył specjalną komisję do ich zbadania, a następnie zezwolił na wydanie w osobnej broszurce protokołu tej komisji [1]). Ta broszura, podobnie jak szereg artykułów Dra Łopatyńskiego w dzienniku *Ukraińskij Hołos* i dyskusja, jaka się w innych pismach wywiązała, pomogą nam odtworzyć faktyczny przebieg ciekawych zjawisk. Potem będziemy mieli możność wypowiedzenia o nich kilku krytycznych uwag.

## I.

Rzecz dzieje się na plebanji grecko-katolickiego proboszcza i dziekana ks. Demczyńskiego, w przeciągu miesięcy listopada i grudnia r. 1922. Mimowoli przypomina nam się mieszkanie księdza, również unickiego, bo mającego dzieci, w *Dziadach* Mickiewicza, gdzie dusza pokutująca

[1]) „Pojawy duchiw w Brodach" (Protokoły komisji), Zybraw i wstupnym słowom zaosmotriw O. Dr. Gawryił Kostelnik. Lwiw 1923, str. 67.

puka w kantorku i prosi o paciorek. Tylko na plebanji w Brodach „pojawy" są daleko więcej urozmaicone i wywołują szersze zainteresowanie.

Przebieg zjawisk zaczyna się skromnie. Plebanja posiada pewien nieduży pokoik, przeznaczony na sypialnię dla dwóch chłopców: synka ks. Demczyńskiego, Stefanka, ucznia 3 klasy gimnazjalnej i krewniaka, Włodka Wilczyńskiego z 1 klasy. Chłopcy śpią na jednem łóżku. 3 listopada 1922 zauważają oni, leżąc na swej pościeli, że stojący w pobliżu na krześle koszyk pleciony zaczyna się ruszać, podskakiwać „jak żywy". Zrazu myślano, że ruszają nim szczury lub myszy, przekonano się atoli wkrótce, że nie. Co więcej, pozostawione otwartem wieko koszyka samo się zamykało, a gdy temu chciano przeszkodzić, „coś" zrzuciło koszyk z krzesła na podłogę, krzesło zaś samo zaciągnęło pod owe łóżko, na którem dwaj chłopcy leżeli. Wtedy przeniesiono łóżko — razem z leżącymi na niem chłopcami — w inny kąt pokoju i postawiono je obok ławki mającej 130 cm. długości: pomimo iż trzymano chłopców za ręce i nogi, „coś" poczęło trząść ławką, a wreszcie ją wywróciło. Oczywiście, zjawiska te odbywały się zawsze w ciemności, przyczem zauważono, że ściśle związane były z obecnością jednego z obu chłopców, a mianowicie Włodka Wilczyńskiego, podczas gdy obecność Stefanka Demczyńskiego nie wydawała się konieczną dla manifestowania się zjawisk.

Zjawiska szybko następowały jedne po drugich: oprócz wyżej opisanych, już w pierwszych dniach „coś" suwało koszykiem od okna do drzwi, bujało kołyską, toczyło po podłodze butelkę, potem zdemontowało łóżko, na którem chłopcy leżeli, tak że wypadli zeń na ziemię, wreszcie wybrało sobie na objekt swej przedsiębiorczości paczkę, stojącą pod łóżkiem. Była to paczka drewniana, w jakiej austrjacy przewozili amunicję; miała wieko umocowane na rzemiennych zawiasach. Owo „coś" póty około paczki tej majstrowało, aż oderwało wieko i poczęło grzebać w książkach i kajetach w paczce tej złożonych, wyjmując je z niej lub wkładając z powrotem, przyczem zauważono, że z niektórych książek owo „coś" wydzierało jedne kartki, a inne znaczyło paznokciem — przedewszystkiem jednak układało od-

dzielnie książki i kajety, należące ongiś do śp. Wasylka, synka ks. Demczyńskiego, który przed dwoma laty (1920 r.) zmarł na dyzenterję. Prócz tego na paczce tej owo „coś" bębniło jakby palcami, kułakiem i dłońmi różne melodje, a także akompanjowało w ten sposób do taktu, gdy obecni śpiewali lub świstali.

To ostatnie zjawisko naprowadziło obecnych na myśl możności wzajemnego porozumiewania się. Ks. Demczyński sformułował sakramentalne od czasów panien Fox pytanie: jeśliś duch, to stuknij trzy razy! Oczywiście stuknęło trzy razy i w ten sposób przyczyna zjawisk została ustalona, zaś dotychczasowe „coś" zaawansowane jednocześnie zostało do rangi ducha. Trzeba było tylko ułożyć się co do sposobu porozumiewania się z tym duchem i wywiedzieć się „kim" jest ów duch. Pierwsze przyszło bardzo łatwo i sam duch „wprowadził porządek postępowania" [1]): jedno uderzenie na „tak", dwa na „nie", a trzy na „do widzenia". Z ustaleniem tożsamości ducha poszło nieco trudniej: przy czytaniu duchowi alfabetu zauważono, że mocniej stukał na litery „W" i „D". Z tego wyprowadzono domysł, że „duchem" jest Wasylko Demczyński, pewności jednak na razie nie było. Pewność tę miał dać sam duch w sposób atoli zupełnie nieoczekiwany.

Dnia 17 listopada, jak opisuje dr. Łopatyński (profesor gimnazjalny [2]), żona ks. Demczyńskiego „jakby za jakim podszeptem" dała swej córce Maryjce polecenie włożyć do skrzynki ołówek i kawałek papieru... „i wkrótce potem — pisze dr. Łopatyński — usłyszeliśmy, że coś wzięło ołówek do ręki i poczęło drapać po papierze. Wtem ołówek się złamał i on wyrzucił go na środek pokoju. Zaświeciliśmy zapałkę i ku naszemu zdziwieniu ujrzeliśmy próby pisania i zygzaki. Włożyliśmy zatem nowy kawałek papieru i nowy ołówek i od tego czasu rozpoczęła się z nim regularna korespondencja". Na tej drugiej włożonej kartce jeszcze nie zupełnie wyraźnie było napisane: „całuję ręce"; na trzeciej całkiem już wyraźnie: „całuję ręce", a na czwartej: „mamie

[1]) *Ukraińskij Hołos* 1. IV. 23.
[2]) Tamże.

i Maryjce. Wasylko". Na zapytanie: „czego żądasz dziecino?" na piątej kartce były słowa: „Wasylko w Brodach umarł w 1920 roku". W ten sposób tożsamość ducha została „ustalona".

Od tej chwili porozumiewano się z „Wasylkiem" za pomocą nowego tego sposobu — acz jednocześnie i za pomocą pytań, na które odpowiedzi „tak" i „nie" wystukiwał. Gdy mu kładziono do paczki papier, wciągał ją „Wasylko" pod łóżko, „jak mu to było wygodnie i regularnie pod głowę Włodka" [1]). Gdy kartka była zapisana, wysuwał skrzynkę z pod łóżka; ołówek z początku rzucał na ziemię, a potem kładł pięknie na kartce, dając tylko uderzeniem znak, że skończył pisanie.

Atoli to wszystko, acz już bardzo nadzwyczajne, było niczem w porównaniu z tem, co stać się miało 27 listopada. W wilję tego dnia dr. Łopatyński przyniósł w prezencie jabłka i ciasteczka. Pannie Maryjce Demczyńskiej przyszło, jak sama mówi [2]), do głowy włożyć jedno jabłuszko do owej skrzynki, za co „Wasylko" zaraz podziękował na kartce. Dnia następnego, tj. 27 listopada, jabłko nieruszone leżało dalej w skrzynce wciśnięte między książki. „Wasylko" przybył tego wieczoru „wielce uradowany i wesoły", dziękował raz jeszcze za jabłko i za poświęcenie domu, które na jego życzenie zostało dokonane tegoż dnia popołudniu. Gdy mu wsunięto do skrzynki drugą kartkę, napisał na niej: „ja już jabłuszko sobie wziąłem". I rzeczywiście „ku zdumieniu nas wszystkich obecnych [3]) jabłko ze skrzynki zupełnie znikło. Nie chcieliśmy wierzyć naszym zmysłom i parokrotnie pyliśmy się go, czy rzeczywiście zabrał on jabłko. Każdorazowo potwierdzał on to stukaniem. Przeszukałam natychmiast całą paczkę — zeznaje dalej Maryjka Demczyńska — a nazajutrz rano (podkreślenie nasze) cały pokój. Ale jabłka nie było..." Po wzięciu jabłka „Wasylko" długo się niem bawił, podrzucał je w powietrze „niby piłkę" [4]), kulał niem, stukał o dno paczki, wreszcie „sam od siebie", tj.

[1]) *Ukr. Hołos* 1. IV. 23.
[2]) „Pojawy duchiw" allegat 14.
[3]) Tamże.
[4]) *Ukr. Hołos* 22. IV. 23.

nie pytany napisał: „proszę kupić mi jaką gruszkę". Gdy to żądanie jego wypełniono i gruszkę włożono do paczki, „Wasylko„ „wesoło pobębnił" i napisał: „Ja was proszę byście mi jutro kupili czekoladkę danusię", poczem zaraz na innej kartce: „ja gruszkę wezmę jutro razem z czekoladką", a wreszcie na trzeciej kartce wyjaśnił: „ta danusia będzie nie dla mnie a dla Pana Boga". Przed samem zaś odejściem napisał: „ja już dłużej pozostać nie mogę, bo muszę to jabłko przygotować dla Pana Boga". Na tem zakończyły się fenomena tego pamiętnego dnia.

Dni następnych niejednokrotnie „Wasylko" zabierał kładzione mu do paczki owoce, czekoladki, ciasteczka i t. d., a zabierał zazwyczaj o czwartej popołudniu, gdy nikogo w pokoju nie było, nawet Stefanka i Włodka. Przedmioty te przed zabraniem leżały czasem po parę dni w paczce, co pozwalało stwierdzić, że czekoladki bywały obdarte ze srebrnego opakowania, a nawet miewały brzegi zmoczone. Ten ostatni szczegół, ustalony zresztą przez paru świadków, jest tembardziej zastanawiający, że „Wasylko" w jednej ze swych odpowiedzi (danych stukaniem) zapewnia, że jeść nie może, bo duchy nie jedzą, aczkolwiek smak czują. Któż więc oblizywał czekoladkę...? Raz czekoladka duchowi zginęła i skarżył się za to na „niedobrych chłopców", którzy mu pewno ją zjedli; zresztą sam potem wpadł na domysł, że zjadł ją pewno piesek „Sia".

Z fenomenów przez „Wasylka" pokazywanych zaznaczyć jeszcze trzeba, że raz słychać było jak „boso" biegał między obecnymi (*Ukr. Hołos* 27. V. 1923), że znaleziono, iż ołówek, którym on pisał w paczce, był ciepły („Pojawy" str. 27 i 58), następnie, że ukazał się on paru osobom w postaci widma w powiewne szaty odzianego, innym zaś w postaci przelatującej świetlnej mgławicy *(Ukr. Hołos* 24. VI. 1923); dalej jednego razu „Wasylko" począł książkami ze swej paczki rzucać w stronę drzwi; spytany dlaczego tak robi, wyjaśnił, że Pan Bóg polecił mu odpędzić „cudzego ducha" (kartki 95 i 96 pisane przez „Wasylka").

Pozostaje nam już teraz dla całości obrazu opisać dzieje nawiedzenia domu ks. Demczyńskiego przez djabła i rolę, jaką w tem odegrał „Wasylko", a na zakończenie

przytoczyć kilka z najbardziej charakterystycznych jego komunikatów, wypisanych „własnoręcznie" na karteluszkach papieru.

Dnia 25 listopada — opisuje dr. Łopatyński [1]) — poczęło „coś" drapać w drzwiczki kominka „bardzo nieprzyjemnie"; jednocześnie z tem zwyczajne stukanie „Wasylka" stawało się coraz to słabsze, a im słabsze było, tem silniejsze robiło się owo drapanie w kominie. Nazajutrz, t. j. 26 listopada, gdy „chłopcy położyli się do łóżka", wnet coś znowu zaczęło drapać w kominie i „udawać Wasylka" tak, „że mieliśmy wszyscy nieprzyjemne wrażenie i nie wierzyli, iżby to był Wasylko". Naraz „z wielkiemi oznakami radości wleciał Wasylko i jął wystukiwać o paczkę swą melodję", a potem zaraz napisał na kartce: „to był czart". Na takie oświadczenie obecnych „ogarnął strach", ale wkrótce się uspokojono, gdyż drapanie ustało. W tem miejscu oddajemy pióro dr. Łopatyńskiemu i dosłownie przepisujemy jego opowieść:

> „Tego samego dnia [2]) rano zjawił się na strychu wielki biały kot, brudny, obsmarowany sadzą, znacznie większy od pospolitych kotów i miauczał mocno na strychu. [3]) Domownicy chcieli go spędzić ze strychu, ale on biegał z miejsca na miejsce i patrzał złośliwie swemi wielkiemi buro-zielonemi oczami, wskakiwał na okna, przeraźliwie miauczał i wyglądał przez sztabki tak, że zwracał na siebie uwagę wszystkich przechodniów, którzy zatrzymywali się na trotuarze, patrzali i mówili: widać jakiś duch. Jednakże Maryjce Demczyńskiej zrobiło się żal zgłodniałego kota. Przyniosła mu w miseczce mleka i zapraszała łagodnemi słowami, żeby jadł... Ale kot biegał tylko po belkach zdaleka tu i tam, patrzał swemi strasznemi zielonemi oczyma i miauczał. Wreszcie Maryjce samej zrobiło się straszno

[1]) *Ukr. Hołos* 15, IV, 23.

[2]) Tamże.

[3]) O tym kocie zeznał następnie Kostik Demczyński przed komisją metropolitalną, że widział tego kota na strychu, do którego gdy podszedł, to kot „wytrzeszczył oczy i nie chciał uciekać". Zeznał dalej Kostik, że dwa już dni przedtem słyszał od ludzi, „że u-nas jest kot, który zamienia się w djabła".

i zostawiła mleko i kota. Gdy znowu po jakiejś chwili zaglądnęła na strych, kota już nie było, a mleko stało nietknięte. Wasylko teraz sam bez pytania napisał: „ten kot, co był na strychu, to był czort". Nas znowu ogarnął strach, tembardziej żeśmy usłyszeli, że w górze nad łóżkiem coś drapie i stuka w drzwiczki komina. „Proszę zatkać komin, bo djabeł znowu idzie" — pisze na kartce „Wasylko". Rzuciliśmy się zatykać komin na dole i na strychu, przyczem wyjaśniło się, że komin na strychu zamknięty, a w izbie tylko uchylony. Jeszcze byli na schodach ci, którzy pobiegli zamykać komin, gdy „Wasylko" zapytany co zrobić, gdy djabeł tu przyjdzie, szybko napisał: „przeżegnać to miejsce". Tośmy też wnet zrobili i wszędzie na drzwiach narysowali krzyże. Jednakowoż nieuspokojeni pytaliśmy się go, w jaki sposób można djabła wygnać ze strychu. „Poświęcić strych" — napisał na kartce „Wasylko". Tymczasem na strychu wciąż turkocze i stuka, jakby ktoś wozem jeździł. „Teraz czort strasznie złości się na strychu" — pisze dalej „Wasylko". Hurkot na strychu staje się coraz silniejszy; wydawało się, jakby ktoś polanem czy czemś podobnem stukał. „Z czorta na strychu aż ogień się sypie, taki zły" — wyjaśnia „Wasylko". Ale już ani my, ani „Wasylko" nie kłopotaliśmy się tem dłużej; czuliśmy się w jego obecności zupełnie bezpieczni. Pytaliśmy się go teraz o rozmaite inne rzeczy, a między niemi, jak długo trzeba lecieć z cmentarza do nas. „Pół sekundy" — odpisał „Wasylko".

Taki był pierwszy występ „djabła". Następne występy nosiły charakter mniej wyraźny acz również przerażający. Dnia 9 grudnia — tak samo zresztą jak i dnia poprzedniego, „coś" ogromnie silnie drapało, tak że wszyscy obecni poczuli się „mocno zdenerwowani" i zaczęli się modlić. Gdy przybył „Wasylko", na zadane mu pytanie kto to był, odpisał: „to była obrzydliwa dusza". Owa „obrzydliwa dusza" przychodziła tego wieczoru trzy razy, wyrzucała ze skrzynki książki i położone w niej podarunki dla „Wasylka" — jabłkiem zaś trafiła ks. Kozaczewskiego, miejscowego rz. katol.

katechetę w kolano. „Znowu poczęto się modlić i święcić skrzynkę". Nazajutrz, 10 grudnia, powtórzyło się znowu „drapanie pazurami" i wyrzucanie przedmiotów ze skrzynki, w której zostały jedynie krucyfiks oraz ołówek i papier „Wasylka". [1])

Tegoż wieczoru wybitną rolę odegrał wzmiankowany już katecheta. Zapytał: „duszo, czego żądasz?" ale odpowiedzi nie otrzymał; następnie wzywał „aby w imię Jezusa Chrystusa dusza nieczysta precz poszła" [2]) — wreszcie miał długą rozmowę z „Wasylkiem" za pomocą pukania, podczas której „Wasylko" mu powiedział, iż wie, że ks. Kozaczewski tego dnia odprawił na jego intencję mszę św. i że na mszy tej był obecny, że drapiąca zaś dusza jest duszą niepotrzebującą pomocy, potępioną, znajdującą się w piekle i której msza św. pomóc nie może. [3])

Przechodząc do dawanych przez „Wasylka" komunikatów, podzielić je trzeba na dwie kategorje: udzielanych na piśmie i za pomocą wystukiwania; jednocześnie komunikaty te były albo udzielane na pytania, albo samorzutne. Komunikaty dawane stukaniem — z nich tylko niektóre zapisano — między innemi pouczają nas, że „Wasylko" jest obecnie w niebie; że Bóg zesłał go na ziemię, aby ludzie po wojnie się nawrócili; że na tamtym świecie wszystko jest tak, jak w katechiźmie opisano. [4]) Dalej dowiadujemy się z nich, że „Wasylko" ma ręce, że ma ciało astralne; że jest większy niż był za życia; że nie ma ubrania; [5]) że zalatuje często do znajomych, a nawet na gwiazdy, gdzie żyją też ludzie, acz inaczej wyglądający, niż my; że po domach jest pełno duchów złych i dobrych; że nieprawdą jest, iżby duchy przychodziły jeść „kutię" na Boże Narodzenie, natomiast prawdą jest, że w Wielki Czwartek zbierają się one nocą po kościołach; [6]) że gdy umierał, widział obok siebie z jednej strony djabła, a z drugiej anioła; że kontent z miej-

[1]) *Ukr. Hołos* 27, V, 23.
[2]) „Pojawy" str. 36.
[3]) Tamże str. 39.
[4]) Tamże str. 67.
[5]) *Ukr. Hołos* 10, VI, 23.
[6]) Tamże 24, VI, 23.

sca wybranego mu na grób.[1]) Co do kwestji, czy ludzie niekatolicy mogą być zbawieni, „Wasylko" odpowiedzi nie udzielił, acz z zeznania p. Osipa Sirka[2]) wnioskować możemy, że z „Wasylkiem" prowadzone były rozmowy wielce teologiczne: p. Sirko mianowicie zeznaje, że 7 grudnia nie wpuszczono go do domu p. Demczyńskiego, gdyż „tego wieczoru ojcowie duchowni układali pytania o charakterze czysto religijnym, przy których świecki człowiek obecnym nie powinien był być".

Co się tyczy komunikatów dawanych na piśmie, to zachowano ich ogółem 127, które też znajdują się dosłownie przytoczone w dodatku do broszury „Pojawy duchiw", a niektóre nawet odfotografowane. Komunikaty te, jak wiemy, były pisane w skrzynce, pod łóżkiem, przyczem piszący nieraz wpisywał jedne litery w drugie i — na co zwrócić trzeba uwagę — często gęsto przewracał kartki na drugą stronę, aby dokończyć rozpoczętego zdania. Świadkowie wszyscy zgodnie potwierdzają niesłychane podobieństwo charakteru pisma „Wasylka" z charakterem jego pisma za życia: nawet te same błędy tu i tam mają się znajdować. Szkoda, że nie podano w broszurze *fac simile* pisma Wasylka za życia. Co do treści pisanych komunikatów, to odnoszą się one w znacznej części do jabłek, czekoladek, łakoci i zabawek (32 razy); z pozostałych komunikatów podajemy kilka bardziej charakterystycznych próbek: „ja dlatego do was przychodzę, bo na cmentarzu smutno samemu" (kartka nr 13); „do godziny dziesiątej siedzę na łóżku mamuńci, od 10 do 11 na (łóżku) Maryjki, a potem idę do kancelarji" (nr 14); „ja proszę was bardzo, byście wzięli to krzesło, bo ono z rosyjskiego szpitala" (nr 18)[3]); „ja was proszę jutro zagrać mi na cytrze" (nr 36); „ludzie żyją, ale nie na wszystkich gwiazdach" (nr 53); „nie mogę zostać dłużej, bo muszę to jabłko przygotować dla Pana Boga" (nr 59); „jak u was ósma, to u mnie wpół do ósmej" (nr 89); „u nas niema

[1]) Tamże 6, V, 23.

[2]) „Pojawy" str. 32.

[3]) Okazało się, że rzeczywiście było w pokoju krzesło, zostawione przez wojsko polskie, które je zdobyło na bolszewikach, a potem o niem zapomniało.

nigdy nocy" (nr 92) i t. p. Dnia 5 grudnia napisał na kartce swe imię i nazwisko; tegoż dnia na pytanie zebranych księży, czy mogą odprawić na jego intencję nabożeństwo, odpisał ks. Kozaczewskiemu: „w niedzielę", zaś ks. Osadcy: „w piątek", a ks. Finczyńskiemu: „kiedy ksiądz Finczyński zechce". Na znak, że przychodzi w imieniu Chrystusa, napisał 6 grudnia: „† Jezus Chrystus". [1]) Na zapytanie żandarma Zachary napisał po polsku (kartka 120): „ojciec pana jest razem ze mną". To samo napisał Maryjce Szustównej, ale po ukraińsku. Kartką nr 29 prosił obecnych, ażeby nie robili „doświadczeń", co mu zresztą następnie — jak zobaczymy — nie przeszkodziło napisać w obecności komisji: „niech oni mnie znowu wywołają" (kartka 126), a zwracając się do p. Bauerówny: „ja chcę pisać na stoliku" (kartka 127).

Na sam koniec opisu wypadków w Brodach zachowaliśmy doświadczenia, czynione z „Wasylkiem" przez komisję metropolitalną. Zjechała ona do Brodów 15 grudnia 1922 r., w osobie trzech księży ze Lwowa; byli nimi: ks. Gawryił Kostelnyk, katecheta szkoły realnej, O. Piotr Kisil, bazyljanin, prorektor seminarjum duchownego i Dr Dionizy Dorożyńskij, promotor sprawiedliwości przy sądzie metropolitalnym. Na badania tej komisji zgodził się sam „Wasylko", aczkolwiek raz zastrzegał się, że nie chce „żadnych doświadczeń". Komisja szczegółowo oglądnęła pokój i „odsunęła skrzynkę „Wasylka" od muru, lecz nie ruszała znajdujących się w niej rzeczy, bo domownicy uprzedzili komisarzy, że „Wasylko zawsze prosi, by mu paczki nikt nie ruszał". Następnie komisja chciała poddać badaniu Włodka Wilczyńskiego, azali nie posiada on właściwości medjumistycznych; odstąpiła jednak od tego zamiaru na skutek oświadczenia dr. Łopatyńskiego, że on czynił już dwukrotne próby w tym kierunku, ale zawsze bezskutecznie. O godz. 18 minut 20 nastąpiło pierwsze zetknięcie się komisji z „Wasylkiem", przyczem nawiązała się między niemi następująca rozmowa za pomocą wystukiwania „tak" i „nie".

Ks. Kisil pyta:

— Czy będziesz odpowiadać po łacinie? — Odpowiedź niejasna.

[1]) „Pojawy" str. 65.

— A po francusku? po niemiecku? po angielsku? — Nie.

— A po ukraińsku? — Tak.

Ks. Kostelnyk pyta:

— Czy znasz moją zmarłą córeczkę Sławcię? — Milczenie.

— Czy znasz Sławcię Kostelnyk, co umarła we Lwowie w 1920 roku? — Tak.

— Czy ją widziałeś? — Tak

— Pozdrowisz ją odemnie? — Tak.

Ks. Kisil zadaje dalsze pytania:

— *Esne homo?* — Milczenie. — *Esne spiritus?* — Milczenie. — *Esne creatura Dei?* — Milczenie. *Esne anima humana?* — Milczenie. — *Esne angelus?* — Nie.

Na tem rozmowa się urwała. Zaznaczyć tylko jeszcze należy, że „Wasylko" oświadczył na zapytanie panny Maryjki, że nie będzie mógł nic napisać, na zapytanie zaś ks. Kostelnyka, że nie będzie mógł wybębnić żadnej melodji. Czuje się tu, że „Wasylko" został poważnie zaniepokojony nową dla siebie urzędową indagacją. Komisja wszakże w dalszym ciągu swego postępowania ośmieliła go niejako do większej swobody.

Dzień następny, 16 grudnia, rozpoczęty został nabożeństwami w kościele, odprawionemi przez księży z komisji i trzech miejscowych duchownych. Odprawione przez nich msze były na intencję „dodatniego ukończenia badań, a przedewszystkiem, ażeby członkowie komisji mieli możność osobiście się przekonać o nadzwyczajnem zjawisku". Ranek i popołudnie zeszły na badaniu świadków i dopiero o godzinie 18 zawiadomiono komisję, że zjawiska się rozpoczynają. Na dobro komisji trzeba powiedzieć o podstępie, który był przez nią obmyślony: licząc się z tem, że „Wasylko" może któregoś z członków komisji wykluczyć ze swej obecności, jak to czynił niekiedy z innymi ciekawymi, zdecydowano pozornie „mu" ulec, a gdy zjawiska rozwiną się, nagle wejść do pokoju i... zobaczyć, co z tego wyniknie. Była to bodaj jedyna rozsądna rzecz, którą komisja dnia tego uczyniła, szkoda tylko, że nie umiano zgoła wyzyskać tego dobrego skądinąd konceptu.

Z chwilą rozpoczęcia zjawisk ks. Kostelnyk poruczył

Maryjce Demczyńskiej zwrócić się do „Wasylka" i po imieniu wywoływać nazwiska osób: „Wasylko" zaś miał dawać znak, kogo dopuszcza, a kogo wyklucza [1]). Jak było przewidziane, wykluczył parę osób, a wśród nich jednego z członków komisji, ks. Dorożyńskiego. Wykluczył też i dr. Łopatyńskiego, tego wiernego z najwierniejszych. Gdy dopuszczone osoby znalazły się w pokoju fenomenów, ks. Kostelnyk rozpoczął indagację pytaniem: „Wasylku! czy ty tu?" na co otrzymał stuknięcie raz, tj. „tak". Kazał mu więc coś „zagrać", tj. wybębnić, co też „Wasylko" z wielką fantazją i wyrazistością wnet uczynił. Następnie odbyła się próba pisania zupełnie udana. Wreszcie następuje rozmowa, podczas której „Wasylko" stwierdza stukaniem tożsamość swej osoby, fakt, że jest duchem dobrym i że pragnie być zaliczony w poczet świętych, przyczem ks. Kostelnyk stale zwraca się do niego imiennie, mówiąc mu „Wasylku". Notujemy to dla uwypuklenia stanu psychicznego członków komisji.

W tym momencie występuje ks. Kisil z zapytaniem, w którym mianowicie kanonie traktuje się o kanonizacji świętych... i odpowiedzi nie otrzymuje. Niezrażony tem, zapytuje dalej: „Czy nie możesz dać odpowiedzi?" na co słychać jedno uderzenie, tj. „mogę". „A dasz odpowiedź?" — stuknięcie: „nie". Podobneż intermezzo urządza sobie ks. Kostelnyk: otrzymawszy zapewnienie „Wasylka", że chłopcy leżący na łóżku nie szachrują, p r o s i o pozwolenie trzymania ich za ręce, podczas gdy „Wasylko" pisze. „Wasylko" jednak pozwolenia odmawia, a na logiczne zapytanie ks. Kostelnyka: „jakże w takim razie nas przekonasz?" odpowiedzi wogóle żadnej nie daje. Zgadza się coprawda pisać przy czerwonem świetle, ale że takiego światła niema pod ręką, więc... komisja przechodzi do porządku nad sprawą kontroli.

Na szczęście atoli następuje zgoła niespodziewany zwrot w dotychczasowym przebiegu rzeczy. Coprawda nie komisja

[1]) Wogóle Maryjka D. znajduje się w niezwykle bliskiej zażyłości z fenomenami i występuje niejako w rodzaju impresarja „Wasylka". Przebieg całego tego wieczoru szczegółowo opisany w osobnem sprawozdaniu komisji, załączonem do broszury „Pojawy duchiw" jako alegat 15 (str. 55—58).

go wywołuje — komisja wogóle bardzo szybko zeszła z roli kierującej do roli widza i biernego narzędzia — wywołuje go jedna z licznych obecnych osób: niejaka panna Bauerówna, miejscowe medjum amatorskie. Pyta „Wasylka" czy to on był w ubiegły wtorek na seansie, gdy go ona wywoływała; na to pytanie „Wasylko" milczy, lecz gdy je powtórzyła p. Maryjka, „Wasylko" na kartce pisze te słowa: „niech mnie oni znowu wywołają".

Wobec tego, że się okazało iż wywoływanie to ma nastąpić zaraz i w dodatku przy świetle, komisja zdecydowała „dopuścić do tego, bo to mógłby być decydujący dowód na to, że przy tych zjawiskach wykluczony jest wszelki podstęp lub oszustwo, a że przyczyną tych zjawisk jest rzeczywiście duch".

Rozpoczyna się więc nowy moment doświadczeń, już wyraźnie na sposób „medjumistyczny". W natłoczonej małej izbie cisną się aż dwadzieścia dwie osoby; wślizgnął się nawet wykluczony ks. Dorożyński. Za stolikiem, na którym stoi krzyż, zasiada panna Bauer; trzyma ołówek w ręku. Wnet ręka poczyna nerwowo drgać; ołówek wypada z pomiędzy palców i medjum poczyna „strasznie bić rękami po stoliku". Rąk tych było nie sposób utrzymać. Wreszcie medjum zrywa się: jej ręce i ona cała rzuca się kurczowo. Ks. Kisiel woła, żeby jej dać krucyfiks, stojący na stole, co uspokaja po chwili medjum. Wtedy przynoszą talerzyk i arkusz papieru z napisanym alfabetem i medjum tym systemem poczyna pisać. Naraz jej ręce „oderwało" od talerzyka i poczęła niemi wystukiwać „różne arje" na stole — tak samo, jak to się działo w skrzynce pod łóżkiem. Potem medjum pisało odpowiedzi i między innemi „Wasylko" przez nią narysował konia. Podczas trwania seansu p. Bauerówna była zupełnie świadoma; natomiast „nie miała władzy nad swemi rękami począwszy od łokcia". Zmęczywszy się, poprosiła „Wasylka", by odpowiadał dalej ze skrzynki: wtedy jej ręce poczęły się naraz miotać i coś jakby ją pociągnęło za wysunięte ręce w stronę łóżka: biła po niem rękami „aż do miejsca pod którem stała skrzynka". Medjum, schyliwszy się, rękami grzebało w skrzynce. Poczem uspokoiło się.

Po chwili odpoczynku, na żądanie „Wasylka" panna

Bauerówna znowu siadła przy stoliku i wzięła ołówek do ręki. Tym razem pisała spokojnie, „bo była prosiła o to" „Wasylka". Tymczasem ośmielił się na pytania i „wykluczony" przez „Wasylka" ks. Dorożyński. Zapytał o powód swego wykluczenia, na co jednak odpowiedzi nie otrzymał. Na ponowne jego pytanie, z zaklęciem na Chrystusa: „kto ty?" ręka medjum, gryzmoląc niekształtne litery i przekreślając je, wreszcie napisała: „ja będę pisał w skrzynce", przyczem do ukraińskich liter wcisnęła się jedna polska, a druga zupełnie mylna. W tejże chwili pociągnęło znów medjum do skrzynki akuratnie, jak za poprzednim razem. Tu już znowu zgaszono światło (sprawozdanie nie mówi, co się stało z p. Bauerówną: czy została pod łóżkiem?) i pytanie uroczyste w imię Chrystusa zadał duchowi ks. Kostelnyk: „kim jesteś?" Odpowiedź otrzymana na kartce wydobytej z skrzynki głosiła: „ja Wasyli Demczyński dobry duch". Tak ją czyta komisja, reprodukcja wszakże tej kartki, dołączona do broszury, posiada tylko jedno słowo „duch" całkiem wyraźnie napisane; reszta słów jest w najwyższym stopniu nieczytelna. Teraz z kolei ks. Dorożyński włożył do skrzynki kartkę z napisem: „zaklinam cię w imię Chrystusa, napisz, czy kochasz Boga?" Odpowiedź została otrzymana na tej samej kartce: poprzez tekst pytania nadzwyczaj wyraźnie „Wasylko" napisał słowo: „lublu" — kocham. Ta odpowiedź, opuszczająca przy czasowniku „lublu" przedmiot miłości, nie zadowolniła ks. Kisila; zażądał więc wyraźnie od „Wasylka", aby napisał: „lublu Boha". Gdy żądanie to sformułowano (ustnie), rozległy się w skrzynce szelesty, a potem trzy szybkie uderzenia, które zazwyczaj oznaczały odejście „Wasylka"; w tejże chwili usłyszano „silne drapanie po paczce, stukanie nią, wywracanie jej i wyrzucanie z niej rzeczy". Zapalono wtedy światło dla skonstatowania tego, co zaszło, poskładano z powrotem wyrzucone z paczki przedmioty, a ks. Kostelnyk skropił cały pokój święconą wodą. Gdy jeszcze raz zgaszono światło, znowu zaczęły się te same objawy, co poprzednio, z tą różnicą, że paczkę „przewróciło" zupełnie. Ks. Kostelnyk jął zaklinać „złą duszę" w imię Boga, „aby odeszła", ks. Kisil zaś począł krzyczeć *apage!* Gdy wszystko to nie pomagało, „zapalono światło i wszystko

ustało". I znowu poskładano przedmioty do paczki, dołączając tym razem „na próbę" wielki krucyfiks; ponadto ks. Kisil skropił wodą święconą paczkę i wszystkich obecnych. Po zgaszeniu światła poprzednie fenomena się powtórzyły; ks. Kostelnyk począł odmawiać modlitwy i zaklinania; „naraz jakaś siła wyrzuciła krzyż z paczki..." Ks. Dorożyński chciał, aby dano zjawisku wolę: „niech pokaże do końca co umie", ale ks. Kostelnyk sprzeciwił się temu, gdyż — powiedział — mogłoby dojść do „nie przewidzianych straszliwych następstw".

Nic lepiej od tych słów nie charakteryzuje paniki, która owładnęła obecnymi: dodatkowo ilustrują ją jeszcze zanotowane w protokole dwa fakty: pierwszy, że „natychmiast rozkazano chłopcom wstać z łóżka", a drugi, że ks. Dorożyński począł czynić przygotowania do egzorcyzmów. Te ostatnie jednak okazały się zbytecznemi, gdyż żadne zjawiska się już nie powtórzyły mimo położenia nawet chłopców na łóżko i zgaszenia światła... Komisja tego dnia przesłuchała jeszcze kilku świadków poprzednich zjawisk, spisała protokół ze wszystkiego, zarządziła odfotografowanie ciemnego pokoju, paczki, krucyfiksu, który z paczki został wyrzucony „przez nadzwyczajną siłę tajemniczą", i skopjowanie fotografji ś. p. Wasylka. Na drugi dzień wyjechała do Lwowa; wtedy też ustały zjawiania się „Wasylka", mimo czynionych prób wywołania go znowu. Broszura ks. Kostelnyka mówi w końcowym przypisku, że „duch Wasylka zjawił się jeszcze raz, ale tylko na krótki czas i nic nie pisał". Dr. Łopatyński pisze, że miało to miejsce po Bożem Narodzeniu 1922 r. Dnia tego próbowano wywołać „Wasylka" na seansie spirytystycznym, odbywanym przy udziale p. Bauerówny: przybył jakoby jakiś duch, podający się za Wasylka, lecz gdy odszedł, przyszedł prawdziwy Wasylko, uskarżał się na gazety, które nie wierzą w jego prawdziwość i przepowiedział dr. Łopatyńskiemu, że jego artykuły będą przyjęte do druku [1]).

[1]) *Ukrain. Holos* 24. IV. 23.

## II.

Opisane dziwne zjawiska, jak łatwo zrozumieć, musiały wywołać nie tylko zainteresowanie sąsiadów, a potem i dalszych ludzi, ale nadto ci zwłaszcza, co bliżej się z niemi zetknęli, musieli postawić sobie pytanie o ostatecznej przyczynie dziwów. Człowiek, czy chce czy nie, jest metafizykiem, nie lubiącym ograniczać się do prostego rejestrowania zjawisk.

Jak z opisu samego widać, najpierwsi zagadnienia te rozwiązali dla siebie pp. Demczyńscy z całą rodziną i najbliższymi przyjaciółmi. Po krótkiej niepewności pierwszych dni doszli do przekonania, że sprawcą dziwnych rzeczy jest ś. p. Wasylko i w dalszym ciągu już tylko do Wasylka się zwracali bez żadnego wahania. Rzecz to aż nadto zrozumiała, jeśli się weźmie pod uwagę nie tylko same zjawiska, ale atmosferę psychiczną i moralną, jaka na plebanji w Brodach panowała, a na jaką nam rzucają światło wynurzenia Dra Łopatyńskiego. „Gdy 26 września 1920 r. — pisze Dr. Łopatyński — zmarł Wasylko, jego nieutulona w żalu matka całemi godzinami, a nawet nocami przesiadywała na cmentarzu. Od tego też czasu najulubieńszą rozmową i najciekawszą lekturą stały się — duchy. Zresztą pod tym względem plebanja już sama dawała obfity materjał: zbudowana temu prawie 100 lat, krążyły o niej głuche wieści i opowiadania; widziano w kancelarji jakąś postać przewracającą kartki ksiąg metrycznych; widziano ją zdążającą z kościoła do plebanji; słyszano stuki i hałasy, a „jeden oficer, który za wszelką cenę chciał zdobyć kwaterę w plebanji, po paru przespanych tam nocach uciekł, nie podając żadnej przyczyny". W wieczór śmierci Wasylka jego brata Kostia budzi stukanie w okno, a Maryjka Demczyńska ma parokrotnie dziwne sny, w których widzi i słyszy Wasylka... Coprawda nikt z świadków wprost nie opowiada o urządzanych dawniej seansach spirytystycznych, ale z pewnych napomknień i zażyłości z p. Bauerówną rodzi się podejrzenie, że próbowano ich również. Charakterystycznym jest jeden komunikat „Wasylka"; wystukał on, że „widział często gęsto swoich siedzących na cmentarzu całemi wieczorami i no-

cami“ [1]). Wogóle zdaje się nie ulegać wątpliwości, że atmosfera panująca w domu ks. Demczyńskiego predysponowała do łatwego uwierzenia w objawienie się ducha zmarłego Wasylka. Czyż dziwną się może komuś wydać rzeczą, że się łatwo uwierzy w to, czego się pragnie tak gorąco? A skoro zjawi się subjektywna pewność jakiejś interpretacji, już trudno wymagać surowego krytycyzmu. W takiem psychicznem usposobieniu sceptycyzm innych, propozycje zastosowania jakiejś surowszej kontroli wydadzą się poniekąd ubliżeniem wierzącym, a w takich razach, jak tu kiedy chodziło o drogie zmarłe dziecko — niemal profanacją. Stąd też dowiadujemy się, że jeszcze obcy stosowali czasem jakieś niby środki kontroli: czasami trzymano chłopców za ręce, lub nogi, czasem kładł się z nimi ktoś do łóżka, czasami zaglądano pod łóżko — natomiast rodzina pp. Demczyńskich uważała to niejako za zbyteczne, zwłaszcza gdy sam „Wasylko“ nie życzył sobie, by z nim czyniono „doświadczenia“. Jeden z badanych przez metropolitalną komisję świadków, p. Sirko, mówi: „chcieliśmy prosić pp. Demczyńskich o pozwolenie sprowadzenia specjalistów, którzyby każdy ruch skrzynki, ołówka i papieru sfotografowali przy sztucznem świetle, dalej, którzyby dokonali analizy powietrza (!), które w danej chwili było nad skrzynką, wreszcie, którzyby zajęli się obserwacją tego w jaki sposób darowane zjawisku przedmioty znikają. Jednakże dowiedzieliśmy się, że zjawisko nie pozwala na doświadczenia“.

Wiarę pp. Demczyńskich rychło podzielili i inni. Ten sam Sirko, który słusznie podsuwał myśl specjalnej kontroli, wyklucza w swych zeznaniach wszelkie oszustwo w danym wypadku. Tegoż zdania są wszyscy badani świadkowie: nie tylko nie mają oni cienia wątpliwości co do prawdziwych zjawisk, ale odnoszą je do przyczyn pozaświatowych, przeważnie do Wasylka. Posłuchajmy ich zeznań. Ks. Minko wyznaje: „skłonny jestem twierdzić o nadprzyrodzoności tego zjawiska“; sekretarz starostwa, p. Szust mówi: „w sposób naturalny nie umiem sobie wytłómaczyć“. Cytowany student Sirko: „nie mogę sobie wytłómaczyć tego zjawiska

[1]) *Ukr. Hołos* 6. V. 23.

w sposób naturalny. Przedtem nie wierzyłem w duchy, teraz wierzę". Posterunkowy Zachara przypisuje zjawiska „jakiejś sile pozagrobowej", a to „dla wrażeń, jakie odczułem podczas pukania Wasylka". Wierzy, że przyczyną zjawisk jest dusza ś. p. Wasylka. Ks. katecheta Kozaczewski mówi: „przypuszczam, iż przyczyna tego zjawiska jest nadnaturalna" i dalej: „...nie wykluczam jednak działania nieznanej dla nas siły natury". Prof. gimnazjum Sołtysik: „...przypisuję to sile nadzwyczajnej i skłaniam się nazwać ją duchem". Prof. gimnazjum Janotka podziela powyższe określenie. Prof. gimnazjum dr. Nadel: „byłem świadkiem zjawiska, które mnie przejmuje najgłębszem przekonaniem o nadnaturalnej przyczynie zjawiska". Ks. katecheta Osadca: „w sposób naturalny to zjawisko nie da się objaśnić. Mam wrażenie, że były dwa duchy... pierwszy duch był dobry, drugi zły". Prof. Juryjczuk: „Wszelkie oszukaństwo jest wykluczone: przypuszczam, że był to duch ś. p. Wasylka Demczyńskiego". Wreszcie Z. Łopatyński wyznaje: „wykonywującym wszystko to jest duch i to duch dobry, wpływający na wszystkich umoralniająco, by tak powiedzieć pedagogicznie (gdyż często za przewinienia, zwłaszcza dzieci względem matki, wykluczał z izby podczas dawania znaków); duch ten wpłynął na mnie (i na innych także) w ten sposób, że z ludzi zupełnie nie wierzących w duchy i życie zagrobowe zrobiłem się zupełnie przekonanym chrześcijaninem-katolikiem".

Wszystkie powyższe wyjątki zaczerpnęliśmy z zeznań osób badanych przez komisję metropolitalną. Najjaskrawiej jednakże mówi o powszechnej wierze w zjawianie się Wasylka przytoczony wyżej fakt, jak 5 grudnia zebrani księża pytali się „Wasylka", czy mogą na „jego intencję" odprawić mszę św. i mianowicie kiedy... Najcharakterystyczniejszą jest tu okoliczność, że sama komisja metropolitalna, przynajmniej jeden czy dwaj jej członkowie, przechylili się na stronę odniesienia zjawisk do duszy ś. p. Wasylka Demczyńskiego. Właściwie jeden z jej członków, zdaje się, przystąpił do badań już z tą wiarą, a przynajmniej skłonny do niej: wszak pytał „Wasylka", czy zna za grobem zmarłą jego córeczkę, Sławcię. W sprawozdaniu swojem z doświad-

czeń 16 grudnia komisja zapisała: „Należy zaznaczyć, że podczas bębnienia, suwania paczką i pisania tajemniczej siły pod łóżkiem, wszyscy obecni mają takie wrażenie, jakgdyby jakaś żyjąca istota z rękami tam się znajdowała. Jednakże wszelkie oszukaństwo absolutnie jest wykluczone: wtedy pod łóżkiem nikogo z ludzi niema. Ta tajemnicza siła zachowuje się we wszystkiem jak niezależna (odrębna) inteligencja, mająca swe własne myśli, upodobania, sprzeciwy i t. d.; rozmowę z nią prowadzi się tak samo, jak z jakimś człowiekiem“ [1]). Wreszcie we wstępie do broszury usiłuje ks. dr. Kostelnyk odeprzeć zarzuty przeciwko interpretacji, że sprawcą zjawisk brodzkich był Wasylko, dając tem do zrozumienia, że sam ku niej się przechyla, chociaż — wyznajmy to lojalnie — kategorycznej pewności co do tego nie wypowiada.

Widzimy, że w tłumaczeniu zjawisk na plebanji w Brodach poszło wielu po linji pono najpopularniejszej, przypisując je duszy zmarłego chłopca. Tylko OO. Bazyljanie stanęli na wręcz odmiennem stanowisku, dowodząc w szeregu popularnych artykułów *Misjonarza*, że sprawcą dziwnych zjawisk jest raczej szatan. Zawrzała nawet na ten temat ostra polemika, która dzieliła czytelników ukraińskich pism, a może i księży, na dwa obozy: obóz za Wasylkiem i obóz przeciw niemu. Przypuszczamy, że nie mało pozostało i takich, dla których zagadka zjawisk nie została rozwiązana. I kto wie, czy ci „agnostycy“ nie byli w danym razie najroztropniejsi.

## III.

Nie da się żadnego tłumaczenia zjawisk w Brodach, gdy się je odeśle poprostu do kategorji zjawisk spirytystycznych, medjumistycznych, czy choćby nawet metapsychicznych. Rzecz w tem, że same te nazwy, o ile obejmują pewne grupy niezwykłych zjawisk, czy też opowieści o takich zjawiskach, niczego nie tłumaczą, gdyż same wymagają własnego usprawiedliwienia. Czy wszystkie, czy przynajmniej niektóre z dziwnych zjawisk, o jakich sobie ludzie opowia-

[1]) „Pojawy“ str. 57 i 58.

dają, jakie na specjalnych nawet seansach wywołują, trzeba koniecznie odnieść do „duchów" jako do przyczyny sprawczej, jak chce spirytyzm, i do jakich duchów? Czy „medja" są naprawdę pośrednikami między żyjącymi ludźmi, a drugim światem — takby wypadało z samej nazwy „medjum", „medjumizm" — czy też są tylko chorobliwymi osobnikami, których rozstrojona czy przeczulona natura jest źródłem jakichś dziwnych fenomenów? a może są to natury nie chore, lecz wyższe, posiadające jakieś władze, do których nie dorósł ogół śmiertelników — jak chcą pewne teorje teozofów i okultystów? Czy wogóle istnieją takie jakieś niezbadane „siły" psychiczne — mniejsza o to czy w „chorych osobnikach" czy też w „wydoskonalonych istotach", siły, które staną się domeną nowej nauki zwanej „metapsychiką", czy też rzekoma „metapsychika" stanie się tylko sztuką demaskowania zręcznych oszustów, co podobno dotąd jest jedyną pozytywną jej zdobyczą?

Oto szereg pytań, narzucających się przy dźwiękach słów: spirytyzm, medjumizm, metapsychika. Powtarzamy, że niczego nam one nie wyjaśniają i na brodzkie zjawiska żadnego światła nie rzucą, gdy zjawiskom tym nakleimy taką czy inną etykietę. Trzeba raczej wziąć je — owe fenomeny na plebanji — indywidualnie i przypatrzeć się im bez szablonowego ich klasyfikowania i bez zgóry powziętej myśli wytłumaczenia ich koniecznie w ten czy inny konkretny sposób.

Jako pierwsza w szeregu staje przed nami oczywiście ta interpretacja, która pozyskała przeważną ilość osób, obserwujących zjawiska, interpretacja, według której sprawcą ich byłaby dusza zmarłego Wasylka Demczyńskiego. Tego tłumaczenia nie chcemy odrzucać *a priori,* jak uczyniliby np. materjaliści, nie wierzący w dalszy byt duszy po śmierci. Nie odrzucamy tej hypotezy także w imię jakiejś teorji mefafizycznej, choćby wyjętej ze spirytualistycznego systemu. Tak np. współczesny pisarz i apologeta, O. Mainage, w swojej książce *La Religion spirite* usiłował udowodnić niemożliwość wchodzenia dusz zmarłych w kontakt z tym światem, wychodząc z założenia, że dusza ludzka, z natury swej będąca „formą substancjalną" ciała, na inne ciała, a zatem

na nasze ziemskie otoczenie może oddziaływać jedynie przez swoje ciało, skoro zaś je opuści w chwili śmierci, traci też tę zdolność. Przyznajemy się, że siły tego argumentu zrozumieć nie możemy. W każdym razie owa niezdolność duszy po śmierci do kontaktu ze światem materjalnym nie wydaje się nam bynajmniej niezdolnością, niemożliwością metafizyczną; gdyby taką była, nie zdołałby jej nawet Pan Bóg przezwyciężyć, który nie może czynić rzeczy, będących metafizycznym absurdem — tymczasem ze stanowiska katolickiego to przynajmniej trzeba przypuścić, że wyjątkowo dusze zmarłych objawiają się żywym, wchodzą z nimi niekiedy w bliższy kontakt.

Nie mówiąc już o objawieniach Chrystusa Pana i Najśw. Panny, jako istniejących w niebie w uwielbionych ciałach swoich, czyż żywoty świętych nie dają nam przykładów zjawiania się dusz zmarłych świętych i nie świętych? Może w tych opowieściach dużo jest legend — faktem jest, że najkrytyczniejszy nawet historyk, o ile jest katolikiem, nie ośmieli się w czambuł odrzucić ich wszystkich, jako niebyłych, bo niemożebnych. A hypoteza, że w takich razach raczej Bóg działa na zmysły tych, co takich zmarłych widzą czy słyszą, bez faktycznego ich zjawiania się, nie zadawalnia nas wcale, gdyż przypisuje Bogu — darujcie mi wyraz — pewnego rodzaju oszukaństwo. Nadto, zdaje się, dosyć nazbierano faktów — przynajmniej takie jest przekonanie nawet takich specjalistów przedmiotu, jak O. L. Roure [1]) — zjawiania się dusz w pierwszych chwilach po śmierci, lecz jeżeli takie zjawiania się są możliwe, dlaczegóżby niemożliwe były nieco później? Jeżeli zachodzi jaka metafizyczna zmiana w duszy człowieka, to chyba w chwili śmierci, a nie w tyle czy tyle minut, godzin lub dni po niej.

Oczywista rzecz, że żadne takie zjawiania się nie będą możliwe bez woli Bożej (pozytywnej czy dopuszczającej), w każdym razie jakąś zasadniczą zdolność dusz zmarłych do wchodzenia w kontakt ze światem, który opuścili, przypuścić wolno. Zadaniem metafizyki będzie tylko wyjaśnić, a przynajmniej podać hypotezy, jakich środków użyje taka

[1]) Zob. „Le Merveilleux spirite", wyd. 5, 1922, str. 333.

dusza, by z światem materjalnym wejść w kontakt. Może posiada jakąś zasadniczą zdolność oddziaływania wprost na materję, jaką to zdolność scholastyka przypisywała duchom czystym, np. aniołom poruszającym gwiazdy — dlaczegoby duchy czyste były z natury zdolniejsze do wchodzenia w kontakt z materją, niż dusze, z natury swej przeznaczone nawet do ożywiania materji? Może posiada zasadniczą zdolność do tworzenia sobie jakiejś powłoki pozornego ciała, by dopiero przez nie oddziaływać na zmysły żyjących lub na inne przedmioty — wszak ona sama jest także tą siłą plastyczną, która za życia z dostarczanej sobie z zewnątrz materji tworzy i kształtuje własne swe ciało i ożywia je. W tym drugim razie jedno wydaje się niepotrzebnem, jeśli coś z opowieści zjawiania się świętych i innych zmarłych jest prawdą, niepotrzebnem wydaje się medjumizm, niepotrzebnemi owe „fluidy", których rzekomo dusze bezcielesne pożyczają od medjów, by z nich dopiero stworzyć narzędzie oddziaływania na otoczenie zewnętrzne. W opowieściach takich, jak o zjawieniu się Andrzeja Boboli ks. Korzenieckiemu, nie widzimy ani śladu jakiegoś zapożyczania przez zjawioną duszę od medjum jakiejś materji do uzewnętrznienia się, choć zdajemy sobie sprawę z tego, że uparty medjumista każe nam widzieć medjum bezwiedne w samym tym, który zjawę widzi.

Po tych zasadniczych koncesjach na rzecz możliwości zjawiania się dusz zmarłych, nie wykluczamy *a priori* interpretacji tych, którzy w zjawiskach brodzkich widzieli Wasylka Demczyńskiego. Ta możliwość nabierała jeszcze większych cech prawdopodobieństwa, gdy się przypomni, że z owych zjawisk wyniknęły pewne dobre skutki, jak nawrót do wiary w świat duchowy dotychczasowych materjalistów, pójście ich do spowiedzi itp. Mimo to natykamy się na takie szczegóły w wypadkach brodzkich, które prawdopodobieństwo interpretacji „Wasylkowej" redukują kto wie czy nie do zera. Szczegóły te to sprzeczności w komunikatach „Wasylka" i stek wprost niedorzeczności, których on ma być sprawcą, lub które objawia. Twierdzi on, że jest w niebie, u Pana Boga, a obok tego „smutno" mu, przykrzy mu się na cmentarzu, gdzie przebywa i dlatego całemi godzinami

przesiaduje na łóżku matki i siostry, to znowu w ojcowskiej kancelarji. Nie przywiązujemy tu znaczenia przestrzennego do wyrazów „niebo", „cmentarz"; w każdym razie błogosławiony stan zbawienia, widzenia Boga wyklucza wszelkie smutki, nudy i tęsknienie. Stany duszy, jakie sobie przypisuje „Wasylko", odpowiadają może umysłom dzieci, myślących o cmentarzu, absolutnie jednak nie godzą się z wyobrażeniami teologicznemi o stanie błogosławionych w niebie. A co znaczą takie rewelacje, jak ta, że na przebycie drogi z cmentarza na plebanję potrzeba dla duszy pół sekundy, albo, że zegar niebieski różni się od ziemskiego o gół godziny? Wreszcie czy nic nie mówią takie naiwności i dziecińśtwa, jak owe zanoszenia jabłek i czekoladek dla Pana Boga? Słowem, w komunikatach „Wasylka" nie znajdujemy nic, a b s o l u t n i e n i c, coby treścią swą wskazywało na pochodzenie z drugiego świata, znajdziemy natomiast rzeczy, które stamtąd nie mogły być przyniesione nawet przez tak młodą duszę, jak „Wasylka", skoro się znajdowała w obliczu źródła prawdy, u Boga. Jeżeli zaś każda treść, ubrana w wyrazy, wymaga jakiegoś umysłu, jako swego źródła, to wystarczającem źródłem tego wszystkiego, co „Wasylko" wypukał, lub napisał, mogły być zupełnie mózgi i serca mieszkańców plebanji brodzkiej, owszem każdego z dwóch chłopców, leżących na łóżku podczas produkowania się „Wasylka". Nie mamy nadziei, byśmy przekonali kogoś z wierzących w „Wasylka"; owszem, zdajemy sobie sprawę, że sceptycyzmem naszym ranimy kogoś, komu drogą mogła być ta iluzja, — mówimy wszakże to, co uważamy za najbliższe prawdy.

Druga interpretacja wypadków brodzkich, odnosząca wszystkie te dziwne zjawiska do szatana, wydaje się mieć więcej prawdopodobieństwa od pierwszej, aczkolwiek i jej za konieczną nie można uważać. Znowu, jako spirytualiści i katolicy, nie przeczymy *a priori* możliwości interwencji złego ducha w takich i podobnych wypadkach; atoli w wypadku konkretnym zjawisk brodzkich nie widzimy się zmuszeni do przyjęcia interwencji djabła. A na naszą rezerwę w danym wypadku nie wpływają te momenty, które innym kazały się przechylić na korzyść „Wasylka", jak to, że zjawa

o niektórych rzeczach mówiła zupełnie po katolicku (np. że na drugim świecie jest tak, jak opisane w katechiźmie), że zachęcała do święcenia domu, do spowiedzi, prosiła o msze itp. Ostatecznie można zrozumieć, że i djabeł zdobędzie się na prawowierność i pobożność, jeśli będzie się spodziewał wyprowadzić kogoś tym sposobem w pole. W zjawach brodzkich nie jesteśmy skorzy widzieć djabła, wychodząc z ogólnej zasady, że nie należy poszukiwać przyczyn rzeczy dziwnych za światem, dopóki się nie przekonało, że do wytłumaczenia ich nie wystarczają przyczyny naturalne. A w Brodach właśnie zachodzi ten wypadek: od dowodu, że zjawiska opisane nie mogły być wywołane przez czynniki bliższe, przez ludzi, — niech, co chcą, mówią sami świadkowie fenomenów brodzkich — jesteśmy bardzo dalecy. Oczywiście, nie skłonni widzieć szatana we wszystkich zjawach brodzkich, najmniej go widzimy tam, gdzie go inni upatrywali: w białym (żeby przynajmniej czarnym!) kocie i jego harcach po strychu, w drapaniu w skrzynce i w kominie, w wyrzucaniu z paczki przedmiotów. Nie uważamy tu, oczywiście za miarodajne, zapewnień „Wasylka", że to był zły duch (to samo *mutatis mutandis* można zastosować i do „obrzydliwej duszy", która mu w drogę wchodziła), bo samego „Wasylka" mamy więcej niż w podejrzeniu. Teolog najbardziej mógłby brać assumpt do hypotezy „djabelskiej" z końcowych scen podczas badania komisji, kiedy to „Wasylko" nie chciał przy słowie „kocham" dopisać wyraźnie „Boga", kiedy następnie zjawa wpadła jakby w furję, wyrzucając z paczki przedmioty, ciskając krzyżem, słowem wyprawiając brewerje, które zniewoliły komisję metropolitalną zabrać się do egzorcyzmów... Lecz i ta końcowa scena niczem takiem nie różni się zasadniczo od innych, by się było zmuszonym ją szczególnie przypisać złości djabelskiej.

Nie chcemy obszernie omawiać innej pokrewnej hypotezy — odniesienia fenomenów brodzkich, jak i wielu innych spirytystycznych, do jakichś niewidzialnych istot, nie djabłów i nie dusz ludzkich, lecz jakichś biesów, po części złośliwych, po części krotochwilnych, moralnie niezdeterminowanych, umysłowo dość ograniczonych, mylących się i lubiących często zwodzić ludzi. Istnienie takich istot przypuszczają

różni spirytyści i okultyści; co do nas, to uważamy, że na istnienie ich niema żadnego dowodu, a zresztą gdyby się miało wyszukiwać sprawców dla podobnych brodzkim wypadków wśród takich fantastycznych istot, prościejby było przypisać je djabłu, którego chyba nie na darmo uważają także za „małpę Bożą".

Pozostają nam jeszcze dwa przypuszczenia: albo istnieją jakieś niezbadane siły i zdolności psychiczne w człowieku, a w tym razie w takich siłach i zdolnościach mieszkańców plebanji w Brodach, zwłaszcza we Włodku Wilczyńskim, należałoby szukać objaśnienia zjawisk, — albo też cała rzecz była zręczną sztuczką chłopców, która się udała w tej szczególnej atmosferze, jaką skonstatowaliśmy w rodzinie pp. Demczyńskich, a która potem mogła się łatwo udzielić dalszym kołom ciekawych.

Co do pierwszego przypuszczenia, to bierzemy je hypotetycznie: „jeżeli istnieją jakieś niezbadane siły i zdolności w człowieku". Wiadomo, że istnieją całe szkoły uczonych, którzy biorąc na serjo opowiadania nietylko spirytystów o różnych nadzwyczajnych zdarzeniach, ale i opowieści z poza seansów, których wszakże nagromadziła się w literaturze świata ogromna ilość, przyjmując za stwierdzone faktycznie różne objawy tak zw. telepatji, jasnowidzenia, zmian w grawitacji, suggestji narzucanej drugim i autosuggestji, itd., szukają dla nich wykładnika w jakichś niezbadanych pokładach ludzkiego ducha i te pokłady usiłują odkopać, jak geologowie odkopują pokłady skorupy ziemskiej. Jedni czynią to dlatego, że w istnienie przyczyn zaświatowych nie wierzą — są to materjaliści; inni, choć świata wyższego nie odrzucają, sądzą, że zjawiska, na ziemi zachodzące, przedewszystkiem czynnikami ziemskiemi należy objaśniać. Jeżeli czynią to nie wykluczając zasadniczo możliwości także niekiedy interwencji istot wyższych, przedewszystkiem Boga, w bieg spraw i zjawisk ziemskich, to czynią bardzo roztropnie, i my w naszym wypadku najchętniej do ich liczby należeć pragnęlibyśmy. Zaznaczamy wszakże jeszcze raz, że czynimy to hypotetycznie tylko, przyjmując istnienie pewnych niezbadanych sił i zdolności w duszy człowieka, jako środek

wytłumaczenia pewnych zjawisk, o ile znowu te ostatnie faktycznie zostały stwierdzone.

Od stojących na tem stanowisku godzi się wymagać jednego warunku, — potrąciliśmy o niego wyżej: mianowicie, nie powinni upierać się przy siłach naturalnych, kiedy w fenomenach badanych zajdzie coś takiego, co stanowczo przekracza wogóle siły natury, — choć pewno niekiedy trudno będzie oznaczyć granice tych sił. Za to uprawnieni są do tłumaczeń naturalnych, kiedy z treści zjawisk badanych wszystko da się odnieść do przyczyn bliższych, choć przypuszczalnie sposób ich działania pozostaje niezrozumiały. Tak być może, że niektórzy ludzie, jeśli nie wszyscy, posiadają zdolność oddziaływania na martwe przedmioty jakimś wysiłkiem, niejako rozszerzeniem sfery działalności duszy poza własne ciało; być może, że istnieje suggestja, nawet nieświadoma, myśli i pragnień, udzielająca się jednym od drugich. Od „metapsychiki" żądałoby się w takim razie wykrycia mechanizmu takich działalności duszy. Dotąd właściwie nic jeszcze pewnego na tem polu nie zdobyto (oprócz niejednokrotnego zdemaskowania szalbierzy, jak u nas w ostatnich czasach słynnego Guzika). Dotąd obracamy się w sferze przypuszczeń i dowolnych hypotez. Czy zdobędziemy coś więcej w tej dziedzinie? Nie chcemy przesądzać przyszłości, aczkolwiek wiele racyj przemawia za powściągliwością w nadziejach. Bądź co bądź, — jeśli nie można jeszcze odrzucać *a limine* naturalnych objaśnień zjawisk, podobnych do brodzkich, to w szczególności w zjawach przez nas opisywanych niema nic takiego, coby w sposób szczególny, im tylko właściwy, uchylało je od takich objaśnień. Najważniejsze, co się w Brodach działo, to owe pisane komunikaty „Wasylka"; jeżeli szukać dla nich naturalnego tłumaczenia, przyjmując, że nie były pisane przez chłopców, tłumaczenie to nie większe chyba nastręczy trudności, jak tłumaczenie pisma, otrzymanego w zamkniętym kloszu, czy w deszczułkach, jakie to „fakty" podobno miewały miejsce gdzieindziej i dla których szuka się sprawcy w „ukrytych siłach" zwykłych śmiertelników, czy też medjów. A jeżeli chodzi o treść komunikatów brodzkich, to widzieliśmy, że absolutnie nic nie wykracza w nich poza ramy umysłowości, pragnień i oczekiwań tych,

którym one były komunikowane, lub przy których udziale zostały wykonane.

Godząc się w zasadzie na naturalne tłumaczenie brodzkich zjawisk, zachęcilibyśmy specjalistów do badania ich treści, gdyby one przedstawiały materjał pewny co do swej strony faktycznej. Niestety tak nie jest. I oto się nastręcza jeszcze jedna możliwość, już ostatnia możliwość, przeciwko której bronią się nie tylko zainteresowani widzowie bezpośredni zjawisk, ale nawet metropolitalna komisja ze Lwowa. Dla zwycięskiego wszakże uchylenia tej możliwości nie wiele uczyniono, — można powiedzieć, że nie uczyniono nic. Narzuca się więc jeszcze możliwość zręcznej sztuczki. Obecnie już minęła okazja udowodnienia, że hypoteza ta nie może być przyjęta. Nie udowadniają tego nawet protokóły komisji metropolitalnej, owszem potęgują mocno rodzące się samorzutnie podejrzenia. Cóż bowiem w tych protokołach znajdujemy? Oto brak elementarnej kontroli, posuniętą do ostatecznych granic łatwowierność, przebijającą się na każdym kroku rozbrajającą naiwność, panikę, której ofiarą padają zdenerwowani badacze zjawisk, zanik zupełny krytycyzmu. To wszystko aż zachęca do obrony tezy, że zjawiska brodzkie były... mistyfikacją. Na poparcie tego przytoczyćby można dowolną ilość faktów i napłodzić podejrzeń i oskarżeń wcale dobrze uzasadnionych. Sądząc zawsze na podstawie protokółów komisji i zeznań naocznych świadków, nie znalazłoby się bodaj ani jedno zjawisko, co do którego możnaby powiedzieć z całą pewnością, że nie mogło być wywołane zapomocą tej lub owej osoby, tego lub innego sposobu. Jak to w takich razach zazwyczaj bywa, świadkowie fenomenów w swej dobroduszności i w swej głębokiej wierze nie przypuszczali, żeby czytelnik ich entuzjastycznych relacyj domagał się od nich... dowodów objektywnej prawdziwości zjawisk. Nie licząc się z takiem żądaniem, nie przypuszczając, że ktokolwiek im „na słowo“ może nie uwierzyć, dowodów żadnych nie zbierali i nie wyszukiwali: mając niewzruszoną wiarę w autentyczność fenomenów, nie czuli zgoła potrzeby ścisłej kontroli, a *presumptio* mistyfikacji nigdy przez nich być może nie była brana na serjo.

W rezultacie znajdują się dziś zupełnie bezbronni wobec słusznego sceptycyzmu badacza...

Komisja metropolitalna nie przewyższyła krytycyzmem pierwszych obserwatorów zjawisk. Rzeczywiście cały ich przebieg można łatwo postawić pod znak zapytania. Począwszy od poruszającego się koszyka, czy stwierdzono dostatecznie, że nie było między nim a łóżkiem i chłopcami żadnego połączenia, jakiejś nitki? czy nie odegrała jakiejś ważnej roli owa szpara, jaka znajdowała się między łóżkiem chłopców a ścianą? czy nie było jakiegoś bardziej fizycznego stosunku, niż wola „Wasylka" między łóżkiem a znajdującą się pod niem paczką? czy absolutnie wykluczonem jest przypuszczenie, że komunikaty „Wasylka" pisane były nie w paczce, lecz na łóżku chłopców i zręcznie do paczki wsuwane, a z nią wysuwane na środek pokoju? Przy tych „ostrożnościach", jakie niby przedsiębrali obserwatorzy w rodzaju Dra Łopatyńskiego, żadne z tych pytań nie może być zwycięsko uchylone. Oczywiście, że nie potrzeba dodawać, iż takie fenomeny, jak „bębnienie" rozmaitych aryj, jak drapanie po desce, mogły się tem łatwiej odbywać bez udziału „ducha". I nic tu nie znaczy wrażenie, jakie wszyscy mieli, że głosy te pochodziły ze skrzynki, skoro stwierdzono niejednokrotnie takie złudzenia, jak naprzykład te, że kontrolującym „medjum" zdawało się, iż trzymają je za ręce, podczas gdy te ręce, uwolnione z pod kontroli, wykonywały różne ewolucje (Guzik!). Czyż nie łatwiej o złudzenie słuchu w warunkach autosuggestji? Zdaje się nam, że i „dematerjalizacja" jabłek i czekoladek mogła się odbywać w bardzo prozaiczny sposób, przez proste zjadanie ich przez któregoś z chłopców. Tłómaczyłaby się łatwo wtedy okoliczność, że nie ulegały „dematerjalizacji" papierki, w których czekoladki były owinięte, — duch, jeśli miał możność wynieść zdematerjalizowaną czekoladę, dlaczego nie mógł tegoż zrobić z papierkiem? Wreszcie mamy zjawiska z p. Bauerówną. Tu musielibyśmy mieć pewność, że jej rzucanie się pod łóżko, bicie rękami po stole etc., nie było mistyfikacją. Konia narysować chyba potrafiła i bez ducha „Wasylka", co się zaś tyczy pisania w jego imieniu, to dziwna rzecz, z jaką to jej trudnością przychodziło, choć „Wasylko" kierował jej

ręką, pisać po ukraińsku i nie ustrzegła się wsadzenia litery polskiej, a napisania drugiej zupełnie mylnie.

Koniec końców, to w zjawiskach brodzkich pozostało najcharakterystyczniejsze, że nie zostały one dostatecznie stwierdzone, że nie uchylono możliwości sztuczki chłopców. Odwoływanie się tu do ich pobożności — nie zdolne stanowić dowodu przeciw mistyfikacji. Oczywiście i podejrzenie nie jest pewnością. Splot wszystkich warunków, w jakich rozwijały się zjawiska brodzkie, właśnie jest tego rodzaju, że pewności w żadnym kierunku już zdobyć nie będziemy mogli. Częściowo zawiniła tu i owa komisja metropolitalna, która jeśli już była wyznaczona do zbadania zagadkowych zjawisk, — co wydaje się nam ze względu na niefachowość jej członków błędem — powinna była zabrać się do rzeczy z większym krytycyzmem. Obawiamy się, czy zamiast pomóc do wykrycia prawdy, nie przyczyniła się swoją własną łatwowiernością do utrwalenia się może zupełnie mylnej interpretacji? Zapewne, istnieją na świecie Bożym rzeczy, o których nie śniło się filozofom, ale gdy przypadkiem się one przyśnią, a tembardziej, gdy się niby zdarzą... właśnie filozofem być trzeba. W Brodach okazało się za mało filozofów.

*Fr. Potocki* i *J. Urban.*

# *Jackowi Malczewskiemu.*

*(Na pięćdziesięciolecie twórczości).*

\- - -

*Polsko! Czy dumna jesteś dziś ze swego syna,*
*Co twej historji wyśpiewał pieśń świętą?*

. . . . . .

*A życie jego — rozmodleń godzina,*
*A praca jego — to krzyżem natchnięta.*

. . . . . .

*O! rojny ludzki — zapatrzony tłumie!*
*Patrz: wielkie święto dla cię wschodzi.*
*Lecz czy duch twój dostojność tej chwili rozumie?*
*Otwórzcie serca starce, i wy młodzi,*
*Którym życie nie wydarło jeszcze tęcz żywota,*
*Ani się rozlkało w piersiach wielkie łkanie.*
*Oto przed wami wizja marzeń złota;*
*Oto przed wami sztuki przykazanie.*
*Wejdźcie! Czekają na was zachwycenia jasne,*
*Bo wam w hymn rozśpiewa wasze serca własne,*
*Ten, co tworzył.*
*Mistrz tu bożej ręki;*
*Stygmatem bolu dłonie ma znaczone;*
*Pielgrzym, co przejął wszystkie ludzkie męki*
*I swego narodu rany krwią zbroczone.*
*On przeżył wszystkie ducha górne wzloty;*
*Na szczyty wstąpił przez burz chmurną ciemnię*
*I stopy trudził przez leśne wykroty*
*Puszczy, ludzkością nazwanej daremnie.*

*Mistrz, co kajdany Sybiru kowane*
*Rozdzwonił w dzwon relikwją narodowi święty,*
*A łzy tęsknoty, w katorgach wylane,*
*Nizał w różańce, perły i diamenty.*

*A wiara była mu znakiem miłości,*
*Na którym rozpięty Chrystus patrzał mu w źrenice,*
*A on z tych spojrzeń zbierał błyskawice*
*Przebaczeń wielkich dla ludzkości.*

*Ą miłość była mu odwiecznym zniczem,*
*W przedsieniu niebios lampą gorejącą*
*I z nieprzykrytym przyłbicą obliczem*
*Mierzył poświatę skrami się mieniącą.*

*Nadzieja była mu zawsze gwiazdą bratnią*
*I ona go wiodła nicią srebrną*
*I ona mu kiedyś zagaśnie ostatnia,*
*Drogą prowadząc podniebną.*

. . . . . .

*A kiedy wiosna się stroiła w pąki młode,*
*Na fujarkach mu grali faunowie leśni,*
*Rusałki tknięciem ręki kręgiem zamącały wodę,*
*A od ptaszął tysiąca było tysiąc pieśni.*

*Motyle wylatywały z ręki, a koniki polne*
*Szmaragdowemi migały skrzydełki;*
*A wszystko żyło żywe — młode — wolne,*
*Bo we wszystko tchnął życie człowiek taki wielki.*

. . . . . .

*Jesienią jarzębiny w klejnotach z korali*
*Zwisały nad dworem starym pamiątką stuleci,*
*Co w rannych oparach jako w mgłach z opali*
*Został wspomnieniem dla wnuków i dzieci.*

*Czasem z topieli zaklętej łożyska,*
*W nenufarowy ustrojona wieniec,*
*Cud dziwożona białą piersią błyska*
*Za szatę mając — rumieniec.*

*Pegazy na skrzydłach, malowanych tęczą,*
*I białe boginki zasłuchane w echa*
*I liście klonu jak poszumem jęczą,*
*A ponad wszystkiem słońce się uśmiecha.*

*A jeśli na drodze polnej maleńki ubogi*
*Gęsiarek spotkał z niebios cherubina,*
*To ten, by mu ulżyć kamienistej drogi*
*I pomódz wzlecieć, skrzydło swe ugina.*

. . . . . .

*Nad Ellenai zastygniętą twarzą*
*Jak ryngraf świeci złota Matka Boska;*
*W śniegach lodowych sny się marzą,*
*Że to ojczyzna i ta Częstochowska.*
*Za oknem renifery. Ból ogromny*
*Na czole Anhellego, co został sierota*
*Bez łzy, skamieniały wygnaniec bezdomny,*
*— Nic już — grób tylko — i pukiel ze złota.*

. . . . . .

*Na krzyżu Chrystus umęczony kona;*
*Skon gasi święte oczy,*
*Nad światem rozprzężone boleśnie ramiona,*
*Nad światem miłości krew okupu broczy.*
*Ku niebu głos się zrywa do Ojca w niebiosach,*
*A spiekłe wargi drżą z pragnienia;*
*Rubinów strugi spływają po włosach*
*Dla naszych przewin zbawienia.*

*A potem przeszedł — z grobu zmartwychwstały*
*Ponad brzozami, by zginąć w błękicie,*
*I błogosławi tym mogiłom chwały*
*I tym, co oddali za Ojczyznę życie.*

. . . . . .

*Ziemio! Czy dumna jesteś dziś ze swego syna?*
*Z twego listowia wieniec niech mu laurem będzie,*
*Bo On tylko przed twym prochem kolano ugina*
*I tylko z tobą razem zostać mu w legendzie.*

*Temu, co na twą chlubę z jednego kryształu,*
*Najczystsze ma serce — całe z ideału.*

*Michalina Janoszanka.*

# Katolicyzm wobec obecnego przesilenia gospodarczego.

Trwające od kilku miesięcy przesilenie gospodarcze w Polsce budzi poważne obawy na przyszłość. W związku z reformami skarbowemi i wprowadzeniem zdrowego pieniądza, oraz z przyczyn gospodarczo-społecznej natury nastąpiła w życiu ekonomicznem Polski stagnacja, która odbiła się też na rozwoju życia społecznego. Następstwa, aczkolwiek poważne i głębokie, przynajmniej w ogólnych zarysach są nam znane, przeto raczej zwróćmy uwagę na charakter środków przedsiębranych w celu zaradzenia istniejącym stosunkom. A spotykamy się tu z działalnością sfer gospodarczych i robotniczych, oraz wysiłkami podejmowanemi przez rząd. Jednak zdaje nam się, że pewne ogniwa w myślowem opracowywaniu planów działalności zaradczej są pominięte, a przez to czynią cały plan mało skuteczny.

Aczkolwiek szkoła liberalna straciła już walor w dziedzinie teorji ekonomji, to jednak w praktyce zasady jej wywierają dotychczas duży wpływ na kierunek polityki gospodarczej. A przyjęta przez nią metoda izolowania zjawiska gospodarczego od wpływów faktycznych czynników i tworzenie z egoizmu ludzkiego jedynej sprężyny działalności gospodarczej sprawiają, że przy nakreślaniu planów realnych w polityce gospodarczo-społecznej za mało się zwraca uwagi na stan faktyczny, sprowadzający rzeczywisty splot warunków i skutków w organiźmie społeczno-gospodarczym. Tego rodzaju postępowanie zastosowano, zdaje się, i przy

szukaniu środków zaradczych przeciwko obecnej stagnacji gospodarczej.

Przypatrując się proponowanym lekarstwom na obecne niedomagania w produkcji, ma się wrażenie, że cały organizm gospodarstwa społecznego rozwija się li tylko pod wpływem egoistycznych dążeń materjalnych społeczeństwa. Obok bowiem konieczności zwiększenia kapitałów obrotowych w naszym organiźmie gospodarczym i przeobrażeń technicznych wysuwa się konieczność wzmożenia wydajności pracy, jako środka zasadniczego mającego się przyczynić do zmniejszenia kosztów produkcji, a tem samem stworzenia przychylnych konjunktur dla produkcji naszej. Myśl sama w sobie słuszna. A tembardziej nabiera ona waloru, gdy się zważy, że obecnie stała się ona postulatem świata gospodarczego całej powojennej Europy, a już szczególniej z tego powodu, że została wcieloną w czyn przez najbardziej groźnego nam sąsiada Niemcy. Nie kwestjonujemy jej tedy. Ależ jakież z tego płyną konsekwencje? Należy zmierzać do tego, by faktycznie wzmóc wydajność pracy i to nie tylko w pewnej dziedzinie produkcji — ale w całym organiźmie gospodarczym — pociągnąć do niej nie pewne tylko klasy, ale całe społeczeństwo! Jakiemi środkami? Otóż tu, naszem zdaniem, leży sedno rzeczy!

Nasze sfery gospodarcze, obok ulepszeń technicznych przemysłu oraz reorganizacji pracy, wysuwają przedewszystkiem przedłużenie dnia roboczego, ograniczenie świąt. W argumentach podnoszonych słyszymy, że jest to konieczność absolutna, że innej drogi niema.

Czy jednak tego rodzaju reforma nie jest tylko powierzchownem ujmowaniem zjawisk i symplifikowaniem ich? Czy tu faktycznie nie przyjmuje się punkt materjalny, jako jedyny cel dążeń, w stosunku do którego wszystko inne musi być podporządkowane? Czy cały ten plan nie jest także oparty na zasadzie sformułowanej przez szkołę liberalną, głoszącej, że praca ludzka jest zwykłym towarem, a człowiek maszyną produkcyjną? Czy, opierając się na tych zasadach, nie zmierza się faktycznie ku temu, by cenę tego rodzaju towaru możliwie obniżyć, a to przez środek znowu

prosty, bo przedłużenie czasu dla maszyny pracującej człowieka? Czy będzie to jednak skutecznem?

Przecież wobec tak pojętego stanowiska i ustawicznego podkreślania tylko celów materjalnych, robotnik czuje się w obowiązku przeciwstawić tym dążeniom i to z podwójnego względu. Przedewszystkiem czuje się on tu upośledzonym w swej godności. Wobec tak materjalnie pojętej konieczności jest obuchem uderzony w głowę, bo przeklętym w pracy swej i ofiarą losu. A że znowu skądinąd materjalizm dziejowy głosi mu zasadę, że kapitał go okrada, przeto i z tego powodu uważa się za uprawnionego do przeciwstawienia się dążeniom kapitału. Rezultatem zaś tego przeświadczenia jest walka pomiędzy obu klasami o wybór środków zaradczych oraz przedłużanie się stagnacji gospodarczej, a tem samem przesilenia społeczno-gospodarczego.

Natomiast zupełnie inne konsekwencje płyną z realnego ujęcia zjawisk społeczno-gospodarczych oraz rozpatrzenia ich nie przez pryzmat tylko materjalnych interesów, ale w świetle chrześcijańskiego poglądu na świat.

Można bowiem zmierzać do poprawy warunków społeczno-gospodarczych dwiema drogami: poprawiając zewnętrzne okoliczności ich rozwoju, lub też, uważając je za zjawiska o złożonej naturze, starać się sięgnąć do ich istoty i z tego źródła wpływać na wytworzenie sprzyjającej naprawie atmosfery.

Otóż uważamy, że środki, wskazywane dotychczas, są środkami pierwszej drogi, gdyż nie uwzględniają, a przynajmniej za mało pamiętają o tem, że obecne przesilenie społeczno-gospodarcze, obok ekonomicznego podłoża, posiada podłoże religijno-moralnej natury. O tem właśnie pamięta drugi punkt widzenia, głoszony przez katolicką szkołę społeczną i dlatego wskazywane przez nią środki zaradcze będą oparte na szerszem podłożu, a nawet do ich zrealizowania należy podjąć bardziej wytężoną, dłuższą i systematyczną pracę.

Punktem wyjścia będzie tu odrębny światopogląd na pracę ludzką.

Podczas gdy doktryna liberalna uważała pracę ludzką jako zwykły towar, wytwór mięśni ludzkich, zależny co do

wartości swej od prawa podaży i popytu, nauka katolicka podkreśla wysoką godność pracy ludzkiej, jako wytworu całego człowieka i ściśle się z nim łączącą. Praca jest czynem ludzkim, uzależnionym w swej treści nie tylko od czynników zewnętrznych, jak siła mięśni i warunki otoczenia, ale przedewszystkiem jest przejawem twórczym ducha ludzkiego, a zarazem środkiem zapewnienia człowiekowi podtrzymania i rozwoju życia. Człowiek zaś każdy, w świetle nauki katolickiej, jest stworzeniem Bożem, odkupionem krwią Syna Bożego i podniesionem do godności dziecka Bożego, a przeznaczonem do celów nadprzyrodzonych. Praca przeto, jako ściśle związana z osobowością ludzką, posiada też wysoką godność. Nie jest tedy czemś upadlającem człowieka, przeciwnie, jest objawem rozwoju człowieka oraz ścisłym jego obowiązkiem. A tembardziej godność pracy ludzkiej uwidacznia się w tem, że Jezus Chrystus pracą swą oraz Kościół Jego pracą apostolstolską uświęcił jej charakter.

Z takiego pojęcia pracy jasno wynika, że o jej rozwoju nie mogą decydować li tylko pierwiastki materjalnej natury, oraz, że podkreślanie przy reformach przedsiębranych li tylko pierwiastków czysto egoistycznych do celu nie doprowadzi. Jeżeli bowiem przyjmujemy, że praca jest działalnością całego człowieka, to rzecz oczywista, że wzmożenie działalności nie jest uwarunkowanem tylko dłuższym czasem pracy. Wydajność pracy bowiem zależną jest poza czynnikami natury technicznej i organizacyjnej od warunków moralno-społecznych.

Jeżeli z przyjemnością dowiadujemy się ze sprawozdań składanych przez delegatów polskiego przemysłu na posiedzeniach Państwowej Rady Gospodarczej, że nasze sfery przemysłowe czynią wielkie wysiłki co do dwóch pierwszych punktów, to uważamy, że za mało zwracają uwagi na trzeci czynnik, który jest podłożem rozwoju społeczno-gospodarczego. Zaprowadzenie bowiem ulepszeń technicznych, lepszej organizacji pracy oraz dłuższego dnia roboczego to są wszystko tylko środki zewnętrzne, skuteczne tylko wtedy, gdy będą oparte na podstawie trwałej, głębokiej, wynikającej z wnętrza ducha ludzkiego. Słusznie zu-

pełnie mówi prof. Dr. Berthold Missiaen w artykule „Postulat słusznej płacy" [1]), że „wydajność pracy przedewszystkiem zależy od zdolności fizycznych i umysłowych robotnika. Rozwój zaś zarówno jednych jak i drugich przyczynia się wprost do wzmożenia działalności zawodowej w kierunku bardziej intensywnej i wykwalifikowanej wytwórczości przemysłowej. Tymczasem to przysposobienie będzie daremne, jeżeli robotnik nie posiada siły moralnej, czyli jeżeli nie chce pracować. Tą wola pracy, oparta na chrześcijańskiem pojęciu życia, a wzmożona troską o osobisty i narodowy dobrobyt powinna zwiększyć wydajność pracy przemysłowej i przyczynić się do uspokojenia społecznego. Jeżeli zaś przeciwnie będzie się uważać pracę za przekleństwo, a kapitalistę za wroga śmiertelnego, wtedy praca ta nie tylko nie przyczyni się do wzmożenia wydajności, ale stanie się źródłem tarć i niezadowoleń. Jeżeli straciło się zadowolenie z pracy płynące, wszelkie reformy społeczne, dotyczące robotnika, tracą swoje znaczenie i stają się okazją do demoralizacji. Ani objektywne zwiększenie płacy, ani prawo o ośmiogodzinnym dniu roboczym nie poprawią doli robotnika, jeżeli on nie odczuwa prawdziwego zadowolenia przy pracy, mającego swe źródło w moralności religijnej". Przeto, mówiąc krócej, wszelkie dążenia do wzmożenia wydajności pracy muszą się oprzeć na fundamencie wewnętrznym jednostki i społeczeństwa całego, t. j. na indywidualnej i społecznej woli do pracy.

Jeżeli zawsze ten trzeci czynnik stanowił podstawę w tej materji, to tembardziej obecnie w czasach powojennych nabiera on szczególnej wagi z tego względu, że dzisiejsze społeczeństwo wzrosło w atmosferze potęgującej żądzę używania a wstręt do pracy. Dziś szczególniej wola do podjęcia wysiłków i trudów przy pracy została osłabioną, a niezadowolenie z pracy zostało spotęgowane przez upadek moralności wśród społeczeństwa całego, a tem samem i wśród warstw pracujących, i przez warunki społeczne gospodarczej natury, wytworzone przez wojnę. Otóż jeżeli dziś się mówi o rzeczowej i trwałej naprawie stosunków społeczno-gospodarczych,

[1]) Revue catholique sociale et juridique. Louvain, 1924, N. 4, pag. 218.

czyli jak się to potocznie mówi, o zaprowadzeniu moralnych warunków, nie można nie zwracać uwagi na duchową stronę pracy ludzkiej i nie czynić zabiegów w kierunku wzmocnienia osłabionej woli do pracy.

Zapewne, że jest to praca, która na kolanie załatwioną być nie może. Wymagać będzie wielkich wysiłków, ale podjętą być musi. A wiedzie ku temu droga jedyna — rozszerzenie i utrwalenie światopoglądu chrześcijańskiego i stosowanie w życiu gospodarczo-społecznem etyki chrześcijańskiej. Człowiek nie jest li tylko maszyną, a praca jego nie jest li tylko towarem. Robotnik ma duszę, przeto należy skutecznie przemówić do jego duszy, pociągnąć go i wprowadzić w atmosferę zadowolenia życiowego. Trzeba doprowadzić do tego, by robotnik odzyskał prawdziwą radość z pracy i życia, a to wypływa tylko z moralnych i religijnych przeświadczeń katolickich. Przeto troska o religijno-moralne dobro robotnika, aczkolwiek podyktowana jest poczuciem sprawiedliwości, staje się konieczną także i ze względów społeczno-gospodarczych. Obowiązek ten spada przedewszystkiem na pracodawców, jako na bezpośrednio zainteresowanych w tej sprawie. Obok więc zamierzeń czysto zewnętrznych materjalnej natury muszą w dążeniach swych do wzmożenia wydajności pracy i rozwoju życia społeczno-gospodarczego uwzględnić pracę nad wewnętrzną stroną robotnika, czyli nad podniesieniem jego woli do pracy.

Zamierzenia te jednak muszą być konkretne i skuteczne. Nie pomogą tutaj ogólniki, piękne hasła, ale jedynie skuteczną będzie realna praca. Ta znowu musi bezwzględnie wziąć rozbrat z poglądami materjalistycznemi szkoły liberalnej, a oprzeć się na podstawach chrześcijańskich. Zwłaszcza muszą nasze sfery gospodarcze pogodzić się z tym faktem, że na własności prywatnej ciążą zobowiązania społecznej natury. Praca służy robotnikowi do podtrzymania i rozwoju życia, ale na przedsiębiorcy, jako podmiocie własności prywatnej, spoczywa obowiązek ułatwienia mu życia. Obok więc sprawiedliwej płacy i prawdziwej troski o religijno-moralne dobro robotnika, muszą przykładem własnego postępowania zdobyć dla siebie szacunek i zaufanie robotnika. To jednak trzeba zdobywać krok za krokiem, bacząc na

to, że wtedy tylko robotnik wyzbywa się nieufności, gdy widzi, że naprawdę pracodawca nie kieruje się egoistycznemi celami, lecz uwzględnia też interesy robotnika i dobro społeczeństwa. Zwłaszcza ta nieufność do pracodawcy rodzi się wtedy, gdy robotnik występuje na pewnych uzasadnionych podstawach z żądaniem podwyższenia płacy, a cel ten osiąga tylko drogą strajku! Wówczas siłą rzeczy daje on posłuch twierdzeniom socjalizmu, że kapitalista okrada robotnika i sam zmierza do oszukiwania przedsiębiorcy w pracy. Natomiast zaufanie wzajemne i przykład obowiązkowości ze strony pracodawcy są potężnemi bodźcami do wzajemnej zwiększonej pracy.

Ale tu musimy znowu mieć także na uwadze wpływ, jaki mogą wywierać poglądy społeczne i narodowe pracodawcy. Pracodawca, świadomy swej społeczno-narodowej roli, uczyni wszystko, by organizm gospodarstwa społecznego mógł się rozwinąć. Inwestycje techniczne, organizacja pracy i wysiłek rozszerzenia rynku zbytu będą jego troską, a to w tym celu, by ułatwić rozwój przemysłowi, dać środki do życia armji robotniczej, a państwu silną podstawę ekonomiczną. A wtedy i wynikłe przesilenia będą miały łagodniejszy przebieg. Przeciwnie znowu niechęć do państwa i egoistyczne pobudki zmierzać będą do pogłębienia waśni społecznych i poderwania bytu państwowego. Słusznie przeto mówi wspomniany prof. Missiaen, że „wydajność pracy musi koniecznie być wspomagana przez większą wydajność kapitału. Ta zaś jest prostym wynikiem organizacji technicznej, która zależy nie tylko od warunków fizycznej i umysłowej natury, lecz także od siły moralnej przedsiębiorcy i wykonawcy. Świadomość odpowiedzialności społecznej względem robotnika i narodu — oto potężna pobudka dla działalności kapitału“[1]). Wyrazem takiej świadomości społeczno-narodowej są przedsiębiorcy niemieccy, którzy zdołali ze swej strony wszystko uczynić, by technicznie przygotować przemysł niemiecki do czekających go zadań. Wykorzystanie zwłaszcza przez przemysłowców niemieckich konjunktur inflacyjnych dla udoskonalenia technicznego i organizacyjnego

[1]) l. c. p. 218.

przemysłu niemieckiego, a następnie troska, by przez szkoły zawodowe, prowadzone przy licznych fabrykach, przygotować i wykwalifikować robotników, stawiają już przemysł niemiecki na silnych podstawach, nie mówiąc o zwiększeniu czasu pracy.

Reforma tedy gospodarczo-społeczna w Polsce, o ile ma być trwałą i skuteczną, nie może się ograniczyć na tem, że nałoży na pracodawców obowiązek wprowadzenia lepszych urządzeń techniczno-organizacyjnych, a robotnikom przedłuży czas pracy, ale musi także zwrócić zarówno jednych jak i drugich do etyczno-religijnych i społeczno-narodowych obowiązków. Wtedy dopiero będzie się wytwarzała powoli atmosfera sprzyjająca wzrostowi woli do pracy. Atmosfera ta zaś może być spotęgowaną przez świadomy wysiłek społeczeństwa w tymże kierunku. Wchodzą tu bowiem w grę interesy i byt całego społeczeństwa. Przeto i społeczeństwo ze swej strony winno uczynić to wszystko, co tylko jest w jego mocy. A działalność jego może być tembardziej owocną, że pochodzi od strony neutralnej. Ogół musi sobie uświadomić stan naszego gospodarstwa narodowego i warunków społecznych oraz zdawać sobie dokładnie sprawę, że chwila obecna domaga się podjęcia olbrzymich wysiłków. Nie tylko musimy zwiększyć wydajność pracy w fabrykach, ale w każdej dziedzinie działalności.

Każdy, na jakiemkolwiek stanowisku pozostaje, powinien sobie zdawać sprawę, że od wyników jego pracy zależnym jest pokój społeczny, dobrobyt ogólny i byt polityczny państwa. Duchowieństwo przedewszystkiem winno wytężoną rozwinąć działalność w tym celu, by wyświetlić rolę pracy w chrześcijańskim porządku społecznym, a przykładem własnej pracowitości zachęcać do wydajniejszej pracy. Warstwy wyższe i inteligentne muszą się znowu zdobyć na poświęcenie, by spopularyzować samą myśl, a także wytworzyć w łonie społeczeństwa samorzutne organizacje dla przeprowadzenia tej sprawy — stwierdzić wprost swą obowiązkową i pilną pracą, że praca nie jest czemś upadlającem człowieka, ale obowiązkiem każdego, — wyrwać żywym przykładem swego postępowania z umysłów warstw robotniczych wytworzone dotychczas uprzedzenia co do charakteru pracy

i ich losu. Starać się też należy o większe uspołecznienie i unarodowienie robotnika, a gdy on zrozumie swe obowiązki i nie będzie się czuł izolowanym w zamierzonych środkach, gdy zobaczy, że nie tylko od niego domagają się wielkiej pracy, ale od wszystkich obywateli, wtedy wola rzetelna do pracy zrodzić się musi. A religja i moralność robotnika będą jej fundamentem.

Rząd ze swej strony, rozważając wybór środków zaradczych przeciwko niedomaganiom życia społeczno-gospodarczego, nie może też pozostawać pod wpływem pewnych kategoryj myślenia. Czynniki sterujące nawą życia społeczno-gospodarczego muszą pamiętać przy wypracowywaniu planu reform, że jednostronne środki zaradcze nie osiągną skutku. Przeto i w danym wypadku wszystkie zarządzenia stwarzają tylko zewnętrzne warunki do poprawy, a brak wewnętrznych, istotnych. Do ich powstania należy się przyczynić, a przynajmniej już nie można ich powstania utrudniać. Trzeba pamiętać zwłaszcza o tem, cośmy powiedzieli na początku, że obok warunków materjalnych muszą być użyte środki moralno-religijnej natury. Te ostatnie nie mogą być poświęcone na rzecz pierwszych. Nie na wiele przyda się znoszenie świąt, owszem może nawet zaszkodzić, jeżeli się nie pociągnie ludzi do pracy na drodze etycznej. Zwrócić tedy uwagę czynników gospodarczych, zagalopowanych w dążeniach materjalnych i w wyborze takichże środków zaradczych, na przeoczenie czynników moralno-religijnych jest obowiązkiem państwa i ze swej strony ich rozwój całkowicie poprzeć. Państwo nie może upraszczać zjawisk społeczno-gospodarczych, stwarzać abstrakcyjnego gospodarstwa, ale polskie gospodarstwo społeczne musi rozważyć w jego konkretnej formie, musi zastanowić się nad rzeczywistemi przyczynami niedomagań i przedsiębrać środki zaradcze znowu konkretne.

Światopogląd katolicki nie jest bynajmniej pozaziemskim, nie ma na widoku li tylko spraw życia przyszłego, ale zdaje sobie zupełnie sprawę z warunków konkretnych życia. Rozważa je na szerokiem podłożu, z wyżyn nadprzyrodzonego celu, a z wszechstronnego zapatrywania wyprowadza wnioski, dotyczące całokształtu realnych stosunków

życiowych. Obecne przesilenie społeczno-gospodarcze w Polsce nie jest też czemś abstrakcyjnem i obojętnem dla katolika. Katolik nie jest bynajmniej anachoretą: żyje on w warunkach wytworzonych przez przesilenie i takowe w świetle ideologji katolickiej rozpatrywać musi, oraz szukać lekarstw zgodnych z nią, a rzeczywiście skutecznych. A światopogląd katolicki wskazuje, jak podnosiliśmy powyżej, że musimy wysiłek nasz skierować w kierunku zmiany zasadniczych poglądów warstw zainteresowanych bezpośrednio, t. j. pracodawców i robotników. Poglądy ich na pracę, na jej cel i cel życia należy oprzeć na zasadach chrześcijańskich, a zarazem uświadomić jednych i drugich o obowiązkach społecznych i narodowych. Następnie drogą opinji publicznej i współpracy całego społeczeństwa wytworzyć społeczną wolę do pracy. Pomoc zaś państwa winna popierać te usiłowania restauracji ducha, a środkami zewnętrznemi wraz z analogicznemi wysiłkami sfer gospodarczych zmierzać do podniesienia naszego rozwoju gospodarczego i unicestwienia stagnacji gospodarczej.

Nie jest to bynajmniej niemożliwe; owszem dotychczasowe nasze wysiłki w dziedzinie reform skarbowo-pieniężnych stwierdzają co innego! Ale nie lekceważmy ducha ludzkiego. Obok środków zaradczych materjalnej natury, przemówmy do niego skutecznie i stwórzmy trwałą i silną wolę społeczną poprawy naszych społeczno-gospodarczych stosunków oraz wprowadzenia ich na normalne, zdrowe, oparte na odwiecznych prawach Bożych tory. Przeto jakże prawdziwem jest twierdzenie następujące, cytowanego przez nas autora: „Gdzie kapitał i praca, kierowane siłą moralną, zmierzają do uskutecznienia celów ekonomicznych, tam panuje sprawiedliwość i pokój. Bogactwo i dobrobyt narodu zależą przedewszystkiem od bogactwa duszy... Ta siła zaś moralna nie kieruje się motywami ziemskiemi, egoistycznemi, lecz motywami porządku Bożego. Jak porządek wszechświata świadczy o mądrości Bożej, tak i świat ekonomiczny dla swego harmonijnego i pokojowego rozwoju musi przez ludzi stać się dziełem Bożem"[1]).

[1]) l. c. str. 218.

*Ks. Dr. A. Roszkowski.*

# Wpływ „Eneidy" na „Pana Tadeusza".

Słusznie zauważył prof. Brückner [1]), że od wieku XVI objawia się wśród polskich twórców dążenie i tęsknota do narodowej epopei. Dowodzą tego wczesne próby przekładów epicznych arcydzieł obcych, i mnóstwo całe utworów epicznych, wśród których wyróżnia się epicznym rozmachem w XVII wieku *Wojna Chocimska* Potockiego. Jedną z potężnych podniet tego usiłowania była *Eneida* Wirgiljusza. Homer dla małej znajomości języka greckiego i braku przekładów (Jan Kochanowski przełożył tylko jedną księgę *Iljady*) nie mógł wywrzeć większego wpływu na naszych poetów, Wirgiljusz przeciwnie dostępny był dla każdego przeciętnie wykształconego szlachcica i stał się prawdziwie „przyjacielem Polaków", jak trafnie wykazuje prof. Chrzanowski i prof. Sinko w swych studjach o tym poecie [2]).

Ten silny urok, jaki Wirgiljusz wywierał na umysły i serca polskie osiągnął szczyt w naszej narodowej epopei, w *Panu Tadeuszu*. Ona spełniła trzywiekowe, usilne tęskoty do stworzenia eposu narodowego. Oczywiście w genezie twórczej *Pana Tadeusza* odgrywały też rolę inne wpływy obcych arcydzieł, jak Homera, Tassa, Walter-Scotta, Coopera, Goethego i innych. Wykazuje to prof. Bruchnalski [3]), Windakiewicz [4]) i Sinko [5]) niemniej jednak doniosłym jest

[1]) Potocki, Wojna Chocimska. Str. XXXIV.

[2]) Por. I. Chrzanowski: Czem był Wirgiljusz dla Polaków. Kraków 1918. T. Sinko. Wstęp do *Eneidy*. Bibl. Narodowa. Str. XXVIII.

[3]) Reminiscencje w *Panu Tadeuszu* z Homera, Wirgiliusza i Tassa. 1888.

[4]) Prolegomena do *Pana Tadeusza*. 1918.

[5]) Wstęp do *Eneidy*. Bibljoteka narodowa. 1924.

wpływ, jaki na powstanie naszej narodowej epopei wywarła *Eneida*. Wymienieni wyżej autorowie nie zapoznają tego wpływu, osobnego jednak i wyczerpującego studjum o stosunku *Eneidy* do *Pana Tadeusza* dotąd u nas nie było. Prof. Bruchnalski zaznacza wyraźnie we wstępie, że nie ma zamiaru dać studjum wyczerpującego w tej mierze, jakoż więcej zajmuje się Homerem i Tassem.

Tłumacząc *Eneidę* na język polski przez lat kilka, miałem sposobność zauważyć głębokie pokrewieństwo obu epopej na wielu miejscach, wymykających się uwadze wśród zwyczajnej lektury i to skłoniło mnie do napisania rzeczy niniejszej.

Małego Adama zapoznali z *Eneidą* OO. Dominikanie „białokapturni" w Nowogródku. Odyniec w liście do Korsaka w r. 1829 pisze, że wedle słów Mickiewicza oprócz tych samych bajek, opowiadanych przez niańki, inne też „źródła kultury ich" były prawie te same [1]). „Źródłami kultury" ówczesnych uczniów były powieści tłumaczone z francuskiego a po za tem, jak zauważa prof. Bruchnalski [2]) i Brückner [3]), Homera *Iljada*, Wirgiljusza *Eneida* i *Jerozolima wyzwolona* Tassa. Uczniowie urządzali nieraz zabawy „mające wyobrażać różne sceny z tych poematów".

Młody Mickiewicz czytał *Iljadę* Homera w tłumaczeniu Dmochowskiego, które w r. 1804/5 wyszło już w drugiem wydaniu, z pełnym urokiem nowości, czytał w przekładzie Piotra Kochanowskiego *Jerozolimę wyzwoloną* Tassa, silnie wzorowaną na *Eneidzie* Wirgiljusza, a wreszcie samą *Eneidę*, która w r. 1809 wyszła (9 pierwszych ksiąg) w przekładzie Dmochowskiego. Do tych czasów odnoszą się wedle świadectwa Odyńca — słowa Mickiewicza z IV części Dziadów:

> Tam do gaju chodziłem wieczór, lub przededniem,
> By odwiedzić Homera, rozmówić się z Tassem,
> Albo oglądać Jana zwycięstwo pod Wiedniem.

Ciekawy fakt rzuca pewne światło na problem, który omawiamy: W r. 1810 wybuchnął pożar w pobliżu domu

---

[1]) Listy z podróży, wyd. 2, t. I, str. 317 i n.
[2]) Pamiętnik Tow. Lit. Lwów 1888, t. II, str. 96.
[3]) Dzieje literatury pol. t. II, str. 57.

Mickiewiczów. „Adaś, jak opowiada Fr. Hoesick [1]), zamiast biec, jak inni na ratunek palącego się domu, wszedł na dach ojcowskiego dworku, skąd ze spokojem artysty przypatrywał się pożarowi, a gdy ogień ugaszono, przyszedł do brata Franciszka, prosząc go, aby pisał, co mu podyktuje. I zaczął dyktować wierszowany opis pożaru, „tak silnie i zręcznie oddany", że nauczyciel wymowy, skoro wiersz ten przeczytał, nie tylko mu przyznał niepospolite, godne najwyższej pochwały zalety, ale polecił go do odczytania na publicznym egzaminie w przytomności wizytatora Kossakowskiego".

Szkoda, że ten wierszyk nie zachował się do naszych czasów, ale samo przypatrywanie się pożarowi z dachu domu przypomina żywo chwilę opisaną w *Eneidzie*, kiedy jej bohater z dachu domu swego przypatruje się pożarowi płonącej Troi (*Eneida*. II. w. 302 i n.). Zdaje się mały Adaś naśladował bohatera poematu, na wrażliwego chłopca wywarła wpływ lektura świeżo wydanego przekładu Dmochowskiego *Eneidy*. Wiemy bowiem, że choć nie należał on do „prymusów", to pochłaniał poprostu wszystkie książki, które mu pod rękę podpadły. Wiemy, że wieczorami ojciec Adama p. Mikołaj „przewodniczył zebraniom, na których dwaj starsi chłopcy czytali głośno gazety, pamiętniki i celniejszych autorów dzieła wierszem i prozą" [2]).

Ciekawem jest jednak, że Adaś rozczytujący się w przekładzie *Iljady* Dmochowskiego, o czem wspomina w *Dziadach* i co odbiło się tak głośnem echem w *Panu Tadeuszu*, mniej zajmował się przekładem *Eneidy* tegoż tłumacza. *Eneida* miała wywrzeć nań wpływ większy dopiero w latach uniwersyteckich, a to, jak się zdaje, przez gruntowne studjum samego oryginału, o czem powiemy później. Przekład *Eneidy* Dmochowskiego nie wykończony i zbyt prostolinijny już wtedy mniej mu przypadał do smaku.

Na uniwersytecie wileńskim dopiero, jak sam przyznaje, wziął się Adam do gruntowniejszego studjum klasycznego piękna. „Życie umysłowe — jak słusznie zauważa Chmielow-

[1]) Szkice i opowiadania. Warszawa 1900 str. 113.
[2]) Hoesick. Szkice i opowiadania. Str. 115.

ski [1]) — mocno naówczas tętniło w Wilnie i potężnie ciągnęło młodzież ku sobie. Mickiewicz, zapisawszy się na wydział filozoficzny, pod Groddeckiem, znakomitym znawcą literatury klasycznej, zaznajamiał się z Homerem, zaś z pomocą Leona Borowskiego nabierał lepszego zrozumienia „Tassa". Studjum nad *Eneidą* i *Ziemiaństwem* Wirgiljusza ułatwił poecie docent Lewicki. Sam Mickiewicz przyznawał, że dopiero w latach uniwersyteckich „nauczył się czuć i oceniać te nieprzebrane piękności i skarby językowe, zawarte w przekładach arcydzieł klasycznych". Jeśli jednak, nie umiejąc dobrze po grecku, chętnie posługiwał się Dmochowskim, to przy czytaniu *Eneidy* odpadała potrzeba używania niewprawnego przekładu. Niemniej wszakże cenił Mickiewicz pierwszą próbę artystycznego przekładu *Eneidy*, która co do piękności stylu przewyższa znacznie wydany później, kompletny przekład *Eneidy* Wężyka. „Adam — pisze Odyniec — mówił, że nikt większych zasług nie położył w literaturze naszej, jak Dmochowski i Piotr Kochanowski, pierwszy przekładem *Iljady*, a drugi *Eneidy* i *Jerozolimy wyzwolonej* Tassa, bo przez te dopiero przekłady wielka prawdziwie poezja doszła u nas do wiadomości ogółu".

Doniosły wpływ tego wileńskiego studjum, widoczny już w r. 1818 w ocenie Jagiellonidy Tomaszewskiego, objawił się w kilka lat później w utworze (w Odessie r. 1825) p. t. *Popas w Upicie*. Niewielki ten wiersz szczególnie ciekawym jest dlatego, że jest w nim, jakby zawiązek późniejszej epopei *Pana Tadeusza*. Ten wzgórek „obronny wałem i zwodzonym mostem, co teraz broni się tylko pokrzywą i ostem", czyż nie przeradza się na zaścianek Dobrzyńskich i dworzec Maćka nad Maćkami? karczemka „bez okien i dachu" rozrośnie się w obszerną karczmę soplicowską, starzec z posrebrzanym wąsem, z konfederatką na łbie, zarzuconej ukosem i wąsem augustowskim i karabelą u pasa — to jakby przyszły Podkomorzy.

Otóż w tym epicznym obrazku znajdujemy żywe echo *Eneidy* Wirgiljusza.

---

[1]) Poezje A. Mickiewicza. Kraków 1910, t. I, str. 8.

Mickiewicz:

Nie bacząc oka, boku, mordując jak wściekli
*Tros Rutulusve fuat,* wszyscy się wysiekli.
(Popas w Upicie w. 54)

Wirgiljusz. *Eneida* ks. X w. 108:

Tros Rutulusve fuat nullo discrimine habebo.

Mickiewicz:

Jak ów Ajaks, *scopulo infixus acuto*
*Expirans flammas*, straszna, lecz słuszna pokuto!
(Popas w Upicie w. 57, 58).

Wirgiljusz: *Eneida* ks. I w. 39 i n.

Pallas exurere classem
Argivum, atque ipsos potuit submergere ponto
Unius ob noxam et furias Aiacis Oilei?
Ipsa, Iovis rapidum iaculata e nubibus ignem,
Disiecit ratcs, evertitque aequora ventis;
Illum *expirantem transfixo pectore flammas*
Turbine corripuit, *scopuloque infixit acuto.*

Tak więc pierwsze jakby świtania wielkiego planu epopei narodowej łączyły się u Mickiewicza ściśle z *Eneidą* Wirgiljusza. A związek ten nie ogranicza się do reminiscencyj, ale sięga samych podstaw *Pana Tadeusza*; arcydzieło poety z Mantui wpływa potężnie na sam zamiar Mickiewicza i plan jego epopei.

Jak powiedziałem wyżej, myśl stworzenia epopei narodowej polskiej budziła się u niejednego poety. Po Sarbiewskiego *Lechjadzie* nastąpiła nowa próba ks. Jana Skórskiego, który napisał po łacinie obszerną epopeję p. t. *Lechus* w r. 1645 [1]). Po upadku Polski Woronicz w *Eneidzie* szuka pokrzepienia i otuchy na przyszłość. Wszystko to przyczyniało się do umocnienia kultu *Eneidy* w umyśle i sercu naszego wieszcza, będącego tak silnym wyrazem dążeń całego narodu, iż mógł powiedzieć o sobie: „Ja i ojczyzna — to jedno".

Szczególnie jednak ten wpływ czarujący *Eneidy*, zaczerpnięty już od pacholęcych lat umocnił w Mickiewiczu poeta Legjonów Cyprjan Godebski. Na to zjawisko zwraca uwagę prof. Sinko na wstępie do nowego przekładu *Eneidy.*

[1]) Por. Przegl. Powsz. Grudzień 1921. Podanie o Lechu str. 396.

Przytaczam jego słowa, gdyż rzucają one dużo światła na problem przez nas rozważany:

„Pociecha płynąca z *Eneidy* krzepiła też Cyprjana Godebskiego, gdy jako oficer legjonów Dąbrowskiego stał w r. 1798 załogą w Mantui, miejscu urodzenia Wirgiljusza i pisał swój dziennik z podróży p. t. *Grenadjer filozof* i *Wiersz do Legjów polskich* (wyd. 1805). Ostatni utwór kończy się apostrofą do poległych, wzorowaną na apostrofie Wirgiljusza do Eurjala i Niza (IX. 446 i n.) i taką przepowiednią:

> ...myśl słodka mnie cieszy, że Pamięci córa
> dar nam gotuje w płodzie ojczystego pióra
> i że z naszych popiołów (przeczucia tak tuszą!)
> powstanie polski Maro z Jasińskiego duszą,
> on wasze czyny poda do wiecznej pamięci,
> a gasząc moje rymy, wspomni dobre chęci.

„To połączenie naczelnika powstania litewskiego z Wirgiljuszem (powiada Mickiewicz w *Kursie lit. słow.* II. 379) jest myślą dziwną. Zdaje się, że poeta nie zapowiadał tu Polakom pisarza, ale chciał wyrazić, że taki tylko mąż, taki żołnierz, któryby miał razem duszę poetycką, mógłby zbawić Polskę".

Taki polski Maro znalazł się w autorze epopei o *Panu Tadeuszu*. Epopeja Napoleońska i epopeja legjonów stanowi w niej nietylko wielkie tło historyczne, ale zarazem jest oceanem, do którego spływają i w którym toną wszystkie przedsięwzięcia intelektualne. Że Mickiewicz, pisząc *Pana Tadeusza*, miał w pamięci poemat Godebskiego, dowodem na to dwuwiersz o tem „jak on (Dąbrowski) rodaków zbiera na lombardzkim polu — jak Kniaziewicz rozkazy daje z Kapitolu (I. 920), przejęty z Godebskiego: „Tam okryty laurami na werońskiem polu — dzienne rozkazy Polak dawał z Kapitolu". Choć Mickiewicz nie napisał osobnej epopei o legjonach, to na podstawie *Pana Tadeusza* mógł się uważać za przepowiedzianego przez Godebskiego „polskiego Marona z Jasińskiego duszą" [1]).

Jak widzimy, Godebski utwierdził Mickiewicza w kul-

[1]) T. Sinko. Wstęp do *Eneidy*, str. XXX, XXXI.

cie *Eneidy*, a może i nasunął mu myśl napisania eposu, przez który stałby się „polskim Maronem z Jasińskiego duszą". Za tem przypuszczeniem przemawia wielkie umiłowanie litewskiego bohatera, przebijające z kart *Pana Tadeusza*. Wszakże postać ta zjawia się na samym początku poematu:

Dalej Jasiński, młodzian piękny i posępny,
Obok Korsak, towarzysz jego nieodstępny,
Stoją na szańcach Pragi, na stosach Moskali
Siekąc wrogów, a Praga już się wkoło pali.
(P. Tad. ks. I).

Ciekawą jest rzeczą, że i *Ziemiaństwo* Wirgiljusza wywarło pewien wpływ na *Pana Tadeusza*. Zwraca na to uwagę prof. Windakiewicz w cytowanem powyżej dziele [1]) za prof. Morawskim [2]). I tak podobnie opisane są objawy zamieszania wśród zwierząt przed nadchodzącą burzą:

Wirgiljusz:

.. aut. bucula, coelum
Suspiciens, patulis captavit navibus auras
Aut arguta lacus circumvolitavit hirundo
...et e pastu decedens agmine magno
Corvorum increpuit densis exercitus alis.
Tum cornix plena pluviam vocat improba voce,
Et sola in sicca secum spatiatur harena.
(Georg. I 375—89)

Mickiewicz:

Krowa coraz ku niebu wznosi wielkie oko,
Usta z dziwu otwiera i wzdycha głęboko...
Ptastwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb trawy,
Tylko wrony, stadami obstąpiwszy stawy,
Przechadzają się sobie poważnemi kroki...
Ostatnia z ptaków, lotem nieścigłym zuchwała
Jaskółka, czarny obłok przeszywa jak strzała...
(P. Tad. X 29—42)

Podobnie koniec IV ks. *Ziemiaństwa* Marona znalazł żywy oddźwięk w zakończeniu księgi I. *Pana Tadeusza*:

Wirgiljusz:

Haec super arvorum cultu pecorumque canebam
Et super arboribus, Caesar dum magnus ad altum

[1]) St. Windakiewicz. Prolegomena do *Pana Tadeusza*, str. 178 i n.
[2]) K. Morawski. Wirgilius i Horatius. Kraków 1916, str. 72.

Fulminat Euphraten bello, victorque volentes
Per populos dat iura, viamque affectat Olympo.
(IV. 559—562)

Mickiewicz:

Takie były zabawy, spory w one lata
Wśród cichej wsi litewskiej, kiedy reszta świata
We łzach i krwi tonęła; gdy ów mąż, bóg wojny,
Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych
Od puszcz Libijskich latał do Alpów podniebnych.
(I. 892—7)

Także obrona flory ojczystej Wirgiljusza (II. 136—8) przypomina pochwałę drzew naszych, przez Tadeusza wygłoszoną:

Widziałem w botanicznym wileńskim ogrodzie
Owe sławione drzewa, rosnące na wschodzie
I na południu, w owej pięknej włoskiej ziemi;
Któreż równać się może z drzewami naszemi?
(P. Tad. III. 580 - 94)

Uderza to, że reminiscencje z dzieł sielankowych Wirgiljusza zdarzają się w początkowych tylko księgach *Pana Tadeusza*, kiedy to Mickiewicz myślał raczej o sielance, niż o epopei. Nierównie większy wpływ wywarła na arcydzieło Adama — *Eneida*.

Wiemy, że Mickiewicz już w młodych latach, czytając Wirgiljusza, marzył o Rzymie. Przyjechawszy do Włoch, zwiedzając Rzym i grób Wirgiljusza w Neapolu, przypomniał sobie poeta żywo rzymską epopeję, wrażenia z lektury młodzieńczej odżyły z nową siłą. Już wtedy zapewnie zaczynał kiełkować w duszy jego zamiar stworzenia czegoś podobnego dla swego narodu. Jak wielkie pokrewieństwo łączy *Pana Tadeusza* z epopeją rzymską dowodzi ta okoliczność, że oba arcydzieła liczą taksamo 12 ksiąg i niemal tę samą ilość wierszy (*Eneida* 9.895, *Pan Tadeusz* 9.709).

Ze wszystkich autorów, którzy wpłynęli na główne postacie *Pana Tadeusza*, Wirgiljusz jeden jest imiennie wymieniony. Zamiłowanie do rzymskiego epika, tak powszechne w Polsce, wyraziło się żywo w postaci Wojskiego. *Eneida* jest dlań książką, z którą się rzadko rozstaje, podobnie jak z placką na muchy. Widać to ze słów jego:

Rozjechali się — ja zaś do Wirgiljusza. —
(P. T. ks. IV. 923).

Wirgiljusz opisuje, jak królowa Dydo zakłada Kartaginę na zakupionej fortelem ziemi:

Z druhami podróż Dydo gotuje strwożona:
Wnet ci, których gniew srogi do tyrana bodzie
Lub lęk pędzi, zebrani porywają łodzie,
Znoszą skarby: skąpego Pigmaljona złoto
Płynie morzem. Kobieta przewodzi nad flotą.
Przybyli wreszcie w miejsce, gdzie wzgórza stok nagi
Mur wieńczy dziś, potężny gród nowej Kartagi,
Kupiwszy ziemi tyle, ile się zamyka
(Byrsą zwą je stąd) — skórą rozesłaną z byka... [1])

Jak owa Dydo pasem ze skóry wołu objęła wielkie przestrzenie, zakupione pod budowę grodu, tak Wojski chce rozdzielić na daleką metę zapalonych pojedynkowiczów:

... obu za słowo ująłem,
Iż będą strzelali się przez niedźwiedzią skórę...
Szlachta w krzyk: To śmierć pewna! prawie rura w rurę!
A ja w śmiech, bo mnie uczył mój przyjaciel Maro,
Że skóra zwierza nie jest ladajaką miarą;
Wszak wiecie waćpanowie, że królowa Dydo
Przypłynęła do Libów i tam z wielką biédą
Wytargowała sobie taki ziemi kawał,
Któryby się wołową skórą nakryć dawał,
Na tym kawałku ziemi stanęła Kartago.
Więc ja to sobie w nocy rozbieram z uwagą.
Ledwie dniało, już z jednej strony taradejką
Jedzie Dowejko, z drugiej na koniu Domejko.
Patrzą, aż tu przez rzekę leży most kosmaty,
Pas ze skóry niedźwiedziej, porzniętej na szmaty....
Postawiłem Dowejkę na zwierzą ogonie
Z jednej strony, Domejkę zaś na drugiej stronie.
Pukajcie teraz, rzekłem, choć przez całe życie,
Lecz póty was nie puszczę, aż się pogodzicie...
(P. T. IV. 974—992).

Widzimy, że *Eneida* dostarczyła Mickiewiczowi tematu do jednej z najzabawniejszych anegdot w *Panu Tadeuszu.* Wpływ jej sięga przecież znacznie głębiej, bo do samej struktury poematu.

Jedną z pięciu pierwszorzędnych figur epopei Mickie-

[1]) *Eneida.* Przekład T. Karyłowskiego T. J. ze wstępem prof. T. Sinki. Bibljoteka narodowa (I. 360 - 369) str. 18.

wicza jest postać Telimeny. Mickiewicz — jak pisze Zaleski — „utrzymywał, że była mu arcypotrzebną dla kontrastu i przeróżnych kombinacyj poematu" [1]). Niektórzy sądzili, że postać tę wziął poeta z życia, mając na myśli Konstancję Łubieńską, ale Mickiewicz sam temu stanowczo zaprzeczył. Słusznie zauważa prof. Windakiewicz [2]), że grają tu pewną rolę reminiscencje Starościny Niemcewicza i Hrabiny Bogusławskiego. Niemniej jednak pewną jest rzeczą, że postać Telimeny wzięta została z Dydony Wirgiljusza i, wzorowanej na niej, Armidzie z *Jerozolimy wyzwolonej*, będącej ulubioną lekturą naszego poety. Podstawowym przecież wzorem pozostaje Dydona. Dowodzi tego tytuł epizodu z ks. VIII. nadany przez samego Mickiewicza: Nowa Dydo.

Oczywiście są i w tej mierze głębokie różnice. Mickiewicz nigdy nie naśladował ślepo pierwowzorów, umiał przetapiać je w twórczym swym umyśle i nadawać im własne indywidualne życie. Dydona nie jest wcale nieco podstarzałą już ciotką, ale gasi urodą swoje towarzyszki. Wszak o niej mówi Wirgiljusz:

Królowa sama, cudnej postaci Dydona
W świątyni z liczną dziewic pojawia się rzeszą.
Jak nad brzegi Eurotu, lub w Cyntu kraj śpieszą
Dyjany tłumne chóry, rozbrzmiewa gór granit
Pod pląsami tysiąca rzeźkich Oreawid.
Ona, kołczan zwiesiwszy, nad cały tłum bogiń
Wznosi się, w piersiach matki szczęścia płonie ogień:
Tak piękną była Dydo, tak raźnie się niosła
W tłum ludzi [3])...

Wprawdzie i Mickiewicz mówi o Telimenie, że była „przystojna i młoda" i zwracała na siebie oczy wzrostem i urodą. Ale już w opisie jej stroju i porównaniu do „pstrej gąsienicy" (ks. III. 329) odczuwamy ironję. Ważniejszą różnicą jest to, iż postać Dydony jest pełna szczerości i powagi, przy głębokości swego uczucia, do tego stopnia tragiczna, iż wycisnęła łzy z oczu św. Augustyna. Telimena przeciwnie, to typ salonowej lwicy, po-

[1]) Zaleski. Koresp. V. 113.
[2]) Prolegomena str. 216.
[3]) *Eneida*. Bibl. narodowa ks. I. w. 497—504.

wierzchownej w poglądach i uczuciach, obracającej się ustawicznie w ciasnych ramach egotycznych dążności.

Wirgiljusz postacią Dydony, jak zauważa prof. Bruchnalski [1]), „przerósł swój czas", jest ona kreacją żywą i oryginalną; w Telimenie mamy poniekąd komiczną jej karykaturę, typ pospolity, siłą kontrastu mający uwydatnić naiwną postać Zosi. Mimo to wielkie podobieństwo obu postaci odsłania się po doznanym zawodzie. Z początku obie głoszą łagodne wyrzuty i prośby, później przekleństwo:

Dydo:

Spodziewałeś się zdrajco, że ukryjesz zbrodnie
Tak wielką, chyłkiem z niw mych uchodząc niegodnie!
Ni miłość cię, ni daną prawica od drogi
Nie powstrzyma, ni biednej Dydony zgon srogi.
(En. IV. 305 i n.).

Telimena:

Niewdzięczny!
Szukałeś wzroku mego, teraz go unikasz i t. d.
(P. T. VIII 429 i n.).

Dydo:

Mnie rzucasz?
(En. IV. 314).

Telimena:

Mów prawdę, chcesz mnie rzucić?
(P. T. VIII 451).

Dydo:

Z twej przyczyny mnie Libów lud, Nomadów króle,
Tyryjcy nienawidzą; dla ciebie wstyd z łona
Odrzuciłam i sławę, którą wprzód wzniesiona
Pod gwiazdy byłam! Komuż mnie rzucasz zbolałą
Gościu — bo to mi imię z małżonka zostało...?
(En. IV. 320 i n.).

Telimena:

To nic, żem tobą zajęta
Wzgardziła Assesora, Hrabię i Rejenta.
(P. T. VIII 514).

Dydo:

Jać nie trzymam, nie zbijam słów wcale.
(En. IV. 380).

---

[1]) Pamiętnik Tow. lit. Lwów 1888, str. 108.

Telimena:

Ja — nie chcę ci zagradzać
Drogi do sławy, szczęściu twojemu przeszkadzać.
(P. T. VIII. 462)

Dydona prosi od odwłokę odjazdu, Telimena o przyznanie się do szczerości dawnego uczucia. Obie kończą złorzeczeniem:

Dydo:

Idź do ziemi Italji, państw szukaj przez fale:
Tuszę, że jeśli bóstwa łaskawe coś mogą,
O skały rzucon, miana Dydony ze trwogą
Często wezwiesz. Z płomieni cię będę czeluści
Ścigać, gdy dusza zimne twe ciało opuści,
Jak cień zgonię cię wszędy, kara nieprzewlekła
Dojdzieć zdrajco! — wieść o niej usłyszę z dna piekła...
(En. IV. 381 i n.).

Telimena:

Uciekaj, lecz cię moje dosięgną przekleństwa;
Lub zostań, wydam światu twoje bezeceństwa,
Twe sztuki już nie zwiodą innych, jak mnie zwiodły!
Precz! gardzę tobą! jesteś kłamca, człowiek podły!
(P. T. VIII. 520—524).

W umyśle Mickiewicza tak silnie utkwiła postać Dydony, że porównanie ilustrujące głębokość jej uczucia zastosowuje do osoby Pana Tadeusza:

Wirgiljusz:

Płonie Dydo nieszczęsna wskróś i przez gród cały
Błąka się, niby łania trafiona od strzały,
Którą gnając przez Krety gaje, niespodzianie
Przeszył pasterz i lotny zostawił bełt w ranie,
Nieświadom: ona w lasach, po górach się wspina
Dyktejskich, lecz w jej boku śmiertelna tkwi trzcina.
(En. IV. 68 i n.).

Mickiewicz:

Wyleciawszy przez bramę, biegł prosto na pole.
Jak szczupak, gdy mu oścień skróś piersi przekole,
Pluska się i nurtuje, myśląc, że uciecze,
Ale wszędzie żelazo i sznur z sobą wlecze.
Tak i Tadeusz ciągnął za sobą zgryzoty,
Suwając się przez rowy i skacząc przez płoty.
(P. T. V. 238 i n.).

Pewne echo z *Eneidy* rozbrzmiewa w opisie matecznika:

Wirgiljusz:

W samym przedsionku, w pierwszej Orku sferze
Płacz z Troskami mściwemi swe leże ukrywa,
Choroby zbladłe kryją się, starość zgryźliwa,
*Strach* z doradcą złym, Głodem, brzydka Nędza, Cienie
Okropne oczom — przy nich *Śmierć* i Udręczenie.
(En. VI. 273 i n.).

Mickiewicz:

Szczęściem człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
Bo *Trud i Trwoga i Śmierć* bronią mu przystępu.
(P. T. IV. 556, 7).

Sygnał dany na rogu przez jędzę Allekto znalazł pewne, choć nierównie wdzięczniejsze echo w grze na rogu Wojskiego:

Wirgiljusz:

Korzysta z chwili srogich kłótni przyjaciółka,
Na dach stajni wybiega i z jego wierzchołka
Pasterski gromki sygnał zagra, krętym rogiem
Tartarejski wydając głos, wraz echem srogiem
Odegrzmiał jej gaj każdy, przepastne grzmią bory.

Mickiewicz:

Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty
Swój róg bawoli, długi, centkowany, kręty —
I zagrał. Róg jak wicher niepowstrzymanym dechem
Niesie w puszczę muzykę i podwaja echem —
Ile drzew, tyle rogów znalazło się w boru,
Jedne drugim pieśń niosą, jak z chóru do chóru.
(P. T. ks. IV. 660—697).

Żywe echo z *Eneidy* znajdujemy w opisie zwalenia sernicy na Moskali podczas bitwy w Soplicowie:

Wirgiljusz:

Wnet wieżę, co nad dachy się strome, wysoka
Do gwiazd spiętrzą, skąd Troja widoczna dla oka,
Wszystkie łodzie Danajów i obóz ich cały,
Tam, gdzie górne wiązadeł spojenia się chwiały,
Żelazem rąbiąc wokół, zrywany z wysoczy
I pchniem w dół: ona z nagłym łoskotem się stoczy
I szeroko na szyki danajskich rot przednie
Upada — lecz prą inni; tymczasem nie rzednie
Grad głazów i strzał różnych.
(En. II. 460 i n.).

Mickiewicz:

Stała w ogrodzie, prawie pod samym parkanem,
O który się opierał Ryków swym trójgranem

Wielka, stara sernica, budowana w kratki
Z belek na krzyż wiązanych, podobna do klatki —
Ku tej sernicy Wojski z Woźnym milczkiem idą
Każdy zbrojny ogromnym drągiem jakby dzidą;
Przyszedłszy, drągi wparli w wierzch słupa nadgniły,
Sami u końców wisząc pchają z całej siły.
Jako flisy uwięzłą na rapach wicinę.
Długimi drągi z brzegu pędzą na głębinę
Trzasnął słup: już sernica chwieje się i wali
Z brzemieniem drzew i serów na trójkąt Moskali,
Gniecie, rani, zabija; gdzie stały szeregi,
Leżą drwa, trupy, sery białe, jako śniegi,
Krwią i mózgiem splamione. Trójkąt w sztuki pryska,
A już w środku Kropidło grzmi i t. d.
(P. T. ks. IX. 679 i n.).

Wpływ *Eneidy* odbił się i na opisie grzybobrania:

Wirgiljusz:

Wstąpili w miejsca miłe, rozkoszne zarośle,
Szczęśliwych gaje, przystań błogiego wesela.
(En. VI. 638—9).

Mickiewicz:

Hrabia widział w nich obraz elizejskich cieni,
Które, chociaż boleściom, troskom niedostępne,
Błąkają się spokojne, ciche, lecz posępne...
(P. T. III. 240—242).

Wiadomo, że Wirgiljusz naśladował żywo Homera; otóż niektóre szczegóły z *Pana Tadeusza* równie dobrze mogą być odniesione do obu tych epików starożytności. Tak np. u Wirgiljusza pojedynek Turna z Eneaszem, przerwany zdradą jest naśladowaniem walki Parysa z Menelajem; obu epików naśladuje Mickiewicz w pojedynku Hrabiego z Rykowem, przerwanym zdradą Płuta. Opis serwisu, sporządzonego przez Wojskiego naśladuje opis tarczy, sporządzonej przez Wulkana dla Eneasza *(Eneida)*, ale też opis tarczy Achillesa *(Iljada)*. Słusznie zauważa jednak prof. Windakiewicz, że „opis mickiewiczowski jest raczej zbliżony do homeryckiego"[1]). Takim epizodem jest też porównanie Gerwazego do wilka, „obskoczonego znienacka przy ścierwie" (P. Tad. V. 752 i n.). Zarówno Homer, jak Wirgiljusz posługuje się

[1]) Prolegomena str. 201.

się tem porównaniem. Podobieństwo *Pana Tadeusza* z *Eneidą* jest w tej mierze uderzające:

Wirgiljusz:

Jak wilk, nim strzały za nim pogonią, bez zwłoki
Uchodzi w niedostępnych gór wąwóz wysoki,
Gdy zagryzie pasterza, lub wielkiego byka,
Świadom zuchwalstwa, ogon podwinąwszy zmyka.
(En. XI. 809 i n.).

Mickiewicz:

Jako wilk, obskoczony znienacka przy ścierwie,
Rzuca się oślep w zgraję, co mu ucztą przerwie,
Już goni, ma ją szarpać; wtem wśród psiego wrzasku
Trzasło ciche półkurcze... wilk zna je po trzasku,
Śledzi okiem, postrzega, że z tyłu, za charty
Myśliwiec wpół scbylony, na kolanie wsparty
Rurą ku niemu wije i już cyngla tyka;
Wilk uszy spuszcza, ogon podtuliwszy zmyka.
(P. T. ks. V. 752 i n.)

Porównanie do węża, zaczerpnięte z *Iljady* (XX. 91—96) i z *Eneidy* (II. 469—475) zastosowuje Mickiewicz do osoby *Pana Tadeusza* (V. 407 i n.).

Wirgiljusz:

W przedsionku samym Pyrrus na schodów krawędzi
Błyskając miedzią w słońcu, oręża nie szczędzi:
Tak wąż, jadem opity, którego wprzód zima
Śpiącego kryła w ziemi, na światło pierś wzdyma
Zbywszy skóry — i pełen młodzieńczej ponęty,
Wygiętym grzbietem, w tyle oślizłe gnąc skręty,
W słońcu wstaje i język drgający wychyla.

Mickiewicz:

Jak w ogrodzie żmija
Dwoistem żądłem zioło zatrute wypija,
Potem skręci się w kłębek i na drodze legnie,
Grożąc stopie, co na nią nieostrożnie biegnie,
Tak Tadeusz, opity trucizną zazdrości,
Zdawał się obojętny, a pękał ze złości.

Słowa Mickiewicza: Lecz jedna mocniej wpiątana we włosy—została się wisząca i krwią buchająca *P. Tad.* (IX. 443—4) naśladują Homera ks. V. 81—2: i ciężką odrąbał mu rękę i t. d., ale też i słowa Eneidy:

Ciebie, Larysie, szuka dłoń, odcięta w walce,
Chwytając oręż, drgają nawpół żywe palce.
(En. X. 395—6).

Homer w naiwności epickiej powtarza całe ustępy bez zmiany. Wirgiljusz w *Eneidzie* powtarza tylko krótkie rozdziałki. Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* idzie w tej mierze za Wirgiljuszem. Tak np. Wirgiljusz powtarza wiersze:

Zdrętwiałem, włos się zdębi głos w gardle mi skona.
(En. II. 774 i n.).

albo sławny wiersz onomatopeiczny:

Quadrupedante putrem sonitu quatit ungula campum.
(Gna druga w trop i sypki piach trąca kopyto).

albo

A dusza z jękiem skargi pierzchła między cienie.
(En. 952 XI. 831. XII.)

Mickiewicz podobnie powtarza ustępiki:

Goście weszli w porządku i stanęli kołem i t. d.
(P. T. I. 300—307, III. 700, V. 305).

Nadaremnie Kropiciei dąsa się i miota.
(P. T. ks. XI. 66, 99).

I przysięgli się strzelać przez niedźwiedzią skórę.
(P. T. IV. 762 i i.).

Częste powtarzanie słów „t a k r z e k ł" w *Panu Tadeuszu* właściwe jest obu epikom starożytności; również i rozdawanie nagród i wynikłe stąd kłótnie znajdujemy zarówno u Homera i Wirgiljusza, jak w naszej epopei *(P. Tad.* V. 525 i n.). Tak samo i katalogowe wyliczanie ofiar pewnego bohatera *(Homer* V. 703, VIII. 273 i t. d. *Eneida* XI. 664 i i.), właściwe obu epikom naśladuje Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* zwrotem o Kropicielu:

Co potem dokazywał, jakie klęski szerzył
Daremnie śpiewać... (P. T. IX. 462 i n.)

Drobniejsze reminiscencje z *Eneidy*, rozsiane są w całej epopei Mickiewicza. Tak np. słowa Wirgiljusza *(En.* VI. 278) *tum consanguineus Leti Sopor* znajdują oddźwięk w wierszu *Pana Tadeusza:*

Tak zwycięzców zwyciężył wkońcu sen, b r a t ś m i e r c i.
(Ks. VIII. 805).

Sławny początek ks. II *Eneidy:*

Zmilkli wszyscy i twarze obrócili bacznie.
(En. II. 1).

naśladuje Mickiewicz w ks. I. 736 i VII. 158.

Umilkli wszyscy i ust nie śmieli otwierać.
Zatem umilkli wszyscy, kiedy jął rozprawiać. (Buchman).

Wirgiljusz:

Pierwszemu ze zwycięzców koń z rzędem wspaniały.
(En. V. 310).

Mickiewicz:

Konia — zawołał Rejent — stawię konia z rzędem.
(P. T. ks. II. 813).

Achat nieodstępnie towarzyszący Eneaszowi i niosący mu broń przypomina Tomasza, noszącego karabelę Podkomorzemu. Zdaje się, że i zestawienie Konewki mordującego gęsi w Soplicowie z Maniuszem nasunęła naszemu poecie *Eneida (En.* VIII. 653 i n.).

Maczuga Herkulesa *(nodis gravatum robur, En.* VIII. 220) przypomina „kropidło" Chrzciciela „uzbrojone w korzenie i guzy i sęki" *(P. T.* Ks. IX. 457). Słowa *Eneidy:*

Ciebie Styks i stróż Orku zląkł cię w głębokości
Jamy, leżąc na stosie wpół zgryzionych kości.
(En. VIII. 296–7).

przypominają miejsce z *Pana Tadeusza:*

wśród leżą kości
Napół zgryzione jakichś nieostożnych gości.
(P. T. ks. IV. 63).

Odwrót Turna *(En.* IX. 790 i n.) podobny jest do odwrotu zbrojnego w ławę Gerwazego. *(P. T.* V. 719 i n.). Słowo *omen* używane kilkakroć w *Panu Tadeuszu* wzięte jest jakby żywcem z *Eneidy*, może nie tyle przez samego Mickiewicza, co wogóle przez pospolite używanie. Tak „drańciem", „draniem" przezywają się ludzie nic nie wiedzący o „Drancesie" z *Eneidy*. Żywe echo *Eneidy* odbiło się w zwrocie *Pana Tadeusza:*

Tymczasem na Wojskiego rozkaz pęki wrzosu
(Ks. IV. 810).

Tak w *Eneidzie* (X. 311) czytamy: *At Jovis interea monitis.* Słowa Turna do Drancesa: *larga tibi copia fandi (En.* XI. 378) są prawie dosłownie przetłumaczone w mowie Kropiciela:

Panie Buchman, waścina rzecz bardzo wymowna...
(P. T. ks. VII. 198).

Słowa *Eneidy:*

O broń krzyczą, w orężne młodzież staje rzędy,
Płaczą i szemrzą smutni rodzice.
(En. XI. 453, 4)

znajdują oddźwięk w XI ks. *Pana Tadeusza:*

Bitwa! Gdzie? w której stronie? pytają młodzieńce
Chwytają broń; (P. T. XV. 67. 8).

a także w opisie bitwy:

Ale starsi wstrzymują...
(P. T. Ks. IX. 67).

Urywania wierszy w spowiedzi Jacka przypominają też nieco niedokończone umyślnie wiersze *Eneidy.* (Jest w nich duża siła wymowy, niedoceniania zgoła przez poprzednich tłumaczy *Eneidy).* Podobne obu poematom jest wyliczanie historji posiadania pewnego przedmiotu. Np. *En.* IX. 359 i n.:

Eurjal bierze Ramneta napierśnik bogaty
I pas złoty z guzami; Cedyk go przed laty
Remulusowi przesłał razem z upragnionem
Przymierzem; ów wnukowi go oddał przed zgonem
Kiedy on zmarł, Rutule w bitwie go zabrali.

Podobnie *P. Tad.:*

Tabakiera ze złota, z brylantów oprawa,
A w środku jej był portret króla Stanisława.
Ojcu Podkomorzemu sam król ją darował,
Po ojcu Podkomorzy godnie ją piastował.
(Ks. I. 758 i n.)

Podobną jest historja książki: *Kucharz doskonały* z ks. XII. *Pana Tadeusza* i t. d.

Podobne też są następujące miejsca obu epopei:

Wirgiljusz:

Kiedy takie przestrogi głosi i zachęty,
Ze świstem nagle lotna uderzy weń strzała.
Nie wiedzieć, czyja ręka ją w tłoku wysłała,
Przypadek-li, czy bogi Rutulom tej chluby
Dostąpić dali; — czyn ten osłonił mrok gruby
I nikt z rany Eneja nie chlubił się potem.
(En. XII. 318 i n.).

Mickiewicz:

Kto z wiosek bataljon Moskalów sprowadził?
Kto tak prędko sąsiedztwo z zaścianków zgromadził?

Assesor-li, czy Jankiel? Różnie słychać o tem,
Lecz nikt pewno nie wiedział, ni przedtem, ni potem.
(P. T. ks. IX. 72 i n.).

Podobnie *Eneidy* miejsce: *Virgulta sonantia lauro* (XII. 520) przypominają się w wierszu *P. Tadeusza:*

Te gałęziste rogi, niby las wawrzynów,
Zasiany ręką ojców na wieńce dla synów i t. d.
(P. T. ks. V. 554).

Widzimy, że i na sam pomysł *Pana Tadeusza* i na jego przeprowadzenie potężny wpływ wywarła *Eneida.* Wspomnieliśmy już, że Mickiewicz czytywał Wirgiljusza przeważnie w oryginale. Znając dobrze język łaciński, mało posługiwał się tłumaczeniem Dmochowskiego *Eneidy*, chociaż jego przekład *Iljady* czytywał często, co okazuje się choćby stąd, że całe wiersze tego przekładu wciela poprostu do *Pana Tadeusza.* Wszak pisze, iż „talent tłumacza *Iljady*, lubo pozbawiony mocy oryginalnej, zachował pewną śmiałość i życie". „W ostatnich — dodaje — zwłaszcza pieśniach *Iljady* wiersze harmonijne, w wyrażeniach ścisłe i, lubo wszelkiej śmiałości poetyckiej pozbawione, nie zmieniają się w rymowaną prozę" (*O krytykach i recenzentach warszawskich).* Narzeka Mickiewicz na małą znajomość literatury klasycznej. „Cóż powiedzieć — mówi — o przypiskach do *Iljady*, gdzie Homer z Wirgiljuszem, Tassem i podobno z Wolterem porównywany" (Tamże) — narzeka, że „zamiast *Iljady, Eneidy, Raju utraconego* tłumaczy się Delilla i innych pseudoklasyków, a co do stylu tłumaczeń nie oddaje się indywidualności autora" (Tamże). O Józefie Lipińskim pisze Mickiewicz, że nieszczęśliwie „wyrabiał" tłumaczenia Wirgiljusza (Bukoliki). Na Lipińskim pokazuje poeta jak we wielu tłumaczeniach ówczesnych „odarto mowę ojczystą ze wszelkich ozdób stylu — a wiersze zamieniono na ciąg syllogizmów". (Tamże). Wnosić stąd można, że Mickiewicz, wysoko ceniąc sztukę Wirgiljusza, a nie znajdując należytego jej oddźwięku w przekładach, czytał go raczej w oryginale. Potwierdza to przypuszczenie fakt, że on, który tyle tłumaczył z obcych języków, tyle brał świadomie, lub nieświadomie ze skarbca Wirgiljusza, nigdy przecież nie zabrał się do tłumaczenia nawet

małego wyjątku jego utworów, wystarczał mu widocznie sam oryginał.

Jak wysoko cenił nasz wieszcz narodowy *Eneidę*, tak ulubioną od lat młodzieńczych dowodzi tego fakt, że w ostatnim ze swych utworów pisanym po łacinie czerpie swój pomysł i siłę porównania z rzymskiej epopei. Mamy tu na myśli odę do Napoleona III. po zdobyciu przez Francuzów twierdzy Bomarsundu napisaną. Porównuje w niej Napoleona III do Herkulesa, walczącego z potworem Kakiem, który porwał mu woły i ukrył je w jaskini. Rozbija on jaskinię skałą, poczem:

...przychwyconego w świetle niespodzianie,
Ryczącego okropnie z wklęsłej jamy wnęka,
Strzałami Alcyd praży, wszelką bronią nęka,
Ogromne głazy miecąc i grube konary.
Ów, nie mogąc uciekać, przerażon bez miary
Z paszczęki dym potworny (okropne zjawiska!)
Wyrzyga, na dom cały gęste chmury ciska,
Kryjąc widok dla oczu i mroki olbrzymie
W grocie skłębia: noc z ogniem, błyskającym w dymie.
Nie ścierpiał Alcyd, ale przez płomień do głębi
Naoślep skoczył, kędy najsrożej się kłębi
Fala dymu i ciemną mgłę z jamy dna żenie.
Tam Kaka, zionącego w mroku czcze płomienie,
Oburącz chwyta dłońmi za szyję i tłoczy
Suche gardło, aż na wierzch wystąpią mu oczy.
Wraz odsłonią się domu wnętrza tajemnicze
Przez drzwi rozbite: woły, złupione zdobycze
Ukażą się na światło.

(En. VIII. 247—264).

Mickiewicz cały swój wiersz do Napoleona osnuwa na tle tego obrazu:

Qualis fugacem quum Amphitryonius
Cacum insecutus, belluae in occiput
Rupes ruens, fumosque et ignes
Guttur in horrisonum retundens,

Auguste Caesar, te auspice, Gallicus
Ursam Bootae victor adordiens,
Spelaea lustrat, caedibus tot
Innumerabilibusque furtis

Obscena; quo nunc advolant undique
Gentes latronis funere sospites

Svecusque, Fennique et Polonus,
Quisque suas sibi res petundo.
(Ode in Bomersundum captum).

Tak na rok przed śmiercią swoją, w r. 1854, kiedy natchnienie poetyckie niemal zupełnie go opuściło, czerpał jeszcze Mickiewicz ożywcze zdroje poezji z eposu mantuańskiego mistrza. Arcydzieło wykwintnego twórcy rzymskiego błogiem swem światłem oświecało całą poetycką twórczość Adama niemal, że do ostatniego tchnienia. Nie przez niewolnicze naśladowanie, ale przez pełne delikatnego smaku korzystanie z jednej z najświetniejszych pereł literatury świata spokrewnił „bóg litewskich borów" narodową i nowoczesną naszą epopeję z epopeją wieków ubiegłych. Lekkiem dotknięciem genjalnego swego skrzydła uderzył w przeszłość, o nieprzeżyte nigdy krynice klasycznego piękna — a drugiem skrzydłem, od zachodu na wschód rozszerzonem, uderzył o te pagórki leśne i łąki zielone swojej ojczyzny, spowitej mgłą północną, uderzył o serca polskie i najgłębsze tętna narodowych tęsknot i bólów i doszedł po promieniach uczucia — do Boga, odzwierciedlił w przecudnej epopei nieśmiertelny odblask Jego prawdy i piękna, odtworzył życie swego narodu i dał mu nieśmiertelność.

Fakt, że Mickiewicz do ukształtowania przecudnej swej epopei sięgał do przeszłości tak dalekiej — do Wirgiljusza, a przezeń do Homera, że z tylu innych źródeł czerpał blaski do ozdobienia swego arcydzieła, nie tylko mu nie ubliża, ale podnosi jego zasługę, pokazując, że do ogromu genjuszu dodał ogrom pracy. A to, co wziął z wpływów obcych, tak przetworzył w swej wyobraźni, że tam, gdzie sam otwarcie nie przyznaje się do korzystania z obcych wzorów, tylko żmudna praca porównawcza odkryć je potrafi. Zresztą Mickiewicz nie jest w tej mierze wyjątkiem. Wszyscy najwięksi twórcy świata skrzętnie korzystali ze zdobyczy swych poprzedników. Wszakże nawet stary Goethe mówił, że pięknie jest być Homerydą...

*Ks. Tadeusz Karyłowski.*

# O mistycyźmie Cesarza Aleksandra I.

(Ciąg dalszy)

---

Niejednokrotnie przestrzegano cesarza, że mistyczna gospodarka Golicyna wielką krzywdę wyrządzała państwu i Cerkwi. W 1816 r. pewien tłumacz przy moskiewskiej chirurgiczno-medycznej akademji, gorliwy prawosławny, Stefan Smirnow, złożył Aleksandrowi memorjał o propagandzie niebezpiecznych książek w Rosji. Tłumaczył w nim, jak umiał najelokwentniej, że dzieła Jung-Stillinga, Eckartshausena, Pichlerowej, Swedenborga i t. p., „mające truciznę w sobie", a zalecane przez ministrów oświaty, obałamucają poddanych I. C. M., zwłaszcza młode głowy i sprowadzają je na manowce.

Silniej jeszcze napadał na rządy Golicyna kurator petersburskiego naukowego okręgu Uwarow. Nie wahał się dowodzić cesarzowi w obszerniejszym raporcie[1]), że mistycy, iluminaci, pietyści i bibliści są obskurantami, „dziećmi nocy", hipokrytami, komedjantami, wstrętnymi „gadami"; że swoją krecią robotą podkopują z rozmysłem „tron i ołtarz" i szykują najciemniejszą przyszłość dla państwa.

W podobnym duchu odzywał się do Aleksandra dorpacki uczony prof. Parrot. Ale ich głosy i przestrogi nie wzruszały wówczas cesarza. Był ciągle jeszcze rozkochany w mistykach i metodystach i ślepo im ufał. Ówczesny poseł francuski w Petersburgu, hr. de Noailles, donosił swemu

---

[1]) Ob. Suchomlinow. Matieriały dla istorji obrazowanja w Rossii w carstwowanie Impieratora Aleksandra I. Żurnał ministerstwa narodnawo proswieszczenia 1865—1866.

rządowi[1]), że cesarz w chwilach wolnych od zajęć oddaje się z rozkoszą mistycznym mrzonkom, które opanowały jego umysł i pilnie bardzo zajmuje się ruchem biblijnym w Rosji.

Mógł zaiste być car zadowolony z gorliwego ministra i z jego gorliwych agentów. Wrogowie „prawdy" byli obezwładnieni. „Księga Życia" i „Słowo Boże" coraz dalej i szerzej promieniały pod jego berłem. Mnożyły się zrzeszenia i wydawnictwa biblijne. Miał car już szkoły biblijne u siebie, dokąd dziatwa różnych wyznań spieszyła po naukę. Miał czytelnie i bibljoteczki biblijne, — słowem, dzięki tym ułatwieniom różne „Kościoły": grecy, katolicy, protestanci, ormianie i t. d., nawet sekty najrozmaitsze, uprzednio wzgardzone i prześladowane, mogły teraz bez przeszkód pod jego skrzydłami czerpać wspólnie z krynicy prawdy „wodę żywota".

Zbliżanie do siebie wyznań przez Biblję uważał car za rzecz pierwszorzędnej wagi. Wierzył bowiem głęboko, że, jeżeli akcja biblijna pójdzie dalej szczęśliwie, to ze zbliżenia nastąpi zczasem braterstwo religij i Kościołów, a z ich braterstwa, ze zlania się „czystych pierwiastków" nauki ewangelicznej, które w jego mniemaniu rozsiane były w różnych chrześcijańskich wyznaniach, wyłoni się wreszcie w całej pełni i całym blasku ku chwale Trójjedynego prawdziwy Kościół Chrystusowy, Kościół „wewnętrzny", Kościół „miłości i ducha", który odrodzi upadłą i cierpiącą ludzkość![2])

Pracę nad urzeczywistnieniem tych „wzniosłych pomysłów" nazywał cesarz pracą „świętą, opatrznościową". Pragnął gorąco, aby „wielkie owe dzieło" (La Grande Oeuvre), „dzieło Boże" mogło jaknajszybciej się ziścić i chciał być głównym jego pionierem, bo czuł się wybranym „powołanym" (élu) przez Boga do prowadzenia Jego świętej sprawy.

Ale w pojęciu cara, aby cel pożądany mógł być osią-

[1]) Raport z dnia 30 maja 1817 r.

[2]) Gdy w 1817 r. pewien Szwed, luteranin Witberg, mistyk i mason, któremu polecono wznieść kościół Zbawiciela w Moskwie, postanowił przyjąć prawosławie i w tej sprawie zwrócił się do cesarza o radę, otrzymał od Aleksandra odpowiedź, że „kwestja wyznań jest dla niego obojętna, albowiem wszystkie Kościoły o tyle są dobre, o ile posiadają w sobie religję Chrystusową". Ob. Boudou. o. c. 139 str.

gnięty, nie wystarczała „biblijno-mistyczna" praca w jednej tylko Rosji. Trzeba było mieć na względzie inne jeszcze kraje i środowiska. W Polsce już zapoczątkował biblijną akcję i liczył, że szczęśliwie tam się rozwinie. W Wiedniu poczynił kroki u kanclerza, aby apostolski monarcha zezwolił na otwarcie w swojem państwie towarzystw biblijnych. Główną wszakże uwagę zwracał car marzyciel na tajemniczy i odległy Wschód: na Grecję, Armenję, na Małą Azję i Palestynę, gdzie roiło się od sekt i wyznań chrześcijańskich, które od wieków żarły się z sobą i namiętnie zwalczały. Jeżeli gdzie, to tam właśnie było konieczne, nieodzowne nawoływanie chrześcijan do jedności i zgody; była potrzebna dla nich akcja biblijna, czytanie Pisma Świętego, Ewangelji, aby „Słowo Boże", słowo „miłości i ducha" mogło należycie oświecić zaślepionych i okiełznać w ich sercach upór i nienawiść.

W ostatnich miesiącach 1819 r. polecił car jednemu znanemu biblijnemu działaczowi, p. Daszkowowi udać się do Jerozolimy. Gubernatorowie otrzymali rozkaz ułatwienia mu przejazdu, a admiralicja oddała mu nawet do rozporządzenia parę okrętów. Celem oficjalnym misji miała być sprawa urządzenia pielgrzymek rosyjskich do Ziemi Świętej. Kazano Daszkowowi przyjrzeć się bliżej stosunkom panującym w Jerozolimie, zbadać dokładnie miejscowe konflikty i antagonizmy wśród chrześcijan i przekonać się, czy wierni prawosławni mogli bezpiecznie nawiedzać święte miejsca. Ale obok celu oficjalnego miał agent rosyjski inne jeszcze zadania do spełnienia. Winien był wytłumaczyć grekom i łacinnikom, że pobożny monarcha rosyjski troszczył się jednakowo o los wszystkich pielgrzymów do Ziemi Świętej, że gotów był okazywać im skuteczną pomoc, ale żądał od nich wzamian wiary w jego przemożną opiekę; żądał zgody, przejęcia się czystym duchem Ewangelji i zrozumienia tej wielkiej prawdy, że „tych, których miłość Boskiego Mistrza połączyła, względy ludzkie nie powinny rozłączyć".

W mistycznych planach Aleksandra Syon, Kalwarja, Krwią Najświętszą oblana, Grób Pański, miejsca święte, po których stąpał Zbawiciel, miały szczególnie ważną odegrać rolę. Niech mu się uda wciągnąć Palestynę w orbitę pracy,

jaką podejmował, niech tam na Syonie, na Grobie Chrystusa dzięki jego wysiłkom ustaną wyznaniowe animozje i różne Kościoły podadzą sobie ręce, — a wielki przykład pojednania stanie się dla wszystkich chrześcijan nauką, magnesem i drogowskazem... *Fiet lux ex oriente*... Szeroko i daleko, z kolebki jedności rozejdzie się światło po świecie... Rozgrzeje chłodnych, pociągnie upartych, i może nareszcie pod wpływem łaski, płynącej z Golgoty, nastąpi to, o czem marzyły dusze kochające „prawdę“[1]) i czego sam oddawna z upragnieniem wyglądał, — fuzja wszystkich chrześcijańskich Kościołów, wskrzeszenie pierwotnej i prawdziwej wiary Chrystusowej, a z nią początek nowych czasów na ziemi[2]), era duchowego odrodzenia ludzi i szczęścia, „wielki Szabat pokoju i braterstwa“ oraz „triumf i tysiącoletnie panowanie Słowa Wcielonego i Boga miłości nad światem!...“

Jakie skutki odniosła misja Daszkowa, nie wiemy, a wiemy tylko, że wieść o zamierzonej podróży rosyjskiego agenta do Jerozolimy zajęła żywo zagranicznych dyplomatów w Petersburgu. Jeszcze przed otrzymaniem odpowiednich instrukcyj z Paryża, dotyczących Palestyny, na jednem przyjęciu u Nesselrodego wszczął z nim poseł francuski rozmowę o świętym Grobie. „Zdziwienie i przestrach, pisał hr. de La Ferronays do swego ministra spraw zagranicznych, z jakiem wydało mi się, że hr. Nesselrode mnie słuchał, jak również jego prośba, abym go nie zmuszał domagać się od Najjaśniejszego Pana odpowiedzi w tym względzie..., obudziły we mnie podejrzenie, że cała ta kwestja była rzeczą nader poufną i że jakieś umiłowane i dosyć osobliwe pomysły, tyczące się Grobu Pańskiego musiały chodzić po głowie cara...“[3])

W mętnej i wrażliwej duszy Aleksandra owe mistyczne dywagacje dziwnie zaiste splatały się z wybrykami liberalizmu, któremi pragnął pozyskać wówczas sympatję i popularność „ciemiężonych ludów“. Okres największego napięcia

---

[1]) Np. Krüdenerowa, pastorowie Bergass i Empaytaz, Koszelew, Golicyn, cała zgraja metodystów i t. d.

[2]) Ob. listy Krüdenerowej do Aleksandra. W. Ks. M. Michajłowicz o. c. Annexes.

[3]) Ob. Raport hr. de La Ferronays z dnia 16 kwietnia 1820 r. W. Ks. Mikołaj Michajłowicz o. c. t. II, t. 333 str.

jego mistyczno-biblijnej działalności w Rosji jest jednocześnie okresem, w którym występuje car na widowni politycznej „w roli chorążego liberalizmu europejskiego". W pierwszych latach ery pokongresowej umizga się stale do żywiołów opozycyjnych we Francji, gani wstecznych i „niepoprawnych" Burbonów[1]), potępia głośno przesądy i zaślepienie ultrasów i przyjmuje nawet od starego jakobina Carnota długie memorjały o obaleniu rządów Ludwika XVIII i obwołaniu królem francuskim liberalnego swego szwagra Wilhelma[2]).

We Włoszech agenci cesarscy, Rosjanie i nie Rosjanie wiążą się z Carbonarami, zagrzewają ognistych spiskowców do walki z tyranją i radzą im pokładać nadzieję w pomoc „anioła światła", liberalnego i dzielnego cesarza, który potrafił Polskę do życia powołać i obdarzyć ją „wolnością".

W Niemczech gorliwie popiera Aleksander Tugendbund, czy Tugendverein, a dla Greków współbraci, dla bohaterskiego narodu, ociekającego krwią w szponach tureckich, chce być zbawcą i protektorem. Pod jego okiem na gruncie rosyjskim powstaje słynna heterja „filoków". Za jego zgodą i błogosławieństwem Xanthos, Skufas, ulubieniec Ypsilanti i przebiegły korfiota Capo d'Istrias organizują powstanie na helleńskiej ziemi. Daje im car pieniądze i dyrektywy, krzepi obietnicami, poleca swym konsulom w Grecji potajemnie pomagać rewolucji. I nie koniec na tem. Przejęty losem Hellady zaczyna potężny władca Północy grozić wojną Prześwietnej Porcie. Jest mowa nad Newą o nowej krucjacie przeciwko niewiernym. Powtarza car w religijnym zapale, że głos wewnętrzny, głos Boga każe mu bronić greckich prawosławnych braci. Jeżeli odwieczny wróg chrześcijaństwa nie zaprzestanie gnębić synów Hellady, — on car prawosławny chwyci za oręż, na czele hufców przekroczy Dunaj i walczyć będzie z półksiężycem, „dopóki nie wywalczy niepodległości dla zdeptanej i szlachetnej Grecji. Nie kryje się ze swemi zamiarami, mówi o nich do przyjaciół i dyploma-

[1]) „Ils sont non corrigés et incorrigibles".

[2]) Wilhelm Ks. Oranji, mąż W. Księżny Anny Pawłówny.

tów, bo broni świętej sprawy i wierzy w pomoc Najwyższego.[1])

Jednocześnie przemawia Aleksander miodopłynnym językiem do braci Polaków. Prawi im czułe słowa, że na nich liczy, że i oni mogą w nim ufność pokładać, że jasną przyszłość gotuje dla ich odrodzonej Ojczyzny. Podniosłe orędzie królewskie, przy otwarciu pierwszego sejmu w Warszawie z zapowiedzią przyłączenia Litwy do Królestwa wprawia w zachwyt cały naród polski, a zagranicą wśród liberałów zyskuje ogólny aplauz. 19 marca 1818 r. pod wrażeniem warszawskich uroczystości pisze car do swego drogiego i bliskiego Koszelewa te ciekawe słowa: „Odczuwam potrzebę porozmawiania paru chwil z tobą. Dzięki naszemu Boskiemu Zbawcy, tak miłosiernemu dla wszystkich, którzy Go szukają i całą duszą zwracają się do Niego, cieszę się tutaj większym spokojem niż w Moskwie i Petersburgu. Post wiele na to wpływa, i Bóg pozwolił mi tak się rozporządzić czasem, że po obiedzie już nie wychodzę, a wieczorem mam parę godzin wyłącznie dla siebie, które poświęcam, oczywiście, czytaniu ulubionych książek. Rozkoszuję się obecnie chrześcijańską filozofją. Dobroć Boża sprawiła również, że ważny okres otwarcia sejmu minął jaknajlepiej. Usposobienie umysłów jest doskonałe, i raduję się, że względem tego narodu trzymałem się wiernie drogi, jaką mi w sercu nakreślił Zbawiciel".

Posyłał car Koszelewowi tekst mowy tronowej, ale dodawał zarazem, że ułożenie tej mowy, którą miał głosić ze stopni tronu, w obliczu całej Europy, łatwem nie było. „W gorących modlitwach, ciągnął dalej Aleksander, zwróciłem się raz jeszcze do Tego Boskiego Zbawcy. Wysłuchał mnie i zezwolił, aby z pod mego pióra wyszło to, co będziesz czytał... Naogół cała ta sesja była rzeczywiście imponującą i wzruszającą ze względu na uczucia, jakie obudziła. Nie wchodzę w szczegóły powiązania i ciągu moich myśli przy układaniu tej mowy. Twoje serce ci je wytłumaczy, gdy z uwagą przeczytasz moją mowę. A gdy pomyślę, że w ten sposób przemawia Rosja do tych, którzy uchodzili

[1]) Ob. ciekawe raporty hr. de la Ferronays, posła francuskiego w Petersburgu.

za największych jej wrogów, że z wysokości polskiego tronu — w Warszawie płyną słowa o zasadach naszego Boskiego Prawodawcy, oraz moralności chrześcijańskiej, jakżeż nie mam być objęty płomieniem najgorętszej dla Niego wdzięczności! Ah! drogi Rodjonie Aleksandrowiczu, z głębi serca ją odczuwam i twoje chrześcijańskie serce odczuwa ją narówni z mojem..."

List do Koszelewa był, jak widzimy, mocno zabarwiony mistycznemi refleksjami, które nie przestawały zaprzątać umysłu cesarza.

„Z miłością i słodyczą", jakie Boski Mistrz zalecał w Ewangelji, chciał „iść" Aleksander do „braci chrześcijan"; chciał im „dobrze czynić"; chciał „podnosić ich ducha do rzeczy Bożych" i skupiać ich, o ile się da, naokoło siebie. Może marzył wtedy o powstaniu jakiejś wielkiej chrześcijańskiej rodziny ludów, której byłby ojcem i opiekunem, jak marzył o połączeniu wyznań pod swoją opieką w jeden czysty Chrystusowy Kościół! Orzec trudno. W każdym razie pod wpływem mistycznych nastrojów marzył wówczas głęboko, że, wyciągając przyjazną dłoń do ludów, szedł właściwą drogą, że dalej winien był po niej stąpać i jednocześnie nie ustawać w modlitwie do Pana, aby cel upragniony osiągnąć. Bo modlitwa w jego przekonaniu „była dla chrześcijanina najskuteczniejszem narzędziem". Modlitwa „przebijała niebiosa", „trafiała do Trójjedynego", mogła Go przebłagać i wyjednać zesłanie Ducha Świętego, Ducha miłości i zgody, który nowem życiem natchnąłby narody i węzłem braterstwa je powiązał...! „Wolę tysiąc razy, dowodził Aleksander Koszelewowi w drugim liście, wysłanym do niego z Warszawy 21 marca 1818 r., osiągnąć pewien skutek wiarą i modlitwą, niż czynami ludzkiemi. Pragnijmy we wszystkiem być Mu (Bogu) obowiązani; pragnijmy w Nim tylko pokładać naszego ducha i tylko od Niego wszystkiego się spodziewać. Wówczas wszystko nastąpi w swoim czasie i w sposób odpowiedni..."

W listopadzie 1819 r. dwaj londyńscy znajomi Aleksandra, kwakrowie Allen i Stefan Grelle de Mobillier, przybyli do Petersburga. Przyjął ich car wieczorem, bez świadków w swoim gabinecie. Posadził przy sobie na kanapie

i, serdecznie ujęwszy ich za dłonie, przypomniał im na wstępie długie rozmowy, miane z nimi w Londynie w 1814 r. Mówił im car, że w Petersburgu mogli spotkać kilku dobrych znajomych, między innymi kwakra Daniela Willena, inżyniera, któremu polecił zająć się osuszaniem błot w państwie. „Ale w rzeczywistości, oświadczał Aleksander, nie materjalne potrzeby były powodem, dla którego sprowadziłem do Rosji moich dawnych przyjaciół. Chciałem, aby ich prawdziwa pobożność, uczciwość i inne cnoty stały się dla mego narodu przykładem do naśladowania". Przed końcem audjencji rzekł jeszcze car do kwakrów: „Narazie, zanim się rozstaniemy, postarajmy się chwilę czasu spędzić na wspólnem rozmyślaniu". „Chętnie przystaliśmy, opowiadał później Grelle, rozumiejąc, że Pan jest przy nas... W milczeniu i kontemplacji upłynęło parę chwil...; nasze serca się upokorzyły i niebawem poczułem w sobie nadziemski wpływ ducha modlitwy i skruchy. Przejęty tym duchem ukląkłem przed Majestatem Bożym i monarcha ukląkł przy mnie... Żegnając się z nami, prosił nas cesarz, abyśmy raz jeszcze go odwiedzili". Pierwsza audjencja kwakrów u cara trwała dwie godziny.

Z korespondencji „brata" Stefana Grelle de Mobillier dowiadujemy się, że wraz ze swym towarzyszem Allenem poznali wtedy w Petersburgu metropolitę Michała, biskupa Filareta, ks. Golicyna, Koszelewa oraz wiele innych wybitnych osobistości, ale o nikim nie odzywali się kwakrowie z taką sympatją i uwielbieniem, jak o ukochanym monarsze. Cesarz był, ich zdaniem, człowiekiem wysoce uduchownionym. „Posiada głęboką znajomość Pisma świętego, pisał o nim Grelle, ma dokładne pojęcie o odrodzeniu i odkupieniu, które się zdobywa wiarą w Pana Naszego Jezusa Chrystusa... W szczególności miłą mu jest rozmowa o wpływie Ducha Świętego i wewnętrznem Jego działaniu, które nazywa kamieniem węgielnym chrześcijańskiej wiary, albowiem „kto Ducha Chrystusowego nie ma, ten nie jest jego". (ad Rom. VIII, 9.) Skoro rzeczy Boże, twierdzi cesarz, tylko za łaską Ducha Świętego poznane być mogą, to jakaż jest nadzieja, że zbawi się ten, kto nie czyni wysiłków, aby Ducha posiadł!" Następna audjencja kwakrów u cara trwała

równie długo, jak pierwsza, ale była bardziej jeszcze serdeczna. Szeroko rozwodził się Aleksander o zbawiennym wpływie Biblji na człowieka. Sam tego wpływu doznał na sobie. Gdy wczytywał się w Pismo święte, jasność z nieba go ogarniała. Duch Święty zstępował do jego duszy i wskazywał mu, jak miał postępować. Mówił dalej Aleksander z zapałem, że pragnie oddawna zgody i spokoju w świecie i ustawicznie w tym kierunku pracuje. Ale ludzie różnie tłumaczą jego czyny i niesłusznie podejrzewają czystość jego zamiarów. „Tymczasem, dodał z głębokiem westchnieniem, czysta miłość Boga i ludzi jest jedyną moją pobudką". Wreszcie rzekł do kwakrów uroczystym głosem: „A więc rozstajemy się w tym świecie, lecz ufam głęboko, że, choć przestrzenią rozdzieleni, zawsze jednak za łaską Ducha Świętego pozostaniemy połączeni wewnętrznym duchowym węzłem, gdyż w Królestwie Bożem przestrzeń granic nie zna. Teraz jeszcze jedną mam do was prośbę. Połączmy się w milczeniu modlitwą i przekonajmy się, czy Pan raczy nas obdarzyć swoją obecnością, jak zeszłym razem". Powtórzyła się patetyczna scena z pierwszej audjencji. Umilkł car, umilkli kwakrowie. „Nasze dusze, są słowa Grellego, ze czcią otwierały się przed Panem, i Pan działał w nich swoją łaską". Wówczas Allen „pod wpływem miłości Chrystusowej odczuł potrzebę powiedzenia ukochanemu monarsze paru zachęcających wyrazów, aby szedł dalej niezachwianie po ścieżce Pańskiej i do kresu swojej ziemskiej pielgrzymki pokładał całkowitą ufność w działanie łaski Boskiej". Przemowa kwakra silne wrażenie wywarła na cesarzu. Obfite strumienie łez płynęły po jego twarzy. A gdy Allen rozpoczął głośną modlitwę za monarchę i jego naród, Aleksander padł na kolana i dłuższy czas klęczał zatopiony w rozmyślaniu. Przy pożegnaniu wzruszony car ucałował rękę starego Allena. [1])

Czułe stosunki Aleksandra z kwakrami i metodystami nie miały już trwać długo. Prysły niebawem, jak prysnął wkrótce liberalizm cara, dowcipnie przezwany przez W. ks.

---

[1]) Ob. Szylder. o. c. t. IV, 140 str. Ob. Historja kwakrów. I. Cuningham. Edynburg, 1868 r.

Konstantego „fałszywą monetą", jak prysły jego mrzonki o połączeniu wyznań, o braterstwie narodów, o odrodzeniu ludzkości przez Biblję... Ale nastroje mistyczne w nim nie wygasły, — spotęgowały się nawet, tylko w odmienną przyodziały się szatę.

(C. d. n.)

*Biskup Michał Godlewski.*

# Fryderyk II a Kościół katolicki w zabranych Polsce dzielnicach.

Przy pierwszym podziale Polski 1772 r. przeszły pod panowanie Fryderyka II-go: ziemia pomorska, biskupstwo warmińskie, województwa malborskie i chełmińskie, oraz część Wielkopolski położona nad rzeką Notecią, której granice w następnym roku posunął król pruski aż do źródeł Noteci, pod Rynarzewo, a dwa lata później jeszcze dalej, tak że granicę południową stanowiła mniej więcej linja idąca na miasta: Wieleń — Margonin — Kcynię — Żnin — Gonsawę — Strzelno — Gniewkowo. Pod względem kościelnym do zabranych ziem należały w całości biskupstwo warmińskie i chełmińskie, prócz tego części czterech innych biskupstw, jakoto: cząstka ziemi Michałowskiej (dekanat górznieński) należąca do biskupstwa płockiego; ziemia pomorska należąca jużto do biskupstwa kujawskiego (archidiakonat pomorski i kruszwicki w wielkiej części) jużto do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego (archidiakonat kamieński z dekanatami: więcborskim, człuchowskim, łobżenickim, nakielskim i tucholskim, oraz dekanaty kcyński i żniński). Tak zwany później obwód nadnotecki podlegał w części biskupowi kujawskiemu (reszta archidiakonatu kruszwickiego z dekanatami kruszwickim, inowrocławskim i gniewkowskim) w części biskupowi poznańskiemu (dekanat czarnkowski i wałecki) i arcybiskupowi gnieźnieńskiemu (dekanaty nakielski, łobżenicki) oraz kcyński i żniński przecięte linją graniczną.

Biskup warmiński był udzielnym panem w księstwie

warmińskiem, stanowiącem trzecią część jego diecezji i posiadał tytuł księcia państwa rzymskiego. Jedynie miasta Frauenburg, Mehlsack i Olsztyn podlegały jurysdykcji władzy kapituły warmińskiej. Biskupem ówczesnym był znany jako poeta ks. Ignacy Krasicki, równocześnie piastujący godność opata-komendatarjusza wąchockiego i prezesa stanów pruskich.

Kiedy z początkiem r. 1772 rozmaite zjawiska wskazywały na to, że rząd pruski nosi się z myślą okupacji księstwa warmińskiego, udała się kapituła do papieża Klemensa XIV przedstawiając mu niebezpieczeństwo, jakie przez zabór pruski zagrażałoby Kościołowi i błagając, aby powagą swą starał się odwrócić ciężki cios wierze i Kościołowi grożący. Równocześnie postanowiono przedstawić groźne położenie rzeczy królowi Stanisławowi Augustowi. Papież przez bawiącego w Wiedniu arcybiskupa Józefa Garampiego przeznaczonego na nuncjusza apostolskiego do Polski polecił sprawę Warmji opiece cesarzowej Marji Teresy — niestety bezskutecznie. Rząd polski znów zawiadomił kapitułę, że wielce jest zadowolony z jej zastosowania się i wierności względem Rzeczypospolitej, że się jednak nie spodziewa, aby król pruski miał mieć zamiary zaborcze; gdyby jednak stawiał żądania prawu narodów przeciwnie, wtedy należałoby się udać do wspaniałomyślności jego, iżby się wstrzymał z ich wykonaniem. Równocześnie też i biskup Krasicki zamierzał w tej sprawie udać się z Heilsberga, gdzie wówczas przebywał, do Warszawy, lecz zanim zdążył się wybrać w drogę, nastąpił zabór księstwa warmińskiego, który pociągnął za sobą sekularyzację biskupstwa.

Dnia 12 września 1772 r. przybył niespodzianie do Frauenburga jenerał pruski Stutterheim oraz prezes kamery królewieckiej Domhardt, konferowali z proboszczem kapitulnym i sufraganem Zehmen'em, który otwarcie sprzyjał Prusakom, i udali się stamtąd do Elbląga, nikomu nie wspominając o mającej nastąpić zmianie, chociaż ich przybycie i tajemniczość, jaką się otaczali, powszechnie za bardzo złą uważano wróżbę[1]). Jakoż nazajutrz w samo południe zjawili się dwaj

[1]) Por. Korytkowski, Arcybiskupi Gnieźnieńscy tom V, str. 228.

komisarze pruscy, radca wojenny Bolz i radca sprawiedliwości Hahn, w Frauenburgu w towarzystwie niższego urzędnika, dobosza i dwunastu szeregowców, a za nimi kilka wozów naładowanych orłami pruskiemi. Zajechawszy wprost przed Kurję sufragana, domagali się natychmiastowego zwołania kapituły, doręczając sekretarzowi jej plik papierów, zawierających tenor patentu okupacyjnego, wystawionego przez króla, z poleceniem rozdania go przed sesją pomiędzy pojedyńczych jej członków. W tym patencie oświadczał król Fryderyk II, że Prusy zachodnie, z wyjątkiem miasta Torunia i Gdańska, bierze w posiadanie — ponieważ one pierwiastkowo należały częścią do Pomorza, częścią do Brandenburgji i później nieprawnie przez Polaków zdobyte zostały — rozkazując wszystkim mieszkańcom, duchownym i świeckim, aby mu dnia 27 września złożyli przysięgę wierności.

Gdy kapituła się zebrała, wspomniani komisarze królewscy oświadczyli jej, że Warmja przechodzi pod panowanie pruskie, wezwali ją do złożenia nowemu monarsze homagjum, w jego imieniu zakazali spełniania wszelkich aktów jurysdykcyjnych i sądowych, oraz czynienia jakichkolwiek wydatków i żądali wykazu dochodów kapitulnych, któremi król miał rozporządzić według swego postanowienia. Proboszcz domagał się czasu do namysłu i sformułowania odpowiedzi, ale komisarze oświadczyli, że instrukcja ich nakazuje im bezwarunkowe przeprowadzenie okupacji i dlatego na odpowiedź czekać i na zwłokę godzić się nie mogą. Spisawszy odnośny protokół i przeszukawszy archiwum, rozkazali prałatom i kanonikom rozejść się a kapitularz opieczętowali. Niektórzy z prałatów i kanoników protestowali przeciw tym gwałtom, nadmieniając, że Warmja nie należąca nigdy do Prus Zachodnich, losu też dzielnicy tej dzielić nie może, zwłaszcza że król w patencie okupacyjnym nic o niej nie wspomina. Komisarze jednak oświadczyli, że mają do tego specjalne upoważnienie, którego jednakże na żądanie pokazać nie chcieli, utrzymując, że do tego nie mają upoważnienia.

Wszyscy członkowie kapituły, z wyjątkiem proboszcza Zehmena, który widocznie popierał zabór, zebrali się nie-

bawem na naradę w kurji kanonika Matthy'ego i postanowili wysłać do Krasickiego delegację, któraby go o groźnem zajściu zawiadomiła. Tymczasem biskup już był powiadomiony o wszystkiem, gdyż i u niego zjawiła się podobna komisja, ogłaszając manifest okupacyjny. Zapewne wskutek tego do wyjazdu delegatów nie doszło; tego samego bowiem dnia biskup przysłał wiadomość piśmienną o dokonanym zaborze, żądając od kapituły odpowiedniego postanowienia, jak się dalej zachować należy i poddając jej do rozwagi przysięgę wierności, którą królowi polskiemu złożyła, a przez której złamanie pozbawi się wszelkiej ze strony jego i Rzeczypospolitej obrony i pomocy. Przedewszystkiem nad tem zastanowić się radził, jak można być posłusznym królowi pruskiemu bez stracenia czci i wiary wobec króla polskiego i jakiej się należy trzymać roztropności, aby żadnej stronie nie ubliżyć. W kilka dni potem zjechał do Frauenburga i zwołał kapitułę, na której dnia 23 września postanowiono jednomyślnie, że królowi pruskiemu należy okazać posłuszeństwo i wysłać do Malborga delegację celem złożenia homagium. Biskup zamianował pełnomocnikiem swym do tego aktu proboszcza i sufragana Zehmena, kapituła zaś delegowała ze swego grona kanoników, Teodora Lutomskiego i Franciszka Strachowskiego. Delegaci obydwóch stron złożyli tedy królowi pruskiemu jako panu swemu homagium dnia 28 września roku 1772.

Przedstawienie szczegółów zaboru innych dzielnic polskich nie należy do naszego tematu; że w nich władze biskupie, jak w udzielnem księstwie warmińskiem, nie odgrywały żadnej roli, jasną jest rzeczą. Prócz warmińskiego także biskupstwo chełmińskie przeszło w całości pod panowanie pruskie. Obejmowało ono prócz ziemi chełmińskiej także ziemię malborską aż po Elbląg, noszącą nazwę Pomezanji; stąd biskup diecezji zwał się także biskupem chełmińskim i Pomezanji. W chwili zaboru był nim ks. Andrzej Beyer, starszy człowiek o wybitnie kościelnym kierunku, rycerz białego orła, mający już wyznaczonego sobie koadjutora *cum iure succedendi* w osobie Krzysztofa Szembeka, proboszcza kapitulnego płockiego, archidiakona warszawskiego i kanonika krakowskiego, który jednak nie rezydując w die-

cezji żadnego wpływu na rządy jej nie wywierał. Miał jednak biskup do pomocy sufragana w osobie ks. Fabjana Pląskowskiego, który był równocześnie oficjałem. W województwie malborskiem był jeszcze drugi osobny konsystorz z wikarjuszem *in spiritualibus* i oficjałem, dalej surogatem, notarjuszem i instygatorem.

Ziemia pomorska aż do Chojnic, należących już do diecezji gnieźnieńskiej, podlegała jurysdykcji biskupa włocławskiego. Był nim wówczas stale w Warszawie przebywający ks. Antoni Ostrowski, późniejszy prymas. Koadjutorem jego, sprawującym rządy w tej części diecezji, był biskup sufragan ks. Kazimierz z Komorza Wolicki, biskup Sinope i p. i. i proboszcz kapituły włocławskiej. Jurysdykcję duchowną sprawował konsystorz, rezydujący w Gdańsku, do którego prócz wymienionego biskupa, jako oficjała i wikarjusza *in spiritualibus,* należał jeszcze surogat i notarjusz. Reszta Pomorza, jak to na wstępie wspomnieliśmy, podlegała arcybiskupowi gnieźnieńskiemu.

W obwodzie nadnoteckim należała część pruska województwa inowrocławskiego do biskupa kujawskiego, taż część województwa poznańskiego do biskupa poznańskiego, wreszcie oderwana od Polski część województwa kaliskiego (powiat nakielski) do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Tak więc prócz dwóch biskupów, rezydujących w nowych dzielnicach pruskich, przypadło rządowi pruskiemu komunikować się aż z 4 biskupami, mieszkającymi w Polsce poza granicami Prus.

Taki stan rzeczy ani władzom pruskim ani królowi samemu oczywiście nie bardzo był na rękę. Pierwszy na to zwrócił uwagę prezes kamery królewskiej, znany nam już Domhardt, w obszernym swym raporcie o stanie Kościoła katolickiego w świeżo zabranych dzielnicach, z dnia 21 grudnia 1772 r.[1]) Twierdzi on, że takie stosunki nie tylko sprze-

[1]) Głównem źródłem w przedstawieniu tej sprawy oraz całej niniejszej pracy jest obszerna publikacja źródłowa p. t. Max Lehmann: Preussen und die katholische Kirche seit 1640. (Publikationen aus den König. preussischen Staatsarchiven). Głównie tom IV obejmujący lata 1758—1775 wydany w Lipsku 1883 r., oraz tom V (lata 1775—1786. Lipsk 1885/6). Prócz tego korzystałem tu i ówdzie z rozprawy p. A. Otto: Aus der Fri-

ciwiają się interesom króla, ale są i ze szkodą dla mieszkańców, ponieważ zdarzają się w religji katolickiej wypadki, w których sam biskup tylko może udzielić absolucji i dyspenzy. W ten sposób poddani pruscy podlegać muszą dyskrecji biskupów polskich, z czego przecież nie można się spodziewać wiele „menagement". Ale plany, jakie podaje dla zaradzenia złemu są wielce dowolne i fantastyczne. Radzi ziemię michałowską przyłączyć do ziemi chełmińskiej, biskupa chełmińskiego mianować administratorem *in spiritualibus* biskupa ordynarjusza właściwego, t. j. biskupa płockiego. Dla ziemi pomorskiej i nadnoteckiej radzi mianować osobnego biskupa, co król mógłby tem łatwiej uczynić, że królowi polskiemu bez wszelkiego współzawodnictwa przysługiwało prawo mianowania biskupa kujawskiego. Funduszu na utrzymanie nowego biskupa i kapituły, składającej się z 4—6 członków, dostarczyłyby posesje kościelne, mające być skonfiskowane. Na stanowisko to przedstawia już nawet kandydata. Jest nim znany nam biskup sufragan warmiński Zehmen, zdaniem Domhardta jedyny, na którego prawdziwą i niekłamaną lojalność wobec Jego Król. Mości można się spuścić. Jest on dlatego nie bardzo lubiany, ale u prostego ludu posiada wielką miłość. Aż do załatwienia wszystkich tych kwestyj radzi wreszcie, podobnie jak się to stało na Śląsku, mianować wikarjusza apostolskiego — byłby nim ewentualnie znowu ów Zehmen, a temu wikarjuszowi podlegałoby katolickie duchowieństwo w całych Prusiech.

Król, który zarządem świeżo nabytych dzielnic skwapliwie i pilnie się zajął, zażądał od ministrów Finkensteina i Hertzberga opinji co do tego, czy mógłby zamianować biskupa sufragana do załatwienia wszystkich tych kwestyj i innych biskupich funkcyj, oraz czy do tego potrzebowałby zezwolenia papieskiego.

Mininistrowie w odpowiedzi oświadczyli, iż bez naruszenia praw i zasad Kościoła katolickiego król nie mógłby na własną rękę mianować nowego biskupa sufragana lub wikarjusza duchownego w miejsce rezydujących poza krajem biskupów: gnieźnieńskiego, poznańskiego, płockiego

dericanischen Verwaltung Westpreussens, umieszczonej w programie gimnazjum w Chojnicach. (Część I r. 1887, Część II r. 1892).

i kujawskiego. Potrzebnem byłoby koniecznie zezwolenie i współudział w tem papieża. Celu swego mógłby jednak król dopiąć w ten sposób, iż za przykładem biskupów praskiego, ołomunieckiego i krakowskiego, których diecezje wkraczały w obręb terytorjum Śląska pruskiego, spowodowałby tych biskupów polskich, by każdy z nich w pruskiej części swej diecezji ustanowił osobnego wikarjusza swego. Wikarjusze ci mieszkaliby w Prusiech i zarządzaliby odnośną częścią diecezji „nie troszcząc się wcale o biskupa“[1]), lecz tylko pod nadzorem pruskich kolegjów.

W razie, gdyby projekt ten znalazł uznanie królewskie, winien poseł pruski w Warszawie, Benoît, nakłonić do tego w energiczny sposób odnośnych biskupów. Tak się też oczywiście stało, gdyż biskupi nie mieli powodu do opierania się w tej kwestji woli królewskiej, zwłaszcza że podobne załatwienie sprawy było i w interesie Kościoła samego, a nawet koniecznością. W następstwie tego zarządzenia zezwolił W. kanclerz rejencji zachodnio-pruskiej, Fürst, pod dniem 12 sierpnia 1773 r. na otworzenie zawieszonych dotąd w czynnościach swych konsystorzów katolickich. Konsystorzom tym dozwolono równocześnie rozstrzygać w sprawach małżeńskich w pierwszej instancji. Konsystorzy takich było podówczas siedem. We Frauenburgu oficjałem był ks. kan. Szczepański, w Lubawie biskup chełmiński rezydował i sprawował rządy bez pomocy oficjała; w Malborgu oficjałem był ks. kan. Rogowski. Kujawski konsystorz urządzono w Tczewie (przedtem był w Gdańsku, który narazie pozostał jeszcze, jak wiadomo, przy Polsce) oficjałem był tu kanonik Lipiński. Oficjałem dla cząstki diecezji poznańskiej został proboszcz ks. Günther w Trzciance, dla archidiecezji gnieźnieńskiej kanonik i proboszcz ks. Rolbicki w Kamieniu, gdzie była kolegiata z kilku kanonikami; wreszcie oficjałem płockiej części był proboszcz Pomianowski z Osicka. O konsystorzach kujawskim, płockim i poznańskim wspomina urzędowy raport, iż prócz oficjała, względnie biskupa samego jako właściwego sędziego a czasem sędziego surogata, który

[1]) „Ohne Rücksicht auf den Bischof zu nehmen“.

ich w razie nieobecności zastępuje, nie składają się z innych członków, prócz dwóch urzędników podrzędnych.

Ale mimo tego zarządzenia sprawa nowego podziału diecezyj nie zasnęła. Podjął ją na nowo ks. Karol Hohenzollern, od r. 1778 koadjutor biskupa chełmińskiego, na którą to godność wyniósł go bardzo samowolnie Fryderyk[1]), nakazawszy agentowi swemu, opatowi Ciofaniemu, wystarać się o bullę konfirmacyjną w Rzymie. Radził więc ks. Hohenzollern krótko po objęciu swego urzędu połączenie należących do Prus części diecezyj polskich z diecezją chełmińską i mianowanie go legatem apostolskim w tej części. Król zgodził się na tę propozycję i polecił jej przeprowadzenie agentowi swemu Ciofaniemu w Rzymie. Tam jednak rzecz napotkała widocznie na trudności; lecz Hohenzollern mający własne korzyści na oku, nie zasypiał sprawy i przy każdej sposobności ją ponawiał. Już w r. 1780, kiedy to w obszernym memorjale przedłożył królowi projekty swe względem podniesienia diecezji chełmińskiej, znowu przemawiał za zniesieniem tych „dieceses mixtes" (mieszanych dlatego, że częścią należały do Polski częścią do Prus) lub przyłączeniem ich do diecezyj czysto pruskich. Ponieważ jednak rządu polskiego w tej sprawie pominąć nie można było, więc radził sprawę tę poruszyć na przyszłym sejmie warszawskim.

Minister Fürstenstein, któremu król oddał memorjał do rozpatrzenia, także uważał rozdział diecezyj mieszanych i uwolnienie się od biskupów, rezydujących w Polsce, za konieczne. Sądził, że papież nie będzie robił trudności i radził rzecz przedłożyć na przyszłym sejmie warszawskim oraz porozumieć się z odnośnymi biskupami, którzy będą musieli być odszkodowani. Polecono też sprawę ministrowi-rezydentowi Axtowi w Warszawie, sejm jednakże zaraz z początku tak był burzliwy, że sprawy tej wogóle nie było można na nim poruszyć. Król więc postanowił poczekać na śmierć owych biskupów, aby przy tej sposobności złączyć odnośne części ich diecezyj. Polecił także posłowi pruskiemu Riedesel'owi w Wiedniu, by sprawę tę przedstawił papie-

[1]) Po śmierci biskupa Beyera 1785 r. został ks. Hohenzollern biskupem chełmińskim, a w r. 1795 biskupem diecezji warmińskiej.

żowi Piusowi VI, bawiącemu właśnie podówczas w kwietniu 1782 r. na dworze Józefa II. Papież oświadczył, że nie ma nic przeciw temu projektowi, ale prosił, aby się poprzednio porozumieć z królem polskim. W razie, gdyby Polska nie zgodziła się na plany Fryderyka, możnaby mianować dla tych „parcelles" wikarjusza jeneralnego, któryby rezydował w Prusiech. Przewidziany przez króla wypadek opróżnienia jednej z katedr biskupich w grę wchodzących nadszedł niebawem. Kiedy po śmierci prymasa Ostrowskiegn († 26 sierpnia 1784 r.) biskup płocki, książe Michał Poniatowski, posunął się na metropolję gnieźnieńską, zawakowała, choć nominalnie tylko, katedra płocka, gdyż koadjutorję miał już ks. Krzysztof Szembek. Rezydent pruski w Warszawie, Buchholz, sam więc zwrócił uwagę na to, iż moment to dobry, żeby pomyśleć o złączeniu biskupstw mieszanych. Biskupi wprawdzie — pisał on — będą się wzbraniali, powołując się na traktat podziału, w którym zagwarantowane było zachowanie dla religji katolickiej „status quo", ale ustęp odnośny — zdaniem jego — trzeba przedstawić jako dwuznaczny. Równocześnie jednak podkreślił z naciskiem, że odnośni biskupi są ludźmi w Polsce bardzo wpływowymi, którzy pozyskani dla króla oddaćby mu mogli wielkie usługi. Może być, że ostatnie te uwagi zaważyły u króla, zresztą i minister Herzberg sprzeciwiał się wszelkim krokom, któreby uchodzić mogły jako naruszenie przyrzeczonego „status quo"; dość, że król postanowił odłożyć sprawę tę na czas późniejszy. Podjętą ona była na nowo przez następcę jego, Fryderyka Wilhelma II, lecz ostateczne załatwienie znalazła dopiero po drugim podziale Polski, który tak znacznie zmienił terytorjalny wygląd diecezyj, względnie przez kongres wiedeński z r. 1815 i bullę „de salute animarum" z r. 1821.

Król w patencie okupacyjnym z dnia 13 września 1772 przyrzekł nowym swym poddanym zupełną swobodę religji. Warto tu przytoczyć dosłownie odnośny ustęp: „*Dagegen wir auch geneigt und fest entschlossen sind auch hiermit versichern, sie sammt und sonders bei ihren Besitzungen und Rechten in Geist- und Weltlichen, besonders die der röm. katholischen Religion Zugethanen bei dem freien Gebrauch ihrer Religion zu lassen, zu schützen und zu hand-*

*haben und überhaupt das ganze Land zu regieren, dass die vernünftigen wohldenkenden Einwohner glücklich und zufrieden sein können und keine Ursache haben werden, die Veränderung zu bereuen*". Oświadczenia też, jakie raz poraz król przez agenta swego kazał dawać papieżowi, tchnęły zawsze wielką życzliwością dla Kościoła katolickiego. Rzeczywistość jednak, że wspomnimy zabór dóbr kościelnych oraz inne gwałty zadane Kościołowi, oświadczeniom tym nadawała znamię frazesu. Wiadomo, że Polska w formalnym traktacie zgodziła się na odstąpienie zabranych jej przez trzy mocarstwa dzielnic. Artykuł VII tego traktatu był przedmiotem długich rokowań i korespondencyj między obydwoma rządami. Przedłożony początkowo przez rząd pruski tenor jego był bardzo ogólnikowy, opisywał bowiem tylko: „*Sua Regia Majestas Prussiae religionem catholicam tam in provinciis, quas serenissimus rex et republika Poloniae per praesentem tractatum ipsi cedunt, quam in Regno Prussiae et in districtibus Lauenburgensi, Butonensi et Drahemensi conservabit*". Nie chciano się z pruskiej strony absolutnie zgodzić na tenor ułożony przez polskich deputowanych, na który zgodzili się pełnomocnik austrjacki i rosyjski, a w którym zachodziło wyrażenie: „*Avec tous les droits, immunités et privilèges, qui leur compétaient effectivement et qui pour lors étaient en usage et en pleine exécution*". Ostateczne brzmienie artykułu religijnego, na który Prusy się zgodziły, było następujące: „*Les Catholiques Romains jouirront dans les provinces cédées par le présent traité tout comme dans le royaume de Prusse et dans les districts de Lauenbourg, de Butow et de Draheim, de toutes leurs possessions et propriétés quant au civil. Et par rapport à la religion ils seront entièrement conservés in statu quo, c'est-à-dire dans le même libre exercice de leur culte et discipline avec toutes et telles églises et biens ecclésiastiques qu'ils possédaient au moment de leur passage sous la domination de S. M. Prussienne au mois de septembre en 1772. Et Sa dite M- et Ses successeurs ne se serviront point des droits de souverain au préjudice da status quo de religion catholique romaine dans les pays susmentionnés*".

Na wyraźne życzenie króla musieli także księża kato-

liccy po okupacji składać przysięgę na wierność królowi, czego nie było przy zaborze Śląska. *Les prêtres catholiques il est bon de leur faire prêter l'hommage* — zanotował król na marginesie raportu urzędu spraw zagranicznych z 23 kwietnia 1772 r. Formularz tej przysięgi dla wszystkich rzymsko-katolickich proboszczów, kapelanów, administratorów, kooperatorów i kuratorów Prus Zachodnich ułożył radca wojenny Samuel Benedykt Spiker, a jest on tak charakterystyczny, prawie naiwny, że nie podobna nie przytoczyć z niego choć kilka ustępów.

Przy wyliczeniu wszystkich możliwych następców tronu i ich descendentów, którym prócz króla przysięgało się wierność, oraz wszelkich form uległości, wierności i sprzyjania, przyrzeka przysięgający i to, że swej gminie kościelnej oraz penitentom tak w publicznych jak i prywatnych napomnieniach, tak w konfesjonale, jak i poza nim, będzie wpajał niekłamaną wierność dla J. Królewskiej Mości i domu jego, a sam im pod tym względem świecić będzie dobrym przykładem. A dalej zakończenie: „Gdybym zaś kiedyś temu zaprzysiężonemu zapewnieniu stał się niewierny, wtenczas nie mam uzyskać żadnego za to przebaczenia ani w tem życiu ani w przyszłem".[1]) Przysięgę tę musiał składać każdy duchowny, który uzyskał jakie bądź beneficjum, wobec komisarza mianowanego przez t. zw. *Ober-Hof und Landesgericht.*

Jedną z kwestyj, najwięcej Fryderyka zajmujących, był zabór dóbr duchownych. Myślał on o tem dość wcześnie, przed samym faktem okupacji. Już w październiku 1771 r. zakomunikował on Domhardtowi, wówczas prezesowi królewskiej *Kriegs und Domainenkammer*, zasady, któremi

[1]) Ich verspreche danebst meinem Kirchengemeinden und Beichtkindern sowohl durch öffentliche oder private Ermahnungen in und ausser dem Beichtstuhl eine unverfälschte Treue gegen S. K. M. von Preussen, dero Königliches Haus und dasjenige, was ich durch diesen Eid zu thun gelobet zur unverbrüchlichsten Beobachtung nachdrücklichst einschärfen und Ihnen darunter mit dem bestem Exempel vorgehen wolle... Wie ich mich denn auch ausdrücklich ancheischig mache, dieser Eidlichen Verbindung mich zu keiner Zeit und keinerlei Vorwand zu enziehen, und dass, wenn ich es tun sollte, mir dieserhalb keine Vergebung weder in diesem noch in jenem Leben zu statten kommen soll.

w tym względzie zamierzał się kierować, oświadczając otwarcie:[1]) „Co się tyczy starostw i biskupstw, to zabiorę ich dobra i wydzierżawię je jako domeny, a wówczas trzeba się porozumieć co do sumy, którą wypłacać się będzie biskupom i kanonikom miesięcznie lub kwartalnie". Tę samą myśl wyraża w rozkazie gabinetowym do Domhardta z dnia 20 lutego 1772 r. Chce on się zastosować do modły przyjętej w Rosji, by starostom i księżom zapewnić mierne utrzymanie, dobra zaś ich zabrać i wziąć przez rok w administrację, aby wiedzieć, jakie one mogą *de facto* przynosić dochody, a potem wydzierżawić je w przypuszczeniu, że w ten sposób dochód z nich będzie znacznie większy niż obecnie. W miesiąc później (20 marca 1772) donosi, że zdecydował się załatwić sprawę tak jak na Śląsku, gdzie duchowieństwo od zabranych dóbr swoich i immobiliów otrzymuje 50% pensji rządowej, jako uposażenie swoje, ale poza tem w razie wakansu opactw, prałatur i t. p. obowiązywać się musi do urządzeń pożytecznych dla kraju, jako to osad ziemskich, podatków od pensyj *(Pensions-Abgaben)* i innych świadczeń. Jak owe 50% mające być oddane duchowieństwu należy obliczyć, znów król sam określił, rozporządzając, iż jako normę należy przyjąć dochód wypośrodkowany przez komisję klasyfikacyjną; z tego mają być potrącone koszta budowlane i inne, a reszta dopiero ma być podzielona. Nadwyżka, którąby się *ex post* wskutek poczynionych melioryzacyj osiągnęło, ma jednak zawsze przypaść w połowie rządowi.

Duchownym, jako powód konfiskaty dóbr należy podać, iż zamierza się ich w ten sposób uwolnić od dystrakcyj nieuniknionych przy zajmowaniu się gospodarstwem rolnem, by tem mniej byli krępowani w wykonywaniu duchownych swych funkcyj.[2]) Właściwy rozkaz gabinetowy, konfiskujący dobra kościelne, datowany jest z dnia 1 listopada 1772 r.

[1]) Was Starosteien und das Bistum angehet, so nehme ich die Güter und werde sie auf den Fuss von Domainen verpachten und muss man sich dann auf eine gewisse Summe verstehen die dem Bischof und denen Canonicis Monatlich oder Quartalich darauf gezahlt werden.

[2]) Damit sie durch deren Bewirtschaftung nicht distrahiret und von ihren geistlichen Verrichtungen um so weniger behindert werden möchten

Wyjęte były jedynie drobne własności i grunta plebanów wiejskich *(exclusive derer geringen und Dorf-Pfarreien)*. Przed własnem sumieniem król zabór ten znów tem tłumaczył: *Que c'est la mauvaise administration de ces biens (ecclésiastiques) qui m'a engagé de les faire gérer moi-même et d'en payer des revenus certains appointements fixes à qui ils appartiennent.*

Lecz i wewnętrznym ustrojem Kościoła i jego urządzeniami w zabranych świeżo dzielnicach począł się rząd pruski wkrótce gorliwie, a raczej zbyt gorliwie zajmować. Ponieważ ustanowiono normę, iż powinno się wszystko zastosować do mody śląskiej, więc ministerjum przedstawiło królowi następujące zarządzenia jako konieczne:

1) Nie wolno nikomu poświęcić się stanowi duchownemu bez poprzedniego zezwolenia rządu. Tego samego zezwolenia potrzebują rodzice poświęcający dziecko stanowi duchownemu.

2) W małżeństwach mieszanych między protestantami a katolikami, winni być synowie wychowani w religji ojca aż do 14 roku życia, a córki w religji matki do 12 roku. Rodzicom w paktach małżeńskich nie wolno w tej sprawie dysponować.

3) Ponad 300 talarów nie wolno nic zapisywać klasztorowi lub jakiej pobożnej fundacji; nie wolno także wyższej sumy ofiarować na msze funduszowe, z czego wyjęte są tylko testamenty porobione.

4) Urzędy duchowne i beneficja mogą otrzymać tylko poddani J. Kr. M., dlatego każdy przed ich objęciem winien się legitymować przed sądem wyższym rządowym.

5) Każdy przełożony klasztoru winien baczyć na to, by świeżo wstępujący zakonnik w przeciągu 14 dni złożył przysięgę wierności królowi, a w razie niedopilnowania tego obowiązku pociągnie się go do odpowiedzialności.

6) Bez wiedzy i zezwolenia rządu nie wolno żadnemu duchownemu wyjeżdżać poza granicę kraju.

7) Nawet w tych klasztorach, w których J. Kr. Mość nie mianuje sam opata lub przełożonego, winien wybór tychże osób odbywać się tylko w obecności komisarzy królewskich.

8) Żadnemu zakonnikowi nie wolno robić testamentu, ani nie wolno niczego posiąść z jakiegokolwiek zapisu: majątek jego w takim razie przechodzi na najbliższych sukcesorów świeckich, którzy odnośnemu duchownemu z owego zapisu wypłacą rocznie 4% póki żyje. Duchownym świeckim i nie zakonnym natomiast wolno robić testamenty, dysponując z nich jednak tylko tem, czego się dorobili z dochodów urzędu swego duchownego. Z tego wolno im tylko trzecią część zapisywać duchownym instytucjom.

9) Żadnemu duchownemu zagranicznemu nie wolno wizytować klasztoru lub kościoła w Prusiech położonego, bez zezwolenia J. Kr. Mości.

10) Bez zezwolenia J. Kr. Mości nie wolno duchownym nabywać immobiliów, ani ich sprzedawać lub zastawiać.

11) Fundacjom duchownym i klasztorom nie wolno wypożyczać kapitałów poza obręb kraju; wypożyczone winne być ściągnięte w ciągu roku pod karą konfiskaty.

12) Katolickim duchownym wolno ściągać t. zw. *iura stolae* za chrzty itd., tylko od swych współwyznawców, od protestantów nie wolno ich żądać.

13) Tak jak katolickim dominjom wolno kosztem swoim i katolickim mieszkańcom zakładać szkoły katolickie; podobnie i dominjom protestanckim winno być dozwolonem zakładać szkoły protestanckie, na które wszakże mieszkańcy katolicy łożyć nie potrzebują.

14) Że nie wolno ogłaszać papieskich *breve* ani *bull*, bez aprobaty królewskiej, już w patencie notyfikacyjnym powiedziano. Król na oryginale tych propozycyj ministra zapisał: *Hé bien, il faut donc mettre l'affaire en oeuvre et l'arranger d'abord.* Wkrótce też prawie wszystkie te przepisy, po odpowiedniem porozumieniu się rządu centralnego z władzami lokalnemi, zostały praktycznie zastosowane i nabrały mocy obowiązującej, niektóre w formie złagodzonej, lub zmodyfikowanej. Ogłoszone zostały te przepisy w drukowanej współcześnie instrukcji dla regencji zachodnio-pruskiej pod dniem 21 września 1773 r. Pomijamy jej pojedyńcze paragrafy, a wyjmujemy jedynie przepisy, tyczące jurysdykcji kościelnej.

Jurysdykcja wyłącznie duchowna pozostała udziałem

kleru, jednakże z pewnemi ograniczeniami. I tak, jak już wspomniano, nie wolno było bez placet królewskiego ogłaszać żadnego *breve* lub *bulli* papieskiej, ani listu pasterskiego, lub innego orędzia biskupiego. Z prawa tego korzystał król później nieraz. O wakansach jakichbądź prałatur lub beneficjów należało uwiadomić rząd. Również potrzebne było zezwolenie rządu przy wszelkich nominacjach, przyczem szczególnie baczyć miano, aby nie dopuszczać obcokrajowców. W razie uzyskania jakichkolwiek dyspens małżeńskich *in gradibus prohibitis* należało je przedstawiać władzom świeckim, które miały je zatwierdzić *quoad effectus civiles.* Sądom duchownym wolno było rozstrzygać jedynie w sprawach czysto kościelnych *(causae ecclesiasticae),* miały się więc wstrzymywać od spraw cywilnych, chociażby one nawet tyczyły osoby duchownej, spadku po niej lub kwestyj patronatu i dziesięcin; tem mniej mieszać się miały do jurysdykcji kryminalnej. W razie śmierci duchownego opieczętowanie jego majątku mogło odbyć się przez duchownego *salvo iure* sądów świeckich, lecz inwentaryzacja i podział należały jedynie do kompetencji sądownictwa cywilnego.

Na zakończenie słów kilka o stosunku Fryderyka II do duchowieństwa Prus Zachodnich, o ile one było polskie, a było niem po większej części. Filozof z Sanssouci Polaków nie lubił, o gospodarce polskiej wyrażał się nieraz lekceważąco i szyderczo, niemczyznę też (gdzie mógł) popierał i szerzył. Stąd też i niemieckich duchownych na każdym kroku czule otaczał opieką. Niemca, całą duszą sobie oddanego, Karola Hohenzollerna, mianował naprzód koadjutorem, a potem biskupem diecezji chełmińskiej, zupełnie prawie polskiej. Takich jaskrawych faktów było więcej. Kiedy Krasicki po śmierci kanonika warmińskiego, Matthy'ego, przedstawił na następcę jego ks. Drozylowskiego, przeciw którego osobie wschodnio-pruskie ministerstwo stanu nic nie miało do nadmienienia, a sam minister Zedlitz prosił dla niego o patent konfirmacyjny, Fryderyk zadekretował: *Kein Pole, aber ein Preusse.* Usłużny przyjaciel królewski pospieszył przedstawić Niemca, ks. Michała Wolffa, którego król potwierdził. Szczególnie zależało królowi na poznaniu politycznych zapatrywań kandydatów i ich uległości dla Prus,

a w dochodzeniach co do tego służył mu przedewszystkiem ks. Hohenzollern. I tak, kiedy w r. 1779 biskup chełmiński przedstawił na kanonika kollacji biskupiej ks. Kajetana Kickiego, król na raporcie min. Zedlitza, proszącego o konfirmację, zażądał, aby zasięgnięto poprzednio opinji księdza Hohenzollern, znającego ludzi, co do jego usposobienia politycznego względem Prus. [1])

Szczególnie wrażliwy był na wszelkie związki duchownych świeżo nabytych dzielnic z Polską. Szczeremu przyjacielowi swemu Krasickiemu razu pewnego odmówił zezwolenia na wyjazd do Warszawy, chociaż chodziło jedynie o procesy familijne. Wszyscy wizytatorowie klasztorni, mieszkający w Polsce, do wizytacji tychże potrzebowali osobnego zezwolenia królewskiego, którego im nieraz odmawiano. Klasyczny wypadek zdarzył się r. 1781. Wówczas ksiądz z diecezji chełmińskiej, Smoczyński, ścigał złodzieja, który go był okradł, aż do Polski, gdzie rabusia przytrzymano i w procesie wdrożonym skazano na karę śmierci. Ks. Smoczyński zaś, powróciwszy do diecezji, za pominięcie jurysdykcji pruskiej skazany został przez sąd na utratę beneficjum i ośmioletnią karę więzienną. Wobec tej okrutnej kary zwrócił się biskup Beyer do króla z prośbą o ułaskawienie. Lecz król prośbę odrzucił, ponieważ postępowanie księdza sprzeciwiało się prawom krajowym. We własnoręcznym dopisku upomina biskupa, by księży swych utrzymywał w należytym porządku, gdyż mają oni jeszcze zbyt polskiego ducha. [2])

Fryderyk II był zbyt liberalnych przekonań, by miał prześladować religję katolicką; radził on każdemu zbawić się „wedle swej modły", *(nach seiner Façon)* — a gorliwym wyznawcą protestantyzmu bynajmniej nie był. Interes państwowy górował u niego nad myślą o dobru Kościoła i re-

[1]) Dass muss mit Hinzuziehung des Hohenzollern geschehen, der die Leute kennt, ob sie prussisch sind oder nicht. Lehmann, l. c. tom V. Str. 294 i nast.

[2]) Das ist ja gegen die Gesetze des Landes. Überhaupt wären seine Priester noch gar nicht in gehöriger Ordnung. Sie wären noch sehr polnisch. Er möchte nur darauf sehen, dass sie hübsch ordentlich würden und nach dem Gesetze des Landes sich gehörig zu achten wüssten. Lehmann, l. c. t. V. Str. 459.

ligji, i temu interesowi sprawy religijne podporządkowywał. Poza tem dla religji katolickiej i jego sług miał nawet pewien szacunek, a sam mniej niż urzędnicy jego starał się o podniesienie znaczenia religji protestanckiej w odebranych Polsce prowincjach. Co przecież gmatwało i zaostrzało nieraz stosunki kościelne w nowych dzielnicach, to owa „kwestja polska", która już odtąd nieprzerwanie zajmować miała rządców Prus i ich doradców. To też w jawnych zresztą staraniach Fryderyka o germanizację zajętych krajów, konserwatyzm Kościoła, broniącego praw przyrodzonych do języka ojczystego, nieraz stawał mu na przeszkodzie. Był za mądry, by go łamać gwałtownemi środkami i bismarkowskim „Kulturkampfem", bo zabór dóbr duchownych już w owych czasach był zjawiskiem w Europie, w krajach nawet katolickich, tak zwykłym, że się temu zbyt nie dziwowano. Wolał on raczej idee swe pozostawić przyszłym pokoleniom do przeprowadzenia. To też owa wspomniana nieraz instrukcja dla regencji pruskiej robi wrażenie programu w sprawie stosunku władzy świeckiej w Prusiech do władzy duchownej, a jej myślą przewodnią jest zasada, wyrażona kilkanaście lat później (1797) w landrechtcie pruskim, iż król jest źródłem wszelkiego prawa, także religijnego i to nie tylko protestanckiego, ale i katolickiego. Mimo to głęboki rozum polityczny i pewien szacunek dla niezłomnych zasad i mądrego prawodawstwa Kościoła katolickiego zachowały go od przeciągnięcia struny, czego się następcy jego nie ustrzegli, a nawet powodowały go nieraz do ustępstw w kwestjach czysto religijnych, kiedy widział energiczną postawę biskupów, zasłaniających się tem, że prawo Boże i sumienie wyżej stawiać należy, niż nakaz władzy świeckiej. Ale to umiarkowanie i poczucie sprawiedliwości opuszczały go niestety zupełnie, gdy chodziło o... Polaków.

*Ks. Dr. Kazimierz Miaskowski.*

# Przegląd piśmiennictwa.

## Powieści i poezje.

Stanisław Wyspiański; Dzieła. 2.tomy. Bibljoteka Polska. — Władysław St. Reymont: Bunt. Gebethner i Wolff. — Wacław Sieroszewski: Beniowski. Ocean. 2 tomy. Bibljoteka Polska. — Kornel Makuszyński: Rzeczy wesołe. Bibljoteka Polska. Tenże: O djabłach, kobietach i aniołach. „Książki ciekawe". — Janusz Herlaine: Don Alvaro de Ramirez w Madrycie. Księg. Rzepeckiego, Poznań. — T. Brudzewski; Walka z cieniem. Wojnar i S-ka. — Maciej Wierzbiński: Honor. Wojnar i S-ka. Tenże: Uśmiechy. Wojnar i S-ka. — Zdzisław Kleszczyński: Wojenne przygody Staśka Ślązaka. „Katolik", Bytom. — Kazimierz Tetmajer: Poezje, serja ósma. Bibljoteka Polska. — Jan Lechoń: Srebrne i czarne. „Ignis". — Edward Kozikowski: Koniec Hortensji Europy, wyd. „Czartak". — Tadeusz Peiper: A. Wyd. „Zwrotnicy".

Odkąd pisuję na łamach „Przeglądu Powszechnego", spotkał mnie niejednokrotnie zarzut zbytniej pobłażliwości dla autorów, których wartoby ze względów natury filozoficznej lub społecznej ostrzej potraktować.

Do dzieła literackiego można stosować dwie oceny, biorąc je albo jako dzieło kunsztu, z czysto artystycznego punktu widzenia, albo jako objaw pewnych prądów duchowych i umysłowych. U nas krytyka literacka, tak samo, jak krytyka osób i ich działalności, odbywa się wszechwładnie podług klucza partyjnego. Żaden człowiek, żaden czyn, żadne dzieło nie jest w oczach krytyków coś warte samo w sobie, niezależnie od warunków i stosunków, w które jest wplątane. Ciekawem pod tym względem było wystąpienie posła z „Wyzwolenia", Wojewódzkiego przeciw znaczeniu Sienkiewicza, który cóż może być wart, jeżeli, jak mniema Wojewódzki, był tylko pisarzem szlacheckim. Drugim takim faktem było dość chłodne przyjęcie przez krytykę literacką lewicy faktu przyznania nagrody Nobla Reymontowi.

Po stronie krytyki literackiej obozu przeciwnego można zanotować cały szereg napaści na młodych pisarzy, których się lekceważy ze względów politycznych. Rozstrzyga często pytanie:

Nasz czy nie nasz? — Nie nasz, to huź-ha na niego! Niema ani talentu, ani wartości.

W ten sposób zostają całkowicie zatracone uczciwe, poważne podstawy krytyki literackiej. Poza krytykami jest wiele chociaż nie piszących, ale wysoko ukształconych znawców w społeczeństwie, którzy są w stanie sądy krytyki skontrolować. I ginie wśród ogółu czytelników zaufanie do krytyki, która winna jest publiczności zawsze i na każdem miejscu — prawdę.

Któż będzie w naszych okrutnie zakłamanych, stronnych, roznamiętnionych stosunkach mówił prawdę, jeżeli nie ludzie wiary, którzy zdolni są z pewnej wyżyny ogarnąć świat z jego małością i wznieść się ponad drobiazgowe animozje i antypatje? Czas wyjść z tego błędnego koła stronniczości, w którem marnuje się twórczość polska. Czas pootwierać wszystkie kramiki partyjne i wpuścić świeże powietrze z gór. To jest prawdziwa rola organu katolickiego.

U wielu wiernych katolików panuje przekonanie, że Kościół musi zawsze i we wszystkiem iść ręka w rękę z zasadami zachowawczemi. Tak jednak nie jest. Rozwój kultury ludzkiej ulega ciągłym wahaniom, jest w niej ciągłe falowanie od materjalizmu do przewagi ducha. W następczości swej nieraz postępem mianuje się kierunek, będący cofnięciem się wstecz ludzkości, kierunek, w którym zapanowuje kult materji. W takich okresach Kościół jest zachowawczy — nie popierał np. pozytywizmu. Ale ilekroć ukazywał się w sztuce prąd, oparty na wierze w świat duchowy, pełny nadziei wyzwolin i odrodzenia, zawsze znalazł się on blisko katolicyzmu, — np. symbolizm we Francji miał w swych szeregach nie tylko fantazjujących mistyków, lecz i wierzących katolików.

Kierunki, oparte na wierze filozoficznej w supremację ducha na ziemi, zawsze się znajdą blisko religji. W sztuce, w literaturze najpiękniejsze dzieła powstały z natchnień katolicyzmu. Kościół, wbrew twierdzeniom niedoszłych Galileuszów, nie tylko nie krępuje twórców, lecz daje im skrzydła, otwiera przed nimi, jak bezcenną skarbnicę, swoją symbolikę i legendy, ponurza w swoje głębie nieprzebrodzone.

To, że nowe kierunki mogą się znaleźć w obrębie Kościoła, dowodzi niesłychanej jego żywotności i zdolności rozwojowej. Objawienia są wiekuiście żywe i młode i spływając, jak deszcz na posuchę ziemi, wywodzą z niej formy coraz to nowe, coraz doskonalsze, coraz lepiej wyrażające boską ideę, tkwiącą we wszechświecie.

Dlatego nie nowych form należy się obawiać, lecz form, opartych na prawdziwem wstecznictwie, cofającem ludzkość, czyli na materjaliźmie.

Niestety, literatura najmłodsza taką właśnie fazę przechodzi. I nieraz musimy dzieła jej stanowczo i energicznie potępić za ich

tendencję. Ale jednocześnie utwór taki, podobnie, jak utwory Carducci'ego, Byrona, Shelley'a może mieć wartość literacką. Czy krytyk katolicki ma się uczynić wobec swych kolegów po fachu nieukiem dlatego, że idea utworu jest odrażająca?

Dotąd o ile książka była niemiła, potępiano w czambuł wszystko, a za jednym zamachem odmawiano i talentu. Historja takie sądy stronnicze prostuje. Co począć, jeżeli np. taki „Cmentarz i sad" Wandy Miłaszewskiej, chociaż o tendencji tak swojskiej, miłej, bliskiej sercu i chociaż przez sympatyczną firmę św. Wojciecha wydany, jest taką oklepaną, trzeciorzędną ramotą w stylu, daleko wstecz sięgnąwszy, Zofji Kowerskiej, a nowele takiego Makuszyńskiego, który tak okropnie na ród Ewy nastaje, a z Pana Boga robi dobrotliwego staruszka, co jedno ze swych dzieł (t. j. kobietę) sfuszerował, iskrzą się od dowcipu i pełne są talentu pomimo swej treści tak mało ważkiej?

Pełnię rozkoszy estetycznej daje nam dzieło, nie budzące w nas pod żadnym względem sprzeciwu. Ale jeżeli tego niema, trzeba powiedzieć na to, co czarne, że jest czarne, a na to, co białe — że jest białe. Inaczej zburzone będą wszelkie kryterja i wszelka uczciwość pracy umysłowej.

Ubiegły kwartał pełen był zdarzeń literackich nadzwyczaj doniosłych. Najważniejszem z nich dla Polski samej jest rozpoczęcie zbiorowego wydania dzieł Wyspiańskiego przez „Bibljotekę Polską", zaś dla naszego znaczenia międzynarodowego — odznaczenie Reymonta nagrodą Nobla.

Dzieła Wyspiańskiego, który przeciwstawiał się naszym romantykom, a jednak był poetą im pokrewnym, był wieszczem na miarę wielkiej trójcy mesjanicznej — wracają do nas w godzinę, gdyśmy najmniej do wielkości zdolni i gdy tragedja omija nasz naród, rojący się korowodem masek błazeńskich, zarzucając swój królewski płaszcz na głowę. Dzieła te znalazły już wszechstronną ocenę u Brzozowskiego, Lacka, Ostapa Ortwina, Adama Grzymały-Siedleckiego, Kotarbińskiego, Wilhelma Feldmana, Andrzeja Niemojewskiego, T. Sinki i in. Teraz pozostaje nam inne zadanie: biorąc te drogie sercu polskiemu karty do ręki, karty pisane przez człowieka, który z taką straszliwą tęsknotą marzył o powstaniu Ojczyzny w mocy i chwale, chcemy określić, co z nich pozostało żywotnem dla pokolenia wolnych Polaków?

W tomie I mamy pierwsze utwory Wyspiańskiego: Batory pod Pskowem, Daniel, Królowa Polskiej Korony, Legenda I i II. Utwory te pierwsze, historyczne, jeszcze słabe, choć dla rozwoju twórczości Wyspiańskiego tak ciekawe, mają w sobie nastroje niewoli — chór ludu podbitego i tęsknotę za odległemi wizjami chwały. W inne kategorje będziemy teraz ujmowali stosunek nasz do wyjarzmionej Ojczyzny.

Za to materjał „Legendy" I i II będzie podstawą twórczości w Polsce współczesnej. Chodzi nam o stworzenie własnej, orygi-

nalnej sztuki, czerpanej ze źródeł najczystszych, najbardziej rodzimych. Chodzi o wydobycie z pieczar tatrzańskich, z borów myszynieckich, z fali wiślanej drzemiącego tam polskiego *mitu*, w którym streszczą się pierwiastki najistotniej narodowe, najgłębiej plemienne.

Wyspiański użył do „Legend" języka ludowego i archaicznego, wzbogacając tem niesłychanie mowę literacką. Wprowadzając zaś materjał legendowy polski, słowiański, pchnął literaturę ku źródłom odnowy. Jeżeli teraz literatura zwróci się ku folklorowi dzielnicowemu, ku podaniom archaicznym, musi zawsze nawiązywać do Wyspiańskiego. On potrafił materjał ten użyć twórczo, stapiać go w nowe konglomeraty, wlewać w zamierzchłą symbolikę ideę i przeżycia swego wieku. To jest więcej, niż wprowadzenie dadaizowanych przyśpiewów ludowych.

Atoli nawet nad tą twórczością tak pełną młodości i nadziei zaciężyło gnuśne, kamienne fatum. Twórczość Wyspiańskiego wypaczył klasycyzm. Pomimo banalnie kursującej nieprawdy o jasności i przejrzystości klasycznej, motywy greckie pełne są powikłań, napiętrzenia win i zbrodni, złożonych przestępstw obrzędowych wobec bóstw, niezrozumiałych już dla nas uczuć wspólnoty rodowej, silniejszych od przywiązań do rodziny indywidualnej. Wreszcie pokutuje w nim tak sprzeczna z naszym światopoglądem chrześcijańskim, z pojęciami odpowiedzialności i wolnej woli ponura Ananke.

Podziwiać należy ten dur, to zaślepienie wielowiekowe, które w faktycznie już obecnie niższych od naszych formach literackich, kazało się dopatrywać doskonałości i zrzekać się własnej twórczości. Wszakże po neo-klasycyźmie Moréas'a znowu we Francji zaczyna pokutować jakiś klasycyzm, podnoszący swoje odrastające łby, jak hydra lernejska!

Ta „eurypidesowość" kazała Wyspiańskiemu ciemną, kazirodczą plątaniną wypaczyć jasną, słowiańską koncepcję „Legendy". Ona też, pomimo modernistycznych, maeterlinckowskich domieszek wydała na świat rzecz martwą taką, jak „Meleager" i zbudowała niezrozumiałe już dla nas, niewspółczesne umotywowanie psychologiczne tej tragedji. Tak samo grecki tragizm wypacza „Klątwę" — obarcza ją nadmiarem scen okropnych, plątaniną różnych win, kilku odrazu.

W późniejszej twórczości Wyspiańskiego motywy klasyczne przerodziły się w symbolikę bogatą, pełną treści nowoczesnego człowieka. W każdym razie suggestja klasycyzmu wpłynęła na jego twórczość raczej hamująco — może bez niej dałby formy jeszcze oryginalniejsze, jeszcze swoistsze.

Podkreślając znaczenie Wyspiańskiego, jako prawdziwego tragika i wskrzesiciela mitów ludowych, do olbrzymiego dzieła tego poety, jako ideologa narodowego, twórcy własnego teatru i ducha wieszczego wrócimy jeszcze przy następnych tomach.

Opracowanie Wyspiańskiego, dokonane przez Adama Chmiela i Tadeusza Sinkę, jest wzorowe; zebrano cały możliwy materjał biograficzny, porównano teksty i przytoczono różne ich odmiany. Prześledzono w miarę możliwości wpływy, jakie się odbiły na poecie. Brak tylko bibljografji krytyki o Wyspiańskim — a istnieje o nim obszerna literatura. Może zresztą uczynią to wydawcy w końcowym tomie.

Przyznanie Reymontowi nagrody Nobla odbiło się radosnym triumfem w prasie polskiej. Dano tę nagrodę głównie za „Chłopów" — to dzieło, które odsłoniło światu niesłychane bogactwo i barwność życia chłopskiego. Optymizm społeczny i żywiołowa siła tej epopei usposobiły sędziów zagranicznych życzliwie. Dla nas „Chłopi" byli powieścią przełomową, która wprowadziła całą nową warstwę historyczną do literatury. Zdawało się, że do stęchłej, przesiąkniętej perfumami atmosfery salonu nagle wdarło się świeże, ożywcze tchnienie wiosenne. Takiem było wrażenie z „Chłopów" w literaturze.

Nowa książka Reymonta „Bunt" przyniosła wartości nieoczekiwane: język powściągliwszy, surowszy, sfermentowany w sobie, jak wino długo przechowywane pod sklepieniami, ciekawe koncepcje społeczne, piękne, ale inne niż dawniej opisy przyrody. Powieść ta pod postaciami zwierząt zbuntowanych opisuje oczywiście rewolucję ludzką. Autor żywi w stosunku do tłumu i do jego rewolucji głęboką niewiarę. Tłum jest słaby, chętnie wyłamuje się z pod jarzma, szukając lepszego jadła, ale z jednej zależności popada w drugą: z pod bata dozorców pod kły nieuczciwych prowodyrów, z bytu ciężkiego, lecz zapewnionego w matnię, nastawioną wbrew swym zamiarom przez szlachetnego idealistę, z pod władzy prawowitej — pod władzę — małpy.

Reymont wypowiedział tu całą swą ironję wobec ruchów socjalnych, jakie widzieliśmy w Europie powojennej, głównie zaś w Bolszewji. Zasadnicze momenty rewolucji są doskonale uwydatnione.

Obok tego ludzkiego znaczenia — Reymont dał nam typy zwierząt samych w sobie, z ich własnem pojmowaniem świata, z ich odrębnym charakterem. Rysy to znane ogólnikowo już z prastarego eposu zwierzęcego, który przypisywał najbardziej znanym zwierzętom określone cechy psychologiczne. Doskonale jest zrobiona dwoistość psychologji Rexa, zbuntowanego psa, który nie może się pozbyć nałogów wierności w stosunku do człowieka. Zwierzęta z ich własnem odczuwaniem, z własnem kołem przeżyć odmalował bardzo dobrze Zygmunt Bartkiewicz w „Historji jednego podwórza", aczkolwiek obraz to był zbyt fizjologiczny i dlatego niesmaczny. Świetnych poprzedników miał również Reymont w Dygasińskim i Prusie, ale dopiero przykład Kiplinga popchnąć go miał do stworzenia całej baśni zwierzęcej. Zajmującą

jest w niej idea społeczna, której nie ma ani Kipling, ani Jack London. U Kiplinga Mowgli panuje nad zwierzętami, tak jak sprytniejszy i wytrzymalszy Europejczyk nad rasami ciemnemi. U Reymonta z pośród uciemiężonych rodzi się bunt i wołanie o wolność, masa ich przewraca władców, odmalowanych bardzo ujemnie (dziedziczka, jej dzieci i służba we dworze), ale potem marnuje się sama.

W baśni Reymonta brak człowieka zwycięskiego — biedny sierota — Niemowa, jedyny dłużej działający człowiek przegrywa swą stawkę. Prawdziwych ludzi rewolucja zmiotła — niema ich. A u Jacka Londona i Kiplinga jest zawsze ten niepokonany, mądry, zwycięski człowiek.

W powrotnym marszu na literaturę pisarzy przedwojennych spotykamy Sieroszewskiego „Beniowskiego" i „Ocean", dwie olbrzymie powieści przygód, oparte na znanych pamiętnikach Maurycego hr. Beniowskiego. Są w tych powieściach, raczej w dwóch tomach jednej powieści wszystkie zalety i wady pióra Sieroszewskiego: polszczyzna nieco nadpsuta zbytniem obcowaniem z językiem rosyjskim, naturalizm scen niektórych, zbytnia rozwlekłość. Sceny buntu załogi Beniowskiego powtarzają się i powtarzają bez końca, aż wreszcie czytelnika, najbardziej rozmiłowanego w przygodach, zaczyna to nużyć.

Sieroszewski sam podróżował i jego egzotyzm nie jest snobilistycznym opisem na odległość, lecz egzotyzmem autentycznym. Zbiegło się to z modą podróży i pierwiastków egzotycznych w literaturze, którą we Francji wprowadził cały szereg pisarzy: br. Tharaud, Claude Farrrère, Hellens, René Maran i t. d. Sieroszewski barwnie opisuje morze i ładnie kreśli obrazy odległych krain. Zajmującem w tej powieści, jak i w powieściach jego na temat rewolucji 1905 r. („Ucieczka") jest przeciwstawienie charakteru narodowego Polaków i Rosjan. Porównanie wypada na korzyść Polaków. Natury rosyjskie są bardziej bierne, fatalistyczne, do prawdziwej wolności niedorosłe.

Ładny jest charakter kobiecy Natalji. Sieroszewski zawsze, poczynając od swego „Chajłacha", odtwarzał kobiety, jako charaktery wyższe i silniejsze od mężczyzn. Jest to jakby dziedziczny pogląd z czasów ostatniego powstania i jeszcze dawniejszych, gdy kobieta polska wśród ciosów straszliwych, druzgocących Ojczyznę i rodzinę, wyrastała na bohaterkę, a przed wyniosłą, nieugiętą Polką skłaniali się nawet wrogowie. Typ majestatyczny, z śmiertelną raną w sercu, a dumą na czole... I tutaj kobieta umie czuć głęboko i ma charakter. Sam Beniowski przeżywa wszystkie cierpienia i trudy wodza, nie mogącego pociągnąć za sobą tłumu na wyżynę idei.

Kornel Makuszyński wydał ósmy raz „Rzeczy wesołe", książkę istotnie bardzo dowcipna. Jest w niej jeszcze gloryfikacja

poety, który ma być aniołem upadłym. Źli ludzie wyrwali mu skrzydła — nie może ulecieć do nieba — i zaczyna pisać wiersze. Ładna liryka śpiewa w tym tomie, pisanym za młodu; jest tu jeszcze krwawiące się serce, nienasycona potrzeba miłości i wzgarda dla filisterji. Ostatni tom — „O djabłach, kobietach i aniołach" — to tylko śmiech z ludku powojennego, płytkie humoreski o płytkich ludziach. Misogynizm Makuszyńskiego jest wielki — ale dlatego, że obejść się bez kobiety nie może. Wyszydza kabotynizm kobiet, ale nie przepuszcza i wszelkiego rodzaju artystom.

Ta książka — to okres „burzy i naporu" Makuszyńskiego, który potem znacznie się uspokoił. Zresztą szturmy do nieba suchotniczej bohemy i zuchwałe lekceważenie istniejących wartości wyszły z mody. Już teraz Makuszyński nie deklamuje: „Szaleństwo jest czemś pod słońcem najpiękniejszem, jak burza, jak wulkan, jest wyzwoleniem duszy, jest hymnem krwi i serca..." Mefistofeliczne takie, musujące, jak szampan zasady przeciwstawiał Makuszyński mdłej sferze aniołów, z których uznawał jeden tylko gatunek — zbuntowanych...

Budującym ten humor, podszyty bólem artysty, nie jest, ale, nie wchodząc w głębsze konsekwencje światopoglądu artysty, który u Makuszyńskiego nie znosił „wody, sklepikarzy, policjantów, księży i stróża" — możemy się bajecznie ubawić. Ciekawym jest fakt, że oczywista irrewerencja dla Pana Boga w „Rajskiej opowieści" nie zwróciła uwagi w naszym katolickim kraju, przy tłómaczeniu zaś na język rosyjski przed wojną cenzura postawiła „veto" i Pan Bóg chrześcijański został przerobiony na Brahmę.

Pełną zastrzeżeń jest książka Janusza Herlaine'a p. t. „Don Alvaro de Ramirez w Madrycie". Autor przyszedł do nas z Francji i próbuje się zaaklimatyzować. Zagadnienie przystosowania się do kultury pół-obcej poruszają dwa opowiadania: pierwsze, tytułowe, mówiące o powrocie Hiszpana z Francji do ojczyzny i „Zdobywaniu Elli" — konflikt sfrancuziałego Polaka z Polską. Jeżeli chodzi o to drugie, to istotnie może razić człowieka zagranicznego kołtuństwo Wielkopolski, ale trzeba mieć oczy otwarte na to, co jest w niej prawdziwem zdrowiem i skarbnicą wartości odrębnych, niezmiernie cennych. Kto bezpośrednio nie odczuł w Wielkopolsce krzepkości piastowej, dzielności, głębokiego przywiązania do ziemi, które chwilowo zwęziło widnokręgi, ale za to dało zwycięstwo, ten może znaleźć klucz do duszy polskiej w poetach romantyzmu i w Wyspiańskim. A to są rzeczy, do których najbardziej cywilizowany Europejczyk musi dorastać.

Są jednak takie strony cywilizacji francuskiej, do których ze swej strony my nie dorośliśmy i daj Boże, abyśmy zawsze w naszem zacofaniu pozostali. Do wyżyny *Les garçonnes* V. Margueritte'a nie dojdziemy nigdy. Przeciwko książce tej, zresztą, zaprotestowało nawet bardzo oswojone z pornografją społeczeń-

stwo francuskie, usuwając Margueritte'a z Akademji. U nas „szczerze" pisał Mieczysław Srokowski rzeczy jeszcze gorsze, bo brane goręcej i namiętniej, nie tak na zimno i klasycznie, jak u Herlaine'a. W swoim czasie „Kult ciała" i przeżycia Miluni nie wywołały żadnego odruchu w społeczeństwie. Były to czasy, gdy głos religji brzmiał jakoś obok życia, nie wchodząc w rachubę u ludzi skądinąd nie zrywających z Kościołem. Formułki „postępu" rozgrzeszały wszystkich i wszystko, rygoryzm był w złym tonie. Ale teraz budzą się sumienia. Literatura polska musi zachować swą czystość. I byłoby lepiej, gdyby p. Herlaine przyniósł nam z Francji inne wartości, cenniejsze od „szczerości i odwagi" w poruszaniu kwestyj płciowych, w dodatku anormalnych.

Ciekawem zjawiskiem w literaturze powieściowej jest „Walka z cieniem" T. Brudzewskiego. Ładny styl, żywo kreślone sceny, środowisko wysoko-kulturalne, w którem akcja się odbywa — wszystko to składa się na ujmujące wrażenie. Książki, tak samo, jak ludzie, mają swój wdzięk. I ta książka pełna jest wdzięku. Autor porusza niezmiernie interesujące zagadnienia, znane w psychjatrji: rozdwojenie osobowości. Ale zagadnienia podobne zawsze wciągają w niebezpieczny mrok, kuszą eksperymentami tragicznemi, odwodzą od życia z zadaniami czynnemi. Życzylibyśmy utalentowanemu autorowi, by wyszedł na jaśnię i próbował się wżyć w nieskończone zagadnienia ludzkości i narodu, rozwijające się po prostych linjach promieni, idących od jednego punktu — od słońca.

Dużo wdzięku ma również „Szafirowa próżnia" Wandy Borudzkiej, książeczka o czynnej, ofiarnej, dzielnej Mimijce.

Macieja Wierzbińskiego „Honor" jest porządnie skonstruowaną powieścią, w której reprezentanci starych zasad rodziny i honoru są przeważnie ludźmi, pokrywającymi temi hasłami brutalny interes własny. Olesia Granetska, idąca za głosem serca, sprawę swego serca wygrywa. Wygrywa, gdyż uczucie jej było szczere i prawdziwe — wszystko zaś dokoła — fałszywe i zdeprawowane. Przegrywa za to w tej książce zasada małżeństwa, które jest tylko osłoną miłości dla ocalenia konwenansów, nie zaś koniecznym warunkiem i uprawnieniem miłości. Książka dosyć banalna, język najeżony prowincjonalizmami i zaniedbany. Tą samą dość poziomą przeciętnością odznacza się zbiorek nowel tegoż autora — „Uśmiechy".

Zdolny poeta, Zdzisław Kleszczyński na tle ostatniej wojny wydał powieść popularną „Wojenne przygody Staśka Ślązaka". Pomimo, że rzecz jest spreparowana *ad usum delphini*, jest w niej talent i mocne ujęcie scen, jest to literatura lepsza od wielu innych książek tego rodzaju.

W dziale poezji, prócz Wyspiańskiego, otrzymaliśmy na gwiazdkę nowy tom Kazimierza Tetmajera (serja ósma). Poeta-egotysta zmienił się tu bardzo. Odszedł od niego w dal zapomnień główny temat jego poezji — erotyka. Natomiast zapanowały refleksje filozoficzne. Wyraźnie znać wpływ Słowackiego „Króla-Ducha" w „Achillesie". Nie tylko samo motto to zapowiada, głosi o tem prawie każda strofa:

Jam to był śniony przez najwyższe duchy.
i ja wołany rozpaczy zwątpieniem —
Jak cień chodziłem u wrót — w domie słuchy
krok mój słyszały we śnie — byłem cieniem —
koło zagrody błądząc, jak liść suchy,
zdałem się nigdy nieziśtnem wcieleniem —
myślano: pierwszy takby mnie spopielił —
a oto jestem żyw — w życiem się wcielił!

Nastrojem całego zbiorku jest zbliżenie się do sfer zaświata, do sfer wyzwolonych, jasnych, potężnych duchów, a jednocześnie najgłębsze osamotnienie tu na ziemi, wypowiadane z rozdzierającą skargą liryczną. Niektóre liryki, są nie mniej piękne od pierwszych utworów Tetmajera, które weszły na zawsze do poezji polskiej. Przeważa jednak w większości z nich refleksja, która nie jest prawdziwym żywiołem poezji, chociaż Krasiński potrafił ją przekuć chwilami na najsrebrniejsze struny poezji.

Nie dziwi nas, gdy refleksje wplata w swe strofy autor u schyłku życia, stając nad niem w głębokiej zadumie, czyniąc z niem obrachunek. Ale smutnem jest, gdy zaczyna od refleksji autor młody. Mówimy tu o „Srebrnem i czarnem" Jana Lechonia. Klasyczny trzynastozgłoskowiec — i spięte rymami refleksje wypełniają skąpą książeczkę:

Im głębiej idziem w życie, coraz większa troska,
Coraz większa nas nęka obawa tej chwili:
Gdy wreszcie się ostatnia zasłona rozchyli,
Biedna ludzka komedja okaże się boska.

Poeta-egotysta, nie umiejący wyrwać się z koła aktualności, nie umiejący wsłuchać się w harmonje kosmiczne, nie dążący do dźwignięcia się pracą wewnętrzną na wyższy stopień bytu, uczuwa ciężar i bolesność własnej indywidualności. Chce uciec od niej, błaga o panteistyczne roztopienie się we wszechświecie, o jakąś nirwanę, w którejby zatracił świadomość swej indywidualności: — Oswobódź nas od duszy i wybaw od siebie! — pisze.

Te wiersze są jak kwiaty zwiędłe, rozsypane w proszek o nikłym aromacie. O jakże zgrzybiałą jest ta młodość!

„Koniec Hortensji Europy" Edwarda Kozikowskiego, pomimo wielkich pretensyj do oryginalności, jest naśladownictwem

Majakowskiego. Co do treści, obwieszczającej zwycięski marsz rewolucji, nie co do formy (z wyjątkiem może wiersza: „Stuleciami"). Dwunasto- i trzynastozgłoskowiec Kosikowskiego jest zmatowany i nie wesoły — pełen przymusu i wysilenia. Trudno bowiem wprowadzić na całej linji zasadę, by szafa stała do góry nogami. Za dużo jest w tym zbiorku tęsknoty, by przyznali się do niego futuryści i witaliści, a za dużo „objawienia bożego, wypisanego krwią naszą, kolorem czerwonym", by przyznała się do niego reszta świata.

Książka Tadeusza Peipera, redaktora „Zwrotnicy" pod bardzo futurystycznym tytułem „A" idzie jeszcze dalej od Kozikowskiego w rewolucyjności literackiej. Kozikowski brał tylko motywy urbanistyczno-rewolucyjne, Peiper — odrzuca muzykę wiersza, jednolitość tematu, do pewnego stopnia nawet ustaloną składnię. Metafora mało miejsca ma w tej poezji — wymienianie i zaznaczanie staje na jej miejscu. Charakterystycznem dla naszego futuryzmu, obok erotyzmu bez osłon, bluźnierstw i rewolucyjności jest bagatelizowanie kosmosu, które stało się manierą. Jest to przykrawanie wszystkiego do małej ludzkiej miary i persiflowanie Tajemnicy. — „Z błękitnego pułapu zdjąłem księżyc i jak latarkę, zniosłem go na ziemię" — pisze Peiper. A Kozikowski z samym Panem Bogiem pod rękę chodzi po czubach drzew. Piękną jest prostota dziecięca, ale śmiesznie wygląda dziecinienie się.

Peiper ma ciekawe porównania i mógłby, gdyby odrzucił zbytnie jaskrawości maniery, stać się poetą interesującym, choć bardzo, bardzo obcym duchowo.

Należy przypuszczać, że wydania wielkich autorów poprzedniego okresu, nie pobudzając może do naśladownictwa bezpośredniego, wpłyną na ostatnie pokolenie piszące i podniosą poziom duchowy naszej literatury najmłodszej.

*Hanna Zahorska.*

Tad. Zieliński: Z ojczystej niwy. Studja i szkice. Zamość 1924. Z. Pomarański i Sp. str. 178.

Pięć rozpraw, rozprószonych dotąd po różnych pismach polskich i rosyjskich, stanowi treść książki prof. Zielińskiego. Zrodziła je miłość ojczystej kultury i tęsknota za Ojczyzną, więc słusznie wspólny dano im tytuł: „Z ojczystej niwy". Trzy z nich, poświęcone Mickiewiczowi (Filarecka poezja Mickiewicza, Uwagi nad Grażyną, Melos w poezji Mickiewicza), jedna Sienkiewiczowi (Idea Polski w dziełach Sienkiewicza), ostatnia wreszcie zajmuje się zagadnieniem klasycznego wykształcenia w szkolnictwie średniem (Starożytność antyczna a wykształcenie klasyczne).

Prace prof. Zielińskiego, wśród wielu zalet, mają dwie rzad-

kie. Przy całej swej fachowości umie on rzecz przedstawiać w sposób przystępny nawet dla niespecjalisty, a tem samem zadaje kłam, niestety zbyt często słusznemu, mniemaniu, że praca filologiczna musi być strasznie nudną. Nawet czysto filologiczne prace prof. Zielińskiego czyta się zawsze z zajęciem. Płynie to przedewszystkiem — i tu jest druga wielka zaleta jego talentu pisarskiego — z gorącego umiłowania przedmiotu, który porusza, i ludzi, o których, a przedewszystkiem do których mówi. Prof. Zieliński w swych pracach nie tylko jest uczonym, ale i wychowawcą, stąd jego żywy stosunek do przedmiotu i czytelnika, stąd dążność do aktualizowania poruszanych zagadnień. Te zalety występują najwybitniej w dwu ostatnich rozprawach: o Sienkiewiczu i o studjach klasycznych.

Co się tyczy poglądów autora, to nasuwają się nam pewne zastrzeżenia. Trudno np. zgodzić się na sąd prof. Zielińskiego, odmawiający opisom Mickiewicza plastyki, to jest przestrzenności i perspektywy. Powoływanie się na balladę: „Pani Twardowska", jako na dowód tego braku, jest nie bardzo szczęśliwe, tu bowiem poeta rozmyślnie zaciera naturalność, prawdopodobieństwo i świadomie dąży do wywołania, na wzór ludowych baśni, efektów fantastycznych. W dwu innych dowodach, zaczerpniętych z „Dziadów" i „Alpuhary" także trudno się dopatrzeć braku plastyki; za to można przytoczyć dużo świetnych przykładów, zwłaszcza z „Pana Tadeusza", gdzie zdolności plastyczne poety występują wspaniale.

U Sienkiewicza w „Quo Vadis" zaznacza prof. Zieliński nie dość wierne przedstawienie światów chrześcijańskiego i pogańskiego. Chrześcijaństwo miało być w epoce Nerona nie tak jednolitem, jak je maluje Sienkiewicz; pogaństwo nie tak zepsutem, niereligijnem i rozpadającem się. Otóż co do pierwszego zarzutu, to wydaje się on nam spóźnionem echem hypotezy (że to hypoteza tylko, dopuszcza i sam prof. Z.) — hypotezy protestanckiej szkoły egzegetycznej, t. zw. tybingskiej o walkach między petrynizmem a paulinizmem w pierwotnym Kościele. Hypoteza ta, na szczęście, wobec dokładniejszych badań historycznych, została prawie zarzucona przez samą naukę racjonalistyczną. Co się zaś tyczy kontrastu chrześcijaństwa z pogaństwem rzymskiem, to Sienkiewicz upatruje go przedewszystkiem na terenie moralności, co się nie da łatwo zakwestjonować. W wierzeniach zaś religijnych chyba dostateczny kontrast stanowiła siła przekonania u chrześcijan i entuzjazm w wyznawaniu swej wiary w warunkach najtrudniejszych przy zestawieniu ich ze sceptycyzmem, który już za pierwszych cesarzy mocno podgryzał religijność rzymskiego społeczeństwa.

Co do zapatrywań „synkretystycznych" prof. Z., to nie miały one sposobności wypowiedzieć się obszernie w polskich rozprawkach. W każdym razie takie wyrażenia, jak to, że Marja Panna

wchłonęła w siebie boginie-dziewice i boginie-matki starożytnej Hellady i godzenie się na nazwę „przeżytku pogańskiego" dla kultu Marji, jakkolwiek przy obszernym komentarzu mogą być dobrze zrozumiane, tak jak zostały wypowiedziane, dać mogą okazję do mylnych tłumaczeń w duchu skrajnie racjonalistycznym. Nowsze prace autora zdają się dowodzić, że od takiego racjonalizmu jest on daleki; byłoby więc do życzenia, by nawet w przedrukach swych dawnych prac unikał powodów do nieporozumień.

*Ks. J. Urban.*

Tad. Zieliński: La Sibylle, trois essais sur la religion antique et le christianisme. F. Rieder et C. éd., Paryż, 1924, str. 125.

Za granicą nazwisko obecnego warszawskiego profesora znane było wcześniej niż w kraju dzięki temu, że poprzednie swe prace ogłaszał przeważnie w językach obcych. Obecnie do liczby tego rodzaju prac przybyła książeczka francuska, której tytuł podaliśmy. Mieści zaś ona w sobie trzy studja: „Przygotowanie do chrześcijaństwa w religji antycznej", „Założyciel religji hellenistycznej", „Sybilla i koniec Rzymu". Wszystkie trzy czyta się z rosnącem zainteresowaniem, tembardziej, że obracają się, jak około osi, około centralnego zagadnienia o stosunku tak zwanych „religij pogańskich" Grecji i Rzymu do chrześcijaństwa.

Prof. Zieliński jest rozmiłowany w klasycznej starożytności i umie w niej wyszukiwać jasne strony nawet tam, gdzie inni widzą tylko ciemne. Tak np. broni starożytnych Greków i Rzymian przed zarzutami „wielobóstwa" i „bałwochwalstwa", dowodząc, że pierwsze było raczej symbolistyką, a drugie nie różniło się zasadniczo od kultu obrazów w katolicyźmie. Katolicyzm właśnie dlatego autorowi bardziej się podoba, niż protestantyzm, że w pierwszym znajduje więcej podobieństw do religij klasycznych tak co do wierzeń, jak i strony obrzędowej. W pracach poprzednich autor więcej może skłaniał się nawet do teorji synkretyzmu, widzącego w chrześcijaństwie amalgamat kultów pogańskich. Obecnie zastrzega się, że nie chodzi mu o zapożyczenia materjalne z pogaństwa, które są nie wielkie i drugorzędne; konstatuje tylko pewną ciągłość psychologiczną, t. j. przygotowanie umysłów przez religje pogańskie — pewne ich wierzenia i pewne obrzędy — do łatwiejszego przyjęcia posiewu chrześcijańskiej nauki. Widzi nawet większe do tego przygotowanie u Greków i Rzymian, pod wielu względami, niż u Żydów i tem tłómaczy poniekąd dlaczego posiew Boskiego Siewcy — tę bowiem przypowieść sam tu stosuje — wydał stokrotny plon na niwie greckiej i rzymskiej, podczas gdy ziemia żydowska okazała się dlań nieurodzajną opoką.

Stanowisko prof. Zielińskiego względem chrześcijaństwa w rozbieranej pracy jest poprawne i z punktu widzenia nauki katolickiej nie można mu uczynić zarzutu; za dokładność inter-

pretacyj kultów starożytnych zdaje się ręczyć nazwisko autora, dokładnego znawcy tej dziedziny. Może w szczegółach znalazłyby się jakieś usterki, wyszukiwanie wszakże ich możemy pozostawić erudytom specjalistom.

*Ks. J. Urban.*

Bernard Leib: Rome, Kiev et Byzance à la fin du XI siècle. Paris, éd. Auguste Picard, 1924, str. 352 in 8° mai.

16 lipca 1054 r. legaci papieża Leona IX złożyli na ołtarzu kościoła św. Zofji w Konstantynopolu klątwę, rzuconą na ambitnego patrjarchę Michała Cerullarjusza. Przy uproszczonym sposobie myślenia łatwo się wyobraża, że nazajutrz po owym dniu cały Wschód grecki znalazł się w formalnem odszczepieństwie od jedności kościelnej, że z tą datą zerwane zostały wszelkie stosunki Kościoła rzymskiego i katolickiego Zachodu ze „schizmatykami". Wszystkie też podręczniki historji kościelnej podają wymienioną powyżej datę, jako datę „ostatecznego" rozdziału Kościołów.

Chwila zastanowienie się wystarczy, by zachwiać takiem uproszczonem pojmowaniem schizmy wschodniej. Czy akt ekskomunikowania Cerullarjusza mógł sam przez się spowodować tak radykalną zmianę w życiu Kościoła, jak formalne odpadnięcie od jego ciała całych krajów, do wczoraj jeszcze katolickich, wraz z wiernymi, klerem, hierarchją i patrjarchami? Zapewne nazajutrz po klątwie, jak bezpośrednio przed nią, kapłani w oddalonej jakiejś Antiochji, a może i na przedmieściach „nowej Romy" składali Najśw. Ofiarę w tem samem, co dotąd, przekonaniu, że są członkami Chrystusowego Kościoła; a nawet kiedy dowiedzieli się o zajściu z wyklęciem patrjarchy, czy uświadomili sobie wszystkie teologiczne i prawne skutki zerwania z Rzymem, a jeśli je sobie uświadamiali, czy leżało to w ich mocy naprawienie złego? O wiernych, trzymających ślepo ze swymi bezpośrednimi pasterzami, niema co mówić. Słowem, stwierdzenie czy całość Kościoła greckiego wpadła w formalną schizmę i określenie daty, kiedy ten lub inny odłam Wschodu znalazł się faktycznie poza „mistycznem ciałem" Chrystusa, należy chyba do najzawilszych kwestyj, jakie nastręczyć może teologowi historja kościelna.

Książka B. Leiba jest ciekawym przyczynkiem do tego zagadnienia. Przyczynkiem o charakterze negatywnym, bo dostarcza dowodu, że jeszcze w 30, w 50 lat po wyklęciu Cerullarjusza nie tylko sam Wschód nie miał świadomości, że się znajduje w schiźmie, ale i Zachód nie traktował go w jego całości jako schizmatycki. Autor, zdradzający nadzwyczajną wprost erudycję, śledzi stosunki religijne między łacińskim Zachodem z jednej a Grekami i Rusią z drugiej strony tylko na przestrzeni jedenastu lat pontyfikatu Urbana II (1088—1099) i tych stosunków między Rzy-

mem, Kijowem i Bizancjum znajduje tyle, że potrafi wypełnić niemi duży tom swojej książki. Tylko dygresyjnie zapuszcza się tu i ówdzie w lata następne, nie przekraczając wszakże po za rok 1108.

Obraz tych stosunków nadzwyczaj pouczający. Patrjarchat konstantynopolitański formalnie nie utrzymuje stosunków z Rzymem, inni patrjarchowie wschodni mają się do Rzymu jakoś nijako, jakby ta kwestja nie bardzo ich dotyczyła. Paru bizantyńskich polemistów sili się na wykazywanie różnych herezyj, jakie do wiary łacinników się zakradły; obok *Filioque* znajdziemy tam takie herezje, jak jedzenie żab i szczurów; polemiści łacińscy bronią swoich pozycyj, a Grekom odwzajemniają się ganieniem różnych ich obrzędów i zwyczajów. Papieże, tu w szczególności Urban II, czynią wysiłki, by położyć kres schiźmie między Bizancjum a Rzymem: służą do tego stosunki z dworem bizantyńskim, legacje, sobory lokalne. Za to i jeden i drugi Kościół w całości postępują względem wiernych drugiego Kościoła, jakby ci wcale nie byli w żadnej schiźmie. Handel, zaciąganie się do służby wojskowej łacinników na dworze bizantyńskim, pielgrzymki zachodnich chrześcijan na Wschód, zwłaszcza do Ziemi Świętej, Greków do Rzymu, nastręczają mnóstwo okazyj do *communicatio in sacris* jednych z drugimi. I jedni w drugich widzą tylko braci we wierze. Książęta, zwłaszcza ruscy z tego okresu, żenią się z księżniczkami z dworów łacińskich i nawzajem swe córki na te dwory zamąż wydają — wypadków tych całe tuziny, lecz ani śladu jakiegoś zmieniania przytem religji, jakichś dyspens, ani świadomości, że się wchodzi w środowisko pod względem religji obce. Greccy mnisi w Mirze likijskiej wydają kupcom włoskim największy skarb, jaki posiadali i jakiego niejednokrotnie bronili — ciało św. Mikołaja biskupa i cudotwórcy, bo ci kupcy w nich wmówili, że taką jest wola samego Świętego, objawiona im we śnie, i drogocenne relikwje greckiego biskupa jadą do Italji, gdzie buduje się dla nich wspaniała świątynia w Bari, cel pobożnych pielgrzymek nie tylko uszczęśliwionych tym nabytkiem Włochów, ale i osieroconych Greków i dalekich Rusów. Na pamiątkę tego przeniesienia papież ustanawia święto, które nie przyjmuje się wprawdzie na Wschodzie greckim, ale za to staje się (dodajmy, aż dotąd) jednem z najpopularniejszych świąt na Rusi. Na południu Włoch aż pod Neapol, aż pod Rzym sięgają biskupstwa greckie z niedawnych czasów panowania tu Bizancjum; w dziesiątkach klasztorów kwitną typy monachizmu wschodniego; nowi panowie polityczni tych krajów, Normanowie, jak do wczoraj bazyleusi greccy, uposażają te biskupstwa i klasztory i budują nowe, nie zdając sobie sprawy, że czynią to dla obcej religji, choć ci biskupi i hegumeni nie zrywają stosunków kościelnych i z Bizancjum, jako schizmatyckiem, z drugiej strony schodząc się na sobory wspólne z biskupami łacińskimi. Na soborze w Bari pod

przewodnictwem samego papieża, angielski prymas, św. Anzelm z Canterbury, rozwija wszystkie zasoby swej dialektyki, by zwycięsko obronić *Filioque* przed zarzutami obecnych Greków; tym ostatnim wszakże nie narzuca się obowiązku uzupełnienia tym wyrazem symbolu. Niektórzy mnisi greckich klasztorów słyną ze swej świątobliwości, jeden z nich, prawie bezpośrednio po śmierci, zostaje kanonizowany przez papieża; z drugiej strony liczne klasztory łacińskie cieszą się względami bazyleusów bizantyńskich, otrzymują od nich ofiary, nawet Monte Cassino, nawet dalekie Cluny zostaje w żywym kontakcie z Konstantynopolem, wymienia listy nawet ze schizmatyckim patrjarchą. Rusza pierwsza wyprawa krzyżowa dla odebrania Grobu Pańskiego z rąk niewiernych: tu i ówdzie dali się ci krzyżowcy we znaki nawet chrześcijańskiej ludności, ludność ta wszakże, podobnie jak kler, jak cesarz, widzą w nich braci we wierze; odbywają się też wspólne nabożeństwa, na których obok książąt „Franków" i kleru łacińskiego modlą się mnisi greccy i syryjscy. Taką jest owa uroczystość wielkanocna w Jerozolimie, gdzie nabożeństwo odprawia biskup grecki, ale w obecności króla-łacinnika, gdzie honorowe miejsca w presbiterjum zajmują duchowni łacińscy, a obok nich pielgrzym z dalekiej Rusi, słynny ihumen Daniło, który też barwny opis tej uroczystości w języku ruskim pozostawił potomnym. Listy wspólne podpisują patrjarcha Antiochji i legat papieski. Antagonizmy, potem nienawiść nawet między krzyżowcami a tubylczą ludnością chrześcijańską nie na tle religijnem powstają; rodzi je różnica interesów politycznych, niesumienna polityka niektórych książąt, nadużycia krzyżowców.

W wiek XII wchodzimy wraz z autorem z nadziejami papieża Paschalisa II na przywrócenie formalnej unji między patrjarchatem a papiestwem, ale i z zaognionemi już stosunkami, które będą z wiekami pogłębiały przepaść między Wschodem i Zachodem; w każdym razie stwierdzamy, że ambitna polityka patrjarchów Carogrodu — to tylko jeden z bardzo wielu czynników powstania i powolnego utrwalania się schizmy kościelnej na Wschodzie. Tym sposobem książka Dra Leiba pomaga nam zrozumieć, że i usunięcie tej schizmy nie może być dziełem jednorazowego aktu zgody między hierarchami. Usunięcie tej schizmy — to przejście tej drogi, jaką ona dotąd kroczyła — tylko w kierunku odwrotnym, drogi długiej i mozolnej. Ale nie beznadziejnej. Dla polskiej nauki ma książka Leiba także znaczenie nie małe, gdyż maluje stosunki religijne w XI wieku w tej części Europy, którą dziś nazywamy „naszemi kresami wschodniemi", dotykając również stosunków politycznych i religijnych ówczesnej Polski z Rusią kijowską.

*Ks. J. Urban.*

Seweryn Goszczyński: Podróż mojego życia. Urywki wspomnień i zapiski do pamiętnika 1801—1842. Wydał St. Pigoń, jako zeszyt 3 tomu I. „Rozpraw i Materjałów Wydziału I Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie". Nakładem tegoż Tow. Wilno 1924.

Z ogromnej rękopiśmiennej spuścizny po Goszczyńskim, przechowywanej w Rapperswylu, prof. Pigoń wybrał i wydał autobiografję poety, obejmującą lata 1801 do 1842, t. j. do przełomowego roku życia twórcy „Zamku Kaniowskiego". Nie jest to gotowy, w pełnem słowa znaczeniu pamiętnik, lecz raczej notatki osobiste poety, mające mu służyć za materjał do pamiętnika zgrupowane w trzech częściach: „Chronologja mojego życia, Zapiski do moich pamiętników i Notaty". Najbardziej wykończoną jest część pierwsza, drugie dwie, a zwłaszcza ostatnia, są zbiorem luźnych szczegółów, notowanych dla pamięci. Mimo tej fragmentaryczności „Podróż mojego życia" jest bardzo interesująca, nastrój religijno-mistyczny nadaje całości szczególnie poważny ton, a z suchych nawet notatek wyłania się w wyrazistych rysach obraz nadmiar ciężkiego, ale i bujnego życia poety i sylwetka jego granitowej duszy. Szkoda, że nie zdołał pamiętnika swego napisać, ale dobrze, że pozostały przynajmniej zręby i rusztowania, które kiedyś biografowi uda się na podstawie reszty spuścizny Goszczyńskiego i na podstawie wspomnień współczesnych zapełnić żywą treścią.

*S. B.*

Pamiętnik Mierosławskiego (1861—1863) wydał dr. Józef Frejlich. Warszawa 1924. Bibljoteka Polska. Str. V+214.

Postać Mierosławskiego ściśle zrasta się z krwawą historją nieszczęsnego powstania styczniowego. Dziwny to zaiste człowiek; obok niepospolitych talentów i wielkiej przedsiębiorczości, równocześnie zarozumiały, namiętnie sądzący swych przeciwników, a mający dziecinne i fantastyczne pomysły prowadzenia walki orężnej; przy niezaprzeczonym patrjotyźmie i osobistej odwadze, przedstawia Mierosławski typ niezmiernie skomplikowany i dlatego warto zapoznać się z jego „wspomnieniami", nie tyle ze względu na prawdę historyczną, której niezbyt ściśle w zacietrzewieniu swem się trzyma, ile właśnie dla poznania psychiki jednego z wodzów zbrojnego ruchu narodowego i organizatora sprzysiężenia, które w skutkach swoich tak było dla Polski opłakane, ale z drugiej strony dobyło na jaw nowe przykłady bezgranicznego poświęcenia się za ojczyznę i bohaterskiego „szaleństwa" w walce z dziesięćkoć silniejszym nieprzyjacielem. Roznamiętnienie polityczne, wyrywające się z pod pióra Mierosławskiego, ciągłe szykany na „łysych warjatów", „wściekliznę hrabiów" i t. p. dziś jeszcze niosą nam echo namiętnych walk „Czerwonych" z „Bia-

łemi", walk, które osłabiały siłę w narodzie i wiodły do niejednej zdrożności. *T. K.*

*Dokumente der Religion.* Band VII: *Isaias:* Das Trostbuch israels, ausgewählt u. übertragen von Dr. N. Peters, str, 159; VIII: Der Koran, Ausgewählt von H. Grimme prof. d. Uniw, Münster, str. 229; IX: *Clemens v. Aleksandrien,* Auslese: Gott ruft die Seele. von Dr. Th. Rüther, str. 86. Wszystkie: Verlag. v. Schöningh. Paderborn 1923.

O cyklu: „Dokumenty religji" już raz pisaliśmy w naszem Piśmie. Obecnie mamy przed sobą trzy nowe tomiki, od 7 do 9. Pierwszy z nich przynosi nam piękny, poetyczny, ujęty w zmieniające się o bogatej rytmice strofy, przekład proroctwa Izajaszowego. Wydawcy i tłumaczowi nie zależało na naukowem wydaniu proroctwa, miał na oku tylko cel praktyczny: przez umiejętny, obszerny, wierny, nie tylko treściowo, ale i poetycznie, o ile to jest możliwem, wybór uprzystępnić szerokim warstwom społeczeństwa ten cudowny poemat bólu i pociechy, jeden z najpiękniejszych i najgenjalniejszych tworów umysłu i serca ludzkiego (jeśli nawet abstrahujemy od jego nadprzyrodzonego pochodzenia). Cel ten tłumacz osiągnął w zupełności. — To samo musimy powtórzyć i o dwu następnych tomikach.

Wydawca i tłumacz koranu troskę o oddanie swoistego charakteru oryginału posunął nawet aż do wierności w zachowaniu metrum, co tym razem nie okazało się zbyt szczęśliwem, utrudnia bowiem bardzo zrozumienie i tak już ciężkiego tekstu.

Bardzo miłą jest chrestomatja z pism św. Klemensa z Aleksandrji. W 21 ustępach ujął wydawca najpiękniejsze, najbardziej charakterystyczne i najłatwiej do współczesnej duszy przemawiające wyjątki z pism Klemensa i zgrupował je pod wspólnym, ich ogólną treść wyrażającym tytułem: Bóg woła duszę. *s.*

# Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

## Sprawy Kościoła.

Ambasada polska przy Watykanie. — Z alokucji konsystorjalnej Ojca św.

Poselstwo polskie przy Stolicy św., istniejące niemal od pierwszej chwili po wskrzeszeniu Rzeczypospolitej, zostało świeżo podniesione do godności ambasady, a jednocześnie nuncjatura apostolska w Warszawie otrzymała rangę nuncjatury pierwszej klasy. Odpowiada to w zupełności temu miejscu, jakie na liście narodów zajmuje Polska ze względu na liczbę wyznawców katolickiego Kościoła. Ze swemi 22 miljonami katolików, należących do trzech obrządków, jesteśmy czwartem państwem na świecie między najbardziej katolickiemi, ustępując miejsca tylko Francji, Hiszpanji i Włochom. Jeżeli zaś przypomnimy, że Włochy dotąd nie nawiązały urzędowych stosunków ze Stolicą św., a Francja zamierza je zerwać, to ważność naszej dyplomatycznej placówki przy Watykanie okaże się tem wyraziściej. My, nie mając na swej drodze, jak Włochy, „sprawy rzymskiej" do rozwiązania, ani nie będąc obciążeni spuścizną rewolucyjno-bezbożnej polityki, jak Francja, nie mogliśmy się w Rzymie absentować, a skoro już tam jesteśmy, to wypadało, abyśmy też zajęli takie stanowisko, jakie odpowiadało naszemu położeniu w chrześcijaństwie, zarówno w dobie obecnej, jak i w historji.

Kościół w Polsce i katolicy polscy powinni z całem uznaniem odnieść się do tego zarządzenia naszego rządu, jakiem jest ustanowienie ambasady przy Watykanie. Uznanie to winno być nawet zdwojone, jeśli się uprzytomni, że ambasadę w Rzymie rząd nasz ustanowił w chwili, kiedy rząd naszej politycznej sojuszniczki, Francji, zapowiada odwołanie z Watykanu swojego ambasadora. Rząd nasz, nie

licząc się z tem stanowiskiem rządu zaprzyjaźnionego, dał dowód niezależności, z jaką urządza swe wewnętrzne sprawy, a także — dodajemy to śmiało — dał dowód, że lepiej od p. Herriota ocenia znaczenie dla państwa przyjaznego stosunku do Kościoła, tego państwa dusz. Zresztą jednocześnie rząd nasz zacieśnił także stosunki przyjaźni z Francją, podnosząc polskie poselstwo paryskie również do godności ambasady.

11 grudnia polski ambasador (dotychczasowy poseł), hr. Wł. Skrzyński przedstawił Ojcu Św. swe listy uwierzytelniające. W mowie, którą wygłosił przy tej sposobności, dał wyraz szczególnej czci dla osoby Piusa XI, przypominając jego pobyt między nami, a w szczególności pozostanie na stanowisku w owych groźnych dniach, kiedy wróg ze Wschodu podsuwał się pod bramy stolicy. Wkrótce nasz wierny Przyjaciel stał się Ojcem wspólnym wierzących i pragnie utrwalenia pokoju między wszystkiemi narodami. Polska gotowa wszędzie popierać te pokojowe intencje Ojca św.; czyni też wszystko, co do tego zmierza. Wspomniał hr. Skrzyński i o tem, co Polska uczyniła u siebie nie tylko dla uzdrowienia finansów i utrwalenia swych granic, ale także dla sprawiedliwości społecznej. Wyraził też nadzieję, że stan prawny Kościoła w Polsce zostanie niebawem ustalony przez zawarcie konkordatu ze Stolicą Św. Nareszcie poprosił o błogosławieństwo apostolskie dla prezydenta Rzeczypospolitej, dla narodu i dla siebie.

Odpowiedzi Ojca św. boimy się streszczać i omawiać swojemi słowami. Ryzykowalibyśmy osłabienie jej silnych, a tak dla nas doniosłych i pochlebnych akcentów. Przytaczamy ją tedy w całości w tłumaczeniu, podanem przez *Kurjer Warszawski.*

Oto słowa Piusa XI:

Panie ambasadorze! Jesteśmy szczęśliwi, trzykrotnie szczęśliwi, witając pana, panie ambasadorze, w nowej osobowości dyplomatycznej i z nową godnością i widząc odznaczenie pana zaufaniem pana prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

Jeżeli przymioty pana, jako obywatela i dyplomaty, wskazywały w zupełnie specjalny sposób na pana, jako na tego, który miał wznowić ten wzniosły tytuł i te nie mniej wzniosłe zadania, które ten stopień wyraża, to samego tego wznowienia domagało się to wspaniałe zmartwychwstanie polityczne, które szlachetny naród polski znowu wprowadziło do grona państw Europy i świata, z tem, ażeby ten naród zajął znowu miejsce mu należne mocarstwa katolickiego.

Że zaś pan prezydent, którego pan jest tu tak wymownym rzecznikiem, zechciał owemu odnowieniu godności nadać wyraz

szczególnej czci dla Stolicy św. i dla naszej niegodnej osoby, to nas wzrusza do głębi serca i budzi w nich uczucia zupełnie specjalnej wdzięczności. Spieszymy tedy poruczyć panu, abyś zechciał być wobec J. W. pana prezydenta wiernym tłumaczem tych naszych uczuć jako też życzeń serdecznych, które, wzamian za życzenia, przysłane przez niego za pańskiem pośrednictwem, wyrażamy dla jego pomyślności i dla szczęścia całej Polski.

Wspomnienie lat, spędzonych przez nas u was i z wami w Polsce, wywołane przez pana w tak delikatny sposób w jego mowie, obudziło w nas uczucie pełnego słodyczy wzruszenia. Te lata dały nam możność szerszego poznania waszego pięknego kraju, od Karpat do Bałtyku, waszego tak zacnego i wiernego ludu, od wielkich miast aż do miasteczek i zapadłych wiosek; pozwoliły nam również poznać i oglądać naszemi oczyma pierwsze zapały waszego odrodzenia i porywy do życia, następnie trudności, niebezpieczeństwa, walki, rozterki i bohaterstwo, gdy w tych na zawsze okrytych chwałą dniach przed świętem Wniebowzięcia Matki Boskiej w r. 1920 na brzegach waszej cichej Wisły odbył się ten cudowny bój między aniołem życia a aniołem śmierci, w których najsłodsza Królowa Korony polskiej, ze swej Jasnej Częstochowskiej Góry, raczyła natchnąć czynem męczeńskim księdza Skorupkę i jego młodocianych towarzyszy i uwieńczyć ten czyn tak świetnem zwycięstwem dla zbawienia Polski i dla zbawienia Europy.

Co się tyczy doby obecnej, to, zapewniając nas przy wznowieniu swych funkcyj o swej zdwojonej gorliwości w celu zachowania, skonsolidowania i coraz to serdeczniejszego a dobroczynnego zacieśnienia tradycyjnych stosunków między Stolicą Apostolską a pańską ojczyzną, oraz wyrażając ufność w naszą przychylność i współpracę w dążeniu do tak szlachetnego celu, zamienia pan jedynie, panie ambasadorze, na proroctwo jutra historję przeszłych już dotychczas dni najbliższej przeszłości. Pozostaje nam ponowić najlepsze nasze życzenia dla pana, a w panu i przez pana dla dla p. prezydenta Rzeczypospolitej i dla całego narodu, który p. prezydent Wojciechowski przedstawia tak godnie nietylko w ogólnem gronie politycznem narodów, ale również w gronie narodów, których chwały godnem znamieniem jest stanie zawsze wiernie przy wierze ojców, przy wierze sławnych przodków i przy tej Stolicy Apostolskiej, która jest ośrodkiem i podporą wiary katolickiej. Jesteśmy szczęśliwi, że nasze życzenia zbiegają się z zaraniem roku jubileuszowego, który zapewnia naszym intencjom poparcie całego świata katolickiego, połączonego we wspólnych modlitwach.

Pozostaje nam jeszcze udzielić błogosławieństwa apostolskiego w myśl pańskiej prośby a z całego naszego ojcowskiego serca dla pana prezydenta Wojciechowskiego, a również dla pana, panie ambasadorze, oraz dla całego drogiego narodu polskiego, którego

w tej historycznej i uroczystej chwili z radością zdajemy się widzieć stojącym za nim i za panem.

Zarówno przemówienie naszego ambasadora, jak i odpowiedź papieża dowodzą, że w ustanowieniu ambasady przy Watykanie nie chodzi Polsce jedynie o „posterunek obserwacyjny", albo o narzędzie targów politycznych: nasza ambasada w Rzymie a nuncjatura apostolska w Warszawie — to symbole tego głębokiego sojuszu, jaki genjusz naszego narodu, rozważanego jako całość, zawarł z katolicką wiarą w biegu swej historji. Polska obecna, zacieśniając węzły moralne z najwyższą potęgą duchową w świecie, pozostaje wierną... samej sobie.

Odbywane corocznie, zazwyczaj w grudniu, konsystorze „tajne",[1]) dają sposobność do sumarycznego przeglądu radosnych i posępnych momentów z życia Kościoła w ciągu roku. Na konsystorzu ostatnim, odbytym 18 grudnia, Ojciec św., Pius XI właśnie dokonał takiego przeglądu za rok ubiegły.

Znamienna rzecz, że momenty radosne zgrupował około licznych kongresów katolickich, jakie w roku 1924 odbyły się w różnych krajach. Wspomina więc naprzód o synodzie plenarnym w Chinach, pierwszym w tem państwie bezbrzeżnem, przechodzi do kongresu unjonistycznego w Welehradzie, kongresów eucharystycznych w Amsterdamie i w Palermo, zjazdu katolików amerykańskich w Waszyngtonie i niemieckich w Hannowerze, wreszcie młodzieży belgijskiej w Charleroi. Każdemu poświęca długi ustęp, uznając ich wielkie znaczenie dla religji i Kościoła. Najwięcej pono radują serce Ojca św. te usiłowania, jakie na kongresach w Welehradzie i Amsterdamie podejmowano w celu przyśpieszenia powrotu do jedności w wierze ludów odłączonego Wschodu. Przeniesienie zwłok Leona XIII od św. Piotra do bazyliki św. Jana na Lateranie, obchodzącej swój 16-wiekowy jubileusz, wymienione zostało również jako zdarzenie radosne dla Kościoła rzymskiego.

Smutek swój wypowiedział Pius XI w tegorocznej alokucji tylko z powodu jednego faktu: przymusowego wycofania misji ratowniczej z Rosji z powodu stawianych jej przeszkód. Zapowiada wszakże Ojciec św., że miłość Jego do nieszczęśliwego narodu rosyjskiego nie ulegnie zmianie i w miarę możności będzie nadal spieszył z pomocą tak potrzebującym w kraju, jak i tym, co na obczyźnie wszelki niedostatek cierpią.

---

[1]) Dlaczego się tak nazywają, tłumaczyliśmy czytelnikom *Przeglądu* w zeszycie na maj 1924, str. 176.

Mówiąc o Rosji, znalazł papież sposobność określenia swego stosunku do rządu bolszewickiego. Słowa, które na ten temat wypowiedział, rozniesione zostały po świecie, jakby stanowiły całą czy główną treść przemówienia na konsystorzu. W rzeczywistości są one tylko jednym szczegółem długiej alokucji i wypowiedziane zostały prawie tylko nawiasowo. Nie mniej wszakże przez to są doniosłe nie tylko dla Rosji, ale i dla innych krajów. Pius XI jakby się sprawiedliwiał wobec tych, co w akcji charytatywnej papieża upatrują wzmocnienie władzy sowieckiej. Wiadomo, że złośliwi z pośród samychże Rosjan w koniecznych stosunkach papieża z obecnymi władcami Moskwy wyczytywali niemal uznanie systemu bolszewickiego ze strony Stolicy św. Otóż papież zaznacza, że tak dalekim jest od podobnego uznania, że w poczuciu swego ojcowskiego obowiązku nie przestaje wzywać wszystkich, a w szczególności rządców państw, aby zapobiegali tym strasznym a pewnym szkodom, jakie grożą z wprowadzenia w życie socjalizmu i komunizmu. Wzywa do wysiłków nad polepszeniem doli robotników i wogóle klas upośledzonych, ale w socjaliźmie i komuniźmie widzi wroga ogólnej pomyślności, pokoju, świętości rodziny, cywilizacji. Te zastrzeżenia Ojca św. powinny nie tylko uspokoić podejrzliwych co do stosunku papieża do bolszewizmu, ale otworzyć oczy niewidzących — na niebezpieczeństwa, jakie wszędzie grożą społeczeństwom ze strony tego pół-bolszewizmu, jaki w ostatnich latach w wielu krajach poczynił wielkie postępy.

Zarządzenie, dotyczące otwarcia w dniu 24 grudnia Wielkiego jubileuszu i wystawy misyjnej, wreszcie ogłoszenie licznych prekonizacyj biskupich kończą alokucję papieską.

Miłościwe lato, mające ściągnąć do stolicy chrześcijaństwa w duchu pokuty liczne rzesze ze wszystkich narodów, zapewne przyczyni się do zacieśnienia nie tylko posłuszeństwa i uległości względem Stolicy świętej, ale także braterskich uczuć wszystkich wyznawców Chrystusa, wspólnego Odkupiciela i Księcia pokoju.

*Ks. J. Urban.*

## Kronika społeczno-ekonomiczna.

Katolickie organizacje służby domowej w Polsce. — Polska Konfederacja Pracowników Umysłowych. — Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych.

W ubiegłym roku minęło dwadzieścia pięć lat, jak na krakowskim gruncie powstała bodaj pierwsza w Polsce organizacja służby domowej z silnem zabarwieniem zawodowem. Mówimy

o Stowarzyszeniu Sług Katolickich pod wezwaniem św. Zyty. Od owego czasu, kiedy do pracy organizacyjnej przystępował obecny prowincjał OO. Jezuitów, Ks. St. Sopuch, i kiedy Stowarzyszenie liczyło zaledwie kilkanaście służących dziewcząt, organizacja odbyła daleką drogę. Z wynajmowanego pokoiku, gdzie się mieścił sekretarjat, Stowarzyszenie przeniosło się do własnego domu, prócz tego nabyło drugi jeszcze budynek i własny dom w Zakopanem, przeznaczony na pewnego rodzaju sanatorjum dla tak często gruźlicą atakowanych dziewcząt.

Tych kilka szczegółów czysto materjalnej natury daje już pewien obraz rozwoju organizacji. Lecz nie mury charakteryzują i decydują o wartości Stowarzynia i o zasługach tych osób, które tej osobliwej — jak na owe czasy — działalności poświęciły czas i siły. Stowarzyszenie postępowało po linji zawodowej pomocy bardzo systematycznie. W r. 1900 zorganizowano przy Stowarzyszeniu biuro pośrednictwa pracy, nieco później tegoż roku już powstaje biuro porady prawnej, a następnie jeszcze ambulatorjum lekarskie. W 1902 r. doszło Stowarzyszenie do stworzenia własnej szwalni, szkoły prasowania i kuchni publicznej, obliczonej nie tyle na naukę sztuki kulinarnej, jak na uzyskanie pewnego stałego źródła dochodu. Rok przedtem w zakupionym domu powstało schronisko dla dziewcząt służących poszukujących zajęcia. W pięć lat później powstaje w Stowarzyszeniu dwuklasowa szkoła dla analfabetek, a w następnym roku Stowarzyszenie organizuje Misję Dworcową, gdzie przedstawicielki Stowarzyszenia dyżurują przy nadchodzących pociągach, by się zająć dziewczętami, ściągającemi z prowincji do Krakowa dla szukania obowiązku. W r. 1908 Stowarzyszenie zdobywa się na otwarcie własnego szpitalika w jednym z zakupionych domów z osobnym oddziałem dla ciężko chorych i drugim dla rekonwalescentek. Po wojnie Stowarzyszenie tworzy osobne schronisko dla emerytek-staruszek, organizuje naukę kroju i własną pracownię trykotarzy, wreszcie pracownię szewską z własnemi dyplomowanemi siłami kierowniczemi.

Ten stopniowy rozwój Stowarzyszenia jest cechą bardzo charakterystyczną i dodatnią. Drugą cechą, równie korzystną, jest akt, że Stowarzyszenie rozwijało się i doszło do tak poważnych rezultatów o własnych siłach finansowych. Pierwszy dom, jaki zakupiono, został spłacony dziesięcio centowemi składkami członkiń. Zmysł oszczędności i gospodarności stowarzyszonych charakteryzuje i ten szczegół, że kiedy Stowarzyszenie rozpoczęło u siebie akcję oszczędnościową, to w pierwszym roku członkinie złożyły na książeczki ponad 4 tysiące koron złotych.

Wreszcie warto podnieść i ten niezwykły fakt, że w czasie wojny, kiedy Austrja hojnie żywiła swych obywateli różnego rodzaju kartkami, organizacja osób, najbardziej społecznie upośledzonych, dawała wiele obiadów osobom społecznie lepiej sytuo-

wanym a przedewszystkiem młodzieży gimnazjalnej i uniwersyteckiej.

Stowarzyszenie liczy w Krakowie około 5000 członków. Jest to może liczba stosunkowo za mała wobec tego, że już w dwa lata po powstaniu Stowarzyszenia liczba członków wynosiła 3500, a wogóle w Krakowie jest katolickich dziewcząt służących ponad 10.000.

Za Krakowem poszły inne miasta byłej Galicji i prawie wszystkie posiadają do dziś, organizowane przed wojną, Stowarzyszenia. Trudno jednak powiedzieć konkretnie, ile jest Stowarzyszeń choćby w samej Małopolsce, a tem bardziej w Kongresówce i Wielkopolsce (gdzie z czasem przeniósł się ruch organizacyjny), a jeszcze trudniej o wiadomości pewne odnośnie do liczby członków. Stowarzyszenia bowiem do tej pory nie posiadają centrali i pracują zupełnie indywidualnie. Stąd pochodzi, że w rzeczywistości Stowarzyszenia nie przedstawiają jednolitego typu organizacyjnego i w niektórych miejscowościach posiadają charakter raczej kulturalno-oświatowy a nawet religijny.

Fakt ten ze stanowiska organizacyjnego należy uważać za duży brak. Przez zjednoczenie Stowarzyszeń łatwiejby było dojść do stworzenia sprawniejszych biur wszelkiego rodzaju i pracowni a przedewszystkiem ośrodków klimatycznych. Nie można przecież w to wątpić, że tak, jak krakowskie służące, służące z całej Polski potrzebują niejednokrotnie intensywnej kuracji nie tylko w Zakopanem, ale i w innych uzdrowiskach.

Tem dziwniej cała sprawa się przedstawia, jeśli zwrócimy uwagę na to, że obok omawianej organizacji służby domowej istnieje na terenie polskim jeszcze druga katolicka organizacja: Polski Związek Zawodowy Służby Domowej. Związek ten jest przetworzeniem t. zw. Stowarzyszenia Sług Katolickich, zatwierdzonego w Warszawie jeszcze w r. 1915 przez ministerstwo rosyjskie. Związek ten posiada centralę w Warszawie i dwa sekretarjaty w Wilnie i Krakowie, pracujące w łączności z centralą.

Do tej pory Związki te nie są ani liczebnie, ani gospodarczo tak silne, jak Stowarzyszenia św. Zyty [1]).

Przy zetknięciu się z przedstawicielami a zwłaszcza po przestudjowaniu statutów tych dwu odrębnych organizacyj odnosi się wrażenie, że organizacyjnie Związki Zawodowe są lepiej pomyślane, ale natomiast ideowo przedstawia większą wartość i celowość Stowarzyszenie św. Zyty. Jest to bodaj jedyna organizacja o charakterze zawodowym, która w swym statucie za swój

---

[1]) Stow. św. Zyty jest ponad 20 z przybliżoną liczbą członków 25.000; Związek Zawodowy posiada przeszło 30 oddziałów, liczba członków dochodzi prawdopodobnie do 15.000. Daty opieram na osobistych wywiadach z Sekretarjatami organizacyj. Gł. U. Stat. nie mógł mi podać żadnych szczegółów.

cel między innemi stawia i taki postulat: „W szczególności zadaniem Stowarzyszenia jest wpajać w członków zamiłowanie swego stanu, pracowitości, oszczędności i sumienności w wykonywaniu obowiązków". Jeśli przytem uwzględnimy, że postulat ten opiera się bardzo silnie o cały system pracy oświatowej i pomocy religijno-moralnej, która programowo bywa przeprowadzana w Stowarzyszeniach, to niema dwóch zdań, że dla tego typu osób, jak służba domowa, statut ten posiada najwięcej celowości.

Czy kiedyś dojdzie do większego zbliżenia się tych dwu typów organizacyj, dość trudno przewidzieć, w każdym razie, gdyby się ostały tylko czystego typu organizacje św. Zyty, trzebaby było stwarzać równoległą organizację dla służby domowej męskiej i dla służących będących w związkach małżeńskich, gdyż ta organizacja obejmuje wyłącznie tylko osoby niezamężne.

Ostatniego listopada ub. r. zjechali się w Warszawie przedstawiciele związków pracującej inteligencji z całej Polski. Zjazd miał na celu ukonstytuowanie centralnej organizacji dla wszystkich związków tej kategorji pracowników. Pod przewodnictwem dr. Kazimierza Dłuskiego doszło do skutku powołanie do życia centralnej organizacji pod nazwą: Polska Konfederacja Pracowników Umysłowych; nadto na zjeździe przyjęto statut P. K. P. U. i uchwalono przystąpienie do tego samego typu organizacji międzynarodowej, która ma siedzibę w Paryżu. *Confederation Internationale des Travailleurs intellectuels* ma odbyć w bieżącym miesiącu III międzynarodowy kongres, w którym wezmą udział i przedstawiciele P. K. P. U.

Nie można zaprzeczyć, iż położenie inteligencji po wojnie jest tego rodzaju, że jeśli sama inteligencja nie weźmie się do obrony własnej sprawy, do organizacji, celem nie tylko obrony swoich interesów materjalnych, ale i swego znaczenia społecznego i państwowego, to może w najbliższej przyszłości dojść do znacznego upadku inteligencji. Nie możemy przecież oczekiwać tego po ludziach, żeby pracowali wyłącznie ze względów ideowych, nie zwracając uwagi na swe upośledzenie i zapoznanie.

Czy jednak dotychczasowe objawy działalności i życia nie dawno powstałych związków inteligencji pracującej dają rękojmię, że chodzi tu o dobro państwowe, że ci inteligenci bronią w swoich stanowiskach i osobach nie tylko siebie, ale polskiej kultury i sprawnego działania całej machiny państwowej? Oto pytanie, które się mimowoli nasuwa, choćby ze względu na doświadczenie, jakie posiadamy z działalności klasowych związków zawodowych robotników fizycznych.

I musimy otwarcie powiedzieć, że jakkolwiek po naszej polskiej inteligencji spodziewamy się zawsze wielkiego patrjotyzmu i trzeźwego ujmowania problemów państwowych i społecznych, to jednak nie jest wykluczone, że P. K. P. U. może sprawić ca-

łemu narodowi gorzki zawód. Obawy tego rodzaju nasuwają się po warszawkim zjeździe Pracowniczych Związków Zawodowych Rzeczypospolitej, który się odbył 1 listopada.

Niepokojące objawy nie tkwiły oczywiście w postulacie zabezpieczenia i pracowników umysłowych na czas bezrobocia, ale w całym nastroju obrad, jaki najwyraźniej wystąpił w czasie referatu i dyskusji na temat obecnej drożyzny. Atakowano tam w sposób hałaśliwy i demagogiczny i rząd i kapitalistów, a w końcowej rezolucji zjazd postanowił wysłać delegację do p. Prezydenta Rzeczypospolitej celem „poczynienia energicznych przedstawień" w sprawie zamierzonego zniesienia świąt podwójnych. Należy przytem zauważyć, że na zjeździe tym referował sprawę drożyzny socjalista Hartleb. Jeszcze bodaj wyraźniej element demagogiczny dał się zauważyć na krakowskim wiecu przedstawicieli związków inteligencji pracującej, na którym między innemi mówiono o „klasowem budzeniu się inteligencji pracującej", która łącznie ze związkami pracowników fizycznych powinna wystąpić do walki *(sic)* z kapitalistami i z rządem, o ile ten popiera kapitalizm. Najlepszym zaś dokumentem radykalnej atmosfery, jaka przenika przynajmniej niektóre ośrodki związkowe, jest rezolucja, aby „całkowite koszta ubezpieczenia na czas bezrobocia ponosili pracodawcy i rząd".

Wszystkie te momenty zdradzają smutną prawdę, że związki pracowników umysłowych podlegają już w znacznej mierze frazeologji socjalistycznej.

Czy przez przystąpienie do międzynarodowej organizacji nastąpi jakieś otrzeźwienie pod tym względem, można bardzo wątpić, a raczej można się spodziewać jeszcze większego radykalizmu. Przecież C. T. T. I. podlega silnym wpływom syndykalizmu francuskich pracowników umysłowych, a francuska prasa narodowa widzi w tych syndykatach trzy czwarte rewolucjonistów i bez ogródki wypowiada zdanie, że syndykaty kryją w swem łonie niebezpieczeństwo bolszewizmu.

Chcielibyśmy się w naszych zapatrywaniach mylić i wolelibyśmy, by nigdy nie doszło do wrogiej przeciwrządowej koalicji związków robotniczych i związków inteligencji zradykalizowanej, tem bardziej, że Polska nie mogłaby jej przeciwstawić dość silnej koalicji żywiołów zorganizowanych a silnych nie tylko narodowo, ale i etycznie.

„Jak mało placówek oświatowych wśród dziesiątków i setek tysięcy robotników! Całe miasta, całe okręgi nietknięte. Analfabetyzm nie tylko tych co czytać nie umieją, ale i tych, co niby czytają a toną w głupocie, niewiedzy i ciemnocie, jest jeszcze niemal powszechny".

„Klasa robotnicza bez oświaty nie zdobędzie żadnego wpływu w społeczeństwie, nie utrzyma zdobyczy osiągniętych w sprzyja-

jących niegdyś warunkach, nie pokona oszukańczej demagogji, która ją rozbija na zwalczające się obozy. Nie wyrwie się robotnik z kajdan niewoli społecznej i politycznej, jeżeli jego umysł będzie ciemny, a dzieci jego będą miały rynsztok za miejsce zabawy. Kto głosi wielką walkę wyzwoleńczą klasy pracującej a nie da jej oświaty, ten buduje na bagnie!"

„Wierzę, że znajdą się te setki dzielnych, mądrych działaczy dla dźwignięcia sztandaru oświatowego wśród miljonowej rzeszy pracującej. A na sztandarze tym wypisane: Wiedza to potęga!"

Tak pisał Daszyński w przeddzień walnego zjazdu TUR-a.

Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego powstało w grudniu 1922 r. na wezwanie senatora Daszyńskiego. Jest to organizacja specjalnie oświatowa. Działalnością swą i wpływem ma zamiar objąć trzy zasadnicze kierunki socjalizmu: polityczny, zawodowy i spółdzielczy. Przewodnią ideą TUR-a, jak mówił Daszyński na otwarciu Zjazdu i jak następnie stwierdzali wszyscy mówcy, jest „oświata wszechstronna a jednocześnie socjalistyczna" i „dlatego, skomentował te słowa Perl, w TUR niema miejsca dla przedstawicieli burżuazji, ale również niema miejsca dla innych przeciwników ideologji socjalistycznej — komunistów". Ostatecznym celem TUR-a, jak twierdził Czapiński, jest „stworzenie człowieka nowego, którego ustrój psychiczny harmonizowałby z przyszłym ustrojem społecznym".

Metody pracy, jakiemi ma się posługiwać TUR nie są żadną nowością. Odczyty, kursy, teatry amatorskie, orkiestry, sporty, wycieczki naukowe, bibljoteki stałe i ruchome, obchody i uroczystości, własne wydawnictwa, to mniej więcej wszystko, co znane jest każdemu, który marzy o oświacie warstw robotniczych. Lecz TUR ma znacznie większe ambicje. W Polsce chce stworzyć stałą szkołę z internatem, w którejby, jak pragnie senator tow. Kopciński, rokrocznie 30 do 40 ludzi przez kilka miesięcy pobierało naukę o rozwoju ludzkości, o teraźniejszej rzeczywistości i o stosunku człowieka do otoczenia, a przy takiej nauce zarazem i wychowanie. Na terenie międzynarodowym TUR wraz z międzynarodówką oświatową, opartą o międzynarodówkę zawodową, amsterdamską, ma zamiar korzystać z najwyższej szkoły robotniczej t. zw. *Ruskin-College* w Oxfordzie, przyczyniać się do tworzenia międzynarodowych szkół letnich, praktykować wymianę studentów i prelegentów między wyższemi szkołami robotniczemi.

TUR potrosze wątpi w to, żeby starszego robotnika można było jeszcze wiele nauczyć, natomiast po wielekroć razy zwracał uwagę na młodzież. T. Hołówko pojmuje tę sprawę w ten sposób: „Musimy sięgnąć przedewszystkiem do młodzieży robotniczej, z jej szeregów wykształcić młodą inteligencję socjalistyczną. Musimy otoczyć dziecko robotnicze opieką od najmłodszych lat, mu-

simy wychować je w atmosferze socjalistycznej". „Koroną działalności TUR winno być troskliwe wyszukiwanie zdolniejszych jednostek i odpowiednie kierowanie ich losem". Przy tej sposobności przyznano się, że praca nad organizacją młodzieży i nad jej oświecaniem w duchu socjalistycznym „jest w zaniedbaniu", o czem zresztą wymownie świadczyło sprawozdanie Centralnego Wydziału Młodzieży zareferowane z okazji zjazdu. Istnieją zaledwie 22 koła miejscowe z 1500 członkami [1]).

Nie nadzwyczajnie przedstawia się też dotychczasowy rezultat prawie dwurocznego istnienia TUR-a. Do 1 listopada b. r., w którym to dniu rozpoczął się dwudniowy Zjazd, było 44 oddziałów z 3785 członkami. W międzyczasie TUR urządziło 17 systematycznych kursów, zorganizowało 483 odczyty, wycieczek 54 i 42 obchody. Wnet po odbytym Zjeździe, bo od 25 listop. do 9 grudnia odbyły się kursy w „Centralnej Szkole Partyjnej" w Warszawie. W kursie brało udział 15 adeptów PPS. W ciągu 49 godzin wykładów i 16 godzin seminaryjnych poruszono przeszło 20 różnych tematów. Profesorami byli żydzi i nieżydzi, a p. Czapiński w wykładzie „O klerykaliźmie" starał się pewno o zastąpienie wszelkich wykładów na temat religji i moralności.

Co się tyczy organizacji TUR-a to jest to organizacja zupełnie odrębna obok trzech wyżej wymienionych, samorządna, z centralą w Warszawie. Centrala na razie niema większego znaczenia ze względu na brak funduszów, dlatego Zjazd kładł główny nacisk na oddziały miejscowe. Pozatem TUR wszedł do międzynarodówki oświatowej z okazji jej drugiego zjazdu, który się odbył tego roku w Oxfordzie. Do międzynarodówki wychowawczej, jaka w roku bieżącym powstała w Wiedniu nie należy, ale utrzymuje z nią kontakt.

Mimo wszystko można się spodziewać, że idea, tak silnie przedstawiona w socjalistycznej prasie, znajdzie po odbytym zjeździe daleko wydatniejsze poparcie i że z czasem P. P. S., wobec znanej karności i wytrwałości organizacyjnej, dojdzie do wytyczonych celów. I można się z tego cieszyć, że partja zwróciła tyle uwagi na oświatę i kulturę. Bezwątpienia jednak forsowanie t. zw. socjalistycznej nauki może zupełnie słusznie budzić obawy, że cały ten ruch oświatowy będzie pomniejszonem wydaniem szkolnictwa bolszewickiego, chociaż p. Czapiński uroczyście oświadczał, iż „wykład dla robotników musi być naukowy, a więc nie fałszujący dla żadnych względów utylitarnych najnowszych tez nauki". Wszak sam Czapiński, wygłaszający tak podniosłe zasady, jest tego najlepszym przykładem.

---

[1]) Równie słabo przedstawia się kulturalno-oświatowa organizacja młodzieży, znana pod nazwą „Siła". „Siła" istnieje tylko na Śląsku Górnym i Cieszyńskim, w Chrzanowskiem rozpadła się zupełnie. Według sprawozdań II walnego zebrania, które się odbyło 16 listopada ub. r., „Siła" posiada 18 ognisk z 1.000 członków.

Z drugiej strony praca oświatowa P. P. S. może się stać po pewnym czasie ciężkim wyrzutem za niedołęstwo, skąpstwo i rozbieżność, jaka cechuje nasze poczynania. Tymczasem jest tylko znakomitem ostrzeżeniem.

*Ks. R. Moskała.*

## Szkolnictwo i wychowanie w Rosji bolszewickiej.

Z krainy krwi i mogił, mimo bliskiego sąsiedztwa i tak długiego przeciągu czasu, mało mamy wiadomości. Dawno już pragnęliśmy podać obraz dzisiejszego położenia młodzieży rosyjskiej, jej wychowania i wykształcenia, jednakże dokładniejsze i pewne przedstawienie rzeczy okazało się niemożliwe. Wiadomości wprawdzie nie brak, lecz są one lokalne, urywkowe, ogólnikowe i nieraz zaprzeczane przez doniesienia pochlebne. Dzięki propagandzie, na którą sowiety nie szczędzą pieniędzy, trudno jest zagranicą wyrobić sobie prawdziwe pojęcie o stosunkach rosyjskich; kiedy jedni przedstawiają je w czarnych barwach, to inni „naoczni" świadkowie mówią wręcz przeciwnie, wyłowić z tego prawdę jest często rzeczą niepodobną.

W ostatnich jednak czasach zaczyna w prasie zagranicznej zjawiać się coraz więcej sprawozdań, opartych na autentycznych źródłach bolszewickich, oświadczeniach naczelnych komisarzy ludowych i mowców na kongresach, oraz artykułach oficjalnych organów. Z paru z nich skorzystamy, by odtworzyć pewien całokształt szkolnictwa, a z niem i wychowania w Rosji obecnej.[1])

Dzisiejsi jej władcy zrozumieli dobrze, że kto ma młodzież, ten ma przyszłość. „Ludzie — pisał w r. 1923 Lenin — którzy dziś mają 50 lat, nie ujrzą nastania społeczeństwa komunistycznego. Ale młoda generacja, dzieci, które dziś mają 15 lat, będą obecne przy narodzeniu się tego społeczeństwa i przyczynią się do jego utworzenia". Aby przyspieszyć tę chwilę, założył Lenin związek młodzieży komunistycznej, *Komsomoł* i zajmował się nim gorąco, a zadanie jego streścił w przemówieniu do jego adeptów: „Moralność waszą macie oprzeć na walce klas... Ci, którzy są członkami *Komsomołu*, powinni poświęcić wszystkie swe trudy i wszystkie swe siły dla wspólnej sprawy" (*Revue de France* 1 X 1924, str. 613).

Na czele całej akcji wychowawczej w Rosji sowieckiej stoją dziś głównie dwie osoby: pani Lenin i Łunaczarskij. Ten ostatni jest komisarzem ludowym oświaty publicznej, p. Lenin zaś, przed-

[1]) Wiadomości wstępne podajemy głównie na podstawie artykułu: „La pédagogie des bolchevistes" przez Jules Renault, zamieszczonego w *La Revue Hebdomadaire* (Paris) z d. 25 X 1924 r.

tem Nadieżda Konstantinowna Krupskaja, podobno z pochodzenia żydówka, była od lat wielu współpracowniczką Lenina; już w r. 1901, kiedy tenże założył dziennik *Iskra,* była jego sekretarką i załatwiała całą korespondencję. Teorje pedagogiczne obojga tych pionierów wychowania zostały streszczone w referacie, przedłożonym przez Pawła Birukowa na pierwszym kongresie międzynarodowym studentów socjalistycznych i komunistycznych w Genewie, w grudniu 1919 r. Przypatrzmy się temu programowi i dalszym jego reformom.

Przedewszystkiem zrywa on zupełnie z przeszłością, jako pozostałością po rządach burżuazyjnych. Niema już władzy ani przymusu; dewizą jest obecnie: wolność dla wszystkich i na wszystko. Oczywiście na papierze tylko, gdyż zaraz potem pisze pani Lenin, że szkoła „nie może otrzymać całkowitej autonom mogłaby bowiem stać się niebezpieczną bramą dla propagandy burżuazyjnej i reakcyjnej". Innemi słowy, bolszewizm daje szkole zupełną wolność — ale tylko propagowania własnych idej, nikomu więcej. I aby się zabezpieczyć pod tym względem, poddaje szkołę potrójnej kontroli: komisarzy ludu, Rady oświaty publicznej i komitetu rodzicielskiego. Wspomniana Rada jest specjalną instytucją, złożoną w $^1/_3$ z delegatów organizacyj zawodowych i miejscowej władzy sowieckiej, w $^1/_3$ z nauczycieli i w $^1/_3$ z uczniów (!).

Jeśli chodzi o cel szkoły, zdania pani Lenin, lubiącej się bawić we frazesy, a trzeźwego i wyrażającego się ściślej Łunaczarskiego, różnią się nieco. Według tamtej szkoła „ma wyrabiać udzi, przygotowanych teoretycznie i praktycznie do wszelkiego rodzaju pracy, zarówno fizycznej jak umysłowej (!), zdolnych do rozumnego urządzenia życia społecznego, pełnego czynu pięknego i radosnego. Tacy ludzie są niezbędni dla społeczeństwa socjalistycznego, bez nich socjalizm nie może się zrealizować integralnie".

Nie wdając się wcale w krytykę tego niewykonalnego programu, wolimy bezpośrednio po nim przytoczyć słowa Łunaczarskiego, który, otrzymawszy oficjalną misję zorganizowania szkolnictwa bolszewickiego, oświadczył zaraz na wstępie bez ogródek: „Zanim będziemy pedagogami, zwolennikami tego czy innego ideału wychowania, jesteśmy rewolucjonistami, postawionymi przez robotników i wieśniaków na czele oswobodzonej Rosji". Zabezpieczenie owoców rewolucji i bolszewickiego stanu posiadania — oto jest właściwy cel nauczania i wychowania sowieckiego.

Toteż z programu szkolnego, jednakiego dla chłopców i dziewcząt, usunięto naukę religji, języków starożytnych, historję wojenną i śpiew pieśni patrjotycznych; język francuski zastąpiono niemieckim.

Charakterystyczną cechą, nadaną szkole bolszewickiej przez Łunaczarskiego, jest skierowanie jej głównie do wyrabiania fachowych robotników; strona intelektualna, a tem bardziej moralna, stoją na dalszym planie. Już w ogródkach dziecięcych każe on

wprawiać do pracy, która posuwa się kolejno na coraz wyższe stopnie w szkole elementarnej, średniej i wyższej, w której przychodzi już „specjalizacja“[1]).

W każdej szkole organizuje się młodzież w t. zw. „sowiety szkolne“, które cieszą się rozległemi przywilejami. One to układają i tłumaczą wewnętrzny regulamin szkolny, oraz czuwają nad jego wypełnieniem. Owszem, późniejszym dekretem przyznano im nawet udział w opracowywaniu nowych programów szkolnych; w komisji bowiem, stworzonej w tym celu, zasiadają nauczyciele danej szkoły, oficjaliści, a nawet służba domowa, rodzice i uczniowie. Uczniowie korzystają też z tej roli i gdzieniegdzie, jak donoszą pisma, robią, co im się podoba; wchodzą i wychodzą podczas lekcji według upodobania, niema żadnych kar, żadnych not, żadnych obowiązków. Każda klasa ma swój komitet, a kolega, najbardziej popularny, reprezentuje klasę wobec grona nauczycielskiego; jeśli jaki nauczyciel nie podoba się jej, usuwa się go, co przychodzi tem łatwiej, że uczniowie mają także wpływ na nominację profesorów. Jeżeli nauczyciel przyjdzie do klasy, a uczniowie odbywają właśnie posiedzenie komitetu, musi poczekać, póki nie skończą.

Szkoły są koedukacyjne, uczniowie więcej się bawią podczas godzin z koleżankami, niż zajmują lekcją. Poziom ich moralny scharakteryzowała już w kwietniu 1919 r. „Biała księga angielska“ w tych słowach: „Chłopcy i dziewczęta są złączeni razem i niema tam ani cienia moralności“.

Szczegóły powyższe, opowiadane przed wojną, wywołałyby pusty śmiech i przyjęte zostały jako żart; dziś stały się one rzeczywistością, którą trudno inaczej określić, jak umysłowy i moralny nihilizm doktrynerów, pracujących na zgubę młodego pokolenia.

Po tych kilku uwagach i ogólnem scharakteryzowaniu systemu szkolnictwa bolszewickiego przejdźmy teraz do przedstawienia jego stanu. Streszcza go dobrze M. Hénon w artykule „Instruction publique en Russie“, zamieszczonym w *Mercure de France* z d. 1 paźdz. 1924 r. (str. 122), na podstawie niewydanego memorjału, znajdującego się w Międzynarodowem Biurze Pracy. Oczywiście i to zestawienie nie będzie wiernem — bolszewicy starali się zapewne podać rzecz w najkorzystniejszem dla

[1]) Bezsilność „robotniczej“ republiki sowieckiej w zorganizowaniu pracy pokazuje bardzo dobrze Max Hoschiller w artykule: „Comment on travaille en Russie soviétique“, w *La Revue de Paris* z d. 15 XI 1924 r., str. 388—402. Na podstawie świeżych źródeł bolszewickich podaje on szczegółowo, że w największych fabrykach rosyjskich wydajność pracy robotnika spadła do $^1/_3$, a gdzieniegdzie do niżej $^1/_4$ przedwojennej miary; robotnik jest wogóle zdemoralizowany i, gdzie może, opuszcza samowolnie pracę, a za wymówkę służą mu zawsze „funkcje społeczne“.

siebie świetle — ale i ono wystarczy, by wykazać powolne bankructwo sowieckiego systemu szkolnego.

Program oświatowy bolszewików zakrojony był na wielką skalę. Dzieci w wieku przedszkolnym, szkolnym i dorośli, pragnący uzupełnić swe braki — wszyscy byli w nim objęci. Młodzież od 7 do 11 lat miała być kształcona w szkole elementarnej, a od 12 do 16 lat w szkole średniej, po której ukończeniu przechodziła na uniwersytet. Dostęp do uniwersytetów miał być wolny dla wszystkich i aby umożliwić go tym nawet, którzy nie ukończyli szkoły średniej i robotnikom, stworzono specjalne przygotowawcze fakultety robotnicze. Do kształcenia zawodowego służyć miały liczne szkoły techniczne i zawodowe, które byłyby utrzymywane przez syndykaty a subwencjonowane przez państwo. Dla celów czysto komunistycznych przewidziano osobne kursa i uniwersytety, z wykładami teoryj marksowskich. Uzupełnieniem tego programu studjów były zakłady przedszkolne dla dzieci poniżej 7 lat, domy dla dzieci, dla dorosłych zaś szkoły dla analfabetów i kursa propagandy politycznej.

Jednem słowem, plany były wielkie. A jak wyglądało wykonanie?

Do realizacji ich przystąpiono z ogromnym zapałem i w ciągu lat 1918—1920 otwarto liczne szkoły i uniwersytety. Była to jednak budowa na piasku. Brakło bowiem odpowiedniej liczby sił nauczycielskich, a przedewszystkiem pieniędzy; fabrykowała je wprawdzie maszyna drukarska, lecz taki stan rzeczy nie mógł potrwać długo i kiedy w r. 1921 przyszedł krach finansowy, rząd sowiecki ujrzał się zmuszony do wprowadzenia „nowej polityki ekonomicznej". Rezultatem jej było obcięcie budżetów różnych komisarjatów, a zwłaszcza komisarjatu oświecenia, który obecnie utrzymywać może tylko szkoły wyższe i fakultety robotnicze, podczas gdy szkoły elementarne i średnie, zakłady przedszkolne i domy dla dzieci spadły na barki odnośnych departamentów i gmin, szkoły zaś zawodowe są na koszcie tych przedsiębiorstw, przy których zostały założone. Kiedy w 1914 r. 6·6% ogólnego budżetu szło na potrzeby oświaty publicznej, to w r. 1921/22 przeznaczono 4·2%, w r. 1922/23 tylko 3·2%, a i to jedynie na papierze, w rzeczywistości wypłacono ledwie trzecią część przeznaczonej sumy.

Ta sytuacja finansowa musiała naturalnie odbić się na szkolnictwie; od r. 1921 poziom jego zaczyna się stale cofać. Przypatrzmy się temu szczegółowie.

Walka z analfabetyzmem stała na czele programu bolszewickiego. Wszak obliczano, że wśród ludności od 18—55 roku życia jest 18 miljonów, czyli 46·8% analfabetów. Stanowili oni $^1/_4$ mieszkańców miast a $^2/_3$ wsi; przeciętnie 27% mężczyzn i 62% kobiet nie umiało czytać ani pisać. Rząd sowietów rozdzielił pracę nad nimi na kilka lat i zapowiedział, że w r. 1927

nie będzie już żadnego analfabety pomiędzy obywatelami w wieku od 18—55 lat. Niedomagania finansowe przekreśliły jednak te piękne plany, liczba zapisanych do szkół analfabetów wynosi $^1/_4$ oznaczonej cyfry, a zmniejszająca się ilość szkół ilustruje najlepiej bankructwo całej akcji: w r. 1921 rząd utrzymywał 1.600 szkół dla analfabetów, w r. 1922 już tylko 500, a w 1923 r. 150.

Pracę oświatową wspierać miały bibljoteki po miastach, czytelnie po wsiach, domy ludowe, teatry itp. Lecz i tych instytucyj liczba spadła znacznie; statystyka bowiem, dokonana w 24 okręgach, wykazuje następujący ich stan:

| | w r. 1920 | w r. 1923 |
|---|---|---|
| bibljoteki . . . | 12.130 | 5.896 |
| czytelnie . . . | 7.466 | 1.405 |
| kluby . . . . | 1.790 | 1.671 |
| domy ludowe . | 2.152 | 1.051 |
| teatry . . . . | 2.294 | 607 |

W niemniej ciężkiem położeniu znajdują się zakłady wychowania przedszkolnego. W r. 1920 mieściło się w nich 207.848 dzieci, w r. 1922 już 86.000, a z początkiem r. 1923 zredukowano ich liczbę o przeszło 50%. Domy dla dzieci dawały 1 stycznia 1923 r. schronienie 600.000 dzieci[1]), podczas gdy samych zarejestrowanych oficjalnie dzieci pozbawionych opieki było 1,680.000; dodajmy, że w tych zakładach panuje ogromna śmiertelność.

Szkolnictwo elementarne znajduje się również w stanie powolnego upadku. W r. 1920/21 było okrągło 70.000 szkół elementarnych z 6,860.000 uczniów, w r. 1922/23 już 53.000 szkół i 4,400.000 uczniów; *Prawda* zaś z d. 10 czerwca 1924 r. pisała, że redukcja trwa w dalszym ciągu, w istniejących zaś szkołach nie przeprowadza się żadnych naprawek dla braku funduszów. Czasem włościanie chcą wystawić budynek, ale nie mogą dostać drzewa, kiedyindziej dom jest, ale niema opału. Na XIII kongresie partji komunistycznej jedna z mowczyń przedstawiła taką scenę: „Nauczycielka uczy w swoim pokoju, a ponieważ ten pokój jest również zimny, przeto, będąc obdartą, musi siedzieć na kuchence; dyktuje ona dzieciom, które piszą jej dyktat kredą na podłodze i na ścianach" (*Izwiestia* 30 V. 1924). Brak ubrania i butów jest także przeszkodą w posyłaniu dzieci do szkoły. W rezultacie, z pośród dzieci, które powinny były uczęszczać do szkoły elementarnej, chodziło w rzeczywistości w 1920 r. 75%, w r. 1922 tylko 44%, a w 1923 r. 38%.

Szkoły średnie ogólne idą śladami niższych. W r. 1921/22 było ich 3.194 z 341.378 uczniami, a 1 października 1922 r. liczba ta spadła do 2.173 szkół i 314.777 uczniów. W roku

[1]) Sprawozdanie jest tu niejasne, ponieważ zaraz poniżej mówi, że tylko 149.000 dzieci mieściło się w tych instytucjach.

szkolnym 1922/23 zmniejszono ilość szkół o 25% a uczniów o 15%, redukcja ta zaś postępuje w dalszym ciągu. Rozwijają się jedynie szkoły siedmioklasowe (rodzaj naszych szkół powszechnych); w 1922 było ich 203 z 45.927 uczniami, w r. 1923 cyfra ta wzrosła do 573 szkół i 212.073 uczniów.

Stan szkolnictwa średniego specjalnego jest zmienny, jak wykazuje załączona poniżej tablica:

| | r. 1921/22 | | r. 1922/23 | |
|---|---|---|---|---|
| | szkół | uczniów | szkół | uczniów |
| szkoły pedagogiczne . | 248 | 49.600 | 98 | 12.091 |
| „ rolnicze . . . | 60 | ? | 49 | 4.339 |
| „ handlowe . . | 29 | 5.319 | 29 | 5.649 |
| „ techniczne . . | 100 | 18.643 | 84 | 15.800 |
| „ muzyki i sztuki | 26 | 3.783 | 39 | 7.320 |

Szkoły zawodowe miały według pierwotnego założenia pozostawać pod kierownictwem syndykatów; wskutek braku pieniędzy pozbawiono je wszakże tego przywileju i stąd musiały podzielić los innych szkół. Kiedy w r. 1921 liczyły 1.160 kursów i 50.000 uczniów, to w r. 1923 cyfra ta spadła do 263 kursów i 13.286 uczniów.

Pomyślniejszem stosunkowo jest położenie szkół przemysłowych. 1 stycznia 1924 było ich 678 z 49.319 uczniami. Jednakże koła oficjalne uważają tę liczbę za niedostateczną, a przytem podnoszą inne niedomagania, jak brak pomieszczenia i laboratorjów, albo wadliwy program nauki. O jednej takiej szkole, w okręgu Woroneże, pisze *Messager du Travail* (nr. 4 z 1924 r.), że mieści się w izbie wilgotnej i nieopalanej; przez dziurę w suficie przedostaje się woda do środka, mury przesiąkły wilgocią, a wskutek tego przyrządy naukowe stały się niezdatnemi do użycia.

Pozostają wreszcie uniwersytety; sporo ich zostało zamkniętych, chociaż kraj cierpi na brak inteligencji, zwłaszcza lekarzy, pedagogów i agronomów. Liczba słuchaczy wynosiła 1 grudnia 1923 r. 175.750. Sądząc ze stosunków na zachodzie, mogłaby się ona wydawać wielką i świadczyć o wysokim poziomie kraju, lecz złudzenie to mija bezpośrednio po bliższem wglądnięciu w organizację tej gałęzi szkolnictwa. Rząd sowiecki robi wszystko, aby uprzystępnić studja uniwersyteckie robotnikom, zwłaszcza komunistom — i odpowiednio do tego określa liczbę i jakość nowo przyjmowanych. Ilość ich zmniejsza się z roku na rok, a jakość spada jeszcze prędzej z powodu doboru kandydatów. Tak np. na rok 1924 wyznaczono 13.500 miejsc wolnych, lecz z nich 8.000 zarezerwowano dla tych, którzy ukończyli fakultety robotnicze, 5.000 dla kandydatów organizacyj komunistycznych i syndykatów, a tylko 500 dla uczniów, którzy ukończyli szkoły średnie; w ten sposób zaledwie 2% tych, którzy mieli właściwie prawo wstępu do studjów uniwersyteckich, zostało na nie przyjętych.

Rząd sowiecki nie poprzestaje jednak nawet na tych ogra-

niczeniach, lecz dąży sytematycznie do wyeliminowania wszelkiego „elementu nieproletarjackiego". W tym celu specjalne komisje urządzają ciągłe przesiewania słuchaczy i usuwają jednych pod pretekstem braku zdolności, a drugich jako „niepożądanych" ze względów politycznych. Tak np. do dnia 9 czerwca 1924 r., w okręgu uniwersyteckim Moskwy (obejmującym Rosję centralną) poddano egzaminom 26.152 słuchaczy i wydalono z nich 7.014 (26·8%); w Piotrogrodzie wyegzaminowano podobnie z początkiem czerwca 1924 r. 20.000 słuchaczy i usunięto przeszło 3.000.

Fakultety robotnicze (rabfaki), utworzone przy różnych wyższych szkołach, w celu przygotowania do przyjęcia na uniwersytet osób, które nie ukończyły szkoły średniej, obejmują kurs dwuletni. Z końcem r. 1923 było ich 119 z 44.354 słuchaczami, z tych 62·5% robotników, a 26·3% wieśniaków. Procent komunistów, zapisanych na te kursa, wynosił 57·8% ogólnej liczby słuchaczy. I tu jednak zaznacza się spadek; w r. 1923 było 12.000 nowoprzyjętych, a w roku szkolnym 1924/25 ograniczono ich liczbę do 6.000.

Ściśle komunistyczne uniwersytety, przeznaczone dla wykładów teorji Marksa, są tylko dwa; 45% ich słuchaczy stanowią robotnicy.

Dla uzupełnienia całokształtu stosunków szkolnych w Rosji dzisiejszej dodajmy jeszcze nieco o warunkach życia słuchaczy szkół wyższych. Na XIII kongresie komunistycznym określono je jako „wprost straszne". Przeważna część akademików zarabia na życie, spełniając obowiązki stróżów, odźwiernych i robotników najemnych; wielu nocuje w poczekalniach, ogrodach lub na ulicy; „tysiące — jak mówił Bucharin — nie ma co jeść".

Nie wiele lepszym jest los uczących. Z pośród nauczycielstwa szkół niższych (i średnich), kto tylko może, rzuca swe zajęcie i szuka innego. Mieszkają bowiem często w domach zrujnowanych, nieopalanych i nawet lichej, nie wystarczającej do życia pensji nie wypłaca się im w całości i regularnie. „Żądamy od nauczycieli — wołano na wspomnianym kongresie, — aby robili propagandę antyreligijną, aby nauczali w duchu komunizmu, a tymczasem oni muszą myśleć o tem, by nie zginąć z głodu". Nauczyciel wiejski wynajmuje się latem do pracy w polu, poza tem utrzymuje się z rzemiosła, a jeśli go nie posiada, zmuszony jest do żebrania. Już w grudniu 1922 r. komisarz oświaty publicznej oświadczył w jednem z przemówień: „Wśród nauczycielstwa widzi się skrajną nędzę, przedwczesne zgony, masowe choroby, prostytucję z powodu biedy itd. Toteż nie trzeba się dziwić, że nauczyciele uciekają od nas, jak tylko mogą". Do dziś dnia stosunki te nie zmieniły się i dzięki temu młodzież rosyjska przechodzi coraz bardziej w ręce szumowin, które deprawują tylko jej duszę.

Położenie profesorów uniwersytetu jest lepsze, ale ich płace, warunki życia i pracy są również niezadawalające. „Pensje per-

sonelu nauczającego, wliczając w to profesorów uniwersytetu najlepiej kwalifikowanych, są niższe, niż płace wszystkich innych kategoryj pracowników" — pisała *Izwiestia* z d. 13 kwietnia 1924. Najwyższe wynagrodzenie dzisiejszego profesora uniwersytetu nie wynosi nawet 10% jego pensji przedwojennej i dochodzi, dzięki dodatkowym pracom, do 45 rubli miesięcznie, tj. mniej, niż otrzymuje odźwierny; asystenci zaś i laboranci muszą się zadowolić 15—20 rublami miesięcznie. Kwestja pomieszczenia jest niemniej trudna; niedawno temu 300 profesorów w Moskwie otrzymało wezwanie do opuszczenia swych mieszkań, dlatego, że należą do „elementu nie-robotniczego".

Tak przedstawia się obraz szkolnictwa rosyjskiego i osób w niem zaangażowanych, który, jako oficjalnie podany, zapewne jest lepszy jeszcze od faktycznego[1]). Co musi nastąpić, jeśli stan ten potrwa dłużej, nie trudno przewidzieć. Społeczeństwa europejskie łudziły się, że bolszewizm nie pociągnie dłużej nad dwa lub trzy lata, ale zawiodły się; Sowiety przetrwały dotąd, owszem ostatnie lata przyniosły im nawet szereg sukcesów. Tem gorzej jednak dla Rosji — bo wyjdzie zrujnowana, już nie materjalnie tylko, ale duchowo, jeśli trucizną dzisiejszego sposobu wychowania przeniknie duszę jej młodzieży.

[1]) Już sama okrągłość cyfr w przytoczonych powyżej statystykach wskazuje na ich nieścisłość, a chyba uzasadnionem jest przypuszczenie, że podając je, starali się bolszewicy przedstawić się w możliwie korzystnem dla siebie świetle.

*Ks. St. Podoleński.*

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono 2 stycznia 1925 r.

# Królewskie prawa Chrystusa.

Mówić o królewskich prawach Chrystusa — o prawach Jego królewskich nie do mieszkańców innego świata, ale do nas, obywateli tej ziemi — to znaczy wywołać z zapomnienia mało popularne pojęcie t e o k r a c j i. Pojęcie to, albo lepiej — wyraz ten w naszym współczesnym słowniku prawnym ukryto wstydliwie w kąciku ostatnim, skąd niekiedy tylko, wraz z wyrazami „klerykalizm", „inkwizycja", „reakcja" itp., wyciąga go jakiś publicysta lub mowca wiecowy dla straszenia nim dużych dzieci. Ale to właśnie skłania nas do przedstawienia owego pojęcia we właściwem świetle, tembardziej, że w dobrze zrozumianej teokracji — albo, jeśli wolicie, w chrystokracji — w uznaniu królewskiej godności naszego Zbawiciela i wynikających z niej praw Chrystusa a naszych obowiązków, znajduje się właściwe lekarstwo na najgłębsze niedomagania i choroby naszego publicznego życia.

Chrystusa, gdy wystąpił na widowni galilejskiej, powitano w kołach oddanych mu uczniów jako króla. Królewską bowiem godność, obok kapłaństwa i urzędu proroczego, łączono wówczas ściśle z pojęciem oczekiwanego Messjasza, którego uznano w cichym Mistrzu z Nazaretu. Messjasz przecie to to samo, co Pomazaniec Pański, a tem imieniem oznaczano przedewszystkiem królów Judy i Izraela. W obiecanym i oczekiwanym Messjaszu, Pomazańcu *kat exochén,* widziano też króla, który będąc potomkiem Dawida, rozciągłością, wspaniałością i doskonałością swych rządów prze-

wyższy i zaćmi wspaniałość i potęgę wszystkich tronów ziemi. Zgodnie z temi zapowiedziami, także zwiastowanie anielskie, udzielone pokornej Galilejskiej Dziewicy, głosi o królewskiej godności mającego się narodzić z Niej Dziecięcia, które posiądzie „tron Dawida ojca swego... a królowaniu Jego nie będzie końca" (Łuk. 1, 32—33). Słusznie więc ci, co przekonali się, iż Jezus jest tym, „który miał przyjść", uznali w Nim także króla, pokłonili się Jego królewskiemu majestatowi, sprawili Mu nawet — według najlepszego swego rozumienia i możności — owacyjny królewski wjazd do stolicy.

Czy jednak Chrystus sam nie zdezawuował — jak się to teraz mówi — wyznania i uznania swych uczniów, czy nie odtrącił przyznawanej Mu godności królewskiej z jej prerogatywami? Wszak w owem „kuszeniu na pustyni" miał roztoczone przed sobą wszystkie królestwa ziemi, a wzgardził niemi, odpychając z oburzeniem pokusę. Wszak do króla należy sąd, a On odpowiedział komuś: „Człowiecze, któż mnie postawił sędzią albo rozjemcą nad wami?" (Łuk. 12, 14). Wszak po cudownem nakarmieniu rzeszy, chciano Go „porwać i okrzyknąć królem", a On uchylił się od tego hołdu, kryjąc się na górę. (Jan 6, 15). Czyż wreszcie nie On rozróżnił między tem, co jest Bożego, a tem, co cesarskiego, jakby uznając autonomiczność cesarskich uprawnień i niezależność ich nawet od Boga?

Oto wątpliwości, jakie mogą się nasuwać, kiedy jest mowa o królewskich prawach Chrystusa. Są to wątpliwości wszakże, które nikną przy głębszem wejrzeniu w ewangelję. Chrystus „dezawuował" swoich hołdowników nie dlatego, że Go wynosili zbyt wysoko, ale że Jego królewską godność pojmowali jeszcze zbyt poziomo. Wychowani w nacjonalistycznej atmosferze żydostwa, poddanego obcemu jarzmu, chcieli w Jezusie widzieć przedewszystkiem politycznego wybawcę. Chcieli Go posadzić na niziutkim tronie małego swego kraiku, by rozsądzał marne spory o miedze między synami Izraela, jak niegdyś sędziowie i królowie ich, siedzący pod dębem i przyjmujący wszystkich z ich małemi sprawami i kłopotami. I tytułu do takiego „wyniesienia" Jezusa szukali w jego pochodzeniu od Dawida. — Jezusowi należało

się królestwo inne. Jego królestwo nie stawało w jednej linji z królestwami i republikami świata, jako jedno z nich; ono podnosiło się na zupełnie inny poziom, zjawiało się w zupełnie innej płaszczyźnie, osiągało zupełnie inną rozciągłość i treść swych uprawnień. Jezus wystąpił jako ten Król, do którego Jehowa zwracał się przez autora psalmu: „Żądaj odemnie, a dam ci narody jako dziedzictwo twoje, a krańce ziemi jako posiadłość twoją" (Ps. 2, 8). Odrzucając funkcje rozjemcy w sporze o majątek, Chrystus głosił się sędzią wszystkich ludzi i narodów, któremu Ojciec niebieski powierzył wszelki sąd (Por. Jan 5, 22); przed Nim też staną kiedyś wszyscy, by usłyszeć sąd o wartości całego swego życia i wyrok decydujący o całej ich wieczności (Por. Mat. 25, 31—46). I nie przyszedł, by wyzwalać jeden naród z politycznej zależności, lecz by ogłosić ludzkości całej takie prawo, któreby stosunki między narodami oparło na podstawie sprawiedliwości i miłości w zależności wszystkich od wspólnego Ojca w niebie. Obejmował więc Jezus królowanie nad światem wyższe, nie jako jeden z pretendentów do tronów ziemskich, nie jako współzawodnik Herodów czy Neronów nawet, lecz jako „Król królów i Pan panujących", i obejmował je nie tytułem swego królewskiego pochodzenia, lub woli obierającego Go królem ludu, lecz dzięki skojarzeniu w swojej osobie natury boskiej i ludzkiej, mocą tego zjednoczenia, dzięki któremu, nawet jako człowiek, stał się Głową całej ludzkości i piastunem wszystkich Bożych do niej praw. Nie może być mowy o autonomji człowieka w stosunku do Boga, który jest jego Stwórcą, zakonodawcą i celem ostatecznym, a zatem Królem najwyższym zarówno ludzkości, jak całego stworzenia. Lecz w takim razie nie może być mowy o autonomji człowieka i w stosunku do Chrystusa, w którym „cała pełność bóstwa zamieszkała cieleśnie". Uznanie powszechnego Jego królestwa — to bezpośrednia konkluzja z uznania jego Boskości i Wcielenia.

Dlatego Jezus sam na zapytanie rzymskiego urzędnika: „jesteś więc królem?" odpowiedział: „ty mówisz, że królem jestem". (Jan 18, 37). Dodał wprawdzie zaraz, że królestwo Jego nie jest z tego świata, że nie opiera się na mieczach żołnierzy i sług, że nie wchodzi w drogę władzom ustano-

wionym; mimo wszystko godność swoją królewską Chrystus potwierdził. Królestwo Jego „nie jest stąd", nie jest z ziemi, ale z tego nie wynika, by ziemia nie była Mu poddaną. Przy uroczystej inwestyturze, w jaką wyposażał swoich apostołów, wysyłając ich na świat cały, oto jak określił swe królewskie prawa: „Dana mi jest wszystka władza na niebie i na ziemi" (Mat. 28, 18). Niema więc nigdzie żadnej takiej władzy — władzy godnej tego imienia, nie uzurpacji — któraby nie spoczywała w Chrystusie, jako w swoim pierwszym i najwyższym piastunie, i niema żadnego takiego zakątka ziemi, dokądby nie sięgały jego królewskie prawa. Co za wspaniały w tem stwierdzeniu Chrystusowem odpowiednik do proroctwa Daniela o Synu człowieczym: „I dał mu (Bóg) władzę i cześć i królowanie; i wszystkie narody, plemiona i języki ziemi służyć mu będą; a władza jego władza wieczna, której nikt nie odejmie, a królowanie jego zepsowanem nie będzie" (7, 13).

Nie stawiamy sobie tu za zadanie pogłębiania teologicznego dowodu królewskiej godności Chrystusa, ani tem mniej wznawiania scholastycznych dyskusyj nad sposobami, jakiemi spodobało się Chrystusowi wykonywać swoje królewskie prawa. Piszemy przedewszystkiem dla ludzi wierzących, dla których za cały dowód wystarczą aż nadto przytoczone słowa Jezusa. Chodzi nam tutaj o życiowe zastosowania prawdy, którą umysłem i usty tak często wyznajemy: Chrystus to Król nasz!

Jeżeli tak jest i jeżeli domeną Jego panowania są nie tylko serca poszczególnych wierzących, ale z i e m i a w całej jej rozciągłości, to stąd wynika, że niema dla niej innego ustroju publicznego życia, jak teokracja, jak c h r y s t o k r a c j a, t. j. rządy Chrystusa w świecie. Wynika stąd, że nie tylko królowie narodu wybranego w Starym Zakonie byli jedynie namiestnikami najwyższego i właściwego Króla swego ludu, Jehowy, ale że i teraz, jak „niema władzy, któraby nie pochodziła od Boga", tak niema władzy, któraby nie była podległa Chrystusowi, która nie byłaby obowiązana uważać siebie jedynie za mandatarjuszkę tego najwyższego Króla i Rządcy świata. Nie można w rozciągłości królewskich praw Chrystusa czynić nawet wyjątku na rzecz niewierzących.

Prawda, że niewiara czysto materjalna, pochodząca stąd, że ktoś nie przekonał się o boskości Chrystusa, może wymówić subjektywnie od winy tego, kto w Nim nie uznaje swego Króla, ale przez to nie ulegają objektywnie zawieszeniu królewskie prawa Chrystusa. Wiara ich nie tworzy, ona jest tylko pierwszem uznaniem rzeczywistości, niezależnej od wierzącego, jest pierwszym hołdem poddanego, oddanym Boskiemu Królowi. Mogą istnieć na ziemi różni uzurpatorzy władzy, wielu może szukać jej źródła gdzieindziej, niż w Chrystusie: we własnej sile, w woli ludu — w oczach chrześcijanina nie zmieni to wszystko faktu, że gdziekolwiek istnieje władza prawowita, nie istnieje ona jako coś niezależnego od Boga, ani niezależnego od Króla Chrystusa.

Świadomość królewskich praw Chrystusa tkwiła zawsze w społeczeństwie chrześcijańskiem i podkreślaną była w nauce Kościoła. Dopóki wszakże trwało prześladowanie chrześcijaństwa, trudno było wyciągać z niej konsekwencje dla ustosunkowania uorganizowanych państw niewierzących do Chrystusa. Wtedy też Kościół „kształtował Chrystusa" — jak wyraża się apostoł Paweł — w duszach poszczególnych wierzących. Lecz mnożąc coraz bardziej ich liczbę, przygotowywał tem samem pojawienie się chrześcijańskiego społeczeństwa i państwa. I rzeczywiście nadeszła chwila, kiedy pod królewskim sztandarem Chrystusa stanęli cesarze i *in hoc signo* poczęli zwyciężać. Pokłonili się Chrystusowi i uznali w Nim swego króla. Wieki średnie stoją też pod znakiem teokratycznego — chrystokratycznego pojmowania ustroju państwowego. W chrześcijaństwie widziano wtedy jedną *civitas Dei*, jedną *respublica christiana*, której właściwym Królem jest Chrystus, a książęta ziemscy jego zastępcami.

Epoka ta zaznacza się wszakże sporami między najwyższą władzą w Kościele, papiestwem, a panującymi chrześcijańskimi. O co chodziło? Nie tyle o uznawanie lub nieuznawanie królewskich praw Chrystusa, ile o rozgraniczenie dziedziny duchownej i świeckiej w zastępczem sprawowaniu tych praw przez papieża i książąt, albo też o drogę, jaką spływają na tych zastępców Chrystusowych pochodzące od Boskiego Króla uprawnienia.

Rozgraniczenie dwóch dziedzin było konieczne, ale nie łatwe. W świecie, który stał się chrześcijańskim, znalazły się wobec siebie oko w oko Kościół i państwo. Książę chrześcijański wchodził do Kościoła, jako pierwszy jego syn — chętnie mu udzielano zaszczytnego miejsca nieledwie wśród hierarchji świętej, widziano w nim obrońcę wiary, proszono o zewnętrzną prawną sankcję dla dogmatów i kanonów kościelnych. Tytułowano go, czy też tytułował się sam *episcopus ad extra,* a jeśli głęboko był jeszcze przejęty duchem prawa rzymskiego, to jakże łatwo mógł zapomnieć, że miejsce, dane mu w Kościele, jest tylko przywilejem, jak łatwo mógł przenieść na grunt ustroju społeczności chrześcijańskiej stare pojęcia o cesarzu, jako „kapłanie najwyższym", *pontifex maximus* w rzeczach religji. Rodził się tym sposobem cezaropapizm, który tyle złego sprawił w historji Kościoła. I wtedy uznawał cesarz królewską godność Chrystusa, a siebie uważał za pełnomocnika Chrystusowego; błądził tylko w tem, że rozszerzał nadmiernie zakres swych pełnomocnictw.

Z drugiej strony i hierarchja kościelna mogła ulec podobnej pokusie. W chrześcijańskiem społeczeństwie, kler i biskupi stawali się jakby pierwszymi obywatelami państwa. Jako szafarzy dóbr duchownych, chętnie odznaczano ich większem zaufaniem, rozciągano ich jurysdykcję na wiele spraw świeckich. Stali się powoli książętami w państwie. Jakże łatwo to, co było tylko nadaniem państwa, poczytać za konieczny atrybut duchownej godności! Zapewne Kościołowi jako takiemu, jako instytucji szafarstwa prawdy objawionej i łask nadprzyrodzonych, nie oddał Chrystus całej swojej władzy, w szczególności nie oddał mu owej władzy królewskiej, o ile rozciąga się do żądań ludzkich czysto ziemskich. Ale można było Kościół pojmować szerzej, jako ową rzeczpospolitę chrześcijańską, poddaną Chrystusowi, ze wszystkiemi jej funkcjami, zarówno duchownemi jak doczesnemi. W tak pojęty Kościół wchodziło także państwo ze swymi książętami, z cesarzem, jako część składowa w swoją całość. Lecz od takiego pojęcia Kościoła tylko krok do konkluzji, że wszelka władza, pochodząca od Chrystusa, a zatem i władza doczesna panujących, spływa na nich przez

ręce najwyższego pasterza Kościoła na ziemi, papieża. Zjawia się w pewnej epoce historji średniowiecznej — darujcie mi nazwę stworzoną dla symetrji z cezaropapizmem — zjawia się papocezaryzm, zjawia się teorja o dwóch mieczach, duchownym i doczesnym, złożonych w ręce apostoła Piotra, z których jednym jego następcy papieże posługują się sami, podczas gdy drugi powierzają książętom świeckim. Namaszczenia i koronacje panujących, które miałyby i mają swoje religijne znaczenie i bez tej teorji, stają się jej symbolami. Czysto historyczne fakty dobrowolnego hołdu królestw i książąt, składanego Stolicy i Grobowi św. Piotra, umacniają teorję *de directa potestáte temporali* papieży nad książętami i cesarzami.

Jeżeli wzmiankowana teorja rozciągała nadmiernie władzę papieską, to zabiegający o względy książąt legiści usiłowali nadmiernie ją ograniczyć i osłabić. I oni to tworzą teorję, że bezpośrednim piastunem — subjektem, jak się szkoła wyraża — wszystkich władz, pochodzących od Chrystusa, jest samo społeczeństwo wierzące, sam lud, a zatem, że także papieże otrzymują ją za pośrednictwem tych, którzy władzę ludu skupiają w swych rękach, t. j. cesarzy.

Oto przyczyny i perypetje sporu, który ze zmiennem szczęściem trwał wiele stuleci. Nie poddawano w nim, powtarzamy, w wątpliwość samych królewskich praw Chrystusa, nie wyrzekano się chrystokracji, walczono tylko o takie czy inne jej urzeczywistnienie w społeczności chrześcijańskiej.

Trzeba przyznać, że spory te w dużej mierze przyczyniły się do podkopania całego teokratycznego pojmowania chrześcijaństwa. Zanim nauka katolicka zdążyła wprowadzić w nie całą precyzyjność i jasność, siły wrogie burzyły już jej fundamenty. Reformacja zapoczątkowała, a Rewolucja dokonała zeświecczenia, emancypacji, jak im się zdawało, publicznego życia z pod władzy Kościoła. Reformacja samą religję wciągnęła do służby interesom doczesnym książąt, rewolucja wszelką religję uznała za niepotrzebną nawet w charakterze sługi. Tak wyzwalając życie publiczne państwa z pod wpływów Kościoła, tak „rozdzielając" Kościół od państwa, w gruncie rzeczy usiłowano wyzwolić się z pod królewskiej

władzy Chrystusa. *Nolumus hunc regnare super nos* — taki był ostateczny sens tej emancypacji. Teokracja została proskrybowana, jej miejsce zajęła „suwerenność" ludu. Władzę, pochodzącą od Boga, zamieniono na władzę stworzoną przez fikcyjny „kontrakt społeczny". Pod urokiem tej „zdobyczy" rewolucji żyją społeczeństwa „chrześcijańskie" dotąd. Królewską godność Chrystusa omawia się w teologji, ale stąd nie przedostaje się to omawianie do dyscyplin świeckich, np. do teorji prawa. Jedynym, o jakim wiemy, pisarzem nowszych czasów, który wyłamał się z tej solidarności milczenia, był Włodzimierz Sołowiew, który najpiękniejsze stronice swych głęboko pomyślanych pism poświęcił rozwijaniu idei teokracji, czyniąc wszakże nie zawsze szczęśliwe zastosowania jej. Za granicą ten nieco ekscentryczny i egzotyczny myśliciel pozostał prawie nieznany; we własnym kraju podziwiano go, szczycono się nim, ale na drogę, na którą sam wszedł i która prowadziła prosto do Rzymu, nie wielu wstąpiło z jego ziomków. Rosja poszła inną drogą, niż tą, na której ją chciał widzieć Sołowiew; poszła do końca drogą, wskazaną jej przez rewolucję francuską. Zasadę emancypacji z pod władzy królewskiej Chrystusa Rosja przeprowadziła do ostatnich konsekwencyj. Stworzyła bolszewizm. Bolszewizm to biegun przeciwległy teo- i chrystokracji. Narody zachodnie kroczą tą samą drogą, tylko nie mają odwagi przyspieszyć kroku, by rychło dojść do mety. A może pochód ich fatalny powstrzymuje mocna bądź, co bądź jeszcze tradycja katolicka i wierni poddani Chrystusa...

Na pytanie: czy nieuznawanie królewskich praw Chrystusa pozbawia Go tych praw, daliśmy już odpowiedź wyżej. Żadna apostazja ani bunt nie może zdetronizować Chrystusa ani nic zmienić w porządku rzeczy, ustanowionym przez najwyższego Prawodawcę ludzkości. Tu na miejscu byłoby inne pytanie: czy dobrze wychodzi ludzkość na tej swojej apostazji, na tem zapoznaniu Chrystusa, jako swego króla? Darujmy przykład Rosji; czy poza nią potrafi kto wskazać jakieś rzeczywiste dobro, osiągnięte dzięki wyemancypowaniu życia państwowego z pod berła Chrystusowego i polityki z pod Jego praw? Czy „suwerenność", jaką w lud wmó-

wiono, zapobiegła choć jednej niesprawiedliwej wojnie, czy rozwiązała sprzeczności społeczne, czy nie miota się sama między dwiema krańcowościami: anarchji i despocji? A nauka teoretyczna czy zdołała, poza Bogiem i Chrystusem, uzasadnić państwo i władzę, prawo i obowiązek? Czy razem z bezbożną kosmogonją, ateistyczną metafizyką, niezależną etyką nie szamoce się w bezsilności wyjaśnienia czegokolwiek i uzasadnienia czegokolwiek?

Właśnie doświadczenia paru ostatnich stuleci winnyby natchnąć myślące umysły do powrotu do dawnych chrześcijańskich dogmatów i założeń. W szczególności w teorji państwa i prawa — do powrotu do zapomnianej idei teo- i chrystokracji. Oczywiście, nie kierujemy tego żądania pod adresem myślicieli i pisarzy niewierzących: ci skazani będą na kłanianie się bożkom, wytworzonym przez zbuntowany rozum ludzki. Zwracamy się do filozofów i teoretyków prawa, którzy noszą imię chrześcijan i wiarę w boskość Chrystusa wyznają: ci niech otrząsną się z narzuconych im przez zrewolucjonizowany ateizm kanonów myślenia. Tylko uznanie prawa Bożego i królewskich praw Chrystusa da ich myślowym konstrukcjom jedność, konsekwencję i siłę.

Wznowienie w prawie idei teokracji nie grozi wcale wznowieniem dawnych sporów i walk między tronem a ołtarzem, państwem a Kościołem. Przynajmniej niczego nie należy pod tym względem obawiać się ze strony Kościoła. Niema i nie może już być mowy o tem, aby papieże rościli sobie pretensje do jakiejś supremacji nad państwem w rzeczach doczesnych. Nie potrzeba nawet, by uchylić podobne niebezpieczeństwo, przekreślać sławetnej bulli Bonifacego VIII *Unam sanctam*, która w swej dogmatycznej części głosi, że wszelkie stworzenie ludzkie — nie wyjmując panujących — podlega władzy papieskiej. Prawdą to pozostanie w tem znaczeniu, w jakiem wypowiedzianem zostało, w znaczeniu aktualnej czy potencjalnej władzy duchowej nad odkupionem przez Chrystusa człowieczeństwem. Co się zaś tyczy władzy świeckiej, to jakże już jesteśmy dalecy od cienia wszelkiego „papocezaryzmu!" Zwłaszcza od pamiętnej encykliki Leona XIII *Immortale Dei* o chrześcijańskim ustroju państw, katolikom

nie wolno wątpić, że „Bóg pieczę nad rodem ludzkim między dwie podzielił zwierzchności: kościelną i świecką, jedną nad doczesnemi, drugą nad duchownemi sprawami ludzkości. Jedna i druga jest w swym rodzaju najwyższą, jedna i druga ma pewne i oznaczone granice z natury swej i właściwego zadania pochodzące, skąd zakreślają się jakoby sfery, w których działalność i prawa każdej z nich się zawierają".[1]) Watykan przeto ani nie będzie domagał się oddawania państw w darze św. Piotrowi, by je potem zwracać jako lenno, ani wtrącać się będzie do spraw czysto świeckich, nad któremi żadnej jurysdykcji nie posiada. Przy uznaniu obu władz, jako pochodzących od Boga a zależnych od Chrystusa, nie będzie już więcej powodów do sporów o inwestyturę: sposób przekazywania władzy duchownej w hierarchji kościelnej został już ostatecznie określony. Co się zaś tyczy pochodzenia władzy państwowej, dyskusja teoretyczna, jaka jeszcze istnieje w szkołach katolickich, nie jest zależna od głównej zasady o królewskich prawach Chrystusa: jedni z teologów wywiodą ją bezpośrednio od Boga i Chrystusa, drudzy zgodzą się, że udziela się ona najpierw ogółowi ludu, by przezeń być przelaną na takich czy innych jego wybrańców lub przedstawicieli. Dla teokracji obojętną jest forma rządów państwowych: monarchja czy republika zarówno znajdą w niej swoją religijną sankcję i oporę. Formy te stwarza historja, kierowana ręką Opatrzności.

Czego więc wymaga uznanie praw królewskich Chrystusa? — Nie wszechwładztwa kleru w polityce, nie zamiany ustroju parlamentarnego na despotyczny, nie usunięcia ludu od decydowania o swoich losach. Wymaga uświadomienia sobie, że wszelka suwerenność ziemska, bez względu czy spoczywa w ukoronowanej i namaszczonej głowie, czy w wielogłowym tłumie, jest względna, bo poddana wyższemu prawu i wyższemu Suwerenowi. Prawem tem jest naturalne odwieczne prawo Boże, Suwerenem — Jezus Chrystus z zasadami ogłoszonemi w swojej Ewangelji. Temi zasadami przepoić politykę, całe publiczne życie, i to przez wzgląd

[1]) Przekład polski encykliki, Kraków 1886, str. 13.

na posłuszeństwo Królowi-Chrystusowi — oto zadanie chrześcijańskiego państwa.

Zasady Ewangelji już wiele zdziałały w zakresie stosunków między ludźmi i narodami. Kto, naprzykład, ośmieli się odnieść zniesienie niewolnictwa do innego ostatecznego źródła, jak do Ewangelji, która ogłosiła równość ludzi wobec Boga? Zasady Ewangelji niekiedy bywały wcielane w życie nawet przez ludzi, którzy nie wiedzieli komu je zawdzięczali. Stosuje się to przedewszystkiem do wielu zdobyczy socjalnych, osiągniętych przez usiłowania, podejmowane bynajmniej nie w imię Chrystusa. Nasza Liga narodów bezsprzecznie usiłuje zrealizować niejedną myśl Chrystusową w stosunkach między narodami, choć tak skrzętnie unika przyzwania imienia Jezusowego. W historji ludzkości powtarza się historja owych dwóch ewangelicznych synów, z których jeden powiedział ojcu: pójdę i zrobię, lecz nie poszedł i nie zrobił, co mu było zleconem, drugi zaś powiedział: nie pójdę, poszedł wszakże i wykonał wolę ojca. Oddajmy uznanie każdemu czynowi dobremu, choćby dokonanemu przez krnąbrnego syna; ale pamiętajmy i mówmy to innym, że dużo lepiej czynić dobrze w duchu uznania istotnego źródła wszelkiego dobra i w duchu posłuszeństwa właściwemu Prawodawcy i Królowi.

Zasady ewangeliczne należy dalej wcielać w życie publiczne. Są niemi wielka godność duszy ludzkiej, posiadającej swoje odrębne indywidualne cele, które uszanować powinna nawet zbiorowość, — wypływająca stąd równość ludzi wobec Boga i wieczności, — podporządkowanie wszystkich doczesnych i materjalnych spraw pod zadanie moralnego doskonalenia jednostek i grup ludzkich. Kierowanie się temi zasadami w politycznem życiu — a kierowanie się niemi ze względu na Chrystusa — oto uznanie w praktyce królewskich praw Jezusowych. *Salus reipublicae suprema lex esto* — ten aksjomat, przeniesiony z prawa rzymskiego na ściany polskiego sejmu, miał pierwotnie i może mieć dzisiaj bardzo pogańskie znaczenie, jako wyraz właśnie wyemancypowanego z pod władzy Chrystusa państwa lub egoizmu narodowego. W tem znaczeniu zwalczany był ten napis w jednym z artykułów naszego pisma. Znaczenie chrześcijańskie otrzymuje on

jednak wtedy, kiedy nad nim wisi krucyfiks, oczywiście o ile wisi tam nie jako ustępstwo dla kogoś i forma zewnętrzna tylko, ale jako wyraz głębokiej wiary i poddańczego hołdu przedstawicieli naszej suwerenności narodowej dla Chrystusa-Króla. Najwyższem prawem dla prawodawców pozostanie dobro rzeczypospolitej, ale za prawdziwe dobro rzeczypospolitej tylko to będzie uważane, co jest zgodne z prawem Chrystusowem, co w ziemskiej ojczyźnie przyczynia się do urzeczywistnienia i utrwalania Królestwa Chrystusowego.

Oto myśli, które pragnęliśmy wypowiedzieć na temat uchrześcijanienia naszej polityki. Mówiliśmy, jaką rolę mogliby tu odegrać katoliccy teoretycy i filozofowie prawa. Kilka podobnych słów możnaby skierować także pod adresem katolickich wychowawców w szkole i kościele. Zanim nowy, może nasz polski Konstantyn, mniejsza o to czy w jednej osobie czy zbiorowy, wzniesie na nowo *labarum* Chrystusowe, jako sztandar państwowy, trzeba wszczepiać prawdę o królestwie Chrystusowem w umysły i serca poszczególnych obywateli. Przeciwko bezbożnej emancypacji, pod której znakiem stoi jeszcze urzędowo nowoczesna szkoła, nowoczesna literatura, nie mówiąc o sztuce i nauce, musimy reagować silnie, wdrażając w umysły młodociane przedewszystkiem tę prawdę, że Chrystus jest królem naszym: w życiu, w instytucjach, w polityce. Zanim naród ze swoim naczelnikiem wzniesie kiedyś specjalną świątynię czy posąg Chrystusowi, jako Królowi swemu, niechaj Kościół ustawicznie przypomina wiernym królewskie prawa Chrystusa. Przydałoby się w tym celu nawet osobne święto, poświęcone uczczeniu królewskiej godności Zbawiciela, obok święta Królowej korony polskiej, obok uroczystości nawet Serca Jezusowego. Ta ostatnia uroczystość wskazuje nam na źródło, skąd wypłynęło wszystko, co Bóg-Człowiek dla nas uczynił, na miłość Jego ku rodzajowi ludzkiemu; święto królestwa Chrystusowego prowadziłoby nas do oddania naszemu Zbawcy największego, jaki należy Mu się od ludzi hołdu, jako Królowi nieba i ziemi.

*Ks. J. Urban.*

# Z niedoli polskiego dziecka.

Kiedy niespełna dwa lata temu marszałek Foch odwiedził nasz kraj, przedmiotem jego zachwytu były głównie te falangi dzieci polskich, które wypełniały szpalery powitalne Żadna inna osobliwość nie budziła takiego podziwu. „To największe bogactwo Polski — mówił marszałek — gdyby to Francja mogła pod tym względem wam dorównać..." Syn kraju, stojącego przed groźbą depopulacji, a z nią utraty swego dotychczasowego stanowiska w świecie, umiał ocenić ten skarb narodowy.

Ogół społeczeństwa polskiego nie doszedł jeszcze do tego poznania. O braku dzieci nikt u nas nie mówi, a kilkadziesiąt tysięcy bezrobotnych i emigracja za kawałkiem chleba zagranicę, mogłyby nawet nasunąć mniemanie, że cierpimy na hiperprodukcję materjału ludzkiego, pomimo tego, że na 1 kilometr kwadr. przypada w Polsce tylko 70 mieszkańców, podczas gdy na tymsamym obszarze Niemcy mieszczą ponad 120, a Belgja przeszło 240 mieszkańców. Toteż choć od lat kilku nawoływano do większego zajęcia się dzieckiem, wezwanie to nie znajdowało głośniejszego echa.

Dopiero od niedawna zaczyna się u nas budzić świadomość, że zaniedbaliśmy jeden z najważniejszych obowiązków. Poczynamy zdawać sobie sprawę, że od siły zaludnienia zawisła potęga państwa na terenie politycznym, militarnym, społecznym i ekonomicznym. I pod wpływem tego uświadomienia zaczyna prawodawstwo i rząd wkraczać z rosnącą energją w dziedzinę opieki nad dzieckiem, a głosy wybitniejszych jednostek i instytucyj usiłują zbudzić z uśpienia szerokie sfery społeczeństwa.

Opieka ta musi jednak objąć różnorodne dziedziny — chodzi bowiem nie tylko o ilość dzieci ale i o jakość. Coraz więcej mówi się więc o wychowaniu fizycznem młodzieży, obmyśla i udoskonala jego sposoby. Niehigjeniczne pomieszczenie wielu zakładów szkolnych zwraca uwagę odpowiednich czynników. Szpitalnictwo dziecięce, sanatorja, ochrony, zakłady dla ułomnych, instytucje opiekuńcze, zwłaszcza dla sierot i dzieci potrzebujących opieki, wszystkie te i pokrewne problemy wysuwa się coraz częściej na porządek dzienny. Pod tym względem idziemy stanowczo naprzód.

A czas już najwyższy po temu, bo sytuacja jest nie wesoła i trudna do opanowania.

Wojna ciężkiem brzemieniem zaciążyła nad Polską. Kraj nasz stał się terenem przemarszu dla wojsk wszelkiej narodowości, w chwilach zaś przerwy był przedmiotem ucisku i wyzysku ze strony okupantów, którzy zabierali i wywozili, co mogli. Pamiętamy dobrze te czasy i związane z niemi cierpienia. Odbiły się one smutnie na dorosłych, a bardziej jeszcze na młodem pokoleniu. Nie mając z czego czerpać sił żywotnych, przychodziło na świat słabe, a niedostatecznie odżywiane w następnych latach podupadało coraz bardziej.

Śmiertelność w Polsce była też i jest ogromna. Ilu ludzi umarło w kraju, nie wiemy dla braku danych statystycznych, poprzestaniemy zatem na przytoczeniu cyfry zgonów w b. dzielnicy pruskiej, dla nas tem więcej pouczającej, że wykazuje, iż nawet w tej części kraju, pod względem gospodarczym i sanitarnym najwyżej stojącej, śmiertelność jest jednak większa, niż zagranicą. W roku 1921 przypadało bowiem na 1.000 mieszkańców:

| | | |
|---|---|---|
| w województwie poznańskiem | 18·3 | zgonów |
| „ pomorskiem | 18·6 | „ |
| we Francji | 17·7 | „ |
| w Niemczech | 14·8 | „ |
| w Belgji | 13·8 | „ |

A zatem na każde 1.000 mieszkańców straciliśmy w tym roku prawie o 4 ludzi więcej niż Niemcy, co zastanawia dlatego, że i one ucierpiały wiele podczas wojny, a nędza wśród ich dzieci była ogromna.

Wysoki ten procent śmiertelności w naszym kraju uderza jeszcze więcej, jeśli porównamy liczbę zgonów w miastach u nas, a zagranicą. W roku 1922 przypadało bowiem na 1.000 mieszkańców: [1])

| w mieście | zgonów | w mieście | zgonów |
|---|---|---|---|
| Warszawa | 15·2 | Wiedeń | 15·3 |
| Łódź | 16·9 | Berlin | 12·4 |
| Bydgoszcz | 19·9 | Londyn | 12·4 |
| Sosnowiec | 21·6 | New York | 11·2 |
| Poznań | 23·3 | Sztokholm | 11·1 |
| Praga | 14·9 | Antwerpja | 9·6 |

Są to więc cyfry wprost tragiczne; olbrzymie, miljonowe miasta, jak Londyn i New York, mają śmiertelność prawie o połowę mniejszą, niż niektóre z naszych miast.

Dziecko polskie musiało oczywiście podzielić wspólny los. Na ogólną liczbę 53.682 zgonów, jakie zaszły w r. 1921 w województwach poznańskiem i pomorskiem, przeszło 24.749, czyli 46% przypadło na dzieci, od niemowląt do lat 14-tu. Umarło mianowicie dzieci w wieku: [2])

| | |
|---|---|
| od 0—11 mies. | 16.747 |
| „ 1—4 lat | 4.797 |
| „ 5—9 „ | 1.839 |
| „ 10—14 „ | 1.366 |

Cyfry te ogólne nie dają naturalnie pojęcia o stopniu śmiertelności wśród naszych dzieci. Ocenić go potrafimy dopiero przez porównanie śmiertelności w naszym kraju z poziomem jej zagranicą, według zestawienia, ogłoszonego w roku ubiegłym przez p. Roberta Woodbury, dyrektora Departamentu Statystycznego „Biura dzieci" w Waszyngtonie. Otóż podczas gdy w Polsce w r. 1921 na 1.000 urodzin przypadło około 176 zgonów dzieci do 1-go roku życia [3]), to na tę samą liczbę urodzin przypadało według obliczeń amerykańskich: [4])

---

[1]) *Miesięcznik Statystyczny* t. V, zesz. 7, str. 383*.

[2]) *Rocznik Statystyki Rzpltej Polskiej*, rok II, str. 21, 22.

[3]) W b. dzielnicy pruskiej; dla całej Polski podają lekarze cyfrę koło 180 zgonów.

[4]) *Opieka nad dzieckiem*, Warszawa, r. 1924, nr. 2, str. 94.

| w kraju | zgonów niemowląt |
|---|---|
| Austrja (r. 1920) | 155 |
| Belgja (1919) | 103 |
| Danja (1921) | 73 |
| Anglja i Walja (1922) | 77 |
| Francja (1919) | 119 |
| Niemcy (1921) | 133 |
| Norwegja (1919) | 62 |
| Hiszpanja (1919) | 156 |
| Szwajcarja (1920) | 84 |

Tablica ta jest dla nas z paru względów pouczającą. Przedewszystkiem pokazuje, że śmiertelność w Polsce jest dwa razy wyższa niż w Szwajcarji, Anglji i Danji, a blisko trzy razy większa niż w Norwegji. Powtóre wskazuje nam ona niedwuznacznie, że przyczyną tego smutnego stanu jest głównie niższy poziom kultury i hygjeny społecznej, oraz brak zorganizowanej opieki nad dzieckiem. Widzimy bowiem, że Hiszpanja posiada znaczny stopień śmiertelności, choć wojna nie dotknęła jej wcale, podczas gdy w znękanych nią Niemczech i Belgji stopa śmiertelności jest o wiele niższa, dzięki racjonalnej opiece nad dzieckiem.

„Od ogólnego stanu zamożności i kultury danej okolicy" — pisze dr. J. Kramsztyk[1]) — zależy bowiem przedewszystkiem stan zdrowotny jej ludności; i jako dowód przytacza, że „według danych statystycznych okazało się, że w okresie od 1—5-go roku życia na gruźlicę, choroby zakaźne i wogóle cierpienia płucne, prawie 10 razy więcej dzieci zmarło śród klasy ludzi biednych, aniżeli zamożnych i bogatych. Na 10.000 dzieci zmarło bogatych 28, zamożnych 92, a biednych 262 dzieci".

Dla ilustracji, do jakiego stopnia dochodzi niekiedy śmiertelność wśród naszej klasy robotniczej, przytoczę parę przykładów, znanych mi z krakowskiego szpitala dla dzieci: emerytowany kolejarz G. — dzieci 9, z tego 4 zmarło a piąte idjota; robotnik fabryczny B., nałogowy alkoholik — dzieci 9, z tego 5 zmarło, szóste dogorywało; górnik S. — dzieci 15, z nich 9 zmarło; robotnik H. — dzieci 9, z tego 8 zmarło w pierwszym roku życia; robotnik K., zginął podczas wojny —

[1]) *Opieka nad dzieckiem*, r. 1924, nr. 2, str. 71—2.

dzieci 14, z nich żyje tylko najstarszy chłopiec, reszta umarła.

Są to fakta naprawdę bolesne dla serca Polaka, które jednak nie mogą zdziwić nikogo, kto wglądnie bliżej w warunki i sposób życia po suterynach kamienic i zapadłych chałupach wiejskich. Zmienić ten stan rzeczy, przez podniesienie ogólnego poziomu kultury i stosunków sanitarnych w kraju, będzie dziełem długich jeszcze lat, ale zato tem energiczniej trzeba nam zabrać się do pracy, do walki z nędzą i ciemnotą, a zwłaszcza do rozwinięcia troskliwej opieki nad dzieckiem.

* * *

Jeśli jednak opieka nad dzieckiem ma prowadzić skutecznie do celu, musi się zająć niem przedewszystkiem w tym okresie, który głównie decyduje o jego życiu i zdrowiu, t. j. w okresie niemowlęctwa, owszem rozciągnąć się musi na matkę ciężarną i karmiącą, jako jeden z doniosłych w powyższej sprawie czynników.

Przecież według obliczeń lekarzy, w niektórych okolicach Polski przeciętnie na 150 porodów umiera jedna matka, $^2/_5$ nowonarodzonych dzieci umiera w pierwszych 6-ciu tygodniach życia, a wśród dzieci nieślubnych śmiertelność ta dochodzi do 60% a nawet 80%. I w innych krajach było dawniej podobnie, lecz dzięki rozumnej i energicznej akcji w obronie życia dziecka osiągnięto wprost niebywałe rezultaty. Departament Pracy w Stanach Zjednoczonych stwierdził w r. 1919 wybitne, bo 60% obniżenie śmiertelności wśród noworodków i zmniejszenie się o 44·5% ilości przedwczesnych porodów, a to dzięki opiece prowadzonej nad matkami ciężarnemi; również obliczono tam, że od r. 1907—1917 śmiertelność niemowląt z powodu zaburzeń trawienia zmniejszyła się z 4·4% do 1·9%, a wskutek chorób narządów oddechowych z 3% do 1·9%. Podobnie w Nowej Zelandji przypadało w latach 1872—4 na 1.000 urodzin 105·7 zgonów niemowląt, a dzięki systematycznej opiece nad dzieckiem liczbę tę zmniejszono w r. 1918 do 48·4 zgonów (poza ludnością tubylczą).

Parę tych przykładów jest dostatecznym dowodem, że

jeśli chcemy zmniejszyć śmiertelność i choroby wśród dzieci, a tem samem zredukować nasze straty w ludziach i ekonomiczne, musimy zwrócić główne wysiłki w kierunku zorganizowania w całym kraju racjonalnej opieki nad matką i niemowlęciem. I na chlubę naszą przyznać trzeba, że od tego też rozpoczęto.

Naturalnie rezultaty tej akcji są jeszcze szczupłe, lecz to nie może nikogo dziwić. Poza najlepiej jeszcze pod tym względem sytuowaną b. dzielnicą pruską, cała pozostała ogromna część kraju nie odziedziczyła po rządach zaborczych niczego prawie poza pewną ilością przytułków i żłóbków, instytucyj wprawdzie bardzo potrzebnych, ale które w żaden sposób nie odpowiadają dzisiejszym wymogom opieki nad matką i dzieckiem wogóle.

Całokształt tej opieki obejmuje bowiem wiele. Zasadniczym jej organem jest Stacja opieki nad niemowlęciem, o której poniżej szerzej powiemy, a w niej poradnia dla matek i kobiet ciężarnych, kuchnia mleczna i poradnia lekarska dla dzieci. Poza tem szeroka popularyzacja zasad pielęgnowania dziecka, dokonywana przez wizyty domowe fachowych pielęgniarek, odczyty i pogadanki, książki, broszury, pisma i obrazy; nadto lekarze, akuszerki, instytuty dla położnych, ambulatorja i szpitale dziecięce. Dla wykonania wreszcie powyższego programu niezbędne są kursa dla instruktorek i pielęgniarek, oraz instytucje naukowo-społeczne, któreby obok fachowej pomocy zajęły się również propagandą zasad higjeny wśród matek, ojców i dorastających dziewcząt.

Z pośród wymienionych powyżej środków działania wymaga bliższego objaśnienia Stacja opieki nad niemowlętami, ponieważ od jej sprawności zawisło powodzenie akcji. W niewielkim lokalu, złożonym z paru ubikacyj, mieści ona poczekalnię dla przychodzących matek z dziećmi, wagę i najkonieczniejsze przybory do badania niemowląt, pokóik dla oględzin lekarskich, podręczną apteczkę, kuchenkę, w której przygotowuje się mleko sterylizowane, niewielki skład bielizny i wszelakich artykułów, potrzebnych do pielęgnacji dzieci, oraz biuro, w którem zapisuje się przychodzących i prowadzi dokładną rejestrację dzieci i wy-

dawanych rzeczy. Wszystkie te czynności spełnia jedna pielęgniarka z pomocnicą (przy dużej Stacji może być więcej osób); wzorowa czystość, uprzejmość w obejściu i sprawność w działaniu powinna być ich cechą.

Tyle co do zewnętrznego urządzenia, a teraz najważniejsza rzecz — charakter Stacji i jej właściwe zadanie w dziele opieki nad niemowlęciem. Przedewszystkiem pamiętać należy, że racją jej bytu nie jest leczenie chorych dzieci, a tem mniej wspieranie niezamożnych przez wydawanie mleka i innych artykułów; celem jej jest p o u c z a n i e matki, co powinna robić, aby wydać na świat zdrowe dziecko i potem racjonalnie je pielęgnować, oraz c z y n n e d o p o m o ż e n i e jej w tem przez pielęgniarkę i lekarza. Jednem słowem: nie chore ale zdrowe dziecko winno być zasadniczo przedmiotem opieki, n i e l e c z e n i e l e c z z a p o b i e g a n i e c h o r o b i e, profilaktyka w najszerszem tego słowa znaczeniu, jest zadaniem Stacji opieki nad niemowlęciem.

Lekarz stacyjny zajmuje się matką, a przedewszystkiem bada co pewien czas niemowlę, by stwierdzić jego stan zdrowia i zawczasu zaradzić niebezpieczeństwu. Do chorób dziecka, któremi powinien się zająć, należy tylko gruźlica, syfilis, krzywica, niedokrwistość i wszelkie zaburzenia żołądkowo-kiszkowe; w innych cierpieniach ma on odsyłać dziecko do odpowiednich lecznic, chyba że przy samej Stacji znajduje się także ambulatorjum, w którem przyjmować może ten sam lekarz, lecz w innych godzinach.

Pielęgniarka stacyjna ogląda każde przyniesione dziecko i przygotowuje wszystko do zbadania go przez lekarza, zapisuje starannie jego uwagi i czuwa nad ich wykonaniem; do niej należy również wydawanie mleka i innych przedmiotów. Ona udziela matce w sposób praktyczny wskazówek, jak pielęgnować dziecko i zachęca ją, by co pewien czas (raz lub dwa na miesiąc, w potrzebie i częściej) zgłaszała się z dzieckiem do poradni. Owszem nie poprzestaje na tem, ale z obowiązku odwiedza zarejestrowaną na Stacji matkę przynajmniej raz na dwa miesiące, a w razie choroby częściej, by na miejscu zbadać warunki domowe i pouczyć w zakresie higjeny ciąży, porodu, karmienia i pielęgnowania

dziecka. W takiej opiece Stacji pozostaje dziecko zasadniczo do drugiego, a w praktyce niekiedy do trzeciego roku życia.

Ze względu na zdrowie niemowlęcia zachęcać ma Stacja matkę, aby sama karmiła swe dzieci i tylko w razie całkowitej lub częściowej niemożności spełnienia tego obowiązku, wydaje jej potrzebną ilość odpowiednio przygotowanego mleka. Zarówno mleko jak inne artykuły, potrzebne dla dziecka, jak mydło, puder, bieliznę, flaszki, lekarstwa, wydaje Stacja za zwrotem kosztów; opłaty te jednak, ze względu na dobro ogólne, są różne (4 kategorje) zależnie od stopnia zamożności matki, owszem w potrzebie udziela się nawet wszystkiego bezpłatnie.

Tak pojęta Stacja opieki nad niemowlęciem nie jest więc żadną instytucją miłosierdzia, rozdającą mleko i lekarstwa, ani urzędem do ważenia dzieci, ale prawdziwą szkołą wykształcenia higjenicznego dla matek i doraźnym organem opieki nad nią i dzieckiem. O zbawiennej więc jej roli nie można wątpić; wszędzie w naszym kraju, gdzie warunki jej działania były przynajmniej znośne, pojawiły się widoczne skutki dodatnie, śmiertelność niemowląt zmalała znacznie [1]) a zdrowotność wśród dzieci większych polepszyła się.

Aby Stacje te mogły rozwinąć zbawienną działalność w całym kraju, musiałyby naturalnie znajdować się w każdem miasteczku, większej przynajmniej wsi, a w dużych miastach powinnoby ich być więcej, by ułatwić matkom, zwłaszcza biedniejszym i pracującym, częste zgłaszanie się. Do realizacji tego programu daleko jednak jeszcze, a głównemi przyczynami powolnego rozszerzania się Stacyj jest brak wyszkolonego personalu pielęgniarskiego, niezrozumienie ważności rzeczy i trudności finansowe.

Pielęgniarek, fachowo wyszkolonych do takiej pracy, jest u nas jeszcze mało, a pomiędzy pracującemi niektóre posiadają wykształcenie niedostateczne. Szkół, któreby do-

[1]) Według sprawozdania za r. 1923 zmarło we wszystkich Stacjach z ogólnej liczby dzieci w pierwszym roku życia tylko 8·1%, podczas gdy śmiertelność niemowląt w kraju dochodzi do 16—17% *(Opieka nad dzieckiem*, r. 1924, nr. 5, str. 231).

starczyły pielęgniarek, odpowiadających nowoczesnym wymogom, posiadamy narazie tylko dwie, w Warszawie i Poznaniu. Szkoła warszawska, zorganizowana przy pomocy amerykańskiego Czerwonego Krzyża, została otwarta dopiero w r. 1921 (ul. Smolna nr. 6), przyjmuje kandydatki z ukończoną co najmniej 6-tą klasą gimnazjalną i obejmuje kurs dwuletni teoretyczny, oraz praktyczne ćwiczenia w szpitalu Czerwonego Krzyża i dziecięcym im. Karola i Marji.

Drugą wielką trudnością do przezwyciężenia jest brak zrozumienia i niedocenianie całej akcji opieki nad niemowlętami, tym razem niestety nie tylko ze strony ludzi prostych, ale i inteligentnych. Niektóre samorządy gminne (nawet większych miast!) tolerują je tylko, niekiedy nawet bojkotują, jak się to stało w pewnem mieście, którego magistrat usunął Stację opieki ze zajmowanego lokalu. Faktem jest, że dla trudności podobnych lub braku poparcia musiano w r. 1923 zwinąć 7 Stacyj w miejscowościach, których wolę nie wymienić, aby ich nie wystawić na kompromitację.

Największą wreszcie trudność, wynikłą głównie z poprzedniej, stanowią finanse. Utrzymanie Stacji na odpowiednim poziomie jest rzeczą dość kosztowną, ze względu na personal i zakupy potrzebnych materjałów. Właściwie ciężary te powinny ponieść w całości samorządy, leży to bowiem w ich interesie i zaoszczędzi im wydatków na szpitale i chorych; lecz zarówno nieunormowane jeszcze w tym względzie prawodawstwo, jak niedocenianie sprawy i niekiedy ubóstwo miejscowego społeczeństwa sprawiają, że o zrealizowaniu tego planu narazie niema mowy. Przeważną część kosztów ponosi dziś centralny Zarząd Stacyj, który w r. 1923 wyłożył na ten cel 28.000 dolarów, podczas gdy wszystkie subwencje samorządowe i prywatne, oraz opłaty korzystających ze Stacyj, dały razem 10.400 dolarów. „Gdybyśmy chcieli szukać drogi zbawienia w samorządach — mówił w marcu 1923 r. jeden z kierowników zarządu — to 85% Stacyj musielibyśmy zamknąć". Po dłuższych rokowaniach z kilkudziesięciu samorządami doprowadzono do tego, że w lipcu 1924 r. naczelny Zarząd Stacyj miał pokryć 80% pensyj pielęgniarek, a magistraty 20%. Sprawozdawca nazywa już ten rezultat „znacznym postępem" i trzeba być

przygotowanym, że na dalsze postępy będziemy może długo jeszcze czekali, jeśli ciała ustawodawcze nie zajmą się energiczniej tą sprawą i nie obmyślą stosownych źródeł utrzymania. Obecnie z pewną pomocą przychodzi rząd polski, trudne położenie finansowe nie pozwala mu jednak przyjąć na siebie większych ciężarów.

Omówiliśmy już główną organizację opieki nad matką i niemowlęciem, pozostaje nam jeszcze zapoznać się z naczelnem jej kierownictwem, które, rzecz zrozumiała, obejmować musi ludzi światłych i pełnych umiłowania dla podjętej sprawy, a przytem przedsiębiorczych i wytrwałych. Instytucją tą centralną, która obecnie kieruje całem tem dziełem, jest Wydział Higjeniczno-Lekarski „Polsko-Amerykańskiego Komitetu Pomocy Dzieciom“ (PAKPD), pracujący w ścisłem porozumieniu z Departamentem Opieki nad Młodzieżą w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej. [1])

Polsko-Amerykański Komitet Pomocy Dzieciom, o którego rozległej działalności pisaliśmy obszernie już dawniej, [2]) powstał w lipcu 1920 r. i przejął wszystkie agendy Państwowego Komitetu Pomocy Dzieciom, założonego z początkiem r. 1919 dla umiejętnego wykorzystania darów amerykańskich. Przez parę lat niósł on ratunek dzieciom (do lat kilkunastu) na całym obszarze Rzeczypospolitej, a kiedy z dniem 1 czerwca 1922 r. pomoc Stanów Zjednoczonych została zlikwidowana, postanowił pozostawionych mu przez uczynnych Amerykanów ogromnych funduszów [3]) użyć na zorganizo-

---

[1]) Dr. M. Gromski, wice-dyrektor PAKPD, pisze, że Wydział H. L. będzie spełniał funkcje kierownicze jeszcze przez kilka lat, w przyszłości zaś musi powstać specjalna instytucja centralna, któraby ześrodkowała w sobie całą akcję opieki nad dzieckiem i matką w kraju; instytucja ta, jego zdaniem, nie może być rządową, powinna mieć charakter organizacji społecznej, lecz działać w porozumieniu i pod kontrolą czynników rządowych (*Opieka nad dzieckiem* r. 1924, nr. 5, str. 235).

[2]) *Przegląd Powsz.* II 1923, str. 136.

[3]) Amerykański Czerwony Krzyż przekazał Wydziałowi H. L. PAKPD, na akcję otwartej opieki nad dzieckiem, różne zapasy, lekarstwa i urządzenia lekarskie, oraz sumę 275.000 dolarów.

wanie stałej opieki nad matką i niemowlęciem.[1]) Posiadając już gotowy znakomity aparat administracyjny w całym kraju i pewne podstawy finansowe, przystąpił do dzieła z pomocą rządu i w ścisłej łączności z Ministerstwem Pracy i Opieki Społecznej, którego obecny przedstawiciel, p. Bron. Krakowski, naczelnik X Departamentu Opieki nad Młodzieżą, bierze czynny udział w pracach i należy do redakcji organu Komitetu, dwumiesięcznika *Opieka nad dzieckiem.*[2])

Ostatni zjazd przedstawicieli Stacyj Opieki nad Niemowlętami w Polsce odbył się w Warszawie d. 30 i 31 marca 1924 r. i uchwalił następującą rezolucję:[3])

„Zjazd stwierdza nieodzowną potrzebę organizowania na terenie Państwa Polskiego instytucyj otwartej Opieki nad niemowlętami; Rząd Polski wszelkiemi środkami, przedewszystkiem pieniężnemi, winien poprzeć usiłowania Polsko-Amerykańskiego Komitetu Pomocy Dzieciom w zakresie rozwoju wykwalifikowanego pielęgniarstwa, Samorządy zaś powinny okazać jak najwydatniejszą pomoc Stacjom Opieki nad matką i dzieckiem".

Wniosek ten ujął w streszczeniu najbardziej naglące potrzeby, gdyż brak pieniędzy i poparcia ze strony samorządów jest główną przyczyną nikłej narazie ilości Stacyj Opieki nad Niemowlętami. Według sprawozdania bowiem z działalności Wydziału H. L. PAKPD za rok 1923, w dniu 31 grudnia 1923 r. istniało ogółem tylko 84 Stacyj, przez które w ciągu roku przeszło 45.841 dzieci;[4]) z początkiem czerwca r. 1924 ilość Stacyj wzrosła do 97. Jest to więc zaledwie drobna cząstka tego, co być powinno; dalszy postęp na tem polu zależeć będzie od wspomnianych powyżej czynników, a także od propagandy tej idei przez lekarzy, duchowieństwo i wogóle wszystkich, którym dobro narodu leży na sercu.

* * *

[1]) Oprócz tego objął PAKPD w marcu 1924 r. kierownictwo 7-miu burs w Warszawie i kilku schronisk i uzdrowisk dla młodzieży w kraju.

[2]) Redakcja jego i zarazem centralne biuro PAKPD mieści się w Warszawie, ul. Jasna nr. 11.

[3]) *Opieka nad dzieckiem* r. 1924, nr. 3—4, str. 163.

[4]) Tamże, nr. 5, str. 225.

Drugim terenem pracy, który również zawsze będzie aktualny, a dziś jest nim w szczególności — to opieka nad sierotami, półsierotami i wogóle dziećmi opuszczonemi[1]).

Ile mamy obecnie w Polsce sierot i półsierot, niewiadomo. Główny Urząd Statystyczny ogłosił dotychczas tylko liczbę ich w czterech województwach wschodnich. Zestawienie to zawiera wprawdzie tylko dane tymczasowe, ale jest już wcale dokładne; według niego mamy sierot i półsierot do lat 16-tu życia, ogółem[2]):

| | |
|---|---|
| w województwie Nowogródzkiem | 62.367 |
| „ Poleskiem | 71.073 |
| „ Wołyńskiem | 117.714 |
| w Okr. adm. Wileńskim | 33.324 |

A zatem ogółem olbrzymia cyfra 284.478 sierot i półsierot na 4,123.597 mieszkańców wymienionych obszarów. Z pośród nich przeszło 45.080 jest w wieku od 0—6 lat, a ponad 189.152 w wieku od 7—14 lat. Przypatrzmy się teraz, co z niemi zrobiono?

Ponieważ w powyższej liczbie 284.478 dzieci — samych sierot zupełnych, bez ojca i matki, jest ponad 21.670, a dzieci, nie mających matki, a więc z reguły potrzebujących również cudzej opieki, jest przeszło 55.995, a zatem co najmniej 50—60 tysięcy z tych dzieci trzebaby umieścić w zakładach, któreby im zapewniły wychowanie i wykształcenie. Tymczasem według powyższego sprawozdania w zakładach znalazło pomieszczenie 3.234 dzieci. Kto zajmuje się pozostałemi, nie wiadomo.

Już ten jeden przykład, oparty na urzędowych zestawieniach, daje pewien obraz niedoli polskiego dziecka. Prawda, że nie można z niego wysnuwać wniosków o całym kraju, ponieważ wspomniane województwa kresowe należą do tych, które mają największą liczbę sierot i znajdują się w najtrudniejszych warunkach. Niemniej możemy śmiało przypuszczać, że w całej Polsce posiadamy do miljona sie-

[1]) W ścisłem znaczeniu „sieroty" oznaczają dzieci, pozbawione zupełnie rodziców, a „półsierotami" nazywamy dzieci, nie mające albo ojca albo matki.

[2]) *Wiadomości Statystyczne* Główn. Urzęd u Stat. r. 1924, nr. 4, str. 6

rot i półsierot, z których — licząc na to, że przeważna część znajdzie miejsce u ojca albo matki lub krewnych — około 200.000 należałoby umieścić w zakładach opiekuńczych.

Tymczasem jak przedstawia się rzecz w tej chwili?

Dzięki uprzejmości Departamentu Opieki nad Młodzieżą w Min. Pr. i Op. Społ., otrzymaliśmy świeżo dane statystyczne w tej sprawie za rok 1923. Według nich posiadamy więc obecnie w kraju:

| | | | |
|---|---|---|---|
| zakładów opiekuńczych zamkniętych | 847 | dzieci | 43.109 |
| otwartych | 326 | „ | 40.603 |
| ogółem zakładów | 1.173 | dzieci | 83.712 |

Pomiędzy dziećmi, które mieściły się w zakładach zamkniętych, było w r. 1923 sierot wojennych 8.754, dzieci z repatrjacji 8.311.

Z pośród powyższych 1.173 zakładów: 20% jest samorządowych, 23% Zgromadzeń religijnych, 57% prywatnych i społecznych.

Poza tem istnieją jeszcze specjalne zakłady dla dzieci moralnie zaniedbanych i zakłady poprawcze, mianowicie:

| województwo | zakładów |
|---|---|
| Warszawskie i Warszawa | 5 |
| Pomorskie | 2 |
| Poznańskie | 4 |
| Lwowskie | 3 |
| Kieleckie | 2 |
| Tarnopolskie | 1 |
| Lubelskie | 1 |
| Łódzkie | 1 |
| Wileńskie | 1 |
| ogółem | 20 zakładów, |

a w nich koło 2.000 dzieci.

Cyfry powyższe są dowodem, że opieka nad dzieckiem mimo wszystkie trudności rośnie u nas stale. W porównaniu bowiem z danemi, ogłoszonemi na podstawie wywiadu w Ministerstwie P. i O. S., w *Kurjerze Warszawskim* z d. 13 czerwca 1924 r., ilość zakładów opiekuńczych wzrosła od tego czasu do końca roku 1924 o 75, a dzieci, z nich korzystających, o 28.096. Z tem wszystkiem musimy i obecną liczbę

zakładów uznać za stanowczo niewystarczającą, gdyż przynajmniej drugie tyle dzieci czeka na pomieszczenie.

Owszem, można spokojnie powiedzieć, że dzieci takich będzie znacznie więcej. Poza temi bowiem, które pozostały rzeczywiście bez niczyjej opieki, albo mają tylko matkę, a ta musi iść do pracy, jest sporo sierot, zupełnie niezaopatrzonych, których życie zawisło od pracy jednej lub dwojga z nich samych; znam dwa takie przykłady, w jednym 6, w drugim 7 dzieci pozostawało na utrzymaniu najstarszej siostry, oczywiście niedostatecznem. Gdzieindziej owdowiały ojciec musi iść do pracy, a dzieci zostają same i los ich bywa rozmaity; parę lat temu umarła w szpitalu na gruźlicę 8-letnia dziewczynka, która w nieobecności ojca musiała zajmować się domem; przed paru miesiącami poszła również na gruźlicę inna 10-letnia, która jeszcze wcale nie chodziła do szkoły, gdyż musiała robić wszystko w domu i pilnować małych dzieci. Inna biedna matka przyniosła małego synka do szpitala, a gdy wyzdrowiał, zabrała wprawdzie, lecz nie mając z czego żyć oddała go znowu z inną chorobą i tak przenosiła z jednego oddziału szpitala na drugi, póki nie umarł.

Otóż wszystkie te i im podobne dzieci, a jest ich mnóstwo, należałoby pomieścić w zakładach opiekuńczych, tymczasem niema miejsca. Informowałem się w różnych instytucjach tego rodzaju i wszędzie spotkałem się z tą samą odpowiedzią, że nieustannie otrzymują zgłoszenia nowych dzieci, a przyjąć ich nie mogą (gdzieniegdzie ani połowy zgłaszających się) dla braku pomieszczenia i środków utrzymania. Nie ulega więc najmniejszej wątpliwości, że zakładów opiekuńczych mamy za mało i że potrzeba uzupełnienia tego braku jest dziś nagląca.

* * *

Niedość jednak umieścić dziecko w zakładzie, trzeba je również we wszystko zaopatrzyć, trzeba dać zakładom dostateczne środki utrzymania.

Poruszając tę sprawę, odsłaniamy dalszą bolesną kartę z niedoli dziecka polskiego. Naturalnie nie będziemy tu mówili o stanie zakładów opiekuńczych w Polsce wogóle, gdyż

uposażenie ich jest niesłychanie różnolite, ale zajmiemy się głównie temi, które go nie posiadają w stopniu wystarczającym. A takich jest bardzo wiele; wiadomości o nich dostarczyły nam sprawozdania, bądź opublikowane w różnych pismach, bądź prywatnie zebrane, oraz osobista kilkoletnia obserwacja w krakowskim szpitalu dla dzieci, przez który przesuwają się chorzy ze wszystkich stron Polski.

Kto stworzył i utrzymuje zakłady opiekuńcze dla dzieci? — Jak już widzieliśmy powyżej z zestawienia ministerjalnego, spora ich część zawdzięcza swój byt samorządom (gminy, miasta, województwa), więcej jeszcze Zgromadzeniom religijnym, a największa ilość powstała z inicjatywy prywatnej (jednostki, instytucje, towarzystwa). Oczywiście mowa tu jest tylko o założycielach i właścicielach, ponieważ prowadzenie wielu zakładów prywatnych i samorządowych, oddane zostało Zgromadzeniom zakonnym.

Stosunkowo najlepiej zaopatrzone są zakłady miejskie; magistraty dostarczają im zwykle w naturze potrzebnych artykułów i pewnej zapomogi, tak że ważniejsze potrzeby mogą być w zupełności zaspokojone. Inaczej ma się rzecz ze zakładami pozostałemi; jedne zrujnował kryzys walutowy, inne straciły swych dobroczyńców; bardzo często w założeniu ich i w początkach działał zapał, który stygł wśród dalszych trudności, tem bardziej, że wszyscy liczyli na pomoc rządu, samorządów i społeczeństwa, a tymczasem pomoc ta często zawodziła. Rząd polski miał chęci jak najlepsze, ale nie posiadał dostatecznych funduszów [1]), samorządy częścią cierpiały na tę samą chorobę, częścią nie umiały się zdobyć na należyte spełnienie obowiązku. Społeczeństwo również podzieliło się na dwa obozy; jedni zubożeli, drudzy mają pieniądze na rzeczy zbyteczne, ale nie rozumieją albo nie uznają obowiązku zajęcia się biednymi, a dziećmi w szczególności.

Toteż kiedy się przegląda sprawozdania różnych zakładów opiekuńczych, przekonuje się ze smutkiem, że pomimo stanowczo niewystarczającej liczby zakładów, te nawet, które

[1]) Mimo to udzielał rząd dość znacznych zapomóg. Wydatki Ministerstwa Pracy i Opieki Społ. na zakłady opiekuńcze dla dzieci w r. 1923 wyniosły 179 miljardów marek.

istnieją, utrzymują się w znacznej części poprostu z żebraniny. Rozpisuje się po wsparcie na wszystkie strony, w kraju i zagranicą, chwyta różnych sposobów przemysłu, urządza przedstawienia, bale, a często i bardzo często wyciąga rękę po jałmużnę. W sprawozdaniu np. z działalności „Towarzystwa opieki nad sierotami po poległych" w Warszawie, utrzymującego koło 200 dzieci, powiedziano wyraźnie, że „dotychczasowemi źródłami dochodów była żebranina i ofiarność publiczna".[1]) Niemniej widocznie ujawnia się ten stan rzeczy w zakładach, utrzymywanych przez Zgromadzenia zakonne. Oto parę przykładów, ilustrujących rozmiary tej akcji i zarazem jej warunki:

Bracia Albertyni prowadzili w Polsce w r. 1924 siedem zakładów z 300 chłopcami (130 w wieku od 4—10, 170 w wieku od 10—18 lat); z tych 130 uczęszczało do szkoły powszechnej, a 170 uczyło się rzemiosła, muzyki i chodziło do szkoły przemysłowej. A utrzymanie? — Subwencji rządowej żadnej; część zakładów otrzymywała subwencje stałe od gminy, a zresztą wszystko żyło z pracy i jałmużny, i dzięki zapobiegliwości Braci posiadało to, co potrzebne.

Siostry Felicjanki prowadziły w całym kraju w r. 1924 zakładów 19, a w nich 996 sierot i biednych dzieci (822 dziewcząt i 174 chłopców) w wieku od 2—18 lat. Wszystkie uczęszczały do szkół, publicznych lub zakładowych, a oprócz tego pobierały w samych zakładach naukę zajęć praktycznych, wchodzących w zakres gospodarstwa domowego, szycia, kroju, haftu, trykotarstwa, tkactwa i szewstwa. Jeśli zaś chodzi o środki utrzymania, to 460 dzieci było utrzymywanych przez rząd polski lub prywatne instytucje, 195 było przyjętych za niską opłatą, a 341 żyło tylko z pracy Sióstr zakonnych i kwesty; wskutek tego w znośnych wcale stosunkach pozostawało kilka zakładów, które otrzymywały subwencje od Wydziału Opieki Społecznej, i trzy zakłady, wspierane przez osoby prywatne, ale pozostałe walczyły z ustawicznym niedostatkiem nawet co do najkonieczniejszych potrzeb.

Zakład im. ks. Siemaszki, prowadzony przez OO. Mi-

[1]) *Kurjer Warszawski* z dn. 30. IV. 1924 r.

sjonarzy, obejmuje dwa domy, w Krakowie i w Czernej, a w nich w 1924 r. 300 zgórą chłopców, sierot, półsierot i biednych; 224 z pośród nich uczęszczało do 7-klasowej szkoły powszechnej, 98 kształciło się w rzemiośle, jako terminatorzy. Co się tyczy środków utrzymania, 100 chłopców było zupełnie bezpłatnie, pozostali opłacali znikomą sumę 10—30 złotych miesięcznie, a i z tą zalegali nieraz miesiące lub nie wypłacali częściowo zupełnie; środki potrzebne musieli OO. Misjonarze zdobywać własnym przemysłem, zbiórkami i prośbą.

SS. Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo (Szarytki), rozrzucone po całym kraju, prowadziły w r. 1924 w samej Małopolsce 20 zakładów sierocych (w tem jeden żłóbek dla podrzutków), a w nich 1.000 dzieci (chłopców 220, dziewcząt 780) w wieku od 1—19 lat życia, które uczęszczają do różnych szkół i kształcą się praktycznie. Zakłady te powstały naogół drogą fundacji, ale — jedne z powodu kryzysu walutowego, drugie wskutek zniszczenia wojennego — mało stąd mają dochodów i znajdują się w bardzo ciężkiem położeniu finansowem, kilka z nich prawie w nędzy. Subwencyj rządowych nie mają żadnych, zapomogi gminne udzielane są tylko gdzieniegdzie, dorywcze i znikomo małe.

Siostry Służebniczki Najśw. Marji P. ze Starejwsi (obok nich istnieje w Polsce parę odrębnych Zgromadzeń tej samej nazwy) prowadziły w r. 1924 zakładów 41, a w nich 1.830 dzieci: koło 900 chłopców i 815 dziewcząt, w wieku od 3—14 lat i żłóbek dla 115 niemowląt. Wszystkie dzieci większe uczęszczały do szkół, publicznych lub zakładowych, i kształciły się praktycznie; dziewczęta i chłopców zdolniejszych kształci się z reguły wyżej, mniej zdolnych oddaje się po ukończeniu szkoły powszechnej do rzemiosła: dziewczęta mniej zdolne uczą się praktycznych zajęć. A teraz środki utrzymania: 7 zakładów utrzymują magistraty miast, 5 utrzymuje rząd polski, a pozostałe 29 żyje z ofiar publicznych dzięki zabiegom Sióstr, które starają się kołatać na wszystkie strony do litościwych serc; toteż nic dziwnego, że niektóre zakłady cierpią niedostatek.

Nie możemy dla braku miejsca przytaczać dalszych tego rodzaju przykładów, to jedno wszakże — nie ujmując

zasługom innych — podnieść możemy, że akcja opieki nad sierotami i dziećmi opuszczonemi w Polsce, jest dziś prawdziwie chlubną kartą dla Kościoła katolickiego i Zgromadzeń zakonnych, które poświęcają swe domy i ludzi, narażają ich nieraz na biedę, trudy i utratę zdrowia, byle z ostatnim wysiłkiem przyjść z pomocą nieszczęśliwym ofiarom losu. Przez te tysiące i tysiące dzieci, a w nich przyszłych obywateli, których wychowały i wychowują wśród najcięższych nieraz warunków, składają dowód zarówno chrześcijańskiej miłości bliźniego, jak ofiarnej miłości Ojczyzny, która, miejmy nadzieję, nie okaże się im niewdzięczną.

Uznanie takie należy się zarówno im, jak i osobom świeckim, pracującym w takich instytucjach, tem bardziej, że obok trudności materjalnych, wystawiają się często na rozczne przykrości innej natury. Pomijam już trudności samej pracy wychowawczej, o których nikt nie ma pojęcia, kto sam w zakładzie nie pracował; należą one jeszcze do najmniejszych. Ale np. na zebraniu Komisji rewizyjnej, przeprowadzającej kontrolę po zakładach dla dzieci, które odbyło się w Belwederze, w obecności pani prezydentowej Wojciechowskiej, z początkiem maja 1924 r., przytoczono między innemi fakt, że zbiórkę na chleb dla głodnych dzieci musiano wstrzymać dlatego, „bo w wielu domach nie tylko odmawiano drobnego datku, lecz brutalnie wyrzucano kwestarzy i kwestarki". [1]) Otóż to samo, co stało się w stolicy, powtarza się i gdzieindziej, a ofiarą padają osoby świeckie i duchowne, które się poświęciły dla dobra drugich i nie dla siebie zbierają.

To znowu wielu ludzi zamożnych sądzi, że spełniło wielki uczynek miłosierdzia, gdy dziecko oddali do zakładu, ale nie troszczą się o to, czem zakład dziecko przyodzieje, nakarmi i wykształci; „na to są zakonnicy i zakonnice" — powiadają i jeszcze obrażają się, gdy im się przypomni obowiązki względem dziecka. Jeden z bardzo bogatych obywateli ziemskich umieścił w zakładzie dwóch chłopców i obowiązał się za nich płacić; skończyło się jednak na obietnicy. Kierownik zakładu parę razy pisał i załączał rachu-

[1]) *Kurjer Warszawski* z d. 12. V. 1924 r.

nek, aż wreszcie po $1^1/_2$ roku bezpłatnego utrzymywania posłał zawiadomienie, że jeśli pieniędzy nie otrzyma, będzie zmuszony odesłać chłopców do domu; w odpowiedzi otrzymał oznajmienie, że „zamiast pisać grubjański list, mógłby raczej posłać rachunek". Dobrodzieje tego rodzaju lub podobni, którzy rzucą byle co [1]) — a takich jest sporo — mają zato z reguły przesadne żądania; wołają, by dzieci wychowywać jak najlepiej, jeśli zobaczą jakiekolwiek braki, wymyślają na zakłady i kierowników — tylko nie wolno im wspomnieć, żeby dały co na to, bo zakład biedny i środków nie ma. Tam znowu, gdzie komitety, zwłaszcza pań, zajmują się zakładem, trudno nieraz dogodzić; co głowa, to inne zdanie, nowe wymagania i utrudnienia w pracy, a mało uczynności z własnej strony.

Naturalnie dalekimi jesteśmy od uogólniania tych zarzutów, gdyż wśród wszystkich warstw, poczynając od arystokracji i obywatelstwa, a kończąc na niezamożnych, zastajemy najpiękniejsze dowody ofiarności; uważaliśmy jednak za wskazane, odsłonić i tę, mniej miłą stronę pracy opiekuńczej, bo ona towarzyszy nieodstępnie tym, którzy się jej oddają, a społeczeństwo nie wie o tem i powtarzając niewłaściwe uroszczenia, wyrządza głęboką krzywdę ludziom, którzy na coś innego zasłużyli.

Nadto potrzebnem jest to odkrycie nagiej prawdy, aby rozproszyć szerzącą się gdzieniegdzie błędną opinję, jakoby biedne dzieci miały naprawdę tylu i tak wielkich „dobroczyńców". Ludzi dobrych i bezinteresownych jest wielu, ale są i egoiści, owszem znajdą się i tacy, którzy z racji przynależności do komitetu, opiekującego się dziećmi, chcą jeszcze korzystać z pieniędzy, jakie miłosierni ludzie złożyli na sieroty.

---

[1]) Na zjeździe przedstawicieli Stacyj Opieki nad niemowlętami, w Warszawie w d. 30 i 31 marca 1924 r., jeden z lekarzy opowiedział: „byłem świadkiem wspaniałomyślności bogatej właścicielki, która podczas przyjęcia lekarza (pokazującego jej taką Stację) tak się rozczuliła, że zostawiła aż 50 tys. mkp. (według ówczesnego kursu niecałe 3 grosze!) dla dzieci". *(Opieka nad dzieckiem* r. 1924 nr. 3—4, str. 157).

(Dok. nast.)

*Ks. Stanisław Podoleński.*

# Towianizm na tle historycznem.

(Ciąg dalszy).

Z listu z d. 12 stycznia 1843 r. dowiedzieliśmy się, że „Swedenborg przybył". Jakoż w kilka dni potem donosił Krasiński o przestudjowaniu Swedenborga (z Rzymu 18 stycznia t. r.):

„Swedenborga czytaliśmy. Towiański wiele ma z nim wspólnego. Najciekawszy rozdział ten, co mówi o ludzkościach innych, na innych planetach i gwiazdach. Twierdzi, że anioł z innego świata może ziemię i ziemskie rzeczy tylko przez oczy człowieka widzieć tak, jak człowiek inny świat tylko przez oczy anioła. Towiański zaś tak się wyraża: „Człowiek jest ostatnim, ostatnią pochwą, przez którą działają zastępy duchów". Na jedno wypada.

Cechą naszego wieku w idei religijnej jest łączenie z nią kosmiczności, to jest: uznawanie globu naszego za część żywego Wszechświata, działającą nań i od niego wpływy przejmującą. Już zaczyna się ten planeta łączyć w myśli ludzi z innemi; kiedyś w rzeczywistości tak się stanie!

Leroux to czysty Cieszkowski. Tylko, że August na tym stanowisku metempsychozy bez pamięci nie zostaje, a Leroux się na niej upiera i kontent, dowodząc, że gdybyśmy, rodząc się, przeszłe życie pamiętali, to nie mielibyśmy dość wolności w umyśle, by żyć na nowo; bylibyśmy wiecznie młodymi! Wieczna młodość u niego albowiem, to zapomnieć i iść dalej. Na tem prawdziwe życie zależy... Wierzę, kiedy kto niema co pamiętać, jak np. pan Leroux! Pamięć — to poczucie się do siebie samego, to wiedza, że się było i że bywszy, jest się teraz. Bez pamięci niema Jamego, niema osoby mojej. Kto powie, że róża lub fiołek jest osobą, a jednak był elektrycznością, kwasem węglowym, wodorodem etc. etc., nim został fiołkiem — gdyby o tem sam wiedział, byłby Ja-fiołkiem; a, że nie wie, jest tylko

rzeczą fiołkiem. Więc Ja nie na prostym bycie, ale na poczuciu się do niego zasadzonem jest!

Dlaczego warjat traci osobistość swoją? Dlatego, że w jednej chwili zapomina, jakim sposobem, przez jaki ciąg faktów doszedł do teraźniejszości. Był adwokatem przez całe życie; nagle woła: król jestem! — i w tejże chwili do szpitalu go biorą, wiążą go — czyli przestają w nim inni ludzie uznawać osoby ludzkiej nietykalnej!

Zatem niema Ja bez pamięci. Jeśli kto utrzymuje, że potrzebna na czas jakiś była metempsychoza bez pamięci, by ludzkość przez własne zasługi i prace się rozwijała, lecz, że jej formą przyszłą jest: przypomnieć sobie ciąg przeszłości tak, iżby każde indywiduum nagle się przebudziło w sobie samym i obaczyło, czem było i jak szło, to jeszczebym na to gotów przystać i tę chwilę rozbudzeń nazwać dniem sądu — bo takie przypomnienie prawdziwym sądemby było dla każdego ducha. — Ale, jeżeli nowatory twierdzą, że tego nie potrzeba i że można być Ja bez pamięci, to wręcz im powiadam: „Kłamcy jesteście i nie mogąc dowieść matematyką waszą nieśmiertelności, przez próżność wolicie ją zaprzeczyć; — ja zaś wolę, by matematyka wasza głupstwem była, — i jest niem — a nieśmiertelność, co żyje w mojem przeczuciu, prawdą! bo przeczucie w piersi rodu ludzkiego: to Bóg sam, żywy i wierny i obiecujący, zamieszkały tam!"

Leroux w tem błądzi, że nie mogąc dowieść, iż w losach naszych przyszłych, pośmiertnych jest chwila, w której dopełniwszy całej natury naszej człowieczej, przebudzamy się i przypominamy sobie przeszłość całą, — woli dowodzić, że utrzymanie naszego Ja i ciągła jego w coraz wyższych epokach nieśmiertelność nie potrzebują mieć za zasadę pamięci. Zresztą, gdzie tego nie dowodzi, wiele pięknych rzeczy i uderzających przytacza; powiada, iż życie istniejące w dziecku jest takie same, jak w starcu, a mamyż prawo, patrząc na starca, utrzymywać, że nie żył wprzódy, nim starcem słabym został? i dziecko też żyło, przez życie tylko poprzednie dojść mogło do tego, czem jest. Życie albowiem musi być, skoro jest, nieskończone w wstecznym tak samo jak w następnym kierunku; bo, skądby było, gdyby już nie było wprzódy? Nasze Ja trwa wiecznie i wszystkie urodzenia i wszystkie zgony są to tylko sposoby, któremi żyje, coraz wyżej, w nieskończonej zasłudze i posuwaniu się ku ostatecznemu celowi wszelkiego stworzenia — ku Panu! A Pan jest wszechharmonją i wszechmiłością! Cóż znaczą dziwne sympatje między spotykającemi się pierwszy raz sercami na ziemi tej? Czy to nie ślad znania się w przeszłych

stanach życia? Otóż patrz, jak w tym dowodzie sam się z sobą sprzecza: bo juści sympatja taka niczem innem, tylko pamięcią, ale na najniższym stopniu swoim, na instynktowym! Jeśli taka pamięć ślepa już służy tu za dowód, a w świecie jest tajemniczą potęgą, czemżeby dopiero się stała pamięć jasnowidząca, wiedząca doskonale o sobie? I taka nastanie w ludziach, przemienionych kiedyś, jeśli metempsychoza jest prawdą; i w chwili jej nastania, dar nieśmiertelności zostanie użyczony nam, urzeczywistniony w nas!"

Nie wchodźmy na razie w różnice zapatrywań na metempsychozę między Krasińskim, Słowackim a Towiańskim; zostańmy przy wątku chronologicznym różnych opowiadań paryskich o towianiźmie. Słyszeliśmy księdza Jełowickiego; posłuchajmy teraz Bohdana Zaleskiego, który d. 26 kwietnia 1843 r. w Rzymie wieczorem „przez trzy godziny najciekawsze szczegóły opowiadał o panu Andrzeju i Adamie". Te opowiadania na gorąco spisał Krasiński i przesłał w liście (d. 27. IV. 43) pani Delfinie:

„Słowacki odmienił się nadzwyczajnie, roztkliwił się, płacze wciąż; inni twardzi i próżni to samo, lecz przytem mnóstwo szczegółów jak najdziwaczniejszych, najdzikszych, np. dusz ludzkich za karę przechodzenie w swojskie zwierzęta: koty, psy. Czekają na Męża przeznaczenia, na Messjasza, który w bitwie wielkiej zwycięży, a dnia onego duch Napoleona przy nim bić się istotnie będzie, a nad nim czuwać duch Chrystusa. Ten Messjasz, kuszony ma być na wszelki sposób. Lecz duch Chrystusa jak tarcza broni go i przez nią te pokusy przechodzą i łamią się. Trzy narody: Francja, Polska, Żydy przemienią świat i cieszyć się będą każden tym, co ukochał: Francja wielkim człowiekiem, Polska wielką ojczyzną, żydy wielkim Bogiem Jehową. Więc ci ostatni najwyżej stoją?!! Matka Boska jest Patronką tej sprawy i dotąd jest na ziemi. Cała Familja święta dotąd jest na ziemi.

Schodzą do takich np. szczegółów, że nawet kolory sukien noszonych są przeznaczone temu, który je nosi. Np. kolor bronzowy i barakanowy[1]) surdut p. Andrzejowi. Żona mu go szyła jako i resztę ubioru. Fraka mu wdziać nie wolno. Dwóch jeszcze proroków zjawić się ma: Bieliński i Szyszło. Lecz nie wiedzą dotąd, gdzie oni; tylko ich nazwiska im są przepowiedziane.

[1]) Barakanowy, dziś częstsza nazwa *barchanowy*, tyle co flanelowy, ciepły.

Mickiewicz na rok przed przyjściem Towiańskiego, razu jednego był wieczorem u siebie z Bohdanem i drugimi, a smętny, w rozpaczy i bez wiary. W tem nagle krzyknął: „Widzę, het, het, daleko, widzę Litwę i z Litwy kałamaszką jadącego szlachcica, w okularach, który więcej wie, niż my wszyscy". Właśnie wtedy raz ostatni z Litwy p. Andrzej wyjeżdżał. Klękają przed nim i całują go w ręce. Pierwszym warunkiem przystąpienia jest wiara, że Andrzej od Pana posłany. Bez tego nic. Kto zaś kalwin lub luter, ten wprzódy na katolicyzm przejść musi, nim przypuszczą go do siebie.

Oto masz, co opowiadał Bohdan! Wszystkie tajemnice mają być uchylone dotychczasowe, a inne mają powstać, O małżeństwie taka nauka, że tam tylko jest prawdziwe, gdzie jeden w drugim potrafił ducha obudzić — i to dopiero Sakramentem. — Wielka prawda!

Towiański wciąż pisze, a pisze. Foljały leżą u Adama, który wciąż je czyta a czyta i przyznaje, że wiele rzeczy dopiero później zrozumie; np. o Eucharystji i o przyszłym rządzie dotąd nie mógł nic pojąć! Jednak Adam teraz stał się naczelnikiem i już sam przyjmuje innych i słucha ich ślubów.

Dał mu tę moc Towiański. Ja myślę, że Towiańskiemu dał moc raczej Adam! a im obu I d e a, a Idei Pan! Lecz co do t e o r j i i c h, słowo w słowo odgadliśmy, powiadam ci, słowo w słowo w *missalę romanum!* Co do szczegółów, chwała Bogu, że nie, bo niektóre za bzikowate!"

Cały ten list zasługuje na uwagę staranną; czy to, kiedy mówi o wzmożonej czynności pisarskiej Towiańskiego („Foljały leżą u Adama"), z której mało co nas doszło, — czy też, kiedy twórca oddanego już do druku *Przedświtu* zapewnia p. Delfinę, że oboje „teorją" Towianizmu „odgadli" w tym arcypoemacie; nazwa bowiem *missale Romanum* odnosi się bardzo wyraźnie do *motta* drugiego w *Przedświcie in vigilia nativitatis Domini: hodie scietis, quia veniet Dominus et salvabit nos et mane videbitis gloriam eius.*

„...Co do *teorji ich,* słowo w słowo, odgadliśmy, powiadam ci, słowo w słowo w *missale Romanum!*" Tak wyraźnie i stanowczo powoływa się tu wobec p. Delfiny autor *Przedświtu* na związek tego poematu z Towianizmem, że nie można brać tych słów za nic nie znaczące ogólniki; wszak pisze: „Słowo w słowo!"

Kto już przed kilkunastu laty stwierdził, że wiersz p. t *Ideał Varenny* był pierwszym zawiązkiem późniejszego *Przed-*

*świtu*,[1]) dla tego współdziałanie Towianizmu w ostatecznem skrystalizowaniu głównej idei poematu nie było czemś nowem lub nieoczekiwanem. Brakowało jednak zawsze jeszcze potwierdzenia domysłu ze strony najbardziej świadomej, brakowało *αὐτὸς ἔφα*. Wyszło ono wreszcie na jaw w zakończeniu powyższego listu Krasińskiego do p. Delfiny.

Przypomnijmy zatem kolejne epizody uświadamiania się idei głównej: 1-go grudnia 1841 r. donosił poeta z Monachjum; że dzień cały pisał *Ideał Varenny*.[2]) „Mnóstwo dziwnych myśli apparycja Towiańskiego obudziła we mnie. Szczególnie ta konieczna potrzeba objawienia nowego, ale nie w okręgach ducha, tylko w sferze natury, coraz głośniej z oddali woła na mnie i wciska się w moje przekonanie... Wirgiljusz,[3]) pamiętasz, śpiewa o przemienieniu się planety, o kwiatach nowych, zwierzętach nowych..." — W kilka dni potem zapytuje poeta: „odebrałaś Ty mój wielki list, rozumujący o Towiańskim i wykładający niektóre myśli, których u nikogo nie pożyczyłem, ale które się we mnie urodziły i dziewiczemi dotąd są. Chciałbym, byś uważnie ten list kilka razy przebiegła oczyma i całą jego logikę wzięła z siebie i wtedy mi sąd swój wypowiedziała..." Chodzi tu prawdopodobnie (pewności absolutnej nie mamy) o list poety z d. 26 listopada 1841, w którym pełno było plotek „nowych" o Towiańskim z czasów wileńskich, a zwłaszcza o jego ożenieniu się i wpływie żony na męża.

„Ile razy się rozłączał (Towiański) od żony, wracał do dawnego stanu mierności. Ile razy był z nią razem i mieszkał, odzyskiwał swoją potęgę, którą kilka razy wywarł na oskarżonych w sądzie, zmuszając ich czarowniczo prawie do wyznania zbrodni..." „Wszyscy, którzy go widzą, doznają, nim nawet przemówi i zacznie ich nauczać, wpływu niepojętego na zmysły swoje, który ich ciągnie k'niemu i podbija ich wolę. Taki wpływ należy do nieznanej dotąd i nieobli-

---

[1]) Ob. *Przedświt* w wydaniu prof. Kleinera (Bibl. Nar. N. 18) str. 12, dopisek 2.

[2]) *Ideałem Varenny* nazywał poeta wiersze „Gdy się przeszłość w duszę wnęci", t. VI, wyd. jubil., str. 136—142 Ob. także str. 342—3.

[3]) Z Eklogi IV Vergilego daje poeta dwa wiersze na czoło *Przedświtu* wraz z urywkiem z *Missale Romanum*.

czonej siły, coraz mocniej za dni naszych objawiającej się w naturze i, mojem zdaniem, poprzedzającej ogromne jakieś odkrycie, tyczące się nieśmiertelności duszy po zgonie — do siły magnetyzmu[1]). Każda siła natury ślepa, konieczna, nim przez ducha ludzkiego odkrytą, z zasłon obnażoną i podbitą zostanie, ma się do niego po szatańsku, t. j. wywiera na niego wpływy tajemnicze, niezrozumiane, wolę jego jarzmiące; jest materją, jest naturą, występującą jako pani nad człowiekiem. Zrazu człowiek klęka przed naturą i zowie ją Bóstwem. Cała mitologja dowodem tego. Nie elektryczność, nie magnetyzm, nie to, co najwyższą jest idealnością materji, ale prosto rzeki, bory, skały, chmury w pierwszych czasach ludzkości tak były mało zrozumiane, że trwogą przejmowały serca ludzi i że je ludzie czcili jako bóstwa. Teolog chrześcijański ci powie, że Szatana to było dziełem, że Szatan gadał przez usta Pytonissek — itd. itd. W istocie były to fałszywe bogi, szatańskie, demoniczne wpływy; bo celem człowieka jest być Panem natury, więc kiedy jest jej sługą i niewolnikiem, ona, której przeznaczeniem jest podledz jemu, t. j. być niewolnicą jego, niby przybiera giest buntu, postawę zbuntowanego anioła, chcącego ducha ujarzmić. Szatana tak samo rozumiemy w stosunku do Boga wszechmocnego ..."

Na tych słowach urywa się, niestety, dalszy ciąg bardzo długiego listu, którego cały drugi arkusik zaginął, a trzeci tylko familijnym sprawom p. Delfiny w całości poświęcony, czwarty zaś arkusik także zaginął, jak drugi. To był właśnie ów „wielki list", zawierający rozumowania o Towiańskim i wywód własnych myśli Krasińskiego; wobec zatraty aż dwu arkusików z owego listu niepodobna dziś odtworzyć całej „logiki" jego, o którą tak chodziło poecie. Możemy się tylko domyślać, że odwołując się do przykładu Towiańskiego, Krasiński konstatował fakt jego potęgi, ilekroć był on w towarzystwie swej żony; taki wpływ magnetyczny mógł zauważyć w sobie Krasiński w obecności ukochanej Beatryczy. Jej też przypisywał moc własnego natchnienia wieszczego. Od pierwszej chwili poznania się w Neapolu, właśnie w wigilję Bożego Nar. 1838 r., poczuł Poeta „na jawie życia sen magnetyczny" i do tego potężnego wspomnienia wracał potem co roku, upamiętniając datę

[1]) Wyrazy, drukowane rozstrzelonemi czcionkami, są w autografie Poety przezeń silnie podkreślone.

później w *Przedświcie* nawet w łacińskiem motto *in natívitate Domini.*

„Byliśmy jako cud, otoczony cudem“ [1]) — pisał w liście z d. 19 grudnia 1841, wysyłanym na wilję B. N. dla przypomnienia osobistych dat, wiążących się nawet z imieninami p. Delfiny. „Jak fakir indyjski osobistość swoją traci w panteiźmie natury, tak serce moje i wyobraźnia mogłyby się zatracić w panteistycznym zachwycie, w panteistycznym zanurzaniu się w tych pierwszych chwilach naszego m y! bo to nasze m y takim sposobem się rodziło i na świat wschodziło: nowa istota, nowe stworzenie, które tak jak wszystko, co się rodzi i żyje, musiało się później rozwijać, by dojść do kształtu całkowitego dopełnienia swego!... Nasze m y musiało ze swojej pierwszej chwili niebieskiej przejść na drogę wszelkiego żyjącego stworzenia, na drogę walki, pracy, trudu. O! mógłbym Ci chwila po chwili pisać dzieje tej i s t o t y żyjącej, posuwającej się dalej w świat... Kiedyś napiszę pamiętniki tej *t r z e c i e j o s o b i s t o ś c i n a s z e j,* [2]) tego m y!... Wspomnij na nasze m y, a obaczysz, czy nie poznasz rozwijania się tych momentów w nim... Otóż i ta wiosna nigdy nie umarła w nas... ileż razy jej koloryt nas owiał? *a Varenna czemże była?* Nic — nic nie umiera, nic, co przeszłością się zowie, rzeczywiście nie przeszło; owszem, jako s t r u n a w w i ą z a n a d o H a r f y Ducha, zabrzmiewa, odzywa się...“

Jakoż ta przeszłość owego m y zadźwięczała niebawem w *Ideale Varenny* jako „struna wwiązana do harfy Ducha“; tam już pani Delfinie, więcej niż komukolwiek, stało się jasnem, że „gdy przyjdzie mus rozdziału, jak serc naszych c a ł o ś ć ż y w a, co w j e d n e g o p r z e s z ł a ducha, znów na dwoje się rozrywa... Bo, jak gwiazdy rozłączeni, M y szukamy się w przestrzeni... Wiecznie ciężym m y do siebie... M y już byli w zmarłych kraju... *Magnetycznych* widzeń siła Dusze nasze pochwyciła...“ Cały ten poemat, zarodek późniejszego *Przedświtu,* powinienby właściwie mieć krótki a wymowny napis *MY*, jako poetyckie skrystalizowanie myśli, rozwiniętych entuzjastycznie w liście (z d. 19. XII. 1841), którego wyjątki powyżej przytoczyliśmy.

Doniosłość owego mistyczno-filozoficznego *My* z *Ideału Varenny* dochowała się i przetrwała bez skazy w samem ar-

[1]) T. j. otoczony cudowną przyrodą zatoki Neapolitańskiej.

[2]) Ob. *Przedświtu* wiersz 742 i 743, 749—50.

cydziele. Teraz już głębiej zrozumiemy, co znaczą *naprawać* te prześliczne wiersze *Przedświtu*:

742 Z dusz się naszych wzbił Duch t r z e c i,
Wyższy od nas, niepojęty —
. . . . . .
I w tej chwili przemienienia
O, pamiętaj, wspólnym wzrokiem,
749 Tej *i s t o t y t r z e c i e j* okiem,
Jej, n i e n a s z y m *my* ujrzeli
Głąb rozkrytą przeznaczenia!

Zanim dzieje tej istoty t r z e c i e j z listu d. 19 grudnia 1841 r. upamiętnią się w r. 1843 w drukowanym *Przedświcie*, poeta przeżyje przy boku największego swego druha, Konstantego Danielewicza, tygodnie ciągłych marzeń o Varennie. W dziesięć dni po owym liście, idealizującym filozoficzno-mistycznie znaczenie owej istoty *trzeciej*, owego *MY* — przesyłał Krasiński pani Delfinie życzenia bliskiego Nowego Roku w liście z d. 29 grudnia 1841, w którym pełno było myśli o nieśmiertelności człowieka, jako o wyniku koniecznym wiary w Boga:

„Chcę Cię powinszowaniem nieśmiertelności uraczyć na Nowy Rok. Zawsze wracam do tego przedmiotu, tak, zawsze i ciągle, bo czuję, że zbliża się godzina, w której jasno wytłómaczonym nam zostanie! Wszystko ku temu się garnie. Niewiara wielu niczem innem tylko koniecznem przesileniem, z którego W i a r a posetniona się wydobyć musi!... Bądź więc dobrej i spokojnej myśli! Nie złe, nie podłość... panują światu i duchom naszym, ale I d e a ł! ale wszystko, co pięknem i szlachetnem jest! Światło wieczne i piękność wieczna same z siebie już są n a t u r ą n a s z ą! i w nas ten sam P a n, co nad nami! Taką myślą cię witam, gdy ta nowa fala czasu się podsuwa pod stopy twoje![1]) Jutro, dziś o dwunastej, przypłynie i będziesz musiała stanąć na niej i stać i płynąć na niej przez dni wiele... Bądź mi takim białym żaglem, ku mnie stąpającym z oddali. Ja stoję na kawałeczku skały, ja patrzę w oddal, ja tęsknię, a ty, z oddali płyń ty ku mnie, śnieżna, piękna, wolno stojąca, sennie przysuwająca się na tych wodach, nie Lekkowych[2]), ale czasu!“

[1]) Przypomni się to w wierszu z d. 19. II. 1842: „Lecz nadpływa c z a s u f a l a, co mu stopy pocałuje“. (VI. 153).

[2]) Jezioro Como składa się z *Lago di L e c c o, Lago di Como* i *Lago Superiore*. Poeta przeżywa tu własny poemat M y z d. 24 grudnia 1841 r. (VI, 138—142 i 145—146).

Aż w samą noc przełomową z r. 1841 na 1842 wróci poeta raz jeszcze do myśli, przepełniających go w całym ubiegłym miesiącu i utwierdzi siebie i ukochaną w przekonaniu o nierozerwalności ich obojga dusz:

„Wszystko jedno, jak zwie się czas, wszystko jedno, ów rok, czy ten — Naszym duchom to *jeden* sen, Naszym sercom to *jeden* czar! Z tychże samych żądz, uczuć, wiar będzie naszej przyszłości skład, czas tu musi w nasz wchodzić ład, Być, jak wieczność, *jednością* nam!" [1])

Tak dokonało się w duchu poety odczute, a logiką serca jego poparte, przekonanie o nierozerwalności związku dusz dwojga w jedność, w ową trzecią istotę My. Ta jedność stanowić będzie z czasem główny motyw poetyckiej przygrywki do *Przedświtu*: „*mój* jęk, *twe* westchnienia, zmieszane, zlane, przebrzmiały na pienia. Z dwóch smutków... wzbił się głos jeden..."

Treść głosu jednak nie odrazu się ustaliła. Były w tej treści z początku akordy Danielewicza, ale te przerwane zostały prawie nagle, tragicznie przedwczesnym, nieoczekiwanym skonem filozofa-muzyka, największego przyjaciela, którego śmierć w Monachjum 27 marca 1842 r. odchorował i przebolał Krasiński. Zaledwie przyszedł trochę do sił, już dzielił się z Cieszkowskim tem spostrzeżeniem, że cała Towiańszczyzna „podparta wiarą Mickiewicza jest mistycznym, magnetycznym stanem ludzi, bliskich nowej idei, a nie mogących rozumowaniem logicznie ją wywieść". [2]) Tą nową ideą była dla Krasińskiego pewność, że „zagadka rozwiązana w nas", [3]) że Polska, jako duch zmartwychwstająca, dokaże tego, „co każda osobna dusza, przechodząca z ziemi przez śmierć w wyższy świat". Przyczem szczerze przyznawał Cieszkowskiemu: „Wiele tu twego: prawie wszystko". W tydzień zaś potem, z Lucerny 30 kwietnia 1842 r., dokładniej wyraził się o ówczesnym stanie *Przedświtu*: „I ja mam coś gotowego, a myślę, że nowe i piękne — lecz nie mogę do-

[1]) Wiersz ten (VI, 143—4) pod względem formy raził i p. Delfinę i samego poetę (VI, 343), ale Krasińskiemu chodziło przedewszystkiem o stwierdzenie raz jeszcze owego My.

[2]) LKC I, 28.

[3]) Czyli w Polsce: Tamże, 29. — List z 24. IV. 1842.

kończyć, choć tylko słów kilka brak i ostatecznej wygłady" [1]). Nie tylko stan zdrowia ówczesny, nie tylko ciągła „postać ukochana" zmarłego przyjaciela nie pozwalała na wykończenie poematu — ale i poczucie wewnętrzne, że jeszcze mu czegoś nie dostawało. Myśl o Towiańskim ciągle pracowała w Krasińskim [2]), przyczem jednak prelekcja paryska Mickiewicza, zwłaszcza ostatnia, z lipca 1842 r., nie znalazła uznania: „bałamutnie, licho, słabo, doławiającym się tylko sposobem wyraził się". [3]) Nastał także moment zwątpienia co do wartości *Przedświtu*, „antytetyczny stan duszy w stosunku do poematu wzmógł się; zdaje mi się, że od α do ω głupstwo..." W dodatku nowość idei zdawała się być problematyczną, skoro 22 września 1842 r. dzieło Bukatego *(Polska w apostazji i... w apoteozie)* świeżo wtedy wydane, chwalił za „twierdzenia piękne, arcypiękne i te same, co moje" [4]). — Napróżno poeta chciał dokończyć w końcu grudnia 1842 r. *Przedświtu* — nie szło! Dopiero ponowne wniknięcie we współczesne „pomieszanie idei i systematów", rozczytanie się w Swedenborgu i w „niektórych rękopisach Towiańskiego", stwierdzenie, że Towiański „wiele ze Swedenborga wziął", że Mickiewicz wykłada w Paryżu „logikę, filozofję tej mistyki", a zarazem „drży przed magnetyczną potęgą" Towiańskiego — wszystko to razem, łącznie z wiarą Słowackiego i zapewnieniami listownemi o konieczności „przejścia" przez Towiańskiego zmusiło twórcę *Przedświtu* do ponownego sprawdzenia jego tezy głównej. Był widocznie moment przesilenia w zimie i na wiosnę 1843 r., skoro w liście do Cieszkowskiego z d. 25 marca 1843 r. Krasiński tak się wyrażał wobec autora *Ojcze nasza*, „w zimie filozofji niemieckiej pełni, pewni nieśmiertelności, a zarazem wszechmocy woli ludzkiej, straszneśmy się litowali (t. j. *Krasiński i Cieszkowski)* nad Towiańszczyzną całą — teraz tak dalece gromem wzięliśmy nią w pierś, że nie tylko *siebie samych* chcemy jej poświęcić, ale nawet rozporządzamy opatrznie losem drugich..." [5]) Lekka ironja tego zwrotu świadczy, że autor *Przedświtu*, —

[1]) Tamże, 31. [2]) Tamże, 33, 37. [3]) Tamże, 38, 40. [4]) Tamże, 45. [5]) Tamże, 68.

omawiający wtedy z Gaszyńskim warunki drukowania poematu — przezwyciężył już w sobie wszelkie wahania, skoro dodawał dalej w tonie ironicznej pewności siebie: „o mnie, drogi, się nie lękaj! oddawnam przystąpił... do Idei świętej: wielkiej, koniecznej [1]) — ale do tego lub owego jej *reprezentanta,* nie bój się, nie przystąpię! bo wiem, że ci wszyscy... są tylko promieniami..." [2])

Aby jednak kto nie myślał, że Krasiński zaczął już wtedy lekceważyć Towianizm, trzeba jedno przypomnieć: oto w chwili drukowania *Przedświtu,* tuż przed wyjściem tegoż na świat, twórca jego ostrzegał autora *Ojcze nasza:* „Za nadto mało ty dbasz o ruch paryski. Na jego czele stoi *mens divinior,* połączona ze żelazną wolą i ogromną miłością. [3]) Taki duch nie ustanie, póki nie zginie, lub swego nie dopnie; a potem, podstawa ich prawdą jest. Idea ich prawdą jest, choć sami o tem nie wiedzieli. Siła więc tam, choć dotąd jednostronna, ale ona potrafi się lepiej zwszechstronnić, potrafi z sekty i doktrynki... wyróść lub wylać się na morze... Miej k'temu wzrok bacznie obrócon... Ty chcesz przeczekać ich. Dobrze; ale przeczekanie nie jest odrzuceniem". [4]) Wreszcie w kilka miesięcy już po wyjściu *Przedświtu,* po ślubie swym, w naprężeniu ducha takiem, że wołał z Wierzenicy do Cieszkowskiego (14 sierpnia 1843 r.) „niech się coś zacznie! niech grom uderzy! choćby pierwsza iskra miała serce mi rozsadzić...", Krasiński dokładnie określał rolę Towiańskiego wobec nich wszystkich: „Towiański posłannikiem jest, co obudza w drugich ogień — nic więcej; ale ten ogień będzie płomieniem! ten ogień z nas wszystkich ma stosy swoje. O, spalmy się, spalmy i świećmy ludziom, Polsce, a przez Polskę światu. Składam tu *Przedświt.* Tyś jego Ojcem pierwszym; — z pod serca mi wybrzmiał i kocham go!"

„Ojcem pierwszym..." Ten epitet jest zarazem ograniczeniem. Któż był Ojcem drugim? (bo gdyby nie było drugiego, pocóżby dodawał Krasiński wobec Cieszkowskiego,

[1]) T. j. o doniosłości Polski w dziejach Ludzkości.
[2]) Tamże, 69.
[3]) T. j. Mickiewicz.
[4]) LKC I, 75—76. Tamże 80—81.

że on był *Przedświtu* ojcem pierwszym?) — Wszak silniejszą stokroć byłaby sama nazwa Ojca, czyli ojcowstwa jedynego? Czyż było może ojców kilku *Przedświtu?* Nie mogąc tu wchodzić szczegółowo w genezy wszystkich wpływów, dających się wydzielić i wyróżnić w *Przedświcie* [1]), zastanówmy się, w związku z główną osnową pracy niniejszej, czy i o ile można mówić o wpływie towianizmu na *Przedświt?* i w jakich granicach? Przypomnijmy wreszcie raz jeszcze, że stosunek Krasińskiego do Towianizmu w całym okresie wydawania *Przedświtu* był pełen życzliwości [2]), że najwidoczniej pod wpływem odczytania *Przedświtu* Mickiewicz w sierpniu 1843 r. dwa razy z naciskiem wzywał Krasińskiego do spotkania się w Heidelbergu, mając „wiele do pomówienia" [3]); — autor *Przedświtu,* skutkiem przeszkód silnych, nie mógł wtedy sam jechać na spotkanie, lecz wzywał

[1]) Już przed dwudziestu laty próbował określić stosunek Towianizmu do *Przedświtu* p. A. Drogoszewski w artykuliku p. t. „Nieco o *Przedświcie* i o stosunku poematu do nauki Towiańskiego". *(Pamiętnik Liter.* 1904 r. III, 440—7); ale autor obracał się w ogólnikach: „nie możemy wejść w szczegóły" pisał na str. 445. Przyznawał, że „Towiańszczyzna grała głównie rolę fermentu"; nie wykazał jednak pod jakim względem?

Dr. Aleksander Łucki w rozprawie p. t. „Zapomniana korespondencja Krasińskiego" (Sprawozd. drugiej Szkoły Realnej we Lwowie 1912 r. — Księga Pamiątk. Zygm. Krasińskiego, t. III, Lwów 1912 r.) zwrócił pierwszy uwagę na to, że „cała ta korespondencja rzuca na Towiańskiego dużo światła"; przecenił jednak wartość ustępów, przytoczonych przez się na str. 19, a pomylił się zupełnie w sprawie rzekomej „rezygnacji" poety ze szczęścia osobistego i powziętej jakoby „decyzji wyrzeczenia się Delfiny" (str. 23).

Stosunek *Przedświtu* do wykładów Mickiewicza w *Collège de France* ocenił gruntownie Prof. Ign. Chrzanowski w studjum p. t. „Przedświt a Prelekcje Paryskie", najpierwej w *Przeglądzie Narodowym* 1920 r.; następnie zaś w książce p. t. *Wśród zagadnień książek i ludzi.* Lwów 1923 (Ossolineum) str. 310—369. — Wyniki badań swych nad *Przedświtem* podał zwięźle, wraz z całą bibliografją przedmiotu, Prof. J. Kleiner w wydaniu *Przedświtu* (Bibl. Narod. N. 18 bez podania roku).

[2]) Krążyły w Rzymie w kwietniu 1843 r. pogłoski, że Z. Krasiński należy do towarzystw tajnych, że się łączy z Towiańskim, że do niego pisał, itp. Ojciec Zygmunta musiał zaprzeczać tym plotkom wobec pp. Branickich, opornych projektom małżeństwa ich córki z Zygmuntem. Złą reputację miał tam autor *Nieboskiej,* ponieważ go Mickiewicz z katedry chwalił!

[3]) LKC I, 82.

Cieszkowskiego, aby on pojechał do Mickiewicza: „zetknij się z nim. Razem we dwóch zwyciężycie. To duch wzniosły i z żelaza ten człowiek".

Ponieważ zaś Mickiewicz wybierał się wtedy w podróż z Towiańskim, jadącym do Rzymu, przestrzegał Krasiński Mickiewicza listownie co do Rzymu: „jaka tam zgnilość w tych pobielanych grobach". Łatwo się zatem domyśleć, o jakie to zwycięstwo i nad kim chodziło wtedy Krasińskiemu, gdy zapewniał Cieszkowskiego, że we dwóch razem z Mickiewiczem zwyciężą.

Już samo wyróżnienie się w *Przedświcie* [1]) od tych, co w dawnym drżą kościele (w. 117) zwraca uwagę na odosobnienie ówczesne poety od Kościoła powszechnego. Podkreśli to prozaiczny *Wstęp* tam, gdzie mówi, że „w okręgach religijnych wszędzie rozbrat. Kościół katolicki jakby snem od wieków trzech, od ostatniego Soboru ujęty..." (str. 42, 142). Wszystkie herezje wołają, zdaniem poety, do nieba o dzień sądu; „anarchja to taka okropna, że koniecznie dąży do przesilenia". Dokąd dalej iść idei chrześcijańskiej? oto w sferę, nie przerobioną dotąd, a tą jest sfera polityki. W myśl słów Chrystusowych państwo Cezara musi stać się nicością, a Królestwo Boże wszystkiem (str. 49). Celem mądrości Bożej jest Ludzkość, zgodna z wolą Bożą. Środkami do celu są narodowości. Państwa, wzrosłe nie według praw Bożych (Rosja, Austrja, Prusy), rozdarły narodowość żywą — Polskę. Przez to idea Ludzkości obrażoną została. Przez naszą narodowość, umęczoną na krzyżu historji uwidocznić się ma w sumieniu ducha ludzkiego to, że „sfera polityki musi się przemienić w sferę religijną" (54, 420). Narzędziem Opatrzności jest Naród Polski. Tylko przez Polskę zacząć się może opatrznie nowy okres w dziejach świata. „Od tego postępu zależy coraz wyższe dopełnianie się[2]) Objawienia Chrystusowego w Ludzkości" (55, 444—447).

Kto przypomni sobie najważniejsze zdania z listów Krasińskiego, poprzednio przez nas przytoczonych, ten

[1]) Wiersze i strony *Przedświtu* przytaczamy według wydania prof Kleinera w *Bibl. Nar.* Nr. 18. Serja I.

[2]) „A po dopełnionej Sprawie otworzy się ten najwspanialszy Chód..." Towiański w *Biesiadzie* (l. c. 59, 181).

dostrzeże w nich bardzo wyraźnego związku z głównemi ideami *Przedświtu*. Twórca jego uważał Towianizm za „magnetyczny, mistyczny stan ludzi, bliskich nowej Idei, a nie mogących rozumowaniem logicznie ją wywieść". Otóż Krasiński przekonany był, że tę logikę znalazł i że na podstawie tej logiki dowiedzie w *Przedświcie* konieczności Polski, jako niezbędnego ogniwa w postępowym rozwoju Ludzkości. W argumentowaniu swem przyjmował poeta z Towianizmu wszystko, co mogło mu być podporą. I tak z uznaniem zauważy (w liście z d. 16. VII. 1842), że słowa w *Credo* o świętych obcowaniu „Towiański rozszerza i szczegółami pomnaża Kościoła wiedzę dotychczasową; twierdzi, że duchy zmarłych pilnują Ludzkości po zgonie i rozwinięcia jej strzegą. Taki Duch, taki *Cherub*, równy Ludzkości całej, pomaga ludziom..." A skoro jeszcze Słowacki także upewnił go o swej wierze w „narodowości, t. j. w solidarne misje duchów, powiązanych z sobą wspólną odpowiedzialnością", Krasiński już tylko krok ma do wniosku, że ludzkość bez Polski nie zdoła urzeczywistnić się w świecie.

Tem łatwiej zaś dochodził do tego wniosku poeta, że dawniej już, zgodnie z Danielewiczem, uważał ideę wielką za „siostrę Chrystusa", przybijaną do krzyża. A jakaż Idea mogła dla niego być świętszą i większą nad ideę Polski? Któraż według niego mogła być słuszniej nazwaną Chrystusową Siostrą? I dlatego to rozbrzmi w *Przedświcie* Głos, co woła w wiecznem niebie: Jak im Syna niegdyś dałem, tak im, Polsko, daję Ciebie".

A skoro Towiański w *Biesiadzie* według streszczenia samego Krasińskiego (12. I. 43) szczególnie uwydatniał doniosłość cherubinów, które o tyle tylko mogą się wyżej wznieść i popłynąć do Boga, o ile „ludzi przywiodą do postępu i do miłości Bożej, którą Chrystus przyniósł...", to całkiem naturalnie urasta Polska w wyobraźni i w *logice* Poety do takiego Archanioła, który Ludzkość całą powiedzie wzwyż, pociągnie ją za sobą w bezmiar, a „wtedy pójdą te miljony za planety Archaniołem, „który w bieli i w purpurze". — Ludy pójdą za Polską. „I wciąż Polska moja przodem w nieskończoność z ludzkim rodem tam leciała!" (t. j. przez wszechświat do Boga). Teraz jest już chyba oczy-

wistem, skąd się wzięła rola Polski jako Archanioła Ludzkości.[1])

Ale Towiański w *Biesiadzie* nie tylko o czynnej roli Cherubinów wobec Ludzkości, wobec globu ziemskiego zapewniał. Pozwalał on domyślać się ostatecznego zakończenia pochodu ludzkości wzwyż na podstawie „Konstytucji Boskiej". Tam to, według Towiańskiego, „przewidzianem, że będzie siedem gałęzi Chrystusowych, które coraz wyżej ziemię podnosić będą, aż za siódmym złe wszelkie zniknie i ziemia stanie się niebem". Streszczenie to Krasińskiego (w liście z d. 12. I. 43) należy jednak uzupełnić i rozjaśnić tu tekstami *Biesiady:* „A kiedy Bóg... zsyłając z Swych już nieziemskich przestrzeni wyższe duchy... za siódmego Posłańca najmocniej ogień Miłości Swojej rozpali i ogień ten ziemię obejmie, wtenczas *Zło na ziemi zniknie,* przepadnie, podług Świętego wyrażenia".[2]) „...za siódmego Posłańca Boskiego Ziemia Niebem stanie się..." „Konstytucja, dana Globowi, przez wieki nietknięta... w tej najświętszej Konstytucji jest zapisane: — Miłość, to najświętsze czucie musi być dobrowolnie przez twór przyjęte".[3])

Otóż ta zapowiedź wyroków Bożych, że kiedyś Miłość Boga przeniknie do tego stopnia świat cały, iż Ziemia stanie się Niebem — ta zapowiedź nie może się spełnić, póki Zło na ziemi nie zniknie, nie *przepadnie.* A któż na ziemi jest *Złem?* Któż „włada kolumnami ciemnemi" jeśli nie „Duch

---

[1]) „Pamiętajmy, że poświęcenie się nasze nie tylko Ziemi, ale i Niebu usłuży, bo Duchy święte, te wielkie Cherubiny, nie rozpaliwszy ognia Boskiej Miłości na ziemi, nie wywzajemniwszy się Bogu służbą swoją za swoje podniesienie, nie mogą ziemi opuścić. Stąd tych wielkich Cherubinów pomoc *będzie nadzwyczajna...* A po dopełnionej Sprawie otworzy się ten najwspanialszy Chód w obliczu Boga wielkich Świętych, opuszczających Glob ziemski". *Biesiada* (Wybór Pism, wydanie drugie Pigonia, str. 59, 169—175, 181—3). „Duchów grona... wzbić się muszą tam, gdzie ona, Za mą Polską... popłynęły już do góry, narodowe, ziemskie chóry... Kto poleci z Archaniołem tam, gdzie Ludzkość się odwciela?" *(Przedświt,* ww. 885, 899, 00, 921—3).

[2]) Wybór [2], str. 55, 59—63.

[3]) Tamże, 64, 285—6.

duchów ziemi" — *Szatan!* Skoro zatem, kiedyś, po wiekach, Ziemia ma się stać Niebem, musi przedtem Szatan z niej zniknąć, *przepaść*, — ale jak?

I o tem nie mógł Krasiński, on, co od wczesnej młodości o szatanie rozmyślał [1]) — co go w *Irydjonie* jako Masynisę pojął — nie mógł oczywiście w *Przedświcie* zapomnieć. A właśnie Towiański poddał mu wspaniałe rozwiązania eschatologicznej zagadki: *(Przedświtu* ww. 1060—1077)

Moc Szatana,
Co udawał Ziemi pana,
Już na ziemi pokonana!
Niby skryte z ł o w naturze
Od początku walczył z nami,
*Chadzał dumny w wiatrów chórze* [2])
Wył na fali — grzmiał na chmurze...
Chwila jeszcze, a upadnie,
A gdy czoło w pył pokładnie
Z e z w ł o k j e g o się przetworzy,
*Przeanieli*, wydobędzie
Inna postać — S e r a f B o ż y,
Co planety stróżem będzie
I przejasnych widzeń darem,
Poza trumien c z a r n y m jarem
Żywym wskaże b i a ł e raje,
Gdzie duch zmarłych zmartwychwstaje.
Wszystkie, w s z y s t k i e s p r z e c z n e siły
W jeden nastrój się złączyły...
...na planecie
W s z y s t k o ś w i ę t e j w o l i s ł u c h a...

Ziemia staje się Niebem! „...z niebieskich łask — drugi Boży dom!"

[1]) Monografji mej o Z. Krasińskim t. II, str. 12—15 fragment o *Szatanie* z d. 26. VIII. 1832 r. Szatan nazywa tam dwudziestoletniego poetę „synem swoim"!

[2]) „Władza, kierunki ogólne przy c i e m n y c h Duchach były. Ci swemi kolumnami ciemnemi władały ziemią, — a D u c h D u c h ó w z i e m i s w o b o d n i e po swojej obszernej dziedzinie p r z e b i e g a ł... Berło Piekłu na czas pewny wydartem będzie..." *Biesiada*, w. 60, 205.

(C. d. nastąpi)

*Prof. J. Kallenbach.*

# Z dokumentów duszy.

Wyszła niedawno niezwykła książka![1]) Możnaby ją zatytułować „Z dokumentów duszy" — jest to bowiem powieść o duszy ludzkiej. Istotnie dusza ludzka, dusza jednego człowieka jest jedynym bohaterem książki, rozwój tej duszy jest jej treścią wewnętrzną. Treść zewnętrzna jest prawie żadna: jest to historja życia młodego Francuza, ślusarza i tokarza metalowego. Syn właściciela małego sklepu, nie otrzymał on prawie żadnego wychowania: dzieciństwo spędził na wsi pod opieką prostej kobiety; później nauka w szkole elementarnej nie dała mu wiele więcej, niż wychowanie domowe, oparte przeważnie na wszechwładzy rózgi.

W piętnastym roku został oddany jako terminator do warsztatu i od tej chwili urabia go życie. Przystępuje do organizacyj anarchistycznych, których działalność, jak sam wyznaje później, polegała przeważnie na krzyku i kłótniach stronniczych; w 18 roku, wyzwolony, opuszcza warsztat i wyjeżdża za granicę. Pracuje naprzód w Londynie, potem w Belgji, gdzie przyjaźni się z grupą anarchistów, głównie z Oktawjuszem Garnier, późniejszym członkiem osławionej bandy Bonnot-Carouy. Niedoświadczony idealista Albert daje się towarzyszom wciągnąć do kilku kradzieży — przy jednej z nich przyłapany, gdy stał na czatach, dostaje się do więzienia. Przeszło rok przebywa w areszcie śledczym, poczem w czerwcu r. 1912 wyrokiem sądu przysięgłych ska-

[1]) J. Salsmans T. J „Ze śmierci do życia, Dzieje młodego anarchisty", przełożyła z francuskiego Helena Adamowa Łubieńska, Kraków, wyd. Ks. Jezuitów, 1924.

zany zostaje na 15 lat ciężkiego więzienia; karę tę, jak można sądzić z dziennika Alberta, zniżono mu potem na lat ośm. Nie doczekawszy końca kary, którą odbywał w tem cięższych warunkach, że część jej przypadła podczas okupacji niemieckiej w Belgji, a więc wśród wszelkiego rodzaju ograniczeń, Albert rozchorowuje się ciężko na serce i w krótkim czasie w szpitalu więziennym umiera, jesienią roku 1916. — Historja życia bardzo krótka, bardzo prosta, bardzo smutna... i bardzo — niestety — częsta.

Ale nie ona stanowi właściwą wartość książki. Na tem tak nikłem i bezbarwnem na pozór tle rozwija się wzruszający dramat duszy. Od zupełnej niewiary w konsekwentnym rozwoju psychologicznym dochodzi młody Albert do zupełnego nawrócenia i umiera, jako szczery, z Bogiem i jego wolą pogodzony katolik. Opowiada o tem przeważnie on sam: długie dni, tygodnie, miesiące i lata uwięzienia zapełniał pisaniem. Pozostał po nim cały szereg rękopisów, dziennik, pisany na kilka zawodów, rozprawy, wypisy z czytanych dzieł, oceny ich i t. d. Wydawca tych dokumentów, ks. J. Salsmanns, wybrał z nich najbardziej charakterystyczne ustępy, ułożył chronologicznie, wypełnił luki wiadomościami biograficznemi, czerpanemi z innych źródeł i z osobistej znajomości ze skazańcem, dodał zakończenie, pisane stylem prostym i szlachetnym i stworzył w ten sposób zwartą całość. Dla psychologa byłoby bardziej pożądanem, by mógł przeczytać wszystko, co po Albercie pozostało. Dla zwykłego czytelnika usunięcie niepotrzebnych do całości obrazu szczegółów, wprowadzenie ładu w chaos nieprzeznaczonych do publikacji materjałów — było konieczne. Opowieść poprzedza przedmowa, tak wielkiej czci godnego kardynała Belgji, Ks. Mercier. Przekład polski, poza małoważnemi usterkami, jest naogół bardzo dobry.

Historja przeżyć człowieka, skazanego przez szereg lat na zupełną prawie samotność byłaby już sama przez się interesująca. W tym przypadku zainteresowanie nasze wzrasta, bo człowiek ten w całej pełni zasługuje na ośmieszone wprawdzie, ale w tym wypadku jedynie słuszne miano „szlachetnego bandyty". Zainteresowanie nasze zaczyna przeradzać się w pewnego rodzaju podziw, gdy

stwierdzamy, że „bandyta" ten jest jednostką w każdym razie nieprzeciętną, a może nawet niepospolitą. A wreszcie ogarnia nas religijne podniesienie ducha, gdy widzimy, jak Bóg widomie zdziałał w tej duszy cud nawrócenia. A stało się to nie w odległej przeszłości, w epoce legend i świętych, ale bardzo niedawno, podczas wojny, a więc wczoraj, prawie dziś. Posiada więc w całej pełni, ten tak dziś ulubiony, posmak aktualności.

Na portret duchowy bohatera, w chwili, gdy wkracza on w ramy opowiadania, składa się szereg pociągających rysów: posiada on przedewszystkiem umysł niezależny i odwagę przekonań. Objawia się ona m. i. w takim drobnym, ale znamiennym fakcie: oto sam jeden, wśród setek robotników fabryki, w której pracuje, zdobywa się na gest odmówienia udziału w składce na pomnik dla jednego ze swych zwierzchników, który zginął w wypadku automobilowym, bo uważa to za niezgodne ze swemi przekonaniami. Widać już z pierwszych notatek Alberta, a przejawia się to, im dalej tem silniej, że to umysł, obdarzony logicznym i konsekwentnym sposobem myślenia; umysł, który nie zadawala się powierzchownem przyjmowaniem jakichkolwiek komunałów, uznanych przez pewną grupę społeczną za dogmat, lecz samodzielnie dąży do zgłębienia każdej prawdy. Umysł to, choć posiadający zaledwie elementarne, a bez systemu później uzupełniane wykształcenie, choć nie mający podstaw filozoficznych — jednak typowo filozoficzny. Skłonność do analizy, do badania, a zwłaszcza do autoanalizy psychologicznej jest bardzo wyraźna. Niektóre spostrzeżenia w tym zakresie są bardzo trafne. Ścisłość myślenia znaczna, żądza wiedzy ogromna. Nadto posiada istnie gallijską jasność rozumowań i zupełnie wybitny talent literacki, którego szybki rozwój z łatwością można śledzić w ciągu lat sześciu.

Gorzej przedstawia się strona uczuciowa (jeśli w charakterystyce naszej przyjmiemy najpopularniejszy podział): Albert kocha wprawdzie szczerze matkę i to jest najsilniejsze może jego uczucie. Ale już miłość jego do ludzkości objawia się więcej nienawiścią do isniejącego ustroju społecznego, jako domniemanego źródła zła, gnębiącego ludzkość. Przytem i ta miłość i ta nienawiść nie mają zna-

mion bezpośredniości: wydaje się, że to uczucia wyrozumowane, wyuczone niejako na agitacyjnych zebraniach i wiecach. Wolę natomiast posiada Albert silną i dziwnie — jak na swój młody wiek (19 lat) — wyrobioną. Nie trzeba jednak zapominać, że od 15 roku życia, zdany był na siebie, a w tych warunkach człowiek dojrzewa i wyrabia się szybko. Silną wolą zabrania sobie palenia i picia; silną wolą zabrania sobie bronienia się przed sądem w celu dogodzenia własnej ambicji i z całą słusznością może stwierdzić o sobie: „A mam zwyczaj dotrzymania danego słowa" (str. 91).

Przy tem wszystkiem właściwą mu jest wielka ambicja, wrodzona szlachetność i pewna surowość zasad. Tego rodzaju psyche przyjęła łatwo zasady anarchistyczne w stosunku do istniejącego ustroju społecznego. Ich radykalizm wydaje się temu młodemu człowiekowi, pełnemu energji i o wybitnie zapalnej naturze, najlepszym środkiem, wiodącym do celu uszczęśliwienia ludzkości. — Z poglądami anarchistycznemi w dziedzinie socjalnej idzie w parze w dziedzinie filozofji napół świadomy pozytywizm, który „ludzkość" stawia za cel działań. Za hasło wybiera sobie zdanie: *Homo sum, et nihil humani a me alienum puto.* Dla religji jakiejkolwiek nie ma najmniejszego zrozumienia — w tym względzie zdanie jego przypomina żywo jeszcze racjonalistów i materjalistów 18 w.: „W mojem mniemaniu — pisze — wierzenia religijne mają kilka głównych źródeł: suggestję, tchórzostwo, słabość, cierpienie i utratę złudzeń. Wynika stąd, że ze słabości ludzkiej w obliczu sił natury, zrodził się fanatyzm, który następnie rodzi religje, szanowane przez ignorancję, rozpraszane wkońcu przez rozsądek". Pod taką definicją prawdopodobnie podpisałby się każdy z twórców Wielkiej encyklopedji.

Tak mniej więcej wyglądała dusza Alberta w chwili, gdy dostał się do więzienia. I tu zaczynają nań działać różne wrażenia i wpływy. Pierwszym jest przygnębiające wrażenie uwięzienia — ale to nie trwa długo; Albert ma zbyt wiele optymizmu, by zapleśnieć w zamknięciu, zbyt silną wolę i zbyt żywy umysł. Pochłania książki różnego rodzaju, poznaje różne kierunki; i to zaczyna otwierać mu oczy na

jednostronność dotychczasowych poglądów. Dowiaduje się o zbrodniczych czynach bandy anarchistów, której był członkiem. To przekształcanie się ideowych anarchistów w pospolitych bandytów zasmuca go głęboko i kto wie? może rzuca pierwszy posiew zwątpienia w czystość idei, której służył. Najważniejszym jednak jest, a przynajmniej w podanych ustępach dziennika najwyraźniej się ujawnia, wpływ kapelana więziennego. Stosunek Alberta do niego jest bardzo charakterystyczny: z początku odnosi się doń więzień z nieufnością i ironją. Wkrótce jednak gorliwość księdza i jego rozum daje mu do myślenia. Kapelan odwiedza młodzieńca często, czasem kilka razy na dzień, prowadzi z nim długie rozmowy, przynosi mu książki, stara się podtrzymać jego działalność umysłową. Wymownie świadczy o rozumie tego kapłana jedno z jego wyrażeń, zanotowane przez Alberta: „Jesteś za mądry, powiedział mi, żeby nie zostać chrześcijaninem". Osobisty urok tego księdza doprowadza Alberta do stwierdzenia, że: „błędem jest myśleć, że księża wogóle są nieuczciwi; oni są szczerzy, ale opanowani przez swe wierzenia". Wpływ argumentów kapelana i samotnych rozmyślań musiał być znaczny, bo w miesiąc później nasz więzień konstatuje: „Można wypaczyć przekonania w więzieniu. Czyżbym stąd wychodząc, miał wejść do kościoła?" Ale zaraz dodaje: „Nie, nie obawiajmy się tej słabości. Moje przekonania są silne i utrwalają się tylko w warunkach obecnego życia" (str. 33). Mimo to czuje jednak, że te przekonania zaczynają się chwiać, bo dodaje o parę wierszy niżej: „Jestem jakby w obszernym tyglu i przechodzę serję przeobrażeń".

Wkrótce zjawia się już wyraźny krytycyzm w stosunku do własnej filozofji: „Zawsze paliłem się do rozumowań, co mnie nieraz do bardzo nierozumnych doprowadzało konkluzyj".

Do takiej więc konkluzji dochodzi młodociany, samorodny filozof po pierwszych kilkunastu miesiącach pracy nad sobą.

Ewolucja w tym kierunku musiała odbywać się i w następnym roku, z którego zapisków nie posiadamy. Gdy zaś dusza Alberta zjawia się znowu, po roku, na scenie naszej

wyobraźni, widzimy w nim znaczną różnicę. Pozbawiony w nowem więzieniu wpływu kapelana, oddalił się nieco od chrystjanizmu. Wyrobił się jednak i pogłębił umysłowo i moralnie, ale... celu jeszcze nie znalazł. W silnej i wymownej rozprawce o systemie więziennym, pisanej z polecenia zarządu więzienia, która jest znakomitym obrazem stanu duszy osamotnionego człowieka, widać, że odczuwa potrzebę zmiany przekonań, potrzebę kierunku i steru. Jak wymownie brzmią te słowa: „Od nas, którzy zdaniem waszem, za podstawę mamy fałszywe uprzedzenia, błędne zasady, instynkty zepsute, ideały nieziszczalne lub niższe od rzeczywistości... jakże żądać możecie, żebyśmy dosięgli prawdy sami, o własnych siłach?" „Bo — dodaje w innem miejscu — zasady mam, chcę je mieć. Chcę je mieć, bo chcę mieć cel, mieć ideał, bo chcę móc powiedzieć: idę tam, a idę taką, a taką drogą; bo chcę być wolą, indywidualnością, a nie łodzią bez steru, rzuconą na fale i skały podwodne" (str. 41—3). W słowach tych zaczyna już pobrzmiewać późniejszy rozpaczliwy ton zapytania: gdzie prawda?! Znikła tu już bez śladu owa pewność siebie, ów bezkrytycyzm w stosunku do wyznawanych zasad, który cechuje pierwsze jego zapiski. Zacznie się zaraz tragiczna rozterka moralna. Teraz Albert jeszcze się łudzi, jeszcze wierzy, że znajdzie oparcie w ziemskiej rzeczy: „Przyjemności się zużywają, zmysły tępieją, wszystko słabnie, gaśnie — prócz radości, jaką daje n a u k a, szukanie, myślenie..." Tak nauka, która istotnie dla wielu najszlachetniejszych dusz jest jedynem oparciem... do czasu.

Rozwijająca się umysłowość Alberta zaczyna znajdować zrozumienie dla religji, w szczególności dla katolicyzmu; jakże ciekawe i znamienne zdania notuje na podstawie Joufroy'ego „O katechiźmie":

„Jest książeczka, z której każą uczyć się dzieciom, a z której później egzaminują je w kościele. Czytajcie tę książeczkę, znajdziecie w niej odpowiedź na wszystkie pytania, na wszystkie bez wyjątku. Zapytajcie chrześcijanina, skąd się wzięła ludzkość, on to wie — dokąd idzie, wie także. Zapytajcie biedaka — choć nad tem się nigdy nie zastanawiał, na co na tym świecie się znajduje i co z nim będzie po śmierci — da wam wzniosłą odpowiedź, której

nie rozumie, ale która będzie godną podziwu". „Pochodzenie rodzaju, sprawy rasy, przeznaczenia człowieka w tem i przyszłem życiu, stosunki człowieka z Bogiem, ludzi pomiędzy sobą, prawa człowieka nad stworzeniem nic mu obcem nie jest". „Wszystko to wychodzi, wszystko wypływa jasno i jakby samo przez się z katechizmu. Oto, co ja nazywam wielką religją — poznaję ją po tym znaku, że żadnego z zagadnień, które ludzkość obchodzą, nie pozostawia bez odpowiedzi" (str. 55 i 56).

Zdaje się, że tu już jest coś więcej, niż zrozumienie — wydaje się, że siła atrakcyjna katolicyzmu zaczyna już działać na „chrześcijańską z natury" duszę Alberta.

Stan niepewności i wahania co do filozofji życiowej zaczyna wzrastać w roku 1915, który poświęca poważnym studjom. Przeczytał mnóstwo książek z zakresu zwłaszcza historji i nauk społecznych. Wśród nich — co ważne dla jego rozwoju — szereg prac socjologicznych, pisanych przez katolików. Odtąd zaczyna się ciągłe wahanie; męczące przerzucanie się z jednego kierunku w drugi, najczęściej pod wpływem ostatniej lektury. Trwa to prawie dwa lata. Zapiski jego zdradzają to nieustannie. Raz budzi się w nim duch ofiary: twierdzi, że zawsze będzie miał odwagę poświęcić się dla tego i dla tych, których kocha — ale zaraz niżej głosi hasło nienawiści do „społeczności robaczywej". Przeciągająca się wojna światowa i jej okrucieństwa, których echo przenika przez mury więzienia, burzy w nim wiarę w postęp moralny ludzkości. Książka de Berra: „Życie i nauka" upaja go bezwyznaniowym filozofizmem, a z drugiej strony, czytając ks. Scaloniego: "Kapitał i praca", zamyśla się wraz z nim poważnie nad niektóremi twierdzeniami socjalizmu i pisze te charakterystyczne słowa: „Czuję oczywistość zasad socjalizmu, ale z zastosowaniem ich zaczekam na lepsze wyjaśnienie i wtedy powezmę decyzję" (str. 67).

Jedno jest jasne wśród tych wahań: oto ideał życia wewnętrznego, życia myśli, zaczyna przeważać w nim stanowczo nad ideałem życia czynu. A dzieje się to zapewne dlatego, że stracił już, nie wiedząc o tem, wiarę w rację bytu tego czynu, który znał dotychczas. Poznaje natomiast

inny rodzaj czynu. Wielkie wrażenie czyni na nim biografja Aleksego Vrithoffa, który zginął, jako 24-letni młodzieniec, przyłączywszy się dobrowolnie do wyprawy, zwalczającej niewolnictwo. To życie i ta śmierć wydają mu się godnemi zazdrości. Filozofowanie męczy go; porzuca też algebrę, która dawała mu miłe zajęcie dla umysłu. Zaczyna marzyć — a wśród tych marzeń pojawia się jedno bardzo już znamienne: „Widziałem siebie dzielącego... chrześcijańskie wierzenia i żyjącego życiem idealnie pięknem i prostem... Niestety, pozostanie to zapewne marzeniem!“ (str. 92).

Wkońcu to szarpanie się w próżni, to błądzenie poomacku, męczy go i nuży straszliwie. Pragnie umrzeć; mówi do śmierci: „Kiedy zechcesz...“. Wątpi nawet w miłość matki: „Straciłem dawne przekonania i... zaczynam wątpić. Tyle jest nieznanego, tajemniczego w wszechświecie... Nie mam już dawnej śmiałości. O jakże wypoczynek, wieczne zapomnienie słodkiem być musi! Jak bezcelową wydaje się próba, która do niczego nie doprowadzi. Bardzo o matce mojej myślę w takich chwilach. Ale moje nędze tutejsze niczego jej nie okupują. Obok radości, jaką jej przyniesie uwolnienie moje, ileż troski będzie miała zarazem? Zbyt dobrze poznałem życie, zbyt wiele straciłem złudzeń, żeby już kiedykolwiek być szczęśliwym. Gdyby mnie matka straciła dzisiaj, lub za lat parę, rana ta szybkoby się zabliźniła. Niepodobna jest nieustannie płakać...“ (str. 101). A w parę dni później jakże ważne wyznanie: „Przejrzałem V. Kinor'a „Portrety autorów“. Portret Rette'go specjalnie mnie zajął. Jest to nawrócony poeta anarchista. Opisał on swoje nawrócenie w książce: „Od szatana do Boga“. Może... to przykład do naśladowania? Kto wie? Wątpliwości męczą mnie...“ (str. 102).

A jednak po tylu latach, mimo tych mąk wewnętrznych, nałogowo niejako trzyma się jeszcze dawnych przekonań i w miesiąc po tem wyznaniu broni ich wobec towarzyszów. Ale to ostatnie błyski mijającej burzy.

Na wiosnę 1916 roku zaczyna się w nim budzić wyraźne pragnienie wiary. Żadna z czytanych książek nie dała mu rozwiązania zagadki, więc chwyta za Ewangelję. Ale wąt-

pliwość, wahanie uderza nań powrotną falą: „I znów pogrążony jestem w strasznej moralnej depresji. Z rękami skrzyżowanemi na stole, najczarniejszym oddaję się myślom, do wszystkiego tracę ochotę. Do djabła wysyłam miłe wczorajsze i dzisiejsze poszukiwania, — tak bezcelowo mi się w tej chwili przedstawiające. Nie mam odwagi do książki, — czytanie mnie drażni, — wydaje mi się, że im więcej czytam, tembardziej grzęznę w niepewności, w myślowych zwątpieniach. Chodzę po celi, wzruszenie pcha myśli do błąkania się bez związku. Usiłuję zapomnieć, że żyję".

Wkońcu porzuca wszystko. Prosi, by mu odtąd książek poważnej treści nie przysyłano. W parę dni później przerywa też pisanie dziennika.

A więc rozwój duchowy Alberta w ostatnich latach, to stopniowe zniżanie się od młodzieńczego, lekkomyślnego upojenia siłą własnego umysłu do sceptycyzmu wobec dawnych wierzeń. Wikłanie się w tysiącach szczegółów — coraz silniejsze fale, uderzające w posągi dawnych wiar, doprowadzają go do coraz głębszego upadku. To, w co wierzył dotychczas i czem krzepił się dotychczas: zasady komunistyczne, ślepa wiara w naukę, miłość matki przestały mu wystarczać. Równocześnie działające wpływy chrześcijańskie nie zdobyły go jeszcze. Depresja moralna i fizyczna go ogarnia — myśli samobójcze — rozstrój ciała i ducha — wkońcu znużenie i apatja.

I oto w tym opuszczonym domu zjawia się łaska Boża. Przełom, tak długo przygotowywany rozwojem psychologicznym następuje teraz nagle. Zdarzeniem przypadkowem, a decydującem, tą ostatnią kroplą, przepełniającą naczynie jest nawrócenie jego przyjaciela i wspólnika Marcelego. Albert rzuca się ku Bogu z gwałtownością, właściwą jego gorącej naturze. List, w którym opisuje swe nawrócenie Marcelemu jest wspaniałym obrazem szczęścia człowieka, odzyskującego wiarę po strasznych torturach zwątpienia. Nie mogę powstrzymać się od zacytowania zeń kilku ustępów. Niech on sam powie nam o swem szczęściu: „Tyle się naanalizowałem, tyle nagrzebałem w pojęciu o Dobrem, o Złem, o Prawdzie i Fałszu, że wkońcu poplątało mi się to wszystko

w jeden kłąb. I miesiącami całemi błąkałem się w tym ogólnym chaosie i zwątpieniu, zmieniając codziennie sofizmaty, zawsze spragniony wiedzieć, a zawsze nie wiedzący... W ostatnich czasach odmawiałem przyjęcia książek do czytania, chcąc uciec od nawału myśli, uciec od samego siebie, od wątpliwości, w nadziei znalezienia nieco wytchnienia, jeżeli nie spokoju, rzucając się w płaską obojętność, lub znieczulając wrażliwość myślową w matematycznych ćwiczeniach.

Próżne wykręty! Nie łatwo znaleźć próżnię, a w próżni znaleść uspokojenie. Dodaj do tej wewnętrznej nędzy rozpaczliwe myśli, spowodowane tą nieszczęsną wojną; tyle energij zmarnowanych, tyle krwi przelanej, tyle łez wylanych, tyle nienawiści podsycanych — sprzeczności w tym złudnym „postępie" moralnym, którego chwytałem się jeszcze. I jeżeli ci powiem, że zamierzałem napisać rozprawę o samobójstwie nie zadziwisz się zapewne".

„Wtedy to rozpoczęły się konferencje rekolekcyjne. Nie mogłem się oprzeć pragnieniu słuchania ich. Tak samo, jak ty, uderzony zostałem kontrastem naszych zawiłych spekulacyj myślowych z jasnością tych doktryn, tak prostych, a tak silnych, tak kompletnych, tak uspokajających".

„Podczas konferencji środowej zalałem się łzami... Już nie jak dawniej, łzami, pochodzącemi ze zbuntowanej bezsilności mojej, ale łzami szczeremi, naturalnemi, idącemi z serca..."

Ale i to głębokie wzruszenie nie nawróciło go jeszcze: „Od ostatnich konferencyj czułem, że coś się we mnie łamie, miałem wrażenie, że coś się we mnie rozpada na strzępy. Nigdy nie miałem duszy tak wzburzonej, jak w tym ostatnim tygodniu... Ze łzami w oczach modliłem się wieczorem — nazajutrz szydziłem z tej słabości mojej... Kto zwycięży: Bóg czy szatan, nie wiedziałem. Czas uchodził... Przewidywałem, że tylko jakieś nagłe zdarzenie będzie mogło dać potrzebny impuls do postawienia ostatecznego kroku". „Było niem nawrócenie twoje, przyjacielu drogi".

„Pragnę teraz myśleć tylko o przyszłości. Jak się ona nagle rozprzestrzenia! Jak słodko jest uciec nareszcie od zimnego i wstrętnego poczucia nicości ostatecznej, nicości tak niepewnej! Jak pięknem przedstawia się życie, które się

dla nas rozpoczyna! Móc nareszcie myśleć i działać logicznie, nie czuć już udręczeń duszy, usychającej w wątpliwościach myślowych, sparaliżowanej woli — przeciwnie zaznać wielkiego spokoju, uciszenia serça".

W dwa miesiące po nawróceniu zaczął Albert na nowo pisać swój „Dziennik". Niepodobna opisać wrażenia, którego się doznaje, czytając te karty. Zupełnie jakgdyby wyszło się z ponurej głębi ciemnicy, na pełny blask słońca, w cudny letni dzień, pełen błękitu. Im bardziej nużące i męczące były ostatnie karty pierwszej części książki, tem wspanialszy kontrast odczuwa się w tej części drugiej. Teraz to już nie mozolna, nużąca, denerwująca szarpanina — to pogodny, wspaniały rozwój duszy. Wszystkie dawne piękne zalety Alberta odżywają — i to odżywają w nowej postaci i we wzmożonej sile. Stosunek jego do wykonywanej pracy do regulaminu więziennego, do towarzyszy — wszystko się zmienia.

W pierwszej chwili upojenie nowemi wrażeniami sprowadza chwilowy zastój umysłowy — Albert czyta tylko książki apologetyczne i robi z nich wypisy. Wkrótce jednak umysł jego zaczyna pracować i to ze wzmożoną siłą. Jaka n. p. dojrzałość, spokój i precyzja sądu w jego ocenie „Wyznań" Św. Augustyna. Jak bystre spostrzeżenia psychologiczne nad stanem umysłu człowieka, skazanego na samotność. Jak trafne i jak dojrzałe są uwagi, pisane (z polecenia zarządu więzienia) przez tego ukaranego o systemie karnym, o celu i sposobie karania. — Rozwój umysłowy jest widoczny: rozumowanie bardziej objektywne: styl nabiera żywości, jędrności i plastyki. Przedtem zagłębiał się prawie wyłącznie we własnem ja; teraz zwraca pogodne oczy na świat zewnętrzny. Z ogromnem zajęciem i baczną uwagą obserwuje życie przyrody — podziwia zastępy mrówek, walczących z mszycami, zachwyca się sprawnością lotu jaskółek, hoduje w swej celi gąsienice, obserwując ich przeobrażenia. Budzi się w nim zrozumienie dla sztuki i wyższy pogląd na sztukę. Z ponurego szperacza-subjetywisty staje się objektywistą, pełnym pogody i optymizmu. Przejście to — to dowód wzrastającej dojrzałości ducha, spowodowanej na-

turalnym rozwojem z jednej strony, z drugiej strony jednak i w znacznie większej mierze nadnaturalnem działaniem łaski Bożej.

Ciekawem i wzruszającem jest też obserwować, jak wraz z miłością Boga, budzi się w nim miłość ludzi. Dawniej kochał ludzkość — ale to było uczucie wyrozumowane. Teraz budzi się w nim dobroć, współczucie, miłość bliźniego. Nie kocha już „ludzkości" — jakiegoś abstraktu — ale kocha ludzi poszczególnych. Szczere współczucie ogarnia go, gdy słyszy płacz sąsiada w celi. Lituje się nad „biednym Niemcem", a więc nieprzyjacielem ojczyzny, gdy widzi, jak ten daremnie szuka rozwiązania zagadki, wytłumaczenia celu i odgadnięcia końca wojny. Bo — i rzecz to jedna z najważniejszych — wraz z powrotem do Boga, rozkwita w jego duszy patrjotyzm, którego śladów daremnie byłoby upatrywać poprzednio; i to nie patrjotyzm-instynkt, czasem okrutny, zwykle niechrześcijański, ale patrjotyzm-uczucie, czysty i szlachetny. Obok patrjotyzmu, równie silnie rozbrzmiewa w jego duszy szczytny humanitaryzm. Powraca zachwiana miłość do matki. Stosunek do narzeczonej, która jednak dziwnie mało miejsca zajmowała w jego życiu, zmienia się: zamierza wprawdzie dotrzymać danego jej słowa, jeśli ona tego zapragnie, ma jednak nadzieję, że uda mu się przekonać ją, by osobiste uczucie poświęcili dla wyższego celu. A tym celem bezpośrednim, który rysuje się teraz jasno na horyzoncie przyszłego życia, to praca wśród czarnych braci w Afryce. Plan ten wzmacnia jego energję. Teraz gdy odnalazł znaczenie życia, popęd do czynu, właściwy mu w najpierwszej młodości, budzi się z nową siłą. — A więc we wszystkiem daje się odczuwać to wypłynięnie z ciemności, z burzy i zamętu na szerokie wody, spokojne, niezmierzone, oświecone najpiękniejszą pogodą.

Najważniejszem jest i z tego zdaje sobie Albert jasno sprawę, że ten piękny rozkwit duchowy zawdzięcza on działaniu łaski Bożej; stwierdza to po wiele razy, najwymowniej może w tych słowach: „Siła, którą odczuwam jest nadto nadzwyczajną, nadto inną od wszystkiego, czego kiedykolwiek doznałem, żebym mógł mieć jakiekolwiek złudzenie. Tembardziej, że wysiłek osobisty, z którego najzupełniej

zdaję sobie sprawę, jest o dziesięć razy mniejszy od dawnego, podczas, gdy wyników porównać nawet nie można. Jestto przedmiot, o którym wiele mylnych wydałem sądów. Obliczałem wpływ wiary w Boga, jako wpływ naturalny... Biedny głupiec! Trzeba było naprzód spróbować, naprzód doświadczyć, zamiast rozsądzać w próżni — a rozumować potem". „....ten wpływ nadnaturalny jest dla mnie i we mnie namacalny, dotykalny, objawiający się faktami, wykluczającemi jakąkolwiek możliwość wątpliwości. Niepodobna inaczej zakończyć jak modlitwą: „Boże, który mi dałeś łaskę wiary, udziel mi także siły, abym żył według przykazań twoich". Wiem, że nie mówię tego na wiatr".

Książka ks. Salsmansa zasługuje na jaknajszersze rozpowszechnienie. Wyznania Alberta mogą mieć znaczenie jako materjał naukowy dla psychologa, nawet w tej formie, w jakiej zostały wydane — mogą mieć toż samo znaczenie dla teoretyków prawa, a wartość praktyczną dla tych, co mniej lub więcej bezpośrednio stykają się ze skazańcami i mogą wpływać na ich los. Ale to rzeczy drugorzędne. Najważniejszem jest znaczenie apologetyczne książki i jak z całego jej układu widać została wydana w celach apologetycznych. Nadaje się zwłaszcza dla młodzieży w wieku Alberta, lub nieco młodszej, dla tej młodzieży, w której duszach odbywa się zwykle ferment, w której najrozmaitsze idee, nieraz ogromnej doniosłości walczą z sobą, w której wszystkie wielkie zagadnienia ludzkości podnoszą bunt, domagając się głośno odpowiedzi; w której jeszcze szaleje chaos, nim się zeń wyłoni świat filozofji życiowej. Duża ścisłość rozumowań, a obok tego umiarkowany patos — może łatwo torować drogę do tych właśnie młodych umysłów, którym logika imponuje, a patos zapala. Przytem werwa rozumowań, lekkość i wdzięk w ujęciu trudnych zagadnień — te typowe właściwości umysłów rasy łacińskiej, które tu objawiły się w prostym robotniku — mogą także działać przyciągająco. Ważnym momentem apologetycznym jest też i sama osobowość nawróconego. Nie jest to słaby charakter i umysł bezkrytyczny, któryby się nawrócił łatwo pod wpływem cudzej namowy i znużenia więzieniem: prze-

ciwnie jest to człowiek silny, który takim pozostaje i po nawróceniu i tem dowodniej świadczy o sile atrakcyjnej katolicyzmu. Ogromne jest też bogactwo myśli i zdań apologetycznych, zwłaszcza w drugiej części opowiadania. Książki, które czyta Albert — klasyczne podstawy chrystjanizmu — stanowią też doskonałą wskazówkę dla tego, kto pragnie lepiej zapoznać się z naszą wiarą.

Powtóre należy pragnąć, by historja duszy Alberta dostała się w ręce ludzi, przejętych doktryną socjalistyczną, a zwłaszcza robotników. Tym może podobać się analogja życia i pracy Alberta do ich własnych przeżyć. Przytem tolerancyjne traktowanie zasad anarchistycznych, nie nagłe ich zniszczenie, lecz stopniowe i nieznaczne prawie ich bankructwo w umyśle Alberta może działać bardzo przekonywująco. — Czy wreszcie i więzień-skazaniec, czytając życie i myśli tego aresztanta, nie znalazłby w nich wskazówek dla siebie? Tu oczywiście wskazana jest pewna ostrożność — należałoby książkę tę dawać w ręce ludzi dobrej woli i choć trochę wykształconych, którychby ta lektura nie znużyła. Bo oczywiście warunkiem koniecznym oddziałania książki jest przeczytanie jej w całości.

Dla wierzącego wreszcie inteligenta wypływają z tej książki dwie nauki: pierwsza to wskazanie, że łaska boża do działania na ziemi wzywa do współdziałania ludzi dobrej woli. Kto wie, czy Albert nawróciłby się, gdyby nie wpływ gorliwego i rozumnego kapłana w pierwszym roku jego pobytu w więzieniu, gdyby nie racjonalne postępowanie dyrektora więzienia, katolika, który zdobywa sobie najwyższy szacunek, a nawet miłość więźnia, obcując z nim, jak z bratem w Chrystusie. A druga nauka płynąca z książki to niejako wołanie: Patrzcie, jakim skarbem jest wiara — wy, którzy posiadacie ją od dzieciństwa, nie ceniąc, patrzcie, jak cierpi człowiek, który jej nie zna — jakiem szczęściem przejmuje go jej poznanie!

Na zakończenie można powtórzyć: niezwykła książka! Rozwój bohatera odbywa się w sposób tak logiczny, niemal klasyczny — stopniowe zapadanie ducha w coraz głębszą przepaść, a potem nagłe wyniesienie go na światło dzienne

stanowi tak silny efekt artystyczny — połączenie prawowierności katolickiej i świętego prawie stanu duszy z tak bardzo ludzkiem równocześnie zainteresowaniem światem zewnętrznym i pełną temperamentu uśmiechniętą młodością, stanowi urok niezwykły, przykuwający do drugiej części książki — styl piękny, żywy, a poważny zarazem — to wszystko są właściwości, które sprawiają, że wprost wierzyć się nie chce w autentyczność książki, w istnienie Alberta. Książka wydaje się być tworem pisarza, działającego z całą świadomością zamiaru apologetycznego i artystycznego. Wiemy jednak z pewnego źródła, że tak nie jest: wiemy, że Albert, którego nazwiska wydawca dla ważnych powodów, przedewszystkiem przez wzgląd na żyjącą jeszcze rodzinę, podać nie chciał, czy nie mógł, istniał rzeczywiście i notatki jego, ogłoszone przez ks. Salsmansa, są istotnie tworem jego ręki i ducha. — Więc przypisując wydawcy część zasługi, że książką przez rozumny i świadomie artystyczny układ sprawia taki efekt i tak wielkie wrażenie, jesteśmy przekonani, że to sam nawrócony spisał autentyczną historję swego życia. Przytem niema w niej nic nieprawdopodobnego — nie jest ona pierwszą i nie ostatnią historją widomego działania Opatrzności Bożej. A nam, patrzącym na te cuda, które Ojciec Niebieski zdziałał w pięknej duszy Alberta i które sprawia nieustannie w duszach tylu marnotrawnych swych dzieci, nie pozostaje nic innego, jak powtórzyć te słowa najwyższej modlitwy: „Święć się imię Twoje..."

*Dr. Zofja Ciechanowska.*

# O Kolegjum duchowne w Petersburgu.

Artykuł niniejszy jest wstępem drukującej się książki francuskiej „Le Saint Siège et la Russie" t. II. Umieszczając jeden z jej rozdziałów, za pozwoleniem autora, w naszem czasopiśmie, chcielibyśmy zwrócić uwagę polskich czytelników na dzieło niezmiernej wagi dla historji naszego Kościoła.

*Redakcja.*

## I.

Znakomity projekt, o którym mówił Gorczakow, nie czekał na powrót cesarza, aby otrzymać jego podpis: miał go już. 10 (22) kwietnia i 2 (14) maja radzono nad nim w komitecie dla spraw polskich. 10 (22) maja, na cztery dni przed wyjazdem do Paryża, Aleksander II zatwierdził go. Dlaczego mówiono o projekcie Mgr. Chigi, kiedy chodziło o fakt dokonany? Ze strony kanclerza nie było to nieświadomością, takie przypuszczenie jest nieprawdopodobnem; było to raczej wyrachowane udawanie.

W raporcie do Senatu, który służy za wstęp do aktu z 10 (22) maja, minister spraw wewnętrznych mówił:

„... Podstawowa zasada tolerancji religijnej w Rosji nie może ulec żadnej zmianie, nawet w okolicznościach obecnych i ... wszystko, co należy do spraw sumienia, ma pozostać nienaruszone; ale ... sprawy sumienia, wyrażające się w czynach, wychodzące z dziedziny duchowej, aby wejść w dziedzinę życia publicznego, muszą być poddane kontroli rządu, który nie może zaniedbać obowiązku dozoru ze względu na dobro ogólne" [1]).

[1]) Ten wstęp, zakomunikowany Mgr. Chigi przez barona de Budberg, przesłał tenże Kard. Antonellemu 14 sierpnia 1867 r. Cf. Chigi do Antonellego, 14 sierpnia 1867 r., *Æ, Russia,* XX, 251—252, i dodatki 253—254.

Według tego prawa dozoru, wszystkie sprawy, dotyczące katolików, które papież miał rozstrzygać, jako głowa ich Kościoła, przechodziły do Kolegjum duchownego rzymsko-katolickiego w Petersburgu. Tam to mieli je przedstawiać wszyscy biskupi, tak Królestwa Polskiego, jak cesarstwa, nawet arcybiskup mohilewski (art. 1). Jeśli Kolegjum orzeknie, że przedstawiona mu sprawa nie wchodzi w zakres jego władzy, lecz wymaga zwrócenia się do papieża, w takim razie „orzeka, nakazując przesłanie sprawy do decyzji papieskiej i powierza prezydującemu Kolegjum staranie przedłożenia jej papieżowi w drodze najodpowiedniejszej" (art. 2). „Zaraz po otrzymaniu decyzji papieża, jakiejkolwiek natury, wszystkie bulle, breve, instrukcje i wogóle wszystkie akta pisane, jakąkolwiek noszą nazwę, mają być natychmiast, przed wszelkiem ogłoszeniem, albo rozporządzeniem wykonawczem z nich wynikającem, złożone w oryginale przez prezydującego Kolegjum ministrowi spraw wewnętrznych, który pozwala na wykonanie sprawy, przekonawszy się, że rzeczone akta nie zawierają nic przeciwnego prawu państwowemu, ani prawom i przywilejom świętym władzy samorządnej panującego" (art. 3). Te rozporządzenia obowiązują ściśle „duchownych, zamianowanych przez władzę najwyższą na urzędy arcybiskupów, metropolitów i biskupów diecezjalnych, do proszenia papieża o zatwierdzenie kanoniczne" i władzę potrzebną do zarządu diecezyj. To samo stosuje się do biskupów, sufraganów czyli koadjutorów, wikarjuszów kapitularnych i administratorów diecezjalnych, jakikolwiek nosiliby tytuł" (art. 4).

„Żaden akt, bulla, breve, instrukcja, wskazówki, albo rozporządzenia jakiekolwiek papieża i jego rządu nie mają mocy prawa na terytorjum cesarstwa rosyjskiego, nie wyłączając Królestwa Polskiego, jeśli nie nadeszły drogą wyżej oznaczoną i nie zostały przedłożone uprzednio ministrowi spraw wewnętrznych (art. 5). W razie przekroczenia tych zarządzeń, oprócz tego, że decyzje, otrzymane nielegalnie z Rzymu, będą uważane za niebyłe, osoby winne utrzymywania z papieżem lub jego rządem stosunków inną drogą, niż ustanowioną przez obecne zarządzenie, tak samo, jak osoby, które drogą nielegalną otrzymałyby od papieża lub jego rządu, albo duchownych, zamieszkałych zagranicą, bulle, akta, breve, instrukcje i decyzje jakiekolwiek i nie przedłożyłyby

ich natychmiast, przed ogłoszeniem, miejscowemu urzędowi albo ministrowi spraw wewnętrznych, podlegają karze i grzywnie, nakładanej przez trybunały, albo drogą administracyjną, stosownie do prawa szczegółowego w tej sprawie" [1]) (art. 6).

Wykazaliśmy na innem miejscu, [2]) z punktu widzenia dogmatycznego i prawniczego, że Kolegjum duchowne było instytucją potworną. Biskup, głowa i najwyższy, po papieżu, sędzia swojej diecezji, był zmuszonym do poddawania niektórych swoich aktów badaniu sądowi rady, nie mającej żadnego uprawnienia kanonicznego, na czele której stał, jako sędzia i przełożony, asesor z jego diecezji, a więc jego podwładny! Gdyby kazano urzędnikom, prawnikom, policjantom lub żandarmom badać i cenzurować pisma, wymieniane między Rzymem a biskupem, możnaby to zrozumieć; byłaby to prosta tyranja, szczera i otwarta, gwałt, któremu uleganoby bez uszczerbku dla swojej czci. Ale powierzanie tego zadania księżom w sutannach, karykaturze sądu kościelnego, to było absurdem obłudy. Bo Kolegjum nie ograniczało się do roli biernego pośrednika między Rzymem a biskupami. Miało każdy wypadek rozważyć, osądzić, wydać orzeczenie, stawiając tak przed swój sąd i biskupów i, pośrednio, samego papieża. Żadna decyzja Rzymu nie mogła być wykonana, jeśli nie godziła się „z prawami państwa" albo „z prawami i przywilejami świętemi władzy absolutnej panującego": tak brzmiał ukaz. Wszelkie odwołanie się do Rzymu, nie stososujące się do tych ustaw, praw i przywilejów, miało być bezwzględnie zatrzymane: taki był duch ukazu.

Sędziowie tego dziwnego trybunału nie mieli się stosować do prawa kanonicznego, nie mogli też z niego korzystać. Byli sługami i agentami prawa monarszego, to znaczy samowoli autokraty prawosławnego. Stwierdźmy to jeszcze raz, że pod tą flagą przemycano lichy towar: żywe i zastarzałe urazy do Kościoła katolickiego i jego głowy

[1]) Podczas układów o Kolegjum, Kapnist dostarczył między innymi oficjalny przekład francuski ukazu z 10 (22) maja 1867 r.: *AE, Russia* (Tak się cytuje teczki z papierami, dotyczącemi Rosji, w archiwum Kongr. dla spraw nadzw.) XX, cz. 2, 525. O. Lescoeur przytacza go prawie dosłownie. II, 188—190. Cf. tekst rosyjski w *Polnoje sobranje zak.*. II, XLII, cz. 1, 467—468, nr. 44.547.

[2]) W „Le Saint Siège et la Russie", t. 1.

„papieża rzymskiego", głęboko zakorzenione z biegiem czasu w rozumach biurokratów moskiewskich. Pomimo całej szkodliwości Kolegjum znalazł się biskup dość słaby, by stanąć na jego czele i stać się głównym wykonawcą ukazu z 10 (22) maja 1867 r. Był nim ks. Maksymiljan Staniewski, wikarjusz kapitularny diecezji mohylewskiej.

Arcybiskup mohylewski, Wacław Żyliński, umarł 25 kwietnia (7 maja) 1863 r., po długiej i ciężkiej chorobie. Niezmiernie słaby i lękliwy, ustępował z widowni w sam raz, bo odwaga jego byłaby się napewno zachwiała w ciężkich doświadczeniach, jakie nadchodziły dla Kościoła katolickiego w Rosji. Wspomnijmy jednak jeden fakt na jego pochwałę. W styczniu 1862 r., nie wiadomo pod czyim wpływem, w porozumieniu z biskupami cesarstwa, zachęcony przez biskupów Królestwa, wniósł do cesarza prośbę o pewną przynajmniej wolność dla katolików rzymskich.[1]) Liberalizm Aleksandra II pozostał głuchym na tę prośbę.

W czasie powstania polskiego o biskupach cesarstwa nie wiele było do mówienia, z wyjątkiem wileńskiego, Krasińskiego, wygnanego w r. 1864. Biskup kamieniecki, Fiałkowski, wygnany w r. 1866 po zniesieniu jego diecezji, nie uczynił nic zasługującego na tak surową karę. Zacny biskup łucko-żytomierski, Borowski, kilku utarczkami z rządem wzniecił poważniejszą ku sobie niechęć. Biskup Maciej Wołonczewski, usunięty z Worń, dawnej siedziby biskupów żmudzkich, był zmuszony zamieszkać w Kownie, które odtąd stało się stolicą tej rozległej diecezji; ale ścisły nadzór, jakim go otoczono, nie zdołał zmniejszyć jego gorliwości. Biskup Staniewski został kanonicznie obrany na wikarjusza kapitularnego po śmierci arcybiskupa Żylińskiego; minister go zatwierdził; Rzym nie sprzeciwił się, i tak doszedł do władzy niepostrzeżenie. W Petersburgu nie spieszono się z rokowaniami o obsadzenie arcybiskupstwa, a w Rzymie czekano cierpliwie. Chwilowo łudzono się, że arcybiskup Feliński będzie mógł przenieść się z Warszawy i zająć miejsce arcybiskupa Żylińskiego. Ale nie ulega wątpliwości,

[1]) *Esposizione documentata* LXVII, 121-214. (Tak cytujemy zbiór dokumentów, ogłoszonych przez Stolicę św. w r. 1870).

że rząd rosyjski usunąłby każdego innego kandydata, oprócz Staniewskiego. Ze swego punktu widzenia nie mógł pragnąć lepszego. Staniewski nigdy nie odznaczał się energją i odwagą; wiek i choroby zniszczyły je do szczętu. Zasady jego znane były w Petersburgu; nie sprzeciwiał się rządowi. Rzym nie znał ich napewno. Nagle stały mu się jasne.

Jaką drogą ukaz z 22 maja doszedł do wiadomości Watykanu? Nie wiadomo napewno. Prasa go ogłosiła, a usłużny Kapnist, mający oryginalny egzemplarz, zawiadomił o tem zapewne Sekretarza Stanu. W każdym razie 14 sierpnia 1867 r. papież miał w rękach list datowany 22 lipca (3 sierpnia) i podpisany przez biskupa Staniewskiego.[1]) Biskup przypominał najpierw Ojcu św. drogę legalną, jaką prawo przepisywało dla korespondencji z Rzymem.

„Spodobało się teraz, dodawał, najjaśniejszemu naszemu cesarzowi, Aleksandrowi II, złagodzić tę drogę. 10 maja b. r. wydał najwyższy rozkaz, według którego wszystkie listy z cesarstwa i Królestwa Polskiego, przeznaczone dla Stolicy Świętej, mają być oddawane mnie, rezydującemu obecnie w Petersburgu w charakterze wikarjusza kapitularnego mohylewskiego, abym ja sam wysyłał je do Rzymu pod adresem Stolicy Świętej. Zawiadomiono mnie o tym ukazie Jego Cesarskiej Mości, jak i wszystkich biskupów diecezjalnych cesarstwa i Królestwa, listem Jego Ekscelencji ministra spraw wewnętrznych z dn. 10 czerwca b. r., nakazując równocześnie natychmiastowe wykonanie ukazu.

„Wszyscy biskupi katoliccy Rosji i Polski, pisał dalej Staniewski, przyjęli rozkaz cesarski z należnym szacunkiem i wdzięcznością. Dowodem tego, że zaraz po ogłoszeniu tej woli cesarskiej, nadeszły do mnie od wszystkich prawie biskupów diecezjalnych listy, adresowane do Stolicy Świętej. Rzeczywiście, ten dekret cesarski nie tylko daje, ale zapewnia katolikom wolność zwracania się w sprawach duchownych do Stolicy Apostolskiej, do tej błogosławionej Stolicy, której silną wiarę wszyscy uznajemy, jako ośrodek jedności i głowę Kościoła katolickiego, pod której duchowną władzą żyjemy i żyć i umierać pragniemy. Jesteśmy więc bardzo szczęśliwi, że możemy, dzięki łaskawości rządu, złożyć nasze duchowne sprawy i uczucia dziecięcej miłości u stóp Waszej Świątobliwości.

---

[1]) Staniewski do Piusa IX, 22 lipca (3 sierpnia) 1867 r. *AE, Russia*, XX, 3—4. 61 próśb, dołączonych do niego, znajduje się w tym samym tomie, 117-206.

„Wobec tego uważałem za swój obowiązek uprzedzić Stolicę Świętą z całym szacunkiem i pokorą, i zawiadomić, o ile mnie dotyczy, o nowym sposobie, nakazanym przez rząd, przesyłania Waszej Świątobliwości wszystkich listów z cesarstwa rosyjskiego i Królestwa Polskiego. Zaznaczam równocześnie, że dołożę wszelkich starań, aby wszystkie listy, jakie otrzymałem już od biskupów diecezjalnych, były przesłane do Rzymu w możliwie najkrótszym czasie, z obawy, aby przez opóźnienie duchowne sprawy tych, którzy się odnoszą do Stolicy Świętej, nie odniosły szkody".

Rzeczywiście, do listu tego dołączonych było sześćdziesiąt jeden listów z prośbami różnych diecezyj. W niektórych zakonnicy prosili o sekularyzację. Większość listów były to prośby o dyspensy małżeńskie. W kilku z tych wypadków prawo przepisywało zapłacenie taksy. Przekazy bankowe na odnośne kwoty dołączone były do tej dziwnej przesyłki pod adresem papieża, jakby chodziło o wypłatę bez ceremonij paru groszy swemu podwładnemu.

Pius IX, w ciągu swego długiego pontyfikatu, nie wiele pewnie otrzymał listów tak wstrętnie niskich. Nieszczęsny biskup, z naiwną bezczelnością śmiał napisać prawdziwy panegiryk aktu z 22 maja. Oświadczał, że jest nim zachwycony i śpiewał na cześć najjaśniejszego cesarza hymn wdzięczności. Wyrazy szacunku, uległości, nawet miłości, wypowiadane względem Najwyższego Pasterza, wyglądały wobec tego na drwiny. Ostatecznie był to policzek, wymierzony papieżowi ręką tego biskupa, tak wyraźnie uszczęśliwionego swoją rolą pachołka na żołdzie cara i jego rządu. Pius IX odczuł obelgę. Pismem, zdradzającem wzburzenie, nakreślił na liście biskupa Staniewskiego, pod datą 14 sierpnia, te słowa: „*Alla persecuzione si vuole aggiungere l'insulta* — do prześladowania chcą dodać obelgę". Napiętnowany tą zasłużoną uwagą, poszedł list Staniewskiego do aktów razem z ukazem z 22 maja, ostatniem sprawozdaniem Mgr. Chigi z jego rokowań z Aleksandrem II i Gorczakowem i innemi dokumentami, zdolnemi wyjaśnić tę smutną sprawę. Zbadanie jej polecono O. Tarquini. 29 września 1867 r. dziesięciu kardynałów miało radzić nad jego wnioskami i wypowiedzieć swoje zdanie. [1])

[1]) Sess. nr. 387 Kongregacji do nadzwyczajnych spraw kościelnych z 29 września 1867 r., *AE, Rapporti,* XXVII, 413—423.

## II.

Zastanawiano się najpierw, co należało zrobić z listem biskupa Staniewskiego. Jeden głos był za przebaczeniem. Stolica Święta patrzyła dotąd przez palce na istnienie osławionego Kolegjum; oficjalnie nigdy na nie nie zwracano uwagi. Czy to nie było okolicznością łagodzącą? A więc albo nie dać wcale odpowiedzi, albo ułożyć ją w słowach łagodnych. Ale znaczna większość kardynałów nie kierowała się temi względami nadzwyczajnej łaskawości. Po liście biskupa Staniewskiego bierne stanowisko Stolicy Świętej względem Kolegjum nie było już na miejscu. Dzięki karygodnemu wystąpieniu biskupa Staniewskiego, papież, oficjalnie, wiedział już o wszystkiem: i o ukazie z 10 (22) maja, i o zadaniu powierzonem biskupowi, i o gorliwem przyjęciu przezeń włożonej nań roli. Zresztą nieścisłem byłoby twierdzenie, że Rzym nigdy nie wypowiedział swego zapatrywania na Kolegjum w Petersburgu. W długim memorjale z 30 grudnia 1845 r., złożonym przez Lambruschiniego Nesselrodemu, po wizycie Mikołaja I, zanotowano pewne jego nadużycia, podkreślono jego niekanoniczny charakter; pisano, że biskupowi diecezjalnemu i jego konsystorzowi wyznaczono, w razie konfliktu, „trzeciego sędziego, Kolegjum duchowne w Petersburgu, które nigdy nie było i nie może być uznane przez Stolicę Świętą". Znacznie później, 12 maja 1863 r., komisja Oświecenia Publicznego i Wyznań, ustanowiona w Warszawie, i Rada rzymsko-katolicka, utworzona w jej łonie, były przedmiotem najżywszych reklamacyj. Ta Rada służalczo odtwarzała Kolegjum.

„Wobec układów, zatwierdzonych w Konkordacie, pisał kardynał Antonelli, Ojciec św. spodziewał się zniesienia Kolegjum duchownego rzymsko-katolickiego w Petersburgu, instytucji niekanonicznej, chociaż składa się z duchownych, przedstawiających ordynarjuszów różnych diecezyj, i przewodniczy jej arcybiskup tej prowincji. Tymczasem z żalem dowiaduje się, że ukaz Jego Cesarskiej Mości zatwierdził dla kościelnej prowincji warszawskiej instytucję znacznie gorszą, mianowicie Komisję, o której mowa". [1])

---

[1]) *Esposizione delle principale leggi Imperiali...*, AE, *Russia*, VIII, 347—356.

Wobec tego postanowiono, że biskup Staniewski otrzyma naganę, na jaką zasłużył. Nie mógł wymawiać się nieświadomością: więc odpisać mu ostro i wypowiedzieć otwarcie zapatrywanie na Kolegjum, któremu biskup zgodził się przewodniczyć, i na ukaz, wykonania którego się podjął.

Co się tyczy próśb, które biskup Staniewski tak nietaktownie przesłał do Ojca św., znaleziono wyjście. Ściśle logicznie biorąc, skoro nie uznawano Kolegjum, należało nie uwzględniać nic, co pochodziło z tego nieczystego źródła, i znosić się jedynie z poszczególnymi biskupami. Ale w ten sposób narażało się na szkodę dobro wiernych. Ci nie mogli obejść się bez odnoszenia się do Rzymu i nie byli odpowiedzialni za działalność rządu i naganne postępowanie biskupa, który był tegoż wspólnikiem. Wrzucić, jak się mówi, ich prośby do kosza, znaczyłoby ukarać niewinnych i nie omieszkanoby w Petersburgu zwalić na Stolicę Świętą całej winy za tak surowe postępowanie. Zdawało się, że będzie lepiej uwzględnić prośby, pochodzące przecież od biskupów diecezjalnych, i polecić Datarji wysłanie dyspens pocztą, wprost do interesowanych biskupów. Żaden z tych sposobów nie otrzymał większości głosów: pięciu kardynałów skłaniało się ku pierwszemu; pięciu innych ku drugiemu. Podsekretarz Kongregacji do spraw kościelnych, Mgr. Ferrari, obecny przy naradach, otrzymał polecenie zdania sprawy papieżowi i zapytania o jego rozkazy.

Znaną jest przysłowiowa dobroć Piusa IX. Rozstrzygnął na korzyść wiernych i własnoręcznie skreślił swą wolę na marginesie sprawozdania: „Jeśli do próśb o dyspensy, pisał, dołączone są listy poświadczające biskupów, można doskonale uwzględnić je w sposób oznaczony przez część kardynałów obradujących. Ale w żadnym razie nie należy brać pieniędzy, gdyż przysłano je papieżowi w sposób ubliżający, a więc należy odmówić przyjęcia przekazów bankowych".

Inna wielka niesprawiedliwość rządu rosyjskiego była poddana pod rozwagę kardynałów na tem samem posiedzeniu. Ukaz cesarski z 22 maja 1867 r. zniósł diecezję podlaską, przyłączając ją do lubelskiej. 20 lipca, listem, przesłanym za pośrednictwem rządu, złożony ze swej godności biskup Szymański donosił papieżowi tę smutną no-

winę.[1]) Polecał swój nieszczęśliwy Kościół opiece Ojca św. i oświadczał, że poddaje się zgóry wszelkim zarządzeniom, jakie spodoba mu się wydać. Ze swej strony, wikarjusz kapitularny lubelski, ks. Kazimierz Sosnowski, zwracał się 13 lipca do Rzymu za pośrednictwem Kolegjum, przedstawiając smutne położenie zniesionej diecezji i prosząc o pozwolenie objęcia jej zarządu. Przez ten gwałt rząd carski mścił się za udział duchowieństwa podlaskiego w powstaniu polskiem; uderzał w biskupa, szczególnie uwielbianego przez unitów, bardzo licznych w tej okolicy, za szczególną opiekę, jaką ich otaczał; pozbawiał ich w ten sposób możnej pomocy przeciw napaściom najzawziętszych nieprzyjaciół Rzymu. Nie było już Czerkaskiego do wymierzenia tego ciosu; ale on go przygotował. Biskupa Szymańskiego, złamanego wiekiem i troską, internowano w klasztorze Kapucynów w Łomży, w diecezji sejneńskiej. Biskup Łubieński był przez niego święcony. Przyjął go z serdecznym szacunkiem, należnym jego nieszczęściu. Czcigodny starzec zgasł rok później na jego rękach.

To zniesienie diecezji było już drugiem, a nie ostatniem jeszcze. Znana jest decyzja Rymu w sprawie diecezji kamienieckiej, zniesionej kilka miesięcy wcześniej. Należało tak samo uczynić z podlaską. Stosownie do uchwały kardynałów, Kongregacja Koncyljum wydała nowy dekret, 17 października 1867 r., ogłoszony tego samego dnia w *Giornale di Roma*. Biskup lubelski obejmował odtąd rządy zniesionej diecezji.

Ostatnie *dubio* do wyjaśnienia ułożone było w tych słowach: „Czy, uwzględniając coraz groźniejsze położenie spraw religijnych w Rosji i w Polsce, użyć jakichś środków nadzwyczajnych, i jakich?" O. Tarquini, w swojem votum, podawał trzy. Możnaby najpierw próbować układów z Rosją i wysłać w tym celu oficjalnego pośrednika do Pe-

[1]) O zniesieniu diecezji podlaskiej: Biskup Szymański do Piusa IX, Janów, 20 lipca 1867 r., *AE, Russia*, XX, 586; *Polnoje sobranje zakonow*, II, t. XLII, cz. I, str. 467, nr. 44.546; Ks. Sosnowski do Piusa IX, Lublin, 13 lipca 1867 r., *ibid.* Dekret Kongregacji Koncyljum, 17 października, wyd. łacińskie, *Esposiz., documentata* (Rzym, 1870), *Appendix, Documentum* II, 229; Popiel: *Pamiętniki*, Kraków 1914, I, 305—307.

tersburga. Dwóch kardynałów sądziło mniej więcej tak samo i przypuszczało, że Mgr. Chigi mógłby podjąć na nowo rokowania, przynajmniej z księciem Piotrem Szuwałowem, który wydawał się przychylnie usposobionym. Ale ta droga nie wydawała się ani korzystna, ani roztropna, ani nawet dość godna. Oto już dwadzieścia lat układano się na różne sposoby; wszystkie formy porozumienia zdawały się wyczerpane. Nowa próba, w warunkach, w jakich się znajdowano, była narażona na niepowodzenie. Przedstawiciel Stolicy Świętej w Petersburgu byłby oszukiwany przez niesumiennych kanclerzy, których zwodniczą grę już znano; albo byłby bezsilnym świadkiem nowych zamachów na prawa Kościoła, mogącym je tylko notować bez żadnego pożytku. Takie upokarzające postępowanie mogłoby nawet dawać pozory, że żałowano zerwania stosunków dyplomatycznych, nawiązanych kiedyś z takim rozgłosem i że przychodzono prosić o przebaczenie, z czego rząd rosyjski nie omieszkałby triumfować. To też ten pierwszy wniosek słusznie odrzucono.

Mówiono także o odwołaniu się do mocarstw katolickich. Miały one, niestety, inne troski na głowie, niż sprawy Kościoła w Rosji. Austrja pobita pod Sadową; we Francji upadające cesarstwo przechodziło niebezpieczny kryzys, ciągnąc naród do nieuniknionej zguby. Inny cesarz, Maksymiljan, Habsburg, brat cesarza wiedeńskiego, sojusznik paryskiego, ginął w Queretano od kul Juareza. Sam ten fakt dawał miarę, czego można się było spodziewać od narodów katolickich i ich niezdecydowanej woli, jeżeli nie bezsilności. Nie można było liczyć na ludzi.

W tak przykrej niepewności serca wierzących zwracały się ku niebu i tam słały swe prośby błagalne. Zdawało się wobec tego, że należało zarządzić publiczne modlitwy. Kardynałowie jednogłośnie postanowili prosić Ojca św., aby znów przemówił do świata. Ważność sprawy, nad którą radzono, zasługiwała na poparcie całego Kościoła. Doradzali ogłosić encyklikę do wszystkich biskupów, która byłaby niejako dalszym ciągiem allokucji konsystorjalnej z 29 października 1866 r. Papież wykazałby w niej nowe bezprawia rządu rosyjskiego; oznajmiłby o smutnem położeniu kato-

lików w państwie carów, o grożącem odstępstwie od wiary, do którego wielu mogło być pociągniętych, o niemożliwości dla głowy Kościoła porozumiewania się z wiernymi i bronienia ich. Potem zachęciłby wiernych świata do modlitwy za te ofiary. Kilku kardynałów poddawało nawet myśl nowego jubileuszu.

Tym życzeniom zgromadzenia kardynałów z 29 września 1867 r. zadośćczyniła encyklika „*Levate*" z 17 października. [1]) Papież zwracał uwagę biskupów całego świata na nieszczęścia, jakie groziły we Włoszech. Nie zapominajmy, że kwestja rzymska zbliżała się do ostatecznego rozstrzygnięcia. Na pozostałem terytorjum państwa kościelnego walczyły cztery armje: Garibaldiego, piemoncka, papieska, francuska. Ostatnie bohaterstwo, 3 listopada, w Mentanie, opóźniło tylko rozstrzygnięcie, jakie wszyscy uważali za nieuniknione. Zgrzybiały, stroskany papież chciał znowu protestować przeciw grabieży, której nie mógł zapobiec. Następnie, przechodząc do Rosji i Polski, mówił o „odwiecznych zamiarach" rządu rosyjskiego, zawziętego na zniszczenie religji rzymsko-katolickiej w swojem państwie. Wyrażał swoje ubolewanie z powodu niesprawiedliwego zniesienia diecezyj kamienieckiej i podlaskiej. Wkońcu zwracał szczególną uwagę na ukaz z 22 maja, objaśniał krótko jego myśl przewodnią i ważność, potem wypowiedział swe zdanie w silnych słowach:

„Widzicie zapewne, czcigodni Bracia, na jak energiczne odrzucenie i potępienie zasługuje podobny dekret, wydany przez władzę świecką i schizmatycką. Niszczy boską instytucję Kościoła katolickiego; burzy karność kościelną; zawiera potężny zamach na władzę i autorytet Najwyższego Pasterza, Naszą, Stolicy Świętej i Biskupów; krępuje wolność najwyższego pasterza wszystkich wiernych; popycha tych ostatnich do najzgubniejszej schizmy; gwałci i depce nogami nawet prawo naturalne w rzeczach wiary i sumienia".

Każdy przyzna, że trudno było przemówić dobitniej i jaśniej. Potępienie było umotywowane; nie poddawało się ani wykrętom, ani dowolnościom jakiejś łagodnej egzegezy. Znaleźli się jednak tacy, którzy pismo papieskie uważali jeszcze za nie dość jasne.

[1]) Encyklika „*Levate*" w *Acta Pii IX*, cz. I, t. IV, 371—378. Jest tam mylnie datowana 27 października, zamiast 17.

Jeszcze bardziej wyraźny, a przedewszystkiem energiczniejszy był list do biskupa Staniewskiego. Dlaczego zwlekano dwa miesiące z wysłaniem go? nie wiadomo. Ale biskup nie zyskał nic na zwłoce. Zamiast kardynała Caterini, prefekta Kongregacji Koncyljum, Sekretarz Stanu sam podpisał list, datowany 3 stycznia 1868 r.[1]) Posiedzenie kardynałów z 29 września pragnęło, aby był pouczający i silny: życzeniu dostojnych konsultorów najzupełniej stało się zadość. Był to jasny wykład katechizmu, po którym następowała ostra nagana. Wykazano w nim zupełną sprzeczność ukazu z 22 maja z boską konstytucją Kościoła, z jego istotą, jako doskonałej społeczności, autonomicznej i wolnej z boskim prymatem biskupa rzymskiego. Jeżeliby papież, mówił kardynał Antonelli, przyznał Kolegjum, albo ministrowi spraw wewnętrznych, albo obydwóm razem, „prawo decydowania, co należy do Stolicy Świętej, składałby w ich ręce swój własny prymat, co jest przeciwne samej istocie prymatu i przechodzi możność papieża". To było tak zasadniczym błędem w ukazie, że nie widziano nań lekarstwa.

Właściwa nagana była surowa. Trudno podkreślać wszystkie jej punkta. Biskup Staniewski w swoim liście wyrażał szacunek i miłość dla papieża. Niemniej wychwalał prawo, na które papież rzucał klątwę; stawał się jego oficjalnym promulgatorem i wykonawcą, zadowalając się przesłaniem Ojcu św. próśb i pieniędzy, na których wysyłkę Kolegjum raczyło pozwolić.

„Taka nieroztropność, pisał dalej kardynał, oburzyła Najwyższego Pasterza i rozkazał odesłać przekazy bankowe, wraz z dyspensami do poszczególnych biskupów diecezjalnych, aby nie przechodziły przez to Kolegjum, o którego istnieniu Stolica Święta pierwszy raz urzędowo się dowiedziała, dzięki Waszej Ekscelencji. Litując się nad waszym losem i kierując się ojcowską miłością, polecił mi Ojciec św. wyjaśnić ci twoją bardzo wielką pomyłkę i sądzę, że uczyniłem to dostatecznie. Za mojem pośrednictwem zachęca cię jeszcze usilnie do oczyszczenia sumienia, do naprawienia zgorszenia, danego przez ciebie wiernym, i do przypom-

[1]) Kardynał Antonelli do biskupa Staniewskiego, 3 stycznia 1868 r., *AE. Russia*, XX, 209—226. Są dwa bruljony tego listu, jeden po włosku, ułożony przez Mgr. Ferrari; drugi po łacinie z poprawkami tegoż. *Ibid.*, 228—242.

nienia sobie, że Kościół zalicza do grona swych męczenników tych, którzy walczą w obronie nie tylko wiary, ale także jego praw i wolności. Aby ci ułatwić powrót na dobrą drogę, udziela spowiednikowi, którego sobie wybierzesz, władzy rozgrzeszenia ciebie z kar kościelnych, jakieś na siebie ściągnął, pod warunkiem złożenia urzędu, któregoś się podjął i przyłożenia wszelkich starań do spełnienia ściśle i z należną gorliwością obowiązków wikarjusza kapitularnego rozległej diecezji mohylewskiej".

Nieszczęśliwy biskup nie był materjałem na męczennika. Wyboru między dekretami Rzymu a ukazami Petersburga, między karami kościelnemi a trudami wygnania, dokonał na swój sposób. Rząd otoczył go czujną strażą, i bardzo jest wątpliwem, czy wogóle otrzymał list kardynała Antonellego. Ogłoszono go w dziennikach; z początkiem r. 1869 profesor Akademji duchownej, ks. Franciszek Albin Symon, pokazał mu go w dzienniku francuskim. Biskup stanowczo zaprzeczył jego autentyczności.[1]) Zatrzymał nadal tytuł i funkcje prezydującego Kolegjum, wbrew woli papieża, mimo klątwy, jaką ściągnął na siebie, mimo dręczących go wyrzutów sumienia. Niektórzy uważali go za potwora chciwości i ambicji. Ale nie! to był człowiek poczciwy, wcale nie zły, przywiązany w gruncie do swojej religji, ale słaby, chwiejny i małoduszny, kierowany przez doradcę, winniejszego niż on.

Biskup Staniewski radził się prawie zawsze swego współbrata i przyjaciela, O. Dominika Stacewicza. Rektor Akademji duchownej, przy swych niewątpliwych zdolnościach i wymowie, był człowiekiem fałszywym, opanowanym zgubnemi zasadami. Kilka faktów wyjawia jego dążności.[2]) Kiedy zamianowano nowego profesora Akademji, rektor natychmiast kazał mu składać przysięgę wierności cesarzowi, przepisaną prawem rządowem; ale nie dbał o wyznanie wiary Koncyljum Trydenckiego, nakazane przez prawo kościelne. Dwaj nowoprzybyli, śmielsi, ks. Symon i ks. Antoni Baranowski, albo Baronas, przyszły biskup sejneński, chcieli je złożyć i spełnić wolę papieża tak, jak cara: zganił ich za to ostro. Znaną jest jego wielka cześć dla panującego prawo-

[1]) Sprawozdanie ks. Symona, 7 marca 1869, *AE, Russia,* XX, 355—357.

[2]) Sprawozdanie ks. Symona. — Przypomnijmy sobie, że w ciągu lata 1867 r. zamknięto Akademję duchowną w Warszawie; dziesięciu uczniów wysłano do petersburskiej, a 30 innych odesłano do ich diecezyj.

sławnego, tak obcego jedności katolickiej. Wymieniał go w czasie kanonu mszy św. ku zgorszeniu asystujących mu księży i kleryków. Kazał wtrącać to imię do uroczystego śpiewu *Exultet* w Wielką Sobotę; i na jego rozkaz w dnie krzyżowe, w czasie litanji, rozbrzmiewało to dziwne wezwanie: *Ut Imperatorem nostrum Alexandrum conservare digneris, te rogamus, audi nos!* Nie wiele sobie pod tym względem robił z przepisów liturgicznych i prawa kanonicznego, a nawet zasad teologji moralnej i dogmatu. Takim był zły duch biskupa Staniewskiego, i on był przedewszystkiem winnym biernego oporu względem Rzymu, w jakim ten biedny biskup trwał do śmierci.

III.

Zdaniem biskupa Staniewskiego, wszyscy biskupi cesarstwa i Królestwa, chyląc czoła przed samowolą carskiego rządu, przyjmowali ukaz z 22 maja. Tak nie było. Rzym wiedział o tem, i bieg wypadków jasno to okazał. Najlepsi z biskupów słuchali papieża, np. w cesarstwie biskup żmudzki, Wołonczewski, i biskup łucko-żytomierski, Borowski. Administrator mohylewski opierał swe mylne twierdzenie na tem, że dostał od wszystkich biskupów diecezjalnych prośby do przesłania do Rzymu. W rzeczywistości były to prośby banalne, dotyczące, prawie wszystkie, dyspens małżeńskich i nie można ich było odkładać bez szkody wiernych, których dotyczyły. Do czego byłoby zresztą doszło, gdyby biskupi, pod pozorem niemożności porozumienia się z papieżem, byli zaczęli sami na prawo i na lewo rozdawać dyspensy w sprawach tak delikatnych? Z przesłania tych próśb nie można więc było wnosić, że biskupi uznawali Kolegjum.

Ukaz poddawał wyraźnie tej instytucji episkopat Królestwa. Wobec tego, jak biskupi cesarstwa, tak i Królestwa, mieli wysyłać swych asesorów, czyli delegatów, do Kolegjum. Jakie zajmą stanowisko i do czego doprowadzi ta stanowcza próba?

Książę Czerkaski ustąpił, departament wyznań obcych w Warszawie dostał wkrótce nowego kierownika, po krótkich tymczasowych rządach niższego urzędnika, Koskula.

Tym nowym dygnitarzem był Aleksander Sergiejewicz Muchanow. Stryj jego, Paweł Muchanow, prawa ręka namiestnika Michała Gorczakowa, zostawił w Polsce wspomnienie nienawistne. Bratanek, przeciwnie, zrobił wrażenie raczej dodatnie na duchowieństwo, które tyle zniosło despotyzmu i brutalnej zuchwałości Czerkaskiego. Muchanow znał Polskę i mówił dobrze po polsku. Zawodowy dyplomata, długo służył przy ambasadzie w Konstantynopolu. Nie był złym człowiekiem; był honorowy i gardził przekupstwem; światowy jednak i lekki, patrzył na kler katolicki poprzez liczne uprzedzenia i sądził, że pokieruje nim dowolnie groźbami, albo obietnicami nagrody.[1]) Przytem uparty, podstępny i wykrętny, za przykładem starego namiestnika Berga, mistrza w sztuce ukrywania i udawania.

Po zniesieniu diecezji podlaskiej i usunięciu biskupa Szymańskiego pozostało w Królestwie czterech biskupów: Popiel w Płocku, Łubieński w Sejnach, Juszyński w Sandomierzu i Majerczak, wikarjusz apostolski w Kielcach. Wikarjusze kapitularni rządzili trzema innemi wakującemi diecezjami. Przez swój ród, wykształcenie, stosunki społeczne, zasługi osobiste, biskupi Popiel i Łubieński górowali nad wszystkimi. Rząd zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Gdyby pozyskał tych dwóch biskupów dla swojej sprawy, mógłby triumfować. Namową więc albo przemocą musiał ich ugiąć pod swoje jarzmo.

Biskup płocki przewidywał burzę. Ten człowiek serca i nauki łączył przezorność z odwagą; prowokowanie i wyzywanie były mu również wstrętne jak tchórzliwe ustępstwa. Ani w Petersburgu, ani w Warszawie nie spieszono się z wydaniem rozkazów w sprawie ukazu z 22 maja. Biskup wykorzystał tę zwłokę, aby się porozumieć ze Stolicą Świętą. 16 października 1867 r. przedstawił sytuację Piusowi IX, nie ukrywając swoich zapatrywań.[2])

„...Dotychczas, pisał, nie dostaliśmy jeszcze od rządu nakazu wysłania komisarzy delegowanych, ani ja, ani żaden z biskupów Królestwa. Co ma znaczyć ta zwłoka? nie wiem, ale muszę

[1]) Popiel, I, 302 - 303.

[2]) Biskup Popiel do Piusa IX, Płock 16 października 1867 r. (po francusku), *AE. Russia,* XX, 255—256.

z niej skorzystać, aby Waszą Świątobliwość poprosić o wskazówki. Tolerować instytucję niebezpieczną, ale silniejszą od nas, w razie potrzeby zręcznie się nią posługiwać, jest koniecznością i obowiązkiem; ale wzmacniać autorytet takiej instytucji, sankcjonować ją do pewnego stopnia przez wysłanie delegowanych komisarzy duchownych, wydaje mi się niebezpieczne i śmiem prosić Waszą Świątobliwość o wskazówki w tym względzie; jedynie Ojciec wiernych, oświecony Duchem Św., może nakreślić dla mnie granice roztropności. Sądzę, że gdyby wszyscy biskupi zgodnie odmówili, nie zdołanoby ich zmusić. Ale należy się obawiać, że niektórzy domyślnie się zobowiązali i zachodzi pytanie: czy, mając pozostać sam, albo prawie sam, mam trwać przy niemianowaniu delegata do Synodu (czytać: Kolegjum). Jeszcze raz śmiem prosić Waszą Świątobliwość o przysłanie mi wskazówek i to w możliwie najkrótszym czasie, bo mogę być zmuszonym powziąć postanowienie. Prawdopodobnym wynikiem odmowy będzie wstrzymanie pensji nie tylko biskupowi, ale całemu duchowieństwu diecezji.

„Może wydawać się dziwnem, pisał dalej biskup Popiel, że tych kilku biskupów kraju nie może się porozumieć dla powzięcia wspólnej decyzji. Aby to zrozumieć, trzeba znać teror i szpiegostwo, jakiemi otoczeni są biskupi; zupełnie niemożliwem jest dla nich porozumienie się osobiste; niemożliwe porozumienie przez księży, którzy wszyscy są internowani w swoich dekanatach. Wobec środków policyjnych i administracyjnych, jakiemi rządy obecne rozporządzają, nie potrzeba krwawego prześladowania, jak w pierwszych wiekach i w w. XVI, aby zniszczyć życie religijne ludności. Że obecnie gorliwość ludu zaczyna się budzić, że szczególniej duchowieństwo sprawia mi wielką pociechę przez swoją karność, bezinteresowność, odwagę, to muszę uznać i podać do wiadomości Waszej Świątobliwości, nie twierdząc jednak, że jesteśmy w stanie przetrwać prześladowanie; bo nie można zapominać, że religijnie i politycznie jesteśmy społeczeństwem chorem, i bardzo chorem".

Kończąc, pisał biskup te słowa: „Jest to codzienna, zacięta walka, w czasie której w każdej chwili trzeba rozważać, co roztropność chrześcijańska nakazuje i na co sumienie pozwala". Uważał, że zbliża się, aby tak powiedzieć, do głównego punktu walki. Od stanowiska, jakie zajmie, zależał napewno jego własny los, ale także los jego księży, a nawet istnienie jego diecezji, którą pomyłka, zachwianie się woli, mogło strącić w przepaść. Wobec tak wielkiej odpowiedzialności zwracał się do najwyższej głowy Kościoła i zwięźle, bez niepotrzebnych szczegółów, prosił o podanie linji wytycznej. W Rzymie musiano pochwalić tak rozumne

postępowanie i wkrótce wysłano odpowiedź jasną i dokładną, według życzenia biskupa. 12 listopada 1867 r. kardynał Antonelli odpisał w imieniu papieża.[1]) „Co się tyczy dekretu cesarskiego, pisał do biskupa Popiela, zrozumiała W. Ekscelencja to samo, dzięki wiedzy według Boga, którą się odznacza, że dawanie tej przewrotnej instytucji oparcia władzy kościelnej, albo wzmacnianie jej przez wysłanie delegatów z każdej diecezji, byłoby wyrządzeniem wielkiej zniewagi Kościołowi Bożemu". Potem zwracał uwagę biskupa na encyklikę z 17 października i powtarzał wyraźne potępienie, wypowiedziane przez papieża. Zachęcał w żywych słowach biskupów polskich, aby nie zapominali o decyzji Stolicy świętej, aby się strzegli bardzo jakiegokolwiek udziału w wykonaniu ukazu i nie uprawniali go żadnym dowodem uznania.

W pamiętnikach arcybiskupa Popiela żadne słowo, żadna aluzja nie zdradza istnienia tego pisma, tak wielkiej doniosłości. Biskup Łubieński różnił się z nim w zapatrywaniach na stanowisko, jakie zająć należało względem Kolegjum i w sierpniu 1868 r. tłómaczył mu szeroko najważniejsze powody, aby go pozyskać dla swoich zapatrywań. Biskup płocki trwał silnie przy swojem postanowieniu, ale nie zasłaniał się tak kategorycznym listem Sekretarza Stanu. Nie wiedział jeszcze o surowej naganie, przesłanej biskupowi Staniewskiemu; czytał ją pierwszy raz w odpisie, przysłanym mu przez biskupa sejneńskiego. „*Causa judicata*, zawołał wtedy, *Roma locuta est*". Ale Rzym przemówił już jasno do niego, dlaczego o tem nie wspominał? Dziwne milczenie; bo nie bardzo jest prawdopodobnem, aby odpowiedź na list nie była doszła do rąk jego. Może należy to tak tłómaczyć, że kierował się roztropnością i względami na innych biskupów. Niektórzy z nich, zapewne w dobrej wierze, wahali się jeszcze, inni postanowili wysłać delegatów do Kolegjum. Sądził, że odpowiedź z Rzymu, całkiem osobista, obowiązywała tylko jego samego. Nie chciał rozwiewać złudzeń swoich kolegów, zamieniać ich pomyłki na wyraźne niepo-

[1]) Kard. Antonelli do biskupa Popiela, 12 list. 1867, *AE, Russia*, XX, 257—258.

słuszeństwo. Zdaje się, że to jedyny sposób wytłómaczenia tak dziwnego milczenia.

Jakkolwiek było, biskup Popiel stanowczo odmówił wysłania asesora do Kolegjum. Naprożno marszałek Berg wezwał go do Warszawy w lipcu 1868 r. i starał się podstępnie go namówić i nastraszyć; naprożno Muchanow, w następnym miesiącu, kiedy udało mu się przekonać biskupa Łubieńskiego, wybrał się osobiście do Płocka i użył wszystkich swoich zdolności dyplomatycznych. Wszystkim tym naleganiom biskup przeciwstawiał swoje niewzruszone *non possumus.* Kolegjum, władza pośrednicząca między biskupami a papieżem, zapoznawało hierarchję Kościoła; naruszało władzę biskupią; nie ograniczało się do spraw administracyjnych, ale rościło sobie prawo decydowania o sprawach kanonicznych i rozstrzygania, czy zachodzi potrzeba zwrócenia się do papieża; wkońcu Stolica Święta potępiła je: nie mógł więc wysłać delegata. Wyczerpawszy podstępne perswazje, Muchanow zapytał: „A jeśli rząd użyje środków bardzo ostrych, również przykrych dla Waszej Ekscelencji, jak i dla jego diecezji?" Biskup zrobił znak, że jest gotów na wszystko. [1])

28 sierpnia, wczas rano, doręczono biskupowi Popielowi rozkaz namiestnika, wzywający go do Warszawy. Wyjechał natychmiast, eskortowany przez oficera, który nie opuszczał go ani na chwilę. Tego samego wieczora stanął przed marszałkiem na ostatnie namowy i ostatnią odmowę. Hr. Berg, widząc, że traci czas i trudzi się daremnie, uniósł się i zaczął krzyczeć: „A więc pojedziesz Pan do Rosji i zobaczysz, czy dużo tam znajdziesz tak życzliwych tutejszemu krajowi, jak ja jestem; to zaś przypominam, że jak raz wyjedziesz, to nigdy, nigdy, nigdy już nie zobaczysz swojej Polski". Biskup milczał. To milczenie potęgowało złość starego despoty, stracił panowanie nad sobą. Wkońcu wypowiedział te decydujące słowa: „Daję Panu czas do namysłu do godziny dziewiątej jutra rano. Jeśli się nie zgodzisz, o jedenastej zostaniesz wywieziony". Nazajutrz, 29 sierpnia, Muchanow przyszedł przeczytać biskupowi Popielowi list ofi-

[1]) Popiel, Pamiętniki I, 350—362.

cjalny biskupa Łubieńskiego, w którym tenże zawiadamiał, że wyśle asesora do Kolegjum. Było to ostatnie natarcie, również daremne, jak wszystkie poprzednie. O godzinie jedenastej biskup płocki, nie wiedząc dokąd go wysyłają, sam, bez księdza do towarzystwa, bez przygotowań, wyjeżdżał do Nowogrodu. [1])

Cyrkularz dyrektora wyznań, datowany 30 sierpnia, zawiadamiał biskupów i administratorów diecezyj Królestwa o karze, wymierzonej biskupowi Popielowi. Podamy go w całości dla uczczenia biskupa i na hańbę jego prześladowcom. [2])

„Rozkaz cesarski, dotyczący wyboru asesorów diecezyj tego kraju do Kolegjum duchownego w Petersburgu, zakomunikowałem do wykonania wszystkim przełożonym diecezyj, a także biskupowi płockiemu.

„Dostałem od biskupa Popiela odpowiedź, w której, nie zważając, że Kolegjum w Petersburgu istnieje od r. 1801, biskup twierdzi, że jest to instytucja nowa, w której nie może samowolnie brać udziału. Co więcej, zapominając, że wszystkie przepisy i rozporządzenia, dotyczące rzeczonego Kolegjum, zależą wyłącznie od rozkazu Jego Cesarskiej Mości i nie potrzebują wcale zatwierdzenia Dworu Rzymskiego, biskup płocki oświadczył stanowczo, że w sprawie wyboru asesora nie uczyni nic bez wyraźnej decyzji papieża.

„Mimo udzielonych mu wyjaśnień, dowodzących, że jego reklamacje były zupełnie nieuzasadnione, biskup płocki uparcie odmawiał wykonania woli cesarskiej, podając jako konieczny warunek poprzednie przyzwolenie Jego Świątobliwości.

„Rząd w żadnym wypadku nie może pozwolić, aby jego prawa mieszano z przepisami Kościoła. Tem bardziej nie może pozwolić, aby wykonanie rozkazów najwyższej władzy zależało od dowolnych i indywidualnych zapatrywań.

„Dlatego, stwierdzając w postępowaniu biskupa płockiego uparte nieposłuszeństwo najwyższej woli, podlegające w każdym wypadku najsurowszym karom, Jego Ekscelencja hrabia namiestnik rozkazał usunąć natychmiast biskupa Popiela z diecezji płockiej i wywieźć go na zawsze.

„W obecnej chwili biskup Popiel znajduje się już poza granicami kraju.

---

[1]) Popiel, II, 12—15.

[2]) Przytoczony przez Lescoera, II, 199—200 (przez pomyłkę podaje datę 18/30 lipca). Tu podajemy go według memorjału biskupa Łubieńskiego, w którym jest lepiej tłómaczony.

„Uważam za swój obowiązek zawiadomić Waszą Ekscelencję, na rozkaz Jego Ekscelencji generała feldmarszałka, o obecnym stanie rzeczy".

Nienawiść namiestnika Berga do biskupa Popiela była trwała. Unosił się, kiedy mówił o nim, zapewniając, że swoim ślepym uporem więcej zaszkodził katolicyzmowi w Polsce, aniżeli wszyscy rewolucjoniści razem wzięci. „Nie wie, jak szkodzi Kościołowi, oświadczył biskupowi Łubieńskiemu. Czy nie widzi, do czego to prowadzi? W ostatnich czasach miałem petycję trzydziestu księży, proszących mnie o Kościół narodowy. Wiecie: Kościół *à la* Czerkaski. Odesłałem ich do wszystkich djabłów i, przynajmniej na razie, ukręciłem łeb sprawie. Rozumiecie, że gdyby ta prośba dostała się w inne ręce, nie każdyby tak zrobił". [1]) Cóż go obchodził Kościół katolicki, czy Kościół narodowy, odłączony od Rzymu? Ten skończony obłudnik, który z równą ostentacją pokazywał się w katedrze prawosławnej i w zborze luterskim, wyznawał w rzeczywistości tylko jedną religję, religję swego ambitnego i próżnego egoizmu.

Dopóki Warszawa miała tego teatralnego namiestnika, biskup Popiel pozostawał na wygnaniu. W r. 1874 Berg umarł, ustępując miejsca generał-gubernatorowi Kotzebue. W rok później biskup wrócił do tej Polski, z której pachołkowie cara, jak się chwalili, wygnali go na zawsze.

---

[1]) Vie de Mgr. Lubieński, 493—494.

(Dok. nastąpi).

*Ks. Adrjan Boudou.*

# Walka o zasady na kresach.

(Potoccy — Czartoryscy).

---

## I.

Czartoryscy a reforma na kresach. Potoccy w halickiem. Instrukcje kresowych sejmików na konwokację. Upadek stronnictwa hetmańskiego. Niezadowolenie w chełmskiem z uchwał konwokacji. Aprobuje je wiszeński sejmik. Konfederacja Potockich w Haliczu. Konfederacja tamże pod laską Dzieduszyckiego. Charakterystyka stronnictw.

Usiłowanie Czartoryskich przeprowadzenia reform w Rzpltej, odbiło się także na kresowych ziemiach i województwach. Wszakże jednym z dwóch wodzów stronnictwa familji był August Aleksander ks. Czartoryski, wojewoda ruski, posiadający właśnie w swem województwie bogate dziedzictwo po Sieniawskich. Za jego inicjatywą zarządzono większy ład w samorządzie, lepszą obsadę urzędów, a dbałość o wykonanie prawa objęła całe obszerne województwo. W okresie zrywania sejmów, gdy ani jeden sejm za Augusta III z wyjątkiem pacyfikacyjnego nie przyszedł do skutku, kiedy to tylko burzliwe sejmiki w sposób niedostateczny je zastępowały, gdy rzucano hasła, że ni panom, ni plebejuszom lecz tylko szlachcie należą się królewskie dzierżawy, starostwa, wójtostwa, a dysydentów i cudzoziemców należy ruszać z posad i wszystko starym porządkiem naprawiać, — w takim to czasie przestrzega wojewoda, by nie zarywano dóbr królewskich, dba o dochody starostw, żup, komór celnych, znosi cła prywatne, zarządza rewizje głów żydowskich i wogóle nakazuje nie uchylać się od podatkowania. Ziemstwa lwowskie, przemyskie mają swoje księgi ziemiańskie, w które zaciągano zarządzenia, dotyczące dochodów i wy-

datków ziemi, tak jak niemi na zjazdach urzędniczych lub na sejmikach gospodarskich administrowano. Na czoło ziemstw wybijają się urzędnicy zasłużeni w służbie ziemskiej, którzy też i na sejmikach przywodzą, a od sejmikowych obrad oddalano szlachtę bezrolną, czynszową t. z. gołotę.

Rządy Czartoryskich w lwowskiem, przemyskiem odbijają się i na sanockiej ziemi, gdzie obsadzano wakujące urzędy, zastosowano w nich reguły i zasady przyjęte w lwowskiem, pod którym to względem i przemyska ziemia mogła służyć za wzór lepszej administracji podatkami do dyspozycji ziemstwa pozostawionemi. Dobroczynny wpływ tego ładu rozciągał się i na halickie, gdzie na sejmikach zagrodowa szlachta mówiła za Augusta III o nieporównanych zasługach i dziełach hetmanów, o służbie kasztelana już od kołyski zaczętej, gdzie jak 1754 r. brakowało w ziemstwie podkomorzego, sędziego, podsędka, pisarza ziemskiego a księgi ziemskie w Kijowie się znajdowały, gdzie jak 1757 r. kościół uległ interdyktowi, a szlachta jeździła za arcybiskupem do Lwowa, by móc odprawiać sejmiki w kościele. Powoli ustają te nieporządki jak 1752, powstano słusznie na sejmiku halickim przeciwko donacjom sejmikowym,[1]) bezprawnie rozdawanym na sesjach kilku senatorów ludziom niezasłużonym lub niezdolnym do służby publicznej, wprost żebrzącym a nawet z innych województw pochodzącym i żądano, by nie mających stałej posesji w ziemi do dystrybucji nie dopuszczano a donatywy ich kasowano, jak to żądano na sejmiku 1761 r.[2]) Mówiono i tu, podobnie jak w lwowskiem, o ewakuacji wojsk cudzoziemskich (Moskwy) a o powiększeniu własnych, „li tylko w celach obronnych". Posłami na sejm byli tu wojewodzic Adam Czartoryski, Józef Potocki starosta leżajski, Tadeusz Dzieduszycki cześnik później podkomorzy halicki, słowem ludzie żądni reformy, jakby na dowód, że wpływ reform objął i halicką ziemię, chociaż w niej panowali wrogowie reform, Potoccy, a ziemstwo pozostawało

[1]) Castr. Hal. Rel. 261 p. 2077, p. 2068—76. Protestacja Kazimierza Głoskowskiego i protest dygnitarzy sejmikowych.

[2]) Castr. Hal. 276 p. 3519—3533.

w procesie o podatki zaległe ze swym wojewodą.[1]) Co prawda wojewoda ścigał pod zmyślonemi nazwiskami lub asygnacjami, wybierających podatki z miast i miasteczek, każąc ich zapozywać do grodów. Jego też stronnictwo zapobiegało zręcznie przekupstwom szlachty na sejmikach. I gdy wojewoda bracławski, Jan Jabłonowski, pragnąc zerwać sejmik deputacki 15 września 1763 r., wysłał do Halicza swego komisarza celem przekupienia uboższych ziemian, natychmiast po zerwanym sejmiku, niepokojem sumienia ruszony, ziemianin Jasiński wraz z innymi zeznał w grodzie, że za dwa dukaty, które reponował w urzędzie, zatamował obrady sejmiku. Wtedy to wspomniany wyżej podkomorzy halicki, starosta miejscowy Franciszek Ksawery Branicki i inni urzędnicy ziemianie założyli protest przeciwko zrywającym przekupstwem obrady z tem, że niektórzy przekupieni jeszcze na miejscu obrad w kościele wyznali błąd, wydając i tych, którzy wspólnie z nimi brali dukaty.[2])

I sejmik deputacki wiszeński równocześnie ze wspomnianym halickim nie odbył się bez gwałtów, gdzie po stronie dworskiej stał chorąży nadworny Adam Mniszek, a gdy stronnicy familji obrali marszałkiem wojewodzica Adama Czartoryskiego, Mniszek odjechał z protestem. Skończyło się na pokaleczeniu kilkudziesięciu sejmikujących. Akta grodu lwowskiego, zawierające zapewne illustracje do tego sejmiku w protestach i manifestacjach, zostały zniszczone.[3]) Na trybunał piotrkowski zjechał Franciszek Salezy Potocki w kilkanaście tysięcy, jako teść Brühla, a wieść niosła, że familja poruszy na trybunale sprawę o uzurpację szlachectwa przez Brühla.

Wspomniany Franciszek Salezy Potocki był wojewodą kijowskim i głową stronnictwa Potockich, które licząc kilkadziesiąt głów w całej Polsce, tu na kresach główne swe miało dobra i dzierżawy starostw i innych królewszczyzn. Wojewoda był dziedzicem Tulczyna, Umańszczyzny, a i w województwie ruskiem opływał w bogate posiadłości, a w Bełzie był starostą. Z liczby bogatszych Potockich, którzy to

[1]) Castr. Hal. 279, p. 3313—8.

[2]) Manif. z 12 września 1763 r. C. Hal. 283, Nr. 1497.

[3]) Schmitt Henryk. Dzieje panowania Stanisława Augusta I, 155.

na kresach obszerniejsze mieli włoście, najzawziętszymi przeciwnikami familji byli: Marjan Potocki, syn Jerzego starosty grabowieckiego, żonaty z Anną Małachowską, dziedzic Podhajszczyzny, dalej wojewodzice wołyńscy, synowie Michała wojewody, Antoni i Piotr Potoccy, pierwszy był starostą błońskim, drugi smotryckim; nadto Mikołaj Potocki, syn Stefana wojewody bełzkiego i Joanny z Sieniawskich, który był panem na Buczaczu i starostą kaniowskim, lecz odstąpił to starostwo Ignacemu synowi Józefa kasztelana lwowskiego, będącemu zwolennikiem domu Pilawitów, podczas gdy imiennik jego starosta gliniański z tejże rodziny pochodzący, syn Pawła, kasztelana kijowskiego, był gorącym stronnikiem familji. Obok tych stali Józef kasztelan lwowski, Antoni i Michał na Uściu, wojewodzice smoleńscy, Joachim na Morachwie podczaszy litewski i inni nie bardzo stanowczy przeciwnicy familji.

Walka zaostrzyła się po śmierci Augusta III, gdy zakrzątnięto się około elekcji. Sejmiki przedkonwokacyjne podniosły hasła reformy; wiszeński odbył się pod laską wojewodzica Adama Czartoryskiego generała podolskiego, którego też obrano posłem na konwokację, mającą przygotowane już dzieło reformy przywieść do skutku. Posłowie obrani na sejmiku Adam Czartoryski, Aleksander Borzęcki starosta dołżański, Jan Drohojowski chorąży żydaczowski, Michał Bukowski stolnik sanocki, Józef Malicki chorąży sanocki, ponieśli instrukcje [1]) na sejm w kierunku reform, a więc nie zrywania sejmów, by we Lwowie odbywano kadencję trybunału koronnego tudzież skarbowego, by je zabezpieczano od tumultów, by akatolików, tj. Sasów, usunięto od skarbu. Były to żądania zgodnie poparte także przez sejmik halicki, na którym obrano posłów popierających dążenia familji, jak Tadeusza Dzieduszyckiego, jak wspomnianego już Ignacego Potockiego żonatego z Urszulą, siostrą Dzieduszyckiego, jak Franciszka Ksawerego Branickiego. Polecono im załatwić t. z. exorbitancje na sejmie, przedewszystkiem aby cudzoziemcy, tj. Sasi, nie byli ministrami ani wo-

[1]) Instrukcja wiszeńska z 6 lutego 1764. Castr. Leop. Rel. 596 p. 1088—1109.

góle urzędnikami skarbu, ceł, poczty, by imposesjonatów oddalono od urzędów i usunięto zawisłość od obcych, tj. od Moskwy. Dla ziemi zażądano straży tj. Smolaków na asystencję sądów, do egzekucji i łapania zbrodniarzy, a cały zresztą program reform obszerniejszy nawet aniżeli wiszyński, zgodny był w duchu z tym ostatnim. Posłowie mieli złożyć przysięgę, że nie dozwolą na szkodliwe dla ziemi ustawy.[1]) Tylko posłowie chełmscy zbyt ostre nieśli życzenia dla dysydentów, by im nic nad ustawy nie przyzwolono i z wszystkich posad urzędowych usunięto. Punkt ten instrukcji dopełniony był żądaniem ewakuacji wojsk zagranicznych, tj. moskiewskich, co oczywiście nie było życzeniem stronnictwa reformy, opierającego się właśnie o te obce siły.

Sejm konwokacyjny odbył się po myśli familji i wszystkie jej postulaty w sposób zręczny przeprowadzano na sejmie i *liberum veto* podkopano i głosowanie większością w sprawach skarbowych uchwalono. Nadwyrężono władzę hetmanów, a wojewoda ruski został mianowany regimentarzem nad wojskiem koronnem aż do zupełnego uspokojenia Rzptej z tem, aby przeciwko hetmanowi w. k. Klemensowi Branickiemu, ścigającemu wojska nad Pilicą, użył nawet obcych sukkursów, tj. Moskali. Żądania ziem kresowych zostały zaspokojone. Dla ziemi halickiej uchwalono sto Smolaków straży ziemskiej, tudzież szkoły w Buczaczu fundacji wspomnianego wyżej Mikołaja Potockiego. Ziemia żydaczowska uzyskała prawo obierania posła i deputata na trybunał, sejmiki zaś deputackie i gospodarskie odprawować miała wraz z lwowską we Lwowie, ziemia przemyska w Przemyślu sanocka w Sanoku, a tylko sejmiki poselskie i relacyjne miały się odbywać w generale w Wiśni. Stało się zadość życzeniom ziem kresowych a nawet osób prywatnych, którym na żądanie sejmików, jak np. Franciszkowi Szeptyckiemu, Antoniemu Rozwadowskiemu pozwolono na zamianę dóbr dziedzicznych za koronne. Wśród zastrzeżeń posłów kreso-

[1]) Instrukcja z 30 stycznia 1764 r. Fasc. Cop. Castr. Hal. 284, Nr. 60. O spokojności sejmików antekonwokacyjnych mówi Rulhière, Histoire de l'anarchie de la Pologne II 482, że zaledwie dziesięciu szlachty na ych sejmikach straciło życie: tant les moeurs de la nation etaient adoucies.

wych, umieszczonych przy podpisach wspomnianych konstytucyj, jak Tadeusza Dzieduszyckiego, Jana Golejowskiego podstolego trembowelskiego, Ignacego Potockiego, czytamy znamienne *salvis iuribus ecclesiae ritus uniti*. Zażądał też pierwszy z wspomnianych posłów wojskowy kresowiec i gorący zwolennik familji ewakuacji wojsk moskiewskich. Protest przeciwko przebywaniu tych wojsk, wysuniętych pod samą Warszawę, podpisali pomiędzy innymi i wspomniany szwagier Dzieduszyckiego, Ignacy Potocki poseł halicki, Józef Potocki starosta lwowski, Seweryn Rzewuski generał major podolski. W ogóle sprawa reform tak zręcznie była przeprowadzoną, że manifest przeciwników z hetmanem na czele przeciwko uchwałom konwokacji z d. 7 maja (1764 r.) nie mógł mieć większego znaczenia, nie mówiąc już o porwaniu narodu za sobą. Owszem zamiast przystępować do manifestantów, odstępowano ich i wielu ze stronnictwa hetmańskiego, jak biskup kijowski, jak podskarbi koronny, jak wojewoda kaliski przeszli na stronę Czartoryskich. Zachwiali się i inni stronnicy hetmańscy, jak wspomniany Józef Potocki starosta lwowski, Eustachy Potocki i inni. Hetman musiał ustępować przed wojskami Rzptej, kierowanemi przez imiennika swego Fr. Ksawerego Branickiego, starostę halickiego, posiłkowanego przez Moskali, i szukać schronienia na Spiżu. Do zawiązania proponowanej przez hetmana konfederacji w Krośnie nie przyszło; owszem okazał się tu upadek ducha, a nawet zdrada. Zbrojny opór przeciwko generalnej konfederacji, zawiązanej na konwokacji ustał w drugiej połowie lipca 1764 r., kiedy to wybuchnęły dwie równocześnie konfederacje w Haliczu i na Podolu, jako ostatnie wysiłki Potockich, stanowiących główne siły stronnictwa hetmańskiego.[1])

Przygotowywano się na te akty oporu od dłuższego czasu, a dokonać ich miano na lipcowych sejmikach relacyjnych. Rozpisywano listy o zagrożonej wierze katolickiej, o zniesionym na sejmie konwokacyjnym wolnym głosie, o zamierzonem wykluczaniu szlachty uboższej z sejmików, dopuszczaniu na sejmiki tylko posiadaczy dziesięciu tysięcy

[1]) Schmitt H. Dzieje pan. Stan. Augusta I. 247.

złp. majątku, którzyby nadto wywiedli się na sejmikach ze swych genealogij. Głoszono też o zamierzonem ustępowaniu ziem Rzplitej sąsiednim państwom. Wieści takie wywarły skutek na kresowych sejmikach tych nawet, które zgłaszały akces do konfederacji warszawskiej. I tak, wśród obrad sejmiku relacyjnego chełmskiego w grodzie chełmskim 24 lipca wiele szlachty zagrodowej zaznaczyło przy swem odstąpieniu od konfederacji, że nietylko poseł ich nie przyniósł im z konwokacji *liberum veto,* ale nadto słyszą oni o przyznawaniu tytułów do niektórych części Rzplitej postronnym mocarstwom, dalej że nie dopuszczano na sejmie szlachty do rad jakichś sekretnych, o których ziemianie chełmscy wiedzieć nie chcą, a jeżeli nawet jakie nastąpiły pod pretekstem bytności posłów chełmskich, od nich odstępują i od podpisu na generalną konfederację.[1]) Oczywiście wśród szlachty było kilkudziesięciu nieumiejących pisać, zapewne przekupionych.

Takich ściągali przeciwnicy reformy i na inne sejmiki kresowe. Sejmik jednakowoż wiszeński odbył się w porządku i aprobowano na nim konferencję wojewódzką, a uchwały konwokacji uznano jako pożyteczne dla ojczyzny. Po obiorze posłów na elekcję uchwalono uczestniczyć w niej wszystkim, kto tylko zechce, ziemianom, zażądano jednakże ewakuacji wojsk rosyjskich. Zebrana licznie na sejmiku szlachta oświadczyła chęć popierania ks. Adama Czartoryskiego na tron osierocony, on jednakże, marszałek tego sejmiku i poseł na elekcję ziemi lwowskiej, upraszał o oddanie głosów na swego ciotecznego, stolnika litewskiego Stanisława Poniatowskiego, którego też elekcję niebawem podpisał.[2])

Wielkie trudności do pokonania na sejmiku halickim miał podkomorzy halicki, delegat do rady konfederacji generalnej, Tadeusz Dzieduszycki, mający zagaić sejmik relacyjny. Niechętni mu byli Potoccy, jak wogóle stronnikom konfederacji warszawskiej i uchwał konwokacji, zwłaszcza gdy jako komendant wojsk kresowych miał podkomendnych łatwo przekraczających dyscyplinę wojskową. I tak głośny oryginał kresowy Mikołaj na Buczaczu Potocki skarżył się

[1]) Recess ziemian chełmskich z daty 24 lipca 1764 odstępujących od podpisu na konfederację.

[2]) Laudum wiszeńskie 23 lipca 1764 Fasc. C. C. Prem 143 p. 1535 n. n.

na dowódcę partji podolskiej Stanisława Zabilskiego, iż go jadącego z Halicza do Tłumacza napadli na drodze żołnierze podkomendni, bili i bezcześcili i to jeszcze przed przystąpieniem do konfederacji warszawskiej, na skutek czego sprowadzili do ziemi wojska moskiewskie, powodując temsamém ruinę kompletną majątków jego dziedzicznych, jak Horodenki, Serafiniec, Niezwiszcz, Harasimowa.[1]) Przygotowywali tedy Potoccy wielką manifestację, protest przeciwko uchwałom konwokacji, wreszcie i konfederację halickiej ziemi. Byli to Marjan Potocki starosta grabowiecki, Antoni starosta błoński, Piotr starosta smotrycki; ci dwaj wojewodzice wołyńscy, Wojciech starosta krasnostawski, którzyto od kilku tygodni na zjazdach w Stanisławowie zgromadzali szlachtę, przygotowując ją do zbrojnego wystąpienia przeciwko stronnictwu reformy. Poseł halicki na sejm konwokacyjny Ignacy Potocki miał obowiązek zdać sprawę na sejmiku z działalności sejmu, a przeto o ustawach konwokacyjnych pod bronią sprowadzonych wojsk zagranicznych postrachem i siłą zmuszonych i spisanych z podkopaniem wolności i wiary, z naruszeniem bezpieczeństwa osób, dóbr, wylaniem krwi szlacheckiej. Liczono pewnie na to, że goszczona w Stanisławowie szlachta da się użyć do dzieła zburzenia zaczętych już reform o tyle łatwiej, że miano zawiązać konfederację na utrzymanie wiary katolickiej, wolności szlacheckiej, *liberum veto* i na ewakuowanie wojsk zagranicznych. Sprowadzili też Potoccy około tysiąca zbrojnych, mogli się bowiem spodziewać próby oporu, albowiem urzędnicy i dygnitarze ziemi tak halickiej jako i trębowelskiej tudzież kołomyjskiej wcale na zaproszenia przybycia do Stanisławowa nie odpowiedzieli. Natomiast przygotowywali się na sejmik relacyjny, jakkolwiek mogli być pewni, że jak to nastąpiło, Potoccy gwałtem przez rozstawionych dokoła Halicza zbrojnych będą się starali zamiar swój przymuszania do akcesu zamierzonej konfederacji do skutku doprowadzić.

Pierwszy przybył na ów sejmik Ignacy Potocki starosta

[1]) Fasc. Cap. C. Hal. 285 p. 523. Mikołaj Potocki mówi w protestacji swej z 30 czerwca 1764: jeszcze przed zawiązaniem swej konfederacji — oczywiście mowa tu o akcesie ziemian halickich do konfederacji generalnej warszawskiej, zawiązanej na konwokacji.

gliniański, poseł sejmowy i już na dwa dni przed sejmikiem stanął w Tustani naprzeciwko Halicza po drugiej stronie Dniestru, oczekując tu na przybycie szwagra podkomorzego halickiego, mającego zagaić sejmik tudzież na posłów kolegów, mających zdać relację z uchwał i całego sejmu konwokacyjnego. Tutaj najechali nań w kilkaset zbrojnych Piotr starosta śniatyński i Piotr wojewodzic wołyński Potoccy. Wczas jeszcze przestrzeżony Ignacy Potocki za zbliżeniem się najazdu, wpadłszy na konia, ujechał. Najeźdźcy, nie zastawszy go we dworze w Tustani, kazali go wszędy szukać, przyczem wydeptano dwa duże łany zboża. Nie znalazłszy posła, udali się Potoccy do pobliskich Dubowiec, skąd przewozem przeprawili się na drugą stronę i jednych ludzi w Jezupolu, drugich w Kryłosie rozlokowali, do których przybył też ze Stanisławowa wojewodzic wołyński Antoni Potocki z swoim oddziałem. Nazajutrz w poniedziałek w sam dzień sejmiku przyciągnęło nad przewóz pod Dubowce kilka chorągwi Piotra Potockiego starosty śniatyńskiego.[1])

Urzędnicy i ziemianie, którzy się do Tustani zjechali w niedzielę, oczekując na podkomorzego Dzieduszyckiego, mającego sejmik nazajutrz zagaić, dowiadują się, że tenże z powodu rozłożonego po rozmaitych miejscach wojska i pogróżek musiał się z Marjampola udać na dalsze miejsce, skąd napisał do chorążego halickiego Borzysławskiego, by go zastąpił nazajutrz przy zagajeniu sejmiku. Ten w towarzystwie wojskiego kołomyjskiego Worcela i chorążego kołomyjskiego Skarbka starał się w Haliczu wyperswadować Potockim, by odstąpili tak od zamysłów manifestu przeciwko uchwałom konwokacji jakoteż od zamierzonej konfederacji mogącej swem oderwaniem się od całej Rzplitej podać ziemię halicką w nienawiść i ohydę powszechną. Perswazje

[1]) Ob. Manifesta szlachty halickiej przeciwko konfederacji halickiej z dnia 23 lipca 1764 r., a najpierw tegoż dnia w Marjampolu spisany Fasc. Cop. C. Hal. 285 N. 468; dalej z daty 13 sierpnia t. r. Ibidem N. 283, wreszcie protest dygnitarzy halickich z 13 sierpnia. Ibidem N. 475. Akt konfederacji Potockich z 23 lipca Ibidem N. 455 a manifest szlachty przeciwko uchwałom sejmu konwokacyjnego z tejże daty Ibidem N. 438. Konfederacja przeciwko Potockim z 13 sierpnia 1764. Ibidem N. 482 a instrukcja posłom na sejm, gdzie mowa o zasłużonych ziemianach halickich. Ibidem N. 483.

były daremne, owszem potraktowano dygnitarzy ziemskich uszczypliwemi słowami, do zagajenia sejmiku do kościoła nie dopuszczono; musieli powrócić do Tustani, skąd udali się do podkomorzego a spotkawszy go w drodze, powrócili z nim do Marjampola.

Sejmik ten, złożony z samej prawie szlachty czynszowej, jak przeciwnicy manifestem ogłaszali skorumpowanej, górą pięćset głów liczącej i pewno dlatego nie w kościele ale pod lipami pomiędzy kościołem a domami miejskiemi zebranej, zagaił Marjan Potocki, którego też obrano marszałkiem wnet rozwiązanej konfederacji *circa liberam vocem vetandi pupillam libertatis.* Ignacy Potocki starosta Kaniowski, Dominik Cetner i kilku innych ziemian nieurzędników miało radami wspomagać marszałka jako konsyliarze konfederacji, a wydatki na nią pokryć miały podatki ziemiańskie jak podymne, czopowe, pogłówne żydowskie, prasołka, wszystkie podniesione do wyższej stopy płacy, a także i dawne zaległości... Miano z tych funduszów wystawić sześć chorągwi, każda po pięćdziesiąt koni, a nadto szwadron piechoty o stupięćdziesięciu ludziach. Jak zwykle konfederacja trwać miała aż do skutku uchylenia przeciwnych prawu i wolności ustaw czyli projektów i poprawienia wszelkich exorbitancyj.[1]) Spisany przedtem manifest przeciwko uchwałom konwokacyjnym, mówił o ułożonych przeciwko prawom, wolnościom i swobodom szlacheckim przy zgromadzonych z zagranicy kupach wojennych na upadek wiary i ojczyzny ustawach i o uwłóczonej władzy ministrów (hetmanów i podskarbiego).[2]) Zebrani w Marjampolu u Tadeusza Dzieduszyckiego zwolennicy reformy, jak Antoni Borzysławski, chorąży halicki, Rafał Skarbek, chorąży kołomyjski, Mateusz Bąkowski, podczaszy halicki, Stanisław Worcel, wojski kołomyjski, Roman Szumlański, starosta rakowiecki jeszcze tego samego dnia wnieśli do grodu halickiego manifestację przeciwko konfederacji, odcięciu ich od sejmiku, przymuszaniu szlachty do podpisu nieprawnego aktu. Równocześnie zakrzątali się około zebrania sił przeciwko Potockim. Dzieduszycki ścią-

[1]) Fasc. Cop. Castr. Hal. 285, Nr. 455.
[2]) Ibidem, Nr. 438.

gnął oddziały wojsk koronnych, naznaczył na 13 sierpnia zjazd do Halicza, gdzie miał się odbyć sejmik poselski. [1])

I Potoccy ze swej strony nie pozostawali bezczynni. Naprożno jednak usiłował marszałek konfederacji Marjan Potocki umocnić związek zjazdami w Stanisławowie, owej stolicy antireformistycznej agitacji. Na dniu 30 lipca naznaczył on na ósmy sierpnia popis pod temże miastem, celem dopełnienia związku i to pod rygorem konfederackim, a dla ubezpieczenia się od ucisku wojsk zagranicznych i dla odbycia wolnej elekcji. [2]) Akcesów do konfederacji jednak nie przybywało, owszem odpadali owi „czynszowi", a natomiast nieład wdzierał się do związku. Oto jak opisują działalność jego przeciwnicy polityczni w protestacji, mającej służyć za podstawę sądowego oskarżenia całego stronnictwa Potockich. [3]) Zaraz po zawiązaniu się zarąbali oni Osmólskiego, komisarza dóbr marszałka w. kor., gwałty po traktach czynili, podwody zabierali, podjazdy nie dla odparcia wroga, bo kraj był wolny, ale dla zysku odbywali, księży i innych obywateli najeżdżali, biorąc jak u ks. proboszcza czerwonogrodzkiego kilkanaście tysięcy gotówki. Oni to splądrowali Uścieszko, złupili gubernatora starostwa czerwonogrodzkiego, a Jędrzeja Świejkowskiego, komendanta chorągwi ks. Sułkowskiego na leży stojącej, w nocy napadłszy zabili, zabrawszy wszystkie jego ruchomości, chorągwie, kotły, kulbaki, zbroje i kufry z pieniądzmi i w triumfie je uwożąc do Stanisławowa. Tutaj poddali się Potoccy komendom moskiewskim, które ich wyparły do miasta. Osadzono wszystkich czterech w więzieniu, a wywód sądowy wysłano do

[1]) Dodać należy, że, jak z laudów sejmikowych wypływa, ci zwolennicy Tadeusza Dzieduszyckiego należą do najzacniejszych ziemian. Antoni Boczysławski, chorąży halicki z dziada, który zginął pod Wiedniem, zasługował się ojczyźnie, także jako poseł za granice Rzpltej; inny, Stefan Komorowski, porucznik pancerny chorągwi wojewodzica bełzkiego przez czteroletnią rezydencję u hana tatarskiego i u wojsk tureckich, broniąc województwo podolskie i Pobereże od Tatarów i wyzwalając około tysiąca jassyru z rąk tatarskich, a za rabunek starostwa czehryńskiego odebrał dla Rzpltej 270.000 zł. Podczas bitwy Moskwy z Turcją pod Chocimem doszczętnie był zrabowany. Castr. Hal. F. C. 285. Nr. 483.

[2]) Fasc. Cop. Castr. Hal. 285, p. 458.

[3]) Z dnia 23 lipca 1764 w Haliczu. Fasc. Cop. C. H. 285. Nr. 468.

generalnej konfederacji, która zdała na marszałka generalnego sprawę mającego się przeciwko nim wytoczyć procesu.[1]) Zanim tenże wytoczono, nakazano trzymać ich w przyzwoitem ich stanowi zamknięciu.

Teraz ocknęli się i owi Dubrawscy, Czechowicze, Drohomireccy, Krasuccy, Hołyńscy, Starczewscy, Turczańscy i inna szlachta wciągnięta do konfederacji Potockich, która i manifest przeciwko konwokacji podpisała. „Kolor tylko wolności mamy, mówili oni, poznawszy jakimi to sposoby zostali wciągnieni do związku halickiego, bo rzeczą samą rozkazów możniejszych od nas słuchać musimy". Z racji dobrego w Stanisławowie przyjmowania, deklarowanych nam donatyw i znacznych regalizacyj, wreszcie postrachem zmuszono nas do podpisu...! Toż kilkudziesięciu z tych dawniejszych opozycjonistów podążyło na sejmik do Halicza i tu 13 sierpnia uroczystym manifestem odstąpiło od związku Potockich.[2]) Te i inne nadużycia tych ostatnich podniesiono na sejmiku jako powód do zawiązania nowej konfederacji halickich ziemian. Znany nam Tadeusz Dzieduszycki, obrany jej marszałkiem wykonał w kościele przysięgę na obronę wiary katolickiej, praw, swobód, wolności z dodatkiem, że bez rady konsyliarzy niczego działać nie będzie. Do rady konfederackiej obrano samych urzędników, za złożeniem przysięgi, że nic na szkodę wolności działać nie będą, że porozumiewań, ani szkodliwych praktyk ze stroną przeciwną czynić nie będą, uchwały w sekrecie zachowają, popis, jeżeli go marszałek naznaczy, przypilnują. Na sejm elekcyjny obrano posłami marszałka konfederacji Dzieduszyckiego, starostę halickiego, Xawerego Branickiego, Ignacego Potockiego, starostę gliniańskiego, wszystkich trzech posłów z konwokacji, nadto Antoniego Borysławskiego, Rafała Skarbka i Kiljana Wisłockiego, stronników reformy.[3]) Polecono im obrać królem Polaka, stolnika litewskiego, popierać te punkta instrukcji, które ponieśli na konwokację, a które jednak nie zostały tamże załatwione, wreszcie skłonić, by Rzplta dawała zezwolenie na trzymanie ludzi nadwornych

[1]) Schmitt I, 188.
[2]) Fasc. Cop. C. Tremb. 5. N. 352.
[3]) Fasc. Cop. C. Hal. 285. Nr. 483.

z tem, żeby liczba ich była ograniczona, by na żadne zajazdy nie byli używani, owszem w potrzebie do wojska Rzpltej oddawani. Jeżeli nadto dodamy, że w manifeście tej przeciwko Potockim wymierzonej konfederacji, zaznaczono: że do nas urzędników należy rząd i dyspozycja sejmików, całość fortun i bezpieczeństwo i że nie można dawać innym województwom zgorszenia i ojczyzny na niebezpieczeństwo narażać, że wreszcie marszałek uwiadamiając ziemian o dokonanym wyborze posłów, których im na sejmiku relacyjnym obrać nie dano, wezwał gminy wiejskie i miasta do spisywania krzywd poniesionych, oczywiście przez konfederację przeszłą, która bezpłatnie wszystko od ziemian i mieszczan brała, łacno pojmiemy, że stronnictwo reformy zwyciężyło i w halickiem.

Zagrożeni przez wojska moskiewskie, przez familję, a nawet przez samychże Potockich, poczęli się wycofywać z opozycji kresowi Potoccy, zwłaszcza gdy powzięli wiadomość o submisji Franciszka Salezego Potockiego, złożonej dworowi petersburskiemu i o zgodnej elekcji Stanisława Augusta Poniatowskiego. We Lwowie na dniu 1 października i Marjan Potocki wraz z Piotrem Śniatyńskim, Antonim Błońskim, starostami, tudzież Piotrem, wojewodzicem wołyńskim, Potockimi, odstąpili od manifestu, złożonego przeciwko generalnej konfederacji warszawskiej, przyjmując ją w całości.[1]) Temsamem uznali się tymczasowo za pokonanych w walce o zasady, albowiem wniesione przez familję reformy odniosły triumf w uchwałach konwokacyjnych, przeprowadzonych przez tęże generalną konfederację.

Jakkolwiek i podolska konfederacja upadła w podobny sposób, jak halicka, jednakże i po elekcji, która wypadła po myśli stronnictwa reformy, walka o zasady nie wygasła w zupełności, objawiając się zaburzeniami i starciami na sejmikach, procesami, jakie w obronie swej musiał podejmować Marjan i inni Potoccy z powodu zabójstwa Świeykowskiego, protestami Katarzyny Kossakowskiej przeciwko Ignacemu Potockiemu, staroście kaniowskiemu i t. p. Lecz cóż znaczyły te poswarki wobec uchwał sejmu koronacyj-

[1]) Prot. Inser. Castr. Leop. 308 Nr. 613.

nego w grudniu 1764 r. zapadłych, na mocy których konfederacja generalna zrównana była z litewską, a w taki sposób reformy Czartoryskich objęły całą Rzpltą. Opozycja próbowała jeszcze sprawą hetmanów zaszachować Czartoryskich, jednakże bezskutecznie. Zręczny a przebiegły poseł moskiewski, ks. Repnin, musiał od zwycięzców sejmowych usłyszeć wołanie o ewakuację wojsk rosyjskich. Przymierze zaczepno-odporne, ofiarowane przez carową, uchylili Czartoryscy. Także i sprawę dyssydentów izba przyjęła z niechęcią. Dla Moskwy było aż nadto widocznem, że od poparcia Czartoryskich należy odstąpić, a oprzeć się o ich przeciwników, których dotychczas prześladowali.

Niewątpliwie dzięki poparciu Moskwy Czartoryscy zapoczątkowali dzieło reformy na sejmie konwokacyjnym i zasady tejże w części przeprowadzili, mimo opozycji hetmana Branickiego, którą po nim podjęli Potoccy na kresach. Ci ostatni, oparłszy się o gmin szlachecki, poruszyli go przeciwko zwolennikom reformy hasłami o zagrożonej wolności, a przeciwko posiłkującej Czartoryskich Moskwie hasłami o zagrożonej unji cerkiewnej, co było krokiem arcyniepolitycznym i — jak obaczymy — odsłoniło piętę achillesową stronnictwa. Stronnictwo reformy haseł o unji zagrożonej nie wznosiło; w ogólności używało Moskwy z rezerwą, jako siły do przeprowadzenia reform, a nie do mieszania się w sprawy wewnętrzne Rzptej. Oparłszy się na kresach o żywioł urzędniczy, uświadomiony, mogli byli i bez pomocy orężnej Moskali, po wyciśnieniu hetmana na Spiż stać się panami sytuacji na kresach, atoli nie chcieli ofiar i szczędzili krwi bratniej. Jako zwycięscy, żałowali z pewnością tego oparcia się o siły zagraniczne, o ile że widzieli, jak żywo pokonane stronnictwo szuka związków z carową, i że za cenę pewnych ustępstw da się użyć do zamachów nietylko na rozpoczęte reformy, ale i na wolność Rzptej. Większość narodu, żyjąca jeszcze *liberum veto* i staremi porządkami Rzptej i teraz jeszcze, gdy praktyka pokazywała dobre strony reform, nienawistnem na nie patrzała okiem; cóż było łatwiejszem, jak poruszywszy kwestję wolności wyznań — jak wiadomo, używających w Rzptej wolności, nieznanych w całej Europie — wzniecić walki i mocarstwom ościennym dać

powód do wmieszania się w sprawy domowe. Szło tylko o osobistość popularną, którąby można było postawić na czoło opozycji. Potoccy, na kresach potężni, takiej osobistości nie posiadali, ale mogli poprzeć takiego popularnego Karola Radziwiłła, którego trafnie Repnin wybrał i postawił na czele konfederacji, jaka przy pomocy Moskwy stanąć miała w Radomiu i rozwiązać dwa zagadnienia, mogące udaremnić reformę przez przewiedzienie wolności wyznaniowej, jakiej żądała Moskwa i Prusy, i gwarancji praw Rzptej, jakiej domagała się carowa. Zobaczymy, jakie wobec tych kwestyj zajęły stanowisko kresy, wdrożone już do reform Czartoryskich.

(C. d. n.)

*Dr. Ant. Prochaska.*

# Przegląd piśmiennictwa

Jan Papini: Od człowieka do Boga. Studja o pragmatyźmie. Polemiki religijne. Przekład W. Rzymowskiego. Zamość, Z. Pomarański i S-ka, 1925, str. 134.

Papini w Polsce staje się ulubionym autorem. Jedni może lubią go jeszcze za jego „Pamiętniki Pana Boga", drudzy — i tych chyba jest więcej — za jego „Historję Chrystusa". Jest to autor o tak bogatej skali umysłu i przejść duchowych, że tą czy inną nutą szarpnie za duszę każdego czytelnika. Nic dziwnego, jeżeli nasi wydawcy starają się przyswoić polszczyźnie nawet drobniejsze utwory autora „Zmierzchu filozofów".

Taki wszakże zbiorek rozprawek Papiniego, jaki wyszedł świeżo z oficyny wydawniczej Pomarańskiego, nie może być uznany za szczęśliwy. Tytuł jego — to tytuł jednego z zawartych w nim drobiazgów literacko-filozoficznych, wypełniającego zaledwie 11 stronic (87—97) i w zbiorku nie najlepszego. Jest to niezdrowe marzenie à la Nietzsche o tem, co człowiek zdolen będzie zrobić, jeżeli zechce zostać Bogiem. Kilka innych rozprawek — to okolicznościowe artykuły: lepsza z nich to „Wola wiary" (str. 47—55), dająca krytykę „woli wierzenia" pragmatystów; lecz spotykamy także tak obcą zagadnieniom wiary rozprawkę, jak ową o stronnictwach politycznych we Włoszech (str. 67—72), trafną ich charakterystykę, ale dziś przestarzałą i dla nas obcą. Najlepszą rzeczą jest rozprawka ostatnia p. t. „Religja stoi sama przez się" (str. 98—134), coś w rodzaju szkicu do apologetyki, miejscami bardzo udatnego, choć tu i owdzie zdradzającego modernistyczne nutki.

Broszura, tak jak jest wydana, nie przyniesie wielkiego pożytku czytelnikom, tym zwłaszcza, na których najbardziej obliczona, t. j. z szerszych kół inteligencji. Byłaby pożyteczna, gdyby ją wzbogacono wstępem, uwidaczniającym etapy, po jakich kroczył umysł Papiniego, a przynajmniej gdyby poszczególne rozprawki opatrzono w daty ich napisania, co umożliwiłoby samemu czytelnikowi orjentować się w duchowej ewolucji autora.

*Ks. J. Urban.*

Marceli Handelsman: Rozwój narodowości nowoczesnej. Nakład Gebethnera. 1923 r. Stron 268. 8⁰.

Niezmiernie interesująca publikacja, składająca się właściwie z dwu rozpraw. Pierwsza to „System narodowo-polityczny Coli di Rienzo", druga, „Ideologia Polityczna Towarzystwa Republikanów Polskich" (1798—1807). Rozprawy poprzedzone obszernym wstępem, który ujmuje w sposób syntetyczny istotę rozwoju narodowości nowoczesnej na zachodzie Europy. „Sięgając w odległą przeszłość procesów, które doprowadziły do wytworzenia się wielokształtnych formacyj narodów współczesnych, daje autor analizę składników psychicznych różnych przekrojów historyczno-rozwojowych", jak sam w tekście zaznacza. Można się godzić lub nie na pewne założenia Handelsmana, przyznać jednak należy, że prace te, przedstawione na posiedzeniach warszawskiego Towarzystwa naukowego, zyskały duże uznanie, jako opracowane niezmiernie wnikliwie z całym aparatem źródłowym. Obie prace drukowane poprzednio w *Przeglądzie Historycznym* w r. 1917 i *Przeglądzie Współczesnym* w r. 1923. Celem pracy jest poniekąd wywołanie polemiki, która mogłaby dać bardzo interesujące wyniki. Praca, ze względu na paralelityczne pierwiastki psychiczne dwu odmiennych etapów rozwoju w życiu narodów włoskiego i polskiego, jest cennem studjum, godnem jaknajszerszego poznania. *Dr. Wł. Rutkowski.*

Tadeusz Łychowski: Turcja. Rys stosunków geograficznych, gospodarczych, politycznych i wojskowych. Warszawa, 1924. Wojskowy Instytut naukowo-wydawniczy. Stron 80 i 3 karty.

Napisana przez wojskowego i wydana przez Instytut wojskowy broszura ujmuje rzecz o Turcji współczesnej przedewszystkiem ze stanowiska wojskowego. Omawia wszakże zarówno czynniki ekonomiczne kraju, jak i ustrój państwowy tego politycznego tworu, wreszcie dotyka na wielu miejscach reform wewnętrznych, przez Turcję pośpiesznie dokonywanych. Jako taka, broszura może zainteresować każdego inteligentnego Polaka — wszak chodzi tu o kraj, z którym Polska urzędowa zawarła d. 23 lipca 1923 r. w Lozannie „traktat przyjaźni i braterstwa".

Godząc się z autorem w tem, że trzeba poznawać Turcję i pracować nad rozbudowaniem stosunków gospodarczych między Polską a Turcją, sądzimy, że nie należy wpadać w przesadną tkliwość, jakiej nie ustrzegł się autor broszury, ani dla sympatyj tureckich osłaniać pewnych niesympatycznych stron w jej historji lub reformach ostatnich. Tkliwość autor posuwa aż do tego stopnia, że Turcję nazywa „bratnim" narodem, że zapewnia, iż nikt bardziej od Polaków nie bolał nad nieszczęściami Turcji w ostatniem dziesięcioleciu. Zbytek znowu sympatyj p. Ł. do Turcji każe mu z przekąsem odzywać się o owym idealiźmie panujących chrześcijańskich, który ich pobudzał niegdyś do usu-

nięcia Turków z Europy, a wyprawę Sobieskiego pod Wiedeń uważać bez zastrzeżeń za błąd polityczny. Z sympatją witając najnowsze reformy rządu angorskiego, autor broszury — gdy wspomina o reformach szkolnych i represjach wobec szkół francuskich, nie zauważył tego, że zatarg w szkołach francuskich powstał głównie o krycyfiksy, które rząd turecki z całym fanatyzmem rozkazał usunąć z sal szkolnych. Czy to naprawdę tak dalece potrzebne do odrodzenia Turcji i zbliżenia jej do Europy?

*Ks. J. U.*

Wład. Konopczyński: Polska a Szwecja. Od pokoju Oliwskiego do upadku Rzeczypospolitej. 1660—1795. Wyd. Kasy im. Mianowskiego, Stron 390 in 4°.

Imponujące dzieło wybitnego historyka, oparte na zbiorach kopenhaskiego Rigsarkivet, jako zbiór wiadomości i materjałów, rozsnutych na barwnej kanwie narracji historycznej, uzupełnionych rękopisami bibljoteki królewskiej w Stokholmie, daje obraz stosunków polsko-szwedzkich, począwszy od wojny północnej — przez politykę Karola XII. i związane z nią problemy ogólnoeuropejskie. Paralela historyczna Szwecji i Polski w XVIII w., stosunki polityczne tych państw z Rosją, Danją, Austrją, Turcją i Anglją, składają się na niezmiernie interesujący a źródłowy, choć dorywczo skreślony obraz. Autor bowiem, wydalony w czasie wielkiej wojny przez władze pruskie z okolic Gdańska do Szwecji, przystąpił tamże do badań archiwalnych stosunków, jakie wiązały nas z Północą, w Stokholmie i Kopenhadze, Malmö, Upsali, zyskując pomoc całego szeregu wybitnych tamtejszych uczonych. Sam autor nie ma pretensji, aby dzieło było ostatnim wyrazem opracowania stosunków polsko-szwedzkich i polsko-duńskich w powyższym okresie i zaznacza, że pewne partje wymagać będą rewizji, ze względu na dorywczość i językowe trudności. Niemniej jednak materjał zebrany i zestawiony jest tak obfity i tak cenny, że ma wartość nietylko dla historyka ale dla każdego czytelnika. Przedstawiono bowiem wypadki rzeczowo i przystępnie, choć może miejscami rozwlekle przez swą drobiazgowość, że z prawdziwą przyjemnością dadzą się czytać. Dzieło p. Konopczyńskiego zaliczyć tedy należy do wybitnych przyczynków historycznych o stosunkach północno-wschodnich. Jest to niezmiernie wartościowa publikacja historyczna o szerszym zakroju, udostępniona publiczności dzięki zasiłkowi Kasy Mianowskiego. Niewątpliwie nowsza literatura historyczna nieustannie coś nowego w tej dziedzinie przynosi, niemniej jednak aktualność dzieła jest niesłabnącą, a piękne reprodukcje sztychów i obrazów, oraz obfity skorowidz i przypisy dopełniają niezwykle pięknej zewnętrznej formy dzieła.

*Dr. Wł. Rutkowski.*

Wirginja Jezierska: Z życia dworów i zamków na kresach 1828—1844. Przetłóm. i wydał Dr. Leon Białkowski, 1924. Poznań str. 104 in 8°.

Wirginja Jezierska, z domu de Mory (1795—1869), która powiada o sobie, że się czuje sercem Polką a umysłem Francuzką, jest autorką tych notatek i dziennika, pisanych po francusku, nie przeznaczonych dla szerszej publiczności. Dr. Białkowski przetłómaczył, co uważał za ważniejsze, na język polski i, zapewne, od siebie tytuł podał, chociaż niezupełnie odpowiedni: „o życiu" bowiem w tych dworach i zamkach całkowitem, gdzieby się powinna odźwierciadlać różnorodna działalność, obejmująca wszechstronnie całą społeczność, niema mowy nawet. Znajdujemy tam, oprócz szczegółów genealogicznych, opisy rozmaitych wycieczek, obchodów imieninowych, zjazdów obywatelskich z okolic, t. zw. kontraktów dubieńskich, jarmarków etc., licznie reprezentowanych przez panów i szlachtę, chętnie się odwiedzających. Przesuwają się tu przed nami długie szeregi osób rozmaitych, które autorka znała osobiście, albo o nich słyszała, przeważnie z wyższych sfer wołyńskich, gdzie już matka jej nauczycielkowała w Młynowie u Chodkiewiczów, a potem ona sama bliskie utrzymywała stosunki. W tych opowiadaniach niema osobnej całości, z wyjątkiem opisu podróży z Litwy, okolic Słucka, do Paryża w r. 1828, chociaż i tego nie skończono zupełnie, porządek chronologiczny nie zawsze też przestrzegany; potem następuje przerwa kilkunastoletnia — od r. 1840 do 1844 autorka jest na Wołyniu i o nim przeważnie mówi.

Jaką wartość mają opowiadania p. Jezierskiej, czy im zaufać można? Nie łatwo o tem sądzić; a zweryfikować nie zawsze jesteśmy w możności. W wielu razach nazwiska nie wymienione, tylko inicjałami oznaczone (czy przez autorkę, czy przez tłómacza — nie wiemy). Niebywałe, straszne, trudne do uwierzenia rzeczy, zwykle anonimowe. Na str. 49 jest mowa o jakimś marszałku podolskim J., żyjącym w pierwszej ćwierci XIX w. mającym lat 30, który zamordował w Wiedniu księdza, swego niegdyś nauczyciela, zrabowawszy go zupełnie. O tym fakcie i skądinąd posiadamy wiadomości. Jakaś księżna ***, z domu Dulska, takie rozwiązłe prowadziła życie, że labuś francuski, nauczyciel syna, po trzech dniach uciekł z domu!... (pag. 48).

Niekiedy nazwiska są, ale bez imion i tak zagmatwanie opisane, że trudno dojść, o kim mowa. Na stronie 39 czytamy: „byłyśmy u teściowej marszałka Zaleskiego, bardzo zacnej osoby, mającej przeszło 50 lat, a wyglądającej tak młodo, że zdawało się, że jest siostrą swej córki, pani Skibniewskiej". Któż była ta teściowa, jak się nazywała (mogła po raz drugi wyjść za mąż); nazwisko jej córki też nieznane; jaki Skibniewski ją poślubił? Ra-

tuje nas tu monografja Skibniewskich [1]), dobrze ułożona, pięknie wydana; z niej się dowiadujemy: w r. 1821 odbył się ślub Wiktora Mikołaja Skibniewskiego z Antoniną Zaleską h. Prawdzic. Przy tej sposobności godzi się powiedzieć, że ten p. Wiktor Skibniewski wybitnym był działaczem społecznym w swoich czasach i zasłużonym obywatelem, panem licznych włości.

Wiadomości o Korwinach Krasowskich, rzekomych miljonerach wołyńskich i działalności literackiej, kontrowersji z Henrykiem Rzewuskim (57—58), Witalisa Krasowskiego, wydają się bajecznej treści, jak też i wieść o tem, że matka ich wydała w ręce rządu Sobańskiego (Gotarda?). O żonie Gustawa Olizara, z domu Molo, autorka wygłasza zupełnie inne zdanie (64), niż o tem współczesne głoszą świadectwa [2]). O Włodzimierzu Świeykowskim, wprawdzie o jego latach młodych, wyraża się ujemnie (53), a kiedy o nim pisała, on był już znanym obywatelem, ogólny szacunek mającym, o czem mogła wiedzieć ona dobrze, a potem został on marszałkiem gubernialnym wołyńskim, nie mało zasług położywszy na tem stanowisku [3]).

Pani Wirginja zasłyszała coś i o Złotnickim, komendancie fortecy Kamienieckiej, tak dalej konkludując: „zbrodnia jego srogą (44) na osobie jego syna odniosła pomstę. Syn komendanta (bez imienia, a było ich kilku), bogaty, przystojny, ożenił się z panną K." (też literą tylko oznaczono). Dalej opisuje bardzo drastycznie romans żony tego Złotnickiego z prostym kacapem z okolic Moskwy, który był furmanem Złotnickich, z wszelkiemi szczegółami i konsekwencjami; potem nastąpił rozwód; tak utrzymuje p. Jezierska. O tymsamym Złotnickim mówi też Heleniusz (Eustachy Iwanowski), ale o skandalach owych wzmianki niema [4]). Dowiadujemy się, że to był trzeci syn generała Złotnickiego, Dymitr, z Moskiewki urodzony i miany też za Moskala (chociaż miał swoją partję i wybrano go na marszałka radomyskiego; aspirował na gubernialnego, lecz to mu się nie udało), ożeniony z Kazimierą Karwicką. Heleniusz zaznacza, że z żoną „nieludzko" się obszedł, więc nie musiała być taką, jak Jezierska opisuje; powtórnie się ożenił z Trzeciakówną.

Autorka zostawała w bliskich stosunkach z Chodkiewiczami i wiele o nich wiadomości podaje prawdziwych i fałszów, które w części wydawca sprostował, ale nie zwrócił uwagi na to, co powiedziano na p. 87 o starościnie żmudzkiej, z Rzewuskich, Chodkiewiczowej. P. Jezierska twierdzi, że Ludwika z Rzewuskich

[1]) Archiwum rodzinne Skibniewskich z przyd. Kurzeck. Slepowron, Kraków, 1912, p. 184, 199.

[2]) Pamiętniki Gustawa Olizara, 1798—1865. Lwów, 1892.

[3]) Z. L. Radzieniński: Marszałkowie ziemi wołyńskiej i szlachty wołyńskiej. Lwów, 1916.

[4]) Listki wichrem do Krakowa z Ukrainy przeniesione. Kraków, 1901, wydanie II, tom I, p. 133.

Chodkiewiczowa po śmierci swego pierwszego męża, Jana Mikołaja, wyszła powtórnie za mąż za jakiegoś Czapskiego, i syn jej z pierwszego małżeństwa (nie mówi jaki) wytoczył matce proces o majątek, do którego rościł sobie prawo, za to matka przeklęła potomstwo syna do czwartego pokolenia. Tymczasem w rzeczywistości Ludwika z Rzewuskich Chodkiewiczowa drugi raz za mąż wcale nie wychodziła, z synem (miała ich kilku) się nie procesowała i nikogo nie przeklinała. Jest to dobrze wszystkim wiadomo. Dziwić się trzeba, że p. Wirginja o tem nie wiedziała, bo owa z Rzewuskich Chodkiewiczowa, toż matka słynnego Aleksandra, w którego domu jej matka nauczycielkowała, i sama autorka długo przebywała nieraz; ale była inna wcale Rzewuska, z domu Kunicka, Ludwika, żona Stanisława Mateusza Rzewuskiego, ostatecznie hetmana w. p.; otóż błądząca legenda o murowaniu jej w Podhorcach, za co ona miała przekląć swoje potomstwo.

W znanem dziele „Wielka rodzina w wielkim narodzie" (ułożonem przez Adamową Rzewuską) powtórzona ta legenda. Dopiero O. Wacław Kapucyn w swej pracy p. t. „Podhorce" (Kraków, 1896), dowiódł, że nie w Podhorcach, ale w Targowicy (na Wołyniu), stała się jakaś straszna katastrofa, i gdzie wzięta pod kuratelę z Kunickich Rzewuska, umysłowo chora, była internowana. Zapewne p. Jezierska pomieszała te obie legendy. O Chodkiewiczach jednak są różne, nieznane szczegóły przez autorkę podane: np. o smutnej pamięci pierwszej żonie Aleksandra Chodkiewicza, o jej drugim mężu, Golicynie, pielęgnowaniu syna z drugiego małżeństwa etc.; o Rzewuskich, braciach Adamie, Erneście, Henryku i innych członkach tego rodu znajdujemy interesujące wieści, też o Duninach, Karwickich, i Miroszu; o drugiej żonie Dominika Radziwiłła, Teofili Morawskiej ur. Dąbrowa, znanej zbliska p. Wirginji, a mającej burzliwą młodość, napotykamy zajmujące opisy i zdarzenia niezwykłe.

W sierpniu r. 1844 przybyła p. Jezierska do Sielca (w pow. włodzimierskim) do państwa Czackich, aby uczyć siostrzenice pani Czackiej (85). Jest tu mowa o Feliksie Czackim, 1783—1865 (jest to syn Michała) i żonie jego Marji Czackiej (córka Dominika); byli oni bezdzietni. P. Wirginja mówi z wielkiem uznaniem o niej i jej pracowitości: zarząd dobrami (24 wsi) i domem (150 osób) spoczywały na jej barkach i wszędzie był wielki porządek i ład. W przeciwieństwie do tego (84), a prawie w tym samym czasie, Józef Lubomirski na Dubnie nosił się już z myślą, aby Dubno rządowi sprzedać i popłacić długi. Na zamku w Dubnie miał panować nieład, a czasem i skąpstwo. Autorka twierdzi, że przy obiedzie czasem na 24 osoby stawiano tylko dwie butelki wina, a herbatę podawano zaledwo osłodzoną; żona jego, Dorota ze Steckich, nie miała własnych koni do dyspozycji.

*J. M. G.*

Marceli Handelsman: Historyka. Część I i zasady metodologji historji. 8°, str. 256.

Alfred Feder S. J.: Lehrbuch der historischen Methodik, Regensburg, 1921. Str. XII i 307, 8°.

W roku co dopiero wymienionym, ukazały się w handlu księgarskim nieomal równocześnie dwa dzieła naukowe tej samej treści, a mianowicie napisana w języku polskim przez M. Handelsmana, profesora uniwersytetu warszawskiego „Historyka" (Część I, Zasady metodologji historji), tudzież ułożony przez księdza A. Federa T. J. w języku niemieckim podręcznik, który tu omówić zamierzamy. Jakkolwiek oparte na wspólnem podłożu, bo głównie na klasycznych pracach E. Bernheima *(Einleitung in die Geschichtswissenschaft* i *Lehrbuch d. historischen Methode u. Geschichtsphilosophie)*, a obok tego na niemniej znakomitych pracach Ch. V. Langlois i Ch. Seignobos, E. A. Freemana, A. Meistra i innych starszych, lub nowszych, różnią się opracowania Handelsmana i Federa pod kilkoma względami. Różnica ta wywołana została w pierwszym rzędzie nieco odmiennym celem, jaki ci dwaj autorowie mieli na oku. H. widzi w czytelnikach swoich prawie wyłącznie tylko młodzież polską, sposobiącą się do samodzielnej i umiejętnej pracy w badaniu i odtwarzaniu dziejów ojczystych, podobnie jak postąpili Langlois i Seignobos, piszący swą *Introduction aux études historiques* jedynie dla studentów francuskich; ks. F. zakreśla sobie cel szerszy, przeznacza bowiem podręcznik swój nie tylko dla kształcących się gdziekolwiek na wyższych uczelniach młodych historyków, teologów, filologów i prawników, ale w równej mierze także dla starszych wiekiem czytelników o wykształceniu akademickiem, oraz dla samouków, pragnących poznać zasady trzeźwego i sprawiedliwego sądu o faktach historycznych. Dalsza różnica polega na odmiennym nieco układzie tych dwóch podręczników. Obydwaj autorzy, o których mowa, dzielą wprawdzie metodę sztuki dziejopisarskiej na trzy główne działy, t. j. heurystykę, krytykę i syntezę, ale podczas gdy u Handelsmana wszystkie te trzy stadja powstawania utworu dziejopisarskiego traktowane są mniej więcej równorzędnie, przywiązuje ks. Feder największą wagę do krytyki źródeł, której poświęca 138 stronic swej książki (heurystyka obejmuje u niego stron 50, synteza 46). U H. zaliczona jest hermeneutyka (t. j. interpretacja, egzegeza źródeł historycznych) do krytyki, t. zw. „wyższej" czyli wewnętrznej; ks. F. zaś przeniósł ją u siebie do syntezy, zapatrując się na nią jako na czynność raczej twórczą, konstrukcyjną, niż analityczną. Rozdział o syntezie rozpada się u Federa 1) na interpretację, 2) kombinację i 3) pisemne lub ustne przedstawienie wyników badań (Darstellung); u H. stanowi „wykład" rozdział osobny (V-ty). Natomiast jest u pierwszego z tych autorów już w rozdziale o krytyce (str. 106—119) mowa o trzech zasadniczych postaciach wnioskowania (a względnie do-

wodzenia) logicznego: indukcji, dedukcji i analogji (metody: progresywna, retrospektywna i porównawcza; rezultatem dwóch pierwszych jest ustalenie pewnika, trzeciej hipoteza). U H. spotykamy się z niemi dopiero w rozdziale o syntezie (Historyka I, str. 185—197). Konsekwentnie ma się przeto rzecz n. p. ze statystyką, stosowaną jako metoda w historji. Ks. F. łączy ją z indukcją historyczną w rozdziale o krytyce (str. 113—119, § 3: *Historische Induktion und Statistik)*; H. mówi o niej dopiero pod sam koniec swej książki, przy syntezie, na str. 211—216). Który z tych dwóch punktów widzenia jest dla pracującego korzystniejszy, recenzent osądzać nie ma obowiązku, tem więcej, że w każdym z nich coś przemawia, a w praktyce ostatecznie na jedno wychodzą, skoro w niej nieraz krytykę z syntezą kojarzyć potrzeba (o czem zresztą i sam ks. F. na str. 18 i 246 mówi).

W dwóch tych wybornych podręcznikach metodyki historycznej znajdzie czytelnik nie tylko gruntowne, jasno i przystępnie wyłożone pouczenie w tej mało u nas znanej, a niezmiernie interesującej materji, ale także bardzo obfitą, starannie i umiejętnie zestawioną literaturę pomocniczą i informacyjną, którą zarówno H. jak F. na licznych miejscach podają. Książka ks. F. nie jest wprawdzie napisana tak gładko i potoczyście, jak książka H.; stylu tej jego pracy nie można jednak nazwać suchym, pomimo jej układu więcej niż systematycznego i nieomal schematycznego. Miejscami bowiem przegląda w niej nawet pogodny humor, lub błyska rozweselający czytelnika dowcip, jak n. p. na str. 84, w przestrodze, tyczącej się przypisów. Wykład swój urozmaica ks. F. dosyć często zajmującemi wtrąceniami, jak n. p. na str. 70, gdzie opowiada o najnowszych sposobach, używanych przez benedyktynów w Beuron przy wydobywaniu na jaw pisma wymytego lub wyskrobanego na rękopisach pergaminowych, zwanych palimpsestami *(codices rescripti)*. W rozdziale o heurystyce, t. j. o umiejętności porządnego i systematycznego zbierania materjałów dziejowych, zaciekawi (w dodatku p. t. *Schreibwesen und altes Buchwesen)* niejednego czytelnika niezawodnie przedstawienie historycznego rozwoju pisma greckiego i łacińskiego, kilkuwiekowe kształtowanie się książki (str. 72), poza tem cały szereg innych jeszcze (passim zamieszczonych) wiadomości, o których nie codziennie się czyta, lub słyszy.

Jako wieloletni profesor instytutu filozoficzno-teologicznego, uwzględnia ks. F. w podręczniku swoim m. i. badanie źródeł do hagiografji i archeologji chrześcijańskiej (str. 79—81), podnosząc znaczenie ich dla historji kościelnej i świeckiej, dla dziejów kultury, językoznawstwa, oraz innych dziedzin historycznej teologji. Na str. 127 wspomniane jest nazwisko J. Mabillona, uczonego zakonnika z benedyktyńskiej kongregacji św. Maura, któremu wiedza historyczna (a w szczególności dyplomatyka) zawdzięcza po-

danie kryterjów, pozwalających wyróżnić dokumenty autentyczne od falsyfikatów.

Podręcznik ks. F. jest pod wielu względami nader cennem uzupełnieniem podręcznika profesora H. Powiększa on bowiem w znacznym stopniu sumę wiadomości, potrzebnych lub przydatnych młodym historykom i rozprzestrzenia granice przedmiotu ich badań. Dla profanów zaś stanowić może rodzaj perspektywy, która im ułatwi racjonalną obserwację współczesnych lub minionych wydarzeń dziejowych i da im zarazem możność wyrobienia sobie samodzielnego, wolnego od suggestji lub uprzedzenia sądu o nich. Życzyćby zatem należało, aby rychło znalazł się tłómacz, któryby tę bardzo zajmującą i bardzo pożyteczną książkę czytelnikom polskim w dobrym przekładzie udostępnił.

*Z. B.*

Skarbiec Pisma świętego. Konkordancja rzeczowa. Wyd. Ks. Feliks St. Feldheim. Kielce. Wydawnictwo *Przeglądu Homiletycznego* 1924.

W r. 1893 wydał ks. K. Vaughan w Nowym Yorku książkę pod tytułem: *The Divine Armory of Holy Scripture.* Oparłszy się na dziele O. H. Marcelliusa T. J., *Theologia Scripturae divinae,* dał do rąk katolikom w Ameryce nie tylko broń skuteczną przeciwko napaściom innowierców, ale i otworzył przed nimi „źródła wód żywych", skąd czerpać mogli orzeźwienie we wszystkich okolicznościach życia. Plan dzieła ujęty na sposób podręczników teologicznych, a więc w rozdziały o Bogu Stwórzycielu, o Trójcy św., o Wcieleniu i t. d. Rzecz całą rozwija autor na tle Pisma św., z wielką znajomością Ksiąg św. gromadzi teksty, które jużto w znaczeniu dosłownem, jużto przenośnem odnoszą się do omawianej kwestji. W przedmowie do pierwszego (angielskiego) wydania Kardynał Gibbons rokował dziełu ks. Vaughana wielkie wzięcie. Przewidywania te spełniły się w zupełności. Praktyczna ta książka stała się w Ameryce nietylko podręcznikiem dla uczących się teologji, ale książką do nabożeństwa i zbrojownią, w której katolicy mają broń na wrogów religji i Kościoła.

Pożyteczne to dzieło przełożył na język polski ks. F. Feldheim, proboszcz parafji Wniebowstąpienia P. w Evanston, w Ameryce. Przekład nie jest dosłowny. Tłumacz poczynił pewne zmiany, zwłaszcza we wstępach do poszczególnych części. Powiększył znacznie dział o pracy, dodał jeden zupełnie nowy ustęp: Zasady wychowawcze Pisma św. Chociaż dzieło ma raczej charakter apologetyczny, to jednak oddać może wprost wielkie usługi nie tylko apologetom i kaznodziejom, ale i być pożyteczną książką dla każdego z katolików, którzy pragną brać wiedzę życiową ze źródeł czystych, tryskających ku żywotowi wiecznemu. Dodać należy, że polskie wydanie jest bardzo staranne, poręczne, w czem zasługa Redakcji *Przeglądu Homiletycznego.* *Ks. A. Ż.*

Słowa Żywota. Modlitewnik oparty na tekstach biblijnych. Wyd. „Bibljoteki religijnej", Lwów.

Staraniem lwowskiej „Bibljoteki Religijnej" ukazała się pod wskazanym tytułem nowa książka do nabożeństwa. Trafnie dobrane teksty Pisma św. składają się na piękne modlitwy i rozmyślania w czasie mszy św., przygotowania się i dziękczynienia po Komunji św. Prócz tego szereg wskazówek i napomnień z Pisma św. o miłości bliźniego, o miłosierdziu, o modlitwie i t. d. Spodziewać się należy, że księża proboszczowie, zwłaszcza w miejskich parafjach, polecą gorąco ten modlitewnik swoim parafjanom.

*Ks. A. Ż.*

Ks. Dr. St. Żukowski: Krótkie nauki niedzielne na podstawie Ewangelij. Lwów, nakładem „Bibljoteki Religijnej", 1924.

Nauki ogłoszone drukiem miewał autor w kościele akademickim św. Mikołaja do inteligencji. W 50 kilkunastominutowych przemówieniach na podstawie perykop niedzielnych podał zwięźle prawdy katolickie: o wierze, o pokucie, o Kościele, o modlitwie, pracy i t. d. w pięknej i spokojnej formie. Mimo że autor uwzględnia tu i ówdzie moment apologetyczny, nie wprowadza jednak polemiki na ambonę, lecz pozytywny, w godny kaznodziei sposób rozbija trudności swoich słuchaczy. W kazaniach ks. Ż. wyczuwa się brak ciepła i większej rozlewności uczucia, choć z drugiej strony przyznać trzeba, że krótki czas, jakim rozporządzał na ambonie, nie pozwalał mu na rozprowadzanie myśli w szerszych, krasomówczych amplifikacjach. Na stylowe usterki zwróciła już uwagę gdzieindziej krytyka kaznodziejska (*Gazeta Kościelna* z 15 listopada 1924), my chcemy raczej podnieść rzeczywistą zasługę autora, którą oddał polskiej literaturze kaznodziejskiej, wzbogacając ją dobremi a niestety rzadko spotykanemi kazaniami dla naszej inteligencji.

*Ks. A. Ż.*

Ks. J. Kłos: O Kościele katolickim i posłannictwie narodu. Poznań, nakł. „Ligi Katolickiej".

Na Zjeździe Katolickim d. 3. maja 1924 r. wygłosił ks. prałat J. Kłos podniosłe kazanie o Kościele katolickim i posłannictwie narodu. Wydawnictwo „Ligi Katockiej" w Poznaniu ogłosiło je drukiem, jako jedenastą wśród swych aktualnych broszur. W pięknych, barwnych i dostojnych słowach przedstawia kaznodzieja związek, zachodzący między Kościołem katolickim a naszą Ojczyzną. Wiele bardzo silnych i wzruszających momentów, jak np. w epilogu kazania, gdzie kaznodzieja oddaje w opiekę Matki B. Rzeczpospolitą polską. Kazanie zaliczyć należy do wzorów wymowy religijno-patrjotycznej.

*Ks. A. Ż.*

Prof. Dr. B. Kieffer: Predigt und Prediger. Paderborn, Schöningh, 1924. Stron 520.

Sam autor niniejszej pracy homiletycznej tak ją określa: „Jest to owoc długoletniej pracy na polu kaznodziejstwa i profesury wymowy świętej. Napisaną została ta praca w tym celu, by kandydaci na mowców kościelnych poznali drogi wypróbowane; ci, co dźwigają już ciężar tej pracy, by niejedno ku zachęcie sobie przypomnieli, wszyscy zaś powołani od Boga na urząd kaznodziejski, by do wiernego i niezmordowanego sprawowania tego urzędu się zachęcili".

Zapewne wielki i wspaniały cel. I autor nie mało się natrudził, zapisując najsumienniej rozprawami o zasadach wymowy kościelnej aż 500 przeszło stron, ale, naszem zdaniem, tym wzniosłym celom nie odpowiedział, a to z dwóch przyczyn: Najpierw jest za długi i za drobiazgowy, a to zniechęca, tem bardziej, że formą wykładu jest raczej wyliczanie, rozbijanie przedmiotu na proch i pył podziałów, niż ujęcie jego syntetyczne i przedstawienie stylem żywym i ciepłym.

Następnie, chcąc być oryginalnym, odrzuca autor powszechnie przyjęty podział zasad wymowy na zasady ogólne i poszczególne, a przez to zatraca w swem dziele tak ważną dla nauki, a nawet i estetyki perspektywę w układzie przedmiotu. Sama bowiem natura wymaga, żeby na ogólnem tle zasad poznawczych rozwijały się zasady poszczególnych rodzaji wymowy, im tylko właściwych.

Ta także oryginalność zmusiła autora do podjęcia, albo raczej do wytworzenia sztucznej polemiki z wymową świecką, jakoby ona usiłowała uczynić wymowę świętą swoją poddaną. (§ 5, 13). Zalatuje nas tu odgłos średniowiecznej walki o supremację między filozofją a teologją. Gdy tymczasem tak wymowa świecka, jak i kościelna, idą obok siebie zgodnie po właściwych sobie torach, biorąc z zasad wymowy ogólnej bez ujmy swej osobistej godności to, co sama natura wymowy im daje. Ta chęć oryginalności w dalszej konsekwencji przyprawiła autora o pewną niekonsekwencję. Bojąc się iść za staremi mistrzami słowa, mimo zastrzeżeń, autor ciągle do nich wraca i pełnemi garściami czerpie zasady wymowy ogólnej, przenosząc je żywcem do wymowy świętej.

Oczywiście cierpliwy czytelnik dużo może skorzystać ze żmudnej pracy autora, która jednak będzie zawsze raczej kompilacją, niż pracą twórczą.

Literatura niemiecka homiletyczna, tak bardzo bogata, zyskała jeszcze jedno dzieło, to prawda, ale dorobkiem się jego nie wzbogaciła, bo pozostaje ono daleko poza dziełami tak jasnemi i ciepłemi w wykładzie, jak dzieła Schleinigera, a jeszcze dalej poza oryginalnem dziełem, pełnem świeżych i głębokich spojrzeń, Hettingera w Aforismen.

Dla profesora wymowy kościelnej ma to dzieło znaczenie o tyle, że znajdzie w niem dużo materjału, skrzętnie zebranego, a przedewszystkiem dobre, klasyczne przykłady. Najlepiej wypadły: część III o źródłach wymowy kościelnej; część VIII i IX o rodzajach kazań wogóle i w ich historycznym rozwoju. Najsłabiej przedstawia się część XII o wygłoszeniu krasomowczem, czyli deklamacji. Za zaletę poczytać należy autorowi sumienne notowanie źródeł, z których czerpał. *Ks. H. Haduch.*

J. Weigert: Bauernpredigten in Entwürfen. Freiburg, Herder, 1924.

Głęboki znawca duszy ludu niemieckiego, autor dzieła *Das Dorf entlang,* ks. Weigert ogłosił drukiem swoje kazania, którym dał tytuł: *Bauernpredigten.* Są to kazania dla ludu, pracującego na roli. W 128 przeważnie gruntownie opracowanych szkicach poucza autor lud wiejski: o stosunku stworzeń do Boga, jak winien człowiek patrzeć na otaczającą go przyrodę i w niej Boga znajdować, o powołaniu i obowiązkach ludu wiejskiego, o życiu rodzinnem i o przywiązaniu do Kościoła katolickiego. Kapłani zajęci duszpasterstwem na wsi znajdą w kazaniach ks. W. i kanwę, na której osnuć mogą swoje przemówienia i nie jedną myśl praktyczną dla swoich słuchaczy. *Ks. A. Ż.*

K. Dörner: Die Stunde des Kindes. Kinderpredigten. Freiburg 1924.

Mamy tu zbiór przemówień, głoszonych przez kilku kapłanów w katedrze fryburskiej. Trzeba stać się dziecięciem, ażeby trafić do duszy dziecka. Zasadę tę przeprowadzono w kazaniach ks. Dörnera. Ton kazań opowiadający, plastyczny, częstemi pytaniami trzyma na uwięzi ruchliwą wyobraźnię dziecka. Nie brak i pięknych, trafnie dobranych przykładów. Obejmują cały rok kościelny; mogą być z pożytkiem wyzyskane i dla dziatwy naszej, zwłaszcza po miastach. *A. Ż.*

Ks. J. Krzyszkowski T. J.: Tajemniczy Znak. Obrazki misyjne. Kraków, nakładem Wydawnictwa Księży Jezuitów, 1924, str. 187.

Książeczka ks. Krzyszkowskiego zadaje kłam przekonaniu, że tematy religijne nie nadają się dla belletrystyki. Dwanaście opowiadań-nowelek misyjnych ujmuje w jedną całość wspólny tytuł: „Tajemniczy znak", oddając wewnętrzną, istotną treść całości. Zwycięstwo Tajemniczego Znaku — Krzyża Chrystusowego w duszach pogańskich, oto zasadniczy motyw, przewijający się przez wszystkie niemal opowiadania. Ta pozorna jednak monotonja tematu nie nuży wcale, dzięki bogatej wyobraźni autora i wartościom literackim jego nowelek. Wszystkie one oparte są na prawdziwych zdarzeniach, porozrzucanych po misjonarskich listach. Z tych, zwykle prawie że jednozdaniowych relacyj autor rozsnuł

swą wyobraźnią bogate, barwne, często o silnem napięciu dramatycznem historje, zapełnił je żywymi ludźmi i tło podmalował egzotyczne, a w najdrobniejszych nawet szczegółach prawdziwe. Dopiero bliższe przyjrzenie się fakturze poszczególnych obrazków ukazuje nam tę naprawdę wielką pracę, formalne studjum, jakiego wymagał każdy z nich. Przy pobieżnem jednak czytaniu wcale się tego nie odczuwa, i tu właśnie widzimy główną zaletę obrazków. Autor nie nuży nadmiarem opisów, gromadzeniem szczegółów; daje ich tylko tyle, ile koniecznie potrzeba, nigdzie nie jest rozwlekły i sceny jedna za drugą przesuwają się przed oczyma czytelnika, porywając jego uwagę i wyobraźnię. Rozumie się, że do wywołania tego wrażenia w dużej mierze przyczynia się lekki, barwny, piękny, często subtelnemi dowcipami okraszony styl. Pisząc swą książeczkę, myślał autor przedewszystkiem o młodzieży, pragnąc w jej sercach obudzić zapał dla idei apostolskiej.

*S.*

Al. Brückner: Dzieje literatury polskiej w zarysie. 2 tomy. Wydanie III, str. 467+520. Warszawa, „Bibljoteka Polska".

Znużeni nieco przyglądaniem się rozwojowi naszej literatury przez „Feldmanowskie" okulary, z radością bierzemy do ręki nowe wydanie pomnikowego dzieła prof. Brücknera. Niestrudzony badacz ojczystego języka i kultury, zwolniony od obawy przed pruską cenzurą, w tem trzeciem wydaniu daje nam wyraz szczery zapatrywań swoich na całokształt naszego piśmiennictwa narodowego od pierwszych jego zaczątków, aż do chwili obecnej, usuwa omyłki poprzednich wydań i uwzględnia wyniki najnowszych badań, obcych i własnych.

Dzieło Brücknera cechuje wielka zwięzłość i treściwość, mnóstwo szczegółów zawiera on w krótkich zdaniach, o inne potrąca tylko, w krótkich słowach streszcza bystre spostrzeżenia, owoc starannych badań i sumiennej lektury. Nie godząc się z niektóremi zapatrywaniami uczonego berlińskiego, widzimy przecież, że nie daje on się porwać przemijającym nastrojom w ocenach wartości artystycznej danego dzieła. To też darmo szukalibyśmy u niego entuzjazmu dla gwiazd (podszytego grubo semityzmem) futuryzmu; są zato rzetelne oceny nawet słabszych prób literackich ubiegłych stuleci, o ile stanowią one pewien objaw ciekawy ówczesnej dążności do osiągnięcia pewnego celu. Tak np. nie pominięto milczeniem sążnistej epopei Skórskiego o Lechu, będącej jednem ogniwem w mozolnych wysiłkach pokoleń na drodze do stworzenia narodowej epopei (t. I, str. 31).

Poprostu zdumiewa ogromna erudycja autora i mnogość nagromadzonych ocen literackich, nie mówiąc już nic o trafnych syntezach poglądów na daną epokę, w jakie obszerne to dzieło obfituje.

Z prawdziwą, nietajoną radością zaczyna długoletni badacz ojczystej literatury wielki rozdział nowy „nowej Polski państwowej". Trafnie zaznacza, że literatura współczesna „wyzwolona od dotychczasowej troski o byt i życie, może spełniać właściwe swe posłannictwo". Pewien jest, że „literatura piękna służbę obywatelską zawsze pełnić będzie". „Literatura piękna — mówi — skoro nie nadużywa się jej dla tendencji partyjnej, dla podrażnienia zmysłowości, dla pustego śmiechu i trwonienia czasu (a prawdziwa literatura do tego wszystkiego się nie przyznaje) działa ona wprost uszlachetniająco, bo podnosi poziom umysłowy, bo wskazuje zawsze ideał, bo odwraca wzrok od wyłącznej, niskiej troski codziennej, bo przypomina człowiekowi, że nietylko jest ciałem, bo budzi tęsknotę w nieskończoność, w bezmiar" (t. II, str. 474).

*Ks. T. K.*

Tadeusz Kossak: Wspomnienia wojenne (1918—1920). Kraków 1925. Nakładem „Krak. Spółki Wydawniczej".

Brat znakomitego artysty (Wojciecha Kossaka, którego pamiętniki tak ciekawie czytało się przed wojną) roztacza przed nami obraz wysiłków wojennych odrodzonej Rzeczypospolitej, na podstawie własnych przeżyć. Rzecz pisana rzekłbyś ostrzem szabli ułańskiej, żywe i pełne grozy bojowej opisy, bez ubarwienia zbytniej fantazji odsłaniają nam szczegółowo wielkie, przełomowe dni krwawych zapasów z bolszewickiemi watahami o każdą piędź drogiej naszej ziemi. Żywość i lekkość stylu, będąca jakby odbiciem ruchliwego życia ułana, nadaje tym wspomnieniom szczególny urok. Weźmy pierwszy lepszy cytat:

„Krótko trwa bitwa, bo bolszewicka hołota poddaje się. Stoją w szeregach z ramionami wyciągniętemi do góry, jak słupy — jest tych jeńców 1800. Dobrze! ale co z tym fantem zrobić? Dawać konwój? osłabić swój oddziałek, który i tak rzucić się ma z motyką na słońce?" i t. d. (str. 137).

Pominąwszy już wielką wartość pamiętnika dla przyszłych dziejopisarzy tak doniosłego przełomu, książkę czyta się jak najciekawszą powieść. Kilka drastycznych szczegółów należałoby przecież opuścić (np. list niewiernego narzeczonego). Zapał, humor, animusz bojowy i bezpartyjna, szczera miłość Ojczyzny przebija z każdej karty pamiętnika. Piękny kolorowy obraz pędzla Wojciecha Kossaka zdobi okładkę książki niewielkiej co do rozmiarów, ale niezmiernie interesującej. *Ks. T. K.*

## Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Dr. Witold Rubczyński: Filozofja życia duchownego. Poznań 1923, Fiszer i Majewski. 8⁰ str. 764.

Ks. Bol. Pawłowski: Księga Sofonjasza, wstęp i nowy przekład. Wilno, Dom Opieki M. B. 1924.

Ks. Bol. Pawłowski: Księga Nahuma i Księga Habahuka. Wstęp, nowy przekład, (litograf.) Wilno. Dom opieki M. B.

St. Wędkiewicz: Społeczeństwo a armja w porewolucyjnej Francji. Kraków 1924, Nakład Spółki Wydawniczej, str. 94.

Ks. Dr. Bączkowski: Krótka historja Kościoła rzymsko-katolickiego do użytku młodzieży. Nakład Książnicy-Atlasu, Lwów 1924, str. 82.

Ks. arcyb. W. Sardi i K. Sica: Żywot Sługi Bożej Marji Franciszki Siedliskiej od P. Jezusa Dobrego Pasterza. Kraków 1924, str. 512.

Ks. Dr. Jan Wiślicki: Zwyczaj w prawie kanonicznem. Lublin 1924, Nakład Uniwersytetu Lubelskiego. Str. 131.

— Pamiętnik III Śląskiego Zjazdu Katolickiego. Katowice 1924, str. 150.

H. Chankowski: Buchalterja kameralna dla instytucji samorządu miejscowego. Warszawa, str. 108.

Yves de la Brière: L'organisation internationale du monde contemporain et la papauté souveraine. I p., Paris 1924, Édis. Spes, str. 319.

Eug. Bautro: Studja i krytyki z dziedziny teorji i filozofji prawa, str. 93.

Prof. L. Młynek: Marja. Uwagi nad środkami, w jaki sposób można osięgnąć obywatelskie wychowanie kobiet. Kraków 1924. J. Czernecki, str. 40.

Jul. Kleiner: Juljusz Słowacki. Dzieje twórczości. Wyd. 3, str. 283 i 400. Lwów Ossolineum 1925.

St. Sapiński: Badania źródłowe nad kazaniami niedzielnemi i świątecznemi Skargi. Kraków 1924, Gebethner, str. 335.

S. Grelewski: La réaction contre les Ordalies en France depuis le IX siècle jusqu'au Décret de Gratien. Rennes 1924, Imprimerie du „Nouvelliste". Str. 105.

Stef. Schmidt: Własność folwarczna zachodniej Małopolski w chwili wskrzeszenia państwa polskiego. Studjum ekonomiczno-rolne. Kraków 1924. Akadem. Umiejętności. Str. 88.

B. Dybowski: Baicalogammaridea. Kraków 1924. Akad. Umiejętności. Str. 90.

A. Dyla S. J.: De tendencia finali in mundo anorganico. Innsbruck 1924. Fel. Rauch, str. 21.

Wojskowy Instytut naukowo-wydawniczy. Warszawa 1924.

— Organizacja sił zbrojnych S. S. S. R. w czasie pokoju, opracował oddział II Sztabu Generalnego. 18 załączników. str. 302.

Rob. Normand: Roboty polowe, użycie saperów. Przekład z francuskiego, str. 301.

Inż. Paul Vérola: Materjały wybuchowe. Zasady teoretyczne i fabrykacja. Przekł. z franc., str. 230

Gen. Tabonis: Studjum o osłonie, tłum. Włodz. Ludwig, str. 79.

Gebethner i Wolff, Warszawa-Kraków 1925.

H. Andersen: Baśnie, oprac. C. Niewiadomska, 12 rys., wyd. 6, str. 378.

Wł. Anczyc: Przygody żeglaży, podróżników pośród dzikich ludów kuli ziemskiej, wyd. 6, 8 rys., str. 305.

Mayne-Reid: Dolina bez wyjścia, wyd 5, 11 ryc., str. 268.

Cooper: Mieszkaniec puszczy, oprac. M. Zaleski, 5 rys., wyd. 6., str. 416.

D. Defoe: Robinson Kruzoe, oprac. Wł. L. Anczyc, wyd. 13, str. 383.

Dr. Bird: Duch puszczy. Opowiadanie z borów amerykańskich, oprac. Wł. L. Anczyc, wyd. 8, 6 ryc., str. 284.

Wł. Umiński: Biały Mandaryn. Przygody rodziny polskiej na dalekim Wschodzie, wyd. 2, 6 ryc., str. 232.

Wł. Umiński: W głębinach oceanu, powieść fantastyczna, wyd. 2, 6 ilustracyj, str. 345.
R. Stevenson: Skarby na wyspie, powieść dla młodzieży, 10 rys. str. 239.
Wł. Umiński: W krainie wschodzącego słońca, powieść z życia młodzieży japońskiej, wyd. 2, 6 ryc., str. 177.

Nakładem Herdera we Fryburgu 1924.

Dr. Jos. Ries: Katholische Lebensführung. Gedanken für Fortbildungsschule u. Christenlehre, str. 230.
Sigm. Nachbaur S. J.: Der hl. Johannes Franciskus Regis aus der Gesellschaft Jesu, str. 184.
Ad. von Doss S. I.: Die weise Jungfrau. Gedanken u. Ratschläge. Für gebildete Jungfrauen bearbeitet von H. Scheidt S. I., 20 wyd. str. 460.
Er. Przywara S. I.: Liebe. Der christliche Wesensgrund, str. 110.
Fr. Esser S. I.: Zepter u. Schlüssel in der Hand des Priesters, str. 122.
Herm. Muckermann: Neues Leben. I. Der Urgrund unserer Lebensanschauung, str. 106.
Dr. Jak. Schäfer: Der Rosenkranz ein Pilgergebet, str. 76 i 95.
— Religiöse Volksströmungen der Gegenwart. Vorträge über die „Ernsten Bibelforscher", Okkultismus u. die Anthroposophie R. Steiners. str. 154.

Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska", Warszawa 1925.

— Almanach Bibjoteki Polskiej na rok 1925, str. 180.
Joach. Lelewel: Pamiętnik z roku 1830—31. Przedmową i przypisami zaopatrzył Janusz Iwaszkiewicz, 12 ilustracyj, str. 163.
H. Mościcki: Z filareckiego świata. Zbiór wspomnień z lat 1816—1824, 24 ilustr., str. 370.
Winc. Rapacki: Sto lat sceny polskiej. 110 ilustr., str. 208.
Alfr. Lauterbach: Warszawa, 116 ilustr., str. 231.
R. Sohm: Instytucje, historja i system rzymskiego prawa prywatnego. Część I: Źródła nauki ogólne, z 17 wyd. tłumacz. Dr. Taubenschlag i Kozubski.
Dr. St. Morawski: Kilka lat młodości mojej w Wilnie (1818—1825) wydali Ad. Czertkowski i H. Mościcki, 24 ilustracyj, str. 541.
Józ. Weyssenhoff: Noc i świt, powieść historyczna współczesna, str. 480.

# Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

---

## Sprawy Kościoła.

Konkordat w Bawarji. — Biskupi na Słowaczyźnie wobec partyj wywrotowych.

Bawarja była pierwszą z pomiędzy licznych królestw i księstw niemieckich, która po przewrotach wojen napoleońskich i po likwidacji ich na kongresie wiedeńskim postarała się o uporządkowanie stosunków kościelnych, wstrząśniętych także głęboko przez burzliwą epokę. Już w r. 1817 zawarty został konkordat między Stolicą św., a królem Maksymiljanem-Józefem, regulujący sposób nominacji biskupów, obsadzania kapituł i probostw, zarządu majątkiem kościelnym i t. d. Za Bawarją dopiero poszły inne państwa niemieckie, zawierając umowy z Rzymem, jak Prusy (1821 r.), prowincje nadreńskie (1821 r.), Hanower (1824 r.) i t. d. aż do konkordatu würtemberskiego w r. 1857 i badeńskiego 1859. Konkordat bawarski, jakkolwiek wyszczerbiony przez „majowe" prawa Cesarstwa, nigdy nie był zerwany, ale po wielkiej wojnie, która tyle rzeczy na świecie zmieniła, po rewolucji niemieckiej, które obaliły trony królów i książąt i doprowadziło do nowej konstytucji, już republikańskiej, w Weimarze 1919 r., — z drugiej strony po ogłoszeniu przez Rzym nowego kodeksu prawa kanonicznego, rewizja i odnowienie konkordatu bawarskiego, jak zresztą innych, stała się niemal koniecznością. Bawarja znowu pierwsza z Rzeszy niemieckiej dokonała tego zadania.

Właśnie 15 stycznia dokonała się v *Landtagu* bawarskim ratyfikacja umowy, zawartej świeżo przez rząd krajowy ze Stolicą Apostolską. Za ratyfikacją głosowało 73 deputowanych, przeciwko ratyfikacji — 52. Opozycję stanowili komuniści, socjaliści, demokraci i t. zw. blok ludowy — sło-

wem lewica — i trochę protestantów z prawicy. Zwyciężyła partja ludowa (bawarska odmiana „centrum") wraz z częścią niemieckich nacjonalistów. Nazajutrz wymieniono dokumenty ratyfikacyjne z nuncjuszem papieskim Mgr Pacellim, jak również depesze gratulacyjne między kard. Sekretarzem Stanu Gasparrim i prezesem ministrów bawarskich Dr Heldem.

Nie bez znaczenia dla nas — wobec rokowań naszych o konkordat — są zarówno treść konkordatu bawarskiego, jak i motywy walki, jaka się rozegrała między stronnictwami bawarskiemi przed jego ratyfikacją.

Co do treści konkordat świeżo zawarty nie wiele zmienia w dotychczasowych stosunkach między Kościołem a państwem w Bawarji. Zachowuje on i szkoły wyznaniowe i nauczanie religji z kontrolą Kościoła nad tem nauczaniem; uznaje zupełną wolność Kościoła w zakresie kultu, własnego prawodawstwa i zakładania zakonów i innych instytucyj religijnych; obsadzenie godności kościelnych pozostawia samemu Kościołowi, przewidując tylko uprzednie pół-oficjalne porozumienie się z rządem co do prawomyślności politycznej kandydatów; cały dłuższy ustęp dotyczy zobowiązań państwa do świadczeń materjalnych na rzecz instytucyj kościelnych, świadczeń opartych przeważnie na tytułach już przedtem istniejących. Całą więc treścią swoją respektuje konkordat bawarski zarówno uczucia i przekonania religijne obywateli-katolików, jak wolność działania Kościoła i władz jego. Daje dowód, że możliwą jest i w naszych czasach polityka względem Kościoła, polegająca nie na wymuszaniu na nim dalekich ustępstw na rzecz państwa, przy odmawianiu Kościołowi tego, co mu się z prawa Bożego należy, ale na życzliwości względem Kościoła i religji i zrozumieniu, że w wolnym Kościele państwo, zarówno republikańskie, jak monarchistyczne, zyskuje pożądany współczynnik obywatelskiego wychowania ludności, a zatem współczynnik spokoju i ładu.

A jednak i w Bawarji znalazły się stronnictwa, które namiętnie zwalczały konkordat. Katolickie pisma stwierdzają, że zwalczano go nietyle dla jego treści, jak z powodu, że pewne koła wogóle nie chciałyby żadnych porozumień z Kościołem, choćby najsłuszniejszych. Komuniści, głosując przeciwko ratyfikacji konkordatu, wyraźnie dawali poznać, że czynią tak, bo nienawistną im jest wszelka religja. Socjaliści zwalczali konkordat, jako wyraz uznania w religji czegoś więcej, niż „czysto prywatnej" dziedziny jakiejś mistyki czy światopoglądu — uznania publiczno-prawnej organizacji. Zwolennicy centralizmu w Niemczech na osobne porozumienie bawarskiego rządu z Rzymem patrzyli krzywo, jako na przejaw daleko idącej samodzielności jednego z krajów

Rzeszy, chociaż sama konstytucja wejmarska (art. 137, zdanie końcowe) ostateczne uregulowanie spraw religijnych pozostawia kompetencji ustawodawstwa krajowego. Wreszcie część protestantów zwalczała konkordat z przyzwyczajenia do zwalczania wszystkiego, co wychodzi z Rzymu lub Rzym papieski przypomina. Opór ich łagodziła do pewnego stopnia ta okoliczność, że jednocześnie rząd przystąpił do uregulowania spraw protestanckiej społeczności religijnej w porozumieniu z naczelnemi czynnikami tejże, stwarzając tym sposobem pewne *iunctim* między tem porozumieniem a konkordatem z Rzymem. Debaty więc w parlamencie monachijskim i w prasie stwierdziły raz jeszcze dobitnie, że nieprzyjaciele Kościoła nie walczą z nim z powodów rzeczowych, natchnionych względami dobra publicznego, lecz z powodów „pryncypjalnych", poczerpniętych z sekciarskiej dogmatyki ateizmu lub przesadnego nacjonalizmu. Dobrze i u nas zdać sobie z tego sprawę, by łatwiej ocenić wartość deklamacyj rzekomych obrońców Polski przed Rzymem.

W republice czesko-słowackiej najwybitniejszem wydarzeniem w życiu kościelnem w ostatnich miesiącach był zbiorowy list pasterski biskupów Słowaczyzny, zatytułowany: „piecza nad duszami a związki antychrześcijańskie". Orędzie to, wydane jako świąteczne na Boże Narodzenie, ale podpisane już 26 listopada, wywołało w kołach wrogich Kościołowi prawdziwą burzę, która dotąd nie milknie. Biskupom zarzuca się ni mniej ni więcej jak działanie antypaństwowe. Miejscowe władze, chyba po porozumieniu się z centralą w Pradze, zabroniły rozszerzania biskupiego orędzia, a przeciwko tym księżom, którzy już je w swoich kościołach odczytali, wytoczyły polityczne procesy. Skrajne czeskie stronnictwa, przedewszystkiem socjaliści, skorzystały z tej sposobności, by forsować zwykłe swe hasło „oddzielenia Kościoła od państwa". Nawet polska prasa socjalistyczna uważała siebie za powołaną do wyrażenia zdania o liście biskupów słowackich. Treść jego *Robotnik* (21 stycznia) nazywa „niebywałą", postąpienie biskupów — „haniebnem" i „prowokacją klerykałów".

O co właściwie chodzi?

O to, że biskupi Słowaczyzny zajęli zdecydowane stanowisko względem partyj wywrotowych i z całą powagą swego pasterskiego urzędu wezwali wiernych do zajęcia względem tychże grup podobnież wyraźnego stanowiska. Przypomniawszy z jednej strony obietnice, jakiemi łowią w swe sieci nieuświadomionych katolików apostołowie anarchji, komunizmu i socjalizmu, a z drugiej — wykazawszy na przykładzie Rosji, jak w rzeczy samej wygląda realizacja

tego raju na ziemi, jaki ciż apostołowie obiecują i z jaką nienawiścią partje wywrotowe odnoszą się do religji, biskupi, powołując się na przykład biskupów niemieckich, holenderskich i szwajcarskich, stanowią następujące normy:

1. Nie wolno katolikom należeć do żadnych antychrześcijańskich organizacyj. Do takich organizacyj zaliczają biskupi nie tylko związki anarchistyczne i nihilistyczne, lecz także komunistyczne i socjalistyczne, nie mówiąc już o masońskich.

2. Zachęcając wiernych, by wstępowali do związków zawodowych, które nie obrażają religji, zobowiązują biskupi do porzucenia związków zawodowych antychrześcijańskich.

3. Jeśli kto z katolików chce pozostać w związku zawodowym niechrześcijańskim, do którego wstąpił w dobrej wierze przed wydaniem orędzia biskupiego, ma udowodnić, że wkładkę związkową opłaca jedynie, by nie stracić zajęcia; musi wszakże przyrzec, że nie będzie uczęszczał na zebrania takich związków, czytał i prenumerował ich pism, popierał ich polityki; musi wreszcie być pewność, że ani on ani jego rodzina nie będzie wystawiona na niebezpieczeństwo apostazji.

Kto z katolików, dostatecznie oświeconych co do swoich obowiązków, trwałby dalej w związku antychrześcijańskim, mogąc z niego wystąpić, ma być uważany za grzesznika niepoprawnego, i jako taki — ma być usunięty od sakramentów i innych pomocy i pociech religijnych, pogrzebu chrześcijańskiego i t. d. „Nie może rościć sobie pretensji do praw i honorów w Kościele, kto go zdradza" — oto przewodnia zasada biskupów słowackich. Kończąc swój list, biskupi piszą: „Nikomu nie zadajemy gwałtu. Każdy niech się namyśli: czy chce pozostać przy Chrystusie, czy przy Belialu". Oni stoją na straży tych świętości, których Zbawiciel zabronił rzucać przed wieprze...

Gdy orędzie biskupów słowackich porówna się z podobnemi aktami episkopatu holenderskiego i szwajcarskiego,[1]) łatwo się spostrzega, że pominąwszy może silne akcenty stylistyczne, co do treści niema między niemi różnicy. I tu tam Kościół wykonuje tylko swoje prawo i swój obowiązek. I dlatego w tamtych krajach głos biskupów przyjęto spokojnie, jako coś zupełnie naturalnego. Nawet socjaliści nie mogli nie uznać formalnej racji Kościoła do takich wystąpień. Rzeczywiście zwalczanie komunizmu to obowiązek Kościoła dzisiaj najaktualniejszy, zważywszy, że komunizm wszędzie na czoło swego programu wysuwa walkę z wszelką

[1]) O podobnem rozporządzeniu biskupów szwajcarskich referował *Przegląd Powsz.*, grudzień 1920, str. 414.

religją, a Rosja aż nadto świadczy, że to nie czcza pogróżka. Co się tyczy socjalistów (o ile od komunizmu się odróżniają), to wprawdzie może istnieć kwestja teoretyczna i taktyczna co do stosunku Kościoła do nich. Rzecz w tem, że podobno dotąd nie wiadomo, czy jest jeden socjalizm i jedna jego polityka religijna, czy więcej. *Labour party* w Anglji podobno uważa się za organizację socjalistyczną; mimo to najwyższy dygnitarz Kościoła katolickiego w tym kraju, kard. Bourne, mógł oświadczyć, że nie widzi w niej nic, coby przeszkadzało katolikom należeć do niej. I faktycznie wielu katolików do niej należy, zajmując w niej nawet czołowe stanowiska. Ale też angielska Partja pracy nie wpisuje do swego programu walki z religją, ani nawet z „klerykalizmem" (co w praktyce na jedno wychodzi). Zresztą wogóle nie wiele pozostawia w swoim programie z ideologji marksyzmu. Jest to socjalizm, który grubo się różni od socjalizmu na kontynencie, i dlatego podciąganie go wraz z socjalizmem kontynentalnym pod jeden mianownik, zwłaszcza gdy chodzi o stanowisko do religji, jest dużem nieporozumieniem. Natomiast socjalizm w krajach kontynentu, wyrosły na podłożu żydowsko-niemieckiem, występuje zawsze w szeregach stronnictw z zasady walczących z religją i Kościołem. Dotyczy to także socjalizmu na Słowaczyźnie, który w zwalczaniu religji idzie ręka w rękę z apostołami husyckiego czeskiego nacjonalizmu. Przeciwko takiemu socjalizmowi, jaki konkretnie w tym kraju istnieje, musieli biskupi wystąpić ze stanowczem *aut—aut*, albo Chrystus albo Belial.

Czy ten głos pasterski wolno kwalifikować jako czyn wrogi państwowości czeskiej, lub wogóle walkę z socjalizmem uważać za akcję antypaństwową? Lecz odkądże to i gdzie, poza Rosją, między socjalizmem a państwem wprowadzono znak tożsamości? Czy u nas w Polsce, np., runęłoby państwo i państwowość, gdybyśmy pewnego poranku dowiedzieli się, że socjalizm przestał istnieć? I odkądże to biskupi, których „Duch Św. postawił, aby rządzili Kościół Boży", stracili prawo określania warunków przynależności do społeczności katolickiej? Czy dla dogodzenia wrogom religji i Kościoła mają się zrzec tego prawa, jakie posiada każda organizacja, włączając przedewszystkiem sam socjalizm, każdy klub towarzyski czy sportowy — prawa wykluczania tych członków, którzy świadomie nie czynią zadość stawianym im wymaganiom? Bierzemy rzecz tylko z punktu ludzkiego, opuszczając wszelkie nadprzyrodzone względy. Wiadomo, że „Sokół" czeski, organizacja gimnastyczna, więc zdawałoby się, z natury na kwestje religijne obojętna, wykreśla ze swej listy tych członków, których przyłapano na modlitwie w kościele. Nie słyszeliśmy, aby jaki socjalista,

czeski czy polski, oburzał się na to i nazwał takie postępowanie „haniebnem". A od Kościoła żąda się, by stał, niby gospoda na rozdrożu, otworem dla tych nawet, którzy chcą go podpalić i rozsadzić od wewnątrz?

Gdy przeciwko orędziu biskupów słowackich rozpętała się burza, odezwali się także biskupi samych Czech i Moraw. We wspólnem orędziu, umotywowanem całym szeregiem orzeczeń papieży i wyznań samychże socjalistów, biskupi czescy i morawscy bronią na całej linji orędzia swoich współbraci słowackich i z ich stanowiskiem całkowicie się solidaryzują. Odpierają także zarzut, jakoby to stanowisko miało w sobie coś wrogiego rzeczypospolitej czesko-słowackiej. Biskupi spełnili tylko swój pasterski obowiązek. Za biskupami stanęło całe katolickie stronnictwo ludowe, tak w Czechach jak na Słowaczyźnie. Zdaje się, że socjaliści nie przeczuwali takiej solidarności katolickiej części społeczeństwa. Nie wiadomo, czy sądy czesko-słowackie oddadzą się na usługi partji socjalistycznej i rzeczywiście będą karać autorów i promulgatorów orędzia biskupiego; ale gdyby nawet do tego doszło, trudno się spodziewać, by to na dobre wyszło radykalizmowi czeskiemu. Wobec zwartej organizacji katolików czeskich i głębokiego przywiązania do wiary katolickiej Słowaków, nie czas, zdaje się, na wszczynanie „walki kulturnej". Zbyt silnie mogłaby ona wstrząsnąć samemi podwalinami bytu republiki. Raczej wiele za tem przemawia, że rząd, choć bardzo z socjalistami związany, nie da się wciągnąć im w tę niebezpieczną imprezę, i rozpętana przez socjalizm burza skończy się... przeczyszczeniem powietrza. Mniej będzie takich, co jednocześnie Chrystusowi i Belialowi służą, ale na tem nic nie ucierpi czesko-słowacka republika, a zyska logika i konsekwencja. A troskę o to, by czasem na wznieconej burzy nie ucierpiała religja — troskę, wypowiadaną przez socjalistów — niech oni pozostawią komuś bardziej do tego powołanemu... samemu Kościołowi.

*Ks. J. Urban.*

## Katolickie tezy społeczno-ekonomiczne.

W roku ubiegłym pojawiło się w Belgji dzieło p. t. *Dossiers de l'Action catholique.* Jest ono rezultatem kilkakrotnych konferencyj, jakie począwszy od r. 1920 odbywało Międzynarodowe Zjednoczenie społecznych studjów *(L'Union internationale d'Etudes sociales).* Wartość dzieła i Zjednoczenia charakteryzuje fakt, że konferencjom przewodniczył kard. Mercier, a w skład Zjednoczenia wchodzą najwybitniejsi katoliccy przedstawiciele nauk społe-

cznych, przeważnie profesorowie uniwersytetów, zarówno Europy jak i Ameryki. [1])

Rezultatem konferencyj jest nie tylko obszerne dzieło, ale przedewszystkiem ustalenie szeregu tez w zagadnieniach społecznej i ekonomicznej natury, które mają stanowić orjentacyjne słupy dla katolickich teoretyków i kierowników ruchu społecznego. Przytaczamy je w przekładzie według tekstu z *Documentation Catholique* Nr. 266.

Własność prywatna: 1. Dobra materjalne świata ustanowiła Opatrzność boska w pierwszym rzędzie dla zaspokojenia potrzeb zasadniczych wszystkich ludzi.

2. Własność prywatna ziemi i narzędzi pracy usprawiedliwia fakt, iż jest zgodna z ludzką naturą i lepiej, niż jakikolwiek inny sposób użycia, zabezpiecza wyzyskanie dóbr doczesnych.

3. Lecz posiadacz bogactw materjalnych powinien liczyć się z wolą Opatrzności i dóbr swych używać w ten sposób, by urzeczywistniać pierwszorzędne przeznaczenie bogactwa.

4. Własność prywatna może mieć różne formy, posiadać szerszy zakres, względnie ulegać pewnym ograniczeniom zależnie od rozmaitych czynników jak n. p. geograficznych, gleby i bogactw wnętrza ziemi, techniki przemysłowej, zwyczaju, prawodawstwa i t. d.

Zarówno ustawodawstwo jak inicjatywa prywatna powinny dążyć do tego, o ile tylko mogą, aby dojść do uzyskania tych wszystkich korzyści, jakie tkwią w zasadzie prywatnej własności.

Dziedziczenie: 1. Prawo dziedziczenia stanowi istotę społecznego dobra tak samo jak własność prywatna, z którą jest najściślej złączone. Zasługuje ono tem bardziej na uwagę, im głębiej wchodzi w rodzinne węzły, kiedy chodzi o przekazanie ojcowizny najbliższym członkom tej samej rodziny.

2. Stąd państwo nie może, bez szkodliwego naruszenia interesów społecznych i bez zamachu na nietykalne prawa rodziny, wprost lub pośrednio, znosić prawa dziedziczenia. Jednakże państwo ma prawo powiększyć liczbę stopni spadkobierców w obecnej rodzinie.

3. Pożądaną jest rzeczą, by państwo obniżyło możliwie najbardziej podatki i fiskalne pretensje przy dziedziczeniu w linji prostej.

4. Z drugiej strony życzyć sobie należy, aby głowa rodziny miała możność przekazywania testamentem w całości mniejszych warstatów pracy.

Podatki: 1. Ustawy skarbowe sprawiedliwe i sprawiedli-

---

[1]) Trochę zastanawia fakt, że do owego poważnego grona nie należy ks. H. Pesch, ani ks. Biederlack, wybitni uczeni niemieccy, ani też nikt z Polaków.

wie wykonywane obowiązują w sumieniu. — Usiłowania katolickich działaczy społecznych winny zmierzać do poprawy fałszywej opinji pod tym względem i, w imię sprawiedliwości społecznej, zachęcać obywateli do lojalnego udziału w ciężarach państwowych.

2. Podatki, względnie daniny na rzecz państwa choćby nie dotyczyły bezpośredniej korzyści płatników, są powinnością osobistą a nie realną, czyli nie obciążają bezpośrednio realności, ale ich właściciela.

3. O ile dobro ogólne na to pozwala, to sprawiedliwość rozdzielcza domaga się, aby podatki nie były wyłącznie proporcjonalne wobec dochodów, ani progresyjne według jakiejś stałej normy, ale by je obliczano według malejącej progresji, aby zbliżyć się ostatecznie do proporcjonalnych podatków. Tego rodzaju wymiar podatkowy nazywamy „progresjonalnym".

4. W idealnym stanie rzeczy należałoby sobie życzyć wyłącznie jednego podatku „progresjonalnego" od dochodów. W obecnych warunkach źródło dochodów skarbowych stanowią podatki pośrednie, ponieważ łatwiej je ściągać i uważa się je za wymaganie mniej uciążliwe.

5. W zakresie podatków pośrednich władza ustawodawcza powinna mieć przed oczyma trzy zasady: a) Unikać nakładania podatków, których skutki są najwidoczniej szkodliwe i tych, które można podstępem uniknąć: ostatnie sprzyjają nałogom obchodzenia ustaw. b) Przy ustanawianiu nowych podatków władza ustawodawcza powinna mieć na oku inwestycje rentowne a nie wydatki nieproduktywne, choćby nawet skądinąd całkiem racjonalne. Co się tyczy dawnych ustaw podatkowych to one wskutek poprawek i reperkusyj ekonomicznych mniej więcej zbliżyły się do równomiernego rozłożenia ciężarów państwowych. c) Należy popierać podatki luksusowe, które obciążają zbytek i naganną rozrzutność. I jakkolwiek nauka moralna, jaka tkwi w tego rodzaju podatkach, nie jest zupełnie skuteczna, w każdym razie uspokaja sumienie publiczności i zabezpiecza tą drogą dobro ogólne.

6. Podatki bezpośrednie mają wszelako w sobie tę korzyść, że uczą obywateli świadomej ofiary na rzecz państwa i zainteresowania sprawami publicznemi.

7. Usprawiedliwione w wyjątkowych wypadkach nadzwyczajne podatki spadkowe, wogóle godzą w podstawy własności prywatnej i mało się różnią od konfiskaty a przytem przeszkadzają utworzeniu rezerw narodowych.

Unarodowienie przedsiębiorstw: 1. Pod słowem unarodowienia rozumie się przekazanie przedsiębiorstwa ogółowi narodu, który reprezentuje władza państwowa. Ogranicza się ono bądź do samego tytułu własności, bądź rozciąga się do kierownictwa przedsiębiorstwem i pobierania zysków. Ze stanowiska moralności chrześcijańskiej nie można potępiać unarodowienia.

2. Jeśli jednak chodzi o przedsiębiorstwa już czynne i bę-

dące własnością osób prywatnych wywłaszczenia ich można dokonać tylko drogą sprawiedliwej i uprzedniej indemnizacji.

3. Unarodowienie szerzej pojęte i zastosowane do ogółu, względnie do większej części przedsiębiorstw byłoby nadużyciem komunistycznem, potępionem przez encyklikę *Rerum novarum.*

4. Również unarodowienie, choćby nawet ograniczone wyłącznie do prawa własności, bądź do zarządu, ale zastosowane powszechnie, zagraża temi samemi następstwami.

5. Nawet i zarząd publiczny przedsiębiorstwem z pozostawieniem mniejszej lub większej autonomji, nie wydaje się być do przyjęcia, o ileby chodziło o większość przedsiębiorstw.

Inicjatywy prywatnej czyto indywidualnej, czy też zbiorowej w towarzystwach nie powinno się ograniczać, chyba że dobro ogółu żąda tego w sposób widoczny. Ważną jest rzeczą podtrzymywać owe dwie wielkie podniety do pracy, jakiemi są: możliwość zdobycia jakiejś własności i usprawiedliwiona konkurencja.

6. O ile dla dobra powszechnego pożyteczne lub konieczne jest, by zarząd przedsiębiorstwa był publiczny, narodowy, prowincjonalny, czy municypalny, wówczas należy wybrać raczej autonomiczny zarząd przedsiębiorstwa pod kontrolą rządową, niż kierownictwo wyłączne z ramienia rządu.

7. Należy przyznać państwu prawo ingerencji w przedsiębiorstwa, w tych wypadkach, kiedy siły prywatne zbyt obciąża świadczenie na rzecz publiczności, i wogóle w każdym wypadku, kiedy dobro powszechne tego wymaga.

8. Pożądaną jest rzeczą, aby wobec przedsiębiorstw, które wymagają koncesji, w kodycylu obowiązków zastrzeżono wolność umów i sprawiedliwe wynagrodzenie robotników.

9. W razie wojny, nieurodzaju lub nadużyć o wielkich rozmiarach i całkiem oczywistych, państwo nie tylko może, ale powinno powołać do życia odpowiednią władzę, któraby uniemożliwiała magazynowanie i spekulację przedmiotami pierwszej potrzeby.

Zarząd przedsiębiorstwami: 1. Zarząd przedsiębiorstwem jest wogóle w rękach kapitału. Jednakże żadna zasada moralności nie sprzeciwia się temu, by go przyznano i pracy.

2. Sądzimy, że w obecnych warunkach jest pora, aby torować roztropnie drogę do zarządu złożonego z kapitalistów i robotników.

3. Ów współzarząd powinien się opierać na organizacjach zawodowych takich, jak je pojmuje katolicyzm społeczny.

4. Jednym ze sposobów dążenia do upragnionego współrządu przedstawia udział akcyjny robotników w przedsiębiorstwie; kiedy mianowicie robotnik poza płacą otrzymuje wynagrodzenie w t. zw. „akcjach prasy", a wraz z niemi i mniejsze lub większe prawo do zarządu przedsiębiorstwem.

5. Mając na oku ten sam cel, można jeszcze wskazać na

ważną rolę, jaką mogą spełnić delegaci personalu fabrycznego, wydzieleni do rad naczelnych.

6. We wszystkich wypadkach współzarząd pociąga za sobą pewien udział robotników w ryzyku i niebezpieczeństwach przedsiębiorstwa.

Ceny sprawiedliwe: 1. Nie wszystkie ceny, jakich się żąda i jakie się płaci, są sprawiedliwe.

2. Powoływanie się przez kupca czy nabywcę na dokonanie transakcji według cen rynkowych, celem usprawiedliwienia własnego, jeszcze nie wyklucza możliwości krzywdy.

3. Chociaż jednak ceny rynkowe nie decydują stanowczo o sprawiedliwości cen, mają jednak za sobą pewną presumpcję sprawiedliwości.

4. Cenę sprawiedliwą, poza cenami, jakie ustala prawo, ustanawia powszechna ocena.

5. Aby mogło dojść do takiej oceny, należy popierać organizmy złożone z czynników zainteresowanych, aby wzajemnie zabezpieczyć interesy.

6. Ocena powszechna zbliża się bardzo do ceny sprawiedliwej, kiedy jest równowaga między wzajemną konkurencją zarówno producentów, jak i konsumentów pomiędzy sobą, i w ten sposób zabezpiecza się wolność umów.

7. Często dość trudno jest znaleźć ścisłe kryterjum tej równowagi. Lecz są wypadki, w których zwichnięcie owych dwóch seryj konkurencyj jest zupełnie oczywiste i wtenczas ceny bieżące nie są wcale wyrazem sprawiedliwości ceny.

Płaca robotnicza: 1. Płaca potrzebna do życia, a więc utrzymanie robotnika, jego rodziny, zabezpieczenie przy nieszczęśliwych wypadkach, na czas choroby, starości i bezrobocia, stanowi to minimum, jakie się należy robotnikowi na podstawie sprawiedliwości wymiennej.

2. Minimum płacy jeszcze nie zawsze wyczerpuje wymogi sprawiedliwości. Trzy w szczególności względy każą w imię bądź sprawiedliwości, bądź słuszności, podnieść wynagrodzenie ponad minimum: a) Produkcyjność obfitsza, doskonalsza, względnie bardziej ekonomiczna od normalnych; b) zmniejszona podaż sił roboczych; c) mniej lub więcej pomyślny rozwój przedsiębiorstwa, w którym robotnik pracuje.

3. W obecnych warunkach organizacje zawodowe paralelne zarówno pracodawców, jak i pracobiorców, zawierając umowy zbiorowe i wyłaniając stałe komisje porozumiewawcze parytetyczne, które się składają z przedstawicieli obydwu stron, dają maximum prawdopodobieństwa, że będą zachowane zasady sprawiedliwości w wynagrodzeniu robotnika z uwzględnieniem wszystkich warunków.

4. Ową część płacy, która zależy od rozwoju przedsiębiorstwa, można ustalać przy końcu kampanji w stosunku do czystego

zysku. Można ją wypłacać zamiast gotówką, akcjami przedsiębiorstwa, w które robotnik wkłada swą współpracę. W miarę narostu tych akcyj pracy, można je realizować losowaniem na równi z akcjami kapitału.

5. Przedsiębiorcy wolno nie uiszczać w tej formie wynagrodzenia wyżej wymienionego i nie zamieniać go na akcje przedsiębiorstwa, lecz i robotnikom zorganizowanym wolno nie zgodzić się na umowę, jak tylko pod temi dwoma warunkami.

Pensje rodzinne: Międzynarodowe Zjednoczenie studjów społecznych widząc, jak pomyślne wyniki towarzyszą zasadzie pensji rodzinnej, ze względu na dobro moralne i społeczne, wypowiada życzenie, aby w umowy zbiorowe jak i indywidualne włączano sprawę pensji rodzinnej, która zmierza do zabezpieczenia normalnego życia w rodzinie robotniczej.

Ubezpieczenie społeczne: Wobec tego, że sprawa ubezpieczeń społecznych jest na porządku dziennym w wielu krajach, M. Z. S.-S., pragnąc rozwoju organizacyj zawodowych, które uważa za idealną organizację pracy: 1. poleca w szczególniejszy sposób kasy związkowe, to znaczy kasy zasilane i kierowane wspólnie przez pracodawców i pracobiorców; 2. wobec władzy ustawodawczej wypowiada życzenie; a) by nie przeszkadzała ich powstawaniu i rozwojowi, b) aby je popierała w odpowiedni sposób.

Prawo strajku a świadczenia publiczne: 1. Dobro ogółu jest pierwszem kryterjum, które decyduje o prawie, względnie bezprawiu zawieszenia dokonanej umowy. Do tego kryterjum należy dołączyć wzgląd na sprawiedliwość i miłość.

2. Dobro ogółu stanowią przedewszystkiem te przedsiębiorstwa, które z założenia swego służą interesom kraju, również i przedsiębiorstwa prywatne, które mają na celu zaspokojenie pierwszych potrzeb publiczności. Niektóre usługi są tak bezwzględnie potrzebne społeczeństwu, że prawie nie można przypuścić hipotezy, w którejby strajk był dozwolony.

3. Niebezpieczeństwo, które tkwi w podobnych strajkach, jest usprawiedliwieniem ustaw, jakie w niektórych krajach zabraniają użycia tej niebezpiecznej broni. Lecz z drugiej strony jest obowiązkiem władzy ustawodawczej wyszukać naukowo i prawnie zabezpieczyć — w sposób mniej kosztowny — pracownikom tych dziedzin owe korzyści i przywileje, jakieby mogli wywalczyć bronią strajku, usprawiedliwionego i celem i przebiegiem.

4. Prawa wogóle są bezsilne i często wprost niemożliwe bez moralności. Wielkiem lekarstwem na wszelkiego rodzaju nadużycia będzie szerzenie przeciw rozpasanemu egoizmowi owej serdecznej jedności i braterstwa, jakie podkreśla Ewangelja Chrystusa.

Jedność obywatelska: 1. M. Z. S. S. opierając się na powyższej deklaracji, która wskazuje na niebezpieczeństwa, wynikające ze strajków w przedsiębiorstwach użyteczności publicznej,

2. twierdzi, że władza państwowa powinna użyć wszystkich koniecznych środków: a) aby zabezpieczyć ciągłość świadczeń, których przerwanie narażałoby zdrowie publiczności, albo życie społeczne; b) aby rozstrzygnąć możliwie bezzwłocznie zbiorowy zatarg w sprawie warunków pracy w danych przedsiębiorstwach.

3. Konsekwentnie władza państwowa może: a) odwołać się do obywateli, aby zabezpieczyć ciągłość usług w imię interesu ogółu; b) ustanowić sądy rozjemcze, ewentualnie powołać do życia komitet taki, któryby obydwom stronom dawał rękojmię bezstronności.

4. Z drugiej strony nie powinno się odmawiać prawa koalicji uprzedniej obywatelom, którzy chcą się oddać w krytycznych wypadkach do dyspozycji władzy publicznej, aby mogli w razie potrzeby dostarczyć władzy odpowiednią ilość rąk do pracy.

5. Jeśli państwo uważa, że niema obowiązku korzystać ze swego prawa rekwizycji, organizacja obywatelska, której interwencja spontaniczna w założeniu jest prawna, powinna się wstrzymać od mieszania się w konflikt, ponieważ jego rozstrzygnięcie do niej nie należy.

6. Organizacja obywatelska powinna się wystrzegać uzurpacji władzy państwowej i posługiwania się środkami niedozwolonemi, akcji na rzecz interesów prywatnych, a więc i mieszanie się do poszczególnych strajków, które nie dotyczą dobra ani publicznego, ani ogólnego. *R. M.*

## Obecny stan reformy kalendarza.

O projektach reformy kalendarza, omawianych w Lidze Narodów, wspominaliśmy raz w *Przeglądzie* (Listopad 1923, str. 180—181). Obecny stan tej sprawy, jej przebieg i widoki jej powodzenia podaje ks. Jan Hagen T J. w miesięczniku *Stimmen der Zeit* za styczeń 1925 r.

W sprawie reformy kalendarza odbyły się dotychczas trzy posiedzenia. Dwa pierwsze przypadają na miesiąc sierpień 1922 i 1923 r. w Genewie, trzecie odbyło się w maju 1924 r. w Paryżu. Zwołane były przez Ligę Narodów i podporządkowane wydziałowi dla komunikacji. Chodziło o dwie głównie sprawy: o ustalenie Wielkanocy i o stałe uzgodnienie dni miesięcy i tygodni. Oceniając należycie, jak ważny głos w tej sprawie przypada Rzymowi, starano się przedewszystkiem dowiedzieć, jak się wobec niej zachowa Stolica Apostolska. Po dwu poufnych zapytaniach, na które dano z Rzymu wymijającą odpowiedź, wyszło z Genewy urzędowe zaproszenie do Nuncjusza apostolskiego w Bernie, żeby na pierwszem zebraniu wystąpił jako zastępca Stolicy św. Dopiero kiedy na to otrzymano zgodę, zwrócono się także z wezwaniem do Kościoła anglikańskiego i greckiego, by i one przysłały

swoich przedstawicieli. Pod wpływem niejasnych wspomnień o reformach za Grzegorza XIII myślano widocznie, że i teraz chodzi o reformę astronomiczną, dlatego przysłano trzech astronomów, jako przedstawicieli odnośnych Kościołów. Wnet się jednak pokazało, że świat handlowy ma tu o wiele więcej do powiedzenia niż astronomja, że także szkoła, sport i administracja są zainteresowane w tej sprawie.

Faktyczny skład posiedzenia z 1924 r. w Paryżu tak się przedstawia: przewodniczącym był M. Le Jonkler van Eysinga jako członek Ligi Narodów, następnie O. Gianfranceschi T. J., profesor fizyki na uniwersytecie gregorjańskim w Rzymie, Eginitis, kierownik obserwatorjum astronomicznego w Atenach i pastor Philips, sekretarz Król. Twa Astronomicznego w Londynie, jako przedstawiciele swoich wyznań, wreszcie francuski astronom Bigourdan i Mr. Willis H. Booth, przewodniczący Międzynarodowej Izby Handlowej.

Na pierwszem posiedzeniu z 1922 r. stwierdzono tylko, że Kościoły zasadniczych trudności przeciw reformie nie podnoszą. W rok potem wysłano kwestjonarjusz do wszystkich społeczności religijnych i do wszystkich rządów. Wysłano więc go między innemi do żydowskiej gminy w Paryżu i Londynie, do ewangelickiego Oberkirchenrat'u w Berlinie, do Zjednoczenia reformowanych kościołów w Zurychu, wreszcie do Christian Science Church w Bostonie i do Związku Konfucjusza w Pekinie; razem do 18 wyznań religijnych. Z rządów nie pominięto żadnego.

Na trzeciem posiedzeniu z 1924 r. można już było przedłożyć około 20 urzędowych odpowiedzi, prócz tego przeszło sto propozycyj od prywatnych osób. Urzędowe odpowiedzi, jak się można było spodziewać, są bardzo powściągliwe, a nawet odsuwające sprawę; zato tem bogaciej popłynął strumień rozmaitych pomysłów od osób prywatnych, które się nie czuły odpowiedzialne za ich wykonanie. Dziwne to, że żaden Kościół, a nawet żadne państwo nie wyraziło pragnienia reformy, owszem dwa lub trzy wypowiedziały się przeciw wszelkiej reformie. Żydzi powoływali się na Księgi św., jako na rację, dla której ich szabat musi zostać nienaruszony.

Zadaniem trzeciego posiedzenia było przesiać te stosy różnych opinij i z bardzo rozbieżnych projektów te oznaczyć, które zdradzały pewną zgodność. Odnosiły się one do dnia, miesiąca i roku.

Dzień nijaki (tak zwany przez Niemców der Nulltag), który niema należeć do żadnego tygodnia, a przez to właśnie sprawić, żeby te same dni tygodnia przypadały zawsze na te same dni miesiąca, był bardzo zalecany zwłaszcza przez Izby bankowe i handlowe. Religijne trudności Żydów i wogóle wszystkich, którzy wierzą w Objawienie i „dzień siódmy" za święty uważają,

możnaby w ten sposób usunąć, że ten dzień nijaki uznałoby się za święto. Nie wiadomo, czy się na to odnośne religje zgodzą.

Zmiana miesięcy zależy od przyjęcia lub odrzucenia dnia „nijakiego". Przy jego wprowadzeniu rok ma tylko 364 dni należących do 52 tygodni, które możnaby rozdzielić albo na 12 miesięcy, tak żeby 8 miesięcy miało po 30 dni, a 4 po 31, albo na 13 miesięcy, każdy po 28 dni, czyli po 4 równe tygodnie. Przeciwko 13 miesiącom opiera się świat handlowy, bo przez to zaginąłby podział roku na semestry i trymestry. W każdym razie chcianoby zrównać miesiąc luty z innemi miesiącami, dając mu 30 dni.

Rok według ogólnej opinji ma pozostać bez zmiany, w ten sam dzień się rozpoczynać, jak obecnie i oczywiście tak samo liczyć się od ery chrześcijańskiej. Przełożenie Nowego Roku na zimowe zrównanie słońca, albo wtrącony cykl (Schaltzyklus), któryby 400 letni cykl kalendarza gregorjańskiego przewyższał, albo liczenie od prawdziwego roku narodzenie Chrystusa, wszystko to są tylko teorje tych, którzy nie potrzebują się liczyć ze szkodliwemi skutkami takich nowości.

O ile sprawa kalendarzowa posunęła się naprzód, możemy to zobaczyć z urzędowych oświadczeń; napłynęło ich dotychczas 80. Oto niektóre z nich.

Rząd niemiecki nie wypowiedział się w tej sprawie aż do ostatniego posiedzenia wydziału. Włoski przeciwnie przysłał do Genewy raport, obejmujący 5 stronic in folio, głównie by to powiedzieć, że nie chce żadnej opinji wypowiedzieć. Bo załączone do raportu odpowiedzi trzech obserwatorjów, dwóch akademij i trzech ministrów miały tylko „najgłówniejsze prądy opinji" przedstawić. A nawet tego nie robią, bo obserwatorja wyrażają opinje tylko 3 dyrektorów, akademje zaś opinje zamówionych sprawozdawców.

To jest wogóle ton, w jakim rządy się wypowiedziały.

Od społeczności religijnych, a mianowicie z Konstantynopola i z Canterbury, przyszła odpowiedź, że nie mają nic przeciwko zmianie w porządku świąt, jeśliby się dało dojść do porozumienia. Tylko Żydzi stają sztorcem przeciw dniowi nijakiemu.

Wyjątek z tego ogólnego tonu odpowiedzi stanowią dwa memorjały, których treść obszerniej podamy.

Odpowiedź z Londynu brzmi następująco: Rząd Jego Królewskiej Mości jest tego zdania, że nie może w żaden sposób przyczyniać się do tego, żeby projekt stałej daty na Wielkanoc skierować na drogi prawodawcze, dopóki tenże projekt nie będzie oparty na zgodzie wszystkich chrześcijańskich Kościołów, na zgodzie przynajmniej najważniejszych cywilizowanych krajów i na przychylnej opinji świata przemysłowego. Co się tyczy zmiany kalendarza, to rząd Jego Królewskiej Mości obawia się wielkich trudności i nie uważa za wskazane przyjmować takich projektów,

dopóki nie są wyrazem opinji publicznej. Dlatego rząd Jego Król. Mości wstrzymuje się z wypowiedzeniem swej opinji, aż komisja sprawę gruntownie zbada i będzie mogła ją polecić.

Watykan przysłał następującą wskazówkę do Genewy: Stolica św. przyjmuje z zadowoleniem do wiadomości wyraźne uznanie ze strony Ligi Narodów, że reforma kalendarza, a zwłaszcza ustalenie daty Wielkanocnej jest przedewszystkiem sprawą religijną i że ewentualne zmiany w tym względzie, choć nie są połączone z dogmatycznemi trudnościami, pociągają za sobą zniesienie tradycyj mocno uzasadnionych, co bez bardzo poważnych racyj dobra ogólnego, nie jest ani rzeczą słuszną, ani pożądaną. Otóż Stolica Apostolska nie znajduje żadnych dość wystarczających powodów do zmiany kościelnego zwyczaju w obchodzeniu świąt, a zwłaszcza Wielkanocy, który to zwyczaj przez czcigodną tradycję przekazany jest, a przez starożytne sobory usankcjonowany. Gdyby jednak okazało się, że odstąpienie od tych tradycyj jest pożądane dla dobra ogólnego, to Stolica św. zajęłaby się bliżej tą sprawą, ale dopiero po uprzedniem postanowieniu powszechnego soboru.

Przez to reforma kalendarza została na nieograniczony czas odłożona, ale nie zaniechana. Oczywiście, że teraz dotychczasowego sposobu ustalenia Wielkanocy bez dekretu soborowego znieść nie można. Również oczywistą jest rzeczą, że i zmiany kalendarza nie będzie można przeprowadzić, dopóki się sprawy wielkanocnej ostatecznie nie załatwi. Tymczasem Izby handlowe, banki, zarządy szkolne, wogóle świat handlu, przemysłu i komunikacji będzie miał podostatkiem czasu, by dostarczyć Watykanowi żądanych racyj za wprowadzeniem zmian. Widoki powodzenia są o tyle lepsze, że ograniczenie wahań Wielkanocy do trzech dni, wymaga tylko przełożenia tego święta na niedzielę, która następuje po jakimś stale oznaczonym dniu (np. 5 kwietnia). Jeszcze mniej trudności napotka przydzielenie lutemu 30 dni. Jeśli się te dwie pozycje zdobędzie, to wszystkie inne żądania najprawdopodobniej zamilkną, bo wszystkie plany nowych kalendarzy wyszły z tego pragnienia, by Wielkanocy dać stałe miejsce. Wahanie zaś, które nie wybiega poza trzy dni, zdaje się, że zaspokoi wszystkie potrzeby. Byłoby dlatego rzeczą zupełnie bezcelową, dalsze pytania kierować do Stolicy Apostolskiej, zanim najbliższy sobór zostanie ogłoszony i zebrany.

*Ks. J. Hagen*

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono 31 stycznia 1925 r.

# Prawda o Tutanchamonie.

Przedmiotem rozgłośnej, światowej sławy ujrzał się nagle w ostatnich dwóch latach, znany przedtem jedynie specjalistom, faraon egipski Tutanchamon. Dzięki reklamie, jaką go otoczyła światowa prasa, zasunął on w cień starego Cheopsa, Sezostrisa i tyle innych prawdziwych wielkości. Dziś o Tutanchamonie wiedzą wszyscy, mówi o nim bardzo wielu, jego grobem zajmuje się wielu; nawet kapryśna moda każe ostatnio ubierać się à la Tutanchamon. Nic więc dziwnego, że dzięki niebywałemu rozgłosowi, jaki całej tej sprawie nadała prasa, wśród inteligencji a nawet w kołach uczonych krąży niestety wiele niedokładnych, fałszywych i sprzecznych wieści. Zdaje się przeto rzeczą pożyteczną w osobnym artykule podać szerszemu ogółowi szczerą prawdę o Tutanchamonie.

Prawdę tę opieram nie na autopsji, bo swoją ostatnią wyprawę naukową do Egiptu, z rzędu piątą, odbyłem na wiosnę r. 1922, a grób Tutanchamona odkryto dopiero w jesieni tegoż roku, ale prawdę tę opieram z jednej strony na autentycznem sprawozdaniu i fotografjach, jakie przed kilku miesiącami o swych zdobyczach podał Howard Carter,[1]) główny odkrywca i kierownik wykopalisk, — a z drugiej strony na tem, co o Tutanchamonie i jego epoce wiedziała dotąd egiptologja i archeologja.[2]) Z nader obfitego materjału wybieram jedynie rzeczy najważniejsze, a rozpa-

[1]) Howard Carter & A. C. Mace, „Tut-ench-Amun", Leipzig 1924.

[2]) Por. np. mój *Egipt* (Lwów 1922, str. 59—67, 135—140, 224—226).

trywać je będę wyłącznie pod kątem widzenia archeologji Wschodu. Przedstawiona w ten sposób prawda pozwoli sprowadzić do właściwych rozmiarów cały ten, zresztą nader ciekawy, temat i rzuci nieco światła na cywilizację ludzkości przed 34 wiekami.

* * *

Tutanchamon był jednym z ostatnich przedstawicieli XVIII dynastji egipskiej, która tak ważną odegrała rolę w historji starożytnego świata, w wiekach od XVI do XIV przed Chr., w epoce Wschodu t. zw. Tell el-'Amârna. Dzięki wojennym wyprawom Thutmosisa III, w pierwszej połowie XVI wieku przed Chr., cały ówczesny Wschód klasyczny, od Eufratu aż po Nubję, dostał się pośrednio lub bezpośrednio pod wpływy Egiptu. Królowie Asyrji, Cypru i Hetytów słali faraonowi rok rocznie swój haracz; niezmierzone bogactwa płynęły ze wszech stron do stubramnych Teb, ówczesnej stolicy Egiptu, jako podatki i łupy z podbitych krajów. Libijscy i nubijscy niewolnicy, złoto i kadzidło z Puntu, bronzy mikeńskie, syryjskie drogie bławaty, potężne cedry Libanu, fenickie dzieła sztuki, — wszystko to zdążało do skarbca królewskiego w Tebach. Nil pokrywały statki handlowe wielu państw ówczesnych. To wszystko wywołało radykalne zmiany, także w życiu prywatnem i publicznem, wpłynęło oczywiście na literaturę i sztukę. Ogromne rozmiarami, a piękne w wykonaniu świątynie i budowle zjawiają się teraz na nowo w krainie Nilowej. Egipt staje się monarchją wszechświatową. Królowie Babilonu, Asyrji, Mitanni i Hetytów, by nie wspominać o lennikach palestyńskich, korespondują z potężnym władcą Egiptu w ówczesnym języku międzynarodowej dyplomacji, t. j. po babilońsku. Te ich uniżone, by nie powiedzieć, służalcze listy odnaleziono w miejscowości egipskiej Tell el-Amârna i stąd cały ten okres historji świata otrzymał nazwę okresu Tell el-'Amârna.

Dla charakterystyki tej epoki nie będzie od rzeczy przytoczyć tu kilka urywków z listów ówczesnych monarchów. Z wyjątkiem władcy Egiptu są oni w ciągłych kłopotach pieniężnych. Taki np. Tuszratta, król Mitanni, w liście do egipskiego Amenofisa III, swego zięcia, żebrze: „Niechże

mój brat (król egipski) przyśle mi dziesięć razy tyle, co przysłał ojcu mojemu. Wszak prosiłem mego brata o wiele złota. Mojemu ojcu posłałeś dużo złota, wielkie złote miednice ofiarne, wielkie dzbany złote, nadto i złote tablice i bardzo obfite bronzy. Niechże więc mój brat przyśle mi dużo złota... więcej niż memu ojcu, bo w kraju brata mego jest tyle złota, co piasku".

Asyryjski Assuruballit pisze otwarcie: „jeśli pragniesz mieć ze mną prawdziwie serdeczne stosunki, przyślij mi dużo złota". Amenofis spełnia to żądanie i sumą 20 talentów złota (tyle co trzy miljony naszych złotych) kupuje sobie przyjaźń asyryjską.

Ale i król babiloński nie chce być gorszym od swego kolegi asyryjskiego. Posławszy Amenofisowi III swą córkę do haremu, zażądał za to 450 miljonów naszych złotych a nadto wzajemności w osobie księżniczki egipskiej. Dumny faraon pieniądze wprawdzie posłał, ale w poczuciu swego naczelnego stanowiska na Wschodzie, odmówił prośbie Kadaszmanbela I, by mu oddać swą córkę za żonę. Wobec tego władca babiloński prosi już tylko o przysłanie jakiejkolwiek Egipcjanki, któraby w jego kraju mogła uchodzić za córkę faraona. — Oto kilka próbek poufnej korespondencji ówczesnych monarchów Wschodu, znalezionej w Tell el 'Amârna.

Jakże do tego doszło, że państwowe archiwum egipskie znalazło się w Tell el-'Amârna, a nie w Tebach? Wszak Teby były dotąd stolicą, Teby ośrodkiem kultu i całej religji egipskiej. — Zmiany te wywołał Amenofis IV teść Tutanchamona. Dziwna to była ze wszech miar postać, ten marzyciel, poeta, religijny reformator i filozof na tronie faraonów. Stanowisko wszechświatowe, jakie wówczas zajmował Egipt, domagało się reformy poglądów religijnych, aby je dostosować do pojęć całego Wschodu. Bogowie miejscowi Amony, Re, Horusy, Subeki, Chnumy i t. p. winni byli przyjąć charakter powszechny, zlać się w jedno bóstwo naczelne. Jak faraon był panem całego ówczesnego świata, tak i bóg jego powiniem stać się bogiem uniwersalnym. Chodziło wkońcu i o to, aby wyrównać różne sprzeczności, jakie w rozwoju wieków wskutek nieuchronnej ewolucji religijnych pojęć nagromadziły się w Egipcie.

Młody, bo 25-letni Amenofis, — może pod wpływem swej matki Teje lub kapłanów z Heljopolu, — odważył się na ten ryzykowny krok; postanowił zaprowadzić w Egipcie henoteizm solarny, kult najwyższego bożka, którym miało zostać słońce, a raczej jego twórcza istota, słoneczny żar jego tarczy, tak zw. Aton, dający życie ziemi, jedyny w przekonaniu Amenofisa prawdziwy stwórca świata. Kult innych bóstw został zakazany, ich wizerunki niszczone, a imiona usuwane ze ścian świątyń egipskich. W pierwszym rzędzie skierował Amenofis swe prześladowanie przeciw Amonowi, naczelnemu bóstwu Teb. Że zaś złośliwy los sprawił, iż sam reformator nosił od urodzenia imię Amenofisa, z egipska Amenhotep (Amon jest zadowolony), w którego skład — jak widzimy — wchodził właśnie Amon, przeto, by być konsekwentnym Amenofis zmienił je na Echnaton (ten, który się podoba Atonowi). Wszelkie wizerunki bóstw, czy to antropomorficzne, czy zwierzęce, zostały usunięte; jedynie tarcza słoneczna, okolona wieńcem promieni, zakończonych rękoma, stała się symbolem nowego bóstwa, które na ludzkość, a zwłaszcza na rodzinę królewską, wylewa swych łask promienie. Nowe naczelne bóstwo, zwane Re-Harachte-Szu-Aton, lub krótko zwykle Aton, otrzymało własne, nowe świątynie w Egipcie, w Azji i w Nubji.

Na cześć nowego bóstwa układał Echnaton, jedyny poeta na tronie egipskim, religijne hymny. Jeden z nich tryska prawdziwą poezją; podaję z niego kilka urywków:

„Ukazujesz się piękna na widnokręgu niebios,
Ty żywa tarczo słońca, któraś pierwsza żyła...
Napełniasz kraj każdy pięknością swoją...
Gdy zapadasz na zachodnim horyzoncie,
Staje się ziemia ciemniejszą od śmierci.
Ludzie spoczywają po swoich komnatach...
A ziemia odpoczywa w milczeniu,
Bo jej stwórca leży na horyzoncie".

Wschód słońca tak maluje królewski poeta:

„Ziemia jaśnieje, gdy ty wschodzisz na krańcach niebiosów,
ciemności ustępują, gdy ślesz twe promienie.
Egipt podnosi swe dłonie, kiedy ty się zjawiasz,
a cała kraina bierze się do pracy.
Zwierzyna uwija się po polach,

a wszystko bydło weseli się w rozłogach;
kwitną wszystkie drzewa i wszystkie rośliny;
ptaszęta wylatują ze swych własnych gniazdek,
a ich skrzydełka modlą się do ciebie..."

Ślicznie opisuje Echnaton stworzenie człowieka, odzywając się do bóstwa:

„Tyś tym, co stworzył w niewiastach ich dziecię,
Tyś też nasieniem obdarzył mężczyznę,
a życiem dziecko w łonie jego matki.
Ty je utulasz, aby nie płakało,
Tyś jego mamką w łonie rodzicielki.
A gdy na świat przyjdzie w dniu swoich urodzin,
Ty mu usta otwierasz, aby przemówiło,
I stwarzasz dlań wszystko, czego mu potrzeba".

Swój stosunek do Boga ujmuje król-poeta w takie strofy:

„Tyś w sercu moim: nikt inny cię nie zna
prócz Echenatona, twojego potomka.
Tyś mię wtajemniczył w twe górne zamiary,
tyś mi powierzył cząstkę swojej władzy...
Zgotowałeś mi ziemię od chwili stworzenia,
dla króla, z ciebie, prawdy miłośnika,
pana obydwóch krain... i potomka słońca,
króla Echenatona, prawdy miłośnika, —
i dla jego małżonki, którą on miłuje,
pani obydwóch krain, Nofer Nofru Aton,
która kwitnie i żyje na zawsze, na wieki".

Atoli henoteistyczna reforma religijna Amenofisa IV nie znalazła dobrego przyjęcia, ani wśród kapłanów starych bóstw, ani między ludem; zwłaszcza zaś nie podobała się ona mieszkańcom Górnego Egiptu. Teby, dotychczasowa stolica Egiptu, siedziba Amona, nie mogły się pogodzić z kultem nowego bóstwa. Król więc postanowił z całym dworem je opuścić; założył nową siedzibę Atonowi i sobie, w odległości 450 km. na północ od Teb i nazwał ją: „horyzontem Atona", z egipska „Achet-Aton" (dzisiaj ta miejscowość nosi nazwę Tell-el-Amârna). Tu zamieszkał młody marzyciel z rodziną, ozdobiwszy nową stolicę pałacem królewskim, palmami i trzema świątyniami słońca. Tu też zakwitła nowa sztuka, której główną cechą jest tak zw. styl ludowy, trzymany dotychczas zdala od świątyń i dworu.

Niestety przesadna gorliwość Echnatona sprawiła, że i ten dotychczas swobodny i nieskrępowany realizm natura-

listyczny stylu ludowego został obecnie ujęty w ścisłe formy, że więc uległ nienaturalności. Charakter nowej sztuki nosi na sobie przedewszystkiem plastyka i płaskorzeźba. Już same wizerunki władcy mówią o tem wymownie. Echnaton nie był przystojnym mężczyzną. Jego marzycielskie, a znużone oczy, pyrkaty nos, długa szyja, wystające kości licowe, kanciasty podbródek, by nie wspominać o dość silnie zaokrąglonym brzuszku i słabo rozwiniętej muskulaturze na tle ogólnej otyłości, nie czyniły zeń zbyt pożądanego przedmiotu dla sztuk pięknych. Nowa sztuka hołdowała zasadzie jak najdalej idącego weryzmu, a więc naturalizmu, posuniętego do ostateczności. Nic przeto dziwnego, że posągi królewskie musiały wypaść fatalnie. Że zaś rysy królewskie były obowiązującym typem dla całego dworu, dlatego portrety owych czasów są tak niesmaczne, nawet gdy przedstawiają sceny rodzinne.

Nastała rzecz dotychczas w Egipcie niesłychana: bóg-faraon zstąpił z obłoków, z piedestału bóstwa, i ukazał się poddanym w ramach swego codziennego życia, jako zwykły śmiertelnik przy stole lub na łonie rodziny. Para królewska nie siedzi tu na tronach, ale na zwykłych taboretach i pieści swe 3 córeczki, podczas gdy dobrotliwe bóstwo Aton, w postaci tarczy słonecznej, śle ku nim swe promienie, zaopatrzone na końcach w ręce. Jak to wynika z zachowanych płaskorzeźb, jest to symbol stale używany w sztuce Echnatona, by wyrazić dobrodziejstwa bóstwa słonecznego. Inne płaskorzeźby z owych czasów przedstawiają znowu parę królewską w ich ciepłym stosunku do siebie. Wogóle musiało to być pożycie nader serdeczne; co w niem uderza, to ta swoboda i pewna siebie miękkość ruchów u młodego ieszcze Echnatona, któremu jego małżonka ofiaruje np. kwiat lotosu.

Nowa sztuka wniosła zatem dużo życia do skostniałych motywów staroegipskich, malowała obrazy z uderzającą prawdą życiową i z tego tytułu uczyniła niezaprzeczone postępy. Ale wszystkie te zdobycze nie miały czasu utrwalić się wobec tego, że panowanie Echnatona nie trwało długo, i że po jego śmierci nastąpiła całkowita reakcja pod każdym względem.

Już pod koniec swego życia marzyciel z Achetaton, zajęty wyłącznie wielką myślą zaprowadzenia henoteizmu solarnego, nie zważał na to, że w Syrji zaczynają się wrzenia, że koczownicy Habiru pod parciem swych współplemieńców izraelskich, wdzierają się zwycięsko i zagarniają zwolna resztki władzy faraońskiej w Ziemi Obiecanej. Jedna prowincja po drugiej odpadały w Azji. Libijczycy i Azjaci zaczęli wpadać do Delty, a przemożni dawniej kapłani Amona, burzyli lud, któremu odbierano gwałtem najdroższe uczucia, a który nie rozumiał henoteistycznych zapędów króla i jego dworu. Nic zatem dziwnego, że lud czekał tylko śmierci króla, którego nazywał „kacerzem z Achetaton".

* * *

Los dał Echnatonowi sześć córek, ale nie dał mu niestety syna. To też sprawa następcy tronu przedstawiała się fatalnie. Aby ratować dynastję trzeba było pomyśleć o zięciach. Najstarszą z córek, Merit-Aton (umiłowaną przez Atona) oddał ojciec swemu dworzaninowi Semenchere (Sakere) i jeszcze za swego życia dopuścił go do współrządów. Druga córka, Maket-Aton (otoczona opieką przez Atona) zmarła mając lat 10; a trzecia Anch-en-pa-Aton (żyjąca przez Atona) wyszła za niejakiego Tut-anch-pa-Atona (tyle co: „obraz żywy Atona"), który po krótkich rządach pierwszego zięcia w roku 1356 w bardzo młodym wieku wstąpił na tron egipski.

W pierwszych latach swych rządów pozostał on jeszcze wraz z małżonką wierny czci Atona, — ale pod naciskiem rewolty religijno-socjalnej zmuszony był powrócić do starych bóstw i do Teb, dawnej stolicy Egiptu i Amona. Dotychczasową siedzibę Achet-Aton (Tell el-'Amârna) porzucono całkowicie, a piaski pustyni pokryły ją niebawem grubym płaszczem, pod którym spoczywała aż do dni naszych. Archeologowie poświęcili jej obecnie swą uwagę, a jej pałac królewski oddał historykom swe bezcenne archiwum do dyspozycji. — Ale wróćmy do młodego władcy.

By dać wyraz swemu nawróceniu, które — o ile pewne dane nie mylą — nie było całkowicie szczere, królestwo zmienili swe nazwiska, wprowadzając do nich Amona w miej-

sce Atona. I tak Tut-anch-pa-Aton zwie się odtąd Tutanchamonem (obliczem żywem Amona), a jego małżonka nosi imię Anchenamon (tej, co żyje przez Amona). Ponieważ obydwoje byli bardzo młodzi, dlatego z początku sprawowała rządy regencja, na której czele stał arcykapłan Eje i prawdopodobnie królowa-matka Nofret-ete.

Ośmioletnie panowanie Tutanchamona (1356—1347 przed Chr.) jest nam bardzo mało znane. Wiemy tylko tyle, że monarcha odnowił i wyposażył zaniedbane przez teścia świątynie Amona w Tebach. Zresztą teksty i papirusy dotychczas milczą, a jedynie bogate sprzęty, znalezione w grobie Tutanchamona, jak i malowidła każą wnioskować, że te rządy — przynajmniej przez czas jakiś — mogły być szczęśliwe i opływały w dostatek. Pokój panował w państwie. Podatki i daniny napływały tak z północy, ze Syrji, jak i z południa, z Nubji (zwanej wówczas krainą Kusz). Dowodem tego dwie sceny, które nam przechował tebański grobowiec niejakiego Hui, marszałka dworu Tutanchamona. Pierwsza scena to hołd deputacyj syryjskich z górnego Retennu. Tutanchamon zasiadł na tronie, a marszałek (tak wany syn królewski) Hui przedstawia monarsze wysłańców, azjatyckich. Zbliżają się oni w czterech rzędach, poprzedzeni przez dwóch naczelników, których typy i stroje semickie są bardzo wyraziste. Posłów syryjskich wprowadzają dwaj Egipcjanie; przed nimi widać dary syryjskie: kielichy, naczynia, misy pełne złota i wazy z alabastru, pokrywane złotem. Tekst hieroglificzny mówi nam: „Naczelnicy górnego Retennu, który nie uznawał Egiptu od czasów bożych, błagają Jego Majestat o pokój. Mówią doń: użycz nam, Panie, oddechu, który dajesz. Mów nam o swych zwycięstwach; bo za twych czasów niema rokoszu; cały kraj cieszy się pokojem". Drugi obraz, z tego samego grobowca, przedstawia daninę Etjopji i Nubji (krainy Kusz). Tenże marszałek Hui przedstawia Tutanchamonowi, siedzącemu na tronie, wysłanników Etjopji o typach wybitnie murzyńskich. Ustawiono ich w trzy rzędy, a urzędnik egipski wzywa ich, by się zbliżyli. Ich dary składają się z mis, wypełnionych obrączkami złota, z drogich kamieni, z tronów, łóżek i krzeseł, bogato ozdobionych, a wreszcie z naczyń alabastrowych; wiodą oni

także ze sobą żyrafę i bydło rogate. Napis egipski głosi: „Naczelnicy z krainy Kusz. Mówią oni: bądź pozdrowion, królu Egiptu, ty słońce o siedmiu łukach. Użycz nam twego oddechu, który dajesz. Twa miłość ożywia". U samego dołu Egipcjanie składają życzenia księciu z Kusz z powodu podarunków, jakiemi go obdarzył Tutanchamon.

Aliści sielanka przyjęć i zabaw minęła prędko. Jeżeli przypuszczenie Maspera jest słuszne, to młodzieńczego władcę gnębiły suchoty, jak na to zdają się wskazywać jego zapadłe policzki i smutne nad wyraz oczy na jednym z zachowanych posągów. Choroba, a prawdopodobnie i zamach wojskowy, położyły koniec Tutanchamonowi po ośmiu latach panowania, może w 25 wiośnie życia.

Siedmnastoletnia wdowa, Anchenamon, która nie zaznała jeszcze radości macierzyństwa — mimo wielkiego przywiązania do zgasłego przedwcześnie małżonka — nie mogła się pogodzić z myślą, że nie mając syna przestanie być królową. Aby temu zapobiec, a może aby uchronić Egipt od zamieszek wewnętrznych, nie cofnęła się przed krokiem, który obecnie nazwalibyśmy zdradą kraju, lub przynajmniej grubą intrygą. Odkryte świeżo archiwum hetejskie z Boghazkiöi (około Angory) wydało nam całą tajemnicę. Oto zaraz po śmierci swego męża, — podczas gdy przez dni siedemdziesiąt Egipt był w głębokiej żałobie, a zwłoki królewskie balsamowano — wysłała ona w wielkiej tajemnicy list do swego krewnego Szubbiluliumy, króla Hetytów, w następujących słowach: „Mój małżonek umarł. Mówią mi, że masz dorosłych synów. Przyślij mi jednego z nich, a ja go uczynię moim małżonkiem i zostanie królem Egiptu". Było to z jej strony pociągnięcie bardzo zręczne. Ale podejrzliwy król Hetytów, obawiając się podstępu, przechytrzył; zamiast wysłać natychmiast hetejskiego księcia z wojskiem, odpisał jej tylko: „Gdzież jest syn zmarłego króla, i co się z nim stało?" Wymiana tych dwóch listów zajęła w ówczesnych warunkach cały miesiąc drogiego czasu. Zrozpaczona wdowa pisze powtórnie: „Dlaczegóż miałabym cię podchodzić? Nie mam żadnego syna, a mój małżonek umarł. Przyślij mi jednego z twych synów, a ja go zrobię królem". Teraz dopiero król hetejski zdecydował się na czyn, ale już było za-

późno. Hetejskiego księcia zamordowano w drodze. Dokumenty milczą o tem, co dalej nastąpiło. Wiemy tylko, że dawny regent Eje, jako król, objął na krótko rządy Egiptu. — A jakiż był los młodziutkiej, sympatycznej królowej? Czy może przejęto jej listy? Nie wiadomo. To pewna, że znika ona ze sceny dziejowej; być może, że głęboka tragedja pokrywa całe to zdarzenie. Gdyby jednak plan królowej był się powiódł, nie mielibyśmy Sethosa i Ramsesa II, a dzieje Egiptu potoczyłyby się inną napewno inną drogą.

Ciało zmarłego Tutanchamona pogrzebiono w bardzo skromnym grobie; widocznie grób królewski przywłaszczył sobie jego następca i morderca jenerał Haremheb. Do pospiesznie wykopanego grobu obok mumji Tutanchamona złożył regent Eje ubrania, część skarbca i ulubionych sprzętów nieboszczyka. To było powodem, że w kilka lat później banda złodziejów dwukrotnie wdarła się do grobowca, przetrząsnęła gruntownie jego zawartość, zabrała kosztowności i mniejsze przedmioty ze złota, resztę zaś w nieładzie porzuciła. Z rozkazu Haremheba grób Tutanchamona uporządkowano i na nowo opieczętowano, a jego wejście zasypano żwirem i zrównano z ziemią do tego stopnia, że pamięć o grobowcu zaginęła. To go uchroniło od profanacji, a mumji Tutanchamona zapewniło upragniony spokój na całe 33 wieków. Dopiero w listopadzie roku 1922 archeolog Howard Carter, który na koszt lorda Carnarvona od szeregu lat czynił badania w Dolinie Królów (Bibân el-Mulûk), około Teb, odkopał ten grobowiec i odkrył złożone w nim skarby.

Przebieg tych wykopalisk, które trwają już trzeci rok, [1]) po największej części znany wszystkim z prasy, obfitował kilka razy w bardzo dramatyczne sceny. Podniecił on w wysokim stopniu ciekawość całego świata, ściągał do Egiptu setki i tysiące turystów, zwłaszcza z Anglji i z Ameryki. Nie brakło tam nawet monarchów, jak egipski Fuâd i królowa belgijska. Rzecz dziwna, mimo podwójnej kampanji zimowej w latach 1922/23 i 1923/24 dotychczas jeszcze uczeni nie dotarli do samej mumji, ale tylko do ostatniej pokrywy,

[1]) Jak donoszą dzienniki, w dniu 25 stycznia b. r. otworzył Carter po raz trzeci grób Tutanchamona, otrzymawszy na to zgodę rządu egipskiego.

kryjącej zwłoki Tutanchamona. Bardzo być może, że jej zawartość zgotuje nam niespodzianki, których przewidzieć narazie niepodobna; nie uprzedzajmy jednak przyszłości.

* * *

Dla całości obrazu winienem podać krótki, systematyczny opis samego grobowca i jego zawartości. Pójdę w tem za sprawozdaniem samego Cartera.

Grobowiec Tutanchamona jest cały kuty w skale piaskowej. Jego rozkład jest następujący. Zeszedłszy 16 stopniami wdół, napotykamy pierwszą bramę murowaną, opatrzoną pieczęciami zmarłego króla i Haremheba; stąd długim na ośm metrów korytarzem przychodzimy do drugiej bramy, także zamurowanej i zapieczętowanej. Przebywszy ją, stajemy w przedsionku. Jest to sala, szeroka na 3·6 m, długa na 8 m, z niej jedna brama, zachodnia, znowu zamurowana i zapieczętowana, prowadziła do bocznej komory, a druga, północna, do właściwego grobu (długiego na 6·4 m, szerokiego na 4 m, wysokiego na 3·62 m), w którym spoczywa sarkofag królewski. Tuż na wschód od grobu osobna komora służyła za skarbiec.

Największą ilość przedmiotów i sprzętów znaleziono w przedsionku i komorze bocznej. Warto tym przedmiotom poświęcić chwilę uwagi, bo zasługują na to ze wszechmiar tak dla swej jakości, jak i arcydzieł sztuki ówczesnej, a dają pojęcie o życiu Egiptu w XIV w. przed Chr. Wspomnę tylko o kilku okazach najważniejszych.

Do takich należy tron królewski, przewieziony jeszcze z Tell-el-'Amârna. Jest to arcydzieło sztuki z drzewa, pokryte blaszkami ze złota i kolorowego fajansu, zdobne w szkła i drobne kamienie. Jego nogi, pomyślane jako lwie łapy, mają u góry złote lwie głowy. Za poręcze służą skrzydlate i wężowe bóstwa opiekuńcze Egiptu, które swemi skrzydłami obejmują imię królewskie. Tył oparcia zdobny jest w sześć wężów. Ich głowy są z fajansu, ich korony są ze złota i srebra. Nad niemi wznosi się reljef, przedstawiający gęste sitowie z papirusu i dzikiego ptactwa. Całą wszelako uwagę widza przykuwa przednia strona oparcia, najładniejsza bezsprzecznie rzecz, jaką dotychczas znamy z Egiptu. Przedstawia ona portyk pałacu, wsparty na zdob-

nych w kwiaty kolumnach. Tutanchamon w pełnym stroju monarszym siedzi niedbale na poduszce krzesła, mając nogi wsparte na podnóżku, zapatrzony w stojącą przed nim postać. Jest nią młoda dzieweczka, królewska jego małżonka, w koronie z piór strusich i w przejrzystej szacie. W lewej ręce trzyma małą czarkę z wonnościami, prawą zaś namaszcza zlekka ramię króla. Barwy tego obrazu są żywe i bardzo starannie dobrane. Twarz i części obnażone są, zwyczajem egipskim, pokryte czerwonawem szkliwem; ozdoby głów są z fajansu, podobnego barwą do turkusów; ubrania są ze srebra, które dzięki tylu stuleciom pokryło się już nalotem śniedzi. Korony, szerokie a bardzo zdobne kołnierze i inne szczegóły dekoracyjne na karle pokrywa szkło kolorowe, fajans, krwawnik i inne mniej znane ornamentacje. Wszystko to razem zlewa się w niezrównaną, czarującą całość i wywołuje bajeczne efekty świetlne. Nawet podnóżek tego tronu jest złotem i fajansem kryty, a co ciekawsze, przedstawia na swej powierzchni powiązanych jeńców. Jest to wymowną ilustracją poglądów i praktyki ówczesnego Wschodu, których wyraz znajdujemy w Psalmie (109, 1): „Położę nieprzyjaciół podnóżkiem stóp twoich."

Pomijam inne, bardzo ładne, karła; wspomnę za to o czterech taborecikach egipskich. Są one częścią z drzewa, częścią z hebanu, bogato inkrustowane kością słoniową. Ich siedzenie naśladuje albo barwne pokrywy, albo skórę zwierzęcą z ogonem. Niemniej wspaniałe były łoża królewskie. Jedno np. będzie to łoże z hebanu i plecionki, o lwich nogach i z oparciem na stopy, wypełnionem bóstwami życia domowego, za które uchodził bożek Bes z ogonem, i bogini o lwim kształcie. Inne znowu łoże ma kształt pary sprzężonych krów, z zadartym do góry ogonem, a poświęconych bogini Hathorze; łączy je między sobą drewniana podstawa.

Wielka ilość drobniejszych przedmiotów codziennego użytku, jak np. szaty, suknie, pantofle, sandały, rękawiczki, pierścionki i t. p., zawarte były w licznych skrzyniach, bardzo gustownych i drogich. Skrzynie te są częścią z alabastru, bogato zdobione drogiemi kamieniami, częścią z drzewa, wykładane niebieskawym fajansem i złoconym stiukiem

częścią całe z kości słoniowej. Niektóre z nich posiadają prześliczne obrazy, które przedstawiają już to sceny z polowań na lwy, tak piękne, że przewyższają nawet perskie minjatury, już to sceny z bitew. Te ostatnie są to jednak obrazy raczej schematyczne, prawdobodobnie nie wzięte z rzeczywistości, bo Tutanchamon najprawdopodobniej wojownikiem nie był, a tymczasem tutaj widzimy go na rydwanie wojennym, jak swemi strzałami razi swych afrykańskich wrogów. Nad nim unoszą się opiekuńcze sępy bogini Górnego Egiptu, zasłaniające króla przed pociskami nieprzyjaciół, i tarcza bożka słońca. Tuż za monarchą postępuje służba z wachlarzami i orszak królewski, częścią na rydwanach, częścią pieszo. Druga strona tejże skrzyni wyobraża walkę Tutanchamona z Azjatami, podczas gdy przód i tył skrzyni przedstawiają króla w postaci zwycięskiego sfinksa, który depcze swych wrogów, powalonych o ziemię.

Z innych przedmiotów, znalezionych w przedsionku grobowca godna jest wzmianki laska ceremonjalna, która przedstawia dwóch związanych jeńców: semitę (z kości słoniowej) i murzyna (z hebanu), jako symbol północnych i południowych wrogów Egiptu. Obie figurki cechuje charakterystyczna twarz i właściwy strój narodowy, a są one arcydziełem drobnej sztuki egipskiej. Nie mniej pięknym jest trójrzędny naszyjnik z pereł, ze złoconym medaljonem na piersi i skarabeuszem na szyję. Inny rodzaj przedstawia np. znalezione tamże berło królewskie ze złota; dalej t. zw. sistrum, czyli instrument muzyczny, który przy potrząsaniu wydawał dźwięki, a używany był przy obrzędach bogini Izydy i Hathory; jest on z drzewa, złota i bronzu, wreszcie — jako *curiosum* — żałobny bukiet z liści i kwiatów.

Dla swej cudnej roboty zasługują na uwagę dwa naczynia z alabastru na wonności, których ucha — dziwny zespół papirusu i lilji — są symbolem lat stu tysięcy, a zarazem wieczystej unji Dolnego Egiptu z Górnym. Jeszcze ładniejszym jest puhar królewski z białego, przeźroczystego alabastru, o lotusowych uszkach, na których klęczą symbole wieczności. Jego czara naśladuje rozwinięty kwiat lotosu — znowu symbol życia wiecznego. Napis na brzegu czary mówi między innemi: „Żyj Tutanchamonie! obyś mógł miljony lat

przebyć, ty, który Teby miłujesz (aluzja do przeniesienia stolicy do Teb), którego oblicze skierowane jest ku północy, a którego oczy oglądają szczęśliwość."

Atoli aby te pobożne życzenia spełnić się mogły, należało przedewszystkiem zabezpieczyć ciało nieboszczyka przed zniszczeniem. W tym celu, prócz zabalsamowania mumji, przedsięwzięto cały szereg zarządzeń. Ten cel na oku miały cztery zamurowane i opieczętowane bramy, prowadzące stopniowo do samej salki grobowej. Do tego zmierzały dalej dwa posągi króla, strażujące bezpośrednio przed zamurowanemi drzwiami, które wiodły tuż do samej komory grobowej. Posągi te są naturalnej wielkości; przedstawiają króla w postaci dwóch strażników, stojących na odwachu. Są one z drzewa, pokrytego (jak mumja) smołą; ich źrenice szklane ich brwi i wklęsłości oczne są ze szczerego złota, fartuch sandały, naramienniki i nakrycie głowy są złocone. Całość nakazuje szacunek i wywołuje dziwne uczucia, bo oto te sobowtóry królewskie strażują tu przed trumną władcy już przez 34 wieki. Sama mumja Tutanchamona spoczywa w przyległej salce w bogatym sarkofagu.

Obok salki grobowej znajduje się mniejsza i niższa komora, do której wejście nie było ani zamurowane ani zamknięte. To skarbiec pośmiertny zmarłego króla. Naprzeciwko wejścia jaśniał przecudny sprzęt w kształcie skrzyni, złotem całkowicie krytej; otaczały go posągi czterech bogiń, patronek zmarłego, niezwykłej piękności, po jednej przy każdym rogu skrzyni. Podczas gdy dwie z nich, z wyciągniętemi rękoma, patrzyły pilnie na zawartość skrzyni, drugie dwie, trzymając ręce skierowane ku skrzyni, spoglądały niespokojnie w stronę wejścia. W skrzyni tej mieściły się tak zw. kanopy, czyli dzbany z mózgiem i wnętrznościami króla, które — jak wiadomo — przy balsamowaniu wyjmowano z trupa. Inne przebogate skrzynie skarbca zawierały złotem i perłami tkane szaty monarchy, cudny wachlarz z piór strusich pysznie zachowany, dalej statuetki jego Ka (sobowtóra), potem statuetki Anubisa i Apisa, symbolów zaświata, wreszcie rozmaite modele okrętów, rydwanów i t. p.

Ale wróćmy do salki grobowej, do tego, który był celem i racją bytu całego tego grobowca i jego skarbów.

Olbrzymi sarkofag 3·30 m szeroki, 2·73 m wysoki a 5 m długi wypełnia prawie całą przestrzeń salki. Składa się nań pięć trumien, wsuniętych frontowym otworem jedna w drugą. Cztery z nich są drewniane, mocno złotem kryte; ostatnia jest z granitu i zawiera mumję królewską. Ale aby się do niej dostać, trzeba było rozebrać wszystkie trumny drewniane, ją okalające. Do tej niezmiernie żmudnej pracy zabrał się Carter. Gdy z wielkim trudem usunięto częściami pokrywę trumny zewnętrznej, ujrzano ze zdziwieniem wsparty na drewnianych ramkach cudny lniany całun, zdobny w złote rozetki;[1]) okrywał on boki i wierzch dalszych trzech trumien drewnianych, które już na sobie nie miały żadnej pokrywy. W nich spoczywała na dnie ostatnia trumna, właściwy olbrzymich rozmiarów sarkofag, z różanego granitu, nietknięty, którego jednak zawartość przesłonięta jest takąż pokrywą z granitu. Na czterech jej rogach rozciągają swe skrzydła cztery boginie, jakby chciały ochronić przed wrogiem powierzoną swej pieczy istotę. Między niemi lśni wyryte złotemi literami imię Tutanchamona. Sarkofag ten nie posiada już żadnej frontowej bramki. Gdy z największemi ostrożnościami i z niezmiernym trudem podniesiono granitową pokrywę sarkofagu, znaleziono w niej — jak we wszystkich zresztą grobowcach egipskich — antropoidalną powłokę z drzewa, na której wezgłowiu spoczywał wizerunek twarzy Tutanchamona. Bogactwa tej powłoki trudno opisać, chociaż w głównych zarysach przypomina ona inne, znane już powłoki królewskie, jakie posiada prawie każde większe muzeum świata. W tej dopiero powłoce antropoidalnej spoczywać musi mumja Tutanchamona wraz z koronami i innemi skarbami. Dotychczas jednak[2]) — o ile mi wiadomo — powłoki tej nie otwarto, a mumja Tutanchamona nie ujrzała jeszcze światła dziennego.

* * *

[1]) Niestety — jak donoszą dzienniki — całun ten, złożony przez Cartera tymczasowo w pustym grobie Seti II-go, zniszczał dzięki niedbalstwu władz egipskich.

[2]) Do dnia 8 lutego 1925 r.

Streśćmy wyniki dotychczasowych wykopalisk Cartera.

Odkrycie grobowca Tutanchamona posiada bezsprzecznie bardzo wielkie znaczenie dla nauki. Dla archeologa zdobycz to istotnie nielada. To, co znaleziono, nie przedstawia bowiem przedmiotów drugorzędnej wartości, które w miarę potrzeby specjalnie przygotowywano w tym celu, aby je złożyć umarłym do grobu, a przez to przypominać im po śmierci doczesne ich życie. Nie; to, co odkopał Carter, to własne sprzęty, suknie, sandały, laski, skarby, nawet rydwany królewskie, któremi się otaczał i posługiwał za życia Tutanchamon. Świadczą one z jednej strony o jego bogactwie i wyrobionym artystycznym smaku, z drugiej zaś dają wymowne świadectwo o wysokim poziomie ówczesnej sztuki egipskiej. W tem leży naukowe znaczenie odkrycia.

Historyk starożytności odchodzi jednak od tego grobu, który tak wielką wywołał w świecie senzację, z pewnem uczuciem zawodu i smutku. Oto wśród tylu skarbów nie znaleziono dotąd żadnych dokumentów, żadnych papirusów, czy napisów, któreby nam podniosły zasłonę z owych czasów. Głuche milczenie pokrywa ten grób. Chciałoby się niemal powiedzieć, że zazdrosny los przytłoczył całkowicie właściciela grobu blaskiem skarbów, któremi go otoczył. Tak mało wiemy o samym Tutanchamonie i jego panowaniu, a przecież wszystko każe się domyślać, że nie były to czasy zwyczajne! Głęboki tragizm otacza osobę tego monarchy. Wszak jego powrót do Teb i przywrócenie kultu Amona, to była w ścisłem znaczeniu tego słowa... kapitulacja. Mimo tej wielkiej ofiary Tutunchamon schodzi w grób młodo, bez potomstwa, a w kilka lat później Haremheb, stary jenerał jego teścia, a prawdopodobnie morderca Tutanchamona, obejmuje rządy i daje początek nowej XIX dynastji, która wydała Sethosów i Ramzesów.

Z Tutanchamonem nader ważny okres dziejów Wchodu, zwany Tell-el - 'Amârna, zamyka się i ginie bezpowrotnie.

*Ks. Dr. Wład. Szczepański.*

# Kościół św. Stanisława w Uhercach.

Wieś Uherce Mineralne, obecnie własność Dra Ernesta Tilla, profesora Uniwersytetu lwowskiego, rozłożyła się na równinie, otoczonej ze wszystkich stron niezbyt wysokiemi wzgórzami, jak Kostryń, Szulce, Iwanowiec, Lachawy, z których część porosła lasem, część zaś obrócono pod uprawę roli. Wyższe i nieco dalsze wzgórza, Czulnia i Kolica, zamykają horyzont od strony Leska [1]) i Ustrzyk Dolnych, od południa zaś pasem błękitnawym rysują się na widnokręgu Karpaty, tworzące granicę polsko-czeską. Już z drogi wiodącej ze stacji kolejowej do wsi widać z daleka białą sylwetę kościoła, odcinającą się wyraźnie od ciemnej zieleni wiekowych lip i polskich topól, będących ozdobą dworskiego ogrodu, który bezpośrednio sąsiaduje z kościołem.

Kościół parafjalny, rzymsko-katolicki, pod wezwaniem św. Stanisława biskupa, dotychczas w historji sztuki nawet nie wzmiankowany, zawdzięczają Uherce ks. Jakóbowi Jaworskiemu, kanonikowi przemyskiemu i prepozytowi leskiemu, który zmarł dnia 21 kwietnia 1759 r. Dowiadujemy się o tem z epitafjum fundatora, które zachowało się wewnątrz kościoła. Napis na niem brzmi jak następuje: [2])

---

[1]) Przyjmuję starą formę Lesko, zamiast obecnie używanej, a pod wpływem języka ruskiego zmiękczonej nazwy Lisko. Wieś Uherce Mineralne leży w województwie lwowskiem w odległości 7 km na wschód od Leska, a 14 km od Sanoka.

[2]) Zachowuję pisownię oryginalną wraz z błędami. Pauzy oznaczają końce poszczególnych wierszy napisu.

*D. O. M. — Iacobo Iaworski Canonico Cathedrali Premisliensis — In Lesko praeposito — Viro Nobilitate Generis claro — Sed Virtute & meritis Clariori — Plurimis titulis Digno — Tamen eo Unico — Quod optimam ex Successione Fraterna Substantiam totam — et integram in plurimas Causas pias distribuerit — Contento — Tacet quidem Sancta ejus Opera hoc mausoleum — Sed loquntur Basilicae — Uchercensis — A fundamentis erecta*[1]) *et opulente dotata — Lescensis — reformata & Ornata — Starosolensis — Beneficijs aucta — Et aliae plurimae Sanctae & bono publico fructuosa — Premisliae Samboriae & Crosnae — tum Patrum Soc: Iesu tum Patrum Capucinorum aliae — Factae & auctae fundationes — Liberalem ejus in Deum & Sanctos pietatem — narrare non essabunt — Dives erat in omnes nulli non Succurrens — Sanguinem non despiciens, Sed magis Suffragia Fratris — Alexandri Ensiferi Sanocensis, cujus unicus Substantiae Successor fuerat et Suo pro meritis — aeterno praemio prospiciens — Vita et moribus pijs vere Praepositus — Consepultus eidem Alexandro hoc uno tumulo — Cum Quo uno in Ultero vixit. — Obijt Die 21 Aprilis Anno 1759 aetatis 61 — Precare Viator — Ut ambo Fratres quorum Unum Cor & anima una fuerat — Collocentur a dexteris Virtutis Dei — Sit Luna eorum plena in diebus aeternitatis — et Sagitta eorum in meta Sancta*[2]) *— Illustrissimus Excellentissimus & Reverendissimus — Dominus Dominus Venceslaus — Hieronimus de Bo — gusławice SIERAKOWSKI Episcopus Premisliensis*[3]) *— hoc imitandae Virtutis memoriale perenne fieri mandavit.*

Rok 1759 byłby więc najpóźniejszym terminem ukończenia budowy, data jednak MDCCLVII, wyryta na nad-

[1]) Parafję rzymsko-katolicką ufundował w Uhercach w r. 1745. Józef Malicki, podskarbi, następnie podczaszy, a wreszcie kasztelan sanocki (Słownik geograficzny XII. Warszawa 1892, p. 752). Zdaje się, że przed wybudowaniem obecnego kościoła istniał tutaj przez kilka lat kościół drewniany.

[2]) Aluzja do herbu Sas.

[3]) Tablicę tę wykonano bezpośrednio po zgonie ks. Jaworskiego, w każdym razie jeszcze w r. 1759, w którym biskup przemyski W. H. Sierakowski postąpił na arcybiskupstwo lwowskie. Cf. T. Morawski, Dzieje narodu polskiego V. Poznań 1877. p. 438.

prożu portalu prowadzącego do zakrystji, każe przesunąć czas powstania kościoła uherzeckiego conajmniej o dwa lata wstecz.

Kościół w Uhercach stoi w pośrodku cmentarza otoczonego murem około dwa metry wysokim (Fig. 1). Wzniesiony z cegły wyprawionej wapnem, posiada jedną prostokątną nawę i prostokątne, półkolem zamknięte prezbiterjum. Do bocznych ścian prezbiterjum przylegają zakrystja i skład sprzętów kościelnych, przed fasadą zaś wznosi się mała kruchta. Naprzeciwko fasady stoi dzwonnica, która niby klamra spina mur otaczający cmentarz dookoła. W rzucie poziomym kościoła uherzeckiego zwraca uwagę pedantyczna symetrja całego układu. Dzieli go na dwie odpowiadające sobie części oś przechodząca przez wieżę, kościół i środek niszy w murze cmentarnym za apsydą. Symetrję tę naruszają obecnie nierówne rozmiary składziku i zakrystji, oraz bramka w jednym z dłuższych boków muru cmentarnego, której nie odpowiada druga bramka po przeciwnej stronie osi układu. I jedno i drugie jest wynikiem późniejszych przeróbek. Z dwóch zachowanych inwentarzy kościoła uherzeckiego, które spisano w latach 1816 i 1835, wynika, że wtedy zakrystja i skarbczyk miały równe rozmiary, a tylko tem się od siebie różniły, że skarbczyk posiadał jedno okno, podczas gdy zakrystja miała ich dwa. [1]) Dodać należy, że zakrystja mieściła się podówczas po lewej stronie prezbiterjum. Dopiero w r. 1901 rozszerzono dawny skarbczyk, przenosząc doń zarazem zakrystję, a dawną zakrystję obrócono na skład. [2]) Bramka w jednym z dłuższych boków muru cmen-

---

[1]) Inventarium der k. k. Pfarrkirche zu Uherce im Sanoker Kreise, Przemysler Dioeces; Liskoer Decanate, worüber das Patronat-Recht der jedermaligen Grundobrigkeit zukommt, aufgenommen durch den k. k. Kreiskommissar Emmanuel v. Kronbach mit Zuziehung des Liskoer Decans Marcin Nurkowski im Monat März 1816. p. 2, oraz Inventarium der Pfarrey in Uherce sub titulo S. Stanislai Epp: in der Przemysler Dioeces, Sanoker Kreises, aufgenommen in Folge Gubernial-Verordnung vom 8-ten Februar 1835 Zl. 3319. p. 2. Obydwa te rękopisy znajdują się w kancelarji parafjalnej.

[2]) Informację tę zawdzięczam ks. Dziekanowi, kan. Michałowi Sapeckiemu, rzym.-kat. proboszczowi w Uhercach.

tarnego została wybita przed trzydziestu mniej więcej laty.[1]) Inwentarz z r. 1835 wymienia wyraźnie tylko dwie, do dziś istniejące bramki po obu stronach wieży.[2]) Układ był więc pierwotnie ściśle symetryczny, a osiowość jego podkreślało jeszcze dobitniej wejście na cmentarz przez dzwonnicę. Wejście to zamurowano około 1901 r., przyczem zburzono most przerzucony ponad drogą, który łączył wieżę z podwórzem dawnej, dziś już również nie istniejącej plebanji.[3])

Kompozycja rzutu poziomego kościoła w Uhercach, wraz z należącym do niego cmentarzem, jest bardzo wytworna. Linja muru cmentarnego, równoległa do linji murów magistralnych kościoła, to jakby echo powtarzające melodję. W symetrycznem skomponowaniu całego układu przejawia się idea, przyświecająca architekturze nowożytnej na całej linji. Urok budowli średniowiecznych polega w znacznej mierze na nieregularności rzutu poziomego, na pewnej, rzec można, jego przypadkowości, wynikającej ze stopniowego dobudowywania poszczególnych części. W miastach średniowiecznych, które ze względu na obronność skupiały się na możliwie najmniejszej przestrzeni, mnóstwo jest krzywych uliczek, tajemniczych zaułków. Wszystko to znika z nastaniem czasów nowszych. Stare fortyfikacje straciły rację bytu wobec wynalezienia broni palnej, toteż miasta zaczynają rozbudowywać się na szerokość. Dla architektów otwiera się pole do komponowania całych układów budowli, związanych ze sobą jedną ideą. Na pierwszy plan wysuwa się zasada symetrji i zespołu wszystkich czynników na korzyść ogólnego efektu. Michał Anioł kierował się nią, projektując plac kapitoliński.[4]) Osiowy układ daje Bernini placowi przed kościołem św. Piotra w Rzymie, zakreślając symetrycznie oba skrzydła sławnej kolumnady. Nawet całe dzielnice powstają na zasadzie symetrji, jak n. p. dzielnica Rzymu pomiędzy Via del Babuino, Via di Ripetta, Piazza del Popolo

[1]) Podług informacji udzielonej mi na miejscu przez ludzi pamiętających dawniejszy stan.

[2]) Inventarium... vom 8-ten Februar 1835. p. 2.

[3]) Podług informacyj udzielonych mi przez ks. kan. M. Sapeckiego.

[4]) A. Riegl. Die Enstehung der Barockkunst in Rom. Wien 1923. Tabl. VII i VIII.

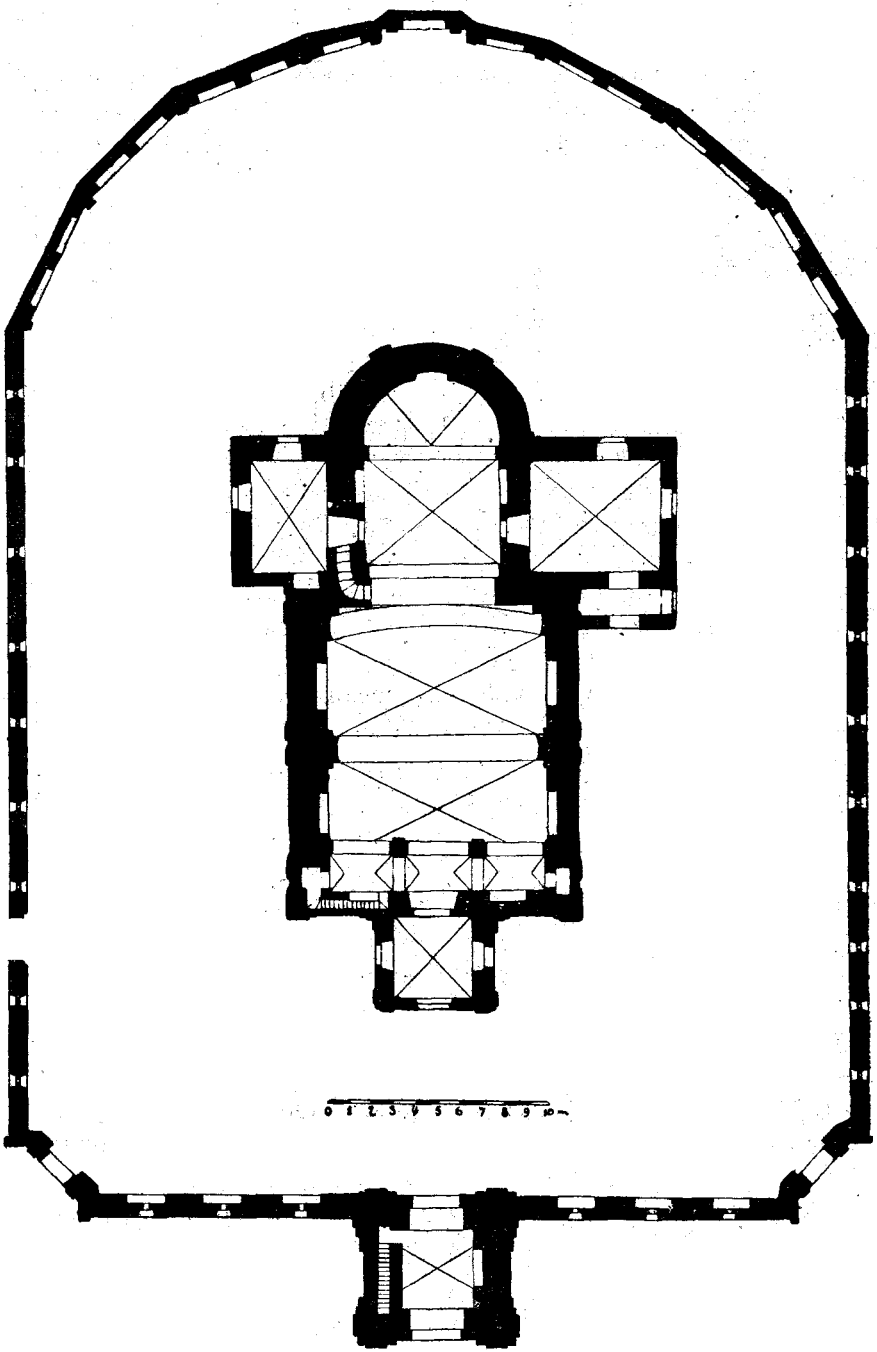


Fig. 1.

i Piazza Venezia, której osią jest Corso Umberto. Symetryczność tego układu zaznaczono obeliskiem stojącym na środku Piazza del Popolo i dwoma prawie identycznemi kościołami: S. Maria dei Miracoli i S. Maria in Monte Santo, które tworzą jakby bramę do Corso.[1]) W Paryżu, znacznie później, powstaje ściśle symetryczny układ: Place de la Concorde — kościół S. Madelaine.[2]) Tej samej idei hołdował Andrea Palladio,[3]) który dzięki bardzo rozpowszechnionym publikacjom swych budowli, wywarł o wiele silniejszy wpływ na architekturę wieku XVIII, aniżeli XVI. W ślad za planami budowli świeckich poszły i kościoły. Dla przykładu przytoczę kościół N. Marji Panny w Starej Boleslavie (Altbunzlau) z wieku XVII, ujęty w symetryczną architekturę terasową[4]) i kościół w Sepekovie (Sepekau) zbudowany w latach 1730—1733, a w lat trzydzieści potem otoczony symetrycznie krużgankami.[5]) Wiek XVIII — to epoka „papierowej" architektury. Nigdy może nie wydano tylu podręczników architektury, tylu rycin z planami budowli, które nie miały doczekać się zrealizowania, jak właśnie w czasie powstania kościoła w Uhercach. Drogą takich rycin czy podręczników mógł architekt naszego kościoła zapoznać się z prądami panującemi zagranicą, gdyby nawet przez cały czas swej działalności nie wyjeżdżał nigdy poza Polskę.

Architektura kościoła uherzeckiego, tak wewnętrzna jak zewnętrzna, odznacza się skromnością i prostotą form, co zresztą tak jest odpowiednie dla wiejskiego domu Bożego. Ściany dwuprzęsłowej nawy podzielono wklęsłemi pilastrami zdwojonemi porządku toskańskiego. Pola pomiędzy niemi zajęły wysokie, półkolem zamknięte nisze. Przeżytek to kaplic, któremi w kościołach typu Gesù zastąpiono nawy boczne. Na kapitelach pilastrów spoczywa belko-

[1]) A. E. Brinckmann, Stadtbaukunst. Berlin-Neubabelsberg 1920. p. 53, fig. 59.

[2]) Ibidem, p. 63, fig. 69.

[3]) Cf. C. Gurlitt, Andrea Palladio. Berlin 1920. passim.

[4]) Topographie der historischen und Kunst-Denkmale im Königreiche Böhmen XV. Prag. 1903. p. 76—77 i fig. 77.

[5]) Ibidem V. Prag 1901. p. 155 oraz fig. 179 i 180.

wanie, tworzące podstawę płytkiego sklepienia krzyżowe o. Prostokątne pola sklepienia rozdzielone są od siebie pojedynczemi gurtami, które padają na nadstawki ponad belkowaniem, przypadające na przedłużeniu pilastrów, a będące remanentem używanych poprzednio attyk. Prezbiterjum, składające się z jednego prostokątnego, bardzo jednak do kwadratu zbliżonego przęsła, które nakryto krzyżowo, oraz z apsydy ołtarzowej, zakreślonej półkolem i zasklepionej hemisferą z lunetami, jest nieco węższe i niższe od nawy. Z prezbiterjum prowadzą drzwi do zakrystji i składziku, zasklepionych krzyżowo.

Wnętrze kościoła otrzymuje równomierne, górne światło za pośrednictwem dziewięciu okien. Jedno z nich mieści się na podłużnej osi kościoła nad chórem muzycznym, cztery w nawie ponad płytkiemi niszami, które przypadają pomiędzy pilastry dzielące ściany, dwa w prostokątnej części prezbiterjum, dwa wreszcie w lunetach hemisferycznego sklepienia apsydy. Oświetlając kościół równomiernie i nie wprowadzając kontrastów światła i cienia, twórca kościoła uherzeckiego stał na stanowisku architektów rozwiniętego renesansu i wczesnego baroku. Kościół przez niego zaprojektowany jest budowlą zamkniętą, zwartą, równomiernie oświetloną, w przeciwieństwie do kościołów wznoszonych na rzutach skomplikowanych i z oświetleniem kontrastowem, w następstwie czego doznaje się w nich wrażenia nieuchwytnej przestrzeni. Jedynem ustępstwem na rzecz płynności form jest zastosowanie wklęsłych pilastrów i zakreślenie skrajnych gurtów sklepienia w nawie linjami wklęsłemi, co przy skośnem ustawieniu bocznych ołtarzy w narożnikach nawy po obu stronach tęczy, ma na celu pewne złagodzenie i ożywienie prostych, nieco czczych podziałów wnętrza. W proporcjach znać pewną przewagę wertykalizmu nad horyzontalizmem, co przejawia się w odrzuceniu attyki nad belkowaniem, tak właściwej ciężkim jeszcze budowlom wczesnobarokowym. Z attyki pozostały tylko szczątki na przedłużeniu pilastrów. Są one w naszym kościele elementami podziału wertykalnego, wiążą bowiem optycznie pilastry z gurtami sklepiennemi, podczas gdy attyka jest w ko-

ściołach wczesnobarokowych silnym czynnikiem horyzontalnym.

Zanim przejdę do opisu zewnętrznej strony kościoła, wspomnę w kilku słowach o urządzeniu wnętrza, które zostało zaprojektowane jednolicie i tworzy do pewnego stopnia jego dekorację. Z pierwotnej dekoracji kościoła, w ścisłem tego słowa znaczeniu, zachowały się zaledwie szczątki. Są to stiukowe ornamenty „obcążkowe", nałożone na skrawkach attyki właściwe, stylowi Rejencji, motyw — jak na rok 1757 — bardzo spóźniony, oraz częściowo już do urządzenia wnętrza należące dwa ołtarze malowane perspektywicznie, w niszach pomiędzy pilastrami nawy. Malowidła te, stylem bardzo przypominające główny ołtarz w kościele karmelitów bosych w Starym Zagórzu [1]) i z pewnością przez tego samego artystę t. j. Marcina Stroińskiego wykonane, uległy straszliwemu przemalowaniu, które zatarło ich pierwotny charakter. Stało się to zapewne współcześnie z daniem kościołowi niefortunnej polichromji w fałszywym stylu przejściowym z późnego baroku do Rejencji. Do tych malowanych ołtarzy należały dwie rokokowe menzy, znajdujące się obecnie w Muzeum Narodowem w Krakowie. Mają one kształt konsol pod lustra, a powstały zdaje się z przecięcia rokokowego stołu o czterech nogach. Całą ścianę tylną apsydy prezbiterjalnej zajmuje główny ołtarz drewniany, sięgający aż do sklepienia, a poświęcony św. Stanisławowi biskupowi. Obraz przedstawiający patrona kościoła, przeciętne malowidło ośmnastowieczne, ujęty jest w żywo okonturowaną ramę, która tkwi w bogatej architekturze, złożonej z trzech par skośnie ustawionych kolumn i szeregu pilastrów. W uskokach między kolumnami ustawiono liche figury śś. Wawrzyńca i Szczepana. Całą tę ruchliwą, giętką architekturę, tworzącą dolne piętro ołtarza, wieńczy belkowanie, na którem wznosi się piętro górne, węższe od dolnego, podobnie jak tamto traktowane, a związane z niem zapomocą silnie skręconych wolut. Na samym szczycie ołtarza, wśród promieni w przerwie belkowania górnego piętra, widnieje

[1]) A. Bochnak, Warowny klasztor karmelitów bosych w Starym Zagórzu. Przemyśl 1925. Fig. 7.

Fig. 2.

Fig. 3.

Fig. 4.

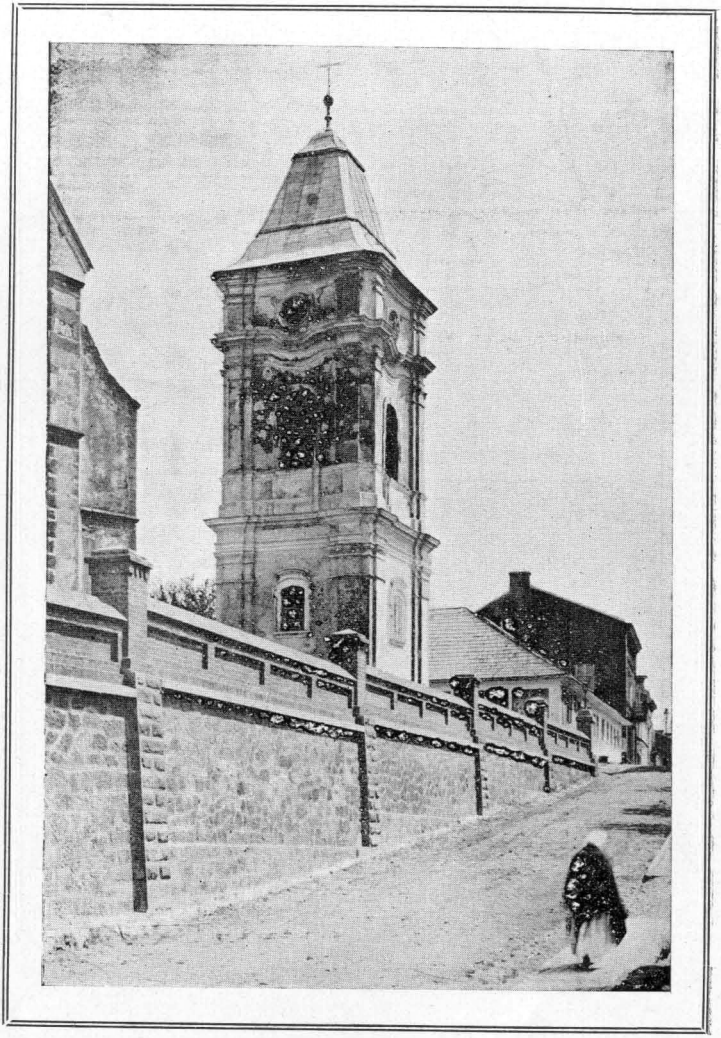

Fig. 5.

Fig. 6.

oko Opatrzności. O ile ołtarz główny traktowano jeszcze dość tektonicznie, o tyle — dla kontrastu — dwa ołtarze boczne, wypełniające narożniki nawy po obu stronach tęczy, otrzymały formy atektoniczne. Ołtarze te tworzą jakby kulisy, rodzaj optycznego rozszerzenia głównego ołtarza, zacierając równocześnie ostrość narożników nawy, w czem przejawiła się ta sama dążność, która kazała ówczesnym architektom budować owalne i okrągłe salony, a w kwadratowych i prostokątnych ustawiać dostosowane do narożników meble. Ambona i organy powtarzają *mutatis mutandis* formy ołtarzy. Opisane powyżej drewniane sprzęty, mające architekturę późnobarokową, a ornamentację rokokową z reminiscencjami stylu Rejencji, pokryte są białym i blado błękitnym lakierem oraz złoceniami, jedynie dwie kolumny wielkiego ołtarza pomalowano mieniącym się metalicznie lakierem szafirowym. Barwy te były pierwotnie z wnętrzem niewątpliwie lepiej zestrojone, aniżeli obecnie. Z pierwotnego urządzenia zachowały się nadto dwa wielkie drewniane świeczniki i dwa klęczniki.

Skromnym formom wnętrza odpowiada równie skromna architektura zewnętrznej strony kościoła. Boczne ściany nawy podzielono toskańskiemi pilastrami parzystemi, ściany zaś prezbiterjum pilastrami pojedynczemi. W powstałych w ten sposób polach mieszczą się bardzo wysoko osadzone okna zamknięte spłaszczonym, dla baroku tak charakterystycznym łukiem (Fig. 2). Kościół nakryto dachami siodłowemi, osobnym gontowym na nawie i osobnym — dziś cynkowym — na prezbiterjum. Z dachu na nawie wyrasta bardzo zgrabna sygnaturka o sześciobocznym rzucie poziomym. Składa się ona z poligonu tworzącego podstawę i małej kopułki, która wybiega w cebulasty hełm, zakończony gałką i krzyżem. Nieco bogatsze podziały otrzymała fasada (Fig 3). Jest ona dwupiętrowa, o piętrach nierównej szerokości i wysokości, oddzielonych od siebie belkowaniem i attyką, która górne piętro skraca optycznie. Parami ustawione, zdwojone pilastry toskańskie dzielą dolne piętro na trzy pola, środkowe szersze i dwa boczne węższe. W polu środkowem mieści się nad kruchtą prostokątne okno, zamknięte od góry łukiem spłaszczonym, pola zaś boczne ożywiono ni-

szami z lichemi zresztą posągami śś. Piotra i Pawła. W środkowem polu piętra górnego, ujętem w pilastry i kilkakrotnie załamujące się woluty, któremi związano je z piętrem dolnem, mieści się w płytkiej niszy obraz Matki Boskiej. Całość wieńczy trójkątny przyczółek z krzyżem żelaznym na szczycie. Fasadę poprzedza mała kruchta, nakryta dachem siodłowym. W niej mieści się główne wejście do kościoła.

Trzy pola dolnego piętra fasady zdawałyby się zapowiadać wnętrze trójdzielne, złożone z szerszej nawy głównej węższych naw bocznych, względnie kaplic. Tymczasem — jak już wiemy — kościół jest jednonawowy. Fasada więc, nie zapowiadając swemi podziałami rozkładu wnętrza, jest w stosunku do niego nieorganiczna. Należy to do zjawisk bardzo częstych w epoce baroku.

Podobnie jak w podziałach wnętrza, tak i w fasadzie kościoła uherzeckiego wyczuwa się pewną dążność do wysmukłych, lotnych proporcyj, co zresztą jest zupełnie zgodne z późną datą powstania tego zabytku. Fasada rzymskiego kościoła Gesù, będąca w zasadzie prototypem naszej, rozwija się bezporównania wyraźniej w kierunku horyzontalizmu. Budowle późnobarokowe w stosunku do wczesnych są znacznie smuklejsze. Podobny objaw można skonstatować w obrębie architektury gotyckiej, tak różnej co do form, z drugiej jednak strony tak w swych aspiracjach niejednokrotnie bliskiej architekturze barokowej.

Stosunkowo najozdobniejszą z całego kościoła jest dzwonnica (Fig. 4), traktowana — jak to bywa najczęściej w polskich wiejskich kościołach — jako osobna, przed fasadą stojąca wieża, przez którą zarazem prowadzi wejście na cmentarz okalający kościół. Akcentuje ona cały ten układ i ma na kościół zwracać uwagę widza ze znacznej odległości. Zadanie to spełnia bardzo dobrze. Biały jak śnieg kościół uherzecki jest też w pejzażu — głównie dzięki niej — czynnikiem bardzo dodatnim, niewątpliwie zamierzonym a nie przypadkowym. Wiadomo, że do dodatnich stron architektów epoki barokowej, dążących do efektu całości, należy szczęśliwe zestrojenie budowli z krajobrazem. Dzwonnica ma dwa piętra równej wysokości. Piętro górne, oddzielone od dolnego belkowaniem i bardzo wysoką attyką, skrócono

optycznie zapomocą tej ostatniej, czyniąc przez to wieżę lżejszą. Nadto w tym samym celu zastosowano na górnem piętrze pilastry jakby kompozytowe, bogatsze od pilastrów toskańskiego porządku, których użyto na parterze, ścięto narożniki górnego piętra, a ściany jego przepruto bardzo wysokiemi oknami z żaluzjami, znamiennemi dla budowli z epoki rokoka. Belkowanie górnego piętra, wieńczące zarazem murowaną część wieży i będące podstawą jej hełmu, wygina się na osiach ku dołowi, zakreślając żywą, falistą linję. Hełm składa się z niskiego ostrosłupa, w którego ścianach tkwią cztery lukarny, w znacznej mierze przyczyniające się do ożywienia sylwety, oraz z nasadzonej nań kopułki, która — podobnie jak w sygnaturce — wybiega w poligonalną latarnię z cebulastem zakończeniem.

Formy dzwonnicy, choć żywsze i ruchliwsze od form zastosowanych w fasadzie i bocznych elewacjach kościoła, nie są jednak tak giętkie i niespokojne, jak to zwykle bywa w ośmnastowiecznych budowlach barokowych. Niema tu tych wydymających się wprzód i cofających się wtył gzymsów i płaszczyzn, które tyle malowniczości dodają późnobarokowym świątyniom. Sfalowanie linij w architekturze kościoła uherzeckiego występuje jedynie w belkowaniu górnego piętra dzwonnicy, które jednak, mimo pozornych wklęsłości, rozwija się na jednej płaszczyźnie. W płasko utrzymanych podziałach, w zastosowaniu fasady typu Gesù oraz rzutu poziomego, który zarówno w całości jak i w szczegółach zamknąć można w linjach prostych, architekt okazał się bardzo konserwatywnym. Jedynie w wysmukłych proporcjach oraz w przyjęciu ściśle symetrycznego układu, który wprawdzie już w XVI wieku występuje we Włoszech, ale dopiero około r. 1700 rozpowszechnia się w krajach graniczących z Polską, znać artystę obeznanego ze świeżemi prądami w architekturze. Większej ruchliwości form i silniejszej plastyce podziałów, niż trzymające się blisko lica ściany płaskie pilastry, stanął na przeszkodzie w znacznej mierze materjał, z którego kościół uherzecki wzniesiono. Bez narażenia na uszkodzenie i rychłą ruinę, nie można — zwłaszcza w naszym klimacie — budować z cegły silnie wyrzuconych gzymsów, skomplikowanych, bogato rozczłonkowanych płaszczyzn.

Architekt, który tego wszystkiego unikał, okazał się bardzo przezornym. A zresztą przez tę powściągliwość, przez zachowanie miary, stworzył dzieło zestrojone znakomicie z miękkim i łagodnym krajobrazem podkarpackim. Kościół o formach fantazyjnych, rozwichrzonych, nie harmonizowałby do tego stopnia z charakterem cichej wsi polskiej.

Obwarowanie kościoła uherzeckiego ogranicza się jedynie do muru ze strzelnicami i wysoko umieszczonych okien. Mur na całej swej długości ma strzelnice. Brak ich tylko w poligonie za apsydą prezbiterjalną, z tamtej bowiem strony broniły dostępu fortyfikacje dworu. W ogrodzie dworskim, bardzo blisko muru cmentarnego, natrafiono w 1922 r. na fundamenty baszty, należącej do inkastelacji dworu.[1]) W niszach muru cmentarnego, w których brak strzelnic, stały niewątpliwie stacje Męki Pańskiej. Wspomina o nich cytowany powyżej inwentarz z r. 1816.[2]) Zajmowały one czternaście nisz bocznych, w środkowej zaś wielkiej niszy, przypadającej na oś układu, mieściła się zapewne wielka grupa Ukrzyżowania.

W Lesku, oddalonem o siedm tylko kilometrów od Uherzec, obok kościoła ufundowanego w drugiej ćwierci XVI wieku przez Piotra Kmitę, wznosi się dzwonnica (Fig. 5), będąca rodzoną siostrą dzwonnicy uherzeckiej. Załączona ilustracja uwalnia mnie od zestawienia form tych zabytków. Dodam tylko, że hełm, a zdaje się i attyka ponad sfalowanem belkowaniem pierwszego piętra, nie są pierwotne. Nagrobek ks. Jaworskiego w kościele uherzeckim głosi, że *basilica Lescensis* przez niego została *reformata et ornata*. Z pewnością jedną z tych ozdób jest wpomniana dzwonnica, drugą zaś ambona, prawie identyczna z amboną uherzecką. Widocznie ks. Jaworski posługiwał się tymi samymi artystami w obydwóch miejscach. Fundował on wiele kościołów, używając na ten cel spadku po bracie swym Aleksandrze, mieczniku sanockim. Napis na tablicy nagrobkowej wymienia między innemi kościół jezuitów w Przemyślu. Dotyczy to oczywiście rekonstrukcji tego kościoła, który

[1]) Informację tę zawdzięczam prof. Drowi Juljanowi Pagaczewskiemu.
[2]) Inventarium... 1816. p. 1.

jest fundacją z r. 1627 głównie Anny z Tyrawskich Ulińskiej, kasztelanowej kamienieckiej. Budowa trwała do r. 1678, a już w r. 1692 rozpoczęto rekonstrukcję, która jeszcze w r. 1773 nie była ukończona.[1]) Udział ks. Jaworskiego w tej fundacji mógłby się odnosić do wież kościoła,[2]) które przypominają dzwonnice w Lesku i Uhercach. Dzwonnica katedry łacińskiej w Przemyślu, wybudowana kosztem kapituły w r. 1764, a więc już po śmierci ks. Jaworskiego, musi być dziełem tego samego architekta, który wybudował dzwonnice w Uhercach i Lesku, powtarza bowiem ich formy z małemi tylko zmianami. Dzwonnica katedry przemyskiej uległa w 1907 roku niefortunnej nadbudowie o jedno piętro. Twórca dzwonnic uherzeckiej, leskiej i przemyskiej katedralnej, musiał stale mieszkać w Przemyślu, albowiem w jedenaście lat po wybudowaniu dzwonnicy przy katedrze łacińskiej, rozpoczął budowę unickiej katedry na zlecenie biskupa Atanazego Szeptyckiego. Wieża niedoszłej cerkwi katedralnej w Przemyślu, wybudowana w latach 1775—1777, powtarza bez zmian formy dzwonnic w Uhercach i Lesku, różniąc się od nich jedynie brakiem hełmu i ilością pięter, których ma o jedno więcej, niż one. Gdy cesarz Józef II cofnął subwencję na budowę przemyskiej cerkwi katedralnej, roboty na zawsze przerwano, a na cerkiew obrócono kościół, należący do zniesionego klasztoru karmelitów.[3])

Tego rodzaju typ wież rozpowszechniony jest w tym czasie szczególnie w Niemczech południowych i austrjackich krajach naddunajskich, których architektura grawituje silnie do późnego baroku włoskiego. Ograniczę się choćby tylko do wzmianki o wieży w Dürnstein w Austrji Dolnej (Fig. 6). Pochodzi ona z roku 1733.[4]) Górne jej piętro jest niemal identyczne z górnemi piętrami naszych dzwonnic. I tu ścięto narożniki, zwieńczono wieżę podobnie wygiętym gzymsem, a ściany przepruto analogicznemi oknami. Wieża w Dürnstein jest jednak wysmuklejsza i ma bogatsze formy archi-

[1]) M. Orłowicz, Ilustrowany przewodnik po Przemyślu i okolicy. Lwów 1917. p. 68.

[2]) Ibidem, reprod. p. 67.

[3]) L. Hauser, Monografja miasta Przemyśla. Przemyśl 1883. p. 288.

[4]) Österreichische Kunsttopographie I. Wien 1907. p. 93.

tektoniczne. Jej wertykalizm podkreślają umieszczone na narożnikach obeliski, płaskorzeźby pod oknami i posągi świętych u podstawy hełmu. Cały hełm wieży w Dürnstein jest w stosunku do jej masy więcej proporcjonalny, aniżeli hełm dzwonnicy uherzeckiej. Wogóle pewna wątłość hełmu przy przysadkowatych proporcjach wieży jest zjawiskiem dosyć częstem w naszych kościołach, zwłaszcza wiejskich. Bądź co bądź w publikacjach dotyczących architektury w krajach dawnej monarchji austrjackiej, na Śląsku i w Niemczech, nie znalazłem wieży więcej zbliżonej do dzwonnicy w Uhercach, jak wieża w Dürnstein. Hełm wieży w Uhercach wykazuje jeszcze żywe tradycje hełmów, których punktem wyjścia są Niderlandy, a które w Polsce rozpowszechniły się w ciągu wieku XVI i, przechodząc różne modyfikacje, trzymały się przez cały wiek XVII. Trudno oprzeć się wrażeniu, że dwie banie hełmu uherzeckiego, złączone jakby latarnią ażurową, to dalekie już echo tego rodzaju hełmów, jak np. niższej wieży Marjackiej (1592). Złączenie z lukarnami jest już późnobarokowe. Tak więc hełm wieży w Uhercach powstał na podłożu rodzimych tradycyj. Hełmy wież niemieckich z XVIII wieku mają najczęściej ten typ, co hełm wieży w Dürnstein, więc formy raczej już rokokowe. W hełmie wieży uherzeckiej mamy jeden przykład więcej, jak barok zakorzenił się na naszej ziemi i jak długo na niej przetrwał.

W Muzeum uniwersyteckiem sztuki i archeologji w Krakowie znajdują się cztery ornaty, pochodzące z Uherzec. Pierwszy z nich (Nr. Inw. 18938), adamaszkowy zielony z wielobarwnemi kwiatami, ma na podszewce datę 1749. Dowodzi ona, że już w tym roku, a więc na 8 lat przed wykończeniem dzisiejszego kościoła, był w Uhercach kościół, zapewne drewniany. Przytłumiona barwa zielona tła, jasny, delikatny koloryt kwiatów i sposób ich ułożenia, wreszcie styl pięknych koronek, któremi ornat jest obszyty, wszystko o zgadza się z powyższą datą. Na uwagę zasługuje również piękny, błękitny ornat (Nr. Inw. 18937), którego kolumna pokryta jest aplikacją ze złotych koronek i wąskich różowych pasków jedwabiu. Nieco skromniejszy jest ornat trzeci (Nr. Inw. 18940), o bokach z błękitnego adamaszku

w biały wzór, z kolumną barwy morelowej w złote poprzeczne prążki. Wszystkie te ornaty, jak również i czwarty, najskromniejszy, biały z niebieską kolumną (Nr. Inw. 18939), odnieść należy do epoki rokoka, a więc do czasu wybudowania kościoła. Wielkie spustoszenie w skarbcu kościelnym wyrządziła austrjacka konfiskata z dnia 3 stycznia 1810 r. Zabrano wtedy *pro aerario* 28 grzywien i 2 łuty srebrnych oraz złotych naczyń.[1])

Czy w pełni światła słonecznego, czy wieczorem, gdy ostatnie promienie słońca zachodzącego za kostryńskiem wzgórzem zaróżowią jego mury, a z sygnaturki popłyną ponad cichą wieś tęskne dźwięki dzwonu na Anioł Pański, czy wreszcie w błękitnej poświacie księżyca — biały, do ściany ciemnych lip przytulony kościół uherzecki zakrada się do serca i utrwala w pamięci, budząc zarazem uczucie wdzięczności dla architekta za jego takt i smak artystyczny. W dziele swem umiał on połączyć wdzięk z celowością, a okazałość utrzymać, jak na wieś przystało, we właściwych granicach. W całej Polsce z pewnością nie wiele znajdzie się równie miłych i stylowych kościołów wiejskich z XVIII w., jak ten. W niedzielę, gdy lud posłuszny wezwaniu dzwonów bieży na sumę, a przed bramkę cmentarza zajeżdżają powozy z okolicznem obywatelstwem, pragnęłoby się ujrzeć w jej stylowych ramach ludzi rokokowej epoki, która ten kościół wydała — damy w pudrowanych peruczkach i jasnych adamaszkach i panów w barwnych frakach z orderem Białego Orła na piersi.

[1]) Inventarium... 1816, p. 5.

*Adam Bochnak.*

# Z niedoli polskiego dziecka.

(Dokończenie).

Wobec przedstawionego poprzednio niedostatecznego uposażenia znacznej części zakładów opiekuńczych nie może nikogo dziwić, że w wielu z nich dają się odczuć dotkliwe braki, a w niektórych panuje wprost nędza. Przypatrzmy się np., jak żywi się gdzieniegdzie dzieci.

W jednym zakładzie, mieszczącym koło 30 dziewcząt, w wieku od 5 do 14 lat, wikt był w r. 1924 następujący: na śniadanie zupa i kartofle; na obiad zupa i albo kartofle, albo groch, albo buraki, ale wszystko pół zimne, bo były to resztki przynoszone z innej instytucji; na kolację zupa; chleba przez dłuższy czas nie było prawie. To znowu inny zakład w drugiej dzielnicy kraju, mający 80 dzieci, chłopców i dziewcząt, do lat kilkunastu: na śniadanie kasza; na obiad gęsta zupa i kawałek chleba (tylko w niedzielę nadto kawałek mięsa); na kolację kasza. — Tak głodzić biedne istoty, które dopiero rosną i mają nabierać sił, to przecież woła o pomstę do nieba; jeśli którekolwiek z tych dzieci miało skłonność do gruźlicy, to trudno, by jej nie dostało i nie zaraziło może innych; faktycznie też z obu tych zakładów miałem dzieci w szpitalu na oddziale suchotniczym.

Wiele innych zakładów daje dzieciom jeść tylko trzy razy dziennie i przeciętnie wikt ten, który już należy uważać za dobry, przedstawia się następująco: na śniadanie kawa lub kakao i kawałek chleba; na obiad zupa i albo kasza, albo kapusta, albo groch, albo kartofle (w niedzielę i święta nadto kawałek mięsa); na kolację zupa i kawałek chleba,

albo kasza. Podwieczorek, t. j. herbata lub kakao i kawałek chleba, zjawia się tylko w dobrze sytuowanych instytucjach.

W niektórych zakładach brak więc nawet tego, co konieczne, a przecież dziecku należałoby się sprawić od czasu do czasu jaką przyjemność, urządzić święta, wakacje...

A co mówić o innych warunkach życia? Te ciasne nieraz, przepełnione, w zimie nie zawsze opalane sale; brak bielizny na zmianę, a stąd brud i nieodłączne od niego robactwo, niekiedy świerzb; brak odzieży ciepłej i obuwia. Posłuchajmy paru świadectw wspomnianej już Komisji rewizyjnej, ogłoszonych w *Kurjerze Warszawskim* z dn. 12 maja 1924 r.

Wizytacja schroniska w miejscowości O., dn. 4 stycznia 1924 r.: „w zakładzie było 93 dzieci od lat 5 do 13, wśród nich jedna dziewczynka. Dzieci spały i uczyły się w salach zupełnie nieopalanych, mimo, że był to początek stycznia. W oknach brakowało większości szyb. Na 93 dzieci zakład posiadał trzy pary obuwia. Dzieci jadły dwa razy dziennie, przeważnie ziemniaki nieomaszczone. Puchły z głodu i umierały z głodu i mrozu. Brud i robactwo pokrywały je strasznie..."

W drugiem schronisku, w którem nie było opału, prześcieradeł, sienników ani poszewek, w ciągu zimy 5 dzieci zapadło na nieuleczalną gruźlicę, 7 wskutek puchliny głodowej umieszczono w szpitalu, 4 zmarło z głodu w zakładzie.

„W innych zakładach — kończy powyższe sprawozdanie — podobny obraz: głód, nędza, robactwo, brak opału i bielizny. Jakby to nie były schroniska, ale trupiarnie do powolnego konania w mękach głodowych..."

Są to naprawdę rzeczy trudne do uwierzenia, gdyby nie wiarogodność osób, które je podały. Chyba poza Rosją sowiecką nigdzie coś podobnego nie ma miejsca; pocieszajmy się, że może dziś przynajmniej nikt takiej skargi nie podniesie.

Kto temu winien? Oczywiście kraj, społeczeństwo. Zarząd zakładu nie, chyba że grzeszył niedbalstwem, bo przecież cudu nie zdziała, jeśli nie posiada środków.

Prawda, prosty rozum dyktowałby wtedy inne rozwiązanie: przyjąć do zakładu tylko tyle dzieci, ile można do-

brze utrzymać.—Piszemy się najzupełniej na te słowa, ale stawiamy równocześnie pytanie: co zrobić z resztą dzieci, którym grozi śmierć głodowa, jeśli się ich nie przyjmie? A przed taką alternatywą stają bardzo często kierownicy zakładów wychowawczych. Sam stwierdzałem nieraz w szpitalu tę istną tragedję dziecka, które nikogo z rodziny nie posiada, którego nikt nie chce przyjąć, którem nie ma się kto zająć; z litości przetrzymywało się je więc miesiąc lub dłużej i ostatecznie wpychało się poprostu do zakładu już i tak przepełnionego, albo odsyłało urzędowo do gminy; lecz tam los jego był nieraz nie do pozazdroszczenia.

Oczywiście smutne te fakty nie pozostały bez echa; zaczęto domagać się energicznie zapobieżenia na przyszłość temu stanowi rzeczy i zażądano ścisłej k o n t r o l i po zakładach, którą też czynniki rządowe starają się dziś przeprowadzać.

Lecz zastanówmy się nieco nad tą sprawą. Kontrola zakładów opiekuńczych jest zewszechmiar wskazaną dla dobra dzieci — ale musi być rozumna i skuteczna, to znaczy nie żądać od kierownictwa zakładów rzeczy niemożliwych, lecz jeśli skonstatuje istotne braki, zwyczajnie natury finansowej, niech im zaradzi przez udzielenie pomocy. Niestety, ani jednego ani drugiego warunku często się nie wypełnia, i to uważamy za wielką wadę w stosowaniu tego środka. Władze naczelne zamęczają zarządy instytucyj opiekuńczych różnemi drobiazgowemi wykazami, zasypują żądaniami i pretensjami, chociaż — jak wiemy autentycznie — grosza czasem nie dały. Można żądać, gdy się daje i to daje wystarczająco (o ile oczywiście zakład tego potrzebuje); jeśli jednak dopiero od paru miesięcy przyznało się zakładowi po 50 złotych miesięcznie na kilkadziesiąt dzieci, to trudno za to wymagać rzeczy nadzwyczajnych.

Ta gorliwość w kontroli, niepopartej doraźną pomocą, i słabość na punkcie wykazów statystycznych, na którą skarżono się już niejednokrotnie w innych dziedzinach (np. przed paru laty oryginalny kwestjonarjusz w sprawie służby domowej, albo wykazy gminne w sprawie uszkodzonych drzewek przy drodze), nie tylko obarcza kierowników

zakładów opiekuńczych nową i kłopotliwą pracą, ale szkodzi niekiedy samym dzieciom, np. gdy chodzi o pomoc lekarską.

Ubóstwo różnych zakładów nie pozwalało im bowiem na utrzymywanie stałego lekarza, a władze gminne nie zawsze im go dawały. Widząc to, niektórzy lekarze ofiarowali bezinteresownie swą pomoc, oglądali od czasu do czasu dzieci i leczyli bezpłatnie chore. Lecz co się dzieje? Niedługo potem ten i ów dostaje od władz krajowych olbrzymi arkusz, pełen drobiazgowych pytań, z nakazem wypełnienia go i odsyłania co parę tygodni takiego samego sprawozdania do Warszawy — pod groźbą grzywny czy innej kary. Lekarz, słusznie oburzony takiem traktowaniem wzamian za swe poświęcenie, widząc nadto szereg niepodobnych do ścisłego wypełnienia lub nawet bezcelowych rubryk, odsyła czysty kwestjonarjusz z powrotem do Warszawy z oznajmieniem, że wypełniać go nie będzie, gdyż nie jest wcale oficjalnym lekarzem zakładowym. Władze ministerjalne muszą oczywiście zadowolić się takim „wykazem" — ale by zyskała na tem wiedza, a tembardziej opieka nad dzieckiem, chyba nikt nie powie.

Lecz jeśli kontrola przesadza często w stosunku do zakładów opiekuńczych, to zato nie zawsze dopisuje na innem polu — np. w sprawie dzieci repatrjantów i bezdomnych.

Z dzikiej przymusowej wędrówki ogromnej masy ludzi, wypędzonych w r. 1915 z b. Kongresówki i obszarów sąsiednich w głąb Rosji, zginęła podobno prawie połowa z nędzy i od kuli, a reszta rozbiegła się w tułaczce po całym Wchodzie aż do krańców Syberji i powraca do Polski jeszcze po dziś dzień. Repatrjacja ta, która dla bogatego nawet państwa byłaby olbrzymim ciężarem, musiała stać się nim tem bardziej dla zubożałego naszego kraju. Toteż wysiłkom rządu, który czyni, co może, w tym kierunku, trzeba oddać rzeczywiste uznanie. Wszak od 1 listopada 1918 r. do 1 lipca 1924 r. powróciło do Polski przeszło 3,651.229 repatrjantów, których trzeba było, jednych na razie, drugich dotychczas, gdzieś umieścić, nakarmić i przyodziać.[1])

[1]) Te i następne cyfry podajemy według szczegółowego sprawozdania, zamieszczonego w *Gazecie Warszawskiej* z d. 11.XI 1924 r.

Przedmiotem szczególniejszej opieki rządu były dzieci, zwłaszcza sieroty; 1 stycznia 1924 r. było ich w zakładach 8.700, zaś 1 października tegoż roku już tylko 6.992, ponieważ resztę oddano rodzicom, względnie gminom. Dzieci te rozmieszczono w 149 zakładach, we wszystkich trzech dzielnicach; najwięcej ich mieściło się w Pruszkowie (1.122), w zakładach PAKPD (1.107) i w Wejherowie na Pomorzu, gdzie znajduje się 300 dzieci z Syberji.

Lecz umieszczenie powyższych 7 tysięcy dzieci w zakładach nie jest bynajmniej załatwieniem sprawy; każdy rozumie, że cyfra ta stanowi zaledwie cząstkę ogółu. Z pośród wielkiej liczby pozostałych możemy uważać za szczęśliwe te, które oddano rodzicom lub uczciwym krewnym, ale los wielu innych jest bardzo niepewny, niekiedy naprawdę pożałowania godny. Zdarzają się np. dzieci, pochodzące z rodzin wiejskich i posiadające często spory majątek, na którym, korzystając z nieobecności właścicieli, osiedli krewni. Tym powrót prawnego spadkobiercy nie jest naturalnie na rękę, więc morzą i katują nieraz oddaną im sierotę, aby po jej śmierci zagarnąć ziemię w wieczyste posiadanie. Pełnomocnik rady międzyministerjalnej do spraw repatrjacji, p. Seweryn Komorowski, opowiadał liczne przykłady iście zwierzęcego okrucieństwa chciwych na ziemię chłopów.[1])

Tak np. koło Ziemi Wileńskiej znaleziono przy drodze wychudzone, skrwawione, skatowane dziecko; było ono sierotą, właścicielem sporego gospodarstwa. Sąsiedzi objaśnili, że to krewni bili, głodzili i katowali dziecko, aby zająć jego dziedzictwo. W innym powiecie zastano wśród kilku zdrowych i wesołych dzieci chłopca 10- czy 12-letniego, który z głodu już nie mógł powstać z barłogu; to rodzina dalsza morzyła go głodem, aby po śmierci zabrać należące do niego gospodarstwo. I takich sierot, kończy sprawozdawca, posiada Polska krocie, nad losem ich należałoby więc rozciągnąć najsurowszą kontrolę.[2])

---

[1]) *Kurjer Warszawski* z d. 23.V 1923.

[2]) Podobna kontrola byłaby również konieczną nad różnemi niepowołanemi dobrodziejkami, które „z litości" biorą do siebie sierotę i wyzyskują ją do ostatka, by za lichą strawę mieć tanią posługę w domu. Miałem w szpitalu dwie takie służące, 10- i 12-letnią; pierwsza przyszła

Nie można się jednak dziwić, że po zapadłych kątach trudno władzom wyśledzić i tępić te nadużycia, kiedy pod samym ich bokiem rozgrywały się bezkarnie niemniej przykre sceny.

Jeszcze w grudniu 1922 r. zwracał się warszawski komitet „Polka repatrjantom" z odezwą do społeczeństwa,[1]) donosząc, że w ciągu tego roku zdołał wprawdzie umieścić w zakładach 546 dzieci repatrjantów, ale w barakach na Powązkach czeka jeszcze 660 dzieci przy rodzicach, a zupełnych sierot 300, przy ulicy zaś Lubelskiej dalsze 160 dzieci. I „zdawałoby się — pisał przeszło rok później Dr. M. Nałęcz-Dobrowolski[2]) — że sprawa repatrjantów już się skończyła i że tę krwawą plamę na organizmie powstałej do nowego życia Polski zmył wszystko kojący czas". Zamiast tego, ciągnął dalej p. D., jest jeszcze gorzej, czego dowodem jest nieszczęsne położenie owych biednych ludzi, „których całą winą było to, że, pragnąc powrotu do ojczyzny, przyjechali do Polski".

Lecz i to odsłonięcie stołecznego „dna nędzy" widocznie nie poskutkowało, bo z nastaniem zimy dzienniki warszawskie zaroiły się znowu od odezw i artykułów o bezdomnych, ich „blaszanych trumnach", o barakach na Powązkach i przy szosie Marymonckiej, w których obok reemigrantów umieszczono nadto sporo rodzin, wysiedlonych przymusowo z walących się domów stolicy. Tym sposobem wiele dzieci — w październiku ub. roku liczono ich 166, obecnie jest ich więcej — znalazło się w najgorszej porze roku w namiotach płóciennych, w barakach blaszanych i drewnianych, gdzie nie tylko demoralizowała je cała atmosfera tej kaźni, ale gdzie puchły z zimna i zapadały na zdrowiu z głodu i niewygód. „W tych barakach — pisał jeszcze d. 16 stycznia b. r. *Kurjer Polski* — bez światła, bez ciepła, w brudzie żyją, a może dogorywają dzieci, setki dzieci. Tam w nędzy, ostatecznej nędzy mieszkaniowej paczą się, wykrzywiają

zaniedbana i chora, druga tak zrujnowana, że z trudnością przywrócono ją do zdrowia, a wtedy oświadczyła, że woli wszystkie swe rzeczy stracić, niż wrócić do swej pani.

[1]) *Kurjer Warszawski* z d. 15.XII 1922.

[2]) *Kurjer Warszawski* z d. 31.III 1924.

charaktery młodzieży... Tam w ciszy nocnej orgje się wyprawia, orgje, przed któremi żaden dozór nie ustrzeże... To degeneracja i znieprawienie moralne i fizyczne". Dopiero polski „Czerwony Krzyż" przystąpił z całym wysiłkiem do zlikwidowania tych strasznych stosunków i robi, co może, ale nadążyć mu trudno, bo środków mało, a zapotrzebowanie rośnie.

Jak my nieraz dziwnie umiemy pogodzić przesadną czułość dla jednych z brakiem wszelkiej troski o drugich, tego klasyczny przykład obok sprawy powyższej mamy w sprowadzaniu do kraju polskich dzieci z Syberji.

Kilkaset tych istot, częścią dzieci emigrantów, częścią pochodzących z kolonji polskiej we wschodniej Syberji, wywieziono, o ile mi wiadomo, jeszcze z początkiem r. 1921 do Japonji, by je zabezpieczyć przed bolszewikami. Tu zajęto się niemi nadzwyczaj życzliwie, zaopatrzono we wszystko; sama cesarzowa japońska, wbrew etykiecie, odwiedzała je i pocieszała. Komitet polski sądził jednak słusznie, że najlepiej uczyni, wywożąc te dzieci do ojczyzny, i przez Amerykę, gdzie zatrzymano się pewien czas, sprowadził je z początkiem r. 1922 do Polski. Tymczasem tu — rzecz niesłychana — pokazało się, że miejsca niema. Porozdzielano je więc naprędce po różnych zakładach w Wielkopolsce i na Pomorzu, część oddano rodzicom, a niektóre umieszczono tymczasowo, gdzie się dało. Ile było dzieci tej ostatniej kategorji, nie mogłem się dowiedzieć, a o opiece, jaką je otoczono, może niktby się nie dowiedział, gdyby nie przypadek.

Z początkiem r. 1924 przywieziono do szpitala dziecięcego w Krakowie 14- czy 15-letnią Genowefę S. w ostatniem stadjum gruźlicy. Pochodziła ona właśnie z owej grupy dzieci, tymczasowo rozmieszczonych po domach prywatnych. Ją, inteligentną i córkę właściciela dwóch kamienic w Ch., w Syberji wschodniej, oddano do Poznania pewnej pani, właścicielce pensjonatu, i tu nieprzyzwyczajone do pracy fizycznej dziewczę musiało spełniać dosłownie wszystkie obowiązki służącej. To też po roku zaczęła pluć krwią, i wtedy przypadkowo (?) spotkała ją jedna z pań owego komitetu syberyjskiego i odesłała do zakładu w Wejherowie; stąd oddano ją do leczenia do Zakopanego, lecz było już za późno,

przysłano ją więc do szpitala krakowskiego, gdzie w parę miesięcy potem umarła na gruźlicę.[1])

I czy ów fakt przyjęcia kolonji syberyjskiej i karygodnego postąpienia w powyższym wypadku — a kto wie, czy on był jedyny — nie jest prawdziwym wyrzutem sumienia dla naszego społeczeństwa i władz opiekuńczych? „Rząd polski — pisał d. 29 lipca 1923 r. *Tygodnik Polski* z Harbina, organ kolonji polskiej na dalekim Wschodzie — był nieco zaskoczony nieoczekiwanym przyjazdem 875 dzieci, którym należało zapewnić schronienie, wyżywienie, naukę i opiekę". Lecz pięknie to ze strony *Tygodnika Polskiego*, że nie chce nam powiedzieć w oczy prawdy, ale my ją sobie sami powinniśmy powiedzieć. „Nieoczekiwany przyjazd" — blisko tysiąca dzieci, które przez kilka czy parę miesięcy jechały do ojczyzny? Temu chyba nikt nie uwierzy!

* * *

Obok niedomagań, dotykających głównie sieroty i dzieci pozbawione opieki, istnieje inne jeszcze niebezpieczeństwo, zagrażające nie tylko im, ale i wielkiej części pozostałego młodego pokolenia. To choroby, szerzące się w kraju, na pierwszem miejscu g r u ź l i c a.

Podczas kiedy na Zachodzie, dzięki szerzeniu znajomości higjeny i odpowiednim urządzeniom sanitarnym, zmniejszono już dawno stopień śmiertelności na gruźlicę — u nas pozostał on zawsze wysoki, a wojna wzmogła go jeszcze. Brak opału, odzieży i żywności, karmienie wielkiej części ludności, zwłaszcza inteligencji i robotniczej, rozmaitemi namiastkami, aż do tartej kory i domieszek mineralnych, odbiły się fatalnie nawet na osobach dorosłych, a tem bardziej na dzieciach.

Kiedy w Belgji, zniszczonej również przez wojnę i długotrwałą okupację, śmiertelność na gruźlicę płuc i innych organów wynosiła w r. 1921 tylko 7·8% ogólnej liczby

[1]) Szczegóły te podaję na podstawie zeznań zmarłej, o której szczerości nie mogę powątpiewać, bo to dziecko nie poskarżyło się ani słowem na nikogo, a wyjaśnienia powyższe podała jedynie na moje wyraźne zapytanie, krótko już przed śmiercią.

zgonów [1]), to na Śląsku Cieszyńskim doszła ona w tymże roku do 11% (tylko gruźlica płuc i narządów oddechowych), porywając 287 ofiar na ogólną cyfrę 2.619 zmarłych. W r. 1922 liczba ta wzrosła jeszcze do 12·5%, na gruźlicę bowiem płuc i narządów oddechowych zmarło 309 osób na ogólną ilość 2.465 zgonów. [2])

W miastach statystyka ta przedstawia się jeszcze gorzej. Tak np. w Warszawie mieliśmy: [3])

| w roku | zgonów ogółem | z tego na gruźlicę płuc i narz. oddech. | innych organów |
|---|---|---|---|
| 1914 | 16.297 | 1.886 | 889 |
| 1916 | 18.510 | 3.817 | 870 |
| 1917 | 34.693 | 6.668 | 1.490 |
| 1919 | 18.869 | 3.731 | 1.119 |
| 1921 | 14.126 | 1.885 | 488 |

Wypadki śmierci z powodu gruźlicy wogóle stanowiły więc w r. 1914 — 17·0%, w r. 1916 — 25·3%, w r. 1917 — 23·5%, w r. 1919 — 25·6%, w r. 1921 — 16·8% ogólnej liczby zgonów w Warszawie.

Podobnie było w różnych większych miastach. Z pośród ogólnej liczby zgonów w r. 1921 umarło na gruźlicę płuc i innych organów: w Łodzi — 16·3%, w Sosnowcu — 15·0%, w Poznaniu — 11·3%, w Krakowie — 17·9%. [4])

Ile osób w Polsce jest dziś chorych na gruźlicę — niepodobna sprawdzić. Wiadomo, że choroba ta ukrywa się nieraz długi czas nawet przed okiem wprawnego lekarza, a cóż mówić o uchylającej się z pod jego nadzoru ludności uboższej, miejskiej i wiejskiej. Dla tej przyczyny nie podajemy też liczby chorych, wymienionej w *Roczniku Statystycznym* na r. 1923 (str. 149), ponieważ obejmuje ona tylko chorych zarejestrowanych, czyli część zaledwie faktycznych suchotników. A jednak i te niekompletne nawet cyfry są wymowne; pokazują bowiem, że w r. 1922 na 100.000 mieszkańców Polski zmarło na ospę 1·9, na dur brzuszny 5·8, na płonicę (szkarlatynę) 7·2, na dur plamisty 11·2, a na gruźlicę 34·1 osób. Co więcej, podczas gdy w porównaniu

[1]) *Annuaire Statistique de la Belgique*, Bruxelles, 1923, str, 50.
[2]) *Kwartalnik Statystyczny*, tom I. zeszyt 2—3, str. 150, 153.
[3]) *Rocznik Statystyki Rzptej Polskiej*, rok I część II, str. 310.
[4]) Tamże, str. 311—313.

z r. 1921 śmiertelność z powodu wszystkich innych chorób zakaźnych (z wyjątkiem duru powrotnego) spadła znacznie, w niektórych wypadkach do połowy lub nawet $^1/_3$, to śmiertelność wskutek gruźlicy wzrosła z 31·1 w r. 1921 do 34·1 w r. 1922 na 100.000 ludności.

Jak taki stan rzeczy musi się odbić na dzieciach, nie potrzeba dodawać. Zwłaszcza wśród sfer uboższych, gdzie przeciętnie dzieci jest najwięcej, spustoszenia są ogromne. Nędza, ciasne mieszkania, brak powietrza, słońca, ruchu, wilgoć, złe odżywianie, niechlujność, alkoholizm, wszystko to sprzyja przeszczepianiu i rozwojowi gruźlicy i pokrewnych jej zachorzeń. Według danych statystycznych w latach 1901—5 okazało się też, że w okresie od 1 do 5 roku życia, na gruźlicę, choroby zakaźne i wogóle cierpienia płucne prawie 10 razy więcej dzieci umarło wśród klasy ludzi biednych niż zamożnych i bogatych.[1])

Lekarze szkolni, zakładowi i ambulatoryjni są zresztą najlepszymi świadkami silnego szerzenia się gruźlicy wśród dzieci i młodzieży. W samych województwach centralnych i małopolskich stwierdzono w roku szkolnym 1921/22 wśród młodzieży szkół średnich, pozostającej pod nadzorem lekarskim 746 wypadków gruźlicy; poza influencą stanowiła ona największy odsetek zachorzeń. Na obszarze zaś b. Królestwa Kongresowego znaleziono w roku szkolnym 1920/21 pomiędzy uczniami szkół średnich, pozostającymi pod opieką lekarską, 597 wypadków gruźlicy płuc.[2]) Ponieważ zaś młodzież szkół średnich stanowi cząstkę tylko ogółu młodzieży polskiej i przeciętnie lepiej sytuowaną, przeto nie zdziwi nas to prawdziwie tragiczne oświadczenie urzędowe, że 37 % dzieci polskich jest dotkniętych gruźlicą.[3]) A nie zapominajmy, że każde z nich, nie leczone, może się stać rozsadnikiem tej strasznej choroby pomiędzy drugiemi.

Toteż walka z gruźlicą wysuwa się dziś na czoło programu akcji higjeniczno-sanitarnej w kraju. Sprawa to wpraw-

---

[1]) *Opieka nad dzieckiem* r. 1924 nr. 2. str. 70—71.

[2]) *Rocznik Statyst. Rzpltej Polskiej,* r. II, str. 153—4.

[3]) Według wywiadu w Ministerstwie P. i O. S.; *Kurjer Warszawski* z d. 13. VI. 1924.

dzie kosztowna i przy niskim stanie kulturalnym wielkiej części ludności zbyt utrudniona, by ją można przeprowadzić rychło w całości, tem energiczniej jednak trzeba się chwycić przynajmniej środków dostępnych, by ratować młodzież, tę przyszłość narodu.

Pierwszą rzeczą byłoby odosobnienie i leczenie dzieci chorych na gruźlicę, zabezpieczenie zagrożonych nią i wzmocnienie stanu zdrowia pozostałych przez racjonalne wychowanie fizyczne. Cennym środkiem pomocniczym są tu również kolonje i półkolonje wakacyjne dla młodzieży przebywającej stale w mieście, cieszące się zasłużonem poparciem kół szkolnych i rodzicielskich. Dla dzieci małych, w wieku przedszkolnym, których rodzice są zajęci pracą lub posiadają ciasne i niezdrowe mieszkanie, należałoby w tymże celu zakładać ochrony i ogródki dziecięce.

Najbiedniejsze narazie są dzieci już zarażone gruźlicą, gdyż sanatorjów dla nich mamy za mało. Zarówno rząd jak koła lekarskie pojmują dobrze doniosłość tej sprawy, ale wykonaniu jej stoi na przeszkodzie brak środków. W tej chwili, według wykazu ministerjalnego, posiadamy w kraju dla dzieci gruźliczych zaledwie 7 sanatorjów na 400 dzieci. Pomiędzy niemi na szczególniejszą uwagę, ze względu na położenie i opiekę, zasługuje sanatorjum w Zakopanem pod Jaszczurówką. Założone przez głośny ze swej akcji dobroczynnej podczas wojny Książęco-Biskupi Komitet krakowski, zostało przy likwidacji tegoż oddane na własność uniwersytetowi Jagiellońskiemu, który prowadzi je w dalszym ciągu za pośrednictwem osobnego kuratorjum, złożonego z czterech profesorów uniwersytetu, trzech lekarzy i prawnika. Dotychczas zdołano już rozszerzyć to sanatorjum na sto dzieci, a w projekcie jest dalsza jego rozbudowa na trzysta dzieci; dla braku funduszów uzależniono jednak wykonanie tego planu od pomocy z zewnątrz, licząc zwłaszcza na samorządy miejskie. [1]) Lecznica ta przyjmuje dzieci z gruźlicą zamkniętą, posiada na miejscu lekarza i kilkoklasową szkołę.

[1]) Jest to okazja korzystna zwłaszcza dla miast; zamiast stawiać własne sanatorjum, co jest rzeczą bardzo kosztowną, może gmina ufundować pewną liczbę łóżek w nowej lecznicy (po 3.000 złotych), a zato będzie miała potem prawo do umieszczenia tyluż dzieci, z kosztów zaś

Obok gruźlicy szerzy się bardzo wśród dzieci jaglica (trachoma), ciężka choroba oczu, której leczenie jest bardzo mozolne i długie, a mająca przytem tę właściwość, że osoba, która ją raz przeszła, jest więcej skłonną do ponownego zarażenia się, niż zdrowa. Wskutek nieostrożności, zwłaszcza na kresach wschodnich, mamy dziś w kraju ogromną stosunkowo liczbę dzieci jagliczych. Dość powiedzieć, że w r. szkolnym 1921/22 stwierdzono wśród samych uczniów szkół średnich w województwach centralnych i małopolskich 336 zachorzeń na jaglicę. [1])

Choroba ta, groźna przez swój charakter zakaźny i niebezpieczeństwo zupełnej ślepoty w razie zaniedbania, wymaga całkowitego separowania dzieci chorych w specjalnych zakładach. Sanatorjów takich mamy obecnie w Polsce 5 (6), na łączną liczbę 1.300 dzieci. Jedno z nich, w Witkowicach pod Krakowem, jest podobnie jak zakład zakopiański własnością uniwersytetu Jagiellońskiego. Obecnie mieści się w nim 330 dziewcząt, podzielonych na trzy ściśle oddzielone kategorje, zależnie od stadjum choroby; posiada on własnego lekarza i szkołę 7-oklasową. Utrzymanie dzieci pokrywa, podobnie jak w Zakopanem, częścią rząd, częścią rodziny lub gminy.

Te dwie choroby, gruźlica i jaglica, stanowią obecnie najgroźniejsze niebezpieczeństwo dla dziecka polskiego i same już wystarczą, by na długi czas zaprzątnąć uwagę społeczeństwa. Chodzi bowiem nie tylko o leczenie chorych, ale o zachowanie od zarażenia pozostałych, a pod tym względem wiele jeszcze pozostaje do zrobienia. Nie tak dawno temu w jednym z zakładów opiekuńczych we wschodniej części kraju, przeważna część dzieci dostała jaglicy dlatego, że przysłano im transport dzieci jagliczych, które bez uprzedniego zbadania przez lekarza pomieszczono zaraz w zakładzie.

To znowu do krakowskiego szpitala dla dzieci przysłano w ubiegłym roku troje dzieci, w wieku od 10—13 lat,

utrzymania będzie się jej strącało odpowiednią do wkładu sumę. Zgłoszenia w tej sprawie należy skierować do prof. uniw. Jag., dra Emila Godlewskiego, Kraków, ul. św. Jana 20.

[1]) *Rocznik Statyst. Rzpltej Polskiej,* rok II, str. 153.

każde z innego zakładu, a wszystkie w ostatniem prawie stadjum gruźlicy; wobec przepełnienia, panującego w tamtych zakładach, można być prawie pewnym, że sporo z pozostałych przejęło od owych dzieci zarodki śmiertelnej choroby, a czy o tem kto myśli? Zapewnienie więc różnym biednym zakładom, których nie stać na utrzymywanie lekarza, bezpłatnej i troskliwej opieki lekarskiej, jest ścisłym obowiązkiem władz miejscowych, względnie centralnych, inaczej wzmożemy tylko epidemję gruźlicy w kraju.

Z pośród innych chorób szerzy się między dziećmi w silnym stopniu krzywica i zołzy a także kiła; choroby tamte leczy się przygodnie, dla dzieci zaś kiłowych założono schronisko lecznicze na etapie powązkowskim w Warszawie.

Nawiasowo dodajemy, że posiadamy w kraju 10 zakładów dla dzieci głuchoniemych i ociemniałych, na łączną liczbę 500 dzieci.

* * *

Los niemowlęcia, sierot i dzieci opuszczonych, oraz groza chorób zakaźnych, zwłaszcza gruźlicy, wisząca nad połową przynajmniej naszej młodzieży, to główne kwestje, które chcieliśmy poruszyć, przedstawić ich stan obecny i przedsięwzięte narazie środki zaradcze. Z tem wszystkiem do wyczerpania sprawy opieki nad zdrowiem i życiem dziecka jeszcze daleko, dla przeprowadzenia jej trzebaby załatwić przedtem szereg innych problemów, związanych z ogólnym naszym stanem kulturalnym, gospodarczym i społecznym.

Do zagadnień palących, których rozwiązanie jest niezbędne dla pomyślnego obrotu opieki nad dzieckiem, należy zwłaszcza k w e s t j a m i e s z k a n i o w a.

Przypatrzmy się np. stolicy. Według sprawozdania, zamieszczonego w warszawskim *Robotniku* z d. 16 czerwca 1924 r. na podstawie wydanej przez tamtejszy magistrat statystyki, opartej na spisie nieruchomości i mieszkań miasta, w r. 1919 przeszło połowa ludności Warszawy (537 na 1.000 osób) przebywa w mieszkaniach jedno- i dwuizbowych. Prawie trzecia część ludności Warszawy, bo 30%, ściska się w mieszkaniach jednoizbowych, których przeszło $^3/_4$ posiada

jedno tylko okno i to w przeważnej części wypadków wychodzące na ciasne podwórze. W 3.000 z tych jednoizbowych mieszkań mieści się ponad 10 osób, w 16.000 ponad 8 osób; w 3.382 wypadkach ta jedna izba jest równocześnie kuchnią, sypialnią i warsztatem. — Oczywiście w takich warunkach trudno mówić o zdrowotności, a jeśli jeden tylko z członków rodziny zapadnie na gruźlicę otwartą, trzebaby cudu, aby reszta się nie zaraziła.

Budowa mieszkań obszerniejszych i higjenicznie urządzonych, jest i pozostanie więc pierwszym postulatem zdrowia ludności. Wypełnienia go nie można naturalnie domagać się od rządu, który na to nie posiada funduszów; zawisło ono przedewszystkiem od zabiegów i dobrej woli całego społeczeństwa, zarówno sfer bogatszych jak robotniczych. Brak mieszkań jest dziś zresztą chorobą powszechną niemal, spowodowaną głównie przez wojnę, a niesłychanie trudną do usunięcia, czego najlepszym dowodem jest fakt, że dotychczas nie zdołały jej zapobiec zamożniejsze od nas kraje, Niemcy i Francja, a nawet bogata Anglja.

Inną ważną sprawą jest higjena w szkole. Niskie, ciemne, brudne, wilgotne, przepełnione uczniami klasy niektórych budynków wprost urągają najprymitywniejszym wymogom higjeny; w dodatku sporo jest szkół, w których po wyjściu z tego zaduchu młodzież nie ma nawet podwórza do zabawy i obija się podczas przerw po ciasnym korytarzu. Ścisk, proch i niezdrowe powietrze sprzyjają tu znakomicie przenoszeniu i rozwojowi chorób, nie mówiąc już o utrudnieniu pracy umysłowej.

Zły stan odżywienia i związany z nim niedobór wzrostu i wagi oraz silną niedokrewność, zauważono w całym kraju zwłaszcza wśród dzieci, zrodzonych w ostatnich latach wojny. Fakt ten i drugi, że sporo dzieci ubogich przychodzi do szkoły bez śniadania, skłoniły Ministerstwo W. R. i O. P. do wydania okólnika do całego nauczycielstwa w sprawie zorganizowania z pomocą kół rodzicielskich i gminnych, masowego dożywiania niezamożnej dziatwy szkolnej. [1])

[1]) Okólnik z d. 15 paźdz. 1924 r. w *Dzienniku Urzędowym Min. W. R. i O. P.* r. 1924, nr. 19, str. 328. — T. zw. „dożywianie dzieci" i matek prowadzone było w całym kraju na wielką skalę przez PAKPD i obej-

Szereg innych postulatów, złączonych z opieką nad dzieckiem, związany jest z prawodawstwem społecznem; tu zaś praca dopiero jest w toku.

Konstytucja z dnia 17 marca 1921 r. powiada w art. 103, że „dzieci bez dostatecznej opieki rodzicielskiej, zaniedbane pod względem wychowawczym — mają prawo do opieki i pomocy Państwa w zakresie, oznaczonym ustawą"; tamże obiecano również, że „osobne ustawy normują opiekę macierzyństwa". Lecz na te ustawy dopiero czekamy, nieliczne zaś dotąd wydane nie wystarczają, tem bardziej, że w wykonaniu swem uzależnione są od innych, również niezałatwionych zagadnień, jak np. uregulowania finansów komunalnych.

Ustawodawstwo jednak samo nie wystarczy, jeżeli do pracy rządu nie przyłączy się współpraca całego społeczeństwa, przez poparcie zarówno moralne, jak materjalne. To ostatnie stanowi wprawdzie chwilowo największą trudność, trzeba jednak uświadomić sobie, że pieniądze, włożone w opiekę nad dzieckiem, wrócą się nam potem, nie tylko przez zaoszczędzenie wydatków na chorych i niezdolnych do pracy, ale przez spotęgowanie naszej siły wytwórczej; pracownik zdrowy i silny będzie z pewnością lepiej pracował, niż wynędzniały i zgorzkniały. Dodajmy, że „w Polsce umiera rocznie około 200.000 dzieci (niemowląt). Koszta urodzenia, wychowania, leczenia i pogrzebu jednego niemowlęcia przed wojną wynosiły 150 marek niemieckich", czyli straty państwa z powodu śmierci 200.000 dzieci wynoszą rocznie około 30 miljonów marek w złocie,[1]) których znaczną część możnaby zaoszczędzić przez zorganizowaną opiekę nad dzieckiem. Nie trzeba więc żałować; dzieci to skarb narodu, a pieniądze wyłożone na opiekę nad niemi, to korzystna lokata kapitału!

---

mowało w r. 1920 przeciętnie dziennie 632.449 dzieci (do lat 17), w roku 1921 — 848.183 dzieci, a w r. 1922 do maja 402.553 dzieci. *(Rocznik Statyst. Rzpltej Polskiej,* r. I. część II, str. 334). Po zlikwidowaniu d. 1 czerwca 1922 r. pomocy amerykańskiej, podtrzymywał rząd polski jeszcze przez dłuższy czas akcję dożywiania, jednak w mniejszych rozmiarach. (Obszerniej o tem *Przegląd Powsz.* II. 1923, str. 136)

[1]) Według memorjału Polskiego Twa Pedjatrycznego, wystosowanego do rządu z początkiem r. 1924. *Pedjatria Polska* 1924 zesz. 2, str. 126.

Na zakończenie krótka uwaga. Zestawiając powyższe fakta i przestrogi nie chcieliśmy nikogo oskarżać i daliśmy tego dowód, zamilczając imiona osób i miejscowości dotyczących. Zamiarem naszym było odsłonić cząstkowy przynajmniej obraz niedoli dziecka polskiego i pokazać, że obowiązków względem niego nie wypełniliśmy dotąd należycie, pora więc najwyższa, by naprawić to zaniedbanie. „Rząd — pisał niedawno dr M. Gromski [1]) — czyni wszystko, co w jego mocy", ale „nic nigdy nie usprawiedliwi obojętności pod tym względem społeczeństwa".

[1]) *Kurjer Warszawski* 13. I. 1925.

*Ks. Stanisław Podoleński.*

# Towianizm na tle historycznem.

(Ciąg dalszy).

---

*Przedświt* nie tylko w poezji Krasińskiego, ale także w jego stosunku do Towianizmu zaznacza punkt wierzchołkowy. Od wydania *Przedświtu* da się zauważyć nieznaczne zrazu, ale stałe odchylanie się od walorów poetycznych, cenionych wśród wierzeń *Biesiady*, natomiast coraz przenikliwsze przypatrywanie się tendencjom społecznym Towianizmu. Z uznaniem podnosząc w prelekcji paryskiej Mickiewicza definicję tradycji, jako „ciągu żywych, wielkich, natchnionych duchów, natchnionych osób", Krasiński chwalił w liście do pani Delfiny (15. IV. 1843 r.) Małachowskiego za to, że „doskonale ocenił Towiańczyków: „mówi, że pełno tam łatwowierności i ignorancji (!). Jeden tylko Mickiewicz wielki i silny, a Towiański tylko tę posiada siłę, że obudza w piersiach Mickiewicza wiarę i ideę".

Ślub Krasińskiego oddziałał zrazu najniekorzystniej na jego nastrój duchowy. Skoro tylko mógł się wydostać z domowego, Opinogórskiego otoczenia, zatęsknił do świata swych wierzeń i rozmyślań. Już w trzecim miesiącu po ślubie wyjechał do Wierzenicy, aby tam u przyjaciela, autora *Ojcze Nasza*, zapomnieć o swem małżeństwie. Pisał stamtąd 18-go października 1843 r.:

„Dzień cały schodzi na słuchaniu czytającego Augusta. Rozszerzyło się dzieło, o którem rozpowiadałem ci wiele dziwnych ustępów w Romie. Ono dopiero będzie jasnem dopełnieniem ciemnych przeczuć Towiańskiego. „Tajne brzemię lat wydało płód" — można to o tem dziele powiedzieć. Ojciec Adam wrócił ze Szwajcarji jak słyszę, a Towiański powędrował do Romy. O tym ostatnim piszą w tutejszych

dziennikach wiele. — O, Boże, Boże! jakiż kamień grobowy cięży mi na sercu i duchowi mojemu nie daje się rozwinąć. Atmosfera domowa, w której duszę się od trzech miesięcy, zarzyna wszelką potęgę umysłową we mnie. Gdy choć na chwil kilka się od niej uwolnię, czuję, że mógłbym i ja jeszcze zawołać, jak nie pamiętam już jaki artysta: *ed io anche*".[1])

Były w tych słowach zapowiedzi nowych wzlotów poetyckich; na razie hamowało te porywy poczucie pęt, narzuconych przez niedolę małżeńską. Dochodziło w owych miesiącach zimy warszawskiej do strasznych wybuchów: „Oto losu będzie łaska, tylko prędzej, tylko śmiało: Niech mi rozpacz pierś roztrzaska. Niech mi dusza przeżre ciało!" (16 lutego 1844 r.). Ale u natur, przeczulonych nerwowo, od rozpaczy do ekstazy poetyckiej był tylko krok; jakoteż w tydzień po tamtym wierszu, pełnym rozpaczania (bo nie rzeczywistej rozpaczy), słyszymy już o *psalmie*, najpierw Nadziei, po którym nastąpią inne. Zaprawiona i podrażniona towianizmem myśl filozoficzna, stroniąc od bezmyślnego wówczas życia warszawskiego, oddanego, pod dozorem Paskiewicza, komerażom, pijatykom, karciarstwu, i najwstrętniejszym głupstwom „towarzyskim" — zwraca się ku studjowaniu gnostyka aleksandryjskiego Valentyna i w nim szukać będzie tajników duchowej podniety, dochodzącej do ekstatycznych uniesień:

„Kto opisze, kto opowie: Bóg jest jeden, jeden, Sam! Ale w Bogu dano nam, że my będziem jak Bogowie!"

Nie możemy tu wchodzić w szczegóły twórczości poetyckiej Krasińskiego, które tu nie należą. Wystarczy zaznaczyć tylko, że najrozmaitsze sprawy, związane z pobytem jego w ówczesnej Kongresówce, przypatrywanie się naoczne rozkładowi moralnemu społeczeństwa polskiego pod wpływem demoralizującym Mikołajowskiej Rosji, a równocześnie „Prawdom społecznym" H. Kamieńskiego, które konsekwentnie zmierzały do wywołania w Polsce powstania o podkładzie ludowo-radykalnym — wszystko to razem, bądź kolejno, bądź równocześnie pochłaniało niemal w zupełności autora *Psalmów*

[1]) Jest tu reminiscencja z lat młodzieńczych: 22 października 1832 r. pisał Krasiński do Reeve'a z Petersburga, donosząc mu o pierwszym pomyśle *Irydjona*: je m'écriai: *Anch'io sono pittore!* Oui, la poésie est un élément de mon être. (II, 14).

i nie pozwalało mu wyłącznie interesować się dalszemi etapami Towianizmu (np. *Wielkim Perjodem).* A równocześnie, skutkiem bliższego zetknięcia się w Wielkopolsce i w Warszawie z ówczesnym ruchem filozoficznym w kraju nastąpiło u twórcy *Psalmów* uznanie dla myśli słowiańskiej wogóle:

„Jest coś dzisiaj w świecie, co może prześciga już dążeniem i duchem i francuskie i germańskie idee: słowiańska filozofja się podnosi, pełna zarazem wiary i rozumu, miłości i inteligencji: ona to występuje przeciw sceptyzmowi i panteizmowi germańskiemu — i obali go. Jej zasadą fundamentalną jest, że Bóg nie oceanem rozlanego światła, tylko, ale też i osobistością, o Sobie wiedzącą, jednostką, wszystkiem rządzącą z góry swojego *JA!* i że człowiek także nie tylko odbiciem znikomem Boga, przemijającem jak tchnienie, odpadającem w nicość jak liść suchy od gałęzi w alpejskie przepaście, ale osobistością, jednostką nieśmiertelną, Duchem, przerzynającym wieki wieków dwoma skrzydłami, duszą i ciałem, zsypującym z siebie i tę duszę i to ciało, ilekroć mu przychodzi umierać, na to, by wdziać piękniejsze i silniejsze, ilekroć mu przychodzi odżyć![1])

Nie uwierzysz, ile dzieł w takim rodzaju wychodzi. Jest ruch ogromny, filozoficzno-religijny na łonie sławiańszczyzny. Wszystko, o czem tylekroć mówiliśmy przy gwiazdach Koliseum, niezawodnie się wypracowywa i wyrabia, nie w jednym, ale wielu.

Nieśmiertelność ducha, osobistość Boga, oto dary, które ludzkiemu rodowi, które wątpiącej Europie przyniesie duch Słowiański!" (Z Warszawy, 8-go listopada 1844 r. Do pani Delfiny).

Póki Krasiński przebywał w Polsce pod opieką policji Paskiewiczowskiej, póty prosta ostrożność nie pozwalała mu zapytywać w listach o Towiańskiego, Mickiewicza i Towianizm. Skoro tylko pod pozorem leczenia się u wód zagranicą odzyskał wolność, korespondencja jego nabierała żywszej cery; zaczynał swobodnie w listach omawiać interesujące go sprawy emigracyjne. Podróżowało się wówczas kolejami żelaznemi inaczej niż dzisiaj. Wagony były ciasne i niewygodne. Kogo było stać na większy wydatek, ten mógł własny swój powóz umieścić na pomoście wagonowym (tak

[1]) Por. *Psalm Wiary* ww. 13—14.

jak dziś jeszcze np. przewożą na takich pomostach wagonowych duże maszyny rolnicze, żniwiarki i t. p.).

Krasiński, podróżujący ciągle i przeważnie w powozach od Dunajowiec na Podolu do Wiednia, Paryża, Medjolanu itd. miał swój osobno urządzony powóz, w którym mógł w razie potrzeby leżeć, nocować itd. Otóż w takim „koczu" 30 czerwca 1845 r. na pomoście wagonowym odbył podróż w Alzacji z Mulhouse do Strasburga i doznał niezwykłej przygody, którą tak pani Delfinie opisał w liście z Kiehl:

„Podczas jazdy z Mullhausen do Strasburga, skoczył jeden z urzędników kolei żelaznej na rusztowanie, na którem sunął mój kocz i powiada mi po polsku: „Czytałem na regestrze zapisanych imię pańskie, wszak pan, pan Zygmunt. Ja z Lubelskiego i zowię się Niemirycz; mam 1800 fr. na rok. Z wielą ziomkami przejeżdżającymi o panu człowiek się nagadał, bo o panu wiele mówią. Wiem, że pan w Warszawie, jak w więzieniu" itd. itd. i ściskał mnie za ręce i pytał o kraj i przyszłość. I tak, to zeskakując, gdy go urząd wołał, to wskakując nazad na rusztowanie lecące, rozmawiał ze mną do Strasburga. Zostawiłem mu 100 fr. dla biednych w Strasburgu i 25 cygarów dałem, co go ucieszyło bardzo; — ale jakże ludzie wiedzą o człowieku! cytował mi fakta z życia mego, z Petersburga, z Warszawy itd. itd. Dziwne takie spotkanie wygnańca na kolei lecącej. Wydawał się porządny człowiek, dobry Polak, wcale nie demagog. Jak ptak przyleciał do mnie, jak ptak odleciał. Nigdym go nie widział wprzód, nigdy może już nie obaczę, a tyle rzeczy wspólnych mieliśmy między sobą i do powiedzenia sobie. To tylko Polakom zdarzyć się może; — opowiadał mi, że Towiańskiego w Bazylei widział, który żądał od niego, by on uwierzył, że p. Andrzej jest następcą Chrystusa; — a dopiero potem obiecywał mu wykryć, jakim sposobem wróci do Polski. — I mówił, że prefekt jego i innych, imieniem Rządu francuskiego później ostrzegał, że to agient Moskiewski!"

Pogłoska o rzekomej roli „agenta moskiewskiego" pada tu niespodzianie i przelotnie z ust Niemirycza, a znajdzie z czasem potwierdzenie z innych stron.[1])

Krasiński odbywszy krótką kurację w Heidelbergu w ciągu lipca 1845 r., rozczytuje się w *Prawdach Żywotnych* Kamieńskiego, w Trentowskiego rozprawie *O wyjarzmieniu*

[1]) W pogłoskach emigracyjnych, o czem będzie mowa w dalszym ciągu.

*Ojczyzny*, a porozumiawszy się zawczasu z Gaszyńskim, przedostaje się *incognito* do Paryża, gdzie przebywa od 20 lipca do 18 sierpnia 1845 r. Na miesiąc wrzesień przypadają studja nad St. Martinem, który zdaniem Krasińskiego za wiele ma równocześnie zmysłowego i mistycznego. Stokroć więcej zachwyciła go wówczas Ś. Teresa, a stan jej ducha, poznany z jej medytacyj, przypomniał mu wiele własnych jego stanów duchowych. Był to czas wykańczania wiersza p. t. *Głosa św. Teresy*. W listopadzie t. r. w Opinogórze znalazł stare wydanie utworu Swedenborga p. t. *De l'amour dans ce monde et dans l'autre;* mało jednak znalazł w tym utworze pożytku; tu i ówdzie tylko „błysk serca" go zachwycił. W końcu listopada był już w Wiedniu, gdzie wykończył *Głosę św. Teresy*, poczem na całą zimę 1845/46 r. wyjechał do Nicei. Tu zaczął odbierać znowu informacje o Towiańskim i dzielił się niemi z przyjaciółmi. W styczniu 1846 r. nie był zadowolony z mowy Mickiewicza do księcia Adama Czartoryskiego o Towiańskim i dodawał:

„Coraz bardziej słychać, że P. Andrzej, nim się wyprawił na proroczkę, natchnienie wziął w stolicy lodów. Bądź co bądź, koło zaczarowane nie pękło dotąd dla p. Adama, a póki nie pęknie, duch się jego nie wyzwoli i na nowo nie zacznie działać".

W tymże czasie donosił Małachowskiemu i Gaszyńskiemu z przekąsem ironicznym, że na nowy rok odebrał powinszowanie „od Pana Globów i Ducha Ziemi" w kopercie listu, „zadyrygowanej do mnie nieznajomem pismem, jednakowoż podobnem dość do Adamowego". Zauważył Krasiński, że styl Towiańskiego nadzwyczajnie podobny do stylu Lelewela, a co do treści pisma stwierdzał, że „smutne to powinszowanie, ogłaszające jedynym wynikiem piętnastoletniej męki: Męczeństwo!" [1]) Odczytawszy zaś nauki Towiańskiego, zawarte w piśmie p. t. Biesiada z bratem Karolem (Różyckim) dochodził do przekonania, [2]) że

„Biesiada nowa zrozumialsza. To samo, co w Lamenem, to samo, co tu i ówdzie i wszędzie za dni naszych, tylko że

[1]) Listy do Małach., str. 39. Listy do Gaszyńskiego str. 247. — Z Nicei 9. i 15. I. 1846 r.

[2]) Nicea 10. II. 1846 r. Do Małach. 51—52.

straszną szarganiną stylu oblepione i dziwnemi kształty mistycznemi upostaciowane. Człowiek to musi być czucia ogromnego, ale inteligencji nie żartkiej. Giesta jego i głos muszą wywierać wrażenie na słuchaczów i widzów magnetyczne, ale wszystko, co napisze, staje się lawą wystygłą, zaskorupiałą, szarą, która już nie pali ni świeci, ale papier okrywa dość szpetnie i niezrozumiale. Idea jego ta sama powtarzam, co wieku: Chrystus pojęty w pełni pojęcia, a zatem wykonany, uczynniony w świecie. Ludzkość, czyli Królestwo Boże na ziemi przez nią, do dalszych przeznaczeń rodu ludzkiego, do Anielstwa, a do niej przez Polskę, przez ową wieku naszego zbiorową, ukrzyżowaną Chrystusowość. Taka idea, lecz styl zupełnie jego.

W tymże miesiącu (12. I. 46) nawiązała się, od kilku lat przerwana korespondencja Słowackiego z Krasińskim. Autor *Księdza Marka* wyjaśniał genezę tego utworu, w którym bezwzględnie obszedł się z pradziadem Zygmunta, uważając to za konieczną ducha swego ofiarę! Uznawał, że Zygmunt jest „wielkim duchem Bożym i jednym z Aniołów narodu naszego".

Ale wzywał go do „przełamania w sobie wszelkiego *ja*, które do czystej miłości przeszkadza". Prosił Krasińskiego, aby nic do niego nie pisał bez miłości prawdziwej, „bo zakrwawiłbyś serce moje jakim wyrazem mimowolnym". Pod koniec listu widoczne było wielkie zdenerwowanie. Słowacki pragnął dawnej, rzymskiej miłości od twórcy *Irydiona*, prosił o nią: „ukochaj mię!" — ale uważał za obowiązek szczerości dodać do tego listu dopisek, który świadczył wyraźnie o przeciwstawieniu własnej idei ideałom Krasińskiego: „Powiem ci prosto, a może rzecz n a j w a ż n i e j s z ą, iż mi się sprzeciwia teraźniejsza czynna i głośna dążność twoja; patrz, czy przeciwnika m o ż e s z ukochać, a n i e m o ż e s z, nie *przerósłszy* go w sumieniu".

Była to zapowiedź niedalekiej walki duchowej. Zapewne był w tym czasie jakiś inny jeszcze list Słowackiego do Krasińskiego, nam dziś nieznany, skoro autor *Trzech Psalmów* tak go charakteryzował Cieszkowskiemu (23. I. 46): „Juliusz pisał do mnie; straszny to list! Fanatyzm własnej próżności, doszły do szaleństwa. Cześć, sobie samemu oddawana. Boże mój! że też ta niecna próżność wszystko karli i gubi u nas. Najznakomitsze duchy na nią umierają. Szkoda

Juliusza!... Gaszyński dodaje, że Słowackiemu piana brzegiem ust się sączy, oczy dziki wzrok mają, gdy rozprawia i utrzymuje, że posiadł trzy słowa, które wszystko tłómaczą. W liście zaś jego (Słowackiego) do mnie mowa o duchach i opowiadanie djalogów z nimi!" [1])

Rwały się zatem nici porozumienia — ale korespondencja przyjaciół trwała jeszcze. W innym liście (bez daty) spowiadał się Słowacki przed Krasińskim ze samotności swej paryskiej, niezwykłej, a niezrozumianej przez rodaków; wyjaśniał przyjacielowi „czem jest odosobnienie się jego i nad czem pracuje myśl, *na inne rzeczy już obojętna*". Po tej aluzji, bardzo wyraźnie dotyczącej Towianizmu, Słowacki dziwił się, że w Krasińskim „po tylu latach nie urodziło się nawet przeczuciowe pojęcie Sprawy, tu zaczętej" i twierdził, że „nie jest ona ani idejką, ani zbiorem idejek nowych o świecie, ani dogmatycznym mistycyzmem, ani przepowiedniami, ani człowiekiem" (t. j. Andrzejem Towiańskim), „lecz jest prawdziwem poczęciem świata nowego w cierpiących dawno matczynych duchach Ludzkości. Nie patrz ty, mój drogi, na sceniczną wystawę tej idei, ani tajemnicy ducha szukaj w literze, — ale uwierz mi, iż ta idea jest niby klucz nowy, rozwiązujący wiedzę w człowieku. Oskarżają nas o mglistość mistyczną, — a tu przeciwnie, myśmy w sobie uczuli poniszczenie tajemnic. Cóż my winni, że świat woli dotychczas Hamletować się?"

Z przytoczonych powyżej zdań mogłoby się wydawać, że Słowacki zupełnie się łączył z Towiańczykami: „oskarżają nas", „myśmy uczuli", „cóż my winni..." Tak jednak nie było. Słowacki w dalszym ciągu tegoż listu wyraźną przeprowadził różnicę między „dwiema drogami" w towianiźmie: *sancta* i *sacra*, i wyjaśnił, dlaczego on nie pracuje na drodze tak przezeń nazwanych *sanktuarjuszów*. Oto ciało mu nie służyło, towarzystwo ludzi, usypiających „sektarską gawędą", nużyło go, więc samotnym pozostał.

W samotności tylko mogła się wyrabiać zwolna „świętość"; z nią zaś spłynąć miał niezawodny „rząd dusz", o który tak Słowackiemu jak i Mickiewiczowi chodziło. To

[1]) LKC I, 172—173.

też przyjaciel z czasów rzymskich i florenckich nawoływał twórcę *Irydjona*, aby realizował przyszłą Polskę i nie widział jej w *półświecie* — w tak wyraźnej bowiem aluzji lekceważył *Przedświt!* Upewniał wreszcie Krasińskiego twórca *Księdza Marka*, że z oddali, z głębi wiary towianizmu, „pracował często" nad Krasińskim i „wie wiele" o nim; zapowiadał wreszcie surowo: „A nie tylko teraz, ale po śmierci n i e s p u s z c z ę c i, — ani oka nie spuszczę z ciężaru, który ty podług *obrachowania mego* masz nieść i dźwigać..., bo czuję, żeś silny jest — i za milion ludzi poniesiesz". [1])

Odkąd przejął się towianizmem, Słowacki przekonany był o faktycznej możliwości wpływania (bez względu na odległość) duchem swoim na duchy umiłowanych, ale pod warunkiem duchowej wzajemności, duchowego współczucia. Dlatego to, nie będąc zadowolonym z odpowiedzi Krasińskiego, w następnym liście z d. 19 lutego 1846 r. domagał się od przyjaciela odpowiedzi jasnej, bez obsłon poetyckich: „Niech listy twoje nie będą o nieśmiertelności ducha, a o innych skrzydlatościach idei — bo tak czyniąc, korespondencja nasza stałaby się zamianą rzeczy wiadomych, — albo takich, o których sam duch z siebie dowiedzieć się powinien; lecz niech listy będą zamianą t o n ó w naszych, dźwięku ducha naszego, — a tak będziemy mogli, na podobieństwo szalek, wczuć się wzajemnie i p o d n o s i ć w g ó r ę". [2])

Krasiński zrozumiał, że polemika z chorym i nerwowo rozdrażnionym Słowackim byłaby wzajemnem udręczeniem Miał przecie w dobrej pamięci zakończenie dawniejszego listu Słowackiego, wymierzone wyraźnie i stanowczo przeciw *Przedświtowi* i trzem Psalmom.

Korespondencja przyjaciół zamierała. Natomiast niebawem przyszło do poetycznego starcia oręży duchowych. Była to także „zamiana t o n ó w", ale nie taka, do jakiej wzywał w lutym tego roku Słowacki. Wiadomość o cudacznem zapisaniu się towiańczyka Pilchowskiego w Paryżu

---

[1]) Listy J. Słowackiego, tom III str. 238, wyrazy kursywą są podkreślone przezemnie.

[2]) Tamże, str. 243.

w poddaństwo Mistrzowi Andrzejowi [1]) i o szczegółach dalszych a nieciekawych rzekomego poddaństwa, rozczarowała Krasińskiego. Do takich *tonów* nie dał się on skusić. A tymczasem z Polski zabłysła, jak krwawa błyskawica, tragiczna wieść o rzezi galicyjskiej!

Na tę okropną wiadomość Krasiński odszedł niemal od zmysłów. „Jak warjat chodzę", pisał do Gaszyńskiego d. 1 marca 1846 r. Ubolewał nad losem Wincentego Pola, a dowiedziawszy się o szczegółach zbrodni ludowej, wiązał ją z przesileniem ostatecznem pogrobowej Polski: „Dochodzim naszej pory k a t a k u m b o w e j, zstępujemy do Chrystusowych ciemności... Niejeden z nas, kiedyś, odkopan z tych ciemności, na piersiach mieć będzie położoną flaszeczkę z krwią własną i napisem: *pro Christo* czyli *pro Polonia!*" [2])

Ale co go przykro zdziwiło, to zupełne Juliusza Słowackiego milczenie wobec rzezi galicyjskiej. Z początkiem maja 1846 r. żali się Gaszyńskiemu: „Juliusz już do mnie ani słowa od początku wypadków tych grobowych nie napisał; musi być zarówno umarłym, jak ja!" [3]) Ale w dwa dni potem już zrozumiał lekceważenie Słowackiego: „Juliusz je wyrzekł zapewne nie dlatego, że prawdziwe, lecz żem ubódł jego miłość własną; powinienby po chrześciańsku starać się mnie wydźwignąć, tymczasem milczy". [4]) A w tydzień potem wyjaśniał Gaszyńskiemu: „Kiedy on (Słowacki) ma dowody cudzych upadków, inniby pragnęli ujrzeć dowody jego wywznioślenia się; czemu ich nie objawia? Już do mnie nie pisze; znać myśli, że nie warto..." Jakoż Małachowskiemu

---

[1]) LKC. I. 172. — Wład. Mickiewicz ŻAM. III, 427. Nie pomogło to że renegata odepchnął Mickiewicz. Pisma emigracyjne polskie twierdziły, że „Towiański propaguje panslawizm moskiewski i wiarę w cara". *(Demokrata Polski, Trzeci Maj, Dziennik Narodowy* w sierpniu i wrześniu 1846 r.).

[2]) Do Gaszyńskiego, str. 262. — Ten list z pewnością znany był Wyspiańskiemu, a zwrot Krasińskiego o „porze katakumbowej" stał się w wyobraźni malarskiej autora *Legjonu* zarodkiem sceny drugiej w K a t a k u m b a c h: „te kości b r a t e r s k i e, te m ę k i, Gdy naród cały w grzechach, to one naród wybawią... złe duchy błądzą i krwawią"...

[3]) Tamże, str. 271 (5 maja 1846 r.).

[4]) Tamże, 272 (7.V 1846).

się zwierzał: „Juliusz o mnie powiada, żem duch obłąkany i upadły". [1])

Ciągle myślał Krasiński o skutkach politycznych rzezi galicyjskiej, po której „stoimy nędzniej i opłakaniej. — Znać P. Adam czuje tak samo i widzi teraz, że P. Jędrzej (Towiański) nie wiele pomógł, ani Napoleon [2]) we welonie i kirasjerskich bótach".

Mickiewicz zachował także milczenie wobec rzezi galicyjskiej. Nie w smak to było Krasińskiemu; wzywał więc Małachowskiego d. 15 maja 1846 r.:

„...bądź raz jeszcze u P. Adama i zaklinaj, by protestował przeciw rzeziom. Co znaczy sekta, wiara, korporacja jaka bądź, co milczy, za przybytkiem swym się chowa i w chwili, gdy trzeba oświadczać się ze zdaniem nad przepaścią, nic nie mówi? Temu rok, prosiło się go o manifestację, ...milczał podobnież". [3])

Ale milczenie Mickiewicza miało głębokie powody, których nie mógł się domyślać Krasiński; wiedzieli o nich wówczas zaledwie tylko wtajemniczeni. Oto twórca *Dziadów*, który tyle dał dowodów swego oddania się Mistrzowi Andrzejowi, przekonał się, że „zamiast zapowiedzianych cudów, miał widok ‚braci', ulegających pokusom długich ćwiczeń, nie doprowadzających do żadnego czynu." Postanowił rozprawić się ustnie z Towiańskim i opuścił Paryż 4 lutego 1846 r. w towarzystwie Eust. Januszkiewicza, [4]) Mickiewicz nie chciał bowiem dłużej brać na siebie odpowiedzialności za przewodniczenie Kołu Paryskiemu, ponieważ „niektórzy ‚bracia' sami popełniali nadużycia, gorzko wymawiane przez nich duchowieństwu, udawali egzaltację, nakazywali innym praktyki, podobne do demonstracyj dzisiejszych Salu-

---

[1]) Do Małach. 7.V 1846, str. 110.

[2]) Jest to aluzja do litografowanych wizerunków Napoleona z długim welonem i w wysokich butach. Wizerunki te rozdawane były pod koniec ostatniego wykładu Mickiewicza w Kolegjum francuskiem dnia 28 maja 1844 r. — Ob. „Literaturę Słowiańską Ad. Mickiewicza w tłumaczeniu F. Wrotnowskiego". Poznań, 1865 r. Wydanie trzecie, tom IV str. 177 (u dołu).

[3]) Do Małach. 112—113.

[4]) Wł. Mickiewicz, ŻAM III, 404.

tystów; co gorsza, narzucali się innym, naruszali wolność domowego ogniska. — Obiecana swoboda zamieniała się w upokarzające jarzmo; zapowiedziana działalność w sromotne lenistwo... Zamiast pokonywać wroga, tyranizowano swoich. Mickiewicz tych wyników nie przypisywał nauce Mistrza, ale miał obowiązek wykazać zboczenia jego uczniów. Stanął przed Towiańskim... Stoczyła się walka duchowa.[1]) Towiański nie uznał słuszności wywodów Mickiewicza. Nie chciał ojczyzny „wedle idei ziemskiej" i rozumował tak: „naszej wierności szczyt najwyższy byłby, gdybyśmy w duszy ślub zrobili n i e w y j ś ć ze skał Szwajcarji c a ł e ż y c i e i n i e t ę s k n i ć do Polski, jeśli ta nie wedle myśli Bożej stanęłą".[2])

Zaszła obawa, że Mickiewicz w Zurychu zerwie z Mistrzem. Użyto więc środka niesłychanego, aby Poetę zastraszyć i skruszyć. Żona Mistrza przesłała w Zurychu Mickiewiczowi *ultimatum* w liście, opowiadającym swój sen, wizję nieboszczki matki Poety, mówiącej do niego „z siłą nadzwyczajną" i grożącej śmiercią synowi swemu w razie oporu. Mickiewicz przeszedł męki duchowe, ale nie uląkł się śmierci, gotował się na nią, „przez trzy dni był między życiem a śmiercią", ale ostatecznie został przy swojem i zerwał z Towiańskim. Aleksander Chodźko, gorliwy towiańczyk, zanotował w swym dzienniku 10 maja 1846 r.: „Adam zerwał z Mistrzem, bo na przełożenie, że przez pięć lat Gut, Gutowa i inni bracia niszczyli i psuli roboty Koła, Mistrz sprawiedliwości nie uczynił. Prześladowanie Adama w Zurychu za ton morzący, za powiedzenie jemu, że umrze, przygotowania Adama na śmierć, t e s t a m e n t, ostatnia noc, co mu stanęło przed oczy... Energiczne, ustne wypowiedzenie Mistrzowi całej prawdy 27 marca w Zurychu..." Januszkiewicz zaś w swoim dzienniku zapisał między innemi:

„...z blizka przyjrzawszy się Towiańskiemu i otaczającym go, choć podziwiam wiele prawd przezeń nam przyniesionych, przecież z kierunku, jakim one od lat czterech do życia miały być wprowadzone i z owoców, jakie wydały,

[1]) Tamże, str. 406.
[2]) Współudział II, 29.

zadowolnionym nie jestem... Może się mylimy, może inni lepiej widzą rzeczy, lecz ani Adam, ani ja na stare manowce nie wejdziemy".

Zwolennicy Mickiewicza w Paryżu zrażeni byli całem zajściem w Zurychu. „Niektórzy nie przebaczyli tego nigdy pani Karolinie Towiańskiej, powtarzali głośno, że najbliższej powierniczce Mistrza takie pomyłki nie uchodzą. Ten sen zurychski nie mało się przyczynił do wyzwolenia się połowy uczniów Towiańskiego zaraz po powrocie Adama; oswobodzili się z pod tyranji otoczenia Mistrza, lubo dla niego samego dawną cześć zachowali. Mickiewicz pociągnął za sobą 24 braci, którzy dnia 14 kwietnia oświadczyli, że z nim trzymają. [1])

Mickiewicz, wyzwoliwszy się z pod przewagi ortodoksów towianizmu zurychskiego, tem baczniejszy wzrok zwracał ku zapowiadającej się w Europie burzy społecznej. Tron Ludwika Filipa chwiał się. Na Stolicy Apostolskiej zasiadł 16 czerwca 1846 r. Pius IX, papież „bawiący się w liberalizm", jak go złośliwie a krótkowzrocznie scharakteryzował przyjaciel galicyjskiego Szeli, Metternich. Tymczasem Towiański przestrzegał Koło swe paryskie, że „cokolwiek czynić się we Francji może, bracia ani budzą do czynu, ani rozpoczynają czynu".

Mickiewicz, który całe życie swe był zawsze i wszędzie człowiekiem czynu, nie mógł się z takiem pojmowaniem „realizacji" Sprawy na ziemi zgodzić. Zanim wypadki polityczne we Francji nadeszły, rąk nie zakładał bezczynnie. Wziął się do napisania Historji Polskiej, podpisawszy umowę z Januszkiewiczem i Cez. Platerem.

Z daleka wyglądało na pozór, że Mickiewicz odstąpił od Towiańskiego, to też Krasiński uwiadamiał przyjaciół z Nicei w grudniu 1846 r.: „P. Adam, o którym miałem wiadomość niezachwialnie pewną, coraz bardziej odbiega od Pana Andrzeja; zawsze go za znamienitego bardzo ducha uważa, lecz już nie sądzi go bezpośrednio natchnionym". [2])

[1]) Wład. Mickiewicz ŻAM. III, 408—412.

[2]) Listy do St. E. Koźmiana (Lwów, 1912) str. 18; także I, 302: „Pan Adam zupełnie się odstrychnął od Pana Andrzeja".

Ale informacje rzekomo „niezachwialnie pewne" były przecież mylne. Lepiej, bo bezpośrednio z ust Mickiewicza w dzienniku swym zapisał Aleks. Chodźko 1 stycznia 1847 r.: „Mistrz jest mąż globu. Ja z moim chórem tylko do cząstki spełnienia jego posłannictwa przyczynić się mamy".

Mając własne swe, sobie oddane Koło, Mickiewicz odzyskiwał zupełną swobodę ruchu, miał swój „rząd dusz", którego przed piętnastu laty domagał się w Improwizacji Konrad. Może nieraz przypomniały mu się czasy wileńskie, kiedy przed trzydziestu niemal laty był naczelnikiem swego Wydziału w Towarzystwie Filomatów. Teraz podobnie, choć w innym zakresie, „wzywał każdego z braci do wypracowania i omówienia wspólnego następujących trzech punktów:

„1. Stosunek religijny nasz z Narodem. Trzeba nowego kapłaństwa. Obudzonego w nas ducha nowego, który ma być w narodzie, nikt nam wydrzeć nie może. Błądziliśmy, robiliśmy dzieciństwa i błędy, ale ducha naszego nie oddaliśmy i nie oddamy. 2. Punkt polityczny: jak ma być w przyszłej Polsce? 3. Punkt familijny: stosunek męża z żoną, rodziców z dzieckiem". [1]) — Nie wiemy, jak Koło Mickiewicza opracowało powyższe punkty; co do pierwszego jednak, t. j. co do „nowego kapłaństwa", niebawem zaszedł fakt praktycznej realizacji, świadczący, że Mickiewicz wziął na siebie rolę „nowego kapłana". Kiedy Juljan Łącki, towiańczyk, zamierzał ożenić się z Francuską, nie chcieli mu księża nasi dać ślubu, póki się nie wyrzeknie nauki Towiańskiego. Wobec tego Łącki wziął ślub cywilny, a ślubu religijnego udzielił mu Mickiewicz 25 lutego 1847 r., spisawszy akt uroczysty przy świadkach, braciach towiańczykach, wśród których były znane w emigracji nazwiska, jak: Aleksander Chodźko, Feliks Wrotnowski, H. N. Bońkowski i inni. Dokument sam był w dwu tekstach: francuskim (ze względu na pannę młodą) i polskim. Ale oryginał polski zatracił się wśród papierów emigranckich A. Biergela, tak że trzeba się oprzeć na przekładzie polskim z tekstu francuskiego; podajemy tu najważniejsze ustępy, zwracając uwagę na dogmatyczne zasady nowego ślubu:

---

[1]) Z dziennika Al. Chodźki. ŻAM, tom III.

„Pierwsi łączycie się małżeństwem według praw miłosierdzia.[1]) Łączycie się w duchu tego, który przyszedł na ziemię, nie żeby obalić prawo, lecz żeby je urzeczywistnić, być nam pomocą i dać nam wyższy szczebel do jego urzeczywistnienia... Byliście w pierwszym stopniu małżeństwa, stopniu zaręczyn, przygotowań. Teraz powołani jesteście do wspólnej pracy nad przejściem z niewoli małżeńskiej do braterskiej wolności. Przyrzekliście sobie wspierać się wzajemnie w spełnianiu myśli Bożej, która spoczywa na was, by przyspieszyć panowanie Boga na ziemi. Jeżeli pozostaniecie wiernymi, wzniesiecie się na wyższe szczeble i zostaniecie wreszcie dwoma duchami w jednem ciele, wedle praw Jezusa Chrystusa. Będziecie mieli dowód, żeście spełnili to prawo, jeśli przed opuszczeniem tej ziemi będziecie mieli pewność i żądzę przedłużenia waszego związku w waszych przyszłych żywotach przez wieki".

Zwróciwszy uwagę obojga nowożeńców na konieczność „pracy bez przerwy nad własnem oczyszczeniem, nad własnem podniesieniem", Mickiewicz jako „Urząd" surowo ostrzegał:

„Małżonko Łącka, siotro moja! jeśli niewierna swemu przyrzeczeniu zechcesz się ograniczyć do życia zwierzęcego, ziemskiego i pogańskiego; jeśli poważysz się zatrzymywać swego męża w pochodzie postępowym ku Bogu: jeśli zapragniesz, by dla rozkoszy życia powszedniego poświęcił swe obowiązki chrześcijanina, sługi Sprawy Miłosierdzia..., wtedy będzie mym obowiązkiem przestrzec cię, a jeśli zostaniesz uporną w złem, będę miał prawo i siłę odłączyć mego brata od towarzyszki kusicielki i damy mu siłę ciśnienia o ziemię tego, co ku ziemi dążyć będzie upornie.

„Bracie Juljanie, jeśli przez obojętność lub lenistwo ducha odmówisz swej żonie należnej rady, opieki, miłości; jeśli zaniedbasz obowiązków twego urzędu wobec twej towarzyszki, jedynie, by szukać rozkoszy gdzieindziej; jeśli kiedykolwiek ulegniesz złemu tak, że zechcesz rozłączyć się z nią dla widoków ziemskich, namiętności lub dobrobytu materjalnego, — ja, twój Urząd i ci bracia, świadkowie waszego małżeńskiego aktu, zobowiązujemy się dać ci przestrogę, a gdybyś w złem się upierał, przestaniesz być nam bratem i jako chrześcijanie, jako Polacy, jako żołnierze Sprawy, zażądamy od ciebie rachunku z krzywdy, wyrządzonej naszej siostrze. Ojcze wiekuisty! któryś stworzył nas

[1]) *Oeuvre de la Miséricorde*, nazwa już dawniej przyjęta dla Sprawy A. Towiańskiego.

mężczyzną i kobietą, byśmy stanowili zastęp Twych sług na ziemi;

Jezusie Chrystusie! Ojcze najwyższy i zbawco ludzkości! Marjo Dziewico! Królująca zastępom wiernych! raczcie przyjąć akt, który spełniamy; oczyścić, co nieczystego, udoskonalić, co niedoskonałego we mnie, który błogosławię temu aktowi przez zasługi Pana naszego, Jezusa Chrystusa i przez poświęcenie i prace Jego sługi, naszego Mistrza, który przyszedł urzeczywistnić zakon Pana naszego Jezusa Chrystusa".

Mistrz Andrzej, dowiedziawszy się o rzekomym ślubie, nie był wcale z tego zadowolony; skarcił postępowanie Mickiewicza i zmusił Łąckiego do wzięcia ślubu w kościele. Towiański i tym razem — jak przed kilku laty w sprawie kapliczki dla hostji krwawej z Tilly, dał dowód większej wstrzemięźliwości, aniżeli poeta. Mickiewicz zrozumiał, że „bez widocznego znaku woli Bożej" sankcji kapłaństwa w nowym zakonie się nie uzyska. W przemówieniu swem na Kole w Wielką Sobotę 1847 r. (3 kwietnia) Mickiewicz wykazał wielką tęsknotę za kapłanem, ale zarazem i trudność zdobycia kapłana, „opatrzonego sankcją". Wywodził to świetnie na przykładzie sakramentu pokuty. „Chrystus nauczył, że wyjawienie grzechu drugiemu zabija złe, będące w duchu, wyrzuca je precz i goi ranę; ale jest to tajemnica, nieodstępna rozumowi. Grzech wyjawiony, jak *korzeń ziela,* wydobyty z ziemi, skoro nań *promień słońca* padnie, traci życie, usycha, już nie odrasta. Czemu tak jest? nie wiemy; ale Kościół na tem stoi. Kościół stoi nie naukami księży, tylko tem, że się w nim grzechy ludzkie kończą wyjawieniem i rozgrzeszeniem. Kto przed Bogiem duszę swoją może tak otworzyć, żeby aż uczuł, co się czuje, grzech wyjawiając księdzu; kto potem dozna tej ulgi, jaką na skruszonem sercu sprawuje promień łaski rozwiązującej, ten dla siebie innej spowiedzi nie potrzebuje. Ale moc rozwiązywania wszelkich grzechów drugim, ta należy tylko do tego, komu jest dana. Chrystus dał był ją swoim uczniom i apostołom. Mieli oni widocznie sankcję tej mocy i dlatego utrzymało się, przyjętem zostało, co zakładali... (Mistrz pokazał taką sankcję danej jemu mocy, przywracając przytomność mojej żonie...). Winę bratu odpuścić

każdy może; ale żeby kto z nas mógł brać na siebie rozwiązanie grzechów cudzych, tego nie czuję. Spowiedź w kościele odbywa się pod strażą mnóstwa wielkich duchów; charakter księdza jest oparty o nie i *stamtąd* (!) idzie moc rozgrzeszania". [1]).

Towiański z pewnością dowiadywał się uboczną drogą z Paryża do Zurychu o pracach duchowych Mickiewicza; wiedział doskonale, czem dla Sprawy był do niedawna głosiciel jej nieustraszony z katedry w Kollegium francuskiem. To też starał się usilnie nawiązać na nowo nici duchowe, stargane niebacznie w Zurychu pogróżką snu o matce poety. Sam więc pierwszy po dłuższem milczeniu odezwał się do Mickiewicza (1 maja 1847 r.), uderzając w strunę wspomnień, drogich poecie. Nie zawiódł się na czułem sercu męża, wdzięcznego za uzdrowienie żony. Odpowiedział Mickiewicz listem wspaniałym z dn. 12 maja 1847 r.:

„Sam widok pisma" Mistrza „ruszył go radością"; — ale radość nie była zupełna, gdyż do niej mięszały się zaraz niemiłe przypomnienia faktów, które wywołały rozłam. Nigdy szczerszej spowiedzi o rozterkach duchownych, wywołanych towianizmem, nie usłyszał Mistrz Andrzej:

„To drgnięcie, któreś ofiarą twoją wywołał, Bogu tylko należne, w twoje ręce złożone, myśmy po nie sięgali. Za chwilkę zapału, okazanego w pobliżu ciebie, zapału przemijającego, a niekiedy *udanego*, chcieliśmy to drgnięcie kupić... Drgnięcie dusz wystawialiśmy na widok, jak okrasę próżności naszej; zadawaliśmy to drgnięcie jeden drugiemu, jakby jakiś martwy inwentarz, z pod jednej ręki pod drugą zapędzany. Kazaliśmy braciom radować się lub boleć, kochać lub nienawidzieć, często nie mając w sobie tego uczucia bolu lub radości, do któregośmy wzywali!...

My wyzywający, sami będąc w braku wiary, w czczości, w utrapieniu i nie mogąc znieść samotności, która nas wobec nas stawiąc, nicość nam naszą pokazywała, wypadaliśmy na braci, zadawaliśmy im cierpienia, aby widokiem ich mąk tragicznie rozrywać się. Doszło było do tego, że wyzywający podobni stali się do słabnących tyranów, którzy tylko w krwawej kąpieli ciepło znajdują.

Brano kąpiele z ducha bratniego!... Zaprowadziliśmy władzę najsmutniejszą, jaka jest na globie; wła-

[1]) Współudział, II, 83—84.

dzę, którą w kraju naszym mają ochmistrzynie, ekonomowie, ludzie dworscy i panicze goście nad chłopami; władzę najsmutniejszą, bo ona zna tylko doniesienia, kary, bo tam niema skargi i obrony, wysłuchania i sądu i wyroku; władzę, którą Opatrzność już nawet z ziem słowiańskich usuwa. Tę władzę chcieliśmy uprawnić spajając ją z władzą duchową. Dlatego powtarzaliśmy, że mówimy, że rozkazujemy z ducha, lubo ducha w nas nie było czuć. Braci, takimi rozkazami osłupiałych, straszyliśmy co chwila karami Bożemi; wywoływaliśmy te kary; cieszyliśmy się, kiedy brata ból lub nędza dotknęła, odpychaliśmy go, deptaliśmy! Stawaliśmy się podobni trzodzie wilków, która towarzysza rannego rozdziera i pożera".

Dantejski zaiste obraz!

Czy nie zadrżał w głębi ducha swego „Mistrz", gdy mu taki dowód spustoszenia, taki widok pobojowiska moralnego przed oczy stawił świadek naoczny?! Czemże była skrwawiona koszula, katowanego za pańszczyzny Łuszczuka, którą przywiózł był z sobą na emigrację Towiański, — wobec tych ran ducha, które zadawali bezlitośnie wyznawcy Mistrza „braciom" swym „osłupiałym"!?

Z jaką nieubłaganą logiką, z dziejów religij wysnutą, stwierdzał wobec Mistrza Mickiewicz: „Wszystkie nadużycia, które były w dawnej synagodze Izraela, wszystkie te, których dopuścił się w ciągu wieków urząd kościelny, prędko śród nas przeowocowały". To też pod koniec długiego listu do Mistrza, listu, rosnącego na straszny akt oskarżenia, Mickiewicz, pełen żalu wyznawał szczerze:

„Po tem wszystkiem trudno nam wrócić do tego zaufania, do tej szczerości, z jakąśmy się zeszli przed laty; a bez niej niema płomienia, niema czynu. I nie wrócimy tam, aż *każdy z nas* poczuje, co przewinił... Nad tem pracujemy. Tymczasem iskrę ducha przechować staramy się. Wiary, Nadziei i Miłości nie zgubiliśmy. Wołać do Boga nie ustajemy. Matki Boskiej, Matki naszej o przyczynienie się prosimy: bośmy ze wszystkich dzieci Jej w najcięższem położeniu. W miłosierdzie Boże ufamy..." [1])

[1]) Wspomnienia, II, 88—90.

(C. d. nastąpi)

*Prof. J. Kallenbach.*

# Echa „Wertera“ w Polsce.[1])

## 1. *Przed Mickiewiczem.*

Na przełomie wieku 18 i 19-go słowo *Werter* było słowem magicznem: na dźwięk tego słowa napełniały się łzami mdlejące oczy, a serca uderzały żywiej. Nie było pięknej duszy, któraby nie czytała *Wertera*. Romans Goethego, wydrukowany lat temu sto pięćdziesiąt, zdobył sukces, który byłby znacznym nawet i dzisiaj. Dość powiedzieć, że od daty pierwszej edycji do roku 1780, a więc w przeciągu lat szesnastu, pojawiło się w Niemczech 20 wydań: 8 wydań uprawnionych i 12 przedruków, nie licząc tych wydań, które zostały „zaczytane“ i do naszych rąk nie doszły. *Werter* porywał i zachwycał szczególnie młodzież. Był to bowiem poemat z „ognia i łez“, poemat tętniący młodą, żywą krwią serdeczną. Nic dziwnego; wszak twórca jego, pisząc go, miał lat 25 i przeżył świeżo bolesną tragedję-idyllę. Była nią miłość młodego adwokata, Wolfganga Goethé, do narzeczonej Kestnera, Charlotty Buff. Narzeczony był to człowiek o dzielnym, prawym charakterze, narzeczona była istotą równie szlachetną, jak pełną kobiecego wdzięku. Oboje byli godni siebie i pozostali sobie wiernymi, a miłość Goethego już w założeniu skazana była na śmierć. Obok tego zawodu sercowego złożył się cały szereg przykrych wrażeń różnego rodzaju, a przedewszystkiem przyziemność społecznego życia ówczesnych Niemiec, na stwo-

[1]) Artykuł ten, przeznaczony na stopięćdziesiątą rocznicę wydania „Wertera“, nie mógł być, z powodów niezależnych odemnie, wykończony na czas. (Przyp. aut.).

rzenie tego pesymistycznego nastroju, który owiewa cały poemat i stanowi jego podłoże filozoficzne, a który Niemcy nazwali później *Weltschmerzem*, Francuzi zaś, trafnie doszukując się jego źródła *le werthérisme.*

Francja była krajem, w którym przedewszystkiem werteryzm znalazł podłoże i w sentymentalnej, przedrewolucyjnej epoce rozwinął się bujnie. Werteryzm był jednym z wyrazów niepokoju dusz, dążących do zmiany stosunków społecznych, który wywołał później wielką rewolucję francuską, był wyrazem tęsknoty za swobodą uzewnętrznienia irracjonalnych pierwiastków ducha w umysłach i sercach, znużonych racjonalistyczną filozofją, tęsknoty, która wyczarowała później rewolucję duchową romantyczności. Pierwszy przekład francuski *Wertera* pojawił się podobno w roku wydania oryginału i poprzedził listę 19 przekładów francuskich, 12-tu angielskich (z których pierwszy z r. 1779, jak i kilka następnych opiera się na przekładach francuskich), 7-mu włoskich (pierwszy w r. 1781), 3-ech hiszpańskich i całego szeregu innych we wszystkich niemal językach europejskich, a nawet i kilku pozaeuropejskich. Romans Goethego spopularyzowały nie tylko przekłady, ale także w wielkiej mierze i różne inne utwory, które otoczyły rojem powieść niemiecką, wkrótce po zjawieniu się jej w świecie czytelników. Długa lista, osnutych na *Werterze* powieści, dramatów, listów i poezyj, parodyj i komedyj, różnych dalszych ciągów i uzupełnień przez lat kilkadziesiąt przewija się we wszystkich literaturach Europy. Na Francję, a dzięki Francji, dzierżącej berło w świecie literatury, na całą Europę uderzyły koleino dwie fale werteryzmu. Pierwsza przyszła zaraz po wyjściu z druku arcydzieła. Potem nastąpiły krwawe wypadki rewolucji, które oddzieliły Francję jakby niewidzialnym kordonem od świata; dopiero wojny napoleońskie przez samo mechaniczne niejako zmieszanie przedstawicieli różnych narodów w jednej armji, przerzucanie ich z krańca w kraniec świata, od „puszcz libijskich do Alpów podniebnych", a nieco wcześniej polityczna emigracja Francuzów w ościenne kraje wzbudziły na nowo międzynarodowe stosunki literackie. Wtedyto Pani de Staël swą pełną entuzjazmu, z bajeczną werwą napisaną książką, umiała wzbu-

dzić zainteresowanie literaturą niemiecką i przyczyniła się do wzniesienia się drugiej potężnej fali werteryzmu.

Z tą drugą głównie falą przybył werteryzm i do nas, ale u naszych granic fala ta osłabła i rozlała się dość szeroko wprawdzie, lecz płytko. I rzecz to bardzo charakterystyczna: gdzieindziej zaczynało się od przekładania *Wertera*. U nas jedyny w 19 wieku przekład *Wertera* pojawił się późno — w 47 lat po wyjściu z druku oryginału i nie miał zbyt wielkiego powodzenia. Przyczyną było zapewne to, że przekład ten nie był wcale potrzebny, bo *Wertera* czytano u nas po francusku — w języku długi czas powszechnie znanym, a przez czas nie wiele krótszy wyłącznie prawie uznawanym w tym świecie, który czyta powieści. Natomiast w sto lat mniej więcej po tym pierwszym przekładzie, dzisiaj, a raczej wczoraj, zyskaliśmy aż trzy przekłady tego starego, a jednak wiecznie młodego, poematu i to przekłady pióra znanych pisarzy, choć nie zawsze może stojące na wysokości innych ich dzieł.

Że mimo braku przekładów romans Goethego był znany i czytany w Polsce, świadczy naprzód struna sentymentalizmu, której brzmienie wzmogło się wówczas; trzeba jednak naturalnie liczyć się z tem, że potrącił ją nietylko Goethe, ale silniej może jeszcze i Rousseau, a przedtem z jednej strony Ossjan, z drugiej Gessner, a wreszcie może i Richardson. Po drugie mamy jednak i bezpośrednie naśladownictwa — polskie werterjady. Zainaugurowało je tłumaczenie werterjady niemieckiej p. t. *Zygwarda klasztorne przypadki* z r. 1779. Źródło jego znamy dobrze: jest to powieść p. t. *Siegwart, Eine Klostergeschichte,* której autorem jest Joh. Martin Miller.

Wspólną cechą tych pierwszych powieści jest to, że splatają z sobą różne pierwiastki, nastroje i motywy — motywy i nastroje specjalnie werterowskie są cząstką ich lub częścią, mniejszą lub większą. Niema, o ile wiem, ani jednej takiej powieści polskiej, którąby można bez zastrzeżeń odnieść bezpośrednio do *Wertera*, jako do jedynego, lub najważniejszego źródła. Zagranicą zaś takie powieści istnieją. Przyczyną tego zapewne jest fakt, że polskie powieści werteryczne oparte są w większej części na tych właśnie zagra-

nicznych przeróbkach i odmiankach *Wertera.* Nie są więc bezpośredniem naśladownictwem powieści Goethego i tylko należą do obszernego kręgu werterowskiego.

To pośrednicze przechodzenie tematów powieści Goethego przez dziesiątki rąk stało się zapewne jedną z przyczyn, że „werterjady" polskie dzielą z przeważną częścią zagranicznych charakterystyczną cechę: oto wszystkie wzięły z *Wertera* tylko sentyment, a jeśli kto woli, sentymentalność, a nie wzięły nic, lub prawie nic z myśli *Wertera.* Tylko fabuła, tylko obraz uczuć wrzących lub łzawych, tylko sztafaż i nastrój romantyczny odbija się w tych powieściach. Filozofja *Weltschmerzu,* filozofja pesymizmu w stosunku do wszechświata z jednej strony, a rezygnacji z osobistych praw do szczęścia z drugiej, pozostała dla twórców tych powieści i ich czytelników przeważnie niezrozumianą.[1])

Byli jednak ludzie, którzy umieli może dostrzec w *Werterze* pierwiastki inne i choć nie ogarniali całości jego filozofji pesymizmu, odczuwali niektóre jej elementy. Wskazuje to artykuł, drukowany w założonej przez Grzymałę „Astrei" p. t.: „O literaturze romansów w ogólności i w szczególności o polskich tego rodzaju płodach z przyłączeniem uwag nad romansem polskim, mającym tytuł: Nierozsądne śluby — Listy dwojga kochanków na brzegach Wisły mieszkających" etc. (T. I, nr. 1, Warszawa 1821, str. 3 i nn.). Za najlepszy z romansów niemieckich uważa autor *Wertera.* „Niemasz pisma — pisze — któreby malowało prawdziwiej i mocniej obłąkania czułości, któreby bardziej zgłębiło otchłań boleści i nieszczęścia". A dążność do analizy stanów duszy, do „filozoficznego rozbioru uczuć i namiętności, do zastanawiania nad doznanemi wzruszeniami duszy jest niebezpieczną w tworach wyobraźni drogą. Rousseau i Goethe doszli na niej do najwyższego szczytu i nadali swym płodom cechę jedyną, której nikt bezkarnie naśladować nie może, kto nie ma ich genjuszu i czucia". Autor nie umie wyczerpać wszystkich

[1]) Por. Wojciechowski: „Werter w Polsce", Lwów 1904. A. Łucki: Wstęp do K. Brodzińskiego „Rozprawy o klasyczności i romantyczności", Bibl. narod. ser. I, nr. 10, Kraków s. a. J. Muszkowski: „Przedmowa do przekładu Wertera przez L. Staffa", Dilecta, wybór najcelniejszych utworów lit. powsz. Poznań (1922) i w. i.

rysów filozofji werterowskiej. Że dostrzegał ich wiele, świadczy o tem pośrednio charakterystyka nowszej literatury wogóle, którą można zastosować wprost do *Wertera:* „Jedną z cech charakterystycznych literatury nowoczesnej jest pewna tkliwość rozmyślna i smętna, pochodząca z wczesnego połączenia uczuć moralnych z ogniem namiętności gwałtownych i stąd wynikające rozważanie stanu własnej duszy. Bolesne uczucie znikomości naszego istnienia jest wrodzone wzniosłym umysłom; a szlachetna potrzeba wyrwania się z szranków codziennego życia wzbudza w nich wszystkie wielkie wzruszenia".

Kwestja samobójstwa, która stanowiła zagranicą przedmiot najzaciętszych walk i sporów o wartość romansu Goethego, budzi i tu także pewne wątpliwości. Zarzucano Goethemu, że przedstawiając fakt samobójstwa w poetycznem świetle, napisał książkę demoralizującą. Mało kto zdawał sobie sprawę z krytycznego stanowiska autora do jego bohatera i mało kto zwracał na to uwagę, że samobójstwo, które w sposób nader logiczny kończy drogę rozwoju psychicznego *Wertera,* nie jest zachętą, ale mogło być raczej ostrzeżeniem przed wstępowaniem na tę drogę. Autor naszego artykułu, jak się zdaje, widzi sprawę samobójstwa Wertera w tem właśnie świetle — ale nie chcąc może narazić się opinji publicznej, potępia samobójstwo Wertera, a raczej jego kopji, Władysława ...ze względów artystycznych. Przytoczony artykuł zasługuje na uwagę dlatego, że autor jego — umiarkowany bardzo romantyk, który nie zapomniał jeszcze tradycyj pseudoklasycznych — bez wahania przyznaje Goethemu genjusz, widzi w jego twórczości „głęboką filozofję, pełną tkliwości i uczucia duszę", „żywą wyobraźnię", „czysty i trafny gust". Tego rodzaju sąd o Goethem nie tylko bezstronny, ale niemal entuzjastyczny, był wówczas w Polsce rzadkością, a i zagranicą należałby w tym czasie, jak można sądzić z zagranicznych opracowań kwestji wpływu i znajomości Goethego, do zjawisk niezwykłych. Autor artykułu zainaugurował w serdeczny niemal sposób pewne zbliżenie polskiej publiczności do *Wertera,*

jakie miało niebawem nastąpić przez pojawienie się przekładu Brodzińskiego.

Najbardziej bowiem realnie objawił się zapał do *Wertera* u szczerze sentymentalnego poety, Kazimierza Brodzińskiego, bo w postaci przekładu całej powieści. Przekład Brodzińskiego ukazał się bezimiennie w r. 1821, ale już z datą roku 1822 na karcie tytułowej. Oparty jest na drugiej, rozszerzonej i zmienionej cokolwiek redakcji romansu z r. 1787. Szczegółowe porównanie przekładu Brodzińskiego z różnemi wydaniami tej drugiej redakcji pozwoliło mi nawet ustalić wydanie, z którego korzystał Brodziński. Jest niem wydanie najstarsze tej drugiej redakcji, którego pełny tytuł brzmi: *Goethe's Schriften, Erster Band, Leipzig, bey Georg Joachim Göschen*, 1787. Wydanie to ozdobione jest ilustracjami, z których jedną wykonał Daniel Chodowiecki.[1]) Przekład Brodzińskiego jest naogół wierny, a co ważniejsza — mimo pewnych błędów stylowych, a nawet wprost gramatycznych — odznacza się dobrem odczuciem ducha obu języków. W kilku miejscach są niedociągnięcia, n. p. w przekładzie słynnego ustępu o naturze-potworze, pożerającym własne swe płody. Nie miejsce w ramach artykułu na szczegółową analizę tłumaczenia Brodzińskiego. Ogólnie można powiedzieć, że obok wierności odznacza się ono żywem tętnem, serdecznością w oddaniu uczuć, a miejscami bije zeń szczery i silny wiew poezji. Szczególnie pięknie wypadły ustępy z pieśni Ossjana, wplecione przez Goethego w tok opowieści. Przy ocenie przekładu Brodzińskiego należy brać pod uwagę stan języka, a raczej stylu poetyckiego w owym czasie. Za czasów stanisławowskich, wdrażany do jasności i zwięzłości, stał się styl ten aż nadto czasem prostolinijnym; język nie przywykł służyć wybuchom namiętności. To też Brodziński musiał łamać się z formą, musiał nieomal stwarzać język i styl romantycznej powieści, który dotychczas zaledwo zaczynał istnieć. Z tych trudności wyszedł styl przekładu Brodzińskiego, mimo pewnych chropowatości, naogół zwycięsko.

[1]) Możliwem jest także, że Brodziński miał w ręku jeden z 6 przedruków tego wydania. Posuwając szczegółowe badanie dalej, możnaby stwierdzić i to, który z nich był źródłem Brodzińskiego.

Obszerna recenzja tego przekładu ukazała się zaraz po jego wydrukowaniu w *Gazecie literackiej* Chłędowskiego (nr. 50 z dn. 11. XII. 1821, str. 391 i nn.). *Gazeta literacka* należy do nielicznych wówczas czasopism, które z żywem zainteresowaniem śledzą ruch umysłowy zagranicą, opierając się przytem przeważnie jednak na artykułach czasopism obcych, głównie niemieckich, z któremi redaktor *Gazety* był dobrze obeznany. Autor obszernej recenzji ocenia przedewszystkiem sam oryginał Goethego, określając go w sposób bardzo charakterystyczny, jako dzieło niemal dydaktyczne, którego przedmiotem jest „wystawienie niebezpieczeństwa sentymentalności“. Zabezpieczywszy się w ten sposób od możliwych zarzutów, swobodnie rozpisuje się o bohaterze romansu. „Z imaginacją ognistą i żywą, z bystrym dowcipem łączy czułość głęboką i serce niepodległe i szlachetne“. „Gdy zaraz z początku nie położył tamy uczuciu, bądź przez zaufanie w sile swego umysłu, bądź przez niewiadomość tego stopnia, do którego namiętność jego dojść będzie mogła, popełnił zaiste wielki błąd, za który też ukaranym zostanie. Kiedy się spostrzegł, już było za późno. Kiedy zaczął pracować dla zajęcia czem innem swojej myśli, już wtenczas rozumowi jego panowało serce. Nieszczęściem otoczony został pospolitymi ludźmi, których zimne i wymierzone postępowanie w spełnianiu życia, nie mogło się podobać pałającej jego i ognistej duszy. Szczery, prosty i z wyższego stanowiska na ludzi i rzeczy ludzkie poglądający, nie mógł znieść drobnych zabiegów próżności etc.“. „Uczucie gwałtowne, nadzieją żadną nie podsycane, sprowadziło wkrótce melancholję i pogarda życia i rozpacz stopniami niszczyć zaczęły działalność mocnego niegdyś ducha... widząc się przykrym sobie samemu i ciężkim, nikomu niepotrzebnym i nieużytecznym, znaglony czczością swojego bytu, przekonany jeszcze sofizmatami o słuszności swojego zamiaru... straszne postanowienie wykonał“. „Taka jest treść tego romansu: prosta, jasna i naturalna, w często przytrafiającej się i w podobnej do prawdy okoliczności swoją osnowę, a w charakterze i usposobieniu

Wertera rozwiązanie mająca“. Recenzent dojrzał więc trafnie dwa elementy tragedji Wertera: beznadziejną miłość i niewolę stosunków społecznych, gnębiącą romantyków, pominął trzeci i może najważniejszy, t. j. istotną filozofję pesymizmu, która nie jest u Wertera czemś wyrozumowanem, lecz wypływa z najgłębszych głębin jego jaźni, z samego dna jego istoty duchowej. Zakończenie recenzji (którego, by artykułu nie przedłużać, nie przytaczam), stanowi jeden więcej z licznych przykładów, jak w każdej niemal okoliczności łączono u nas wówczas imię Goethego z opozycją przeciw wyłączności wzorów francuskich i z hasłami swobody, naturalności i prostoty w literaturze.

### 2. *„Werter“ a „Dziady“.*

Fala werteryzmu nie ominęła i twórcy polskiej romantyczności, Mickiewicza, który przechodząc w rozwoju swym te same niemal fazy, jakie przed nim przechodziła literatura polska, — stworzył w swej twórczości syntezę wszystkich dotychczas w niej zawartych pierwiastków. *Wertera* czytał Mickiewicz jeszcze w latach kowieńskich i utwór ten sprawił na nim wielkie wrażenie, skrystalizowane nawet w zamiarze tłumaczenia go, jak o tem świadczy korespondencja, zawarta w pierwszej części *Archiwum filomatów* (5 tomów, wyd. Akademji Umiejętności, Kraków 1914). Ale na podstawie tejże korespondencji można przypuszczać również, że Mickiewicz nie zwrócił większej uwagi na filozoficzną treść *Wertera.* Nie jest to dziwnem, że przedewszystkiem fabuła i nastrój musiały uderzyć wyobraźnię i serce polskiego poety. Wszakże sytuacja werterowska tak dokładnie przypominała sytuację, w jakiej znalazł się Mickiewicz, wszakże tragiczne nastroje *Wertera* ze straszną realnością musiały odbijać się w duszy poety. Świadczy o tem cały szereg utworów Mickiewicza: [1]) *Żeglarz,* ballady, jak *Dudarz* (który jest jakby czwartą częścią *Dziadów en miniature), To lubię* i inne, sonety erotyczne, świadczą najdobitniej *Dziady:* część pierwsza, a zwłaszcza czwarta.

Sytuacja werterowska znajduje się w *Dziadach* niejako

[1]) Szczegóły omawiam w artykule „Mickiewicz a Goethe“. (Pam. liter. tom XXI, Lwów 1924).

w tle — biegu wydarzeń, przypominającego fabułę *Wertera*, nie widzimy na scenie. Domyślamy się go tylko z niejasnych majaczeń i wspomnień upiora. Podobieństwo jednak między obu utworami nie jest zawarte w sytuacji. Sytuacja, pomieszczona w tle *Dziadów*, istniała w życiu Mickiewicza i stamtąd, a nie z *Wertera* została do cmentarnego poematu poczerpnięta. Ale *Werter* przyczynił się do takiego, a nie innego jej ujęcia. Pojęcie miłości, jako siły jedynej, elementarnej, która tworzy światy, a niezaspokojona staje się siłą burzącą, jest analogiczne w obu poematach. Analogiczne jest też wyzwolenie się, u Goethego mniej wyraźne, u Mickiewicza, może pod wpływem zarzutów, stawianych *Werterowi* wyraźniejsze, z pod czaru tego poglądu na świat i sposobu odczuwania, który owładnął był dusze twórców, a nie istniał już prawie w chwili pisania poematu, lub istniał w zmienionej formie. Samo napisanie poematu było już do pewnego stopnia wyzwoleniem z zaczarowanego koła myśli.

Typowo werterowskie jest też w *Dziadach* to nieustanne przechodzenie od nastroju do nastroju: poczynając od rzewnego i pogodnego smutku poprzez tony żalu, tęsknoty, miłości, namiętności, aż do wybuchów rozpaczy przechodzą obaj poeci — z równą sztuką — całą skalę uczuć. Całe, u obu bohaterów, bogactwo wrażeń estetycznych — sztuki plastyczne, poezja, pieśń i żywa przyroda — składa się na to, by ubarwić i opromienić miłość i ukochaną osobę. W tym względzie kilka scen z *Dziadów* jest wiernem niemal odbiciem kilku scen *Wertera*. Należy do nich n. p. przecudna, nokturnowa scena pożegnania na tle jesiennej, cichej nocy. W ogóle rola krajobrazu w obu dziełach jest analogiczna: szata jego i nastrój dostosuwuje się do stanu uczuć bohatera. W *Werterze* wiosna pogodna, jasna, ziemia w rozkwicie towarzyszy pogodnym, spokojnym uczuciom bohatera w początku poematu i rozkwitającej jego miłości; tragedja zaś jego duszy, wznosząca się stopniowo aż do kulminacyjnego punktu samobójstwa, rozgrywa się na tle zamierającej jesienią przyrody. Podobnie w *Dziadach*: pogodna n. p. jeszcze — mimo wszystko — i cicha scena pożegnania rozgrywa się wśród cichej nocy, oświecona przymglonym blaskiem gwiazd; beznadziejną samotność odczuwa bohater w innego

zgoła rodzaju wieczór, chroniąc w krzakach głowę przed potokami ulewy i uderzeniami wichury [1]) a wybuchom jego rozpaczy i szału w domu księdza towarzyszą ciemności i „straszny szturm na dworze".

Widocznem jest również, że i styl wynurzeń i wybuchów Gustawa kształcił się na stylu *Wertera.* I tu i tam dostosowuje się on z cudowną giętkością do fali uczuć. Czasem płynie spokojnie, jak one: długie okresy, pięknie zbudowane i harmonijnie zaokrąglone, wyrażają bądź rozumowanie, bądź opis, pełen plastyki, bądź spokojną analizę własnych przeżyć, czy uczuć. Wtem nagła jakaś myśl podnieci uspokojoną duszę; rodzi się, wzrasta i potężnieje jakieś uczucie, jakiś afekt opanowuje całe jestestwo bohatera — natychmiast cały styl się zmienia: zdania stają się coraz krótsze, tłoczą się jedne za drugiemi bez ładu, urywają się, mieszają się z sobą; wzrasta liczba znaków pisarskich: wykrzykników, myślników, znaków zapytania. Jeden krótki wyraz zastępuje całe zdanie, oddaje całe szeregi myśli, które streściły się w jednem uczuciu.

Oto mniej więcej punkta styczne, łączące genjalny utwór Goethego z niemniej genjalnym utworem Mickiewicza. Czy są różnice? Są oczywiście, i to ogromne: tak różne są oba poematy, jak różną była indywidualność ich twórców. Największą różnicą między obu utworami jest różnica w idei, w przewodniej myśli. Różni różnie rzecz tę ujmowali — mojem zdaniem istota tej różnicy polega na odmiennym stosunku obu bohaterów do Boga, czyli — co na jedno wychodzi — na tem, że różny jest stopień, czy też różna jakość religijności obu autorów. Werterowi brak podstaw religijnych. Stosunek jego do przyrody jest jasny — filozoficzny rozwój tego stosunku możemy śledzić z zainteresowaniem dzień po dniu. Wiemy też, jaki jest jego stosunek do ludzi. Stosunek do Boga natomiast nie zarysowuje się jasno; stosunek Wertera do zagadnień religijnych jest powierzchowny i nieustalony. Widać wahanie między trzema kierunkami: jednym z nich są tendencje pietystyczne, które

[1]) Ten kontrast podkreśla jeszcze Mickiewicz, gdy każe Gustawowi, wspominającemu ten drugi wieczór przez pomyłkę rozpocząć opis pierwszego wieczoru i potem nagle go przerwać.

Goethe poznał przed kilku laty, drugim, poznana przezeń niedawno, panteistyczna filozofja Spinozy, trzecim wreszcie wyraźny sceptycyzm w stosunku do świata nadprzyrodzonego. W tych warunkach niema mowy o ustalonej etyce. Werter nie ma zupełnie poczucia odpowiedzialności za swe czyny wobec wyższego, boskiego trybunału. Werter nie zaprzecza wprawdzie jeszcze, jak Spinoza, istnienia osobowego Boga. Przeciwnie, wpomina kilkakrotnie o Bogu, a nawet o Chrystusie — ale ten Bóg to nie stwórca i sędzia, lecz raczej figura retoryczna, piękna dekoracja, a co najwyżej wzruszające wspomnienie dzieciństwa. Jest to dobrotliwy ojciec, który mu wszystko wybaczy. Na czyny Wertera nie wpływa myśl o Bogu bynajmniej. Między postępowaniem jego, a jego Bogiem niema żadnej wspólnej platformy. Jego Bóg, to piękna gwiazda, świecąca gdzieś zupełnie na uboczu — a etyka Wertera, jeśli ją nazwać można etyką, wypływa z chaosu jego instynktów i popędów, To, co im Werter usiłuje przeciwstawiać, jest zbyt słabą zaporą, która upada przy silniejszym podmuchu. Przeważnie dzieje się tak, że Werter do swoich popędów nagina swoją teorję etyki, a nie przeciwnie. Charakterystycznem jest w tym względzie samobójstwo Wertera — niewątpliwie pochodzące ze słabości jego charakteru; Werter jednak uważa je za czyn etyczny, za pokutę i karę, którą sam sobie nakłada.

Jest więc w powieści Goethego tylko świetnie podpatrzona historja ducha ludzkiego, jest mistrzowski portret psychologiczny, ale idei przewodniej, rysującej się bezpośrednio, niema. Pośrednio, między wierszami, można wyczytać, że ideą tą jest właśnie sprzeciw wobec sentymentalizmu i słabości ducha. Ale nie wiemy w imię jakich haseł? Chyba w imię postulatu zdrowego życia ziemskiego. Mieli więc do pewnego stopnia słuszność moralizatorzy, którzy zwalczali niegdyś *Wertera.* Nie umieli oni jednak dostrzec w czem leżało właściwe — mojem zdaniem — niebezpieczeństwo romansu Goethego: jest niem właśnie ów indyferentyzm religijny, a więcej jeszcze brak poczucia odpowiedzialności moralnej. Niebezpieczeństwo — nawiasem mówiąc — ukryte i dziś w tysiącach, napozór nieszkodliwych, a nawet „moralnych" dzieł sztuki niższej, średniej i najwyższej nawet nie-

kiedy, w tych dziedzinach, jak powieść, dramat i... kinematograf, gdzie oddziaływa ona na szerszy ogół.

Wprost przeciwnie jest w *Dziadach*. *Dziady*, przeciwnie, jak *Werter*, są poematem na wskróś religijnym. Tam wszystko, co się dzieje na ziemi, dzieje się nie dla ziemskich celów. Tam wszystko ziemskie tkwi korzeniami w nadprzyrodzoności — zdarzenia ziemskie nabierają sensu, znaczenia i logiki dopiero z punktu widzenia nieskończoności. Na własne swe dzieje i na dzieje swych najbliższych autor — choć drżący jeszcze wzruszeniem i żalem — patrzy *sub specie aeternitatis*, a *aeternitas* tę pojmuje czysto po chrześcijańsku, jako nieśmiertelność rzeczywistej, indywidualnej, jednostkowej duszy. Tam jest wiara, może subjektywnie zabarwiona, ale silna i ustalona — tam niema miejsca na sceptycyzm. Tam są zasady etyki silne, konsekwentne i nieubłagane — wypływają bowiem ze sfer nadziemskich. Z tych wszystkich powodów i punkt wyjścia jest inny, i konkluzja jest inna. *Werter* kończy się katastrofą, śmiercią — na dalsze dzieje bohatera spada zasłona; Goethe nie wie, co się stało z duszą jego bohatera. *Dziady* zaczynają się od śmierci — są historją duszy po śmierci ziemskiej człowieka. Ideą przewodnią *Dziadów* jest wykazanie ścisłej zależności świata ziemskiego od świata nadprzyrodzonego — jest wiara w osobistą nieśmiertelność duszy i taki jej los w tym świecie wyższym, na jaki zasłużyła życiem na ziemi.

A więc zewnętrzna niejako część obu poematów jest wspólna. Założenie, podstawy, fundamenty są podobne. Ale wewnętrznie *Dziady* przewyższają *Wertera* o całą tę nadbudowę etyczną i religijną, na którą Goethe zdobył się dopiero w drugiej części *Fausta*, kształtując ją zresztą inaczej, niż Mickiewicz. W *Werterze* jej niema, niema tam żadnej filozoficznej afirmacji, jest tylko negacja.

Drugą ważną, ale w stosunku do tej pierwszej, ideowej, podrzędną różnicę między obu poematami stanowi ich f o r m a. Goethe użył starej, i *a la longue* najbardziej może nużącej, formy romansu w listach — umiał jednak w formę tę wlać nowe życie. Mickiewicz, pisząc *Dziady* w pół wieku później użył formy dramatu fantastycznego, a raczej, według wyrażenia George Sand, metafizycznego. Formę tę zapoży-

czył również u Goethego; ale nie z płytkiego, mimo wszystko, *Wertera,* lecz z nierównie potężniejszego *Fausta,* który głębią myśli przewyższa *Wertera* o tyle, o ile przewyższają go pod tym względem i *Dziady.*

Mimo wszystko, co zostało powiedziane o różnicach ideowych między Goethem i Mickiewiczem, można powiedzieć, że słuszność ma Gustaw, gdy w chwili pozornego uspokojenia stwierdza, że z całej lektury młodości pozostały mu w pamięci tylko „żale Heloisy" i „ogień i łzy Wertera". To samo może mógłby powiedzieć o sobie i Mickiewicz w chwili pisania *Dziadów* wileńskich — ale wyłącznie w tej tylko chwili.

*Dr. Zofja Ciechanowska.*

# O Kolegjum duchowne w Petersburgu.

(Dokończenie).

---

## IV.

Ukaz z 22 maja od chwili ogłoszenia zajął i zaniepokoił biskupa Łubieńskiego tak samo, jak biskupa Popiela. Znana jest gorliwość biskupa sejneńskiego, jego pobożność, czystość zamiarów, przywiązanie do Stolicy Świętej. Tem przykrzej jest stwierdzić, że w sprawie Kolegjum rozszedł się ze swym przyjacielem, biskupem płockim. Godny pożałowania błąd, który usprawiedliwia, zdaje się, usposobienie młodego biskupa. Był on bardzo zapalny, o żywej wyobraźni, pochopny do wyszukiwania zawikłań w trudnych wypadkach. Mile widziany i uprzejmie przyjmowany w wysokich sferach Warszawy i Petersburga, wierzył biedny i wierzono chętnie w jego otoczeniu, że ze zdaniem jego bardzo się liczono w sferach urzędowych. Brat jego, Tomasz, wyraża to w tych słowach:

„Biskup. Łubieński, choć jest najmłodszym z biskupów Rosji i Polski, jest jednym z tych, których rząd rosyjski zna i ceni najwięcej. Mieszkając długo w Petersburgu i będąc, dzięki swemu urodzeniu, wykształceniu i usposobieniu, przyjmowany w najwyższych towarzystwach tej stolicy, posiada więcej stosunków towarzyskich, niż wszyscy jego koledzy. W czasie smutnych wydarzeń politycznych, wstrząsających Polską w latach 1861 do 1864, bardzo dobrze zawsze zaznaczał różnicę między sprawami politycznemi a sprawami kościelnemi, i pod względem politycznym rząd carski nic mu nie miał do zarzucenia. Rząd ten darzy go takiem zaufaniem, jakiem tylko darzyć może biskupa katolickiego i Polaka. Jego zasady religijne wywołują szacunek. To wszystko spra-

wia, że rząd miał i ma jeszcze dla niego niektóre względy, jakich nie miał i nie ma dla innych biskupów. Jedyne, co rząd mu zarzuca, to jego przywiązanie do Stolicy Świętej, o którem wie, że jest niewzruszone". [1])

Nie uważając treści tego panegiryku za fałszywą, widać, że wyciągano zbyt optymistyczne wnioski o trwałości uznania, jakiem cieszył się młody biskup. On sam zbyt był pewnym siebie. Oprócz tego zanadto ufał temu, co nazywał „węchem dyplomatycznym". W wielu okolicznościach, nawet zanim został biskupem, zdradzał chęć kierowania postępowaniem episkopatu. W sprawie Kolegjum, jego węch i przymioty niezwykłego umysłu zawiodły go.

Kolegjum w Petersburgu nie wydawało mu się takiem złem, na jakie niema lekarstwa. Jego zdaniem, władza świecka wykonywała ostatecznie tylko swoje prawo *placet* albo *exequatur,* tolerowane przez Stolicę Świętą w innych krajach. Rzym nigdy nie potępił tej instytucji, istniejącej już sześćdziesiąt sześć lat. Ukaz brzmiał twardo, ale w praktyce złagodniałaby jego szorstkość. Posłanoby asesorów do Kolegjum; ale przeciwko możliwym nadużyciom żądanoby i otrzymanoby przyrzeczenia, rękojmie. Jedną z nich byłoby, aby prezesem jego był arcybiskup mohilewski. Tak wysoki dostojnik umiałby uniknąć wszelkich pogwałceń prawa kanonicznego i przywilejów Najwyższego Pasterza. To ustępstwo usposobiłoby rząd przychylnie dla Kościoła i skłoniło do tolerancji względem niego. Przeciwnie, zająć stanowisko nieprzejednane, znaczyło oderwać katolików Polski i Rosji od ośrodka jedności i narażało na wywołanie nowych i groźniejszych zarządzeń. Czyż nie mówiono już o zniesieniu trzeciej diecezji, sejneńskiej, i o przyłączeniu połowy jej do żmudzkiej, a drugiej połowy do płockiej diecezji? Jeżeli biskup sejneński nie zastosuje się do rozkazów Petersburga i nie pośle asesora do Kolegjum, zgubi swoją diecezję; on sam zostanie pozbawiony utrzymania i zesłany na wygnanie. Biskup nie byłby zważał na siebie; ale nie o niego tylko chodziło. Ze względu na większe dobro, skłonny był ustąpić.

---

[1]) Mémoire de Thomas Lubienski, 11 décembre 1867, *AE, Russia,* Boîte 153.

Biskup Popiel, aby wiedzieć, czego się trzymać, pisał do Stolicy Świętej. Ks. Łubieński wysłał do Watykanu pośrednika, swego brata, hr. Tomasza Łubieńskiego.[1]) Tenże przybył do Rzymu 8 grudnia 1867, a wyjechał z końcem następnego miesiąca. Biskup nie mógł wybrać posła godniejszego, bardziej oddanego Kościołowi, bardziej pragnącego usłużyć temu, kto go posyłał, ale nie był dość biegłym w prawie kanonicznem, aby poruszać zagadnienia, nad któremi prawnicy zawodowi musieli się dobrze zastanawiać. Niektóre z jego pytań były tego rodzaju, że mogły podnieść włosy na głowie tak poważnego kanonisty, jak O. Tarquini. „Czy biskup Łubieński, pytał naprzykład, może swoją władzę w kwestji dyspens i pokut uważać za rozszerzoną, jakby w czasie wojny?" — „Zdaje się, że uważa, mruczał konsultor, że w czasie wojny władza biskupów rozszerza się *ipso jure* i Bóg tylko wie jak".[2]) Nie miał też hr. Łubieński dokładnego pojęcia o Kolegjum, mimo wyjaśnień, jakie brat, biskup, dać mu musiał. „Zdawało mi się..., że w Rzymie, pisał do Berga 2 kwietnia 1868 r., nie zdają sobie dobrze sprawy czem jest Kolegjum duchowne rzymsko-katolickie w Petersburgu... Niestety nie mogłem podać wystarczających szczegółów pod tym względem osobom, z któremi o tem mówiłem, bo nie przypominam sobie, abym kiedy napotkał w „Pełnym zbiorze praw" ukaz cesarski, określający prawa tego Kolegjum". Widać, że bardzo mało, albo bardzo źle szukał.[3])

W tak niekorzystnych warunkach hr. Tomasz Łubieński podejmował swe starania, układając pospiesznie rozwlekłe memorjały, czasami nadmiernie długie. Jedno z tych pism z 11 grudnia 1867 r., dotyczyło Kolegjum. Nie brakło w niem niedokładności. Autor znał bardzo dobrze encyklikę z 17

---

[1]) Vie de Mgr. Lubienski, 423—428.

[2]) „Rekapitulacja i streszczenie próśb pokornie przedłożonych przez hr. Tomasza Wendworth Łubieńskiego" 16 stycznia 1868, *AE, Russia,* XXI, p. I 18—34; uwagi Tarquiniego, 19 stycznia, *ibid.,* 35—39.

[3]) T. Łubieński do Berga, 2 kwietnia 1868, *Vie de Mgr. Lubienski* 435—440. Nic łatwiejszego niż znaleźć w *Zbiorze Praw* przynajmniej ukaz z 13 listop. 1801, ustanawiający Kolegjum i określający jego atrybucje: *Polnoje sobr. zak.,* I; t. XXVI, nr. 20.053, p. 823.

października, w której ukaz z 22 maja był tak stanowczo potępiony. Mówiąc o Kolegjum, zauważał, „Ojciec św. nazywa „nagannym i godnym potępienia dekret", który udziela Kolegjum w Petersburgu władzy, należącej do Stolicy Świętej i do biskupów, ale nie potępia wyraźnie tego Kolegjum". Dziwne rozróżnienie i niepotrzebna subtelność! Bo dlaczego papież potępiał dekret, jeśli nie dlatego, że przyznawał Kolegjum kompetencje, niezgodne z prawami Kościoła? Na zakończenie memorjał wyrażał życzenie biskupa sejneńskiego.

„Pragnie, mówił, poznać zapatrywania i wskazówki Stolicy Świętej, dotyczące stosunków, jakie może i powinien utrzymywać z rzeczonem Kolegjum..., — instytucją, z którą biskupi Cesarstwa mieli ciągłą styczność od bardzo wielu lat, — i jedyną drogą, jaką biskupi Królestwa Polskiego mogą się porozumiewać ze Stolicą Świętą, nie narażając się osobiście na wywiezienie ze swych diecezyj, a przedewszystkiem nie narażając swych diecezyj na większe zamieszanie wskutek zaprowadzenia nieregularnej administracji kościelnej". [1])

Czy na to pytanie, dość ściśle wyrażone, dano odpowiedź, i jaką? Niema żadnych dowodów, by taka odpowiedź została udzieloną na piśmie. Ani w licznych aktach tej sprawy, ani w dwóch pismach Tomasza Łubieńskiego, nic, żadnej wzmianki, któraby się dawała domyślać istnienia takiej odpowiedzi. Wszystko ogranicza się do rozmów z Mgr. Berardi i Mgr. Franchi. [2])

Znamy już pierwszego: niedoszły nuncjusz w Petersburgu w r. 1862. Biskup tytularny nicejski i substytut sekretarjatu Stanu, miał być mianowany kardynałem 13 marca 1868 r. Tomasz Łubieński przedłożył mu następujące pytanie swego brata: „Czy mogę korzystać z pośrednictwa Kolegjum Duchownego w Petersburgu dla wysyłania mojej korespondencji do Stolicy Świętej?" Odpowiedź, bardzo prosta, brzmiała: „że nie powinien używać tej drogi dla przesyłania Stolicy Świętej swej korespondencji".

---

[1]) Inny memorjał Tomasza Łubieńskiego, 11 grud. 1867, *AE, Russia*, teka 153.

[2]) Tomasz Łubieński streścił je w sprawozdaniu, datowanem 30 marca 1868 r.: *Vie de Mgr. Lubienski*, 431—432.

Była to, zdaje się, decyzja samego papieża. Tomaszowi Łubieńskiemu wydawała się ona surową. Odesłano go do Mgr Franchi, i rozpoczął znowu swoje tłumaczenia w sprawie Kolegjum. Robił to, przyznaje, w celu otrzymania — o ile to będzie możliwem — odpowiedzi odmiennej od tej, jaką mu już dano, t. j. odpowiedzi Mgr Berardi... Mgr Franchi, arcybiskup tytularny tesalonicki, był od r. 1860 sekretarzem Kongregacji dla spraw kościelnych nadzwyczajnych i zajmował to ważne stanowisko do 13 marca 1868 r. Jego wielkie doświadczenie, gruntowna znajomość spraw rosyjsko-polskich, i urząd, uprawniałyby go więcej, niż kogokolwiek, do układów z wysłannikiem biskupa Łubieńskiego.

Ten, podejmując swoje dowody, przedstawiał znowu nieszczęścia, jakie mogą spaść na biskupów polskich, jeśli nie zechcą usłuchać rozkazów rządu. Co powinni zrobić, gdyby im nakazano wysłać asesorów do Kolegjum i gdyby im grożono, w razie nieposłuszeństwa, pozbawieniem utrzymania i wywiezieniem? Mgr Franchi zażądał dokładnych informacyj co do Kolegjum. Pytający dał mu je, jak umiał, bo sam uznał później, że nie był w stanie „udzielić dokładniejszych szczegółów pod tym względem". W ostatniej rozmowie, Mgr Franchi powiedział mu wkońcu: „Że Stolica Święta nie mogłaby uważać tego Kolegjum za instytucję niebezpieczną: o ile ta instytucja zachowałaby charakter czysto administracyjny, Stolica Święta nie miałaby powodu troszczenia się o jej zakres działania; ale, jeżeli to Kolegjum chce wykonywać jakąś jurysdykcję, wtedy jego władza, jego zakres działania i wszelki współudział w jego czynnościach byłby zabroniony i niedopuszczalny".

Tomasz Łubieński wrócił do Mgr Berardi i zdał mu sprawę ze swej rozmowy z Mgr Franchi, przedstawiając ponownie groźne położenie biskupów. „W tym stanie rzeczy, powiedział wtedy Berardi, biskupi, zmuszeni okolicznościami i dla uniknięcia większego jeszcze ucisku Kościoła, mogą zrobić rządowi pewne ustępstwa, ograniczające wolność Kościoła, byle te ustępstwa nie dotyczyły dogmatów wiary i podstaw konstytucji Kościoła".

Obydwaj prałaci, których radził się Tomasz Łubieński, wiedzieli doskonale co papież sądził o ukazie z 22 maja

i o Kolegjum w Petersburgu. Na audiencjach tygodniowych, jakie otrzymywali ze swego urzędu, musieli to słyszeć z ust jego; a Pius IX, jak wiadomo, nie grzeszył brakiem szczerości. Lepiej niż ktokolwiek, Mgr Franchi znał rozdrażnienie papieża na biskupa Staniewskiego. W Kongregacji do spraw kościelnych nadzwyczajnych układano tak surowy list z 3 stycznia 1868 r., który spadł jak uderzenie maczugi na głowę nieszczęśliwego biskupa. Zanim to pismo przedłożono do podpisu sekretarzowi Stanu, widział je sekretarz Kongregacji. Wkońcu, Mgr Franchi nie mógł nie znać odpowiedzi dokładnej i stanowczej, danej przez Mgr Antonelli biskupowi Popielowi: datowana 12 listopada, była zupełnie świeża, a jego biura ją przygotowały. Jakże przypuszczać wobec tego, że Mgr Berardi i Mgr Franchi mogli, do pewnego stopnia, przeczyć papieżowi i zmieniać decyzję zawartą domyślnie w dwóch pismach oficjalnych, — w encyklice i w liście do biskupa Staniewskiego, — i wypowiedzianą wyraźnie w trzecim dokumencie, — w liście do biskupa Popiela?

Ich oświadczenia, dobrze zrozumiane, wychodziły ostatecznie na to: Możnaby tolerować Kolegjum, gdyby się ograniczyło tylko do administracji, nie przywłaszczając sobie praw na terenie cudzym; ale — papież to stwierdza, — ustanawiając je, burzy się konstytucję Kościoła: a więc nie można go tolerować. Berardi i Franchi zbłądzili prawdopodobnie w tem, że nie mówili do T. Łubieńskiego dosyć jasno. Zadawalniali się przypuszczeniami hipotetycznemi, należało stanowczo powiedzieć „tak" albo „nie", słowem, nakreślać jasno kierunek postępowania, unikając dwuznaczników. Uważniejszy słuchacz byłby ich zrozumiał napewno. Ich powściągliwość byłaby go ostrzegła. Byłby rozróżnił urzędowe akta Stolicy Świętej, od pół-urzędowych wyjaśnień, mniej lub więcej uprawnionych, danych jednak mimochodem, w ciągu zwykłej rozmowy, przez prałatów poważnych zapewne, ale zajętych wielu innemi sprawami. Tomasz Łubieński wyczytał w tych wyjaśnieniach to, czego pragnął. Wkrótce nadał im nawet znaczenie bardziej stanowcze i nie tak niejasne. 2 kwietnia 1868 r. pisał do namiestnika Berga:[1])

[1]) *Vie de Mgr Lub.*, 438.

„Zdawało mi się..., że w Rzymie nie mianoby nic przeciw temu, żeby Kolegjum pośredniczyło między rządem cesarskim a biskupami, i ułatwiało kontrolę rządu w sprawach Kościoła katolickiego w Rosji i w Polsce. Nie sprzeciwianoby się nawet w Rzymie, aby Kolegjum pośredniczyło w stosunkach biskupów ze Stolicą Świętą, jak to robili dotychczas urzędnicy dyplomatyczni rządu cesarskiego. Ale nie mogą w Rzymie przyznać temu Kolegjum prawa rozstrzygania co do istoty zapytań i uznawania konieczności przesyłania próśb biskupów do Stolicy Świętej, jak i odpowiedzi tejże..."

Opierając się na tych tekstach i przesadzając wszystko, biograf biskupa Łubieńskiego napisze poprostu: „Jest faktem stwierdzonym..., że biskup Konstanty dostał w r. 1868 pozwolenie Stolicy Świętej na wysłanie asesora do tego Kolegjum. To upoważnienie dane było przez kardynała Berardi wysłannikowi biskupa sejneńskiego, hrabiemu Tomaszowi Łubieńskiemu.[1])

Zaopatrzony w owo rzekome „laisser-passer", biskup Łubieński dostał 8 sierpnia 1868 r. rozkaz, aby polecił swej kapitule wybrać delegata do Kolegjum. 9 sierpnia Muchanow był u niego, aby go namówić do szybkiego dokonania wyboru. Dyrektor Kultu nie szczędził ani wyjaśnień, ani obietnic. Zapewniał, że Kolegjum jest „władzą czysto administracyjną". Obiecywał, że asesor delegowany do Kolegjum będzie zawsze zależał od swego biskupa, jak wszyscy inni księża diecezji.

„Ponieważ uważałem ten punkt za zasadniczy, pisał 11 sierpnia biskup Łubieński do swego przyjaciela biskupa Popiela,[2]) chciałem go zupełnie wyjaśnić i zapytałem, czy wobec tego, jeżeliby mój asesor działał, albo głosował w Kolegjum niezgodnie z mojemi wskazówkami, będę miał prawo odwołać go i pociągnąć do odpowiedzialności, i czy w zasadzie rząd nie będzie się sprze-

[1]) *Vie de Mgr Lub.*, 536. — Dziełem tem, jak już mówiliśmy, należy posługiwać się ostrożnie. Tak na str. 444 czytamy: „Hrabia Tomasz, w czasie swego pobytu w Rzymie, nie wiedział zupełnie o istnieniu i ogłoszeniu Encykliki papieskiej (z 17 października 1867) i o wysłaniu listu kardynała Antonelliego (do biskupa Staniewskiego)". Mniejsza o ten ostatni, jest z 3 stycznia 1868; ale Encyklikę zna tak dobrze, że mówi o niej w swym memorjale z 11 grudnia 1867 r.; cytuje ją i mówi o jej ważności.

[2]) *Vie de Mgr Lub.*, 465—466, 469.

ciwiał mojemu postąpieniu w tym wypadku? — „Wasza Ekscelencja będzie zupełnie w prawie i rząd nie będzie się sprzeciwiał". Taka była stanowcza odpowiedź p. Muchanowa... Pragnąłbym wyjaśnienia... w jednym punkcie, mówił jeszcze biskup. W razie jeślibym się zdecydował na wysłanie asesora, wysłałbym równocześnie, za pośrednictwem Kolegjum, sprawozdanie do Ojca św., sprawozdanie, w którem nie oszczędzałbym zupełnie rządu. Chciałbym wiedzieć, czy rząd nie miałby nic przeciw wysłaniu takiego sprawozdania i czyby go nie zatrzymał? — „Bezwarunkowo nie", odpowiedziano mi, „wysłaniu sprawozdania nic nie stanie na przeszkodzie". — Mówiłem dalej, że jeżeli Ojciec św. nie uzna, albo zgani moje postanowienie, będę uważał za swój obowiązek odwołać delegata mojej diecezji. Czy rząd nie będzie miał nic przeciw takiemu postępowaniu? — „Bezwarunkowo nie", powiedziano mi, „rząd uzna zupełną słuszność tego kroku".

Zapewnienia wysokiego urzędnika wydawały się biskupowi uspokajającemi gwarancjami. Bo jednak nie był spokojny; miał skrupuły: dziwna rzecz, jeśli uważał, że jest upoważniony przez Rzym do wysłania asesora do Kolegjum. W długim liście, pisanym 11 sierpnia 1868 r. do biskupa Popiela, przytaczał wiele powodów, usprawiedliwiających postanowienie, jakie powziął; ale nie było tam tego stanowczego argumentu: „Zapytywałem Stolicę Świętą i uznaje moje zapatrywania". Miał niestety w rękach tylko odpis listu nagannego, wysłanego do Staniewskiego, i sumiennie przesłał go biskupowi płockiemu. Ten, lepiej powiadomiony trwał stanowczo w swojem postanowieniu i nie zważał na piękne słowa Muchanowa.

„Nie przywiązuję wielkiej wagi do obietnic tylko słownych, odpowiedział swemu przyjacielowi; za kilka dni osoba, która je daje, będzie wysłana do Rio Janeiro, albo do Konstantynopola. Te obietnice nie mają żadnej wagi i nie możemy spuszczać się na nie... Wszystko wydaje mi się znośniejszem, niż ustanowić nad sobą, albo obok siebie, jurysdykcję, niby kościelną, a nie pochodzącą ze źródła Piotrowego".

Podczas kiedy biskup Popiel wyjeżdżał na wygnanie, biskup Łubieński, napierany i zachęcany przez Berga i Muchanowa, zbierał 20 sierpnia 1868 r. kapitułę w Wyłkowyszkach dla wybrania asesora do Kolegjum. Wybrano księdza poważnego, Andrzejewskiego, byłego dziekana marjampolskiego, a proboszcza w Słowikach. Biskup kazał mu

złożyć bardzo ścisłą przysięgę wierności swemu ordynarjuszowi i opóźnił jego wyjazd. Delegat, zdaje się, zachorował. Mówiono o kopnięciu przez konia, o złamanej nodze, o zapaleniu płuc. Mówiono też, że była to choroba przedewszystkiem dyplomatyczna.[1]) Muchanow niecierpliwił się. Mimo świadectw lekarskich, 18 lutego 1896 r. Berg kazał czterem żandarmom zabrać ks. Andrzejewskiego z łóżkiem i zawieźć go do Petersburga.

Po tym wyborze biskup sejneński nie mógł się uspokoić. Wywiezienie biskupa Popiela wzruszyło go bardzo. Niepokój zamieniał się w wyrzut sumienia. Chciał za wszelką cenę mieć sumienie czyste, wiedzieć co sądzą w Rzymie o jego kroku. Wypowiedział się dokładnie w memorjale niezmiernie długim, jakie tak lubił układać, niejasnym i zagmatwanym przez rozwlekłość.[2]) Zatamowawszy wreszcie ten potok atramentu, przesłał tę pracę arcybiskupowi poznańskiemu, Ledóchowskiemu, swemu przyjacielowi i czasami doradcy, z prośbą o doręczenie papieżowi. Radził się go już raz w sprawie delegata. Arcybiskup Ledóchowski odpowiedział, że, jego zdaniem, biskup nie mógł w żaden sposób słuchać w tym wypadku władzy świeckiej. Zachęcał go, aby uciekł przed wywiezieniem i schronił się zagranicą, niedaleko swojej diecezji. Później, po powzięciu i wykonaniu postanowienia, biskup Łubieński próbował znowu i prosił arcybiskupa o przeczytanie jego memorjału papieżowi; lepiej poinformowany zmieniłby może zdanie. Nie uczynił tego.

---

[1]) Ks. Dabryła, proboszcz z Wyłkowyszk, mówił mi w 1922 r., że między duchowieństwem nie wierzono w tę chorobę. Proboszcz znał bardzo dobrze biskupa Łubieńskiego; był kilkakrotnie jego sekretarzem.

[2]) Memorjał ten ma 141 stron, łącznie z dodatkami *(AE, Russia,* XX, 282—352). Ułożony jest w formie listu, datowany 19 września 1868 r., i zaczyna się od tych słów w nagłówku: „Drogi Celestynie", *nome supposto*, zanotowano na oryginale. (Było to imię Belgijczyka, Dinsarta, byłego sekretarza biskupa Felińskiego, który był później podwładnym biskupa Łubieńskiego i profesorem seminarjum w Sejnach. Ukończył studja teologiczne, potem ożenił się z Polką, Marją Mann.) Memorjał ten jest przytoczony w *la Vie de Mgr Lub.,* 450—495, ze skróceniami. Przypuszcza się tam, nie wiem dlaczego, że jest skierowany do Karola Bodenhama i zaczyna się od słów: „Drogi Karolu".

Arcybiskup Ledóchowski doniósł mu, że jedno tylko uczynić może: odwołać delegata i uciec z Rosji. [1])

Między Rzymem a Poznaniem wciąż wymieniano listy. W Watykanie wiedziano już o wahaniu się biskupa sejneńskiego, o jego obietnicy wybrania delegata, danej Bergowi i Muchanowowi i zaniepokojono się tem. Nie wiedziano jeszcze, że to był fakt dokonany. Aby usunąć wszelkie wątpliwości, papież kazał posłać arcybiskupowi Ledóchowskiemu odpis listu do biskupa Staniewskiego, z poleceniem doręczenia tegoż biskupowi sejneńskiemu; zostało to wykonane 30 października 1868 r. [2]) Zarządzenie to było zbyteczne, bo biskup Łubieński znał słynny list od przeszło trzech miesięcy i tak dziwnie go tłumaczył: „...Mimo bardzo słusznej i bardzo twardej surowości nagany, danej biskupowi Staniewskiemu, równoznacznej dla niego z nakazem ustąpienia z Kolegjum, list, który dostał, nie zawiera nic, z czego możnaby wyczytać stanowczy zakaz brania udziału w tem Kolegjum".

Toteż z przykrem zdziwieniem przyjęto w Rzymie memorjał biskupa Łubieńskiego, z załączonym listem arcybiskupa poznańskiego, datowany 1 października 1868 roku. Trzeba było czasu do przestudjowania tej pliki papierów. W kilka tygodni później, 10 listopada, Mgr Marini, nowy sekretarz Kongregacji dla Spraw Kościelnych, przedłożył swe sprawozdanie papieżowi i na czele listu arcybiskupa Ledóchowskiego napisał tę uwagę: „Jego Świątobliwość z niezadowoleniem *(con dispiacere)* dowiedział się o wysłaniu przez biskupa Łubieńskiego delegata do Kolegjum duchownego w Petersburgu. Owszem, formalnie je potępił *(formalmente riprovato)*. Odpowiedzieć w tym duchu arcybiskupowi gnieźnieńskiemu (poznańskiemu) i polecić mu, aby zawiadomił o tej odpowiedzi rzeczonego biskupa Łubieńskiego". Tak się też stało. 3 listopada Antonelli zawiadomił arcybiskupa o woli

---

[1]) Arcybiskup Ledóchowski do kard. Antonelliego, Poznań, 1 paźdz. 1868 roku, *AE, Russia,* XX, 279—280; cf. inny list z 28 września, *AV,* 268: 1868.

[2]) List do arcybiskupa Ledóchowskiego, 3 paźdz. 1868 r., ze wzmianką: *Si sottoscrive da Mgr Sostituto, AE, Russia,* XX, 273.

papieża, powtarzając prawie słowo w słowo uwagę Mariniego i podkreślając wyrażenie potępienia „formalne". [1])

Nie ulega wątpliwości, że arcybiskup poznański wykonał dane mu polecenie. Biskup sejneński pisał 14 grudnia 1868 do jednego ze swych krewnych, Karola Bodenhama de la Barre: „... Jestem już pewien, że postanowienie, jakie powziąłem, jest potępione; ale muszę jeszcze wiedzieć dokładnie, jak mam postąpić, aby naprawić zło i uniknąć go w przyszłości". Bodenham przebywał często w Rzymie; miał tam powrócić niezadługo. Podjął się poczynić tam starania dla otrzymania wyraźniejszych wskazówek. 17 stycznia 1869 roku widział się z sekretarzem Stanu; był nawet na audiencji u papieża. Pius IX mówił wyraźnie: należało naprawić i odwołać, porzucić odtąd ludzkie wybiegi, liczyć tylko na Boga i stać silnie przy zasadach. [2])

Sprawa była rozstrząśnięta i osądzona. Biskup Łubieński się poddał. Gorliwie naprawił swoją pomyłkę. 19 marca 1869 r., posłał najwyraźniejsze odwołanie marszałkowi Bergowi, rozesłał odpisy swego listu odwołującego wszystkim biskupom Rosji i Polski i podał do wiadomości swego kleru oficjalnym listem pasterskim. Potem, przedkładając te wszystkie akta Stolicy Świętej, [3]) we wzruszających słowach oświadczył Piusowi IX swoją uległość. Kończąc, uznawał się niegodnym rządzenia diecezją i prosił Ojca św. o przyjęcie jego dymisji. Brewem, wysłanem 27 kwietnia 1869 r., papież odmówił tego. Chwalił posłuszeństwo biskupa; ale zaznaczał ponownie swą wolę, aby delegowany ks. Andrzejewski był natychmiast odwołany do diecezji sejneńskiej. Ten czyn, mówił, miał „w zupełności naprawić zgorszenie, jakie dał biskup Łubieński, biorąc na siebie odpowiedzialność za wysłanie do Petersburga delegata do Kolegjum duchownego, wtedy, kiedy Stolica Święta potępiła je już Encykliką z 17 października 1867 r." [4])

---

[1]) Antonelli do Ledóchowskiego, 13 list. 1868. *AE, Russia,* XX, 353.

[2]) Biskup Łubieński do Bodenhama, 14 grudnia 1868 r., *Vie de Mgr Lub.,* 502; Bodenham do bpa Łub. 17 stycznia 1869, *ibid.,* 512.

[3]) Zobacz *AE, Russia,* XX, 392—534. List do Berga jest drukowany w la *Vie de Mgr Lubienski,* 510—521, tak jak i list do papieża, 527—530.

[4]) Cf. Antonelli do Łubieńskiego, 27 kwietnia 1869 roku, *AE, Russia,*

Biskup usłuchał papieża; stało się nawet więcej, niż papież pragnął. Kiedy namiestnik przedłożył w Petersburgu odwołanie biskupa Łubieńskiego i cesarz dowiedział się o niem, zawołał podobno w gniewie: „Do djabła! Niech już nie słyszę o tym człowieku". W poniedziałek 31 maja, o godzinie 3 rano, generał Moeller, naczelnik żandarmerji, który przybył wprost z Warszawy do Sejn z liczną eskortą, przyszedł do biskupa. Powiedział mu, że zostaje usunięty ze swej diecezji za odwołanie delegata, za tajne korespondowanie z Rzymem i zachęcanie innych biskupów do takiego samego postępowania. Dwie godziny później, biskupa Łubieńskiego wywożono na wygnanie w towarzystwie jednego służącego. Miano go wywieźć do Permu, na granicy Syberji. Rozchorował się jednak nagle w czasie podróży, musiano się tedy zatrzymać w Niżnym Nowogrodzie. Tam to 16 czerwca 1869 r. zakończył życie, w czterdziestym czwartym roku życia, po sześciu latach rządów biskupich. [1])

Między oszczercami biskupa Łubieńskiego, usiłującymi w r. 1863 przeszkodzić w daniu mu mitry, którą miał tak drogo okupić, znalazł się jeden, który wypomniał mu jego stanowisko względem arcybiskupa Żylińskiego i tak zakonkludował: „Czy ksiądz, który w ten sposób postępuje względem biskupa, zechce, gdy sam zostanie biskupem, zawsze słuchać papieża? Oto co może być groźne!" Śmierć młodego biskupa, zdanego w dalekiej podróży na opiekę policjantów, odpowiedziała na to podejrzenie; jego podłota zasługuje na wzgardę wobec takiej wielkości.

## V.

Wygnanie biskupa Popiela, odważne odwołanie biskupa Łubieńskiego i jego śmierć bohaterska, nie wznieciły niestety żądzy męczeństwa w sercach pozostałych biskupów

XX, 392—393. Breve dołączone było do tego listu. Pozostała jego *mente* pod tytułem: *Cenni per la risposta da farsi alla lettera direttа al S. Padre da Mgr Lubienski... in data dei 19 Marzo 1869, ibid.*, 399.

[1]) *Vie de Mgr Lubienski*, 546, 552—564. — Rozeszła się pogłoska, że biskupa otruto. Biograf jego poświęca cały rozdział dowodom tego (568—581). Jego dowody są bardzo słabe i nie upoważniają do podejrzywania rządu rosyjskiego o tak wstrętną zbrodnię, z której nie wiadomo zresztą jakiej korzyści mógłby się spodziewać.

i administratorów. Chwała Atanazych i Hilarych nie nęciła ich. Dwóch tylko biskupów, najczcigodniejszych wiekiem i oddanemi usługami, nie chciało splamić się tchórzostwem. Biskup łucko-żytomierski, Borowski i biskup żmudzki, Wołonczewski, nie ponowili pełnomocnictw swych delegatów. Ale wszyscy inni do 31 lipca 1869 r. wypełnili wolę autokraty. Biskupi z Królestwa wysłali swych pełnomocników poraz pierwszy, z cesarstwa pozostawili swoich nadal. Jedenastu asesorów, prawie wszyscy dobrowolnie, inni przemocą, jak sejneński, zasiadali stale. Biskup Staniewski prezydował, mając u boku Ks. Stacewicza w charakterze drugiego członka Kolegjum i Ks. Dominika Moszczyńskiego, prałata z Mińska w charakterze trzeciego. Prokurator prawosławny, Andrzej Żełtouchow i sekretarz luteranin, Włodzimierz Krumbmüller, kierowali pracami tej trawestacji Świętego Synodu.

Nagana, dana 3 stycznia 1868 r. przez kard. Antonelliego administratorowi mohilewskiemu, pozostała bezskuteczna. Najbardziej winnym tego biernego oporu był O. Stacewicz. Sława jego nauki, a więcej jeszcze zażyłe stosunki ze światem urzędowym sprawiały, że wodził rej w licznem gronie księży, oddanych rządowi. Zgubny jego wpływ zatruwał naukę w Akademji, której był rektorem. W publicznych wykładach i w prywatnych rozmowach starał się dowieść tej niesłychanej tezy, że żaden kanon nie ma wartości dla całego Kościoła; jeżeli były, to obowiązywały tylko w Państwie Kościelnem; w innych krajach poszczególne Kościoły mają się stosować do prawa świeckiego, a do prawa kościelnego o tyle, o ile jest tolerowane przez państwo. To daje miarę, jaką musiała być nauka prawa kanonicznego w Akademji, z której wychodziła elita kleru katolickiego dla Rosji i Polski. Profesor teologji miał unikać akcentowania prymatu papieskiego; profesor historji Kościoła miał mówić możliwie najmniej o schiźmie greckiej albo o sporze o inwestytury; narażałby się bowiem na zarzut, że nie jest przyjacielem Cezara.[1])

Rektor zresztą nie ukrywał swego usposobienia anty-

[1]) Ks. Symon do Piusa IX, 7 marca 1869 r., *AE, Russia*, XX, 355—357; 11 czerwca, *ibid.*, 370—371.

rzymskiego. W r. 1869 prałat belgijski, ks. de Woëlmont, były kapelan żuawów papieskich, przybywszy do Petersburga, odwiedził go i wypytywał o sytuację religijną.

„Stacewicz rozwodził się bardzo szeroko. Mówił, że w Rzymie nie rozumieją dobrze sytuacji w Rosji; że on sam najchętniej słuchałby papieża, ale pod warunkiem, aby papież porozumiał się z cesarzem i uzyskał potwierdzenie przezeń wszystkich swoich zarządzeń; inaczej nie chce się narażać na wywiezienie na Syberję dla Rzymu. Że, co się tyczy dogmatu katolickiego, dałby tysiąc razy życie w jego obronie, ale że sprawy karności i administracji obchodzą przedewszystkiem rząd; że cenił swobody galikańskie; że jest wielce godnem pożałowania, że Rzym wierzy wszystkim kłamstwom i wszystkim oszczerstwom, rozgłaszanym o rządzie rosyjskim; że byłoby bardzo pożądanem, aby był nuncjusz w Petersburgu, człowiek jak Berardi naprzykład; ale, na miłość Boską, nie Mgr. Franchi... Stacewicz mówił też dużo o biskupie Łubieńskim, twierdząc, że to zarozumialec, pragnący panować nad wszystkimi, który wiele złego wyrządził Kościołowi"... [1])

Niezawodnem jest, że ks. Stacewicz był złym duchem biskupa Staniewskiego. Pod jego wpływem biskup udawał, że list kardynała Antonelliego uważa za wymysł fałszywy; został prezydującym w Kolegjum; lekceważył kary rzymskie; dalej spełniał, jakoby nic nie zaszło, funkcje kościelne. Uczniowie Akademji wiedzieli o tem. Toteż kiedy ci, którzy mieli otrzymać święcenia kapłańskie, dostali na wiosnę 1869 r. polecenie przygotowania się do nich, wahali się — czy mogą je przyjąć z rąk ekskomunikowanego. Z drugiej strony, jeśliby odmówili, narażali się na to, że będą denuncjowani rządowi i ukarani, co najmniej odesłani do swoich diecezyj, przeważnie pozbawionych biskupów. 13 maja 1869 r. Dominikanin, O. Tomasz Żółtek, prosił generała swego zakonu, O. Jandela, aby zapytał o to Stolicę Świętą. Biskup, odpowiedziano, bez wątpienia zasłużył na kary kościelne, a mianowicie na ekskomunikę większą. Jednakowoż, uwzględniając trudne położenie i większe dobro Kościoła, można pozwolić kandydatom do święceń kapłańskich na przyjęcie ich z jego rąk, a księżom na asystowanie i branie udziału w czynnościach świętych, którym przewodniczył. Taką była

[1]) Dinsart do O. Martynowa, Anhée, 7 września 1869 r. *Zbiory prywatne.*

łaskawa decyzja papieża, o której kazał zawiadomić O. Żółtka 12 kwietnia 1869 r. [1])

10 kwietnia Pius IX osobiście napisał do występnego biskupa nowy list, w którym surowość łączy się z wyrazami dobroci współczującej i miłosiernej. Papież stwierdzał ze smutkiem, że pierwsze napomnienie pozostało bezskuteczne. Przypominał potępienie Kolegjum.

„Zatrzymując tam swoje funkcje, pisał, i potęgując z każdym dniem swoje błędy przez cięższe winy, musisz przyznać, że własnowolnie ściągnąłeś na siebie kary kościelne. W zespole tych nowych przewinień sprawiedliwa surowość papieża spadała całym ciężarem na głowę głównego winowajcy, ślepego przewodnika, któremu biskup poddawał się bez zastrzeżeń. Piętnowała „największą bezczelność" tego „doradcy nieszczęsnego", tego „nędznika" *(impudentissimus ille..., nefarius ille consiliarius tuus, ...perditus vir...)*.

„Nigdy nie widziano w owych stronach, pisał Pius IX, karności Kościoła tak bezwzględnie zdeptanej i świętych kanonów tak niegodnie wzgardzonych, z winy tych właśnie, którzy przedewszystkiem powinni byli ich bronić. Patrz, czcigodny Bracie, jaką zgubę sobie gotujesz, gardząc Naszemi ostrzeżeniami i Naszemi rozkazami.

„Jeśli psy nieme nie unikną gniewu Wszechmocnego, to co się stanie z tymi, którzy jakby odyńce leśne niszczą winnicę, którą Pan im powierzył? Napewno nie inna pobudka skłoniła cię do takiego postępowania, jak tylko chęć przypodobania się potędze ludzkiej; ale, przeklętym niech będzie człowiek, który polega na człowieku; który opiera się na ciele, i którego serce oddala się od Pana... Oddal, czcigodny Bracie, doradcę, który cię zdradza, ...napraw zgorszenie, jakie dałeś swemu ludowi; zrzeknij się nieprawej godności przewodniczącego Kolegjum. Niech przykład tylu świętych, tylu sławnych biskupów, naśladowany dziś jeszcze przez tylu twoich czcigodnych Braci, doda ci siły i zachęci cię do wstępowania w ich chwalebne ślady..." [2])

Biedny człowiek musiał płakać, czytając to breve; ale nie zmienił postępowania. Wkrótce potem, kiedy biskup Staniewski otrzymał pismo papieskie, profesor historji kościel-

[1]) O. Tom. Żółtek do O. Jandela, 13 marca 1869 r., *AE, Russia,* XX, 358—359; zapytanie kanonisty De Angelis, *ibid.,* 354; Marini do Żółtka, 12 kwietnia 1869 r., *ibid.,* 360—361.

[2]) Pius IX do biskupa Staniewskiego, *Qui fore,* 10 kwietnia 1869 r., *AE, Russia,* XX, 362—366.

nej w Akademji, ks. Symon, chciał się dowiedzieć, co o nim myślał i poznać jego usposobienie. W długiej rozmowie zachęcał go, jak mógł, do usłuchania Stolicy Świętej, ale daremnie. Ostatnie słowo biskupa Staniewskiego, które go dobrze charakteryzuje, było: „Tutaj, w domu, życie mi jest ciężarem: cóżby było na wygnaniu!“ [1]) Daremnie też biskup łucki, Borowski, zasypywał go swemi wymówkami; kazał powiedzieć natrętnemu, że lepiej zrobiłby, przysyłając swego delegata do Kolegjum, inaczej spotka go to, co biskupa Popiela. Mówił też, że sam pojedzie do Rzymu, a jeśliby mu brakło sił, pośle innego biskupa, aby spróbował wszystko ułożyć. Nadarzała się doskonała sposobność: miano rozpocząć Sobór powszechny. Biskup Borowski prosił, aby mógł udać się nań. Ani on, ani Staniewski, ani żaden inny biskup z Rosji i z Polski rosyjskiej nie mógł brać w nim udziału.

W takiem usposobieniu administrator mohilewski oczekiwał, nie bez lęku, bliskiego końca swego życia. Miał ośmdziesiąt jeden lat. W r. 1871 otaczający go, widząc, jak bardzo słabnie, mówili mu o ostatnich sakramentach. Spowiednik jego, Dominikanin, O. Kociakowski, prefekt szkoły męskiej przy kościele św. Katarzyny, przyniósł mu wiatyk; proboszcz św. Stanisława udzielił mu ostatniego namaszczenia. Lęk przed ukazami autokraty ustąpił wreszcie przed obawą Boskich wyroków. Przed komunją, zupełnie przytomny, dał znak, że chce przemówić. Kilku kanoników i przeor Dominikanów, O. Szkiłądź, byli obecni. Odezwał się do nich, że umiera w religji katolickiej; że ich przeprasza, jeśli ich zgorszył, jeśli nie uczynił wszystkiego dobra, jakie mógł i powinien był uczynić. Zalecał im także, aby się nie przywiązywali do dóbr doczesnych, aby pracowali dla dobra Kościoła; szczególniej, aby jego nie naśladowali, ale trwali silnie i nie dali się omamić. Nazajutrz rano znaleziono go martwym. [2])

---

[1]) List ks. Symona, 11 czerwca 1869 r. Cf. Borowski do Piusa IX, 31 lipca 1869 r. (w którym podaje swój list z 7 czerwca do biskupa Staniewskiego), *AE, Russia*, XXI, część II, nr. 515.

[2]) Wzmianka o śmierci biskupa Staniewskiego, napisana przez pannę Marję Kruszczyńską (ciotkę O. Pawła Pierlinga) w Petersburgu, czerwiec 1874 r. *Zbiory prywatne.*

Tak, i bardziej jeszcze niż w r. 1857, nie tylko w stolicy, ale w większości diecezyj, srożyła się tyranja strachu. Strach zgubił biskupa Staniewskiego; strach zrobił tchórzami wielu z jego otoczenia. Jak w roku 1868, biskupi żmudzki i łucki odmówili wysłania swych delegatów także w r. 1871, i tym razem administrator kielecki, ks. Kuliński, poszedł za ich przykładem. Przeciwnie, biskup sandomierski, ks. Juszyński, usłuchał rozkazów z Petersburga. Gdy jeden z księży robił mu z tego powodu wymówki, odpowiedział, że nic nie wie o potępieniu Kolegjum, że listu Antonelliego nigdy nie czytał. „Widzicie, mówił, posłałem przed trzema laty delegata do Petersburga i nie jestem ekskomunikowany." Administrator kujawsko-kaliski, ks. Skupiński, przypominał tragiczny los biskupa Łubieńskiego i przyznawał otwarcie, że „bał się zesłania na Sybir". Administrator lubelski, biskup-sufragan Walenty Baranowski, chciał uspokoić swoje sumienie, zostawiając kapitule kłopot wykręcenia się. Kanonicy i administrator jakby bawili się w piłkę. Jeśli im kto chciał dodać odwagi, kanonicy odpowiadali: „Niemożliwe! Wywiezionoby nas, a diecezja zostałaby w jeszcze gorszych warunkach." Biskup jęczał: „Ach! muszą nie wiedzieć w Rzymie, w jak smutnem położeniu jesteśmy; nie wiedzą, że nie możemy się sprzeciwiać!" Bardziej czupurny biskup sandomierski mówił: „Chciałbym, żeby który z kardynałów rzymskich przyjechał tu do nas, a widzielibyśmy, czyby się potrafił oprzeć rządowi rosyjskiemu!" [1])

Kardynałowie rzymscy pokazali nieraz swą odwagę w trudnej sytuacji. W okolicznościach bardziej dramatycznych umieli oprzeć się naprzykład despocie innej miary, niż słaby Aleksander II. Napoleon także miał swoich legistów, biskupów i księży, prześcigających się nawzajem w służalstwie jego kaprysom. 2 maja 1810 r., na ślubie cesarza z Marją Ludwiką, dwunastu kardynałów, z tych dwóch francuskich, świeciło swoją purpurą. Więcej jednak było foteli, które pozostały puste, i te przypominały, że wola panującego nie była normą wszelkiej sprawiedliwości. Trzynastu kardynałów, naj-

[1]) „Relazione fatta alla S. Sede nel 1871 da un Ecclesiastico polacco sull' attitudine di quell' Episcopato rispetto al Collegio di Pietroburgo", *AE, Russia,* XXI, cz. II, nr. 484.

lepszych i najbardziej „rzymskich", nie raczyło nawet usprawiedliwić swojej nieobecności przy ceremonji, którą sumienie ich uważało za świętokradzką. Wiadomo, jak zostali za to ukarani. Cesarz zabronił im nosić odznaki ich godności, skonfiskował ich dobra i dochody, wygnał ich, a wielu kazał uwięzić, jak kard. Pacca, trzy i pół roku więzionego w Fénestrelle. Rzym będzie zawsze mógł być dumny z „czarnych kardynałów". [1])

Ten wzniosły przykład z historji Kościoła nie przemówił do wyobraźni panów z Kolegjum petersburskiego. Ich położenie w Petersburgu nie było do pozazdroszczenia: wegetowali poprostu, a niektórzy z nich pozostawali tam bardzo niechętnie. Skarżyli się, zdaje się, na zupełną bezczynność. Od czasu do czasu zwoływano ich, w obecności prokuratora czytano im papiery, które musieli podpisywać i przesyłać do swoich diecezyj. Pozatem posiadali wiele swobody, wychodzili dużo, i, jeśli należy wierzyć administratorowi Skupińskiemu, „pili tylko i grali w karty." [2]) To dużo mówi. Rzym mógł się był uspokoić. Delegaci w ten sposób zajęci nie myśleli o założeniu Kościoła narodowego.

## VI.

W danych warunkach biskupi katoliccy Rosji i Polski nie mieli się wcale pojawić na Soborze Watykańskim. [3]) Rząd Aleksandra II był jedynym, który zawczasu wydał ten zakaz. 17 marca 1869 r. kard. Antonelli przesłał nuncjuszowi wiedeńskiemu, Falcinelliemu, dwa cyrkularze, przeznaczone dla tych biskupów. Polecił mu równocześnie zapytać poufnie barona d'Uxküll, *chargé d'affaires* rosyjskiego, czy nie mógłby przesłać je na miejsce przeznaczenia. Dyplomata, zresztą bardzo uprzejmy, uznał za konieczne zawiadomienie o tem Petersburga.

27 marca (8 kwietnia) Gorczakow odpowiedział, że doręczenie tych dokumentów nie pociągnęłoby za sobą udzie-

[1]) Znaną jest piękna książka M. Geoffroy de Grandmaison, *Napoléon et les Cardinaux noirs* (1810—1814). Paris, Perrin, 1895.

[2]) Relazione... przytoczone.

[3]) Granderath-Kirch, *Histoire du Concile du Vatican,* tłóm. franc., I, 458—461; Cecconi, *Hist. du Conc. du Vatican,* tłóm. franc., III, 685—698.

lenia biskupom pozwolenia na wyjazd na Sobór. Zarówno przeciw doręczeniu wezwań, jak przeciw wyjazdowi biskupów zrobiono zastrzeżenia, żądano gwarancyj. Przy tej sposobności kanclerz szeroko rozwijał uwagi, nie mieszczące napewno w sobie nic nowego. Mówił z upodobaniem o wolności sumienia, „zawsze szeroko praktykowanej w Rosji"; przeciwstawiał jej złe usposobienie duchowieństwa i złą wolę Dworu Rzymskiego.

„Większość duchowieństwa katolickiego w Królestwie i w prowincjach zachodnich cesarstwa, a między nimi biskupi, popierali działania polityczne, zagrażające całości cesarstwa. Niektórzy nawet brali w nich udział. Dwór Rzymski nie potępił tej działalności, w chwili, kiedy jedno słowo, pochodzące z tak wysoka, byłoby zapobiegło może wielu nieszczęściom i wielu rozczarowaniom. Wiemy, że w swej istocie Stolica Święta nie jest rewolucyjną; czy jednak jej milczenie nie pochodziło z obawy urażenia uczuć katolików, gdyby im udzielono upomnień podczas trwania akcji wyraźnie wywrotowej?"

Gorczakow zastrzegał się, że nie chodzi mu o reinkryminacje. Ale cóż robił innego? 4 maja 1869 r. kard. Antonelli dobrze ocenił wartość zarzutów, tyle razy powtarzanych, w depeszy do nuncjusza, przeznaczonej dla Gorczakowa. Kanclerz nie wahał się wychwalać tolerancji, panującej w krajach autokraty. Kancelarja cesarska, zwyczajnie, umiała ukrywać prawdę w mniej gruby sposób. Rzym wiedział, jak rząd rosyjski rozumie i wykonuje tę tolerancję, i kardynał nie wahał się tego powiedzieć. Co do działalności politycznej kleru i milczenia Stolicy Świętej w tym względzie — podnosił je w tych słowach:

„Trzeci zarzut, bardzo delikatny, zwrócony jest do Stolicy Świętej. Nie podniosła, mówią, głosu, aby potępić, przed wybuchem, rewolucyjne zamiary, w których, niestety, wzięło udział w Polsce kilku duchownych zakonnych i świeckich. To mi pozwala na wypowiedzenie nowego i uroczystego oświadczenia. Stolica Święta zawsze ganiła i gani wyraźnie ruchy polityczne, które, od czasu do czasu, wstrząsają narodami. Ilekroć okoliczności na to pozwalały, potępiała, jak i teraz potępia każdego, kto usprawiedliwia bunt przeciw swemu panującemu gorliwością religijną. Wiadomo, ...że przy wielu sposobnościach, we wszystkich swoich wystąpieniach publicznych i prywatnych, Najwyższy Pasterz dał dowód najoczywistszy, najzupełniejszy tego, co mówię. Widziano

zawsze, że z największą gorliwością potępiał rewolucję, w jakiejkolwiek formie i pod jakimkolwiek pozorem się ukrywa."

Dodajmy, że po tylu usiłowaniach ze strony rządu, aby ujarzmić i poniżyć duchowieństwo katolickie, poddając je biurokracji państwowej, komisji rządowej, albo Kolegjum i usuwając w praktyce z pod posłuszeństwa Stolicy Świętej; po dowolnem tłómaczeniu słynnego breve Grzegorza XVI, którego znaczenie tak niecnie przekręcono w r. 1832, trzeba było mieć dużo odwagi, by zarzucać Piusowi IX rezerwę, w jakiej się zamknął.

Kanclerz był innego zdania. Ten, którego przezywano „Narcyzem kałamarza", gdyż tak lubował się w okresach swego stylu, gniewał się, że się ośmielono odpierać jego śmiałe twierdzenia. „Odpowiedź kardynała, sekretarza stanu, oświadczył 10 (22) maja 1869 r., jest tylko gorzkiem oskarżeniem, i wykazuje usposobienie, wyrażenia którego żaden poddany cesarza nie może słuchać, nie będąc urażonym w swoich uczuciach i nie uchybiając swoim obowiązkom." Naturalnie, wydano rozkaz zwrócenia nuncjuszowi wiedeńskiemu cyrkularzy, przeznaczonych dla biskupów, i zawiadomienia go, że żaden z nich nie pojedzie na Sobór. Rzeczywiście żaden poddany cara się nie zjawił. Jedynym wyjątkiem był administrator lubelski i podlaski, biskup Kazimierz Sosnowski. Na wiosnę 1869 r., dręczony wyrzutami sumienia, odwołał swego delegata z Kolegjum, uciekł z Królestwa i schronił się do Galicji. Przybywszy do Rzymu, zasiadał na Soborze z prawem głosu.

## VII.

Mimo zbyt rzeczywistej nieżyczliwości, okazywanej tem tyrańskiem postępowaniem, rząd cesarski wkrótce sam zraził się do Kolegjum. W r. 1868, organ głośnego Katkowa, *Moskowskija Wiedomosti*, zaatakował gwałtownie tę instytucję: „Instytucja to niepożyteczna, pisały *Wiedomosti*, w której napewno żyją polskie tradycje". Była to maszyna przestarzała; mimo wszelkiego zła, jakie dopuszczono, byleby ją ponownie wprawić w ruch, choć łoskot był ogromny, pożytku właściwie z niej nie było; trzeba się będzie zdecydować odstawić ją na bok. Oto, poco wygnano dwóch bi-

skupów, wzniecono straszny skandal, wywołano gniew i uroczyste potępienie papieża, rozpętano wszędzie w opinji i w prasie burzę przeciw samodzierżawiu! Bo prawie wszędzie w Europie myślano to, co pewien korespondent żywo wyrażał w *Journal de Bruxelles:* „...Postępowanie rządu rosyjskiego coraz więcej przekonywuje katolików, że niema w naszych stronach innego sposobu uratowania Kościoła, jak wskrzeszenie Polski." [1]) Gdyby więc nadeszła odpowiednia chwila, zdecydowanoby się, bez wielkiego żalu, zrobić Stolicy Świętej małą ofiarę z miłości własnej, kosztem Kolegjum duchownego.

Okoliczności wkrótce zdawały się pomyślnie układać. Około r. 1871 Petersburg rozpoczął rokowania z Rzymem w innej sprawie, bardzo ważnej, mianowicie w sprawie wprowadzenia języka rosyjskiego do nabożeństw katolickich. Tym razem Stolica Święta nie była już, w pewnem znaczeniu, stroną nacierającą; ale trzymała klucze sprawy, na której bardzo zależało rządowi rosyjskiemu. Aby ją móc przeprowadzić, gotów był na pewne ustępstwa w innych sprawach. Najpierw obiecywał zagoić krwawiącą ranę braku episkopatu. W r. 1871, na piętnaście diecezyj, trzy skasowano: kamieniecką, podlaską, a w r. 1869 mińską. Siedmiu biskupów umarło, a nie mianowano innych: arcybiskup Żyliński, biskupi: Kahn, Marszewski, Wojtkiewicz, Majerczak, Szymański, Łubieński. Pięciu znajdowało się na wygnaniu: arcybiskup Feliński, biskupi: Krasiński, Fiałkowski, Popiel i Borowski, ten ostatni wygnany w r. 1870. Tylko dwie diecezje posiadały biskupów diecezjalnych: sandomierska, którą rządził słaby biskup Juszyński, i żmudzka, która była tak szczęśliwa, że zachowała do r. 1875 czcigodnego biskupa Wołonczewskiego.

Porozumienie osiągnięto dość prędko i kilka luk zapełniono. 22 grudnia 1871 r. Pius IX prekonizował ks. Walentego Baranowskiego na biskupa lubelskiego. 23 lutego 1872 r. Mohilew, Tyraspol, Sejny i Kielce otrzymały pasterzy. Ponadto zamianowano dwóch sufraganów. Biskup kamieniecki, Antoni Fiałkowski, powrócił z przymusowego pobytu

[1]) *Moskowskija Wiedomosti,* 8 (20) listopada 1868. *Journal de Bruxelles:* 20 września 1868.

w Symferopolu i objął rządy metropolitalne. 6 maja dano mu sufragana w osobie biskupa Iwaszkiewicza. Rzym nie przyjął przedstawienia żadnego kandydata na biskupstwa, których prawowici pasterze byli na wygnaniu. Co się tyczy nowomianowanych, byli to wszyscy dobrzy kapłani, po których można się było wiele spodziewać, a nie było się czego obawiać.

W tymsamym duchu łagodzącym, w r. 1873, Kapnist miał przedłożyć sekretarzowi stanu plan, dotyczący reformy Kolegjum duchownego. Rząd cesarski oświadczał gotowość usunięcia zeń „wszystkiego, co zdawało się powodować obawy i potępienie Stolicy Świętej." Z jednej strony odjętoby mu wszelkie atrybucje sądownicze w sprawach małżeńskich i przywróconoby w tej materji dawny porządek rzeczy, obowiązujący od r. 1848. Z drugiej — Kolegjum nie mieszałoby się wcale do stosunków między klerem a Stolicą Świętą. Zatrzyma odtąd tylko „funkcje czysto administracyjne". Miałoby „jako jedyny cel, mówił Kapnist w swoim memorjale, ułatwić rządowi cesarskiemu staranie o zaopatrzenie potrzeb materjalnych Kościoła katolickiego w jego państwie, więcej zapewnić jedności w stosunkach administracyjnych rządu z władzami diecezjalnemi, podtrzymując „ad hoc" instytucję centralną, złożoną z delegatów różnych diecezyj." Spodziewano się, że tak zreformowane Kolegjum nie będzie już zagrażało prawom hierarchji kościelnej i nie będzie dawało powodów do reklamacyj.[1])

Naturalnie, przedewszystkiem Kongregacji do spraw kościelnych nadzwyczajnych polecono zbadanie tej sprawy. 15 grudnia 1873 r. pięciu kardynałów, wśród nich kardynał Antonelli, uznali, że po takich zmianach Kolegjum mogłoby być tolerowane. Pozostawał jednak jeden dwuznacznik. Wyraz administracja był niejasny i mógł dać powód do tłómaczeń, niemożliwych do przyjęcia. Jakiekolwiek mieszanie się w dziedzinę duchowną albo karności kościelnej musiało być poprostu wykluczone. Wszelkie prawa Kolegjum musiałyby się ograniczyć do spraw czysto ekonomicznych.

[1]) Z pomiędzy innych dokumentów, dotyczących tej sprawy, przytoczymy tylko: „Uwagi o podstawach porozumienia w sprawie Kolegjum katolickiego w Petersburgu." (Kapnista). *AE, Russia,* XXI, 2-e p., nr. 488.

Jedynie za tę cenę papież cofnąłby swoje potępienie. 19 grudnia Pius IX zatwierdził to postanowienie, i sekretarjat stanu wygotował w tym duchu pierwszą odpowiedź dla posła rządu rosyjskiego. [1])

Odpowiedź ta Stolicy Świętej miała, jak się zdawało, zakończyć nieporozumienie. Pozostała jednak nie wysłana. Musiały zapewne powstać jakieś tarcia: pamiętajmy, że nie tylko te rokowania były w toku. Stąd nowe dyskusje, nowe memorjały i nowe roztrząsania, oddane tym razem najważniejszej z Kongregacyj rzymskich, Świętemu Officjum. Ten trybunał najwyższy był już zajęty inną sprawą, o wiele trudniejszą, sprawą wprowadzenia języka rosyjskiego do nabożeństw, zwanych dodatkowemi. Sprawa Kolegjum także nie była ściśle polityczna. Ukaz z 22 maja 1867 r. podkopywał boską Konstytucję Kościoła katolickiego i dotyczył wprost wiary. Oto dlaczego Najwyższy Pasterz chciał powierzyć władzom, najbardziej uprawnionym w tej świętej dziedzinie, zadanie przygotowania ostatecznego jego zdania. Nowa uchwała, powzięta 26 sierpnia 1874 r., zatwierdziła w zupełności uchwałę z 15 grudnia 1873 r. Przy tej sposobności polecono sekretarzowi stanu, by obstawał w naradach z oficjalnym przedstawicielem Rosji przy trzech punktach: aby pozostawiono biskupom i katolikom zupełną wolność porozumiewania się z Rzymem; aby zachowywano zasady prawa kanonicznego nie tylko w sprawach małżeńskich, ale wogóle we wszystkich sprawach kościelnych; wkońcu, aby pozwolono powrócić wszystkim biskupom i księżom wygnanym. Rząd nie spełnił tych życzeń. Jedyny, albo prawie jedyny, biskup Popiel mógł powrócić z wygnania w r. 1875. [2])

Propozycje rządu rosyjskiego otrzymały swój prawny wyraz w projekcie ukazu, jaki roztrząsano i zatwierdzono

---

[1]) Sess. nr. 410 Kongr. do spraw Kośc. nadzw., 15 grudnia 1873: Progetto del Governo Russo per legittimare il Collegio Eccl. di Pietroburgo, *AE, Rapporti*, XXIX, 355—357; i bruljon: „Risposta al Sig. Com. Kapnist," bez daty, co wskazuje, że nie był wysłany. *AE, Russia,* XXI, 2-e p., nr. 494.

[2]) Nina, asesor św. Officjum, do Mariniego, 31 sierpnia 1874 r. *AE. Russia,* XXI, 2-e p., nr. 497. (Zawiadomienie o postanowieniu, powziętem 26 sierpnia).

na posiedzeniach specjalnego komitetu w Petersburgu. 17 (29) kwietnia 1874 r. Gorczakow polecił Kapnistowi zawiadomić o tem poufnie kardynała Antonelliego, wyrażając nadzieję, że przygotowywany ukaz zadość uczyni wymaganiom Dworu Rzymskiego; wydanoby go zaraz, skoroby tylko uzyskano pewność, że Stolicę Świętą zadowoli. Opinja Świętego Officjum dała Watykanowi możność usunięcia wszelkich wątpliwości, i wobec tego 18 lutego (2 marca) 1875 r. ukaz cesarski zawiadamiał Kolegjum, że przestaje odtąd być „organem pośredniczącym w stosunkach duchowieństwa katolickiego ze Stolicą Świętą," i że nie ma się już zajmować sprawami małżeńskiemi. Co do tego ostatniego punktu, przywracano prawomocność zarządzeniom, wydanym według osobnego układu, zawartego z Rzymem w r. 1848.[1])

Ze swej strony Stolica Święta w okólniku, wysłanym 2 marca 1875 r. do wszystkich biskupów Rosji i Polski, zawiadamiała, że wie o zmianach zasadniczych, na jakie zgodził się rząd cesarski. Kardynał Antonelli stwierdzał, że Kolegjum będzie się zajmowało odtąd wyłącznie administracją spraw materjalnych. Pod temi warunkami Ojciec św. uważał je za dopuszczalne i pozwalał na wysłanie doń asesorów, „dopóki nie przekroczy przepisanych granic i pod warunkiem, żeby pod żadnym pozorem nie mieszało się w niczem do duchownego zarządu diecezyj i do karności kościelnej." Biskup pozostawał jedynym sędzią i zarządcą swojej diecezji w sprawach kościelnych, w zależności kanonicznej od Stolicy Świętej. Ta zasada, uznana już przez artykuł XIII Konkordatu z r. 1847, zachowywała całą swą moc.[2])

Taki był koniec zatargu. Odtąd nie wiele już będzie słychać o Kolegjum duchownem rzymsko-katolickiem w Petersburgu. Popełni ono jeszcze niejeden błąd, a Rzym wy-

---

[1]) Gorczakow do Kapnista, Pbg, 17 (29) kwietnia 1874, *AE, Russia,* XXI, 2-e p., nr. 506. Ukaz z 18 lutego (2 marca) 1875 r., tekst rosyjski i tłóm. franc., zakomunikowane przez Kapnista 22 lutego (6 marca) 1875; *ibid.,* nr. 506, 507, 508.

[2]) Cyrkularz kardynała Antonelliego do biskupów, 2 marca 1875 r. *AE, Russia,* XXI, 2-e p., nr. 499. List tegoż do biskupa Fiałkowskiego, 3 marca 1875 r., upoważniający go do przewodniczenia w Kolegjum, *ibid.,* nr. 504.

stąpi przeciw niemu ostro. Ale będą to incydenty bez następstw. Kolegjum ograniczy się coraz więcej do zarządu finansowego kapitałem, dość zresztą znacznym, tak zwanym funduszem rezerwowym Kościoła katolickiego. Ograniczone do tych bardzo skromnych kompetencyj, pogrążać się będzie coraz więcej w bezczynności i zapomnieniu. Bierne i gnuśne, jest tylko zabytkiem historycznym, przeżytkiem przedawnionych zakusów, w których więcej było niezręczności niż przewrotności.

*Ks. Adrjan Boudou.*

# Przegląd piśmiennictwa

## Z literatury ekonomiczno-społecznej.

Skarb Rzeczypospolitej, Wyd. Instytutu Gospodarstwa społecznego pod redakcją H. Tennenbauma. Warszawa 1924, str. VIII+239. — St. Szczutowski: Gospodarcze dziś i jutro Polski. Studjów na dobie nr. 11. Warszawa 1924, str. 60. — Dr. Kaz. Tetyniak-Sanecki: Zarys nauki skarbowej. Wyd. Książnicy Polskiej. Warszawa 1924. str. 179. — Stef. Schmidt: Własność folwarczna zachodniej Małopolski. Wyd. Polska Akademja Umiejętności, Kraków 1924, str. 88. — L. Pączewski: Lasy, przemysł i handel drzewny w Polsce. Wyd. Bibljoteka Polska. Warszawa 1924, str. 297. — Studja społeczne i gospodarcze. Księga jubileuszowa dla uczczenia 40-letniej pracy naukowej L. Krzywickiego. Warszawa 1925, str. 324. — Wł. Berkan: Życiorys własny. Wyd. Instytutu Socjologicznego w Poznaniu. Poznań 1924, str. XIX+363. — Towarzyszu na słówko! Wyd. Bibljoteka chrześcijańsko-społeczna. Kraków 1924, str. 106.

Już się ma ku końcowi okres, w którym każdy niemal, zarówno jednoroczny prawnik jak i dogasający jurysta emeryt, analfabeta i zawodowy ekonomista, czy finansista uważał za swój święty obowiązek gadać i pisać na temat sanacji naszych gospodarczych stosunków. Literatura tego rodzaju już mogła do tej pory każdemu zbrzydnąć, zwłaszcza, że wśród jej obfitości wiele prac jest tego rodzaju, że jeno tematem różnią się od rad, jakie dają chorym na wsi stare znachorki.

Nie chcemy tego bynajmniej powiedzieć o zbiorowej pracy, opatrzonej wstępem Krzywickiego p. t. Skarb Rzeczypospolitej. Tytuł co prawda trochę zwodniczy. Zapasy złota i srebra, dewiz i wysokowartościowej waluty, sposób w jaki to do skarbu spłynęło, jak narastało i malało w tym bądź w innym roku, oto pojęcia, raczej wyobrażenia, jakie się mimowoli każdemu nasuwają na widok takiego tytułu. W rzeczywistości książka jest niczem innem jak omawianiem sprawy reformy naszej waluty a w następstwie unormowania naszego skarbu przez podatki, monopole, opłaty, cła i t. d.

Część I (sześć rozdziałów) omawia bezpośrednio sprawę reformy waluty. Rozdziały pochodzą prawie wyłącznie od Fabierkiewicza. Rzecz pisana jeszcze w r. 1923 a jednak wbrew temu, co się ustawicznie czytało w naszych dziennikach, o czem tak szeroko rozprawiali nasi posłowie p. Fabierkiewicz twiedzi i uzasadnia, że Polska i polskie społeczeństwo mimo katastrofalnego położenia finansowego posiada zdolność płatniczą taką, że bez cudzej pomocy może skutecznie rozpocząć reformę waluty. Dlatego właśnie studjum to zasługuje na uwagę, że je potwierdziło życie; przytem sposób ujęcia tematu zarówno Fabierkiewicza jak i Sokołowskiego, autora drugiego rozdziału tej części, jest ze względu na jasność myśli godzien podkreślenia.

Część druga jakkolwiek z natury rzeczy bardzo ciekawa, bo p. Tennenbaum odważył się nawet pomieścić w niej rozdział wcale krytyczny o obronie państwa, jest w dzisiejszym dniu troszeczkę przestarzała, bo krytyczny pogląd autorów a w następstwie i rady mają podstawę w dewaluacji marki polskiej. Dlatego też już dziś nikogo nie wzrusza owe *ceterum censeo*, które wyraźnie lub domniemanie stawiają autorowie i autorki drugiej części, że trzeba raz skończyć z inflacją. Raczej możnaby mówić o obawie, o jakiej czytamy w rozdziale I, żeby Polska wobec przesilenia w przemyśle nie musiała się uciekać do emisji, jako do najłatwiejszego środka ratunku.

Temat reformy gospodarczej stanowi też treść pracy Szczutowskiego, chociaż tytuł zdaje się zapowiadać również coś innego. Jednak ta praca jest niejako krokiem naprzód w dysertacjach na temat naszego położenia finansowego, gdyż obejmuje już reformę zapoczątkowaną przez ministra Grabskiego. Ciekawym momentem w pracy jest porównanie naszej reformy z reformą waluty w Niemczech. Autor wykazuje analogję między jedną a drugą i, wbrew powszechnej opinji, uzasadnia wyższość sukcesów polskich na tem polu ponad niemieckiemi. Sama praca jest i sumienna i rzeczowa, ale nieco zmanierowana oderwanym a czasami i bombastycznym stylem, który w tego rodzaju tematach jeszcze bardziej razi niż kiedyindziej. Jako przykłady tej wady pozwolimy sobie przytoczyć dwa ustępy:

„Rozstrzygającym momentem finansowej sanacji staje się tedy zdobycie względnie niewielkiego funduszu nadzwyczajnego, w którym demobilizacja kapitału potencjalnie zogniskowuje zasadniczy powojenny deficyt zakładowy narodowego gospodarstwa. Jest to moment niejako statyczny, nieruchomy, rzeczowy. Moment dynamiczny, funkcjonalny, również na tle demobilizacji kapitału" itd. (str. 30). Albo: „Niby nóż operacyjny bez narkozy w chore ciało, zagłębiliśmy wyostrzoną waloryzacyjnie śrubę podatkową w samą głąb nędzy kapitalistycznej społeczeństwa. Gołemi rękoma z ognia hyperinflacji wyciągać poczęliśmy kasztany równowagi budżetowej" (str. 33). Styl taki usprawiedliwi chyba przypuszczenie, że

autor swą pracę referował przedtem w formie odczytów, na co, zdaje się, wskazują daty pomieszczone pod koniec poszczególnych części.

Inny charakter ma praca profesora Saneckiego. Jest to poprostu przystępny podręcznik nauki skarbowości. Napisany względnie popularnie i jasno a przytem uwzględniający wszystkie problemy skarbowości. Autor przeznacza swój podręcznik dla uczniów szkół praktycznych i dla przygotowujących się do egzaminów prawników. Sądzimy, że i jedni i drudzy mogą z niego korzystać z pożytkiem a przytem warto, żeby się z nim zapoznał i szerszy ogół naszego społeczeństwa, aby w ten sposób swój stosunek do obowiązków względem państwa uczynić bardziej świadomym. Przypuszczamy, że nowe wydanie, jakie się niewątpliwie pokaże, będzie jeszcze przystępniejsze, bo już nie będzie się opierało na zawodzących kalkulacjach, objaśniających pewne zasady skarbowe, jadącą w dół marką, ale walutą złotą. Z prac, jakie na temat polskiej skarbowości okazały się w ostatnich latach, „Zarys" jest najprzystępniejszy.

Bardzo cenne w literaturze naszego gospodarstwa społecznego są dwie monografje: o własności folwarcznej w zachodniej Małopolsce p. Schmidta i o polskiem leśnictwie p. Pączewskiego. Praca Schmidta odznacza się niezwykłą drobiazgowością i możliwie najpełniejszem wyczerpaniem tematu. Autor najpierw zestawia statystycznie rozmiary posiadłości jedno i wieloobszarowych, następnie ich stosunki kultury rolnej i kultury leśnej, wielość inwentarza żywego, używalność maszyn różnego rodzaju, nasilenie pracą ręczną, a wszystkie dane czyni wymowniejszemi przez podawanie ich stosunku do obszaru ziemi, i wzajemnego stosunku tych wykładników kultury rolnej. Sprawę całą uplastyczniają tablice statystyczne i wykresy, które ilustrują każdy temat. Praca p. Schmidta może posłuży za wzór dla podobnych jemu specjalistów, którzy opisując w ten sposób swoje najbliższe ziemie stworzą z czasem wyczerpujące źródło dla całości naszego gospodarstwa rolnego.

Równie uwagi godną jest monografja p. Pączewskiego. Faktem jest, że jakkolwiek kultura lasów i drzewny przemysł, łącznie z handlem przedstawia w każdem państwie jedną z najpoważniejszych rubryk, mimo to naogół w naszem społeczeństwie, a może nawet w rządzie, zdaje się, brak dostatecznego zrozumienia i oceny naszego gospodarstwa w tej dziedzinie. Dowodem na to jest chyba obecny katastrofalny kryzys polskiego leśnictwa a przedewszystkiem przemysłu i handlu drzewnego. W tych warunkach jest rzeczą niezmiernie ważną odpowiednie uświadamianie. I rolę tę może spełnić bez mała doskonale praca p. Pączewskiego. Naturalnie, że dział statystyczny, nie z winy autora, musi trochę chromać wobec nierównomiernie prowadzonych zestawień w różnych zaborach i wskutek wydzielenia niektórych części obe-

cnego terytorjum polskiego z dawnych całości gospodarczych. Ale autor, jako fachowiec, odpowiedniemi kombinacjami dochodzi do najprawdopodobniejszych liczb.

Całość mimo zwięzłości bardzo jasna. Szkoda tylko, że ze względu na laików, nie podał autor objaśnień dla pewnych wyrażeń technicznych i że wobec konieczności zcalenia naszej gospodarki leśnej nie skreślił konkretnego planu przedewszystkiem w sprawie przemysłu i handlu drewnem i wyrobami przemysłu drzewnego. Taki plan mógłby się przydać przedewszystkiem naszym posłom, którzy w wielu wypadkach podzielają ignorancję pod tym względem z resztą społeczeństwa i muszą szukać oparcia w monografjach tego typu. Dużą wartość ma szczegółowe i rozumowane zestawienie literatury, jakie autor umieścił pod koniec swej pracy.

Kilka cennych dysertacyj z dziedziny ekonomji i jej historji zawierają „Studja społeczne i gospodarcze", wydane jako księga jubileuszowa na uczczenie pracy naukowej L. Krzywickiego. Do tych należy praca Daszyńskiej-Golińskiej p. t. „Etatyzm w dziedzinie gospodarczej", M. Lewyego studjum: „Swoboda umów i jej ograniczenia", oraz Kempnera: „Fizjokratyzm w świetle nowych badań". Możnaby podnieść pewną wątpliwość wobec rozprawki p. Lewyego, czy w konkluzji, iż ustawodawstwo francuskie w przepisach, które dotyczą umów, staje po stronie posiadających i wogóle własności a nie interesu najemników, nie kryje się jakieś małe ostrze komunistycznej doktryny, podrywającej własność prywatną. W każdym razie nie wypowiada się autor wyraźnie przeciw własności prywatnej.

Bardzo frapujący jest ustęp Bukowieckiego p. t. „Działalność gospodarcza wobec moralności". Jest to wprawdzie nie całe sześć stron druku, a jednak uderza tem, że autor wcale niedwuznacznie podkreśla zależność życia gospodarczego od moralności. Naturalnie, że wmawianie w św. Jana Złotoustego, iż był wrogiem prywatnej własności, jak i takie np. twierdzenie, że „moralnością nazywamy wskazania postępowania ludzkiego ze względu na innych ludzi", jest przynajmniej za śmiałe, a raczej nieścisłe.

Z rozpraw o problemach społecznych zasługują na wzmiankę: Grabowskiego, „Ze statystyki zawodowej", Studnickiego: „Ruch ludności w Europie powojennej", S. Szulca: „Względna nadwyżka urodzeń chłopców w czasie wojny i po wojnie".

Poza tem „Księga" zawiera ciekawe studja, o zabarwieniu raczej historycznem, lub etnograficznem, niż społeczno-gospodarczem. Jedynie założenie, iż nasi mężowie nauki chcieli uczcić swemi specjalnościami jubilata, może usprawiedliwić wmieszanie do spraw społeczno-gospodarczych kwestji, że polinezyjskie tabu nazywa się po polsku: zasie, jak tego dowodzi Stan. Ciszewski, albo, skąd się wzięły i co oznaczają „dwa bóstwa prusko-litewskie Curche i Okkopirnus", o których pisze prof. Bujak itd.

Również nie stroi z zagadnieniami społeczno-gospodarczemi rozprawka Lotha pt.: „Państwo polskie w oświetleniu geografji politycznej" chociaż w rzeczywistości jest bardzo pouczająca. Zdaje nam się, że zjawisko takie jak omawiana przez nas „księga jubileuszowa" jest poniekąd dowodem, że zbyteczna kurtuazja szkodzi niekiedy nawet pożądanej systematyczności naukowej.

Z literatury, która jest, że się tak wyrazimy, osobistą ale o wielkiem znaczeniu społecznem, godna jest polecenia autobiografja Wład. Berkana. Powstała ona dzięki konkursowi poznańskiego Instytutu Socjologicznego, który idąc za koncepcją angielskiego profesora W. D. Thomasa, że pamiętniki są bogatą kopalnią nietylko dla historyków, ale i dla socjologów, postanowił umożliwić stworzenie tego rodzaju rodzimej literatury ze świata robotniczego.

P. Berkan zupełnie słusznie czuł się powołanym do dostarczenia ze swego życiorysu takiego źródła. Wprawdzie, jak to motywuje we wstępie do autobiografji prof. Znaniecki, pamiętnikarz chybił w odpowiedzeniu wymaganiom Instytutu i nagrody konkursowej nie zdobył, nie mniej przeto dostarczył całemu społeczeństwu lektury niezwykle ciekawej.

Cóż może być ciekawszego jak opisanie swych własnych dziejów przez Polaka, syna ubogiego szewca, Pomorzanina, który pracą i solidnością zyskał niemal światową sławę jako firma krawiecka — w Berlinie, a obecnie w Poznaniu. Wysunięcie na pierwszy plan przez autora czynnika pracy, a raczej pracowitości jest dziś tak na czasie, że to samo poleca jego dzieło. Ponieważ jednak p. Berkan obejmuje całokształt swego dotychczasowego życia, więc w życiorysie spotykamy całe mnóstwo bardzo ciekawych szczegółów o warunkach życia i pracy Polaków nie tylko na Pomorzu, ale przedewszystkiem w Berlinie.

Dodajmy do tego stosunki do klienteli, pracowników, personelu, do dziennikarzy, stosunki z polskiemi organizacjami w niemieckim ośrodku, a potrącimy o tematy, o jakich pisze autor na paruset stronach.

Kiedy się czyta te pamiętniki, mimowoli przypomina się Forda: „Moje życie i dzieło". Istotnie p. Berkan jest sobie napewno polskim minjaturowym Fordem. I gdyby był miał więcej czasu na przemyślenie tego, co chciał napisać, byłby dostarczył naszym robotnikom zawodowym a w pierszem miejscu rzemieślnikom o wiele wymowniejszej i bardziej przekonywującej literatury, niż Ford, chociaż nie jest takim finansowym potentatem jak tenże.

Uważamy, że jednak już to, co przed sobą mamy, jest tak warte polecenia zwłaszcza dla różnego rodzaju organizacyj młodzieży męskiej, że pamiętniki Berkana powinny znać wszystkie nasze stowarzyszenia i jeśli przewodniczących stowarzyszeń nie stać na jakieś oryginalne opracowanie materjału, jaki jest w pa-

miętnikach, to powinni je częściami odczytywać i objaśniać na zebraniach. Będzie to więcej warte, niż setki innych referatów.

Autor pisze żywo, bardzo zajmująco, po katolicku i dlatego wobec tych wielkich wartości można mu z czystem sumieniem podarować tego rodzaju polszczyznę: „Z mojem zdrowiem jeszcze daleko nie było w porządku" i t. p. Ponad takiemi drobnostkami góruje sylwetka człowieka miary nieprzeciętnej, którą warto poznać. Sądzimy, że kiedy ją niejeden młodzieniec pozna, to ją pokocha, przynajmniej jako pewien ideał, który od biedy i miernoty będzie go wiódł ku wyżynom godziwego dostatku i znaczenia. Sądzimy też, że wyrabianie tego rodzaju typu obywateli, jaki spotykamy w Berkanie, jest najlepszem zabezpieczeniem naszego społeczeństwa wobec wszystkich prądów socjalistycznych i komunistycznych.

Cel ten spełni może autobiografija Berkana przypadkowo. Lecz ostatnio wyszło w krakowskiej bibljotece chrześcijańsko-społecznej tłumaczenie niedużej książeczki, ale dużej wartości — książeczka, która się rozprawia wprost z socjalistami i komunistami.

Wiadomo, że socjaliści, komuniści i w wielu wypadkach wyzwoleńcy posługują się zdawkowemi frazesami, któremi ośmieszają powagę Kościoła i duchowieństwa. Jeśli w takiej chwili znajdzie się ktoś, który umie takiemu domorosłemu albo gramofonowemu filozofowi dać odrazu ciętą i trafną odpowiedź, zło jest w iskierce zduszone, lecz jeśli na takie zdawkowe zarzuty odpowiedzią jest tylko milczenie ze strony katolików, to chociażby te zarzuty nic nie były warte, jednak po stronie socjalistycznej wzmaga się zuchwałość, a po stronie katolickiej potęguje się jeszcze bierność a może nawet defetyzm.

I właśnie książeczka „Towarzyszu na słówko!" uczy niejako owej przytomności umysłu wobec nieopatrznych śmiałków. Jest to zbiór zarzutów przeciwko religji wraz z odpowiedziami rzeczowemi a ciętemi. Książeczkę tę należałoby najszerzej rozpowszechnić zwłaszcza tam, gdzie są ośrodki socjalistyczne i skrajno-ludowcowe. *R. Moskała.*

## Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Ks. J. Winkowski: Egzorty do uczniów szkół średnich, t. III, str. 309.
Stef. Harassek: Józef Gołuchowski. Zarys życia i psychologji. Kraków 1924, str. 575.
Czesł. Chodorowski: Legenda Polski w dwu księgach narzeczem kieleckiem opowiedziana. Kielce. Nakład Księgarni „Jedność", str. 278.
H. Chankowski: Arytmetyka handlowa, t. II, zesz. 1, 21 tysiąc. Skład Gebethner, str. 112.
— Kalendarz Informator-Polski na rok 1925. Warszawa, Nakład Bibljoteki Domu Polskiego, str. 122.
Ant. Martel: Une renaissance du Messianisme en Pologne. Paris 1925, str. 15.

Rom. Dmowski: Polityka polska i odbudowanie państwa. Warszawa 1925, Perzyński i ska, str. 630.
Wacł. Mileski: Wilk w owczej skórze przeciw Anonimowi z Kurjera Poznańskiego. Poznań 1925, str. 32.
Jul. Kleiner: Sztychy. Lwów, wyd. Ossolińskich, str. 173.
Ad. Bochnak: Warowny klasztor Karmelitów Bosych w Starym Zagórzu. Przemyśl 1925, 11 klisz, str. 24.
Ks. B. Pawłowski: Księga Zacharjasza, wstęp, nowy przekład, litograf., Wilno, Senatorska 29.
G. Hofmann S. I.: Ruthenica. I. Die Wiedervereinigung der Ruthenen. II. Der hl. Josaphat. (Orientalia christiana, num. 12.) Roma, Pontif. Istituto Orientale, str. 148.
Wład. Łęga: Z pomorskich łanów, Wiersze. Grudziądz 1925, księg. Bażańskich, str. 64.
J. I. Kraszewski: Pamiętnik Mroczka, powieść Wyd. „Bibljoteka Domu Polskiego" 1925, str. 152.

Nakład Spółki „Ostoja", Poznań 1925.

Teatr dla młodzieży męskiej:

Nr. 13. Fel. Żurowska: Gościnny występ, krotochwila w 1 akcie, str. 32.
Nr. 14. F. Żurowska: Lokatorzy, krotochwila w 1 akcie, str. 30.
Nr. 15. Zbig. Topór: Dorożkarz i inne monologi, str. 28.

Teatr dla młodzieży żeńskiej:

Nr. 12. Czesł. Wolniewiczówna: Zdrajca, komedja w 3 aktach, str.
Nr. 13. — Odważna i inne monologi, str. 24.
Nr. 14. — Praprawnuczka Twardowskiego. str. 27.

Bibljoteka wieczorowa:

Nr. 3. H. Folek: Wieczór śmiechu, (dla zespołów męskich) str. 38.
Nr. 4. Czesł. Wolniewiczówna: Wieczór humoru, (dla zesp. żeńskich) str. 34.

Echo, zbiór pieśni i utworów muzycznych:

Ach ta banda — Żydowska wojna — Pieśń dziadowska — Ciemno było — Ucz się człeku — Jedzie, jedzie — Wiązanka — Wesele komarów.

Nakład księgarni św. Wojciecha, Poznań 1925:

Ks. Józ. Kłos: Kazania katechizmowe, t. I o wierze, str. 438.
Ks. Bukowski, Kwiatkowski i inni: Biblja i teologja. Praca zbiorowa, str. 165.
Ks. J. Urban T. J.: Na ślubny kobierzec, str. 162.
Ks. Dr. J. Ciemniewski: Katolicyzm a nasze odrodzenie narodowe. Szkic historyczno-moralny, str. 56.
O. Jacek Woroniecki O. P.: Katolicka etyka wychowawcza. Część I analityczna. 1925, str. VII + 232.

Nakład Herdera we Fryburgu 1925.

A. Donders: Die Passion Christi und wir Menschen von heute. Fastenvorträge, str. 126.
J. von Tongelen: Der Heiland am Ölberg und die moderne Welt. Fastenpredigten, str. 104.

Nakład Krakowskiej Spółki Wydawniczej, Kraków 1925.

St. Windakiewicz: Dzieje Wawelu, str. 234.
Tad. Sinko: Polscy podróżnicy w Grecji i w Troi, str. 80.

Bibljoteka Narodowa:

Piotr Skarga: Kazania sejmowe opracował St. Kot, str. CXVI i 190.

St. Trembecki: Sofiówka i wybór poezyj opracował Wład. Jankowski, str. XLII i 127.
Al. Puszkin: Eugenjusz Oniegin przełożył L. Belmont, opracował W. Lednicki, str. CXXI i 232.

Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1925.

Jan Nep. Niemojowski: Wspomnienia, wydał i objaśnił Stef. Pomarański, str. 608.
Bol. Prus: Faraon, powieść, t. I—III wyd. 5, str. 311 i 389 i 329.
L. Komarnicki: Historja literatury polskiej w. XIX. Cz. I. zeszyt III.
Br. Grąbczewski: Przez Pamiry i Hindukusz do źródeł rzeki Indus, 82 ilustr., t. II, str. 226.
Wł. St. Reymont: Bunt. Baśń, str. 200.
Tad. Joteyko: Poradnik dla chórów amatorskich, str. 46.
Tenże: Nowy podręcznik do nauki muzyki w szkołach ogólnokształcących, str. 174.
Wł. Natanson i K. Zakrzewski: Nauka fizyki. Podręcznik dla klas wyższych szkół średnich, t. III. zesz. 1, str. 238.
J. St. Bystroń: Historja w pieśni ludu polskiego, str. 116.
Fel. Brodowski: Kobieta w rodzinie. Szkic moralności praktycznej naszych matek, str. 125.
L. Kondratowicz: Urodzony Jan Dęboróg i szkolne czasy, objaśnił Jul. Krzyżanowski, str. 200.
Hel. d'Abancourt: Kraków i okolice. Przewodnik. 49 ilustr., str. 222.

Książnica-Atlas, Lwów-Warszawa 1925.

Czesł. Nanke: Wypisy do nauki historji nowożytnej, cz. I, str. 205.
Nat. Cimirska: Piosnki i zabawy dla szkółek freblowskich i ochronek str. 64.
Ks. Z. Bielawski C. M.: Szkoła Chrystusowa, modlitewnik dla młodzieży, wyd. 3, str. 399.

Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy, Warszawa 1925.

J. N. Siergiejew: Od Dźwiny ku Wiśle, z rosyjskiego przełożył i wstępem zaopatrzył Józ. Moszyński, str. 160.
J. N. Siergiejew: Od Dźwiny ku Wiśle. Atlas.
P. Lucas: Rozwój myśli taktycznej we Francji i w Niemczech podczas wojny 1914-1918, z francusk. przełożył J. Biernacki, str. 283.
Janusz Groszkowski: Lampy katodowe oraz ich zastosowanie w radjotechnice, str. 328.
— Wojna francusko-pruska 1870—1871, z franc. przełożył i wstępem opatrzył Ant. Bogusławski, str. 134.
— Wojna franc.-pruska 1870—1871. Atlas.

# Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

---

## Sprawy Kościoła.

Po podpisaniu konkordatu. — Ilu katolików zostało w republice Sowietów

Za datę najważniejszą ostatniego miesiąca zarówno dla Kościoła katolickiego w Polsce, jak i dla sprawy wykończenia polityczno-prawnego ustroju Rzeczypospolitej należy uważać dzień 10 lutego. W dniu tym został podpisany w Rzymie przez naszych pełnomocników, pp. Wład. Skrzyńskiego i Stan. Grabskiego wraz z Sekretarzem Stanu, kard. Gasparri, konkordat między Stolicą świętą a Rzecząpospolitą polską. Konkordat ten, którego zawarcie zapowiedziała już Ustawa konstytucyjna z dn. 17 marca 1921 r., długo był odkładany przez nasz rząd, lecz gdy wreszcie zdecydowano się nawiązać pertraktacje ze Stolicą świętą, zostały one poprowadzone w tempie przyspieszonem i doprowadzone do pomyślnego końca niezwykle szybko. Życzyćby tylko należało, aby również szybko dokonano przewidzianej przez konstytucję ratyfikacji tego porozumienia w sejmie i senacie i wymiany dokumentów ratyfikacyjnych.

Tekst zawartej umowy jest czytającej publiczności znany już z dzienników. Niestety, polskiego przekładu dokonano nieco niedbale, co w niektórych punktach zaciemnia zrozumienie treści osiągniętego porozumienia. Oczywiście będzie ogłoszony w swoim czasie autoryzowany polski tekst tego ważnego dokumentu, mającego się stać także częścią składową wewnętrznego prawodawstwa Polski. Tymczasem znamy 27 artykułów zawartej umowy na tyle dokładnie, że można się przekonać, iż dotyczy ona p r a w i e całokształtu stosunku Kościoła do państwa, że rozwiązuje i normuje p r a w i e wszystkie jakkolwiek ważne zagadnienia, dotyczące prawnego położenia Kościoła katolickiego w Polsce. Podkreśliliśmy

wyraz „prawie", gdyż nie znajdujemy w konkordacie wcale wzmianki ani o prawodawstwie małżeńskiem, ani o stosunkach między różnemi obrządkami katolickiemi w Polsce, co według domysłów naszej prasy miało również być przedmiotem stypulacyj w Rzymie. Uznano wszakże zapewne, że w sprawach małżeńskich Kościół katolicki może rządzić się tylko własnym kodeksem prawa kanonicznego, a stosunki między obrządkami należą także do spraw wewnętrznych Kościoła, dość uregulowanych przez tenże kodeks prawa kanonicznego.

Zresztą wszystko inne, co tylko dotyczy publicznych uprawnień Kościoła w państwie polskiem, zostało objęte podpisaną 10 lutego umową. Mamy więc stwierdzenie pełnej wolności Kościoła katolickiego wszystkich obrządków, i swobody znoszenia się katolików ze Stolicą świętą; art. 3 określa formę przyjaznych stosunków między Polską a Rzymem — nuncjatura w Warszawie i ambasada polska przy Watykanie. Określono, w jakich razach państwo dawać ma Kościołowi pomoc przy wykonywaniu jego dekretów, jak również ulgi dane duchowieństwu w odniesieniu do służby wojskowej; osobny artykuł (siódmy) dotyczy praw i przywilejów kleru polowego. Art. 8 wprowadza obowiązkowe modły kościelne za pomyślność Rzeczypospolitej. Artykuły 9—12 określają organizację diecezyj w Polsce, sposób nominowania biskupów, przysięgę ich itd. Art. 13 stwierdza obowiązkowość nauczania religji dzieci katolickich we wszystkich szkołach publicznych, niższych i średnich, i prawo kontroli Kościoła nad tem nauczaniem, jak również określa organizację seminarjów duchownych we wszystkich diecezjach. Kilka artykułów dotyczy prawa własności dóbr kościelnych i ich administrowania, cmentarzy katolickich, obsadzania beneficjów, patronatu, sposobu usuwania nieprawomyślnych państwowo członków kleru, sądownictwa nad księżmi i sposobu odbywania przez nich kary. Osobny artykuł (23) poświęcono językowi w nabożeństwach dodatkowych, kazaniach i nauczaniu. Art. 24 określa uposażenie duchowieństwa i instytucyj kościelnych wzamian za skonfiskowane dobra kościelne i przewiduje zajęcie na cele reformy rolnej posiadanych jeszcze przez Kościół dóbr, oczywiście za ustawowem odszkodowaniem. Końcowe artykuły dotyczą wejścia w życie konkordatu i usunięcia wszelkich ustaw i rozporządzeń z nim niezgodnych.

Przyglądając się bliżej treści różnych artykułów konkordatu, zauważamy, że niektóre są s z c z e g ó l n i e w a ż n e dla Kościoła zarówno, jak dla państwa. Weźmy naprz. artykuł dziewiąty, wprowadzający nową organizację hierarchji katolickiej w Polsce. Cała Rzeczpospolita ma być podzie-

lona na pięć prowincyj kościelnych łacińskiego obrządku (obrządek grecki i ormiański pozostają bez zmiany). Do trzech dotychczasowych arcybiskupstw (gnieźnieńskiego, lwowskiego i warszawskiego) przybywają nowe (krakowskie i wileńskie); mają powstać także nowe diecezje: łomżyńska, częstochowska, śląska i pińska, ta ostatnia zresztą zajmie miejsce diecezji mińskiej, z części której będzie utworzona. Każde arcybiskupstwo dostaje pewną ilość diecezyj, jako swe sufraganje. Niezmiernie ważnem jest postanowienie konkordatu, że żadna część terytorjum Rzeczypospolitej nie może zależeć od biskupa, rezydującego w obcem państwie; dzięki temu postanowieniu zostaną uregulowane stosunki na Litwie, gdzie dotąd pewna ilość parafij należała do diecezji kowieńskiej, na Śląsku, gdzie cała nasza część Cieszyńskiego wciąż rządzona była w zależności od Wrocławia, wreszcie na Spiżu i Orawie, gdzie przyłączone do Polski terytorja muszą być odłączone od diecezyj słowackich i wcielone do diecezji krakowskiej. Natomiast z klauzuli art. 26, że granice prowincyj kościelnych i diecezyj będą odpowiadały granicom państwa, wynika także, że biskupi polscy utracą ze swych diecezyj te części, które się znalazły poza granicami Polski. Odpadnie więc od diecezji poznańskiej i chełmińskiej pewna ilość parafij na rzecz diecezyj niemieckich, a od diecezji wileńskiej — na rzecz Kowna; biskup dotychczasowy łucko-żytomierski utraci całą diecezję żytomierską i kilka dekanatów łuckiej; największe zmiany zajdą w diecezji mińskiej i sejneńskiej: przestają one istnieć na terytorjum polskiem i z ich polskich części tworzą się diecezje nowe: pińska i łomżyńska. Zapewne i granice między dawnemi diecezjami ulegną znacznym modyfikacjom. Erekcyj nowych arcybiskupstw, diecezyj i rozgraniczenia ich ma dokonać Stolica święta w trzy miesiące po wejściu w życie konkordatu, ten zaś wejdzie w życie w dwa miesiące po wymianie aktów ratyfikacyjnych. Jeżeli ratyfikacja konkordatu w sejmie i senacie nastąpi szybko, to wyżej wymienionych zmian w organizacji hierarchicznej Kościoła możemy się spodziewać już w roku bieżącym. Tym sposobem utrwalenie granic Polski znajdzie swoje uzupełnienie w ustaleniu granic kościelnych. Ważnem jest tu także postanowienie konkordatu, według którego uprawnienia nuncjatury papieskiej w Warszawie rozciągają się także na terytorjum wolnego miasta Gdańska, które pod względem kościelnym stanowi osobną administrację apostolską. Tym sposobem oddala się to terytorjum od wpływów biskupów niemieckich, a zbliża się pod względem kościelnym do Polski.

Inny ważny dla Polski punkt układu dotyczy wpływu państwa na obsadzanie godności i beneficjów kościelnych:

Ojciec Święty przed mianowaniem biskupów będzie się upewniał, że ze strony państwa polskiego dana kandydatura nie napotyka na trudności natury politycznej; proboszcza mianuje biskup, ale przedtem rządowi w przeciągu 50 dni przysługuje prawo veta przeciwko zamierzonemu mianowaniu. Wpływ państwa na te kościelne nominacje, jak widzimy, jest tylko negatywny, nie mniej przeto skuteczny. A trzeba tu dodać, że dotyczy on duchowieństwa wszystkich trzech katolickich obrządków.

Bardzo ważny jest także artykuł 23, który opiewa, że żadna zmiana w języku nabożeństw dodatkowych, kazań i wykładów, z wyjątkiem wykładów teologicznych w seminarjach, nie może być zaprowadzoną inaczej jak za specjalnem upoważnieniem konferencji biskupów. Punkt ten jest niezmiernej wagi dla tych części państwa polskiego, gdzie się ścierają sprzeczne domagania się narodowościowe, jak np. w Wileńszczyźnie, na Białej Rusi, Wołyniu i t. d. Wprowadzenie do decyzyj w tych sprawach aż takiego czynnika, jak konferencja biskupów, uniemożliwi wszelkie jednostronne i zbyt pospieszne innowacje.

Ważny wreszcie, choć mniej zadowalający, jest artykuł, normujący uposażenie duchowieństwa. Nie wszystko, co do tej sprawy należy, zostało załatwione. Sprawa dóbr, skonfiskowanych przez rządy zaborcze i sprawa *jura stolae* zostały odłożone do późniejszej umowy. Dodatnią stroną tego artykułu jest to, że określa pewne *minimum* posiadania ziemi przez beneficjatów kościelnych i instytucje kościelne lub uposażenia pieniężnego w razie nieposiadania ziemi. Za dodatnią rzecz należy poczytać także sposób wypłacania pieniężnych pensyj niższemu klerowi przez władze diecezjalne, co odpowiada zasadzie hierarchicznej zależności tegoż kleru od biskupów.

Zawarty konkordat, w myśl konstytucji, musi być ratyfikowany przez nasze Izby prawodawcze. Nie ulega wątpliwości, że spotka się on w nich z opozycją stronnictw lewicowych. Nie sądzimy wszakże, by zdołano przeciwko niemu wytoczyć jakieś rzeczowe zarzuty ze stanowiska państwowości polskiej, choćby opozycja przyjęła mniej właściwą sobie rolę rzeczniczki nacjonalizmu polskiego lub teorji supremacji państwa nawet nad religją. Podczas trwania pertraktacyj o konkordat lewica wszczynała alarmy, jakoby konkordat miał poddać Polskę pod panowanie Rzymu i hierarchji biskupiej, jakoby całe szkolnictwo uzależniał od Kościoła i t. d. Swoją drogą sami alarmujący nie posiadali żadnych danych faktycznych do tego rodzaju podejrzeń: wszak jednocześnie napadali na rząd za to, że odmawiał ujawnienia treści i kierunku prowadzonych rokowań. Obec-

nie łatwo się przekonać, jak te alarmy były bezpodstawne. W całym konkordacie niema ani jednego artykułu, któryby choć ubocznie sprzeciwiał się konstytucji polskiej. Przeciwnie, począwszy od przewidzianego przez nią samego faktu zawarcia konkordatu, najważniejsze jego postanowienia są właśnie rozwinięciem zasad i wskazań konstytucji. Nie narusza on w niczem zagwarantowanej przez konstytucję tolerancji względem innych wyznań, Kościołowi zato katolickiemu pozwala rządzić się własnemi prawami, jak to wyraźnie i konstytucja mu obiecuje. Państwu zagwarantowanym został ten stopień wglądu w sprawy kościelne, który jest konieczny ze względu na porządek publiczny i bezpieczeństwo państwa; natomiast mają odpaść te wszystkie policyjne zarządzenia, które rozciągały nad Kościołem państwa zaborcze, a które zarówno ubliżały godności Kościoła, jak tamowały jego działalność. Nawet w dziedzinie szkolnego nauczania konkordat nie wprowadza nic nad to, co zawiera konstytucja polska w artykule 120: zapewnia obowiązkowość wykładu religji dzieciom katolickim pod kierownictwem i nadzorem Kościoła. O jakimkolwiek nadzorze Kościoła nad innemi przedmiotami nauczania w szkole publicznej konkordat nie mówi ani słowa, jak nie mówi o nim konstytucja. Wobec tej zupełnej zgodności zawartego konkordatu z ustawą zasadniczą państwa, opozycja przeciwko konkordatowi — z jakichś „zasadniczych" względów — byłaby zarazem opozycją przeciwko istniejącej u nas konstytucji. Większość w naszych ciałach prawodawczych na tę drogę nie wejdzie i konkordat — mamy nadzieję mocną — rychło wejdzie w życie.

Zauważyliśmy, mówiąc o konkordacie, że przy nowem określeniu i rozgraniczaniu prowincyj kościelnych i diecezyj w Polsce duże terytorja, znajdujące się poza granicami Rzeczypospolitej, wypadną z pod jurysdykcji biskupów polskich, którzy dotąd rozciągają nad niemi swoją władzę. Dotyczy to przedewszystkiem ziem ze znaczną liczbą ludności katolickiej i polskiej, którą traktat ryski pozostawił w obrębie Związku republik sowieckich. Dla tych ziem zapewne Stolica Święta ustanowi nowy porządek hierarchiczny, może w postaci wikarjatów czy administracyj apostolskich. Interesującą jest rzeczą uprzytomnić sobie liczbowy stan katolicyzmu — t. j. liczby wiernych, kościołów i kapłanów — zarówno na tych niegdyś polskich kresowych ziemiach, jak i wogóle w całej bolszewickiej republice.

Dokładnej statystyki katolicyzmu w obecnej Rosji przeprowadzić niepodobna. Niema do tego żadnych urzędowych danych. Rząd sowiecki religję do tego stopnia uważa za rzecz

„prywatną", że nie uwzględnia przynależności religijnej przy żadnych spisach i obliczeniach ludności. Chcąc posiąść choć jako tako orjentujące cyfry, trzeba się zadowolić kombinacjami na podstawie dawnych danych i przypuszczalnych zmian, jakie wojna, rewolucja, głód i repatrjacja wprowadziły do stanu liczbowego ludności katolickiej w Rosji. Niektóre cyfry wszakże, np. liczbę kościołów i kapłanów, można uważać za ścisłą na podstawie danych, dostarczonych przez konsystorze kościelne.

W granicach republik sowieckich istnieje w tej chwili następujący hierarchiczny podział:

1. Znajduje się tam całkowicie archidiecezja mohylewska z rezydencją arcybiskupa-metropolity w Piotrogrodzie. Zarówno pasterz tej archidiecezji, ks. arcybiskup Ropp, jak i jego sufragan, arcybiskup Cieplak, znajdują się przymusowo poza granicami archidiecezji, pierwszy w Polsce, drugi w Rzymie. Zarząd jej czasowy spoczywa w ręku jednego z księży, w charakterze wikarjusza generalnego arcybiskupa. Arcybiskupstwo to, które rozciągało się od Morza Bałtyckiego po cieśninę Berynga i od Archangielska po Charków i Taszkent, obecnie, choć uszczuplone przez odłączenie od niego Finlandji, erygowanie nowego biskupstwa łotewskiego w Rydze i wskrzeszenie diecezji mińskiej, jeszcze jest najrozleglejszą jednostką kościelną w całym świecie. Na tych, trudnych do objęcia fantazją, przestrzeniach od Dniepru po Bajkał, istnieją jeszcze 152 kościoły katolickie, (nie licząc mniejszych kaplic). Mieliśmy w rękach ogłoszony świeżo przez władzę diecezjalną katalog owych kościołów, księży i wiernych. Jakże mizernie przedstawia się obsługa duchownych w tej spustoszonej archidiecezji! Na nowy rok 1925 wykazuje ów katalog tylko 86 księży znajdujących się w archidiecezji, z których 15 w więzieniach bolszewickich! Pozostałych więc 70 kapłanów, w których liczbie znajdują się i starcy i prześladowaniem wyczerpani i złamani, mają obsłużyć 152 kościoły i 320 tysięcy katolików. To też niektórzy z nich wymienieni są jako proboszczowie pięciu i więcej parafij, i to w punktach tak odległych od siebie, że tworzą obszar większy od kilku państw europejskich razem wziętych. Już po nowym roku kilku kapłanów zwolniono z więzienia, część ich wszakże odesłano do Polski, uszczuplając w ten sposób obsługę duchowną katolików w archidiecezji.

2. Wschodnia Syberja przed paru laty odłączona została od archidiecezji mohylowskiej i utworzonem zostało nowe biskupstwo we Władywostoku. Posiada ono swego pasterza w osobie ks. biskupa Śliwowskiego, liczy wszakże nie więcej nad 6 parafij z tyluż mniej więcej księżmi i około 20 tysiącami wiernych.

3. Diecezja tyraspolska z siedzibą biskupią w Saratowie była po mohylowskiej najrozleglejszą diecezją katolicką w Rosji. Niedawno Stolica święta odłączyła od niej Krym i Kaukaz, jak również Besarabję, przyłączoną do diecezji rumuńskiej w Jassach. Według wskazówek, jakich mi łaskawie udzielił pasterz tej diecezji, ks. biskup Kessler, przebywający jako wygnaniec w Berlinie, uszczuplona diecezja jeszcze posiada około 90 kościołów, 100 kapłanów i 300 tysięcy wiernych. Większość ludności katolickiej tej diecezji stanowią Niemcy, skupieni głównie w kolonjach nad Wołgą i na południowym Zachodzie Rosji, w gubernji Hersońskiej. Diecezja ta posiadała również spory odsetek katolików Polaków i Litwinów, większość wszakże ich wyemigrowała do swych krajów macierzystych. Zresztą diecezja tyraspolska stosunkowo najmniej ucierpiała od prześladowania bolszewickiego, choć i w niej, jak w innych, zostały rozgromione i skasowane seminarjum, konsystorz i inne instytucje katolickie.

4. Z części południowych diecezji tyraspolskiej, Krymu i Kaukazu, został utworzony wikarjat apostolski, na czele którego stoi ks. biskup Smets, Holender, rezydujący w Tyflisie. Sądząc z dawnych spisów, wikarjat ten może posiada 30 kościołów z tyluż księżmi i około 68 tysięcy wiernych różnych narodowości.

5. Prastara diecezja kamieniecka, skasowana przez rząd carski w r. 1868 i wskrzeszona w r. 1917, znajduje się całkowicie pod bolszewikami. Pasterz jej, ks. biskup Mańkowski znajduje się na wygnaniu w Polsce wraz z większością swego duchowieństwa. Na miejscu zostało 42 kapłanów, mających obsłużyć 113 kościołów i 320 tysięcy wiernych, jak podaje „Elenchus" tej diecezji, wydany na rok 1924.

6. Z połączonych diecezyj łuckiej i żytomierskiej, ta druga znajduje się całkowicie w obrębie bolszewji, a z łuckiej parę dekanatów. Ks. biskup Dubowski, pasterz tej diecezji, której jedna ze stolic, Łuck, należy do Polski, rezyduje właśnie tutaj, rządząc polską częścią swej owczarni i opiekując się według możności częścią oderwaną przez traktat ryski. Według „Elenchusa" z przed dwóch lat, ludność katolicka tamtej części diecezji wynosiła 350 tysięcy, a posiadała 107 kościołów, obsługiwanych tylko przez 68 kapłanów.

7. Najbardziej pono opuszczoną i rozbitą jest część diecezji mińskiej, z samą siedzibą biskupią w Mińsku, znajdująca się po tamtej stronie kordonu. Pasterz tej diecezji, ks. biskup Łoziński, po przejściu więzienia bolszewickiego odesłany do Polski, rezyduje w Nowogródku, w części swej diecezji, należącej do Rzeczypospolitej. Po tamtej stronie

pozostało w przybliżeniu 160 tysięcy katolików z 46 kościołami, lecz tylko 14 księżmi! Na jednego więc kapłana w Mińszczyźnie przypada 12 tysięcy wiernych!

8. Oprócz wymienionych jednostek kościelno-administracyjnych obrządku łacińskiego, są w bolszewji jeszcze Ormianie katolicy, posiadający swój własny zarząd, jako administrację apostolską z siedzibą w Tyflisie. Jest ich około 58 tysięcy z 50 mniej więcej kościołami i tyluż księżmi.

9. Katolicy Rosjanie wschodniego obrządku, liczbowo stanowiący grupę nieliczną (może parę tysięcy), pozbawieni zostali przez prześladowanie bolszewickie całego swego kleru. Egzarcha ks. prałat Fiodorow znajduje się dotąd w więzieniu, skazany na 10 lat; podobnież podwładni mu kapłani są albo uwięzieni albo wygnani na Syberję.

Dla łatwiejszego orjentowania się podajemy powyższy opis w tablicy.

| Diecezje | Liczba wiernych | Kościołów | Księży |
|---|---|---|---|
| 1. Mohylewska | 320.000 | 152 | 86 |
| 2. Władywostocka | 20.000 | 6 | 6 |
| 3. Tyraspolska | 300.000 | 90 | 100 |
| 4. Kaukaz i Krym | 68.000 | 30 | 30 |
| 5. Kamieniecka | 320.000 | 113 | 42 |
| 6. Łucko-Żytomierska | 350.000 | 107 | 68 |
| 7. Mińska | 160.000 | 46 | 14 |
| 8. Ormianie | 58.000 | 50 | 50 |
| 9. Rosjanie wsch. obrz. | ? | ? | ? |
| Razem | 1596.000 | 594 | 396 |

Ilu w tej liczbie jest Polaków? Zważywszy, że tylko diecezja tyraspolska jest w znacznej części niemiecką i pominąwszy 58 tysięcy Ormian i pewien odsetek katolików innych narodowości w archidiecezji mohylewskiej (Litwini, Łotysze), liczbę katolików-Polaków w bolszewji można określić na 1 miljon 200 tysięcy. O tej rzeszy naszych rodaków i współwyznawców, o ich potrzebach religijnych, tak niedostatecznie zaopatrzonych, nie wolno Polsce katolickiej zapominać. Gdy Stolica Apostolska utworzy dla nich nowe formy organizacji kościelnej, głównie do katolickiego społeczeństwa w Polsce należeć będzie piecza o to, aby tym rodakom naszym nie zabrakło kapłanów Polaków, polskiego katechizmu, polskiej pieśni kościelnej.

*Ks. J. Urban.*

## Życie muzyczne Krakowa.

W stosunku do zeszłorocznego sezonu ruch muzyczny na terenie Krakowa zmienił swe centrum ogniskowe. Brak opery, Tow. operowego, która wytrwale borykała się z trudnościami

przez dwa lata, przeniósł punkt ciężkości na koncerty. Niestety i w tym wypadku polityka lokalnych czynników miejskich waży na ich doborze i jakości. Doskonale zorganizowane koncerty symfoniczne orkiestry Związku Muzyków, które darzyły nas tygodniowemi produkcjami w roku ubiegłym, kontynuują obecnie z dużą rezerwą swe produkcje. Zrazu cykl muzyki rosyjskiej pod batutą Berewajeffa odnowił wspomnienia symfonji Czajkowskiego, Bimskyego-Korsakowa, a chlubnie zakończył trzecią symfonją Skriabina; w okresie świątecznym wykonano IX symf. Beethovena, lecz i na tem koniec. Zato koncerty salowe zwłaszcza sił zagranicznych darzą nas ciekawemi programami, często w pierwszorzędnem wykonaniu. Sezon bieżący uprzywilejował dział instrumentalny i to z zakresu smyczkowego. Witaliśmy więc wszystkich wybitnych skrzypków-wirtuozów o najrozmaitszym typie indywidualności: obok idealnego typu odtwórczego w osobie Karola Flesela, który z wzorową techniką łączy klasyczny umiar stylu, słyszeliśmy wykwintnego wirtuoza o francuskiej błyskotliwości i rasowej dystynkcji w Henryku Marteau, a dalej obok tak słynnego wirtuoza Jana Kubelika, którego talent przy wspaniałej technice świeci już tylko odblaskiem zmierzchu, wystąpił i czcigodny nestor pokolenia dzisiejszych wiolinistów, Eugen Ysaye, i dojrzała już w pogłębioną artystkę o silnej koncentracji psychicznej Erica Morini. Palmę pierwszeństwa zdobył jednak fenomenalnie muzykalny Vasa Prihoda, którego olśniewające mistrzostwo strony technicznej jest tylko środkiem do otwarcia mu całego skarbca literatury skrzypcowej. Obok skrzypków i celiści wystąpili na estradzie Starego Teatru Enrico Mainardi z żywiołowem zacięciem i brawurą południowca, Emmanuel Feuermann o mistycznem skupieniu w grze i Gerardy, liryk-poeta w świecie tonów.

Wspaniale zarysowuje się szereg wieczorów kameralnych, które rozpoczął kwartet Rosego koncertem, wyłącznie twórczości Bethovena poświęconym. — Pierwszy raz dał się słyszeć kwartet drezdeński, pełen temperamentu i zwartości rytmicznej, którego wykonanie kwartetu Brahmsa długo pozostanie w pamięci. Odmiennym charakterem zaznaczył się spokojny zespół angielski „The Catteral Quartett", którego rasowa trzeźwość zracjonalizowała wszelkie inne odczucia estetyczne poza pastelowym wdziękiem kompozycji Elgara. Natomiast kwartet Szewczyka uderzył w rodzimą nutę sentymentu i serdeczności przy utworze Dworzaka, rehabilitując tem bezbarwność swego zeszłorocznego występu. Stale pamiętające o Krakowie Trio Poźniaka i tym razem zaświadczyło, iż należy do pierwszych ensembli, a miniaturową zastępczość orkiestry unaocznił zespół filharmoników wiedeńskich, którzy odegrali z precyzją i uduchowieniem oktet Schuberta i septet Bethovena.

Świat wokalny znalazł przedstawicieli: w słynnym ze swego piana tenorze lirycznym, Dymitrym Smirnowie, w znakomitej śpie-

waczce, Bercie Kiwunie, której wzniosły kunszt świadczył o poziomie wiedeńskiej kultury muzycznej, w Jadwidze Dębickiej, liryczno-dramatycznej sopranistce z europejską sławą i w Lydji Lipkowskiej, doskonałej śpiewaczce koloraturowej.

Zespoły chóralne, które są chlubą Krakowa, wystąpiły z dorobkiem poważnej pracy. I tak *Echo,* pierwszy chór w Polsce pod batutą dyr. Walewskiego, popularnym koncertem w sali „Sokoła" udostępnił swą produkcję szerszym masom publiczności, a pięknym „Porankiem" w sali tow. rolniczego ze współudziałem p. Comte-Wilgockiej zaświadczyło o wytrwałej, wciąż naprzód idącej pracy. *Towarzystwo oratoryjne* przy sprężystej inicjatywie p. Jadwigi Zbrożkówny, a systematycznych studjach pod kierunkiem dyr. Barańskiego, złożyło egzamin na chór mięszany pierwszej jakości wystawieniem Potopu Saint-Saënsa. Ambicja i celowe wysiłki kierują jego krokami i każą mu poważne przydzielić miejsce w artystycznem życiu Krakowa. Z Pragi zawitał do nas chór męski, z 50 osób złożony *„Smetana"*, który programem dał przegląd twórczości czeskiej, opanowaniem strony technicznej zadziwił, a porwał natchnionem uczuciem interpretacji.

W Instytucie muz. im. Klary Czop-Umlaufowej odbyły się 2 wieczory kameralne, pierwszy poświęcony rozwojowi Sonaty, drugi muzyce Ryszarda Straussa. O poziomie wykonawczym z sił pedagogicznych tej uczelni zestawionym, świadczą nazwiska prof. Przeorskiego, p. Abłamowicz-Mayerowej, prof. Macalika i t. d. W sali tegoż instytutu odbył się szereg wieczorów związku muz.-pedag., zorganizowanych przez prez. Ludwikę Grodzicką, który nam przesunął na estradzie najwybitniejszych artystów miejscowych.

Osobne miejsce należy się wieczorowi kompozytorskiemu Jerzego Gablenza, którym młody kompozytor wprowadził się w grono twórców szkoły krakowskiej. P. Gablenz jest pieśniarzem-lirykiem o niesłychanie bujnej inwencji melodyjnej i bogactwie jej harmonizowania.

Muzyka kościelna skupia się w bazylice OO. Franciszkanów, gdzie *Chorus Caecilianus* wraz z chórem chłopięcym pod kierunkiem O. dra Rizziego wykonuje utwory różnych stylów. Przed dwoma miesiącami zaprodukował z nim O. Rizzi drugą swą mszę z tryptyku Marjańskiego p. t. *Consolatrix Afflictorum.* W ten sposób obok *Mater inviolata* staje odmienna żałosnym nastrojem msza, gloryfikująca dobroć Panny Najświętszej. Zarówno jak i pierwsza posługuje się środkami impresjonizmu współczesnego, bogacąc tem zasób czynników dźwiękowej expressji w charakterze programowości wobec treści tekstu.

Rocznicę chopinowską uczcił związek artystów porankiem pieśniarskim, a Helion, związek najmłodszych literatów, Akademią w sali Starego Teatru.

Ponadto koncert znakomitego pianisty, Ignacego Friedmana złożył hołd twórczości chopinowskiej, składając program wyłącznie z utworów polskiego poety-muzyka.

Miejsce nieodżałowanej pamięci opery, która smętnie pędziła ofiarny i owocny żywot w teatrze przy ul. Rajskiej zajęła operetka, pod kierownictwem dyr. Poleńskiego. Jego sprężystości i żmudnemu wysiłkowi mamy do zawdzięczenia, iż poziom wykonawczy, a nieraz i dobór repertoaru da się podciągnąć do roli artystycznych przedstawień, które ożywia beztroski humor i szczera wesołość, a których cechą jest młodociany rozmach i szczere przejęcie się grą.

Z dzieł muzycznych, które się w bieżącym sezonie ukazały w druku, wymienić należy Henryka Opieńskiego *Monografję Moniuszki*; dzieło to pierwszy raz w polskiej literaturze muzycznej stawia twórczość autora *Halki* i *Strasznego Dworu* w świetle ówczesnej kultury artystycznej Polski i jako wypadkową środowiska rodzinnego na prowincji wileńskiej, następnie zaś pod wpływami stołecznej Warszawy.

Dra J. Reissa *Encyklopedja muzyki* jest zwięzłem zestawieniem wiadomości ze wszystkich działów sztuki muzycznej, a więc historji, harmonji i kontrapunktu, form muzycznych i opisu instrumentów, teorji muzycznej na podstawie akustycznej i estetyki. Zwartość a zarazem przejrzystość w przedstawieniu, żywość opowiadania, wydobywanie stale istoty rzeczy wśród mnóstwa nagromadzonego materjału stwarzają wartość tego doskonałego podręcznika, który winien się znaleźć w każdym muzykalnym domu.

Stanisław Colonna Walewski: *Piosenki dziecięce* są pierwszą próbą wprowadzenia melodyki ludowej do piosnek dla dzieci. Oparte na tekstach Zofji Rogoszówny, wprost z ludowej poezji zaczerpniętych lub też w jej duchu stylizowanych, uzgadniają w muzyce to charakterystyczne założenie. Prześliczna szata zewnętrzna (każda piosnka ma oryginalną ramę drzeworytową), wykwintna karta tytułowa i końcowa stwarzają artystyczne cacko z tej książki pieśniarskiej.

Oprócz krakowskiego miesięcznika *Muzyka i śpiew*, poświęconego sprawom pedagogji i krzewienia kultury muzycznej w jak najszerszych warstwach, pojawiły się dwa nowe pisma: warszawska *Muzyka* pod redakcją Mateusza Glińskiego, zbierającego wiadomości z całej Europy i poznański *Przegląd muzyczny*, traktujący w wyczerpujący sposób interesy polskie.

*Dr. Melanja Grafczyńska.*

## Kłopoty P. P. S.

Wielkość i znaczenie P. P. S. opiera się nie tyle na wybitnych jednostkach tego obozu, ani nie na politycznym wpływie partyjnych posłów, ale przedewszystkiem i głównie na robotni-

czych masach, któremi władają socjalistyczni menerzy, a które stoją za posłami lewicowego obozu zawsze gotowe do poparcia poselskich postulatów, tego rodzaju wystąpieniami, jak strajki generalne, które mogą mieć nawet, jak to już wiemy z doświadczenia, krwawy finał. Zaś owe masy robotnicze stoją do usług P. P. S. nie tyle dzięki jakiejś chwilowej agitacji, ale dzięki organizacjom zawodowym, które z imienia są bezpartyjne, a w rzeczywistości, istnieją i, trzeba przyznać, robotnika nęcą, może nie tyle realnemi korzyściami jak szerokiemi gestami obietnic.

I właśnie w ostatnich czasach ta główna baza socjalistycznego gmachu została mocno podważona. Najciekawsze jest to, że niebezpieczeństwo wypełzło z tej strony, z której się go najmniej spodziewać było można, mianowicie objawiło się na arenie międzynarodówki zawodowej, t. zw. amsterdamskiej, a wywołane zostało przez Anglików. Istota niebezpieczeństwa tkwi w tem, że na ostatniem posiedzeniu zarządu Międzynarodowej Federacji Związków Zawodowych postanowiono, w sposób coprawda dyskretny, umożliwić trzeciej międzynarodówce przystąpienie do międzynarodówki drugiej, zaś P. P. S., jak wiemy, na wszelki sposób odżegnuje się od komunizmu i bolszewików.

To szczególne zagmatwanie sytuacji warte jest kilku słów.

Na wspomnianem posiedzeniu sprawę połączenia się dwu międzynarodówek wysunęli przedstawiciele angielscy. I fakt ten na pierwszy rzut oka jest bardzo dziwny. Do ostatnich czasów angielskie trade-uniony uchodziły za najtrzeźwiejszy ruch robotniczy. Robotnik był w nich doskonale zorganizowany, a przytem organizacja ta była istotnie zawodowa a nie klasowa, czyli, że programem jej działalności była pozytywna strona akcji, zmierzająca do podnoszenia robotniczego dobrobrobytu, a nie negatywna, wysuwana wszędzie gdzieindziej pod znanem hasłem walki klas. Właśnie na tem tle panowała zasadnicza różnica pomiędzy związkami zawodowemi Anglji a kontynentu, na którym najpoważniejsze organizacje występowały z wyraźnym programem obalenia systemu kapitalistycznego i zastąpienia go socjalistycznym komunizmem w tej czy innej formie.

Tymczasem po wojnie związki angielskie posunęły się bardzo radykalnie na lewo. Sekretarz międzynarodówki amsterdamskiej w sprawozdaniu z r. 1924 zaznacza, że „naczelnem zadaniem związków zawodowych angielskich jest obecnie walka klas", a celem bodaj najbliższym, do którego dążą, jest nacjonalizacja ziemi, kopalń i zasobów, jakie są w ziemi, unarodowienie kolei i rozszerzenie państwowych i komunalnych zarządów na przedsiębiorstwa, które mają bezpośrednio znaczenie społeczne.

W ostateczności analogiczny program mają socjaliści całego świata i nasza P. P. S., a cieniowanie poszczególnych kierunków socjalistycznych polega przeważnie na taktyce, jaką do owych celów zdążają. Otóż angielscy towarzysze w ostatnich czasach

dziwnie przyspieszyli kroku, tak, że najwyraźniej czynią wrażenie, iż chcą dopędzić rosyjskich komunistów. Obecny przewodniczący międzynarodówki amsterdamskiej Purcell, Anglik, postawił pierwszy krok w stronę trzeciej międzynarodówki, w listopadzie roku ubiegłego. Pojechał mianowicie do Moskwy na kongres komunistycznych związków zawodowych, t. zw. Profinternu. Krok ten był dyktowany częściowo kurtuazją za to, że w kongresie trade-unionów wzięli swego czasu udział przedstawiciele trzeciej międzynarodówki, w rzeczywistości jednak wiodła Purcella do stolicy komunizmu raczej sympatja niż obowiązek grzeczności. Widać to najlepiej z zachowania się Purcella na zjeździe. Według relacji *Robotnika,* „Purcell rozpływał się w pochwałach życia robotniczego w Rosji i wyraził życzenie, aby i w Anglji nastąpiły takie przemiany, jak w Rosji przez trzy lata ubiegłe". Owszem, nie dość na tem, Purcell już wówczas, jako przewodniczący drugiej międzynarodówki, wyraził zgodę na przyjęcie sowieckiej międzynarodówki do federacji amsterdamskiej.

Nie przeszkadzał mu w tem oświadczeniu fakt, że na wiedeńskim kongresie związków zawodowych potępiono taktykę komunistyczną i najwyraźniej zdecydowano spalić wszystkie mosty, jakie dotychczas łączyły te dwie międzynarodówki.

Za taki wybryk spotkała Purcella doraźna odprawa w piśmiennictwie socjalistycznem. *Robotnik* wystąpił gwałtownie przeciw niemu i atakował go za „niedopuszczalny flirt". Równie silnie wystąpiła przeciwko niemu Egzekutywa socjalistyczna, która łącznie z amsterdamskimi przedstawicielami odbyła zjazd z początkiem stycznia b. r. w Brukseli. Przewodniczący zjazdu, Vanderwelde, z nietajoną ironją wytknął Purcellowi szkodliwość jego wystąpienia, a w szczególności to, że między pozytywne rezultaty komunistycznej działalności bolszewizmu zaliczył nadzwyczajną wolność religijną (!!), jaką obdarzył bolszewizm rosyjski obywateli. Purcell się tłómaczył, że rosyjscy komuniści ponaciągali wszystkie jego enuncjacje na własną korzyść. Ale choć międzynarodówka i trade-uniony na tym zjeździe najwyraźniej oświadczyły, że wszystkie flirty Purcella były wyłącznie jego prywatną sprawą i że za powyższe oświadczenie nie biorą żadnej odpowiedzialności, Purcell dalej został przewodniczącym międzynarodówki amsterdamskiej, mimo tak fatalnego kroku.

*Robotnik* wyraził swego czasu zdziwienie, jak można było wybrać na przewodniczącego międzynarodówki amsterdamskiej człowieka, który znany już był jako komunista. My znów dziwimy się, jak można go było pozostawić na tem stanowisku mimo tak oczywistej kompromitacji wobec związków zawodowych całego świata, na jaką tę międzynarodówkę naraził tow. Purcell.

A jednak ostał się i z uporem angielskim postanowił pchnąć w objęcia komunizmu socjalistyczną zawodówkę amsterdamską. Od 5 do 7 lutego trwała w Amsterdamie konferencja między-

narodówki amsterdamskiej, na której Purcell bez najmniejszego zakłopotania postawił wniosek, aby zwołać specjalny zjazd obydwu międzynarodówek, amsterdamskiej i komunistycznej, i na nim stworzyć całkiem nową, wspólną, o jednym froncie międzynarodówkę, tworząc zarazem nowy dla niej statut.

Wniosek ten upadł, ale przedstawiciele związków zawodowych nie mieli odwagi, aby sprawę całkowicie umorzyć i — większością uchwalili wniosek przedstawicieli holenderskich, żeby zwołać konferencję porozumiewawczą z trzecią międzynarodówką, o ile ta wpierw zgodzi się na przyjęcie bez zastrzeżeń zasad międzynarodówki amsterdamskiej. Ze strony międzynarodówki amsterdamskiej wydelegowano na tę ewentualną konferencję dwóch notorycznych sympatyków bolszewizmu: Branleya i Fimmena, i dwóch podobno nie bolszewizujących: Grassmana i tow. Zuławskiego. — Tu jest właśnie Rubikon, przez który wali bolszewicka swołocz.

Nie trzeba P. P. S. uczyć, czem są wszystkie porozumienia, umowy, traktaty z bolszewikami. Wszystko jedno, jaką oni noszą nazwę, czy profinternu, czy jaczejki, czy kominternu. Nie trzeba naszym przedstawicielom w międzynarodówce amsterdamskiej tłómaczyć, jakie niebezpieczeństwo dla zorganizowanego ruchu robotniczego stanowi element trzeciej międzynarodówki. Pozwólmy, niech sami przedstawiciele P. P. S. się wypowiedzą:

„Manewr chytry, ale przejrzysty. Moskwa najpierw rozbiła jedność ruchu zawodowego, zakładając odrębną międzynarodówkę, profintern, mającą na celu walkę na śmierć i życie z Amsterdamem. A oto teraz, gdy interes konkurencyjny bankrutuje (może tak, a może nie! uwaga od podpisanego), Moskwa występuje w roli anioła pokoju, prawi o harmonijnem współdziałaniu w łonie jednej organizacji międzynarodowej. Jest w tem obłuda i fałsz!"

„Cel bolszewików jest jasny. Nie ukrywają oni bynajmniej, że w razie połączenia się z Amsterdamem, nie zaprzestaną ani na chwilę walki z „reformizmem", z przywódcami „reformistycznymi", z uchwałami Amsterdamu, który wszak posiada większość w klasowym ruchu zawodowym. Zapowiedź tedy, że uszanuje wolę większości, jest równie obłudna. Polityka i taktyka Moskwy nie zmieniłaby się ani na jotę, tylko, że niebezpieczeństwo komunistyczne w ramach jednej organizacji, stale podkopywanej przez wzmożone zastępy agentów sowieckich, byłoby znacznie większe, niż dotychczas".

„Przypuśćmy nawet, że bolszewicy pozornie zlikwidowaliby profintern. Jednakże istniałby on nadal, jako jaczejka w międzynarodówce amsterdamskiej, kierowanej z Moskwy. Byłaby to gangrena w łonie międzynarodówki zawodowej".

Tak pisał w różnych miejscach *Robotnik* i tak czuje P. P. S.

A jaka będzie przyszłość? Prognoza, zdaje się, bardzo prosta. Bolszewicy zgodzą się na warunki, dyktowane przez Amster-

dam, podpiszą jeszcze jeden traktat ryski. Choćby nawet przy tym podpisaniu stawiali jakieś warunki, byle nie zbyt radykalne, to przedstawiciele związków zawodowych z Zachodu zgodzą się na pewne nawet, może dosyć duże ustępstwa. Przecież sam *Robotnik* głosi, że Zachód nie zdaje sobie sprawy z istoty bolszewickich związków zawodowych. Przecież Purcell, Branley, Fimmen, czołowe figury międzynarodówki amsterdamskiej, opowiedziały się już niedwuznacznie za przyjęciem bolszewików. Przecież, jeśli dojdzie do jakiejkolwiek konferencji między reprezentantami bolszewików a owymi czterema wydelegowanymi *ad hoc,* z których tylko dwóch jest podobno niebolszewizujących, to postulaty bolszewików mają już zgóry zapewnioną większość.

Dalecy jesteśmy od tego, żeby się cieszyć z obecnych kłopotów P. P. S. i z możliwych najfatalniejszych następstw, jakie z konieczności wynikną po fuzji drugiej i trzeciej międzynarodówki. Któżby się cieszył z tego, że się kończy zło na rzecz gorszego?

Ale ciekawi jesteśmy, czy przedstawiciele P. P. S. zrefleksują na to, iż tego rodzaju kłopoty i niebezpieczeństwa są koniecznem następstwem ich założeń i ich taktyki. Jeśli P. P. S. tak niewybrednie atakuje chrześcijańskie organizacje z tego tytułu, że one rzekomo rozbijają jednolity front robotniczy; i *per fas et nefas* starają się przeciągnąć robotników z tego obozu do swojego w imię tego, że jeśli nie dają, to w każdym razie obiecują robotnikowi więcej, to chyba wolno i komunistom rosyjskim na podstawie tej samej logiki tak samo postępować wobec ich związków zawodowych i międzynarodówki amsterdamskiej. A jeśli między komunizmem a P. P. S. tkwi różnica nie w ostatecznych celach, ale w taktyce, to trudno bolszewikom wytłómaczyć, że ich taktyka jest błędna, jeśli za nią oświadczy się większość zorganizowanych robotników. Wszak to jest podstawowe założenie socjalizmu, że o wartości taktyki decyduje demokratyczny pierwiastek liczby. Jedyne wyjście z tego fatalnego położenia jest w przyjęciu pewnych dogmatycznych zasad, taktyki i celów, tak dogmatycznych, iżby do nich nie miała przystępu żadna demokracja. Ale P. P. S., odrzucając bezwzględne podstawy etyki, stanęła na grząskim gruncie względności dziejowego materjalizmu, i cóż dziwnego, że teraz poczyna tonąć.

Oby to smutne doświadczenie uczyniło P. P. S. bardziej wyrozumiałą dla Ch. D., nie tylko bardziej wyrozumiałą, ale oby jej otwarło oczy, że człowiek mimo największych wysiłków nie poradzi sobie bez pierwiastka tak silnego, tak wiecznego i niewzruszonego, jakim jest Bóg i religja wraz ze swemi bezwzględnemi postulatami. *Ks. R. Moskała.*

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono 4 marca 1925 r.

# Spis rzeczy tomu 165.

## Artykuły.


Str.

Fr. Potocki i J. Urban: Duchy w Brodach . . . . . 3
M. Janoszanka: Jackowi Malczewskiemu. (Wiersz) . . . 32
Dr. A. Roszkowski: Katolicyzm wobec obecnego przesilenia gospodarczego . . . . . 35
T. Karyłowski: Wpływ „Eneidy" na „Pana Tadeusza" . . 45
Biskup M. Godlewski: O mistycyźmie cesarza Aleksandra I. (Ciąg dalszy) . . . . . 66
Dr. K. Miaskowski: Fryderyk II a Kościół katolicki w zabranych Polsce dzielnicach . . . . . 76
J. Urban: Królewskie prawa Chrystusa . . . . . 129
St. Podoleński: Z niedoli polskiego dziecka . . . 141, 288
Prof. J. Kallenbach: Towianizm na tle historycznem. (Ciąg dalszy) . . . . . 160, 304
Dr. Z. Ciechanowska: Z dokumentów duszy . . . . . 176
A. Boudou: O Kolegjum duchowne w Petersburgu . . 191, 334
Dr. A. Prochaska: Walka o zasady na kresach . . . . 211
Dr. Wł. Szczepański: Prawda o Tutanchamonie . . . 257
Adam Bochnak: Kościół św. Stanisława w Uhercach . . 273
Dr. Z. Ciechanowska: Echa „Wertera" w Polsce . . . 321


## Przegląd piśmiennictwa.


Powieści i poezje: Stanisław Wyspiański: Dzieła. — Władysław St. Reymont: Bunt. — Wacław Sieroszewski: Beniowski. Ocean. — Kornel Makuszyński: Rzeczy wesołe. — Tenże: O djabłach, kobietach i aniołach. — Janusz Herlaine: Don Alvaro de Ramirez w Madrycie. — T. Brudzewski: Walka z cieniem. — Maciej Wierzbiński: Honor. — Tenże: Uśmiechy. — Zdzisław Kleszczyński: Wojenne przygody Staśka Ślązaka. — Kazimierz Tetmajer: Poezje. — Jan Lechoń: Srebrne i czarne. — Edward Kozikowski: Koniec Hortensji Europy. — Tadeusz Peiper: A. (Hanna Zahorska) . . . . . 93
Tad. Zieliński: Z ojczystej niwy. Studja i szkice. (J. Urban) 102

Tad. Zieliński: La Sibylle, trois essais sur la religion antique et le christianisme. (J. Urban) . . . . . 104
Bernard Leib: Rome, Kiev et Byzance à la fin du XI siècle. (J. Urban) . . . . . 105
Seweryn Goszczyński: Podróż mojego życia. Urywki wspomnień i zapiski do pamiętnika 1801—1842. Wyd. St. Pigoń. (S. B.) 108
Pamiętnik Mierosławskiego (1861—1863). Wyd. dr. Józef Frejlich. (T. K.) . . . . . 108
Dokumente der Religion. Band VII: Isaias. Das Trostbuch Israels, ausgewählt u. übertragen von Dr. N. Peters; VIII: Der Koran, ausgewählt von H. Grimme; IX: Clemens v. Aleksandrien, Auslese: Gott ruft die Seele, von Dr. Th. Rüther. (s.) . . . . . 109
Jan Papini: Od człowieka do Boga. Studja o pragmatyźmie. Polemiki religijne. Przekład W. Rzymowskiego. (J. Urban) . . . 226
Marceli Handelsman: Rozwój narodowości nowoczesnej. (Dr. Wł. Rutkowski) . . . . . 227
Tadeusz Łychowski: Turcja. Rys stosunków geograficznych, gospodarczych, politycznych i wojskowych. (J. U.) . . . . . 227
Wład. Konopczyński: Polska a Szwecja. Od pokoju Oliwskiego do upadku Rzeczypospolitej. 1660—1795. (Dr. Wł. Rutkowski) 228
Wirginja Jezierska: Z życia dworów i zamków na kresach 1828—1844. Przetłóm. i wydał Dr. Leon Białkowski. (J. M. G.). . . 229
Marceli Handelsman: Historyka. Część I i zasady metodologji historji. — Alfred Feder S. J.: Lehrbuch der historischen Methodik. (Z. B.) . . . . . 232
Skarbiec Pisma świętego. Konkordancja rzeczowa. Wyd. Ks. Feliks St. Feldheim. (K. A. Ż.) . . . . . 234
Słowa żywota. Modlitewnik oparty na tekstach biblijnych. (Ks. A. Z.) . . . . . 235
Ks. Dr. St. Żukowski: Krótkie nauki niedzielne na podstawie Ewangelij. (Ks. A. Ż.) . . . . . 235
Ks. J. Kłos: O Kościele katolickim i posłannictwie narodu. (Ks. A. Z.) . . . . . 235
Prof. Dr. B. Kieffer: Predigt und Prediger. (Ks. H. Haduch) 236
J. Weigert: Bauerpredigten in Entwürfen. (Ks. A. Ż.) . . . . 237
K. Dörner: Die Stunde des Kindes. (A. Ż.) . . . . . 237
Ks. J. Krzyszkowski T J.: Tajemniczy znak. Obrazki misyjne. (s.) 237
Al. Brückner. Dzieje literatury polskiej w zarysie. (Ks. T. K.) 238
Tadeusz Kossak. Wspomnienia wojenne. (1918—1920). (Ks. T. K.) 239
Z literatury ekonomiczno-społecznej: Skarb Rzeczypospolitej. Wyd. Inst. Gospodarstwa społecznego. — St. Szczutowski: Gospodarcze dziś i jutro Polski. — Dr. Kaz. Tetyniak-Sanecki: Zarys nauki skarbowej. — Stef. Schmidt: Własność folwarczna zachodnie Małopolski. — L. Pączewski: Lasy, przemysł i handel drzewn w Polsce. — Studja społeczne i gospodarcze. — Wł. Berkan: Życiorys własny. — Towarzyszu na słówko! (R. Moskała) . . . . . 359
Nadesłano do Redakcji . . . . . 239, 364

## Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:
Styczeń: Ambasada polska przy Watykanie. — Z alokucji konsystorjalnej Ojca św. (J. Urban) . . . . . 110
Luty: Konkordat w Bawarji. — Biskupi na Słowaczyźnie wobec partyj wywrotowych. (J. Urban) . . . . . 242
Marzec: Po podpisaniu konkordatu. — Ilu katolików zostało w republice Sowietów (J. Urban) . . . . . 367
Kronika społeczno-ekonomiczna. Katolickie organizacje służby domowej w Polsce. — Polska Konfederacja Pracowników Umysłowych. — Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych. (R. Moskała) 114
Szkolnictwo i wychowanie w Rosji bolszewickiej. (St. Podoleński) . . . . . 121
Katolickie tezy społeczno-ekonomiczne. (R. M.) . . . . . 247
Obecny stan reformy kalendarza. (J. Hagen) . . . . . 53
Życie muzyczne Krakowa. (Dr. M. Grafczyńska) . . . . 374
Kłopoty P. P. S. (R. Moskała) . . . . . 377